

**Graham Masterton**

# **Headlines**

*(Headlines)*

*Przekład*

*Anna Gauza,*

*Teresa Pełka,*

*Szymon Wiśniewski*

*Z wyrazami miłości  
dla Wiescki  
i dla trzech synów,  
którymi mnie obdarowała*

# 1

Morgana tak zeszczuplała, stosując dietę doktora Holmana opartą na suszonych morelach, że oryginalna, biało-czarna suknia od Diora była dla niej zdecydowanie zbyt obszerna. Suknia ta kosztowała jej ojca aż siedemset osiemdziesiąt dolarów. Za dwie godziny rozpoczyna się przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Morgany, a do końca przygotowań jeszcze daleko.

– Wyglądam okropnie – powiedziała Morgana do matki.

– A czego się spodziewałaś po sześciu tygodniach diety opartej na suszonych morelach? Suszone morele! Nigdy nie słyszałam o czymś bardziej obrzydliwym! Twoje kiszki przypominają pewnie niteczki.

– Mamo, suszone morele wpływają dobrze na moją figurę. Na psychikę też. – Mówiąc to Morgana okręcała się na pięcie, krytycznym okiem oceniając swój wygląd.

– Psychika – pogardliwie powiedziała matka. – Jediną osobą, która posiadała coś w rodzaju psychiki, był w naszej rodzinie wujek Gerard. Szczególnie jeśli chodzi o upodobanie do strzyżenia żywopłotów na kształt niemoralnie wyglądających park.

– Mamciu, to nie psychika. Psychika oznacza sposób, w jaki umysł dostosowuje się do środowiska i vice versa.

– No właśnie – odparła matka. – Twój wujaszek Gerard miał sprośne myśli i stosownie do nich urządzał swoje otoczenie. Nie, ja go nie potępiam, tak jak Ethel. Nawet żywopłot jest lepszy niż nic. – A po chwili dodała:

– Zawsze zmuszała go do zmiany ich w kurczaki.

– Eto zmiany czego w kurczaki?

– Moja droga, no tych niemoralnych park! I na miłość boską, przestań do mnie mówić „mamciu”! Masz już dwadzieścia jeden lat Jeśli chcesz, możesz mówić mi po imieniu. Zresztą obojętnie jak, tylko nie „mamciu”.

– Ale ja to lubię – powiedziała Morgana, poprawiając suknię w pasie. Przypomina mi to czasy, gdy byłam mała. Pokój dziecienny, przejażdżki dwukółką z psem i rozczesywanie włosów, zanim przyszałaś powiedzieć dobranoc.

– O niebios! – powiedziała matka, otwierając białą torebkę, z której wyciągnęła białą, emaliowaną papierośnicę. – Myślałam, że nasze stosunki zmieniły się od tamtego czasu. Nawiasem mówiąc, jeśli chciałabyś teraz jechać dwukołowym powozikiem, to wykończyłabyś psa, który go ciągnie. Słuchaj, Lukia może poprawić tę suknię. Pozwól, zawołam ją.

– Ale to słowo ma dla mnie olbrzymie znaczenie – nalegała Morgana, ciągle się obracając. – Spójrz! Jestem już dorosła Jesteśmy przyjaciółkami, co nie zmienia faktu, że jesteś moją

wspaniałą i najukochańszą mamcią.

Matka Morgany starała się wyglądać na surową, wręcz zirytowaną takim wyznaniem, ale jej twarz zdradzała zachwyty i rozbawienie. Objęła córkę i spojrzawszy w jej ciemne oczy, powiedziała:

– Kategorycznie zabraniam ci przypominać mi, ile mam lat.

– Mamciu jesteś...

Matka podniosła rękę i przymknęła oczy, jakby nie chciała słuchać o przemijaniu czasu.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć: „Morgana, nie miej dwudziestu jeden lat. Bądź znowu siedmio – lub ośmiolatką”. Wszystkie twoje lalki są jeszcze w bawialni. Pamiętasz tę porcelanową Katrinę – najładniejsza, ale zawsze lekceważona. Moja droga, gdybym tylko mogła cofnąć czas! Ty byś miała siedem lat, a ja dwadzieścia dziewięć.

Morgana pocałowała matkę najpierw w prawy, a potem w lewy policzek.

– A to co? Oficjalna nagroda za długowieczność? – zdziwiła się matka, a udawana irytacja zniknęła z jej twarzy. – No, już dobrze. Zostały niecałe dwie godziny. Musisz się szykować. Zawołam Lukię.

– Nie ma potrzeby – zaprotestowała Morgana. – Nawet jeżeli poprawi suknię w pasie i tak będę wyglądać okropnie.

– Nie przesadzaj. Moje córki nigdy nie wyglądają okropnie – odparła matka.

Przeszła przez ogromną sypialnię pomalowaną na kremowo i połączyła się telefonicznie z pokojami służby.

– Edmundo? Mówi pani Croft Tate. Proszę przysłać Lukię do garderoby panny Morgany, dobrze? Czy przysłano już łośosia? Całe szczęście! A kwiaty? Dobrze, proszę zadzwonić do Karpanthiana i powiedzieć, że jeżeli za dwadzieścia minut nie będzie tutaj kwiatów, to do końca świata nie otrzyma zamówienia z Weatherwood. Odłożyła słuchawkę i zapaliła papierosa. Wyraz jej twarzy przypominał skupienie licytatora podczas aukcji.

– Kennetfa usiłuje mi wmówić, że Chicago to obecnie cywilizowane miasto, ale zaczynam w to wątpić. Wiesz, że w czasie ostatniego weekendu byliśmy na kolacji u Bransona? Widziałam tam, jak siekają bułki nożami. Czekałam, kiedy zaczną wylizywać talerze.

– Mamo, przesadzasz.

– Być może, ale po to są normy, aby ich przestrzegać. Rozumiem wszystko, ale siekanie bułek nożami jest objawem najbardziej bezmyślnego naruszenia zasad dobrego wychowania.

– Nie rozumiem dlaczego?

– Nie sprzeczasz się. To mnie razi i tyle. Denerwuję się, że bułki mogą się wyslizgnąć i spaść na podłogę. Jak mam jeść spokojnie kolację, kiedy coś mnie denerwuje.

– Oj, mamciu – powiedziała Morgana. Jeszcze raz okręciła się przed lustrem i stwierdziła: – Z tego nic się nie da zrobić. Lepiej kupię coś w domu towarowym.

– Nie możesz. Ojciec dostałby szału.

– Niech dostanie. Jestem już dorosła.

– Tak, jesteś wystarczająco dorosła, żeby mieć więcej rozumu i nie denerwować ojca. Zrozum, jak bardzo musiał się przełamać, żeby kupić tę suknię. Wiesz, co on sądzi o modzie – to najlepsza metoda, aby pozbawić mężczyznę pieniędzy. Gdyby to od niego zależało, to cała rodzina chodziłaby w przepaskach na biodrach. Mnie by to nie przeszkadzało, ale ojciec wyglądałby strasznie. Powiedzmy sobie szczerze, że nie jest Johnnym Weissmullerem.

– Mamo!

Eleonora Croft Tate ostentacyjnie wydmuchnęła dym z papierosa i machnęła ręką, jakby nie chciała słuchać, co mówi Morgana.

– Ta suknia będzie idealna. Tylko poczekaj.

Morgana i jej matka były bardzo podobne. Obie były wysokie, miały duże, ciemne oczy, krótkie, proste nosy i wystające kości policzkowe. Eleonora miała usta w kształcie serca, za jakimi szalał świat w 1930 roku – takie jak Carole Lombard. Natomiast Morgana odziedziczyła duże, wydatne usta po babci ze strony matki. Lany Keane IV, ostatni wielbiciel, określił je jako „stworzone do całowania”.

Morgana miała czarne włosy, z przodu podpięte wysoko grzebykami i spadające z tyłu swobodnie na ramiona. Jasne włosy jej matki upięte były w prosty, elegancki kok.

Figurę Morgana odziedziczyła niewątpliwie po matce. Nawet mając czterdzieści trzy lata, Eleonora mogła być dumna ze swojego kształtnego biustu, wąskiej talii i długich nóg. Mąż jej marudził przez kilka dni, kiedy po raz pierwszy zaczęła nosić długie spódnice, które weszły w modę.

– Eleonoro, ożeniłem się z tobą dla twoich nóg. Gdybyś wtedy nosiła tę szmaciastą suknię, to nawet bym na ciebie nie spojrzał. A poza tym, gdybym miał ochotę podziwiać materiały, to poszedłbym do sklepu z odzieżą. Chciałbym jeszcze wiedzieć, ile kosztowała ta dodatkowa ilość materiału.

Ojciec Morgany uważany był za największego sknerę świata. Jednak jeśli chodziło o żonę i córki zapominał o zasadach. Karawany wozów dostawczych przywożących do Weatherwood odzież, kwiaty, kapelusze, słodycze, książki i futra, były codziennym widokiem.

Czasami, gdy Morgana czuła się samotna i smutna, zastanawiała się nad przyczynami hojności ojca. Czuła, że była to próba zrekompensowania pieniędzmi uczucia miłości, którego ojciec nigdy nie potrafił jej okazać. Drzemały w nim pokłady miłości, ale niestety na zawsze ukryte – uczucie, które chował (jak większość mężczyzn) dla swojego męskiego potomka.

Eleonora poprawiła włosy przed lustrem.

– Sama nie wiem, czy ta fryzura jeszcze mi pasuje. Wyglądam w niej jak nauczycielka.

– Nauczycielka? Ciekawe, czego! Może „wyrachowanej ekstrawagancji” dla

zaawansowanych?

Właśnie w tym momencie delikatnie zapukała do drzwi szwaczka rodziny, Lukia. Była drobną Greczynką o ciemnej skórze i oczach jak Bette Davis. Tuż za nią weszła młodsza siostra Morgany, Phoebe. Była jeszcze ubrana w krótki, jedwabny, różowy szlafroczek, a blond włosy miała nawinięte na wałki. Paliła różowego papierosa umieszczonego w długiej, białej cygarnicze. To była jej nowa poza. Stapała wyniośle, rozpościerając ramiona, jak gdyby spodziewała się okrzyków zachwytu i oklasków uwielbiającej ją publiczności.

– Niszczycielski John nadjechał – oznajmiła.

– Już? – spytała Morgana.

– Powiedział, że tak bardzo chciał cię znowu ujrzeć, iż nie mógł już dłużej wytrzymać. Mówił, że na samą myśl ciekła mu ślinka.

– Co za obrzydliwość! – powiedziała Eleonora. – Gdy go spotkałam po raz pierwszy, myślałam, że ma dobre maniere.

– Tak naprawdę, to nic takiego nie powiedział – odparła Phoebe. – Nie zauważyłam też, żeby był zaśliniony. Ale myślę, że ma dla ciebie niespodziankę, droga Morgano. Jest na dole i ćwiczy ze swoim zespołem. Strach mówić, ale chyba ma zamiar śpiewać. Wiecie, lubię jego uśmiech. To jedyna rzecz, którą mogę powiedzieć o Johnie. Ma zdecydowanie więcej zębów, niż jakikolwiek mężczyzna, którego poznałam w całym swoim życiu. Pewnie całuje się z nim jak z chłodnicą buicka.

– Nie bądź ordynarna – powiedziała Eleonora. – Lukia, kochanie, chciałabym, żebyś zwężyła w pasie sukienkę panny Morgany. O tak. I przesun tę plisę do tyłu. Ja przytrzymam, a ty upnij.

Morgana krytycznie przyglądała się sobie w lustrze przechylając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Phoebe stanęła przy niej i również podziwiała swoje odbicie, robiąc różne miny i kładąc rękę na biodrze.

Phoebe, chociaż miała na nogach najbardziej „niebezpieczne” szpilki, jakie tylko mogła wynaleźć, była trzy cale niższa od Morgany. Była ładniejsza, a do tego zuchwała – ale w dobrym znaczeniu. Miała naturalnie kręcone blond włosy i błyszczące, niebieskie oczy. Na pierwszy rzut oka było widać, że Morgana i Phoebe są siostrami. Ot, chociażby, miały podobny kształt ust i nosów. Ale Phoebe zawsze była większym lekkoduchem. Była tą, która żartuje, tańczy i dokucza chłopakom. Choć miała dopiero osiemnaście lat, Phoebe zaczęła palić chesterfielDY wcześniej niż Morgana. Znacznie wcześniej niż siostra zaczęła pić szampana, nauczyła się prowadzić samochód i dowiedziała się wszystkiego o seksie. Po raz pierwszy pocałowała chłopaka prawdziwie (z języczkiem) jako dziesięciolatka, a gdy miała czternaście lat i trzy dni, entuzjastycznie oddała swoje dziewictwo jakiemuś ponuremu przystojniakowi, który zajmował się u nich różami. Miał na imię Eryk. Do tej pory Phoebe uwielbiała denerwować Morgane opowieściami o nim i stwierdzeniem, że Eryk był jedynym chłopakiem, który coś dla niej

znaczył. Było to zwykle przekomarzanie. W rzeczywistości nawet nie pamiętała, jak wyglądał. Wiedziała tylko, że miał niesamowite usta. Ale nie omieszkła przy każdej okazji podkreślić, że to ONA zawsze przyciągała chłopaków, podczas gdy Morgana na potencjalnych konkurentach sprawiała wrażenie nieprzystępnej, nawet odstraszała ich chłodnym dystansem.

– Myślę, że ty i John świetnie do siebie pasujecie – powiedziała Phoebe, szeroko otwierając niebieskie oczy i patrząc w lustro. Lukia klęczała z ustami pełnymi szpilek i próbowała dopasować sukienkę.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała Morgana. – Mówiąc szczerze, uważam, że jest trochę powierzchowny.

– No, nie wiem – odpowiedziała Phoebe. – Może masz rację, ale jest pogodny, pewny siebie i ty też taka jesteś. Ty i on jesteście jak dwa wspaniałe łabędzie płynące razem po szklistej tafli społeczeństwa.

– Co za frazesy – wtrąciła Eleonora.

– Mamo, nie masz żadnego poczucia romantyczności – zaprzeczyła Phoebe.

– Ale mam doskonale wycucie, jeśli chodzi o czcze gadanie – powiedziała matka. – A teraz, madame, idź i ubierz się. Chociaż raz, na dwudzieste pierwsze urodziny twojej siostry, bądź gotowa na czas.

Phoebe z elegancją zaciągnęła się papierosem, ale nie ruszyła się.

– Słyszałyście ostatnie nowinki? – spytała, usiłując wypuścić dym w kształcie kólek.

– Jakie nowinki? – spytała Morgana. – O Margaret Mithell? Edmundo mówił mi dzisiaj rano.

– Proszę stać prosto, panienko – błagała Lukia, pełzając na kolanach jak pokutnik.

– Nie. Nie to – odparła Phoebe. – Odnaleziono Roberta Wentwortha.

Eleonora, która starannie naciągała rękawiczki, aby nie było żadnych fałdek między palcami, nagle zamarła. Spojrzała na Phoebe, jakby ogłosiła ona, że spodziewa się dziecka, lub że prezydent Truman zmarł, albo że Hitler został odnaleziony i mieszka gdzieś w Scarton. Morgana poruszona nagłą zmianą nastroju matki zapytała:

– Gdzie to słyszałaś? – i szybko spojrzała na matkę, żeby sprawdzić, jak zareaguje na odpowiedź Phoebe.

– Był komunikat w radiu – powiedziała Phoebe, najwidoczniej nieświadoma reakcji matki. – „Robert Wentworm, playboy i człowiek należący do eleganckiego świata odnaleziony przez rybaka w Porcie Indiana”. – W rodzinie Croft wszyscy przyzwyczajeni byli do posługiwania się nagłówkami.

– Martwy? – niepotrzebnie spytała Morgana, ale wyczuwała, że matka chce wiedzieć wszystko.

– Oczywiście – powiedziała Phoebe. – Częściowo zjedzony przez ryby. Biedaczysko. Policji udało się zidentyfikować go po ubiorze i butach. Po raz pierwszy w tym miejscu wyłowiono

zwłoki ubrane w garnitur z Savile Row i buty od Allana McAfee'ego.

– Phoebe – powiedziała Eleonora ledwo dosłyszalnym głosem.

Phoebe odwróciła się.

– To prawda. Tak powiedzieli w wiadomościach. Spytaj ojca. Eleonora odwróciła się najpierw w lewo, zawahała się i obróciła w prawo. Wydawało się, że sama nie wie, jak wyjść z sypialni.

– Mamciu! – zawołała Morgana, idąc do niej i automatycznie ciągnąc za sobą zdenerwowaną Lukię.

Eleonora zatrzymała się w drzwiach, opierając rękę o futrynę. Była odwrócona tyłem do Morgany, jak gdyby nie miała ochoty czekać zbyt długo i jednocześnie obawiała się jej spojrzenia.

– Mamciu – ciszej powtórzyła Morgana, kładąc rękę na ramieniu matki.

– Zachowuję się trochę głupio – powiedziała Eleonora cicho i niepewnie – ale to spadło na mnie zbyt nagle. Znałam Roberta dość dobrze. W czasach, kiedy mieszkaliśmy w San Francisco, przychodził do nas bardzo często. Był wtedy małym chłopcem, a ja woziałam go w wózku po naszym sadzie. Był ślicznym dzieckiem z kręconymi włosami.

Phoebe podeszła do matki, chwyciła ją za rękę i spojrzała w oczy.

– Przykro mi, mammo. Nie wiedziałam. Przepraszam.

– Już dobrze, moja droga – odparła Eleonora, lecz nie odwróciła się.

Morgana trzymała rękę na jej ramieniu i czuła, jak matka drży. Eleonora wyszła z pokoju Morgany bez słowa i przeszła przez biało-zielony korytarz. Przez moment, w świetle padającym z okien umieszczonych nad schodami, widać było jej lśniąco włosy. Phoebe zrobiła głupią minę i powiedziała do Morgany:

– Zastanawiam się, jak to się stało? Nie wiedziałam, że mama знаła kogoś z Wentworthów. Zawsze myślałam, że uważa, iż zadzierają nosa. Pamiętasz, jak mówiła, że pani Wentworth wygląda jak Fred Allen w sukni?

Morgana stała zamyślona w drzwiach, podczas gdy Lukia kończyła upinanie sukni.

– Może mama za bardzo się przejęła. Wiesz, jaka była na tym przyjęciu zorganizowanym dla Astinów. A dzisiaj mówiła mi, że czuje się staro. Jak by nie było ma czterdzieści trzy lata. Może ta wiadomość o Robercie przypomniała jej czasy, kiedy była znacznie młodsza...

– Ona jest nadal zbyt młoda, żeby się zmieniać – powiedziała Phoebe, podnosząc zdjęcie Johna, oprawione w bambusową ramkę. Zrobiono je zeszłego lata w Porcie Bailey, na ich jachcie. – Wiesz co, nigdy nie zauważyłam tego śladu na jego szyi.

– To nie jest jakiś tam ślad, tylko pieprzyk.

– Lee, nie cierpię facetów z pieprzykami. Pamiętasz Cheta Marshalla? Miał tyle pieprzyków, że ludzie brali go za ciastko z makiem.



Lukia spytała spokojnie:

– Czy mogłaby panienka zdjąć sukienkę?

Morgana ostrożnie rozpięła kreację Diora i zdjęła ją. Pod spodem miała biały, sznurowany gorset i białe, jedwabne majtki. Podeszła do toaletki w stylu rokoko, pomalowanej na kremowo i ozdobionej złotymi zakrętasami. Usiadła na krzeselku nakrytym plisowaną narzutą i kończyła makijaż. Phoebe obserwowała ją.

– Uważa się, że zrobił to celowo – powiedziała Phoebe, mając na myśli Roberta Wentwortha.

– Popęłił samobójstwo.

Morgana pudrowała nos wielkim jak chryzantema puszkciem.

– Mówili dlaczego?

– Nieee, ale z tego co mówiła Marissa, prowadził hulaszczy tryb życia. Hazard, alkohol, orgie seksualne i narkotyki. Nie wspominając już o głosowaniu na republikanów.

Morgana zdecydowanie wyrwała z brwi jeden wystający włos.

– Wiesz co, Phoebe, jesteś cholernie cyniczna, aż za bardzo. Pewnie utopił się z miłości.

Phoebe usadowiła się na łóżku Morgany, przyjmując pozycję Marleny Dietrich, i puszczała dym z papierosa.

– Z miłości? Miłość nie jest wystarczającym powodem, żeby się utopić. Szczególnie w dzisiejszych czasach. Czasami miłość nie jest nawet tego warta, żeby o niej mówić. – Zamilkła, aby znowu wypuścić dym. – Jak by nie było to straszna tragedia – dodała.

Morgana spojrzała na nią w lustrze.

– Chyba powinnaś się ubrać?

– Też tak sędzę – zgodziła się Phoebe. – Nie masz chyba nic przeciwko temu, że założę tę różową suknię bez ramion? Jeśli mam grać rolę słodkiej, małej siostrzyczki, to będzie akurat, nie sądzisz?

– Przyjdzie Bradley? – spytała Morgana, ignorując kpiny siostry. Nie była pewna, czy ma pomalować oczy turkusowym cieniem.

– Mam nadzieję, że nie. Powiedziałam mu, że jestem chora. Zaprosiłam Donalda Crittendena, jeśli o to ci chodzi.

– A co będzie, jeśli jednak Bradley się pojawi? – chciała wiedzieć Morgana.

Phoebe, choć spotykała się z Bradleyem od siedmiu miesięcy, nie przestała umawiać się z innymi mężczyznami, czasem potajemnie, czasem nie. Bradley był najmłodszym z rodziny Skokie Clarke. Rodzina ta zaprzyjaźniona była z rodziną Croft Tate. Zbiła fortunę na przetwarzaniu wołowiny zwanej *Ham-I-Yam*. Sam Bradley był przystojny, sympatyczny i czasami zabawny na swój studencki sposób. Niestety jego uszy były stanowczo za duże, a do tego, gdy się denerwował, przybierały kolor jego *Ham-I-Yam*.

Phoebe spotykała się z nim z kilku powodów. Był bardzo bogaty, zawsze na wezwanie, nie

zadawał pytań i angażował się w sprawy łóżkowe zawsze, gdy mu na to pozwalała. Poza tym trzymała go w rezerwie, jako znośnego kandydata, na wypadek gdyby musiała szybko wyjść za mąż. Zbyt często widywała dziewczyny z wyższych sfer, które szybko się wypalały – alkohol, skrobanki, wypadki, fatalne romanse. Ona zaś chciała być pewna, że to, co przytrafiło się im, nie przytrafi się jej. Te dziewczyny szły w odstawkę, rozgoryczone i zmizerniałe, zanim nadszedł ich właściwy czas. W najlepszym razie wychodziły za mąż za jakiegoś bydlaka ze średniej klasy, który obrażał ich przyjaciół, często zmieniał pracę, nie potrafił spokojnie grać w karty, pił i bił je.

Natomiast Donald Crittenden był niebezpiecznym facetem. Żonaty, atrakcyjny, doświadczony, jeden z najbardziej kontrowersyjnych managerów filmowych od czasów Monty Wooleya. Był starszy od Phoebe o piętnaście lat. Spotykała się z Donaldem od dwóch tygodni, podczas gdy pani Crittenden (Joan dla przyjaciół, „Pułapka” dla męża) odwiedzała w Savannah chorą na epilepsję – siostrę. Przez jedenaście z czternastu nocy podczas tych dwóch tygodni Phoebe nie wracała do domu. Pojawiała się na śniadaniu we wczorajszej sukni, z bladymi ustami i podkrążonymi oczami.

– Jeśli Bradley przyjdzie, mogą to załatwić między sobą – odpowiedziała. – Uwielbiam, jak ktoś się o mnie bije. Pamiętasz tych bliźniaków, Kellermanów? Omal się nie pozabijali, zanim zdecydowali, który zabierze mnie na karuzelę.

– Założmy, że będą walczyć i Donald wygra? – spytała Morgana. Odwróciła się i kokieteryjnie uśmiechnęła do siostry.

– Nie będą – odparła Phoebe. – A gdyby wygrał Bradley, to przeprosi Donalda i zaproponuje mu tuzin skrzynek swojej szynki.

– Czy nie masz zamiaru się ubrać? – spytała rozbawiona Morgana.

– No cóż, myślę, że powinnam. Nie masz nic przeciwko tej różowej sukni?

– Jeśli naprawdę chcesz zadzierać nosa w moje dwudzieste pierwsze urodziny, to proszę bardzo.

Phoebe podeszła i zarzuciła jej ręce na szyję.

– Wiesz, że nie chcę cię denerwować. Jesteś zbyt PIĘKNA, zbyt MĄDRA, zbyt OPANOWANA.

Obie usłyszały muzykę dochodzącą z ogrodu – *Boogie Bop Blue* Duke’a Ellingtona i *You Are An Old Antidisestablishmentarianismist*.

– O! John przygotowuje się do występu – powiedziała Phoebe. – Wydaje mu się chyba, że jest Alfredem Drake.

Pocałowała Morgana w czoło, czule ją uścisnęła i powiedziała:

– Szczęśliwego wejścia w dorosłe życie, siostrzyczko!

A potem wyszła machając długą cygarniczką, podskakując i śpiewając *Boogie Bop Blue*.

## 2

Lukia szybko wróciła, niosąc starannie przełożoną przez ramię biało-czarną sukienkę od Diora.

– Powinna być teraz w sam raz, panienko. Zebrałam w pasie tylko kilka centymetrów.

Morgana wstała i ostrożnie nałożyła sukienkę, jakby zanurzała się w chmurkę. Upewniła się jeszcze tylko, czy nie pobrudziła pudrem białego kołnierzyka, a potem starannie poprawiła sukienkę. Lukia zaczęła ją zapinać, a Morgana z zakłopotaniem spoglądała w lustro i próbowała zdecydować, czy nadal wisi smętnie, czy już nie.

– No, nie wiem – powiedziała zakłopotana. – Być może jestem za chuda do tej sukni. Jak myślisz?

– Panienko, ani w pasie, ani w biodrach nie można jej już zmniejszać. Teraz jest idealnie. Pasuje jak ulał. Wygląda panienka jak marzenie.

– Jak marzenie? Gorzej będzie jak się ocknę.

– To te morele, które panienka je – strofowała ją Lukia.

– Lukio, suszone morele są bardzo dobre. Powinnaś sama spróbować. To wspaniałe źródło naturalnego cukru.

– Ale żeby być aż takim chudzielcem! Czy panienka myśli, że panu Birminghamowi będzie się to podobało? Taki „szkieletończyk”?

W rodzinie Croft Tate na szkielet mówiło się szkieletończyk od czasu, gdy Eleonora (na jachcie, przed wojną) podarła z irytacją krzyżówkę zamieszczoną w chicagowskiej „Star” i powiedziała Howardowi, że odpowiedzi są absurdalne.

– Słyszałam już o małpiatce, ale szkieletończyk to coś nowego! Co to w ogóle oznacza? – denerwowała się.

Nagle ktoś zapukał w charakterystyczny sposób (jak listonosz) do drzwi. To mógł być tylko ojciec. Howard uważał, że mężczyzna mieszkający pod jednym dachem z kobietami, musi mieć swój kod, aby dostać się do ich prywatnych buduarów. W ten sposób zdawał się męczennikiem zniewolonym przez płęć własnych dzieci.

– Chciałbym porozmawiać z moimi gwiazdami, ale one rozmawiają tylko o biustonoszach, czyli jestem przegłosowany 3:1. Wydaje mi się, że obecnie wiem więcej o Didos niż o piłce nożnej. – Nagle dodał swoim chrapliwym głosem: – Czy wszyscy są już odziani przyzwoicie?

– Jestem ubrana, jeżeli to masz na myśli – odpowiedziała Morgana.

Ojciec zajrzał przez drzwi z wyrazem dezaprobaty. W rękach trzymał ogromny bukiet świeżych, różowych róż.

– To nie ode mnie – poinformował ją natychmiast. – To od Erniego. Nie da rady przyjść, ale

przesyła wyrazy szacunku.

Morgana wzięła róże i tak mocno wdychała ich zapach, że aż prawie ją zemdlilo.

– Są precudowne! – powiedziała. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się do ojca i powiedziała:

– Ale nie tylko po to tu przyszedłeś?

– Tak... – przyznał ojciec.

– Lukia – powiedziała Morgana – poproś Minnie, aby włożyła róże do wody. I niech nie zapomni rozbić lodyg. I przypomnij jej, aby dodała łyżeczkę cukru. I niech je koniecznie skropi, zanim włoży do wazonu.

Howard wszedł do sypialni i przeszedł na palcach, prawie jak Fred Astair, po białym dywanie. Spojrzał z podziwem na starszą córkę.

– A więc minęło już dwadzieścia jeden lat – powiedział. – Jak ci się podoba sukienka? – zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie, bo według niego suknia, która kosztowała go tyle wysiłku i pieniędzy, musiała się jej podobać.

– Jest śliczna, ale czy nie jestem zbyt chuda do niej? Ojciec dziwnie chrząknął. Mogło to oznaczać: „tak, jesteś” lub też: „nie, nie jesteś”, ewentualnie: „Dziewczyny, chciałbym wiedzieć, o co u diabła wam chodzi?” Powiedział tylko:

– O to się nie martw. Nawet jeżeli jesteś, to o drugiej po południu nie będziesz. Powinnaś zobaczyć jedzenie: świeży łosoś, młode prosięta, najlepsze żeberka, homary – trudno to wszystko zliczyć. Można przybrać na wadze od samego patrzenia.

– Tatku, chcesz mnie utuczyć – powiedziała Morgana.

– A pewnie. Kto chciałby mieć wykastrowaną córkę?

– Chyba wychudzoną?

Teraz upinała włosy. Wcale nie chciała go poprawiać, ale w odróżnieniu od ojca mówiła doskonałą angielszczyzną i zawsze mimowolnie zwracała mu uwagę.

– Oczywiście, że wychudzoną. Przecież to powiedziałem – odpowiedział zirytowany jej ciągłymi poprawkami, ale nie był obrażony. – Jak by nie było, życie jest zbyt krótkie, żeby cię nie rozpieszczać. A co mam robić? Zmniejszyć ci kieszonkowe do pięciu dolarów i kazać jeździć miejskimi środkami komunikacji? A co się dzieje z matką?

– Z matką? Dlaczego?

Ojciec wzruszył ramionami, przechylił się na bok, żeby widzieć swoje odbicie w lustrze, i poprawił krawat.

– Zabarykadowała się w swojej garderobie i tyle. Przyszedłem poprosić ją, aby przyłączyła się do nas na lampkę szampana. I co usłyszałem? Ciszę. Oto co usłyszałem. Pukałem, wołałem, ale ona nie odpowiadała – skarżył się Howard, a potem dodał: – Wiesz, co to znaczy, jak nie odpowiada, prawda? Ścisła tajemnica i pełne milczenie, ot co. Tylko nie mam pojęcia, dlaczego akurat w twoje urodziny.

Przyciągnął fotel wyściełany jedwabiem i ciężko usiadł. Był wysokim, masywnie zbudowanym mężczyzną, więc krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem. Miał na sobie gołębioszara marynarkę, spodnie w paski i ciemnoszara kamizelkę ze złotymi guzikami. Zawsze był dobrze ubrany, ale tego dnia wyglądał wyjątkowo. Miał gładko zaczesane, wybrylantynowane włosy, a fryzjer golił go dwa razy.

Eleonora często mówiła, że Morgana i ojciec są uderzająco podobni, ale Morgana nie dostrzegала tego podobieństwa. Ojciec zdawał się barczystym gigantem. Miał potężne dłonie, dużą głowę, szerokie czoło porane głębokimi zmarszczkami, gęste brwi i głęboko osadzone oczy.

Być może podobieństwo Morgany i ojca było związane z kształtem ust: wyrażały jakby słabość lub uległość. Ale wojowanie z codziennością zmarszczyło usta Howarda tak jak Rockiemu Graziano. Miał zaskakujące poczucie humoru i rzadko bywał złośliwy, ale walczył od pięćdziesięciu dwóch lat, czyli od dnia kiedy się urodził, i nie miał zamiaru rezygnować.

Obserwował, jak Morgana upina włosy, a potem rozejrzał się po kremowej sypialni. Rzucił okiem na plisowane narzuty i oprawione na różowo obrazki pasterek pasących swoje stada. Howard rzadko przychodził na górę, bo było to terytorium kobiet. Rzadko również rozmawiał z Morgana o czymś innym niż o sobie lub interesach. Jeżeli chciał rozmawiać o sprawach osobistych, rozmowa taka zawsze wydawała się Morganie sztuczna i sztywna. Czasami miała wrażenie, że na zlecenie ojca któryś z czołowych redaktorów „Star” przygotował wcześniej całą formułę, a on nauczył się tego na pamięć, jadąc limuzyną do domu. Morgana wiedziała, że trudno mu rozmawiać o sprawach rodzinnych, i rozumiała to. Jak by nie było popełniła podwójną zbrodnię: urodziła się dziewczyną i świeciła przykładem w szkole. Ojciec Howarda, chociaż był bogaty, nie posłał go do college’u. Od razu ubrany został w nowiutki fartuch drukarza i zaczął pracę w „Star”, a było to w dniu jego piętnastych urodzin. W związku z tym Howard posiadał gruntowną wiedzę na temat sensacji XX wieku na Środkowym Zachodzie. Nie tylko nabywał ją we fragmentach, tak jak ukazywały się codzienne wydania gazety, ale również od tyłu i do góry nogami. Wszystko dlatego, że jego zadanie polegało na liczeniu linijek na świeżo odbitych arkuszach, zanim składano je w całość i oddawano do druku.

Wiedział wszystko o prezydencie Hardingu, skandalu Teapot Dome, „zielonym Johnie” Coughlinie i całej pierwszej gildii chicagowskich bandytów. Mógł godzinami opowiadać o dawnych czasach, kiedy to rządowi inspektorzy zdrowia brali łapówki w rzeźniach i zeznawali, że wołowina zarażona ziarniakiem lub świnie zdychające na cholere są zdatne do spożycia. Nie zauważali również zatrutych szczurów, które były wrzucane do maszyn i mielone razem z wieprzowiną.

Jego jedyna próba samokształcenia ograniczała się do czytania prac Longfellowa i cytowania fragmentów *Hiawath*. To żalosne ograniczenie znajomości sztuki, nauk ścisłych i polityki było

jego największym utrapieniem, tym większym, że nie mógł się tym podzielić z nikim, nawet z Eleonorą. Prawdopodobnie mógłby o tym porozmawiać z synem, ale z Morganą nie potrafił.

Alexander Woolcott miał podobno powiedzieć o Howardzie:

– On zna tylko trzy pytania: Czy są sławni? Czy byli nago? Czy podniosą nakład?

Morgana po raz ostami spojrzała krytycznie w lustro i stwierdziła, że jest gotowa.

– Nie sądzę, żeby mamcia była o coś zła, tatku.

– Czyżby? – spytał. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął cygaro partagas numer 4 i ssał jego koniec.

– Usłyszała o śmierci Roberta Wentwortha, zdenerwowała się i tyle. Przecież znali się od dawna.

– Tak, wiem. Stary Wentworth był przyjacielem ojca twojej matki. Mama i Robert stanowili zgraną parę łobuziaków. Cy Wentworth zbił fortunę na lewych kontraktach na układanie chodników. Następnym razem, jeżeli zobaczysz źle położone płyty chodnikowe, będziesz wiedziała kogo winić. A i tatuś twojej mamy nie był święty.

Morgana powiedziała:

– Daj mamci trochę czasu. Musi się z tym uporać. Wiesz, jaka ona jest.

– Jasne, jest bardzo uczuciowa, podobnie jak większość ludzi, którzy mnie otaczają. Czasami mam wrażenie, że gram w jakimś hollywoodzkim filmie – *Blanche Fury* czy coś w tym rodzaju.

– Podobał mi się ten film. Nawet płakałam.

– No i znowu zaczynasz. Ciągle muszę to znosić. Morgana nachyliła się nad ojcem i pocałowała błyszczący, dwa razy ogolony policzek, a on jak zwykle nie wiedział, jak reagować na jej czułości. Nerwowym ruchem poprawił kołnierzyk i chrząknął kilka razy.

– Nie dokuczaj mi z tego powodu, dobrze? – poprosiła. Howard zrobił dziwną minę: zdziwioną, obrażoną i jednocześnie zakłopotaną. Wyglądał jak facet z reklamy telewizyjnej.

– Dobrze. I tak bym tego nie zrobił. Czy myślisz, że jestem z kamienia? Chociaż Robert Wentworth nie był wart złamanego szeląga. Gdyby Cy ciągle nie wygrywał i nie jadał obiadów z komisarzami policji, to Roberta oskarżono by o więcej wykroczeń niż dni w roku. Robert kosztował ojca fortunę. Pamiętasz, jak prowadził samochód po pijanemu i zabił tę dziewczynkę? To kosztowało Cy’ a dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Nie wiedziałam o tym – powiedziała Morgana zdziwiona. – Pamiętam tylko nagłówek: „Zrozpaczona matka wybacza pijanemu dziedzicowi śmierć swojej jedynej córki”.

Howard odparł:

– I właśnie tak było, tylko że Cy poprosił, aby nie wspominać nic o rozliczeniu. Matka rzeczywiście mu wybaczyła – bo kto by nie wybaczył za taką sumkę. Larry Harmanowi powiedziała, że jest bardziej zadowolona z futra z norek, niż ze swojej córki. Przecież futra nie trzeba karmić i posyłać do szkoły, prawda?

– Chyba żartujesz?

– Dlaczego? – odpowiedział niewinnie rozkładając ręce. – Taki jest sens życia: życie, śmierć i pieniądze w banku.

– Chyba nie przyszedłeś opowiadać mi o życiu, śmierci i pieniądzach w banku?

– Masz rację. Przyszedłem dowiedzieć się co z matką i zapytać, czy zejdiesz na kieliszek szampana.

– Nic poza tym? – nalegała Morgana. Ojciec nie wygłosił jeszcze mowy, więc nie mogła uwierzyć, że fatygował się do niej tylko po to, aby zadać dwa głupie pytania i zobaczyć jej nową suknię.

– No cóż, to twoje dwudzieste pierwsze urodziny – zaczął ojciec. – Stajesz się dorosłą kobietą. Możesz głosować, albo poślubić jakiegoś prostaka, nie prosząc o moją zgodę.

– John nie jest prostakiem.

– Nie to miałem na myśli. Faktycznie, jest najlepszym kandydatem, jakiego kiedykolwiek przyprowadziłeś do domu. Przynajmniej jego rodzina jest zamożna, a on nie żuje tytoniu – zaśmiał się z własnego dowcipu.

Morgana usiadła na łóżku, blisko ojca.

– No więc, co chciałeś mi powiedzieć?

Howard wziął głęboki oddech. Spojrzał na ręce, które cały czas zacierał podczas mówienia.

– Zaczniemy tak: nie można powiedzieć, że byliśmy sobie szczególnie bliscy, kiedy dorastałaś, prawda? Może tak się zdarza w większości rodzin? A może tak jest tylko między nami? Wiem, że czasami jestem rozdrażniony albo tracę zdrowy rozsądek, ale niestety taki już jestem. Ja wiem o tym i ty też. Być może czasami zbyt wiele oczekiwałem od mojej rodziny i nie udało mi się tego w pełni uzyskać. Mówiąc szczerze, chodzi o syna. Syna, który przejąłby po mnie imperium Croft Tate. Cały czas oszukiwałem siebie, a co gorsza oszukiwałem również ciebie i udawałem, że nie jestem rozczarowany.

– Nie martw się, tatku – powiedziała Morgana. – Twoje rozczarowanie stało się widoczne, kiedy miałam trzy lata i okazało się, że nie będę grać z tobą w baseball.

Howard spojrział ze smutkiem na córkę swoimi ciemnymi oczami.

– Jeśli tak było, to bardzo mi przykro.

– Wiesz, że tak było – powiedziała łagodnie. – Rzecz w tym, że mi to nie przeszkadza i nie ma dla mnie znaczenia. Prawdopodobnie czułabym to samo na twoim miejscu.

– Oszukujesz mnie czasami – powiedział Howard uśmiechając się.

– Ale ty masz nade mną przewagę – odpowiedziała. – Oszukujesz mnie cały czas.

Położyła dłoń na jego ręce. Na palcu jaśniał pierścionek z sześcioma brylantami. Środkowy, czystej wody, bez skazy miał dwadzieścia dwa karaty i wart był ćwierć miliona dolarów. Był to urodzinowy prezent od rodziców; do tego dochodził nowiutki samochód dodge wayfarer

w kolorze strażackiej czerwieni, zaparkowany przed domem.

– No, kontynuuj – przymilała się Morgana. Zdawało się jej, że ojciec stracił wątek, albo rzeczywiście go zasmuciła.

Poklepał jej rękę. Spojrzał na nią i próbował się uśmiechnąć. Nie wyszło mu to zbyt dobrze, ale i tak było wystarczająco wymowne.

– Chodzi o to – powiedział – że jesteś moim dzieckiem bez względu na to, czy jesteś chłopcem, czy dziewczynką, synem czy córką. Muszę przyznać, że obserwowałem cię przez ostatnich sześć miesięcy i doszedłem do wniosku, że większość cech, które ja posiadam, ty posiadasz również. Lubisz gazety i wszystko, co się z nimi wiąże: napięcie, pośpiech, władzę polityczną, skupienie uwagi trzech milionów ludzi na tym, co chcesz im powiedzieć. A poza tym masz zamiłowanie do dzwoniących telefonów, stukających maszyn do pisania i wertowania gazet w atmosferze trzęsienia ziemi. Kochasz to wszystko i chcesz, żeby tak było przez siedem dni w tygodniu i trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku.

Morgana nigdy nie słyszała, żeby ojciec mówił coś takiego, i dlatego nie wiedziała, co ma powiedzieć. Wiedziała, że to, co powiedział, nie przyszło mu łatwo ani jako ojcu, ani jako człowiekowi interesu. Dlatego starała się być otwarta na to, co mówił.

Ojciec bezmyślnie bawił się pierścionkiem, przekręcając go z jednej strony na drugą i obserwując skaczące białe – niebieskie iskierki.

– Rozmawiałem z mamą o odpowiednim prezencie na twoje urodziny. Nie o biżuterii, samochodach czy sukienkach, ale o czymś z przyszłością, tak żebyś mogła coś na tym zbudować. No i pomyśleliśmy o „Star”. Wiem, jak wiele czasu spędzasz w biurze, na rozmowach z Grantem i całą resztą. Wiem, że lubisz tam długo przesiadywać. W twoich żyłach płynie chyba farba drukarska, co? To tak jak w moich. Twój dziadek wiozł drukarkę ze sobą przez równiny na zniszczonym wózku. Kiedy umarł, ja przejąłem „Star” oraz „Nightly News” i rozbudowałem je. A kiedy ja umrę, przyjdzie kolej na ciebie.

– Tatku, to są moje urodziny. Nie mówmy o śmierci.

– Kochanie, to odpowiedni moment. Urodziny oznaczają, że jest się o rok starszym. Myślę, że jesteś wystarczająco dorosła, żeby pomyśleć o „Star”.

Morgana spoglądała na ojca przez dłuższy czas, potem delikatnie wysunęła dłoń z jego ręki i wstała. Obserwował jej wysoką i smukłą sylwetkę, gdy zmierzała w stronę lustra. Była piękna. Na jej piękno składało się 85% urody i 15% zamożności. Oczy miała zbyt głęboko osadzone, a kości policzkowe za bardzo wystające, ale fryzura i makijaż maskowały wszystkie wady. Tylko rodzina wiedziała, jak wygląda, gdy nie jest umalowana lub gdy jest zła.

Stała, wpatrując się w lustrzane odbicie ojca. Miała wrażenie, że to odbicie zdradzi jej, czy mówił prawdę, czy nie. Twarz może kryć pewne rzeczy, ale jej odbicie temu nie poddała. Rozumiał jej zachowanie, bo sam wierzył, że prawda jest w lustrzanym odbiciu: adwarp.



Howard wstał i położył rękę na ramieniu córki.

– Kiedy w końcu ubiorą mnie w czarny garnitur, „Star” będzie twój. Nie jego część, ale całość. To jest mój prezent. Mój prawdziwy prezent na twoje dwudzieste pierwsze urodziny. Oficjalne dokumenty powinny być gotowe w poniedziałek, a w połowie tygodnia będziesz mogła je podpisać – przerwał na chwilę, a potem dodał: – Oczywiście będziesz miała swoje udziały wszędzie: prowincjonalne gazety, magazyny, stacja radiowa, ale „Star” będzie całkowicie twoja. A z tego, co mówi o tobie Grant Clifford, wiem, że nie zawiedziesz ani mnie, ani gazety.

Morgana odwróciła się. W oczach ojca pojawiły się nagle łzy, które wyglądały jak dwa szklane paciorki. Rozumiała doskonale jego gest: nie był w stanie ofiarować jej swojego serca, więc w zamian dał jej najcenniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek posiadał – swoją gazetę. Trzydziestosześcioletni budynek, stu dziesięciu pracowników i dziewięćset trzydzieści pięć tysięcy egzemplarzy dziennie. W tym momencie rozumiała, że się myliła. Rozumiała, że mimo iż jest kobietą, ojciec kochają na swój sposób.

Właściwie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie była zaskoczona wielkością tego, co jej zapisał, ale faktem, że wyznał jej swoje uczucia.

– „Świętując, magnat prasowy szlocha na urodzinach córki” – powiedziała łagodnie.

– Cóż jeszcze mogę dodać? – spytał ojciec chrapliwym głosem. – Chcesz, żebym coś jeszcze powiedział?

– Nie – wyszeptała. Otworzyła ramiona i mocno się do siebie przytulili. Stali tak długo, aby zachować te cenne chwile. Czują zapach tytoniu i angielskiej wody kolońskiej. Czują również na ramieniu jego oddech.

– Dziękuję, tatusiu.

Howard patrzył na nią oczami przepelnionymi uczuciem. Nie próbował mówić, jak bardzo ją kocha i że przeprasza za dwadzieścia jeden lat nieudanego ojcostwa. W końcu puścił ją.

– Może chciałabyś szampana? – spytał niepewnie. – Ktoś musi go wypić.

– Kochani i mniej kochani? Nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Tak, kochani i mniej kochani.

Złożyła ręce jak do modlitwy i powiedziała cichym głosem:

– Nigdy nie będę w stanie ci podziękować. Chcę, żebyś wiedział, że jestem tak szczęśliwa i podekscytowana, jak jeszcze nigdy w życiu. A to, co mi ofiarowałeś, sprawia, że zawsze będę szczęśliwa.

Howard poczuł się zakłopotany.

– Chodźmy na dół i napijmy się szampana – nalegał. – To twoje urodziny.

Z dołu dobiegał wesoły śpiew Johna:

Coca – Cola to jest to!

Jedna puszka – pełen szok!

Coca – Cola to twój trunek!

Kup! – To niezbędny pakunek!

### 3

Pół tuzina butelek Dom Perignona '34 zostało otwartych w małym saloniku. Był to wstęp do przyjęcia, które miało stać się przebojem sezonu.

Howard stał obok kominka pod portretem swego ojca, Gordona Croft Tate, którego oblicze przypominało księżyc w pełni. Był on twórcą imperium gazetowego Croft Tate. Howard wzniosł krótki, pogodny toast za zdrowie swojej pierworodnej córki. Rodzina zawtórowała i wołała: „Za zdrowie Morgany! Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!”

Phoebe pilnie zajmowała się wszystkimi.

– Na miłość boską, niech ktoś pójdzie po Johna! A gdzie jest mama? Czemu jeszcze nie zeszła? Tato, przyprowadź mamę!

W tym momencie przyszedł kuzyn Artur, ubrany w zielony garnitur. Chwycił Howarda za ramię i potrząsnął nim tak, jakby sprawdzał, czy jest jeszcze w całości.

– Co powiesz, Howardzie?

Howard chwycił jego rękę.

– Witaj, Arturze! Co powiem o czym?

– Chodź na chwilę. Mnie nie oszukasz – mrugnął do niego Artur. – Docierają do ciebie pocztą pantoflową wszystkie plotki, nawet te zza zamkniętych drzwi. Czy Barkley ma zamiar poślubić tę wdowę, czy nie? Jak sądzisz?

– Myślę, że będzie to z korzyścią dla niego, jeśli tak zrobi – wtrąciła ciotka Morgany, Mimi. Miała siedemdziesiąt dziewięć lat i była zapaloną zwolenniczką dojrzałej miłości. Sama ponownie wyszła za mąż w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat i teraz z zapalem rozgłaszała o zalotach Alberta Barkleya, wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych i wdowy z St. Louis o nazwisku Carleton S. Hadley. Według niej, było to nie tylko do przyjęcia, ale wręcz chwalebne.

Howard odpowiedział Arturowi:

– Przykro mi, Arturze, ale wiem nie więcej niż ty. – Sucho kaszlnął na swój specyficzny sposób i dodał: – Zrobiłem błąd wygrywając ostatnio z Albenem w golfa i dlatego nie podzielił się ze mną ani odrobiną skandalicznych informacji.

Kilkudziesięciu członków bliskiej rodziny Croft Tate przepychało się nawzajem w małym saloniku. Wszyscy byli zaproszeni na najlepszego szampana.

Za oknami dzień był wilgotny i pochmurny, a światło wpadające przez nieskazitelnie czyste szyby było ponure i szare. Rodzina paliła, piła i gadała jeden przez drugiego. Nikt z nich nie był tak bogaty i potężny jak Howard. Każdy był tego świadomy. Jednocześnie wszyscy byli zadowoleni, że mogą być na tym wspaniałym przyjęciu.

Na środku saloniku stał siedemnastowieczny, sześciokątny stół, na którym umieszczono

ogromną, porcelanową wazę wypełnioną przepięknym białym i różowym groszkiem pachnącym. Lokaje dyskretnie napełniali kieliszki, a ich wybrylantowane włosy przeblyskiwały przez dym papierosowy. Wszędzie było widać blask srebrnej zastawy, połysk śnieżnobiałych zębów i brylantowych pierścionków.

Morgana uśmiechała się z dystansem do wujostwa, ciotek, kuzynów i przyjaciół rodziny. Podeszła do okna i stała przez moment sama, patrząc na East Lawn. Na trawniku rozstawiono sześć falujących namiotów, wykonanych z przepięknego płótna wykończonego pomalowanymi na złoto blantami. Dodatkowe wrażenie robiły powiewające na wietrze sztandary – namioty wyglądały iście królewsko.

Pod osłoną posępnego nieba orkiestra grała *Wunderbar*, a z daleka widać było gruby brzuch wujka Morgany, Leonarda, kołyszący się w rytm perkusji. Powietrze naelektryzowane było podnieceniem. W atmosferze wisiała burza. Słychać było salwy śmiechu, jak gdyby wszyscy śmiali się z tej samej rzeczy w tym samym czasie.

Do Morgany zbliżała się kuzynka Stefania ubrana w krzykliwą, turkusową sukienkę do pół łydki, udrapowaną z przodu i wyhaftowaną złotymi cekinami w kształcie skrzydła orła. Była najmłodszą i bezspornie najbrzydszą córką wuja Leonarda. Sztywne jak druty włosy odziedziczyła po matce, a nos po kimś semickiego pochodzenia, o kim wszyscy woleli zapomnieć.

– No, no. I jakie to uczucie, gdy ma się dwadzieścia jeden lat? – spytała Stefania. – Domyślam się, że na pewno czujesz się staro.

– Tak, staro – zgodziła się Morgana. – Ale również mądrzej, zdecydowanie mądrzej.

Stefania ogarnęła teatralnym, badawczym wzrokiem cały trawnik.

– Ale przyjęcie! – powiedziała. – Czy nie czujesz się zagubiona?

– Tata lubi się pokazać – odpowiedziała Morgana. – To zarówno jego, jak i moje przyjęcie.

– Jak zwykle, kochanie – Stefania zniżyła głos. – Koszty musiały być zabójcze?

Morgana wzruszyła ramionami. Była dzisiaj zbyt szczęśliwa, aby Stefania mogła ją rozzłościć swoimi zazdrośnymi zaczepkami – Stefania zawsze próbowała wtykać szpilki. Mieszkała w Forest Park i nienawidziła tego.

– Nie sądzisz chyba, że martwimy się o koszty. Wystarczy, że tata dobrze się bawi, a reszta ma pod dostatkiem szampana.

– O, przepraszam – odwzajemniła Stefania. – Uważam, że to trochę nie na miejscu, zwłaszcza teraz, kiedy „Star” prowadzi zbiórkę dla ludzi z Europy pozbawionych wszelkich środków do życia. Spójrz tylko na to wszystko i pomyśl o nich.

– Uważasz, że tatuś powinien ich tu wszystkich zaprosić? Stefania zaśmiała się wyniośle – jej śmiech przypominał rzenie konia.

– Czy to prawda, co mówią o potentatach prasowych – że wszyscy są cyniczni?

– To pytanie, czy może uwaga?

– Ani jedno, ani drugie, moja droga – powiedziała Stefania. – Zwykle potwierdzenie obiegowej opinii.

Morgana wpatrywała się w Stefanię i czuła, jak wzrasta w niej złość. Mogła z łatwością poprosić o podanie wody do chłodzenia szampana i wylać ją na „cudowną” fryzurę Stefanii. Zamiast tego uśmiechnęła się ironicznie, nagle klasnęła w ręce i zawołała:

– Proszę wszystkich o uwagę! – i klasnęła jeszcze raz.

Czterdzieści twarzy zwróciło się w jej stronę, wszystkie zaciekawione i zaróżowione pod wpływem wypitego szampana. Morgana poczekała, aż się uspokoją, po czym wzięła kuzynkę Stefanię pod rękę, uśmiechnęła się do niej i oznajmiła:

– Stefania ma wspaniały pomysł. Jest bardzo mocno zaniepokojona, że mamy dzisiaj tak wystawne przyjęcie, podczas gdy miliony ludzi w Europie głodują. Postanowiła oddać swoją nową sukienkę na rzecz Funduszu Pomocy Europie organizowanego przez „Star”. Ja również mam zamiar oddać swoją. Czyż gest Stefanii nie jest wspaniały? Sądzę, że wszyscy powinniśmy wznieść toast na cześć jej dobroczynnego daru.

Stefania z furią ścisnęła rękę Morgany. Wszyscy obecni odstawili kieliszki i zaklaskali. Tylko matka Stefanii, czujna i zawsze ponura ciotka Beatrice zdawała sobie sprawę z tego, że to pomysł Morgany. Wyglądała jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem lub złością. Morgana nie miała żadnych wątpliwości, że na pewno powie ojcu parę suchych, pełnych złości słów.

W tym właśnie momencie wszedł chłopak Morgany, John Birmingham Junior. Ubrany w krzykliwy, kraciasty garnitur i kraciastą muszkę, wycierał twarz jasnozieloną chusteczką, jakiej używają muzycy jazzowi do przewiązywania głowy lub wycierania ustników od trąbek.

– O co chodzi? O co chodzi? – koniecznie chciał wiedzieć. Na jego twarzy jaśniał szeroki uśmiech. – Czy coś opuściłem? Tak, coś przeoczyłem.

Wziął kieliszek szampana ze srebrnej tacy, którą natychmiast skierowano w jego stronę. Przepychał się, trącąc po drodze wujków i ciotki (przez moment zatańczył nawet z rozwścieczoną Stefanią). Podeszedł do Morgany, chwycił jej dłoń, pocałował ją najpierw w lewy, potem w prawy policzek, a na koniec w czubek nosa.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, najdroższa – powiedział. Włożył rękę do kieszeni i wyjął małą, płaską paczuszkę owiniętą w różowy papier i przewiązaną różową, jedwabną kokardą. – To ode mnie dla ciebie.

– Czy mogę teraz otworzyć? – spytała podniecona.

John najpierw zmarszczył brwi, mrugnął, a potem uśmiechnął się.

– Nie zapomniałeś o czymś? Gdzie twoje dobre maniery? Czyż nie powinnaś zarzucić mi rąk na szyję i powiedzieć: „Och, kochanie, nie musiałeś”. Tak robią damy w reklamach.

Morgana pocałowała go.

– Jesteś dzisiaj pierwszym, który nazwał mnie damą, a nie dziewczyną.

– Więc otwórz – ponaglał John.

Podczas gdy Morgana rozwiązywała kokardę, John powiedział:

– Jestem dobry. Słyszałaś? A ta kapela jest rewelacyjna, Wilbur T. Henry and the Marquettes. Wiesz, gdyby nie to, że studiuje prawo, to zająłbym się profesjonalnie śpiewem. Trębacz powiedział, że mam głos do śpiewania jazzu. „Panie Birmingham, – powiedział – ma pan odpowiednią barwę, wysokość i intonację głosu”.

– Może mógłbyś śpiewać w sądzie w imieniu swoich klientów – wtrąciła kuzynka Stefania, której minęły krótkotrwałe dąsy.

Wróciła, żeby sprawdzić, czy jeszcze trochę może rozdrażnić Morgane. – Twoja publiczność byłaby oczarowana.

Zgryźliwość Stefanii nie wywarła na Johnie żadnego wrażenia. Był zbyt zadowolony z siebie, aby zauważyć kogoś tak beznadziejnego i niepoprawnie rozbawionego z każdego swojego dowcipu jak Stefania. Zaśpiewał tylko do melodii pieśni Chóru Dziecięcego z IV aktu *Carmen*:

– „O błagam, najwyższy sądzie, oszczędź tego faceta. Ukradł tylko jeden milion, a tak w ogóle jest dobrym facetem – nawet kąpie się trzy razy dziennie”.

Wszyscy roześmiali się, zaklaskali i wzniesli toast, a Stefania wycofała się wzburzona, potracając po drodze dwunastoletniego kuzyna Morgany, Eddiego. Eddie powiedział:

– Uważaj, kogo szturchasz, słodziutka.

Morgana rozpakowała prezent. Wewnątrz czarnego pudełka błyszczała gwiazda (rozmiarów odznaki szeryfa) z białego złota, wysadzana brylantami. Morgana spojrzała na Johna ze zdziwieniem, a światło odbijające się od brylantów tańczyło na jej policzkach.

– Twoi rodzice poinformowali mnie, jaki ma być główny prezent dla ciebie – powiedział John. – Chciałem dać ci coś, co podkreśli tę okazję, Przyszła Posiadaczko Wydawnictwa.

Pojawiła się Phoebe żując słodzone migdały.

– „Wspaniała dziedziczka w przyjacielskim gronie palaczy” – stwierdziła, a potem skinęła głową w stronę Stefanii: – Co ją gryzie?

– Jak zwykle, to samo – powiedziała Morgana. Pokazała brylantową gwiazdę, którą dał jej John. – To wystarczy, aby była zazdrosna. Spójrz tylko na to.

– Wiesz co, mój drogi? Rozpieszczasz ją – powiedziała Phoebe do Johna.

Phoebe ubrana była w obcisłą sukienkę z odkrytymi ramionami od Charlesa Jamesa. Sukienka była jasnoróżowa, z wyciętym w trójkąt dekoltem, dużymi guzikami z przodu i cieniutkim paseczkiem. Harmonizowały z nią różowe rękawiczki i różowe delikatne buciki na wysokim obcasie.

– Hej, widzisz świat na różowo – zażartował John i cmoknął ją w czubek głowy.

– Jak się miewasz, przystojniaczkę?

– Zupełnie dobrze, złociutka – odpowiedział. Morgana wtrąciła zapobiegawczo:

– Czy Donald już się pojawił? – Wiedziała na sto procent, że John szaleje za nią, ale nie ufała Phoebe ani trochę, kiedy w grę wchodzili mężczyźni.

Phoebe uważała, że wszyscy mężczyźni są jednakowi. Innymi słowy, miała prawo flirtować z każdym z nich, niezależnie od tego czy jest żonaty czy wolny, bogaty czy biedny, czy umawia się na randki z jej starszą siostrą, czy nie. John był dla Phoebe pierwszorzędnym kąskiem. Był wysoki, muskularny, miał kręcone włosy a la Steve Canyon, potężny kark i wyraziste rysy. Jego ojcem był John P. Birmingham z Birmingham Wallis Ingate – jednej z najlepiej prosperujących firm prawniczych w Chicago. Jego dziadek pracował dla Marshall Field, w czasach, kiedy Field rozkręcał swój dział ze skarpetkami, i odtąd rodzina Birminghamów otrzymywała je gratis na każde święta Bożego Narodzenia. W 1909 ten mały podarek kosztował dziesięć dolarów i osiemdziesiąt osiem centów, a dzisiaj, w 1949 roku, pomimo deflacji – sześćdziesiąt dolarów i siedemdziesiąt dwa centy. Również dzisiaj John miał na sobie skarpetki od Marshalla Fielda – to była już tradycja.

Morgana spotykała się z Johnem od czterech miesięcy. Poznali się na wieczorku dobroczynnym na rzecz otwarcia nowego oddziału dla weteranów w szpitalu w Broadview. Wieczorek odbywał się w College Inn. Była to pierwsza ciepła majowa noc. Gwiazdy na niebie wyglądały jak rozsypany na czarnym aksamicie cukier. Vic Shoen i jego orkiestra grali *Rum and Coca Cola* i *Oh, Look At Me Now*. John tańczył z Morgana cały wieczór, nawet w czasie „odbijanego”, kiedy to odprawiał potencjalnych rywali. *Mairzy Doats* była ich piosenką – tańczyli ją, wychodząc na werandę. Teraz śpiewają ją podczas wspólnych przejażdżek.

Morgana i John kochali się dwa razy. Te dni jaśniały w pamięci Morgany jak rozświetlone słońcem witraże. Pierwszy raz na polu, podczas pikniku na wsi – świeższe grały, a pomarańczowe maki drżały na wietrze jak małe płomyki wśród traw. Drugi raz w mieszkaniu Johna, kiedy jego rodzice wyjechali do Fort Lauderdale. Było to długie, wymarzone popołudnie. Pili zimne chablis, jedli maliny i grali na fortepianie *Doin' What Comes Naturally*. I to było wszystko. Pewnego poranka, zmęczona przyjęciem, które skończyło się późną nocą, Morgana powiedziała „nie”, a John nie nalegał. Później wydawało się, że zdecydowali, nie rozmawiając nawet o tym, że poczekają do ślubu. Często się całowali i byli sobie bliscy jak kochankowie. Morgana często czuła, że gdyby John próbował jeszcze raz ją namówić, to powiedziałaaby tylko: „tak, proszę” i byłaby zadowolona. Ale na swój sposób wołała, że jest jak jest. Lubiła szacunek, jaki okazywał jej John. Uwielbiała napięcie oczekiwania na noc poślubną. Stanowili tak wspaniale dobraną parę, że nikt nie wierzył, iż mogliby się nie pobrać.

– Nie powiedziałeś jeszcze, co sądzisz o mojej nowej sukience – powiedziała ostro Morgana.

– Chciałem to zrobić, jak będziemy sami – odpowiedział John.

– To znaczy, że aż tak ci się nie podoba?

– Uwielbiam ją, głuptasku. Tylko chciałem ci to powiedzieć na osobności.

Morgana chwyciła jego rękę i ucałowała gładko ogolony policzek. Poczwała zapach aromatycznej wody toaletowej.

– Jesteś asem, mój buziaczku – powiedziała. Howard Croft Tate podszedł do nich i uściśnął dłoń Johna.

– Jak się miewasz, John? Czy dbają, abys miał co pić?

– Wszystko w porządku, proszę pana. Proszę się nie martwić. Howard zwrócił się do Morgany.

– Byłem na górze i rozmawiałem z matką. To nic takiego. Zaraz zejdzie na dół. Po prostu za bardzo się denerwuje i to wszystko. Jak zwykle przesadza z organizowaniem przyjęcia: kwiaty, namioty, dostawcy żywności. Myślę, że wiadomość o Robercie Wentworthie przepełniła czarę.

– Tak, słyszałem o nim – powiedział John. – Okropność.

– Tak, pewnie – odparł Howard, usiłując na nowo zaciągnąć się cygarem. – Ale według mnie, to był on z góry, od samego początku przekreślony. Wiesz, tak się czasami dzieje z dziećmi z dobrych domów. Już to widziałem. Zużywają całą energię na doprowadzenie się do zguby. – Odwrócił się w stronę Johna i szturchnął go lekko palcem. – A propos, młody Birmingham. Słyszałem, że masz zamiar ubiegać się o tytuł radnego w naszym mieście?

John zarumienił się trochę. Jeszcze z nikim spoza rodziny nie podzielił się wiadomością o swoich ambicjach politycznych – nawet z Morganą.

Howard zaśmiał się chrapliwie:

– Nie denerwuj się. W ostatni czwartek jadłem obiad z twoim ojcem w Chicago Club. Chciał się zorientować, czy „Star” poprze ciebie, jeśli zdecydujesz się ubiegać o to stanowisko.

– Oczywiście, że go poprzemy! – zawołała Morgana – John, nic mi nie mówiłeś. To wspaniałe!

– No cóż, jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji – powiedział. – Być może poczekam, aż skończę studia.

– Chyba masz rację – zgodził się z nim Howard. – Nawet polityk powinien wiedzieć, jak uczciwie zarabiać na życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. A jak ci idą studia?

– Prawdę mówiąc, to robię sobie przerwę na tydzień. Mam dosyć wysłuchiwanie o sprawie „Jarowski contra czysty kawałek smalcu od Durhama”.

Morgana zaśmiała się.

– Co to za sprawa?

John podniósł rękę jakby składał przysięgę w sądzie.

– Wierz mi, lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Powiedz – nalegała Morgana.



– W porządku, jak chcesz, ale nie podziękujesz mi za to. Oto sprawa: pan Jarowski, który nadzorował cysternę z wrzącą słoniną w specjalnym pomieszczeniu w fabryce Durhama, wpadł do niej i nikt tego nie zauważył. Poszukiwano go przez cztery dni, a po opróżnieniu cysterny odnaleziono jego czyściuteńkie kości. Reszta pana Jarowskiego powędrowała w świat jako oczyszczony kawałek smalcu od Durhama. Wdowa po nim pozwała do sądu fabrykę o pięć tysięcy dolarów odszkodowania i sto sześćdziesiąt trzy funty smalcu – dokładnie tyle, ile ważył jej roztopiony mąż. Powiedziała, że musi mieć co pochować.

Howard krzyknął z zadowoleniem:

– A to ci historia! Dzięki takim procesom sprzedaje się gazety. Wspaniałe!

Morgana powiedziała:

– Obrzydliwe. Nigdy już nie będę w stanie spojrzeć na smalec. Zawsze będzie mi niedobrze.

Howard położył rękę na ramieniu Johna.

– A teraz bardziej poważnie, młodzieńcze. Jeśli zdecydujesz się ubiegać o tytuł radnego, musisz się wybrać do Granta Clifforda i porozmawiać z nim. Wtedy zobaczymy, co można zrobić, żeby cię poprzeć.

– Będę popierał program partii pracy – ostrzegł John.

– Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko nie będziesz reprezentował chicagowskiej unii drukarzy – odpowiedział Howard.

– Mogę być demokratą, ale wierz mi, żaden człowiek nie jest tak straszny, tak arogancki i tak zachłanny jak drukarz. Oni kształtowali się w zamkniętym kręgu, odseparowani od reszty. Z paluchami zawsze poplamionymi farbą i z nieludzkim brakiem jakiegokolwiek lojalności.

– Jak można się domyślić – powiedziała Morgana do Johna – tata nie lubi drukarzy, a właściwie to nienawidzi ich bardziej niż Robert McCormick...

W tym momencie Morgana spojrzała na drzwi i zobaczyła, że pojawiła się matka. Był to dla niej szok. Matka wyglądała jak ciężko chora lub jakby w jednej chwili straciła wszystko, co kiedykolwiek miało dla niej jakieś znaczenie.

O godzinie jedenastej trzydzieści zaczęli przyjeżdżać pierwsi goście, a za kwadrans dwunasta ich liczba sięgała już kilkuset. Na dojeździe do Weatherwood, który miał milę długości, lśniły cadilaki, chryslery i pontiaki – pierwsze powojenne modele o opływowych kształtach, wykończone świecącym chromem. Zaproszono ponad dwa tysiące gości: bogaczy, gwiazdy filmowe, pisarzy, producentów, literatów, artystów, projektantów mody, właścicieli restauracji, komików radiowych, przemysłowców, przywódców robotniczych i polityków. Lwy spotykają się z owieczkami, a panującej tam atmosferze władzy i zamożności nikt nie zdoła się oprzeć.

Morgana i John wyszli witać przybywających gości. Było dosyć ciepło, ale wiał nieprzyjemny, wilgotny wiatr, więc Morgana założyła biały żakiet wyszywany czarnymi cekinami.

Limuzyny podjeżdżały do głównego wejścia. Drzwi samochodu otwierał odźwierny w niebiesko – białej liberii. Przyjeżdżającego

gościa eskortowano do frontowych schodów, tak aby mógł się przywitać z Howardem, a następnie przechodził do hallu, gdzie zostawiano kapelusze i płaszcze. W końcu gość przechodził do ogrodu. Wszędzie było mnóstwo kwiatów: róże, groszek pachnący i gladiole.

Morgana witała gości pod łukiem udekorowanym białymi różami. Tuż za nią stało dwóch lokajów, aby odbierać prezenty. Zanoszono je do specjalnego pomieszczenia, gdzie miały być później wystawione wraz z karteczkami opatrzonymi nazwiskami darczyńców. Howard Croft Tate dopieszczał swoje ego.

Pierwszy gość – Henry Morgan, komik radiowy, przyprowadził małą kózkę z różową kokardą na szyi.

– Ta mała „dama” jest dla ciebie, aby ci przypominać, że pomimo dorosłego wieku w głębi serca jesteś jeszcze dzieckiem.

Gil Lamb przyniósł karton belgijskich cukierków, który zaspokoiłby apetyt całej kompanii żołnierzy. Dawid Bennett – prezes koncernu perfumeryjnego Albert Verley, przyniósł pięćset zapachowych mydeł i tyle wody toaletowej, że można by w niej pływać.

Jednak nikomu nie udało się pobić prezentu przyniesionego przez Jacka L. Warnera. Ogromny niebieski karton miał prawie piętnaście stóp wysokości i dwanaście stóp szerokości. Po rozpakowaniu okazało się, że mieścił w sobie młode drzewko poziomkowe\* [\*Drzewo poziomkowe (*arbutus unedo rubra*) – rośnie w krajach basenu Morza Śródziemnego i w Irlandii. Uprawiane jako roślina dekoracyjna. Owocuje zebranymi w grona czerwonymi jagodami o smaku i zapachu poziomek.].

– Będziesz miała coś do dojadania – powiedział Jack, obejmując Morgane. – Jeśli tylko

będziesz miała ochotę, wyciągniesz rękę i sięgniesz po poziomki.

Nawet pod pochmurnym i posepnym niebem posiadłość i ogrody Weatherwood wyglądały jak rozświetlony plac wesołego miasteczka. Dom sam w sobie był amerykańską fantazją gotyku, dumą Złotego Wybrzeża. Rezydencja miała czterdzieści sypialni, ozdobiona była wieżyczkami, iglicami, kutymi z żelaza balkonami i wiatromierzami. Zaprojektowano ją w 1881 roku dla milionera z giełdy, Nathaniela Beedy. Po tragicznej śmierci młodej żony, która udławiła się ością, rzadko tam bywał i posiadłość pomału ulegała zniszczeniu. Ojciec Howarda kupił ją w 1917 roku i całkowicie wyremontował.

Weatherwood wielokrotnie określano jako architektoniczną potworność lub jako końcową stację kolejową zamaskowaną prywatnym domem. Pomimo to Morgana podziwiała ekscentryczność domu, jej matka zaś zawsze dbała, żeby wyglądał jak gniazdo rodzinne, pomimo tych ogromnych rozmiarów. Latem pokoje gościnne pełne były kwiatów, a jesienią we wszystkich kominkach płonął ogień.

Dzisiaj Weatherwood udekorowane było sztandarami, zewsząd dochodziły dźwięki muzyki i gwar wesołych rozmów. Morgana powitała Adlai Stevensona II – gubernatora stanu Illinois, który zawsze był przyjacielem rodziny. Przywitała się z Kennethem Doylem – burmistrzem Chicago, energicznym gadatliwym Irlandczykiem; z Agnes Moorehead, Benem Hechtem, senatorem Arturem Vanderbergiem, Konstancją Moore, Davem Garrowayem, Hugstonem McBainem z Marshall Field oraz zjedną z najzamożniejszych osobistości świata telewizji – Miltonem Berłem. Książę Serge Obolenski przyniósł srebrny serwis do kawioru, Weronika Lake – dwie nowoczesne lampy ze szkła, Hubert Humphrey – burmistrz Minneapolis – olejny obraz kwiatu różowego pantofelka (herbu Minneapolis), a senator Wayne Morse, którego Howard usiłował odciągnąć od partii republikańskiej, podarował Morganie figurę z brązu przedstawiającą konia z jego rodzinnych stron – Oregonu. David Selznick dał Morganie *Przeminęło z wiatrem* na taśmie 35 mm, aby mogła sobie spokojnie wyświetlać w domu.

– Czy mieliście jakieś wiadomości o Margaret? – spytała Morgana.

Ostatniej nocy Margaret Mitchell, autorkę *Przeminęło z wiatrem* potrafiła w Atlancie taksówka i pisarka odniosła poważne obrażenia.

– John mówił, że stan jest krytyczny, ale dziś ma być operowana. Modlimy się za nią. John da nam znać, jak nastąpi poprawa – powiedział David.

Następny nadjechał Johnny Weissmuller – wyglądał śmiesznie w sportowej marynarce – a po nim Garry Moore i Dorothy Fields, autorzy słów do *Annie Get Your Gun*. Potem zjawił się Salvador Dali ubrany w białą, ciągnącą się po ziemi pelerynę i biały kapelusz zrobiony z papieru. Pocałował dłoń Morgany, uklonił się i powiedział, że jako prezent urodzinowy maluje jej portret zatytułowany „Rozpryskiwanie się niewinności”, ale obraz nie jest jeszcze gotowy.

– Mnóstwo rozprysków, ale brak tytułowej niewinności – stwierdził.

Kelnerzy ubrani w niebieskie marynarki krążyli wśród tłumu z uniesionymi do góry tacami z szampanem. Orkiestra grała wiązanki z tegorocznego szlagieru – musicalu *South Pacific*. Oskar Hammerstein siedział z posępną miną na murku; popijając drinka doszedł do wniosku, że należałoby płacić odszkodowanie za słuchanie takiej muzyki.

Nie opodal stał Groucho Marx i opisywał życie w południowej dzielnicy Chicago.

– Nawet w obecnych czasach mieści się tam całkiem okazała dzielnica ruder. Większość zamożniejszych ludzi wyniosła się dalej na południe albo tutaj, na jedną z północnych ulic. Zawsze bałem się tu przychodzić, żeby przypadkowo nie wylądować w Milwaukee.

Punktualnie w samo południe, do Weatherwood przyjechał czarno-beżowy rolls-royce, z którego wysiedli król i królowa kina, Lany Olivier i Vivien Leigh. Jak tylko pojawili się we wschodnim ogrodzie, powitały ich oklaski. Olivier właśnie otrzymał Oscara za Hamleta, a Vivien zaczęła ostatni rok zdjęć do *Anny Kareniny*. Tuż za nimi szedł szofer niosący ogromną paczkę, zawiniętą w świecący złoty papier i zawiązany złotą kokardą.

Olivier ucałował Morgane, następnie odsunął ją od siebie i przyjrzał się jej uważnie. Sam wyglądał dobrze – był opalony, ale trochę zmęczony. Coś w jego oczach mówiło o problemach i rozczarowaniach, pomimo chwały minionego roku.

– No to, moja droga, jesteś już dorosła – stwierdził.

Vivien miała na sobie idealnie skrojoną szarą garsonkę i oszłamiający kapelusz z ogromnym rondem, ozdobionym wielką białą różą przypiętą z przodu i przezroczystą, białą woalką. Rozejrzała się dookoła, po czym wzięła Morgane za rękę i powiedziała:

– Nie do wiary! To przyjęcie wygląda lepiej niż Rewolucja Francuska! Spójrz tylko na tych ludzi! Jest nawet Cole i Linda. Myślałam, że jadą do Europy. I Jean Dalrymple!

Szofer głośno chrząknął. Olivier odwrócił się i wziął od niego złoty karton. Z wielką kurtuazją podał go Morganie i powiedział z czystym akcentem języka Szekspira:

– Dla najpiękniejszej córki potentata prasowego, w dowód naszej przyjaźni i szacunku.

– Musisz teraz otworzyć – nalegała Vivien. – Jeśli ci się nie spodoba, zawsze możemy to zabrać.

Morgana podała pudło Johnowi, a następnie rozwiązała złotą kokardę i zdjęła papier. W środku znalazła pozłacaną klatkę, w której siedział pozłacany i emaliowany ptaszek z brylantowymi oczami.

– Trzeba go nakręcić – powiedział Olivier i włożył kluczyk – śpiewa francuską pieśń z VIII wieku, ale można ją zmienić w co się chce, jeśli zna się nuty; nawet w *The Darktown Strutter's Ball* lub *Juke Box Saturday Night*.

Przekręcił kluczyk i złoty ptaszek zaczął machać skrzydełkami i otwierać dziób, a następnie zagwizdał ładną, miłosną melodię.

Ku zdziwieniu Morgany Olivier zaczął śpiewać słowa do melodii, wziął ją w ramiona

i zaczęli tańczyć. Reszta gości przyglądała się w zachwycie.

Nie mów, że to już zachód słońca Nie mógł przyjść tak szybko Nie mów, że ta latarnia w ogrodzie to księżyc. Gdy melodia się skończyła, Olivier uklonił się i pocałował Morgane w rękę.

– Przepraszam, że śpiewałem tak beznadziejnie – powiedział. Vivien zaklaskała, podeszła do nich i powiedziała:

– Wszystkiego najlepszego, moja złota. Dobrze, że tylko raz masz dwudzieste pierwsze urodziny, częściej nie zniosłabym jego śpiewu.

Gdy Morgana wróciła na swoje miejsce pod łukiem ozdobionym różami, John zauważył:

– Wiesz, że mógłbym być zazdrosny?

– O Larry’ego? – spytała Morgana trochę zdenerwowana, a trochę rozbawiona. – Chyba żartujesz?

– Wcale nie – odpowiedział John.

– A tak dokładnie, to jak bardzo zazdrosny? – spytała.

– Wystarczająco, żeby uszkodzić mu szczękę, naderwać ucho i złamać nos.

– Jak to rozumiesz?

– Wytłumaczyć ci to po włosku?

– Może być w obojętnie jakim języku.

– No więc po włosku oznacza to, że dałbym mu po pysku. Morgana poklepała go po ramieniu.

– Jesteś prawnikiem i politykiem, bądź poważny.

– Ależ jestem. Kocham cię.

Morgana znów go poklepała, ale tym razem złapał jej rękę i przyciągnął tak mocno do siebie, że gdyby próbowała się uwolnić, nie dałaby rady. John patrzył na nią z napięciem. Nie po raz pierwszy pomyślała, że jest przystojny – coś pomiędzy Erollem Flynnem a Danem Andrewsem. Również nie po raz pierwszy pomyślała, że coś między nimi jest nie tak – ale nie wiedziała, co. John powiedział cicho, tonem pogróżki:

– Słyszałaś, co ludzie mówią o nas: idealna para. Morgana rozglądała się.

– Idealna para może nie wypalić.

– Słuszna uwaga. Czy to znaczy, że już mnie nie kochasz?

– To znaczy, że dzisiaj są moje urodziny i mam zamiar dobrze się bawić, nie myśląc o niczym.

– Dobrze – powiedział John, udając, że jest obrażony. – W takim razie nie będę prosił cię o rękę.

– Dobrze – odparła Morgana z chytrym uśmieszkiem na twarzy. – Wiesz, co bym zrobiła, gdybyś mnie teraz poprosił o rękę? Zaczęłabym krzyczeć i krzyczałabym bez wytchnienia cały

dzień.

John roześmiał się i pocałował ją.

– Mam zamiar ci się oświadczyć dopiero jak skończę prawo i Bóg mi świadkiem, nie przyjmę odpowiedzi negatywnej. Mam nadzieję, że to do ciebie dotarło? Mówiąc serio, jestem w tobie zakochany.

Podczas ich dyskusji nadjechała Marlena Dietrich, bardzo czymś zaaferowana. Ubrana była w białą suknię z głębokim dekoltem, na głowie miała ogromny kapelusz z białymi strusimi piórami. Wyglądała zupełnie jak kabaretowa tancerka. Morgana szybko pocałowała Johna i odwróciła się w jej stronę, ponieważ Marlena zażądała natychmiast całkowitej uwagi. Przywitały się. Marlena nie dotykając twarzy Morgany pocałowała ją dwa razy: cmok, cmok, a następnie podała prezent, zawinięty w biały papier i przewiązany białą wstążką.

– Nie musisz teraz otwierać. To perfumy – powiedziała swoim gardłowym głosem. – Bardzo wytworne. Farina Gegenuber robiła je specjalnie na moje życzenie. Te perfumy mają wywoływać namiętność u mężczyzn.

Spojrzała na Johna, który uśmiechnął się do niej, pomachał ręką i powiedział:

– Jak się masz? Podoba mi się twoja płyta *Foreign Affair*. Marlena pochyliliła się nad Morgana i cichym głosem dodała:

– Używaj dużo tych perfum – i zrobiła taki gest, jakby się perfumowała.

Na najwyższej wieży w Weatherwood wybiła pierwsza. Winton Snell, dostojny i władczy majordomus, podszedł do podium, gdzie grała orkiestra, i unosząc ręce nakazał ciszę. Przypadkowy, migoczący promień słońca oświetlił go jak świętego i przez chwilę wyglądał, jakby zesłały go niebiosa – koszula, złote guziki, zęby, czarne włosy i dostojny nos – wszystko święte i uduchowione.

– Wasze Wysokości! Arcybiskupie! Szanowne panie i panowie! Podano obiad!

Zszedł z podium kołysząc się, a orkiestra kończyła grać *Green Eyes*. Wyglądał jak ogromny wieloryb wśród małych rybek, kiedy przepychał się w stronę Morgany. Przeprosił Jane Wyman i Santosa Ortegę, z którymi rozmawiała Morgana.

– Miłych urodzin, panienko. Czy nie zechciałaby panienka poprowadzić gości na obiad?

Orkiestra schodziła właśnie ze sceny, ale natychmiast została zastąpiona przez Shepa Fieldsa i jego orkiestrę. Była to orkiestra radiowa grająca „lekkie rytmy”, którą Howard i Eleonora wynajęli aa czas obiadu. Gdy zaczęli grać *Slow Boat China*, dokoła rozległ się szmer entuzjazmu.

Burmistrz Doyle popędził w stronę Morgany i uklonił się tak głęboko, jakby miał zamiar zanurkować w grządkę róż. Był chudy i wysoki jak brzoza, miał siwe włosy i oczy jak paciorki – wyglądał jak Celt. Przepelniony był animuszem właściwym poetom, dowcipnisiom, księżom czy politykom. Miał na sobie szary garnitur i zegarek Dick Tracy Official, który piętnaście lat temu pożyczył od syna. Morgana dokładnie pamiętała, że nazywano go najśmieszniejszym

burmistrzem od czasów Tony'ego Cermaka, a przecież nie był głupi.

– Wszystkiego najlepszego, Morgana – powiedział i wziął ją pod rękę.

– Dziękuję – pocałowała go w policzek. – Czy pani Doyle też przyszła?

– Przyjdzie chyba później. Jeden z jej pekińczyków dzisiaj zachorował, a ona strasznie się o niego martwi. Moim zdaniem kupuje zbyt drogie jedzenie dla psów. Gdyby mogła, to nauczyłaby je jeść nożem i widelcem, serwowałaby im wątróbkę garniowaną plasterkami cytryny. Ale w sumie jest dobrą kobietą. Każdemu życzę takiej żony. Chociaż czasami czuję się, jakbym mieszkał w ogrodzie zoologicznym. – Poklepał Morgane po ręce. – Przyjdzie. Moja Kate nie przepuściłaby tego spotkania z wielkim światem. A poza tym namiętnie kocha się w Lanym Olivierze.

– Myślę, że wszystkie kobiety się w nim kochają – powiedziała ciepło Morgana. – Ja także.

Właśnie w tym momencie przeszła jak burza podekscytowana Phoebe. Morgana przeprosiła burmistrza i zatrzymała Phoebe, zanim ta zdążyła zniknąć w tłumie.

– Phoebe!

– Właśnie ciebie szukam.

– Co się stało? Nie idziesz na obiad? Wyglądasz jak śmierć!

– Też byś tak wyglądała w takim zamieszaniu. Mama była tu przez pięć minut i zniknęła, a ojciec ma do mnie pretensje: „Idź i znajdź ją”. O.K., ale nie wiem, gdzie ona jest. A do tego ten cholerny Donald przyszedł. No i ten cholerny Bradley włóczy się za mną jak trzylatek w mokrych portkach!

Morgana zmarszczyła brwi.

– Chyba mama nie poszła...?

– Nie poszła gdzie? Nie wiem. Szukałam wszędzie. Byłam w jej pokoju, w kuchni, wszędzie. O Boże, znowu Bradley! Spójrz na niego, ta niewinna buźka, zupełnie jak u niemowlaka.

– Chyba wrócę do burmistrza – powiedziała Morgana, a Doyle właśnie w tym momencie chwycił ją za rękę.

– Dzień dobry, Phoebe – przywitał się. – Morgana, myślę, że lepiej iść już na obiad. Jeśli wiem coś na temat tłumy, to na pewno to, że staje się niebezpieczny, gdy jest głodny. Mówiłem to twojemu ojcu, dawno temu, przed wojną, gdy starał się wejść do kongresu. Jeden hot-dog dorównuje dziesięciu przemówieniom.

Morgana uśmiechnęła się, a potem powiedziała do Phoebe:

– Powiedz mi, kiedy ją odnajdziesz, pomachaj chociaż. Teraz muszę już iść.

Kenneth Doyle dumnie prowadził Morgane w pobliże namiotu. Orkiestra grała *Geraniums in the Winder* i *Chicago*. Morgana uśmiechała się do gości. Kiedy przechodzili przez starannie udekorowane różami wejście, tłum witał ich oklaskami. Same kwiaty na to przyjęcie kosztowały jedenaście tysięcy dolarów, czyli więcej niż The Drake wydaje rocznie na ogrodnika.

W namiotach ustawiono cztery stoły, z których każdy miał sto dwadzieścia stóp długości i nakryty był białym, lnianym obrusem. Na każdym stole stał pełen zestaw angielskich sreber, sto kryształowych kieliszków do wina i osiemdziesiąt wazonów z żółtymi gladiolami. Przy każdym miejscu leżała karteczka z nazwiskiem gościa, a tuż obok niej umieszczona była żółta róża.

Kenneth opowiadał Morganie o swojej ostatniej wyprawie na ryby.

– Wiesz, przez cztery godziny walczyłem z tą rybą. Cztery godziny! Po raz pierwszy zrozumiałem, o czym pisał Hemingway.

– Będziesz musiał mu o tym powiedzieć – powiedziała Morgana. – Obiecał, że przyjdzie. A właściwie to powinien już być.

Graucho Marx, który siedł tuż za Morgana, powiedział:

– Przepraszam, ale muszę odnaleźć swoje miejsce i sprawdzić, czy nie siedzę koło jakiejś ciamajdy. Jakby co, to zamienię kartki.

– Nie zapraszaliśmy żadnej ciamajdy – uśmiechnęła się Morgana.

– Ale i tak chcę się upewnić, że siedzę obok kogoś bogatego i ładnego. Nie mam na myśli pana, panie burmistrzu, więc nie musi pan do mnie mrugać.

Doszli do końca namiotu, gdzie stało dwunastu kucharzy, gotowych, aby serwować ciepłe i zimne potrawy. A było w czym wybierać: góry jedzenia, pachnącego i apetycznego.

Poproszono gości o zabranie podgrzewanych talerzy, a następnie o przejście od jednego końca bufetu do drugiego i wybranie tego, na co mieli ochotę. Później nazwano to „ostatni niewiarygodny bufet w historii amerykańskiej kuchni”. Wszystkiego było pod dostatkiem: świeżutkie ostrygi à la poulette i Rockefeller, kaskady wąsatych krewetek, homar na zimno w majonezie i na ciepło z topionym masłem, wędzony węgorz, świeży pstrąg, grubo krojony jesiotr, kurczaki nadziewane orzechami, trufle, szparagi, karczochy w occie, kiszzone orzechy włoskie i zielona sałata.

Na życzenie gości, na gorąco podawano wieprzowinę, szynkę lub peklowaną wołowinę wraz z ciepłym, prosto z pieca, żytnim chlebem.

Na środku stołu, pod nadzorem sześciu rzeźb z masła – orłów, łabędzi i jednoroźców, stała ogromna kryształowa waza wypełniona bryłkami lodu, które chłodziły czterdzieści osiem funtów świeżego kawioru, cieszącego się wzięciem.

Jak tylko goście zajęli swoje miejsca, nalano pierwsze wino – chablis. Każda butelka kosztowała cztery dolary i dziewiętnaście centów. Zakupiono trzydzieści skrzynek tego wina i umieszczono je w małym baseniku wyłożonym różowymi płytkami. Z basenu wypompowano wodę i wrzucono pokruszony lód. W północnym apartamencie gevrej chambertin nabierał temperatury pokojowej.

Morgana zajęła miejsce u szczytu stołu, między ojcem a Kennethem Doylem. Trochę dalej siedzieli Olivierowie i rodziny Stevensonów, Selznicków i Warnerów rozsadzonych po obu



stronach stołu. Na przeciwko siedział książę Serge Obolensky. Obok Larry'ego Olhiera stało puste krzesło, które miała zająć matka Morgany.

Mimo iż ojciec udawał rozbawionego, Morgana wiedziała, że sposób w jaki pukał palcami w stół, oznaczał jego ogromny gniew. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej zły.

David Selznick miesiąc temu ożenił się z Jennifer Jones i jeszcze nie mieli czasu na miesiąc miodowy. Obiecywali sobie wyjazd do Europy, ale Jennifer musiała skończyć kręcenie *Gone to Earth*.

– To przyjęcie jest niemal tak dobre jak miesiąc miodowy. Czegóż więcej nam trzeba? Dobre towarzystwo, dobre jedzenie, dobre wina, muzyka i miłe rozmowy. Może mogłoby to trwać jeszcze dzień lub dwa? Co ty na to, Howard? Pozbędziemy się Jennifer do srody popołudnia.

Jennifer rzuciła w niego oliwką, która odbiła się od jego białej sportowej marynarki.

– Nie bądź takim dusigroszem! – protestowała. – Chcę mieć prawdziwy miesiąc miodowy w Europie. Londyn, Paryż, Rzym. I chcę być całowana w blasku księżyca w weneckiej gondoli.

Garry Moore, który przechodził tuż obok z talerzem pełnym jedzenia, powiedział:

– Jeśli mnie zechciałby ktoś całować, to mógłby nawet w szafie.

Dwadzieścia minut wcześniej w wejściu do dużego namiotu pojawiła się Eleonora. Wyglądała źle. Gdy wchodziła, rozległy się oklaski, część gości wznosiła toasty na jej cześć. Przyjęła to powitanie krótkim, sztucznym uśmiechem. Usiadła na swoim miejscu. Jeden z kelnerów zapytał, co chciałyby zjeść.

– Może trochę łososia na zimno, i dziękuję – powiedziała.

Howard nerwowo dziobał swoją sałatkę ziemniaczaną. Rozgrzebał jedzenie po całym talerzu. Morgana słyszała, jak mówił chrapliwym głosem:

– Dobrze, że się zjawiaś.

– Przepraszam – powiedziała Eleonora, nie patrząc na niego. W jej głosie słyhać było ostrzegawczy ton, który mówił: „nie zaczynaj sceny”.

– Obawiałem się, że zapomniałaś, jaki mamy dziś dzień – powiedział Howard półgłosem, ale i tak wszyscy siedzący blisko mogli usłyszeć i wyłapać ukryte znaczenie tego, co mówił.

– Drogi Howardzie, absolutnie nie miałaś się czego obawiać – odpowiedziała Eleonora. – Dokładnie dwadzieścia jeden lat temu leżałam w klinice Fox River i rodziłam twoją córkę. Ty natomiast byłeś w Nowym Jorku i na obiedzie z gubernatorem Alem Smithem Johnem Raskobem omawialiście sposoby, w jakie chicagowska „Star” może pomóc demokratom.

– Touché! – powiedziała pani Howard Linn chyba zbyt głośno.

– Czy to twoje usprawiedliwienie spóźnienia? – głośno spytał Howard.

Całe towarzystwo siedzące w pobliżu zwróciło na to uwagę. Czyżby była to kolejna uwertura do jednej ze sprzeczek Croft Tate'ów, odbywających się na forum publicznym?

Uczestnictwo w kłótniach państwa Croft Tate było częścią towarzyskich spotkań. Gdyby ich

nagle wybuchy można było przewidzieć, Eleonora i Howard mogliby sprzedawać bilety oraz rozdawać gratisowe zdjęcia robione przez Marty Blacka.

Howard nalegał dalej:

– Czy to moja wina, że pilne interesy nie pozwoliły mi być a twego boku w czasie narodzin Morgany? Czy miałem przemierzać poczekalnię w tę i z powrotem, paląc tanie cygara? Zdaje się, że zapominasz, iż podczas gdy ty wydawałaś na świat małą dziewczynkę, ja starałem się uratować cały naród od finansowej katastrofy.

Eleonora odwróciła się do męża ze zgryźliwą miną.

– Ale mnie przynajmniej udało się doprowadzić do końca to, co zaczęłam, w przeciwieństwie do ciebie.

Howard spojrział na nią. Broda drżała mu ze złości, ale już po chwili nie mógł się powstrzymać i roześmiał się głośno.

– Niech to diabli wezmą! Eleonoro, do ciebie zawsze należy ostatnie słowo! Cholera!

Eleonora powiedziała:

– Przecież wiesz, Howardzie, że nigdy bym ciebie nie zawiodła. Nigdy tego nie zrobiłam i nigdy tego nie zrobię. Przepraszam za spóźnienie.

– Eleonoro – wtrącił Lany Olivier i pochylił się nad nią – z każdą chwilą wyglądasz piękniej, a z każdym rokiem młodziej. Wyjaw nam swój sekret.

– To chyba nie dzięki małżeństwu z tym starym zgredelem Bowardem? – dodał Jack Warren. – O mój Boże! Pomyśl, jak byłoby pięknie, gdybyś została żoną Louisa B. Mayera.

Eleonora położyła swoją rękę na dłoni Howarda i powiedziała w geście pojednania:

– Howard jest wyjątkowym mężem. Ja spóźniam się na urodzinowy obiad mojej córki, co jest niegodne wybaczenia, a on mi wybacza. Przynajmniej myślę, że mi wybacza. I mam nadzieję, że wszyscy mi wybaczą.

Zapadła niepokojąca cisza. Wydawało się, że czas stanął w miejscu i nie ma zamiaru ruszyć do przodu. Ale Howard rozładował napięcie, całując Eleonorę w policzek. Ktoś w końcu namiotu wydał z siebie dziki okrzyk, a cała reszta klaskała, pukała palcami w stół i śmiała się.

Księżę Serge Obolenski wstał, podniósł rękę i zwrócił się do gości jak do uczestników defilady wojskowej.

– Jeśli ktokolwiek wzgardzi czymkolwiek z tych wspaniałości, to nie zasłuży na wybaczenie! – krzyczał. – A w ogóle to należy kanonizować Eleonorę. Święta Eleonora i wspaniała ucza!

– Księżę jest w swoim własnym klasztorze wyznawcą układu trawiennego – wtrącił Russel Lynes, wydawca „Harpera”. Rzeczą oczywistą było, że Russel był poirytowany wszystkim, co mówił księżę, bo to właśnie Obolenski zajął ostatni wolny apartament w hotelu Ambassador East, a Lynes został zmuszony do zamieszkania w Michigan Palace – co bardzo mu nie odpowiadało.

– Lepiej wepchnąć ryj w talerz pełen przysmaków niż w koryto z ludzkimi sprawami – powiedział Obolensky. Na śniadanie zjadł lekko podsmażoną jajecznicę i wypił butelkę szampana Perrier-Jouet, w związku z czym stawał się dowcipny. – Jeżeli w ciągu tygodnia sprzedaje się więcej odbiorników telewizyjnych w stanie Illinois niż kawioru Bieługa w całych Stanach, to z pewnością jesteśmy na skraju barbarzyństwa. Nadchodzi Czarna Era, kiedy podniebienia takie jak moje wyginą, a migoczący ekran telewizora zahipnotyzuje wszystkich.

– I tu się, książę, mylisz – powiedział Howard, przecząco kiwając głową. – Wierz mi, że telewizja jest jednym z ważniejszych wynalazków w historii ludzkości, zaraz po ruchomej czcionce.

– A cóż to za wielki dar? – zapytał Obolensky. – Jakie korzyści dała nam ruchoma czcionka?

– Biblię Gutenberga! – podpowiedział Johny Weissmuller ku zdziwieniu wszystkich i swojemu chyba też.

– Biblię Gutenberga! – krzyczał Obolensky. – Czy kiedykolwiek czytał pan Biblię Gutenberga? Nie, mon ami. Ruchoma czcionka dała nam *Forever Amber*, *Opowieści południowego Pacyfiku*, *Dzieciaki Katzenjammera* i chicagowską „Star”. A co dała nam telewizja? *Hopalong Cassidy*, *Rodzinę Goldbergów* i teatr *Texaco Star*.

– Zaraz, chwileczkę – przerwał Milton Berle, który siedział przy drugim stole. Był on gospodarzem teatru *Texaco* i jednym z najlepiej opłacanych aktorów w historii amerykańskiej telewizji. – Nie wmówi mi pan, że pańskie podniebienie jest ważniejsze niż mój program. Może jest ono doskonalsze, może wyczuwa różnicę między pâté de foie a chlorofilową pastą do zębów i być może nigdy nie jada taniocy. Ale niech mi pan powie, ilu ludzi siedziałoby przez godzinę dziennie i oglądało pańskie podniebienie, no i płaciło za to sześć i pół tysiąca dolarów?

Wybuchł śmiech, a książę powiedział:

– Zut! Quel paien!

Siedzący obok Morgany Howard z przyjemnością przyłączył się do tej hałaśliwej i żartobliwej rozmowy. Jego chrapliwy głos unosił się ponad zgiełkiem jak dźwięk furczącej piły.

– Nie można Amerykanów wodzić za nos – wtrącił. – Doskonale wiedzą, czego chcą, a czego nie. Obecnie chcą romansów i podniety. Chcą ucieczki. Jeśli gotowi są płacić za książki takie jak *Cześć niewinności* czy *Królewski generał*, to jakie my mamy prawo, żeby ich krytykować. No i jeśli chcą oglądać Howdy Doody’ego czy Milona...

– Niekoniecznie w tej kolejności – przerwał Milton Berle.

– No, może nie – uśmiechnął się Howard. – Ale odrobina śmiechu czy pofolgowania sobie jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Bóg jeden wie, czy zasługujemy no to. Zewsząd dociera krytyka dóbr materialnych, ale czy jest coś złego w pragnieniu bezpieczeństwa? Automatyczna zmywarka do naczyń, czemu nie? Nowy kaiser, żeby go parkować na podjeździe i robić wrażenie na sąsiadach, czemu nie? Nie ma chyba nic szaleńczego w rzeczach materialnych?

– Chyba szkodliwego – poprawiła go Morgana.

– Proszę mi powiedzieć – przerwał księżę Obolensky – jakiego świata pan chce, panie Croft Tate? W co pan wierzy? Co chce pan przekazywać dzięki swoim gazetom i stacjom radiowym? Miliony Amerykanów patrzą na pana. Pańska opinia jest szanowana. Ma pan wpływy. A więc to, o czym pan myśli, ma kluczowe znaczenie.

Morgana odpowiedziała, zanim Howard pomyślał nad odpowiedzią. Wzięła rękę ojca, ścisnęła ją uspokajająco i powiedziała:

– Mój ojciec jest demokratą, człowiekiem wielkiego serca. Jego pragnieniem jest drukować i powtarzać sześć razy w tygodniu: Informacja i rozrywka. Chce, aby czytelnicy znali prawdę i by mogli sami podejmować decyzje. Chce ich również zabawić. Nie ma szlachetniejszych pragnień, niż te.

Dick Maney, dusza towarzystwa, nachylił się nad księciem i powiedział:

– Jeśli chce pan wiedzieć, dokąd zmierza Ameryka, to myślę, że nie trzeba sięgać daleko. Wystarczy tylko zobaczyć reklamę deseru lodowego, którą widziałem wczoraj – osiem różnych smaków lodowych w jednym pucharku ozdobionych bananami, orzechami, wiśniami, bitą śmietaną i sosem tutti-frutti. Szczyt bezmyślności i brak smaku! Oczywiście odpowiednio go nazwano: Ekstaza Murzyna. Cena: 1 dolar.

– Porozmawiajmy o tym, jak będziemy już najedzeni – zażartował Russel Lynes.

– Myślę, że już mam dosyć – powiedział księżę.

– Starczy miejsca na wszystko, jeśli jest to dobre – powiedziała Morgana.

– Czy to jest twoje motto? – spytał oschle Woolworth Donahue. – To znaczy, czy byłaby to twoja zasada, gdybyś zarządzała „Star”?

– Oczywiście! – odpowiedziała Morgana. – Albo najlepsze, albo ciach! – przejechała palcem po gardle.

– Bardziej przerażające byłoby pracować dla tego Huna, Attyli – rzucił Milton.

– Mój stary przyjacielu – powiedział Jack Warner – aby prowadzić gazetę, trzeba być bezwzględny. To warunek powodzenia. To samo tyczy się kina. Attyla nie mógłby zarządzać gazetą – nie był wystarczająco okrutny. A poza tym, w tamtych czasach nie mieli gazet.

– Ależ mieli – odparł Milton. – Nie słyszałeś o „Wieczornej Grabieży” i „Codziennym Gwałcie”?

Kelnerzy znów się pojawili, żeby zebrać talerze. Następnie odsłonięto wejście do namiotu i weszło sześciu trębaczy. Szli rzędem, po czym ustawili się po obu stronach krzesła Morgany. Ubrani byli w mundury orkiestry ciężkiej artylerii Stanów Zjednoczonych z roku 1882: szpiczaste hełmy, marynarki w czerwone, a spodnie w niebieskie paski. Podnieśli trąbki i zaczęły grać *Happy Birthday to You*, a następnie *Twenty-one today*.

Morgana śmiała się i klaskała z zachwytem. Po wyjściu trębaczy, do namiotu weszło sześciu

cukierników ubranych na biało. Nieśli tort składający się z dziesięciu kręgów i posypyany biało-różowymi wiórkami. Na górze umieszczono dwadzieścia jeden srebrnych świeczek. Wszyscy wstali i spontanicznie zaśpiewali *Happy Birthday to You*.

Cukiernicy obeszlą z tortem stoły. Za nimi szło dwunastu członków zespołu ubranych w turkusowe fraki i słomkowe kapelusze. Grali *Garryowen*. W końcu postawili tort na stole przed Morganą. Wszyscy głośno klaskali, a Winston Snell podał srebrny nóż do krojenia tortu, długi jak bagnet z czasów wojny domowej.

Oczy Morgany zajaśniały. Jednym tchem zgasła dwadzieścia jeden świeczek, podczas gdy wszyscy krzykali: Życzenie! Życzenie! Zamknęła mocno oczy i pomyślała: Niech się dzisiaj wydarzy coś, co odmieni moje życie.

Kenneth Doyle spytał:

– Masz jakieś życzenie?

Przytaknęła. Nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Żałuję, że ja nie mam życzenia – powiedział dwuznacznie. Morgana pocałowała go w policzek.

– A powinieneś – powiedziała. – Ludziom takim jak ty zawsze w końcu spełniają się życzenia.

Eleonora podeszła i wzięła Morganę w ramiona.

– Wszystkiego najlepszego, moja droga. Morgana spytała cicho:

– Wszystko w porządku?

Eleonora spojrzała na nią, potem rozglądnęła się i potaknęła głową.

– Tak, w porządku. – Zawahała się przez moment i dodała: – Przepraszam za spóźnienie. Musiałam z kimś porozmawiać.

– O Robercie Wentworthie?

Eleonora odpowiedziała nie patrząc na nią:

– Nie bądź zbyt dociekliwa, moja droga.

– Mamciu – powiedziała Morgana – dziękuję za wszystko. – Podziękuj ojcu.

Właśnie w tej chwili młody fotograf ze „Star” torował sobie drogę wśród gości i trębaczy. Podeszedł i uklonił się.

– Muszę zrobić kilka zdjęć do jutrzejszego wydania specjalnego. Czy mogłaby mi pani poświęcić minutkę?

Prawie w tej samej chwili od tyłu podeszła Phoebe i zasyczała:

– On tu jest!

– Kto?

– No ON!

– Chyba nie Donald?

– Masz rację, cholerny Donald!

– I co chcesz zrobić?

– Pozbyć się Bradleya, oczywiście.

– W jaki sposób?

– Nie mam pojęcia. Może ty coś wymyślisz? Morgana odpowiedziała:

– Powiedz Donaldowi prawdę. Tylko tyle możesz zrobić.

– Łatwo ci mówić, bo nie znasz jego gwałtownego charakteru. Teraz pała namiętnością do mnie. Pewnie zabije Bradleya, jeśli zrozumie, że nie jest jedyny w moim życiu. Pokroi go na kawałki.

– Panno Morgano! – przypomniał się fotograf.

– Phoebe, muszą mi zrobić zdjęcia – powiedziała Morgana. – Porozmawiamy, jak skończę. Ile to potrwa?

– Najwyżej dziesięć minut – odparł fotograf.

– Och, ten zmienny los – skarżyła się Phoebe.

Morgana poszła za fotografem. Wyszli z namiotu. Niebo było ciemne i złowrogie, a wiatr niósł zapach burzy.

– Ale pogoda na urodziny, co? – powiedział. – Podwójny trud. – Wskazał głową w stronę namiotu. – Czym gryzie się twoja siostra?

– Masz mi robić zdjęcia? – spytała Morgana.

– Jasne – przytaknął.

– Więc zajmij się swą pracą, dobrze?

– Przepraszam – powiedział fotograf.

Był nieomal parodią młodego gazeciarza. Miał bladą twarz, podkrążone oczy i cienki wąsik. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem i zatkniętą za pasek wizytówkę. Ubrany był w płaszcz w kolorze ostrej zieleni, wypchany na ramionach poduchami. Efektu dopełniał ręcznie malowany krawat z palmą i zachodem słońca.

– Można tu zrobić zdjęcie w scenerii dramatycznej – zauważył, przymocowując lampę błyskową. – Ty, dom i błyskawica.

– Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że jesteś Philippem Halsmanem?

– Widzę, że znasz fotografów – odpowiedział hardo. – Skoro ich znasz, to powinienem przypominać ci raczej mieszankę Dana McNutta i W. Eugena Smitha. Zawsze na bieżąco, plotkarski, ale zawsze artysta. W rzeczywistości nazywam się Joseph K. Proski, ale możesz do mnie mówić Woozy. Wszyscy mnie tak nazywają.

Morgana uśmiechnęła się.

– No dobrze, Woozy, jak ci się podobam?

Woozy robił zdjęcie za zdjęciem w ciepłym, przytłaczającym powietrzu. Burza nasuwała się na północno – zachodnie dzielnice Chicago od południa. Lampa błyskowa migotała w czasie zdjęć, oświetlając Morganę w biało-czarnej sukience od Diora. W takich momentach wyglądała jak modelka na okładkę.

– Nie uśmiechaj się – ciągle powtarzał Woozy. – W dzisiejszych czasach trzeba mieć kamienną twarz, żeby wyglądać z klasą. W każdym razie dotyczy to zdjęć do gazet. Teraz uchwycę błyskawicę.

– Przecież to są moje urodziny – powiedziała Morgana. – Nie mogę się chociaż trochę uśmiechać?

– Trochę chyba tak – zgodził się. – Dugald powiedział, że chce mieć joie-de vivre.

– Joie-de vivre? Znasz francuski?

– Nie, a ty? Kiedyś spotykałem się z dziewczyną z francuskiej części Kanady. Na imię miała Justyna. Problem w tym, że jej rodzina za mną nie przepadała. Chcieli, żeby poślubiła hotelarza.

– To dziwne.

Woozy zrobił kolejne zdjęcie i założył nowy film.

– Wcale nie, jeśli się nad tym zastanowisz. Chcieli mieć zabezpieczenie na przyszłość. Po przejściu na emeryturę mieliby gdzie mieszkać. Nie podobał im się pomysł zamieszkania w ciemni, a ja tylko to mogłem im zaproponować, więc wybrali hotel. – Pociągnął nosem i powiedział: – Nie każdy ma to, co chce. Popatrz na mnie, chciałem iść do marynarki.

– I co się stało?

– Druga wojna światowa się skończyła, to się stało. Nie było się z kim bić. A poza tym dostałem kategorię E. Nie ruszaj się! To jest to! To jest wspaniałe!

– Jak zaczęła się twoja praca w „Star”?

Woozy nachylił się i pozbierał pudełka po filmach, które leżały na ziemi. W końcu był to prywatny trawnik szefa, a nie podjazd czy schody gmachu sądu.

– Jeden z reporterów mnie polecił. Był moim kumplem, kiedy byliśmy młodszy. Obaj wychowywaliśmy się w Roseland. Pewnie go znasz, to Harry Sharpe.

– Można powiedzieć, że go znam – powiedziała Morgana.

Właśnie w tym momencie zaczął padać deszcz – ciepłe, wielkie krople deszczu o metalicznym zapachu – i z namiotu wyszedł John. Chciał sprawdzić, co się dzieje z Morganą.

– A więc do tego dążyłaś – powiedział Woozy. – Chciałaś mieć z nim zdjęcie.

Morgana uśmiechnęła się. John podszedł i objął ją.

– Musisz wyglądać poważnie – poinformowała go.

– Poważnie? Po co?

– Nie, nie. Uśmiechnij się – zachęcał go Woozy. – Powaga jest dobra do zdjęć samotnych pań reklamujących modę. Razem musicie wyglądać na wesołych.

Morgana i John uśmiechali się szeroko, a Woozy robił im zdjęcia.

– A co byś powiedział na taki nagłówek: „Prasowa księżniczka jaśnieje w ramionach adoratora”.

Woozy szybko otworzył aparat, żeby zrobić nowy film. Do środka wpadł popiół z papierosa, którego trzymał w ustach, więc prędko go wydmuchnął.

– Będziesz musiała porozmawiać z Harrym w sprawie tego nagłówka. Harry twierdzi, że reporterzy powinni robić reportaże, a szefowie rządzić. Nigdy odwrotnie.

– Harry wydaje się związkowcem – skomentował to John.

– Harry jest najlepszym reporterem, jakiego kiedykolwiek miała „Star”. Nie wspominając już o Duncanie McReadym, ale to było dawno temu – zachnął się Woozy. – Chyba go poznałaś? Przecież przychodzisz do biura raz w tygodniu, prawda? Widziałem cię, jak rozmawiałaś z Salomonem.

– Z Salomonem? – spytała Morgana. – Nie znam żadnego Salomona.

– Wszyscy tak nazywają Granta Clifforda. Nie wiedziałaś o tym? Nazywają go tak, bo zabiłby nawet dziecko, gdyby tego wymagało dobro gazety.

– Słyszałam, że jest wnikliwy i obiektywny.

– Wnikliwy? Harry twierdzi, że Grant widzi dwie strony piłki golfowej.

Woozy zrobił jeszcze trzy zdjęcia i zaczął pakować torbę.

– To wszystko? – spytała Morgana.

– Tak. Chcesz odbitki? Prześlę ci kilka. John wziął Morganę za rękę.

– Wracajmy na przyjęcie. Chcę, żebyś posłuchała jak śpiewam.

Morgana przytuliła się mocno do Johna. Uwielbiała zapach jego wody kolońskiej i miękkość ubrań. Często uświadamiała sobie, że chce z nim zostać na zawsze. I to nie tylko dlatego, że był wysoki i przystojny, że potrafił śpiewać i tańczyć, żeglować i jeździć konno, śmiać się do wszystkich ludzi, ale dlatego, iż sprawiał, że będąc z nim czuła się piękniejsza. Woozy zrobił, pomimo deszczu, jeszcze dwa lub trzy zdjęcia. Morgana dokładnie wiedziała, co chciał uchwycić – wspaniałą parę ze złotego Środkowego Zachodu.

– Wiesz co? – powiedział John, całując jej włosy. – Naprawdę jestem pewien, że cię Kocham.

– Zawsze wiedziałam, że jesteś szalony – odpowiedziała.

– Hej! Przecież trzeba mieć fioła, żeby być prawnikiem. Takie są wymogi tego zawodu.

Woozy powiedział:

– Niech mi będzie wolno zauważyć, że powinnaś zostać modelką. Mając taki wygląd z łatwością znalazłabyś się na okładce „Glamour”, a może nawet „Vogue’a”.



– Nie sądzę, aby ojciec to pochwalał – odparła. Wzmagający się wiatr trzepotał jej spódnica.

– Masz już dwadzieścia jeden lat i możesz robić co chcesz.

– Skończyłeś? – spytał John z pozorną irytacją. Morgana powiedziała:

– Może i mam dwadzieścia jeden lat, Woozy, ale kiedy jest się dziedziczką, nigdy nie wolno robić ci tego, na co masz ochotę. Czy widzisz to wszystko: dom, ogrody, gazety, stacje radiowe? Kiedyś to wszystko będzie należało do mnie. Będę odpowiedzialna i za to, i za ludzi, którzy tam pracują.

Woozy już wszystko spakował, zarzucił torbę na ramię i dodał tylko:

– To brzmi bardzo przygnębiająco.

– A to dlaczego? – spytał John.

– A jak myślisz? – odpowiedział Woozy. – Wszystko, co ja kiedyś odziedziczę, to kolekcja znaczków, trochę płyt jazzowych i jakiś stary terraplane, który już teraz wygląda strasznie.

Morgana zaśmiała się.

– Nie martw się, Woozy. Kiedy ja będę właścicielką „Star”, mianuję cię naczelnym fotografem.

– To obietnica?

– Przestań! Spadaj już! – ponaglał go John. – Musimy wracać na przyjęcie.

Kiedy wrócili do namiotu, goście jedli już tort i pili szampana. Morgana zatrzymała się, żeby porozmawiać z Babę Palmerem z „Porter Palmers”. Babę był fundatorem sklepu, który przyczynił się do powstania Centrum Marshalla. Potem porozmawiała z Jackiem Velie, jednym z najbardziej zamożnych posiadaczy ziem w Kansas City.

Goście zebrali się w grupach, rozmawiając o interesujących ich sprawach. Wielkie pieniądze i talenty ocierające się nawzajem o siebie i pobłyskujące brylantami. W końcu urodziny Morgany Croft Tate (12 sierpnia, piątek) to impreza, na której trzeba być zauważonym. To właśnie więcej niż przyjęcie urodzinowe. To szansa, aby się z kimś spotkać, pokazać swoją zamożność, porozmawiać, wymienić skandaliczne plotki, robić interesy czy zapewnić sobie sukces. Wszyscy byli pewni, że ich obecność będzie skomentowana (na pewno w dobrym tonie) w każdej ze stu trzydziestu ośmiu gazet Howarda, zaczynając od naczelnej gazety „Star” aż po „Courier” ukazujący się w Cockeyville. Imperium Croft Tate obejmuje również dziesięć poradników domowych takich jak *Mitchell's* czy *Excellent Housekeeping* oraz pięćdziesiąt pięć stacji radiowych. Dla wszystkich obecnych taka reklama miała ogromne znaczenie.

Gdy Morgana zajęła swoje miejsce, Howard wstał, uniósł obie ręce i nakazał ciszę. Wśród śmiechu, dzwonienia widelczyków i kieliszków, w końcu uciszono się.

– Wasze Wysokości! Arcybiskupie! Szanowne panie i panowie! Pozwólcie mi coś powiedzieć. Mój ojciec powiedział do mnie kiedyś: „Howardzie, ty dasz początek nowej dynastii”. Ja miałem nadać imieniu Croft Tate nowy rozgłos dzięki gazetom, magazynom

i stacjom radiowym. Croft Tate miało być tak znane Ameryce jak Coca-Cola, Charles Lindbergh czy Hershey.

Odwrócił się i spojrzał na Morgane. Mrugnął do niej – ojcowskie oczko zostało natychmiast zauważone przez zgromadzonych.

– No cóż – zaczął. – Dobry Bóg dał mi córkę zamiast syna. W takim wypadku nazwisko Croft Tate nie będzie kontynuowane tak, jak wyobrażał to sobie mój ojciec. Ale pozwólcie, że wam coś powiem. Dzisiaj, w dniu dwudziestych pierwszych urodzin mojej starszej córki, jestem pewien, że nazwisko Croft Tate będzie ciągle żywe, że będzie pielęgnowane z taką troską, jak ja to robiłem. Jestem pewien, że gdy dojdę do kresu mego życia, a święty Piotr zapyta mnie o nazwisko, odpowiem: „Howard Croft Tate, święty Piotrze”, a on mi powie: „To ty musisz być ojcem Morgany”. – Howard uniósł kieliszek i zaproponował urodzinowy toast. Wszyscy wstali, wznieśli kieliszki i zgodnie zawołali: „Wszystkiego najlepszego, Morgano!”

Morgana też wstała. W kącikach jej oczu jaśniały łzy.

– Dziękuję wam wszystkim za życzliwość i ciepło. Ktoś mi dzisiaj rano powiedział, że aby zarządzać gazetą trzeba mieć serce ze stali. Być może to prawda, być może niektórzy mają takie serca. Ale wiecie, co wam powiem o moim kamiennym sercu? Wasza miłość i serdeczność skruszyły je.

Po chwili towarzystwo przeniosło się do ogrodu. Burza już minęła, tylko z daleka widać było błyskawice, niczym smoka ziejącego ogniem znad jeziora Michigan. Orkiestra wracała na podium. John podszedł do Morgany i pocałował ją w czoło. Był poruszony, ale pewny siebie.

– Teraz zaśpiewam dla ciebie – powiedział. – Napisałem dwie piosenki na twoje urodziny. To, co teraz usłyszysz, to debiut na początek wielkiej kariery, albo i nie. Ale tak czy siak, to wszystko dla ciebie, kochanie.

Podszedł do estrady i wszedł po schodach w płataninę kabli, bębnow, mikrofonów. Stojąca obok Morgany Clare McCardel, projektantka mody, powiedziała:

– To z pewnością nie Frank Sinatra. Jest za gruby. Podczas gdy orkiestra pobrzdąkiwała i dostrajała instrumenty,

Morgana rozejrzała się i zauważyła, że bardzo szybko zbliża się do niej Donald. Miał na sobie zabójczy biały garnitur ze skóry rekina, dzwonowate spodnie powiewały w takt prędkiego marszu. Widać było, że jest w bojowym nastroju.

– Morgano, moja droga – pocałował ją w rękę. Był bardzo przystojny. Coś w stylu Errola Flynna: ostro zarysowane szczęki, cienki wąsik, czarne, kręcone włosy i pełne uporczywości, usytuowane zdecydowanie za blisko siebie. – Czy widziałas gdzieś swoją siostrę? Obszedłem już cały ogród.

– Była tu przed chwilą.

Donald oparł ręce na biodrach i zdenerwowany rozglądał się dookoła.

– Twoja siostra robi ze mnie idiotę. Do diabła! Przecież nie będę mordował się z powodu jakiejś wymalowanej osiemnastolatki.

– To jest moje przyjęcie urodzinowe – przypomniała mu Morgana. – Nikt nie ma prawa być wściekły. A propos, byłeś zaproszony?

– Mam nadzieję, że tak – powiedział tajemniczo Donald i popędził jak burza przez trawnik, w poszukiwaniu Phoebe.

Wilbur T. Henry and The Marquettes wkroczyli do akcji. John podszedł do mikrofonu i zaczął śpiewać. Morgana musiała przyznać, że jego głos nie był wcale taki zły. Ale Oscar Hammerstein był innego zdania. Podszedł do Morgany, objął ją ramieniem i nieśmiało się uśmiechnął.

– Jak ten twój chłopak zarabia na życie?

– Studiuje prawo.

Oscar pokiwał głową.

– To mnie cieszy. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł żyć z pisanie piosenek.

*Morgano! Jesteś już dorosła*

*Będiesz mądra i wyniosła*

*Czasem wesola, zawsze boska*

*Dziś dwadzieścia jeden masz już lat*

*Jesteś moja, a z tobą cały świat!*

Oscar spytał:

– To prawda? Jesteś jego?

– Nieoficjalnie jesteśmy już zaręczeni – ostrożnie powiedziała Morgana.

– Nie brzmi to przekonująco.

– Czy sądzisz, że John nie jest odpowiedni dla mnie? – spytała.

Oscar ożywił się.

– Nie mnie o tym sądzić. Jest całkiem przystojny.

– Ale?

– Czyja powiedziałem „ale”?

– Niezupełnie, ale tak to brzmiało.

Oscar zabrał rękę z ramienia Morgany i zaczął popijać szampana.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że jesteś twarda. Nie oznacza to, że nie jesteś wrażliwa, mam na myśli twoją stanowczość, upór. Większość bogatych panien, z którymi rozmawiałem, jest taka, to chyba wrodzone. Wydaje mi się, że jest ci potrzebny mąż co najmniej tak twardy jak ty. Ten młody gość jest O.K. Jest przystojny i dobrze wychowany, ale to facet bez jaj.

Morgana patrzyła na niego dłuższą chwilę w milczeniu. Potem powiedziała:

– Jesteś bardzo bezpośredni. To było chyba niegrzeczne.

– Jeśli tak, to przebacz.

– Nie ma co wybaczać. Lubię bezpośrednich ludzi, a jeszcze bardziej lubię, kiedy są bezczelni.

– To chyba odziedziczyłaś po matce – zauważył Oscar.

John śpiewał:

*Morgana, jesteś mą myślą nawiedzoną*

*Nie mogę się doczekać kiedy będziesz moją żoną*

*Jeśli zgadniesz czego pragnę w śnie*

*To nie będzie nam tak źle.*

Oscar zaśmiał się.

– Słyszałaś to? Może jesteście zaręczeni nieoficjalnie, ale ten facet oficjalnie ci się oświadcza, i do tego publicznie. I jak sprytnie – prawie udało mu się wmówić ci, że nie żeni się z tobą dla pieniędzy.

Morgana zmarszczyła brwi.

– Jak na to wpadłeś? Oscar uśmiechnął się.

– Czy słyszałaś o morganatycznym małżeństwie? To takie, kiedy księżę z jednego księstwa żeni się z księżniczką z drugiego. Zawierają oni umowę, że w przypadku śmierci lub rozwodu żadna ze stron nie będzie rościć praw do księstwa strony przeciwnej. Nazywa się to morganatyczne małżeństwo, bo księżniczka ma prawo tylko do tradycyjnego prezentu, jaki mąż daje żonie po nocy poślubnej. Poranek po niemiecku to „Morgen”. Stąd też Morgana – piękne imię.

Morgana wzięła Oscara za rękę i ścisnęła ją – dużą, kwadratową rękę ze złotą obrączką.

– Pewnego dnia do napisania piosenki o mnie zmuszę ciebie. Phoebe pojawiła się gdzieś w narożniku namiotu. Wyglądała na bardzo wzburzoną.

– Czy już skończyłaś sesję zdjęciową? – spytała.

Miała właśnie dodać coś na temat Bradleya, ale oto zjawił się osobiście. Snuł się za nią w pewnej odległości, jakby nie chciał jej pozwolić na zniknięcie. Wyglądało na to, że jego kieliszek po szampanie jest pusty już od dawna. W słońcu miał zupełnie różowe uszy.

– Bradley, jak się masz? – zawołała Morgana, głośniejszym głosem, niż zamierzała.

– Morgana! – powiedział swoim piskliwym, urywanym głosem.

Nachylił się, żeby ją pocałować, i o mało co nie rozminął się z jej policzkiem. Ubrany był w bładoniebieski garnitur, który wydawał się dla niego zbyt wytworny, a do tego kolidował

z różowymi uszami. – Nie miałem jeszcze okazji złożyć ci życzeń. Zostawiłem swój prezent razem z innymi. Będziesz wiedziała, że to ode mnie – zapas szynki *Ham-I-Yam* na dwadzieścia jeden lat. Nie, nie. Ja tylko żartuję. To gumowa broszka w kształcie świnki. To też żart. To niespodzianka, ale jest na niej moje nazwisko. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Phoebe stała zrozpaczona. Nie musiała prosić Morgana o pomoc, i tak było widać, że jej potrzebuje, i to szybko.

– Bradley – powiedziała Morgana – czy widziałeś winogrona w oranżerii? Mamy ich tak dużo tego roku, że tatko myśli o zrobieniu własnego wina. Chateau Croft Tate. Może byśmy poszli zobaczyć? Jest na co popatrzeć.

– Ale... – zawahał się Bradley.

– Idź koniecznie – namawiała go Phoebe. – Naprawdę niezły widok. A ja w tym czasie zmienię buty. Te szpilki to jak średniowieczne tortury.

Morgana wzięła Bradleya pod rękę i odciągnęła go od Phoebe. Oscar powiedział tylko:

– Do zobaczenia później, Morgana.

Morgana rzuciła Phoebe wymowne spojrzenie mówiące: idź szybko, odszukaj Donalda, bo ja mogę zająć spadkobiercę puszkowanej szynki tylko na czas oglądania oranżerii.

Koordinacja działań była prawie idealna, ale nie do końca. Kiedy Morgana zaczęła wprowadzać Bradleya, w narożniku namiotu pojawił się Donald. Był już dobrze zgrzany.

– Phoebe! Na miłość boską, nareszcie jesteś!

Objął Phoebe jakby grał rolę arabskiego szejka i mocno pocałował ją w usta. Bradley oglądał to przedstawienie ze zdziwieniem.

Morgana chciała go odciągnąć, ale przytrzymał ją mocno za ramię.

– Bradley! – zaprotestowała.

Uszy Bradleya poczerwieniały, nozdrza groźnie drżały. Zbliżył się do Donalda i Phoebe. Był zdumiony, zraniony i gotowy bronić praw do swojej dziewczyny.

Donald mówił do Phoebe:

– Szukałem ciebie wszędzie. Chciałaś, żebym sobie pobiegał? Przyniosłem ci prezent. Nawet przyniosłem prezent dla twojej siostry.

Phoebe wyglądała nieco blado. Usiłowała coś powiedzieć, ale nie mogła.

Właśnie w tym momencie Donald zauważył Bradleya, który stał od niego o krok i patrzył nań uparcie.

– Kto to? – spytał Donald. – Dlaczego on tak na mnie patrzy?

Phoebe ożywiła się.

– Donaldzie! To mój znajomy! Musiałeś słyszeć o *Ham-I-Yam*. To Bradley Clarke. Słyszałeś chyba o Skokie Clarkes?

Donald natychmiast wyciągnął rękę.

– Hej! Miło cię poznać, Bradley. Wychowałem się na *Ham-I-Yam*, pewnie zresztą wszyscy. Powiedz mi, czy to prawda, że pakują tam te wszystkie świństwa?

Bradley zignorował rękę Donalda i agresywnie powiedział przez nos:

– Właśnie pocałowałeś tę młodą damę, mam rację? Donald zmieszał się.

– Tak, to prawda. To się nazywa całowanie. Phoebe, co ty na to, dziecińco?

– Przepraszam, ale ta młoda dama nie jest twoją dziecinną – powiedział Bradley bardzo uszczypliwym tonem. Widać było, że zmusza się do cierpliwości, chociaż Donald na to nie zasłużył. Donald oczywiście najeżył się i spojrział niedowierzającym wzrokiem na Bradleya.

– Co powiedziałaś? – spytał. – Co chcesz mi dać do zrozumienia?

Bradley chrząknął.

– Powiedziałem, że ta młoda dama nie jest twoją dziecinną. Ona jest moją dziewczyną. Wydaje mi się, że pchasz się tam, gdzie nie powinienes. Wierz mi, nie jesteś tu mile widziany. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś zostawił nas samych.

Donald spojrział na Bradleya, potem na Morgane, a w końcu na Phoebe.

– Rozumiecie coś z tego? – chciał powiedzieć. Phoebe powiedziała:

– Proszę, Donald, nie rób sceny.

– A więc coś ci to mówi. Wiesz, o czym mówi ten młody pan Szyrkowy. To jest twój chłopak, twój jedyny, a ja jestem robakiem, który wpadł do lemoniady?

– Donald! – powiedziała Phoebe, coraz bardziej bezradna. – To nie tak. Bradley i ja znamy się kupę lat.

– I to ma być usprawiedliwienie? Posłuchaj, droga Phoebe. Pochlebiam sobie, że jestem kimś w tym świecie. Nie spodziewam się, że kobiety, które spotykam w swoim życiu, są świętoszkami. Gdybym szukał świętosek, poszedłbym do klasztoru. Ale jednocześnie nie mam zamiaru walczyć o względy kobiety, która mi się podoba, przez znoszenie obelg jakiegoś młodocianego typu z dużymi uszami, który nie reprezentuje sobą nic, oprócz rodzinnych koneksji z jakimś różowym puszkowanym mięsem. – Wyciągnął rękę i dotknął pieszczotliwie ramienia Bradleya. – To nie są osobiste uwagi, Bradley, stary kumplu. Mięso jest wspaniałe, to również pewne jak fakt, że to piekło nie powstało przez ciebie.

– Proszę przestać, bo będę zmuszony pana uderzyć.

– No cóż, nie zamierzam wdawać się w bójkę. Tym bardziej, że nie ma o co...

– Donald! – przerwała mu Morgana. – Rozmawiacie o mojej siostrze, więc lepiej ją przepros.

Donald rzucił Morganie ostre spojrzenie, a potem się odwrócił.

– Oczywiście. Przepraszam. Nie lubię chamstwa. Może nie jestem gentlemanem, ale uważam, że uprzejmość nigdy nie zawadzi. – Odwrócił się w stronę Phoebe, skłonił głowę i powiedział: – Na razie, Phoebe, dziecińco. Przepraszam, że nie mogę zostać, ale za pół godziny mam być na herbatce u Weckerów, a potem muszę iść na spacer z chartami. To pa! Było miło!

Bez zbędnych ceregieli odwrócił się i wyszedł. Phoebe stała z pobladłymi policzkami, otwartymi ustami, w kącikach oczu jaśniały łzy.

– Donald! – zawołała. Starła się utrzymać ton rozkazujący. Ale Donald już tego nie słyszał. Był zbyt zajęty wychodzeniem z klasą i nawet nie odwrócił głowy. Po chwili zniknął za domem, a Phoebe stała porzucona i okropnie zła.

Bradley usiłował wziąć ją za rękę, ale wyrwała się.

– Cholera! – przeklinała. – To jest moje parszywe szczęście!

– Na miłość boską, czy mogłabyś mi powiedzieć, o co tu chodzi? Co ja zrobiłem? Co się dzieje? Phoebe!

– Och, ce n'est rien, Bradley – powiedziała mu i cmoknęła trzy razy w powietrzu tak, aby go nie dotykać. – Byłeś jak zwykle męski i troskliwy. Boże, powinieneś iść i porozmawiać z Johnnym Weissmullerem. Pasowalibyście do siebie. Tarzan i znajomy Tarzana. Jestem zaskoczona, że nie przyszedłeś na przyjęcie ubrany w lwie skóry.

Odeszła dumnie w stronę domu. Podniosła do góry kieliszek, jakby miała ochotę rozbić go o mur, ale w ostatnim momencie postawiła ostrożnie na parapecie. Wchodząc do domu mechanicznie uśmiechała się i kiwała głową do krążących wokół gości. Za nią szedł Howard i zawołał ją, ale nie słyszała, albo udawała, że nie słyszy.

– Co się dzieje? – spytał Howard, kołysząc szampanem w kieliszku. – Phoebe wygląda na zmartwioną.

Szturchnął Oscara, a potem Bradleya. Bradley ciągle był zaszokowany nagłym wybuchem Phoebe i tylko otwierał usta, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Wydawało się, że zwraca się o pomoc do całego świata, żeby mu ktoś wytłumaczył, co się stało.

– Myślę, że to nieporozumienie – powiedziała Morgana. – Przepraszam.

– Twój narzeczony znowu śpiewa – zauważył Oscar. – Nie chcesz posłuchać?

Morgana uśmiechnęła się sztucznie.

– Może innym razem. – Odeszła w stronę domu, szukać Phoebe.

Zespół grał wolną, romantyczną piosenkę. Słysząc było piskliwe klarnety i smętne saksofony. John podszedł do mikrofonu, trzymając ręce w kieszeni, i miękko zanucił:

*Komu potrzebne światło księżycy i gwiazdy*

*Komu potrzebne świetliki lub jasne pojazdy*

*Twój uśmiech...*

*To światło, którego mi trzeba*

*Twój uśmiech...*

*Uchyła kawałek nieba...*

W domu, na górze, w pięknej sypialni Phoebe czuło się zapach Chanel No 5. Sypialnia była w totalnym nieładzie – biały koc skłębiony na łóżku, pończochy porozrzucane na białych meblach, buty rozsiane po całej podłodze. Phoebe siedziała przy toalecie i pudrowała nos. Morgana usiadła obok niej, chociaż jej nie zaproszono. Podniosła słuchawkę telefonu, który połączył ją z pokojem służby.

– Millicent? Proszę przynieść dwie kawy do pokoju panny Phoebe.

– I dwie brandy – dodała gwałtownie Phoebe. – Dwie cholernie wielkie brandy.

– I dwie brandy – powtórzyła Morgana. Odłożyła słuchawkę i poczęstowała się papierosem z białej onyksowej papierośnicy.

– Myślałam, że lubisz jak faceci biją się o ciebie – powiedziała, ot tak sobie.

– Lubię.

– Więc o co chodzi? Phoebe odłożyła pudernicę.

– Jeśli dwóch mężczyzn bije się o mnie, to oczekuję, że wygra lepszy.

– Myślałam, że Bradley jest wystarczająco dobry.

– W rzeczy samej, ja też tak myślałam. On jest takim miłym uszatkiem. Tylko problem w tym, że on nie przestanie cię lubić, nawet jak ty przestaniesz lubić jego – wzięła papierosa. – Cholerny Donald, sprawił, że czuję się jak idiotka – dodała.

– Myślałam, że to cię w nim pociąga – powiedziała Morgana, dokładnie obserwując siostrę poprzez kłęby dymu.

Phoebe wstała.

– Chyba tak. On mnie podnieca. Gdy jestem z nim, czuję dreszczyk emocji, jakbym robiła coś niebezpiecznego.

– Bo to jest niebezpieczne. Szczególnie, jak dowie się o tym jego żona.

– Jego żona! – powiedziała Phoebe lekceważąco. Podeszła do szafy i otworzyła ją. Wewnątrz wisiały letnie sukienki od Mainbocher, Pauline Trigere i koktajlowe od Charlesa Jamesa. Zarówno Charles James jak i Main Rousseau Bocher byli zaprzyjaźnieni z paniami z rodziny Croft Tate. Mainbocher projektował ślubną suknię dla księżnej Windsoru, w specjalnym odcieniu zwanym „wallis blue”. Obiecał również zaprojektować ślubną suknię Morgany, chociaż ona osobiście wolała Normana Norella. Phoebe przejechała ręką po sukienkach starannie okrytych przez Lukię specjalnymi pokrowcami, żeby się nie niszczyły.

Westchnęła i zaklęła głośno:

– Cholera! Morgana powiedziała:

– Z zasady tego nie robię, ale może chcesz, żebym z nim pogadała?

– Z Donaldem?

– Mogłabym wytłumaczyć, że Bradley jest starym znajomym.

– On już na pewno wyszedł.



– Może. Ale samochody są zaparkowane dosyć daleko. Zajmie mu to chwilę.

– To nic nie da.

– Pozwól mi spróbować.

Morgana wyszła z pokoju akurat kiedy Millicent przyniosła kawę.

– Nie nalewaj jeszcze. To chwilę potrwa! – zawołała Morgana i zbiegła po marmurowych schodach.

Pomyślała, że może Phoebe nie powinna zadawać się z Donaldem, ale nie chciała też, żeby była nieszczęśliwa, szczególnie dzisiaj. A już w ogóle nie chciała, aby Phoebe błagała Donalda przez telefon, żeby się z nią umówił, a wiedziała, że zrobiłaby to na pewno. Jeśli chodziło o mężczyzn, to Phoebe przejawiała zaskakujący brak dumy i jeśli tylko rozmowa z Donaldem mogła pomóc, to warto było spróbować.

Przebiegła wśród zaparkowanych przed wejściem packardów, cadillaków i chryslerów. Szukała niebieskiego lincolna należącego do Donalda. Deszcz ustał już zupełnie, a dachy siedmiuset samochodów lśniły jak schody do nieba. Czuło się zapach tarmakademu i jodły. W kałużach widać było plamy oleju.

Jeden z szoferów siedział w daimlerze i czytał coś o sporcie. Jego upudrowana peruka wisiała na dźwigni do zmiany biegów.

Morgana podeszła i spytała:

– Czy widział pan teraz odjeżdżającego jasnoniebieskiego lincolna?

– Tak, proszę pani. Ma pani jakiś problem?

– Nie, nie – powiedziała. „Nie ja”, pomyślała. Zawahała się przez moment, co powinna dalej zrobić, ale nic nie wpadło jej do głowy. Jeśli Phoebe chce zobaczyć się z Dominem, to będzie musiała upokorzyć się i przeprosić go. To było wszystko.

Morgana przechodziła właśnie przez podjazd, kiedy usłyszała pracujący silnik. Ktoś na nią zatrąbił. Cofnęła się. Mały niebieski nash podjechał bliżej. Silnik rzeził nierówno, a dach wyglądał jak połatany namiot harcerski. Woozy wychylił się, uniósł kapelusz i powiedział:

– To na razie, panno Morgano. Muszę pędzić!

– Gdzie?

– Właśnie dzwonił po mnie. Jest pożar na Trzydziestej Pierwszej.

– Pożar?

– Tak jest! Ale nie będzie czekał, aż się nagadamy. Morgana odwróciła się w stronę domu, muzyki, śmiechu i powiewających flag. Następnie złapała za klamkę nasha.

– Zabierz mnie! Woozy gapił się na nią.

– Czyś ty oszalała?! Nie mogę tego zrobić! A co z przyjęciem?

– Jestem córką szefa, prawda?

– Jasne, ale my tu rozmawiamy o groźnym pożarze. To nie jest jakieś tam wydarzenie, jak to

o trzech parach spodni zniszczonych w chińskiej pralni.

– Wiem i właśnie dlatego chcę jechać.

Woozy nadał policzki i westchnął. Potem włączył pierwszy bieg i samochód szarpnął do przodu.

– Twoja sprawa – powiedział, gdy Morgana zamykała drzwi i mościła się obok niego, poprawiając spódnicę. – Nie spodziewaj się darmowego przejazdu z powrotem do domu.

Do deski rozdzielczej przyczepiony był gipsowy wizerunek Madonny.

– Dlaczego mówią na ciebie Woozy?

## 6

Dym unoszący się z płonącego budynku było widać już na ulicy Davison. Wyglądał jak ciemnobrazowy kalafior wzbijający się w niebieskie, popołudniowe niebo. Ruch uliczny wszędzie bardzo się skomplikował i poplątał. Woozy skręcił najpierw w prawo, potem w lewo, aż w końcu musiał pokazać swoją dziennikarską wizytówkę policjantowi kierującemu ruchem na Alei Michigan. Potem mógł już spokojnie skręcić na Loop i skierować się na południe do Wabash. Woozy praktycznie w ogóle się nie odzywał. Z ust zwisał mu papieros, a jego kapelusz ledwo trzymał się z tyłu głowy. Samochód strasznie szarpał podczas zmiany biegów, zupełnie jakby miał się zaraz rozlecieć.

Kanał Południowy był odgradzony. Płonący budynek znajdował się dokładnie w połowie Trzydziestej Pierwszej Ulicy, między South Canal a South Normal, tuż obok marketu Share'a. Wszędzie stały wozy strażackie z napędem na cztery koła, na mokrym chodniku leżała płatanina węży. Woozy zaparkował obok jednej z ciężarówek. Z tylnego siedzenia zabrał kamerę i lampę. Morgana również wysiadła i momentalnie usłyszała huczący odgłos pożaru. Wtórował mu lament, który raz wzmagął się, a raz uciszał. Z początku wydawało się jej, że to wiatr wiejący od strony jeziora, ale szybko zorientowała się, że to dźwięk ludzkich głosów.

Był to najbardziej przerażający dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała. Zupełnie jakby tysiąc osób miało zaraz umrzeć, ale nie było wiadomo, gdzie one są – zupełnie jak pociąg widmo: słyhać, ale nie widać. Morgana z przerażeniem patrzyła na Woozy'ego, a on tylko spokojnie wyjął papierosa z ust i ostentacyjnie rzucił go na ziemię.

– Taki jest regulamin straży pożarnej – zauważył. – Cała okolica może zaraz stanąć w ogniu, ale nikomu nie wolno palić.

Morgana podeszła za Woozym do barier policyjnych, ustawionych na narożniku ulicy. Bariery były właściwie niepotrzebne, bo i tak ulica okupowana była przez gapiów – głównie Murzynów (była to dzielnica murzyńska). Policja miała dużo kłopotów z utrzymaniem przejścia dla strażaków. Woozy pokazał kartę dziennikarską, ale policjant nawet na nią nie spojrzął i pozwolił im przejść. Przepychali się przez tłum. Morgana była oszołomiona i ogłuszona hałasem, upałem, dźwiękiem ryczących syren i duszącym smrodem spalenizny. Był to przerażający zapach spalającego się ludzkiego życia – nie tylko ciała, kości i włosów, ale również sof, pościeli, łóżek, foteli, rzeczy, ubrań, butów, listów i tapet.

Morgana przylgnęła do ramienia Woozy'ego i zawołała:

– O Boże! Co to jest?

Chodnik koło domu pokryty był szkarłatną, błyszczącą mazią. Przez moment Morgana pomyślała, że ludzie musieli wyskakiwać z płonącego budynku i rozbijali się na betonie na

miazgę.

Woozy powiedział:

– Puszki pomidory. Obok jest sklep spożywczy. Puszki musiały eksplodować pod wpływem ciepła.

W końcu Morgana i Woozy przepchnęli się przez tłum do miejsca, gdzie stało czterdziestu lub pięćdziesięciu gliniarzy trzymając się za ręce. Ich twarze były gorące od żaru, a guzików od munduru prawdopodobnie nie dałoby się tknąć. Temperatura była nie do zniesienia – musiało być około stu stopni. W momencie, gdy słyhać było huk walącego się drewna i muru lub widać było kolejny wybuch płomieni, mam odsuwał się jak rażony, ale ciągle twardo stał z szeroko otwartymi oczami, zaciśniętymi pięściami i chóralnym jękiem na ustach.

Budynek miał siedem pięter i frontalny układ mieszkań; należał do starej zabudowy z okresu Wystawy Światowej w 1893 roku. W zatłoczonych pokojach gnieździły się tysiące bezimiennych rodzin murzyńskich – żyły tu i tu umierały. Z brudnych okien na ulice miasta spoglądały z nadzieją setki oczu, marząc o lepszej przyszłości. Dom był zniszczony i opanowany przez szczury.

Po obu stronach fasady ustawiono dwie drabiny i strażacy kierowali strumienie wody w okna na trzecim piętrze, lecz ogień pojawiał się co chwilę tu i tam, wywołując lament tłumu. Nad ulicą rozciągała się ogromna chmura czarnego dymu.

Woozy pomału przesuwiał się do przodu, aż doszedł do grupki reporterów i fotografów. Morgana szła blisko niego. Rozpoznała Edwarda Masona, znakomitego reportera z „Tribune”, Vincenta Geruso z „Daily News” i Murzyna Mellisha z NBC. Wszyscy mieli filcowe kapelusze i wyglądali, jakby zaopatrywali się na tej samej wyprzedaży. Ubrani byli w sportowe płaszcze z obwisłymi kieszeniami i krawaty o jaskrawych kolorach, które raziły w oczy bardziej niż ogień. Z nerwowym napięciem wpatrywali się w płomienie, jakby ponaglając je, żeby szybciej się wypaliły, to będą mogli wrócić do redakcji, napisać o tym i zdążyć jeszcze na szybkiego drinka do O’Leary’ego.

Woozy pomachał przyjaźnie ręką, witając jednego czy dwóch fotografów, którzy wyglądali starzej i bardziej ponuro niż cała reszta. Potem przepchnął się przez tłum reporterów i pociągnął za rękaw młodego człowieka o szerokiej twarzy, ubranego w brązowo – biały płaszcz i brązową muszkę. Młody człowiek skupiał całą uwagę na płonącym budynku, jednocześnie kłócił się z Vincentem Geruso na temat sprawy dotyczącej gwałtu Montgomery’ego i systematycznie wkładał do ust kawałki czekolady *Baby Ruth*.

– To jasne jak słońce – mówił. – Cześć, Woozy! To jasne jak słońce. Szef policji był głównym członkiem Klanu, oczywiście prokurator stanowy też do nich należał. Więc powiedz mi, jakie szansę miał Montgomery?

Geruso, facet z dużym nosem, w okrągłych okularach, powiedział:

– Harry, nie przeciągaj struny. Prawda jest taka, że Montgomery był winny, a to, że jest czarny, nie czyni z niego niewiniątka. Przestań, przecież zaciągnął ją do szopy i zrobił swoje. Jedyny powód, dla którego zdecydowano się go zwolnić, to fakt, że było to politycznie dogodne.

– Nie chrzań! Dogodne! Ten facet był niewinny. Dwadzieścia sześć lat w pace, a był niewinny.

Woozy powiedział zdenerwowany:

– Harry, przepraszam, że przerywam, ale...

– Ale? Ale co? Po co się tu włóczysz? Idź, zrób kilka zdjęć. Może staniesz się sławny.

– Czy jeszcze ktoś został w budynku? Chyba już nikt, co? – wtrąciła się Morgana.

Harry obrzucił ją beczelnym, zdziwionym spojrzeniem. Woozy ostrzegawczo chrząknął i zrobił dziwną minę usiłując dać mu znać, że jest ona kimś ważnym. I zanim cokolwiek Harry zrobi lub powie, powinien o tym pomyśleć. Wszyscy pracownicy „Star” wiedzieli, że Howard Croft Tate ma ładną starszą córkę i wszyscy widzieli jej zdjęcie. Jednak nie każdy widział ją osobiście. Nie każdy też rozpoznałby ją w sierpniowe popołudnie na zatłoczonej i zadymionej bocznej uliczce. Tym bardziej, że to dziś miała świętować swoje dwudzieste pierwsze urodziny, w Weatherwood, gdzie trunków starczyłoby na upicie wszystkich redaktorów „Star” na cały rok.

– Jak do tej pory, wiadomo, że budynek jest pusty – odpowiedział Harry. – Ale pięciu ludzi było poparzonych.

– Poważnie? – spytała Morgana, zanim Harry zdążył zapytać kim jest i dlaczego chce to wiedzieć.

– Śmiertelnie – odparł. – Jeden starzec, jedna kobieta koło dwudziestki i trójka dzieci.

– To straszne.

– Tak, to było straszne. Masz rację.

Morgana przechyliła głowę, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

– Nie wydaje mi się, żebyś był tym zdenerwowany, ani nawet podekscytowany.

– No bo nie jestem – odparł Harry. – To już dziesiąty pożar w tej dzielnicy od pierwszego lipca. Łącznie z tą piątką, co zmarła dzisiaj, to już szesnaście osób martwych w przeciągu miesiąca i trochę.

– Dziesięć pożarów? – zapytała Morgana z niedowierzaniem. – Myślisz, że to podpalanie? Że ktoś to robi celowo?

Harry powoli odwinął ostatni kawałek czekoladki. Czekoladka roztopiła się pod wpływem upału, więc oblizwał palce.

– Czy jesteś kimś, kogo powinienem znać? Woozy robi tu cały czas głupie miny, chrząka, sapie. Kim ty jesteś? Kimś z rady miejskiej? A może jesteś ulubioną młodą pracownicą jego wysokości?

Morgana zapytała lekko rozbawiona:

– Nie znasz mnie?

Harry, żując czekoladę, zmierzył Morganę z góry do dołu. Mądra, pomyślał. Bogata i nie z jego klasy społecznej.

Jeśli chodziło o Morganę, to musiała przyznać, że pomimo okropnych ciuchów Harry był całkiem przystojny. Był dość wysoki, dobrze zbudowany, barczysty, jakby grał w piłkę i trenował boks. Było w nim coś pociągającego. Miał dużą, kościstą twarz, jasne brwi i głęboko osadzone niebieskie – prawie turkusowe – oczy.

– Nie jesteś z prasy – powiedział z naciskiem.

– Jestem. I to z prasy przez duże P. Harry spojrzał zakłopotany.

– A może z telewizji? „Women’s Wear Daily”? Albo magazyn „Life”?

– Croft Tate, na miłość boską! – powiedział Woozy z naciskiem, a potem zacisnął zęby.

Na twarzy Harry’ego pojawiło się podejrzenie, ciekawość, zaniepokojenie i w końcu coś w rodzaju obojętnej ulgi. Wskazał palcem na Morganę i oskarżająco powiedział:

– Morgana Croft Tate. Księżniczka prasy. Dziś mają być twoje urodziny.

– I są.

– A więc wszystkiego najlepszego! – powiedział z dezynwolturą. – Ale co ty tu robisz? Czy nie powinnaś świetnie się bawić w swojej rezydencji.

– Powinnam i właśnie to robię.

Vincent Geruso złapał tylko fragment tej rozmowy, przechylił się przez ramię Harry’ego i powiedział:

– O co chodzi? Czy ktoś wymienił mrozące krew w żyłach nazwisko Croft Tate?

– Przestań, Vinny! – warknął na niego Harry.

– Przestań? – Vincent zwrócił się w stronę Morgany i powiedział z większym naciskiem: – Słyszałaś to, młoda damo? Ten pies gończy ze „Star” ma mniej delikatności niż Tennessee Williams.

– Vinny! – powtórzył Harry, tym razem tonem ostrzeżenia.

Vincent wzruszył ramionami i zdjął okulary. Podniósł je do góry i spojrzał, jakby ich nigdy przedtem nie widział.

– Popiół – powiedział. – Proszę spojrzeć.

– Proszę wybaczyć temu chuliganowi – odezwał się Harry.

Rozległo się więcej syren. Ogień zajął już trzecie piętro budynku. Rozciągnięto dodatkowe dwadzieścia sześć stóp drabiny. Nie kończący się huk ognia przerywany był brzękiem rozbijających się szyb i rumorem spadających belek. Policja nawoływała tłum do wycofania się, na wypadek gdyby fasada domu spadła na ulicę.

– Czy to jest twój przepis na dobre przyjęcie? – spytał Morganę Harry.

– Chciałam tu przyjechać. Chciałam to zobaczyć.

– Tak po prostu wszystkich zostawiłaś? Czy Laurence Olivier jest jednym z twoich gości?  
I książkę, jak mu tam?

Morgana uśmiechnęła się lekko.

– Oni są w porządku. Jest cała śmietanka.

– Ale co ty tu robisz? – nalegał Harry. – Jesteś turystycznie, czy co?

– Chciałam to zobaczyć i tyle. Chciałam to widzieć, tak jak wy.

Harry ściągnął swój bezkształtny kapelusz i wierzchem dłoni wytarł pot z czoła. Upał na ulicy był nie do wytrzymania. Ogień utrudniał oddychanie i wszyscy sapali: reporterzy, gliniarze, strażacy i gapie – wszyscy równo. Bardzo przedsiębiorczy murzyński chłopiec ciągnął za sobą skrzynkę Coca – Coli – ciepłej – i kasował dwadzieścia centów za butelkę, bez zwrotu pieniędzy za kaucję.

– Czy twój starszek wie, że tutaj jesteś? Morgana pokręciła głową:

– Nie byłby zachwycony, nawet gdyby to nie były moje urodziny.

Harry zrobił kwaśną minę.

– Dzisiaj skończyłaś dwadzieścia jeden lat. Chyba możesz robić co ci się podoba.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie o pożary – powiedziała.

– Co chcesz wiedzieć? Ubezpieczają budynek na podwójną wartość rynkową i podpalają go.

– Czy nie pisaliśmy już o tym w „Star”? – spytała.

– Masz na myśli komentarz? Nie, nie dało się.

– Dlaczego?

– Ponieważ prawnicy zabronili, oto dlaczego. Ponieważ cały ten obszar od Dwudziestej Dziewiątej do Trzydziestej Dziewiątej Ulicy, między South Wells i South Union, należy do gentlemanów, których drażliwość jest już legendarna. Gdybyś napisała historię o tym, że krytykowali „sfincuni” swojej matki, gdy mieli jedenaście lat, to bez chwili wahania mogliby cię pozwać do sądu, albo zrobić jeszcze coś gorszego.

– Ale przecież tu zginęli ludzie! – protestowała Morgana.

– Nie po raz pierwszy i nie ostatni – powiedział Harry. – Posłuchaj, wcale nie jest mi to tak zupełnie obojętne. Ale co można zrobić? Policja nie może niczego udowodnić, a my tym bardziej. Nawet gdybyśmy mogli, to i tak w sądach przeważają sędziowie, którzy wolą łatwe rzeczy, takie jak dziewczyny czy dwudziestoletnia whisky i rachunki o dużym nominale. Pojęcie sprawiedliwości jest dla nich abstrakcją. Nie przezwyciężysz tych ludzi. Możesz opisywać tylko to, co widzisz, i to, co wiesz.

Morgana przesłoniła oczy ręką, ponieważ ogień przybrał na sile.

– Nie miałam o tym pojęcia – powiedziała. – Jak można zabijać ludzi dla pieniędzy?

Harry spojrzał, rozbawiony jej naiwnością.

– Rozumiem, że nie jest ci łatwo to pojąć, skoro masz wszystkiego pod dostatkiem, a nawet

w nadmiarze. Ale wierz mi, obecna stawka za ludzką istotę na Near South Side nie wynosi więcej niż siedemdziesiąt dziewięć centów, mniej niż cena sztucznego nawozu, dużo taniej niż solona wieprzowina.

Podszedł do nich dowódca strażaków – jego policzki były zaróżowione od gorąca, a nos pobrudzony popiołem. Podniósł rękę w powitalnym geście dla prasy, a dwóch czy trzech fotografów zrobiło mu zdjęcia. Był przysadzistym, rudym Irlandczykiem o jasnych wyłupiastych oczach i akcencie, który zdradzał jego pochodzenie. Rozpiął gumowy płaszcz i wyciągnął rękę. Edward Mason podał mu bez słowa brązową papierową torebkę, w której była butelka bourbona. Dowódca pociągnął duży łyk i również bez słowa oddał butelkę.

– Jak idzie, szefie? – zapytał Harry, wyciągając notes.

– Na pewno pali się znakomicie – odpowiedział.

– Czy są dalsze ofiary?

– Na razie nie. Dwóch moich ludzi poparzyła gorąca glazura. Jones i Kutowski. Zabrano ich do szpitala.

– Czy to było podpalenie? – spytała Morgana.

Oczy szefa strażaków śmignęły w jej stronę tak szybko, jak język kameleona polującego na muchę. Potem spojrzał na Harry'ego.

– Kim jest ta młoda dama? – zapytał ochryłym głosem. Jego gardło przeżyło już cztery tysiące chicagowskich pożarów; płonęły w nich ryby, meble, siarka, wołowina i wiele innych rzeczy.

– Myślę, że nie to zamierzała powiedzieć. Proszę się tym nie przejmować – powiedział Harry.

– Przedstaw mnie, dobrze? Nieczęsto człowiek tak zapracowany jak ja ma okazję spotkać tak elegancką młodą damę, a do tego głoszącą prowokujące opinie.

Harry czuł się niezręcznie.

– Panno Croft Tate, to jest dowódca strażaków Bryan z chicagowskiego oddziału straży pożarnej. Panie Bryan, to panna Morgana Croft Tate.

– No, no. Powinienem był panią rozpoznać, prawda? – powiedział i wyciągnął z kieszeni spodni chusteczkę, aby zetrzeć z ręki sadzę i pot, zanim poda ją Morganie. – Ale o co chodzi z tym podpaleniem? Tu nie ma o czym mówić.

Z lękliwej miny Harry'ego Morgana wywnioskowała, że lepiej nie poruszać tematu przy Bryanie. Domyśliła się, że jeśliby zaczęła dyskusję o rozmyślnym podpaleniu budynków, powołując się na to, co powiedział jej Harry, to „Star” mogłaby mieć w przyszłości kłopoty z uzyskaniem informacji od straży pożarnej. Uśmiechnęła się tylko, tak jak powinna to zrobić córka wpływowego i zamożnego potentata prasowego i powiedziała:

– To było tylko zwykłe pytanie. Zastanawiałam się właśnie, jak w tak ogromnym budynku



mógł wybuchnąć pożar, być może ktoś to zrobił umyślnie.

Bryan sapnął, oparł ręce na biodrach i popatrzył na zgromadzonych dziennikarzy z wyrazem ojcowskiego pobłażania, jakby chciał, żeby mu powiedzieli, dlaczego Bóg zezwala, aby taka młoda, elegancka dziewczyna zawracała mu głowę tak bezsensownymi pytaniami, podczas gdy on – tak jak zawsze – wykonuje swój obowiązek wobec Chicago i całej ludzkości.

– Widzisz, moja droga, jest wiele przyczyn pożarów – odpowiedział, a jeden z reporterów zaśmiał się. – Grzejnik olejowy, papieros, zła instalacja elektryczna, dzieci bawiące się zapalkami. Hotel Florence zapalił się od patelni, na której smażyły ryby.

– Więc pewnie był to przypadek? – spytała. Czowała, że jej policzki są czerwone ze wstydu i upału.

Bryan popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem dodał:

– O, tak. Bez wątplenia.

Spojrzał na Harry'ego, jakby go ostrzegał: młody przyjacielu, trzymaj tę damę z daleka; a potem poszedł porozmawiać z innymi dziennikarzami.

– Co go tak bardzo rozzłościło? – spytała.

Harry wertował swój notes udając, że z nią nie rozmawia.

– Czy twój starszy pan mnie wyleje, jeśli ci powiem, żebyś trochę myślała, co mówisz?

– Masz na myśli...

– Dokładnie tak. W przeciągu miesiąca mieliśmy dziesięć pożarów, szesnaście osób zginęło, ale wydział straży pożarnej nie zakwalifikował żadnego jako podpalenie. Ani słówka na ten temat. Wszystko czyste przypadki.

– A Bryan?

– Nikogo o nic nie oskarżam. Powiedziałem tylko, żebyś pomyślała. Rusz swoje szare komórki. Dziesięć pożarów i śmierć szesnastu uznaje się za przypadkowe. Pan Bryan jeździ nowiutkim superautem, nie wspominając o łodzi rybackiej i wiosennych dwutygodniowych wakacjach nie kochanej pani Bryan w Fort Lauderdale, a wszystko to za roczną pensję w wysokości dziewięciu tysięcy dwustu siedemdziesięciu dolarów.

– Muszę przyznać, że jestem wstrząśnięta – powiedziała Morgana.

– Dlaczego? Czy tatuś nigdy nie mówił ci, jakie to miasto? Myślałem, że jest to część twojej podstawowej edukacji. Przecież twój tatuś zna pana Bryana i większość ludzi, którzy go „wspomagają”.

Morgana odwróciła się i spojrzała na dowódcę – śmiał się głośno i przyjaźnie poklepywał po ramieniu Vincenta Geruso.

– Życie i dusza krematorium – zauważył Harry.

– Ojciec rzeczywiście mówił mi, że życie w tym mieście jest ciężkie. Opowiadał mi o gangsterach, których znał – takich jak Hymie Weis czy Al Capone, z którymi widział się raz

czy dwa. Ale nie mówił, że ludzie podpalają innych dla pieniędzy, a potem się z tego śmieją.

– Tak to właśnie wygląda – odpowiedział Harty. – Życie jest ciężkie, a potem się umiera. Jeśli masz trochę szczęścia, to załapiesz się po drodze na jakieś pieniądze.

– Ale skoro wiemy wszystko na temat tych pożarów, to dlaczego nie opublikujemy nic w „Star”?

Harry wcisnął notes do obwisłej kieszeni.

– Żartujesz, panno Croft Tate! Możesz podejrzewać rzeczy, od których łeb spuchnie do podwójnych rozmiarów, ale jest różnica między tym, co wiesz, a tym, co możesz udowodnić. Wśród sędziów nie ma nikogo, kto by nie pochwalał uczciwości, pilności i poczucia obowiązku Bryana, a tyczy się to sądów w całym stanie Illinois.

– Ale dlaczego? – nalegała Morgana.

– Są dwa powody – powiedział Harry i spojrzał do góry, gdzie dym nad budynkiem był tak czarny i gęsty, że wyglądało to na wybuch wulkanu. – Po pierwsze, oni też biorą i jeżeli jeden z nich się narazi, to istnieje niebezpieczeństwo, że reszta też. Po drugie żaden z nich nie chce skończyć w statystyce przypadkowych wypadków. Twój starszek mówił ci o Hymie Weissie. Pozwól, że ci powiem, iż ludzie obecnie rządzący miastem są dziesięć razy bardziej cywilizowani niż on, dziesięć razy inteligentniejsi i dziesięć razy bardziej niebezpieczni.

Morgana pomyślała od razu o ludziach, którzy bywali na nocnych przyjęciach jej ojca, albo przychodzili pograć w ruletkę. Nie byli to zwyczajni goście, gwiazdy filmowe czy politycy, ale gładko ogoleni mężczyźni w eleganckich koszulach i idealnie uszytych smokingach; którzy właściwie nic nie mówili, a mimo to ich obecność w domu wprowadzała atmosferę niepokoju.

Słychać było okropny huk, jak gdyby przetaczano dwie lokomotywy naraz. Kawał muru spadł na ziemię razem z płonącym szkieletem całej konstrukcji. Na jednej ze ścian znajdowała się reklama żelu do włosów *Sweet Georgia Brown*, który reklamowała ciemna dziewczyna trzymająca słoik. Połowa jej twarzy nagle odpadła i spadła na dach marketu Share.

– Musimy się jeszcze spotkać. Musimy o tym porozmawiać – powiedziała Morgana.

– Możemy rozmawiać o czym tylko zechcesz – powiedział Harry. – To ty jesteś szefem, a przynajmniej córką szefa – to to samo. Ale wierz mi, to nic nie da. Są rzeczy, z którymi można walczyć, ale są też takie, które trzeba obejść.

– Kiedyś, kiedy ojciec umrze, ja będę właścicielką „Star”.

– I co wtedy? Zniszczysz to miasto kawałek po kawałku, cegła po cegle?

– Jeżeli coś pozostanie do tego czasu – odparła.

– Oj, będziesz się jeszcze musiała wiele nauczyć – zauważył Harry.

Od strony tłumu dobiegł głośny krzyk. Wyjątkowo piskliwy wrzask, po którym dało się słyszeć westchnienie. Jeden ze strażaków biegł jak burza przez ulicę, wołając Bryana.

– Szefie! Szefie! Na dachu są ludzie! Na dachu są ludzie!

Morgana z przerażeniem spjrzała do góry. Z początku nie było nic widać ze względu na wirujący dym, ale po chwili wiatr zmienił się, przegnał dym i wyraźnie było widać trzy osoby: mężczyznę, kobietę i dziewczynkę – wszyscy byli Murzynami. Machali rękami i wołali o pomoc, chociaż ich głosy ledwo było słycać w huku ognia. Tuż za nimi pojawiły się płomienie i było pewne, że za kilka minut spłoną żywcem.

Bryan szybkim krokiem skierował się w stronę budynku. Dziennikarze szli tuż za nim, korzystając z drogi, jaką im torował wśród policjantów i strażaków. Morgana również ruszyła za nim, głównie dlatego, by w rozhisteryzowanym tłumie nie stracić kontaktu z Harrym. Woozy pojawił się tuż obok niej i lakonicznie powiedział:

– Co za pośpiech! Widzisz, jak szybko ruszają swoje tyłki, kiedy nadarza się okazja napisania jakiejś historyjki. Można nawet pomyśleć, że ich to bawi.

– Fotografowie – odciął się Vincent Geruso. – Szakale żerujące na nowościach.

– Jedno zdjęcie jest warte tysiąc słów, panie Geruso – rzucił Woozy.

Bryan podszedł do zaparkowanego samochodu i wyciągnął przez otwarte okno głośnik. Jednocześnie skinął na wysokiego strażaka, który stał niedaleko i wyglądał, jakby kurtka, którą miał na sobie, była o kilka rozmiarów za duża, a hełm – kilka rozmiarów za mały.

– Melvin, chcę mieć tu zaraz rozwiniętą siatkę ratunkową, i to szybko, do cholery!

– Już niosą, szefie!

Bryan powiedział sam do siebie:

– To i tak nic nie da ludziom skaczącym z siódmego piętra. Równie dobrze mogliby skakać na beton.

Tłum krzyczał z przerażeniem, gdy troje ludzi na dachu przesuwano się po krawędzi budynku, jakby byli linoskoczkami, a tuż za nimi pojawiały się płomienie. Mężczyzna ściągnął koszulę i wymachiwał nią, wołając o pomoc. Kobieta i dziecko doszły do końca dachu, który znajdował się osiemdziesiąt pięć stóp nad ziemią i ukucnęły tam, nie ruszając się i nie krzycząc, jakby czekały na pewną śmierć. Bryan wziął głośnik, włączył go i powiedział ochrypłym głosem:

– Duveen! Weź drabinę napowietrzną i przysuń ją tak blisko narożnika, jak tylko dasz radę.

Już podczas wydawania rozkazu wiedział, że to się nie uda. Najdłuższa drabina miała najwyżej osiemdziesiąt pięć stóp długości, a sterty cegieł i gruzu na chodniku uniemożliwiały podjazd wozu strażackiego wystarczająco blisko. Kierowca robił co w jego mocy – silnik wył, kiedy podjeżdżał na zwałowisko gruzu, ale i tak dojechał tylko na odległość dwudziestu stóp od budynku, co było zdecydowanie za daleko. Dodatkową przeszkodę stanowił ogień – tuż przy narożniku, gdzie stali ludzie, zawaliła się płonąca klatka schodowa, wybijając frontowe okna na

czwartym piętrze. Wyglądało to jak złowrogo płonące schody do piekła. Nieszczęśnicy nie mieli szans przedostać się na drabinę, od której odgradzała ich ściana ognia. Ich los zdawał się przesądzony.

– Zalejcie ten cholerny ogień, dobra? – wrzeszczał szef Bryan. Ten ryk wzmocniony siłą mikrofonu wydawał się głosem wszechmocnego Boga.

Natychmiast skierowano na klatkę schodową dwa węże, ale niestety w całości była ona zbudowana z drewna i pokryta linoleum, tak że po każdej próbie zalania wodą wybuchały nowe płomienie. Woda gonila ogień z jednego okna do drugiego, jakby była to zabawa w chowanego.

– Dajcie tę siatkę! – zawołał Bryan.

Ośmiu strażaków przybiegło z płócienną siatką ratunkową. Jeden z oficerów podprowadził ich jak najbliżej budynku, tak że znajdowali się tuż pod uwięzionymi ludźmi. Wiszący za nimi plakat reklamujący usługi okulistyczne Dr Sacha (darmowe badanie, dogodne raty) nagle zwinął się i spadł jak deszcz jesiennych, brązowych liści.

– O Boże! – powiedziała Morgana i przyłgnęła do ramienia Harry’ego. – Niemożliwe, żeby skoczyli przez ten ogień.

– To nie robi żadnej różnicy – powiedział Harty – i tak nie przeżyją. Siatka ratunkowa zapewni im tylko łagodniejszą śmierć.

– O Boże! Nie mogę tego wytrzymać!

– Będziesz musiała, bo tu nie ma rady. A poza tym, czy nie po to tu przyjechałaś? Masz prawdziwy życiowy dramat.

– Nigdy wcześniej nie widziałam nikogo umierającego.

– Jeśli chcesz znać prawdę, to jestem tak samo przerażony.

Tłum nagle ucichł. Ogień osiągnął niebotyczne rozmiary. Huczący dźwięk był tak straszliwy, że nawet Bryan opuścił ręce i zupełnie bezradny stał i patrzył w górę. Morgana odwróciła się i popatrzyła na tłum – czerwone piekło odbijało się we wszystkich oczach setkami malutkich płomyczków.

I właśnie wtedy ktoś zaczął śpiewać. To był hymn. Stara murzyńska pieśń o śmierci i rezygnacji – *Take this Hammer*. Podchwycona została przez resztę i po chwili śpiewali ją wszyscy, a ich lament był głośniejszy niż huczący ogień, tak że trójka ludzi wysoko na dachu musiała to słyszeć. Na każdej twarzy widać było łzy, które osuszała żar. Mężczyzna na dachu przestał machać koszulą. Stał nieruchomo – czarna postać na tle płomieni.

Weź ten młot i daj kapitanowi,

Weź ten młot i daj kapitanowi,

Powiedz mu, że odszedłem,

Powiedz mu, że odszedłem,

A gdy spyta, czy biegłem,  
A gdy spyta, czy biegłem,  
Powiedz, że leciałem,  
Powiedz, że leciałem.

Potem mężczyzna na dachu rozłożył szeroko ręce, jak gdyby wierzył, że może wznieść się wysoko w powietrze i lecieć spokojnie w dal – daleko od gorąca, daleko od dymu, daleko ponad jezioro, gdzie lecą łabędzie i gdzie słychać szum ich skrzydeł. Tłum ciągle śpiewał, ale nieco ciszej. Ze strachem obserwowali przez dłuższą chwilę, jak stał na krawędzi z uniesioną głową. Był żywy. Był wciąż żywy. Ale żar ognia pewnie przypiekał mu plecy; w pewnej chwili niebieska smuga dymu z tyłu głowy wskazała, że jego włosy zaczęły się palić.

Mężczyzna zrobił krok do przodu – zszedł z gzymsu. Tłum krzyczał. Ośmiu strażaków trzymających siatkę ratunkową zawołało niemal jednocześnie: „Jezu Chryste!”

Mężczyzna leciał przez płomienie z rozpostartymi ramionami. Strażacy miotali się z siatką w lewo i w prawo. Mężczyzna spadł niecałą stopę od siatki, jego nogi weszły w ziemię tak miękko, jakby zamiast cegieł na gruzowisku była woda. Dźwięk tego upadku był niesamowity. Wyrzucił ramiona w górę i klasnął jak nurek triumfalnie mówiący – voila! Lecz kości biodrowe złamały się i mężczyzna upadł na twarz; jego nogi ciągle były sztywno wbite w gruzowisko i tylko kości udowe sterczały jak poręcze fotela.

Strażacy natychmiast znaleźli się koło niego, podnieśli z rumowiska i zawinęli w koce.

– Nie żyje?! – zawołał Bryan. Cały czas trzymał w rękach tubę, żeby tłum słyszał, co mówi.

– Jeszcze oddycha! – krzyknął jeden ze strażaków. – Ma złamany kręgosłup i połamane nogi. Jest też mocno poparzony. Myślę, że nie przeżyje.

Morgana zakryła oczy rękami, chociaż było już za późno na to, aby uniknąć widoku nagłego upadku mężczyzny. Harry położył jej rękę na ramieniu i lekko ścisnął.

– Dobrze się czujesz, panno Croft Tate? Słuchaj, lepiej idź już stąd. Teraz może być już tylko gorzej.

Morgana cała się trzęsła. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy. Przez kilka chwil nic nie słyszała, ale potem hałas tłumu, syreny i huk ognia nagle wróciły, jakby ktoś otworzył drzwi, które tłumili ten zgiełk.

– Panno Croft Tate? – powtórzył Harry z naciskiem. – Naprawdę myślę, że czas już iść. Poproszę Woozy’ego, żeby cię odwiózł.

Morgana z uporem pokręciła głową. Sama, z własnej woli przyjechała zobaczyć, co się tutaj dzieje, i była zdecydowana zostać do końca. Czowała, że jest jej gorąco, była przerażona i zszokowana, ale jednocześnie twarda i wytrzymała. Kiedyś doznawała takich uczuć w momentach napięcia, złości i niepewności czy nawet namiętności, ale jeszcze nigdy do takiego

stopnia, nigdy nie była tak przerażona. Czują, jakby paliła się tak jak ten dom – kości, nerwy i umysł stały w płomieniach.

– Zostaje – powiedziała.

Harry wzruszył ramionami jak kibic po rozgrywce pokerowej, która przestała już być interesująca.

Tłum ciągle śpiewał. Ogień ryczał wokół dachu jak rozjuszony lew. Morgana jeszcze raz spojrzała w górę i widziała tylko kobietę i dziecko, jak owinęły głowy sukienkami, żeby chronić je przed wściekłym gorącym. Doszły już do samej krawędzi gzymsu i pozostało im albo skoczyć, albo spłonąć. Głos tłumu falował – wznosił się i opadał, jakby tworzył duchową kołyskę, do której kobieta i dziecko mogą bezpiecznie skoczyć.

– Proszę pani? – krzyczał Bryan. – Czy pani mnie słyszy? Musi pani skakać!

– Skacz! – piszczała Murzynka, która odstawiała historyczny taniec na chodniku.

– Skacz! – wrzeszczeli strażacy, tworząc wyjątkową mieszankę włoskiego, irlandzkiego i polskiego akcentu.

Po chwili coraz więcej ludzi w tłumie zaczęło krzyżeć: Skacz! Skacz! Skacz! aż brzmiało to jak odgłos przetaczanej lokomotywy.

Mieszanka huku ognia i wrzasków tłumu tworzyła piekielną kompozycję. Morgana zatkała uszy rękoma. W momencie gdy to zrobiła, zapadła nagle cisza, ponieważ kobieta wstała i wyprostowała się. Dało się słyszeć ogólne: Och! Kobieta paliła się. Jej suknia dymiła, a włosy płonęły, jakby miała na głowie koronę z pomarańczowych cierni. Nie krzyczała, stała cicho i bez ruchu, obserwując slumsy miasta. Paliła się. Zrobiła krok do przodu i runęła w dół jak płonąca pochodnia.

Złapano ją w siatkę ratunkową. Jej ciało kilka razy odbiło się od siatki. W końcu zaduszono ogień, zawinięto w koce i bardzo ostrożnie położono na noszach. Przez moment strażacy, którzy nieśli kobietę, wyglądali jak *Pieta* Michała Anioła. Woozy skorzystał z okazji i zrobił zdjęcie, po czym szybko przekreślił film i był gotowy do następnych.

– Cholera! Nie żyje! – zauważył Bryan, zanim mu powiedziano. Wytarł pot z górnej wargi i dodał: – Może to i lepiej, z takimi poparzeniami. Nic tak strasznie nie boli jak poparzenia.

Z wnętrza budynku dochodziły odgłosy walenia się konstrukcji. Płonąca klatka schodowa zapadła się zupełnie, ciągnąc za sobą kolejne wewnętrzne ściany. Budynek był bliski zawalenia – na to tylko czekał Bryan. Nagle płomienie zmniejszyły się i strażacy byli w stanie przysunąć drabinę tak, że znajdowała się ona pięć czy sześć stóp od dziewczynki.

Bryan nie musiał szukać ochotników. Młody strażak z jasnym wąsem biegł już w stronę drabiny. Tłum przestał śpiewać i zaczął dodawać mu otuchy: Biegnij, młodzieńcze! Biegnij! Alleluja!

– Boże, proszę – powiedziała Morgana i zasłoniła usta ręką.

– Melvin, chcę tu mieć karetkę, zaraz jak znieśliemy tę małą – zarządził Bryan. – I usunąć tych ludzi z ulicy. Ten budynek runie, nim się spostrzeżemy.

Młody strażak wbiegł po drabinie jakby na górę po schodach. Dobrze zahaczył nogi o ostatnie szczeble i Morgana widziała, jak wyciągnął ręce do dziewczynki. Ale drabina ciągle była za daleko. Tylko kilka centymetrów, a jednak za daleko.

– Czy nie można jeszcze wyciągnąć tej piekielnej drabiny? – wrzeszczał szef.

– Przykro mi, proszę pana, jest wyciągnięta maksymalnie! – odparł strażak w za małym hełmie.

Krzyk i nawoływania tłumu nagle ucichły. Od strony Trzydziestej Pierwszej wiał wiatr jak wygłodniały demon, który ma apetyt na młode dusze – zionął popiołem, iskrami i duszącym kurzem. Dym pokrywał budynek grubszą warstwą, a czasem pochłaniał strażaka razem z drabiną. Strażak wołał do dziecka:

– Chodź, dziecinko! No chodź! Uda ci się! Skocz, a ja cię złapię!

– Matko święta! – mruczał Bryan i gryzł kostkę lewego kciuka. Zapomniał wyłączyć mikrofon i chrapliwe bluźnierstwo było słychać na całej ulicy. Jednak nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszystkie spojrzenia utkwione były w małą dziewczynkę, osiemdziesiąt pięć stóp nad ich głowami i w płomieniach, które wiły się tuż za nią – gdy wiatr wiał silniej już prawie jej dosięgały, a potem znowu odsuwały się tak, jakby ją drażniły, podpiekały, lizały ramiona i włosy.

Ręce strażaka były tylko cztery stopy od niej, ale dziewczynka dalej siedziała skulona i nie chciała skakać.

– Chodź, dziecinko! Na pewno ci się uda! – błagał ją cały czas strażak, ale ona nie ruszała się – jak mały świeżo opierzony ptaszek, który boi się spróbować. Miała w oczach przerażenie, że zaraz spłonie.

– Mamusiu! Mamusiu! – krzyczała.

Nawet przez trzask płomieni, na dole było słychać jej cieniutki głosik. Tłum westchnął. Wszyscy widzieli, że jej matka umarła, ale ona ciągle wołała: Mamusiu! Mamusiu! Jakby tylko mama mogła ją uratować.

– Zaufaj temu człowiekowi, dziecino! – krzyczał jakiś Murzyn. – Skacz! Zaufaj mu!

Wewnątrz budynku słychać było dalsze hałasy walących się części. Nośna ściana zapadła się razem z belkami podtrzymującymi podłogę i większością drugiej klatki schodowej. Młody strażak odwrócił się, przyłożył ręce do ust i zawołał:

– Ona nie skoczy! Nie zrobi tego! Chce, żeby mama ją zabrała!

– Wielkie nieba, jej matka jest w drodze do kostnicy – mruczał Bryan. – Lefkowitz, chcę, żeby ta ulica była pusta. Bez gadania. Ta konstrukcja się wali. O’Hare, jak się nazywa ten oficer, ten na drabinie?

– Ford, proszę pana. Bryan wziął głośnik i ryknął:

– Ford! Masz najwyżej piętnaście sekund! Jeśli nie sprowadzisz jej w ciągu piętnastu sekund, chodź sam! Ten dom się wali! Piętnaście sekund, to jest rozkaz!

– Ona nie skoczy bez mamy! – zawołał strażak niemal histerycznie.

Morgana podeszła i złapała ciepły rękaw kurtki Bryana.

– Proszę pana! – ponaglała go.

– Co, u diabła, chcesz?

– Chcę iść na górę.

– Czyś ty zwariowała? Co się z tobą dzieje? Nie możesz tego zrobić. A teraz odejdz, jestem zajęty, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś.

Ale Morgana nie puszczała rękawa.

– Niech pan posłucha, ta dziewczynka chce matki. Ja jestem kobietą. Może będę mogła pomóc.

Bryan gapił się na nią czerwonymi od dymu oczami.

– Nie ma mowy!

– Przecież ona tam spłonie, jeżeli ktoś czegoś nie zrobi.

Bryan wyrwał rękę.

– Słuchaj, jesteś osobą cywilną, a wejście na wysokość osiemdziesięciu pięciu stóp wymaga treningu. Co będzie, jeżeli wejdiesz tam na górę i poślizgnie ci się noga? A co będzie, jeżeli budynek się zawali i ciebie przydusi?

– Co będzie, jeżeli ta mała dziewczynka zginie, a pan nie zrobi wszystkiego, co możliwe? – odpowiedziała. – Jak pan myśli, jak to będzie wyglądało na pierwszej stronie „Star”? *Dowódca strażaków poświęca dziecko.*

Wysoko ponad nimi dziewczynka płakała:

– Mamusiu! Mamusiu! Boli mnie! Uratuj mnie, mamusiu! Uratuj!

– Proszę – błagała Morgana.

Bryan wpatrywał się w Morgane, a na jego twarzy pojawiły się pytania, wątpliwości i wściekłość, ale nie było czasu na szukanie odpowiedzi.

– Melvin! – zaryczał.

– Tak, proszę pana.

– Melvin, jeszcze coś wypróbujemy – szybko zaczął odpinać guziki kurtki. – Ta pani pójdzie na górę namówić tę małą, żeby skoczyła.

– Ale, proszę pana?

– Słyszałeś! – krzyknął Bryan. Pod kurtką miał niebieski mundur. Szybko zdjął marynarkę – pod spodem ukazał się gruby brzuch, koszulka w paski i czerwone szelki strażackie. Pomógł Morganie założyć marynarkę, zapinał guziki i podniósł kołnierz, żeby osłonić jej włosy.

– O’Hare! – rozkazał. – Daj mi swój hełm. Piegowaty strażak podszedł i dał swój hełm. Na



niego był dobry, ale na Morganę zdecydowanie za duży i wyglądała, jakby miała na głowie dzwon. Szef zapiął pasek pod szyją i warknął:

– Słyszałaś, co powiedziałem. Nie masz już czasu. A poza tym zgłosiłaś się na ochotnika, więc jeśli coś się stanie ani ja, ani Straż Pożarna nie ponosimy odpowiedzialności. A teraz wchodź na drabinę i to szybko. I wierz mi, przyrzekam, jeśli się tam zabijesz, to cię zamorduję. Właściwie i tak cię zamorduję. Oficer Melvin pójdzie za tobą.

– Tak jest! – powiedziała Morgana.

Harry stał tuż za nią, gdy zamieniała swoje superszpilki na buty strażackie z grubą podeszwą.

– To szaleństwo – powiedział dosadnie. – Co, u diabła, powie twój starsuszek? Przez ciebie stracę pracę.

Morgana podała mu buty.

– Zaopiekuj się nimi, dobrze? – poprosiła. – A jeśli chodzi o mojego ojca i to, co powie, to nie wiem i nie dbam o to, i nie mam czasu, żeby o tym dyskutować.

Harry odwrócił się do Bryana i zawołał:

– Szefie! Pójdzie pan za to do piekła!

Ale Bryan machnął tylko ręką, jakby go zwalniał.

– Proszę ewakuować ulicę. Ciebie to też dotyczy. Wycofujemy się, zanim zostaniemy zrównani z ziemią.

Morgana szła już po drabinie, a tuż za nią oficer Melvin.

– Szefie! – nalegał Harry, wskazując na Morganę. – Tam do góry idzie Morgana Croft Tate, córka Howarda Croft Tate!

Bryan odwrócił głowę i ze złością popatrzył na Harry'ego.

– A czyją córką jest ta mała na dachu?

Żadna celna riposta nie przyszła Harry'emu do głowy, ale jak Bryan odchodził, powiedział głośno:

– Może wcześniej trzeba było o tym pomyśleć, dużo wcześniej, przed pożarem.

Szef cofnął się, ale sienie odwrócił.

Morgana zaczęła mieć wątpliwości, kiedy znalazła się na jednej trzecią wysokości drabiny. Metalowe szczeble były śliskie, pokryte sadzą i gorące jak rozgrzana rączka patelni. Dym leciał od strony domu, prosto na nią, i były chwile, kiedy nie widziała nic oprócz swoich rak, elegancko pomalowanych paznokci i brylantowego pierścionka. W momencie kiedy dym zniknął, niemal go żałowała, bo widziała wtedy w dole całą ulicę, a kiedy była mniej więcej w połowie drogi, ulica wydawała jej się odległa o tysiące mil. Gęsto zgromadzeni ludzie, wozy strażackie i węże wyglądały jak zabawki. Daleko na wschodzie widziała szpital Michael Reese i mgłę unoszącą się nad jeziorem. Kolana i łokcie zaczęły jej drżeć od wysiłku, a w gardle dusił dym i strach. Melvin szedł cały czas tuż za nią, więc ani na chwilę nie mogła się zatrzymać i odpocząć. Najgorsze było

to, że jego silne kroki powodowały, iż cała drabina trzęsła się niepokojąco. Chęć, jaka ją wypełniała, gdy zdecydowała się wejść na górę, sukcesywnie ją opuszczała. Im wyżej się wspinała, tym mniej zapachu w niej zostawało. Gdy od szczytu dzieliła ją jedna trzecia drogi, nie zwracając uwagi na Melvina, musiała się na chwilę zatrzymać. Przyłgnęła do drabiny i skoncentrowała się, aby odzyskać odwagę i oddech.

– Boże, błagam! – modliła się i zamknęła mocno oczy.

– Chce pani iść dalej? Nie mamy zbyt wiele czasu – powiedział Melvin.

Najtrudniej było wejść na kilka ostatnich szczebli. Kiedy zobaczyła podeszwy butów młodego strażaka, który stał na szczycie drabiny, nie miała właściwie siły nic powiedzieć. Nie miała odwagi spojrzeć w dół – nigdy przedtem nie zdawała sobie sprawy z tego, że lęk przed upadkiem może być tak ogromny. Bardzo mocno zaciskała ręce na szczeblach, a to zaczęło się jak drżenie ze strachu, zmieniło się w niekontrolowane drżenie każdego mięśnia.

Ogień na dachu parzył jej twarz wraz z gorącymi podmuchami wiatru, a huk był tutaj o wiele bardziej przerażający niż na dole. Młody strażak spozjrzał na nią ze zdziwieniem i krzyknął:

– Co jest, do cholery!

Morgana przechyliła się lekko w lewo, aby zobaczyć gzyms i siedzącą tam dziewczynkę. To, co na dole wydawało się tylko wąską przerwą między drabiną i dachem, tutaj zdawało się przepaścią nie do przebycia. Tuż nad ich głowami siedziała dziewczynka z głową nakrytą różową, bawełnianą sukienką, tak jak kazała jej mama. Nie mogła mieć więcej niż sześć, siedem lat. W rękach trzymała gumową lalkę z różową buzią.

Morgana odwróciła się, żeby trochę odpocząć od straszliwego upału, który wysmażył jej gardło, naprężył skórę i wysuszył oczy. Co chwilę gęste chmury dymu połykały wszystko i dziewczynka zniknęła im z oczu.

– Przyszłam pomóc – powiedziała Morgana do młodego strażaka. Jej głos brzmiał obco, jak wysoki pisk. – Dziewczynka chce mamy, pomyślałam, że mogę pomóc!

– Szef ciebie przysłał, czy co? – spytał. – Nic nie możesz tu zrobić.

– To jest jego kurtka – powiedziała, ale nie puściła się, żeby pokazać złotą odznakę.

– Nie mogę jej osiągnąć – powiedział strażak. – Za chwilę zapali się ostatnia część dachu i wtedy już po nas.

Morgana zawołała:

– Dziewczynko! Dziewczynko! Słyszysz mnie? Dziecko potrząsnęło głową i zawołało:

– Mamusiu! Mamusiu!

– Przyszłam zabrać cię do mamy! – krzyczała Morgana. – Ale musisz się pospieszyć! Nie chcesz przecież, żeby ogień cię osiągnął! Mamusia mówiła, żebyś skoczyła – tak jak ona to zrobiła, ale ty nie musisz skakać na ziemię. Strażak cię złapie! Ale musisz skoczyć! Mamusia chce, żebyś skoczyła!

– Chcę mamy! Chcę mamy! – krzyczała mała.

– Skacz! – błagała ją Morgana. – Mamusia mówi, żebyś skakała!

Z wnętrza dał się słyszeć kolejny huk i przez moment wszystkich zakrył nagły wybuch dymu i iskier. Morgana słyszała głos Bryana ponaglający policję do szybkiej ewakuacji ulicy, a potem ten sam głos zawołał:

– Ford, to koniec! Panno Croft Tate, czas minął! Ściągamy was na dół!

– Nie! – krzyknęła Morgana, ale jej gardło było pełne dymu, więc prawdopodobnie Bryan jej nie słyszał. Poczula jak drabina chwieje się i że załoga na dole odsuwają od budynku i ściągają w dół. – Nie! Nie! – ciągle wołała.

– Proszę pani, musimy zejść – powiedział oficer Melvin. – Chodźmy! To rozkaz szefa!

Morgana przez chwilę zawahała się. Weszła jeszcze o cztery szczeble wyżej i stanęła po prawej stronie strażaka. Zawołała:

– Trzymaj mnie! Przytrzymaj mnie za nogi! Jeżeli się wyciągnę, mogę jej dosięgnąć!

Strażak spojrział na nią z niezdecydowaniem. Był brudny i spocony, ale pomimo to widać było, że jest bardzo młody.

– Przytrzymaj mnie! – rozkazała Morgana i weszła jeszcze wyżej, jedną ręką trzymając się drabiny, a drugą jego ognioodpornego płaszcza.

Weszła na najwyższy szczebel drabiny, na którym mogła się utrzymać bez pomocy. Potem strażak złapał ją za łydki, żeby ją utrzymać i powstrzymać od przechylania się do przodu. Melvin również wszedł wyżej i podtrzymał młodego strażaka w pasie.

Na samym szczycie, mając stopy zaczepione o ostatni szczebel, Morgana powoli i ze strachem puszczała drabinę – najpierw jedna, potem druga ręka, aż w końcu złapała równowagę i wyprostowała się. Wyciągnęła ręce i dotknęła gorącego muru. Tuż nad nią, około dziesięciu cali, dziewczynka patrzyła na nią z przerażeniem i zafascynowaniem – jednak ciągle nie ruszała się i cały czas trzymała lalkę. Opierając się jedną ręką o mur, Morgana wyciągnęła drugą w stronę dziecka.

– No, chodź teraz – zachęcała ją. – Złap moją rękę! Twoja mama czeka na ciebie. No chodź, ona czeka!

Morgana przeżyła moment desperacji, gdyż miała wrażenie, że dziecko nigdy się nie ruszy, że spłonie w jej oczach. Ale nagle kawałek dalej konstrukcja dachu zawaliła się tuż za dziewczynką. Wszystko stanęło w ogniu, płonące kawałki latały koło nich. Dziewczynka głośno krzyczała. Jej sukienka paliła się. Mała stanęła na nogi i bez ostrzeżenia rzuciła się w stronę Morgany.

Morgana też krzyczała. Dziewczynka spadła prosto na nią, uderzając ją czołem w zęby. Złapała ją za sukienkę, ale materiał się rozdarł i dziecko prawie się wyślizgnęło. W tej chwili młody strażak podtrzymał małą i zgasił palące się na jej plecach ubranie. Melvin wrzasnął na dół:

– Ściągnijcie nas stąd, dobra? – i drabina zaczęła zjeżdżać. Morgana kurczowo trzymała się ostatniego szczebla i ciężko sapała. Strażak wziął od niej dziewczynkę i ostrożnie, ale z triumfem podał ją Melwinowi. Dziecko łkało, ale oni byli z tego bardzo zadowoleni – oznaczało to, że mała jest żywa i ma siłę się żalić.

Młody strażak pomógł Morganie zejść z drabiny. Miała wrażenie, że nogi się pod nią uginają. Zbliżał się do niej Bryan, a z nim Woozy i Harry oraz cała reszta dziennikarzy. Aparaty fotograficzne trzaskały jak kastaniety. Bryan bezceremonialnie podszedł do Morgany i zdjął jej z głowy hełm strażacki.

– Masz sine usta – zauważył, a jego irlandzki akcent zdradzał wzruszenie. – Co twój tata na to powie?

Morgana powiedziała drżącym głosem:

– To ta mała. Uderzyła mnie głową, kiedy skoczyła.

– Chyba wiesz, że jesteś bohaterką?! – powiedział Bryan.

– Myślę, że muszę usiąść.

– Chodź – powiedział Harry. – Mój samochód jest zaparkowany zaraz za rogiem.

– Panno Croft Tate! Panno Croft Tate! – błagali ją reporterzy.

– Proszę coś powiedzieć. Czy bała się pani tam na górze? Co ta mała pani powiedziała? Jak ją pani zmusiła do skoku? Prosimy o kilka słów!

– Panna Croft Tate nic nie powie – uciał Harry.

Morgana powoli rozpięła kurtkę Bryana, ale on położył rękę na jej ramieniu.

– Proszę ją zatrzymać, panno Croft Tate. Myślę, że zasłużyła pani na nią. Czy chce pani, żeby ktoś z moich ludzi odwiózł panią do domu?

– Panno Croft Tate! Niech nas pani nie trzyma w niepewności! – wrzeszczeli reporterzy.

Morgana zobaczyła oficera Melvina stojącego za nią i zapytała:

– Co z małą?

– Wszystko w porządku! – powiedział Melvin, zdejmując hełm. – Dzięki pani. Ma poparzenia drugiego stopnia na plecach i trochę na rękach, ale wyjdzie z tego. Zrobiła pani coś niesamowitego. Wywarło to na mnie duże wrażenie. Naraziła pani swoje życie, ale było warto – sprowadziła ją pani na dół.

– No, już wystarczy – powiedział władczo Harry, wziął Morgane za rękę i przeprowadził między ciężarówkami i wężami strażackimi.

Ulica była już niemal pusta. Za Morganą szło kilku Murzynów. Szli za nią aż do samochodu Harry’ego, klaskali i wołali:

– Dziękujemy ci! Alleluja! Dziękujemy! Pani z pewnością ma klasę!

Kiedy doszli do narożnika, usłyszeli głośny złowieszczy huk. Odwrócili się i zobaczyli, jak część budynku spada na ulicę, a druga część przygniata wozy strażackie. Kłębiąca się chmura

czarnego dymu wypełniła powietrze. Harry powiedział:

– Widzisz. Masz szczęście, że nie zginęłaś.

Jego żółty ford woodie zaparkowany był na chodniku. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął kluczyki i otworzył Morganie drzwi od strony pasażera.

– W tych stronach zawsze trzeba zamykać – powiedział, zabierając stare gazety i pudełka po popcornie z siedzenia – jeśli chce się mieć pewność, że po powrocie będzie na czym siedzieć.

– Chyba nie odwozisz mnie do domu? – zapytała Morgana po wejściu do samochodu.

Harry nachylił się:

– A to co ma oznaczać? Niby gdzie miałbym cię zawieźć, do knajpy Triangle Hot?

– Skoro już wspomniałeś, to z chęcią zjadłabym hot-doga – powiedziała. Czuła, że jeszcze drży, ale cały czas była zdecydowana. – Ale myślałam, że mamy artykuł do napisania: „Dziewczynka uratowana z płonącego budynku”.

– Ho, ho! Wolnego! – odparł Harry. – Nie zapominaj, kim jesteś. Jesteś córką mojego szefa – oto kim jesteś. A jak myślisz, co powie mój szef na to, że pozwoliłem ci wejść na drabinę strażacką, gdzie o mało nie zginęłaś, a potem nie zawiozłem cię do domu?

Morgana powiedziała:

– Słuchaj, panie Sharpe. Przynajmniej przede wszystkim jesteś reporterem. To oznacza, że pierwszą rzeczą, jaką powinieneś zrobić, jest wrócić do redakcji i napisać artykuł. Tak, jestem córką szefa i wierz mi, twój szef nie ucieszy się, kiedy na pierwszych stronach ukaże się ten artykuł, zamieszczony przez wszystkie gazety oprócz „Star”. Więc lepiej już jedźmy. Tracimy czas.

Harry westchnął, zamykając drzwi samochodu.

– Boże, miej w opiece jej ojca!

– Co powiedziałaś? – spytała, gdy siedział za kółkiem.

– Powiedziałem, żeby Bóg oszczędził twojego ojca, bo kiedy on umrze, ty przejmiesz wszystko i, nie mam na myśli nic osobistego, nie będzie mi to odpowiadało.

Morgana dokładnie obejrzała osmaloną twarz w samochodowym lusterku.

– Dlatego, że jestem dziewczyną? – spytała. – Chyba powinnam powiedzieć: kobietą? O Boże, ale ja wyglądam.

Harry włączył silnik i wrzucił pierwszy bieg.

– I dlatego, że jesteś cholernie narwana! – powiedział i z hukiem zjechał z krawężnika.

– Wiesz, jak ta mała ma na imię? – spytała Morgana.

– Co?

– Czy wiesz jak ta mała ma na imię. Do artykułu. Prowadząc jedną ręką, drugą sięgnął po notes, który miał w kieszeni i przeczytał:

– Doris Wells. Lat sześć i pół. Kobieta, która umarła – Mary-Beth Wells. Mężczyzny jeszcze nie zidentyfikowano. Nie był jej mężem.

Morgana mocniej zawinęła się w kurtkę strażacką. Choć dzień był ciepły i wilgotny, czuła, jak robi jej się zimno, tak zimno, że zaczęła szczerkać zębami.

– Wszystko w porządku? – zapytał Harry.

– Jestem w lekkim szoku, ale przejdzie mi, jak dojedziemy do biura i kupisz mi hot-doga.

– Wiesz, że powinnaś pozwolić zabrać się do domu? Nie jesteś w zbyt dobrej formie, żeby jechać do biura.

– Nie przypuszczałam, że to cię interesuje – powiedziała.

– Wcale nie jestem takim złym facetem, jak się mnie bliżej pozna. A poza tym chcę utrzymać moją posiadłość, a nie wracać znowu do polskiej „Zgody”.

– To tam pracowałeś wcześniej?

– Sporadycznie, od czasu do czasu – odpowiedział Harry. Dojechali do rogu South Normal i Trzydziestej Ulicy – takiej samej obskurnej dzielnicy z parszywymi trzypiętrowymi budynkami, szopami, garażami i zniszczonymi sklepami. Kiedy dojechali do skrzyżowania, czarny, dziewięcioosobowy cadillac podjechał od strony South Normal i zakręcił tuż przed nimi. Harry gwałtownie nadepnął hamulec, zaciągnął ręczny i wyskoczył z samochodu.

– Gdzie biegniesz? – zawołała zdziwiona Morgana. – Co robisz?!

– Daj mi minutkę! – odkrzyknął. – Muszę coś załatwić.

Harry nie dogoniłby cadillaca, gdyby połowa South Normal nie była zablokowana rozrzuconymi kartonami i śmieciami. Limuzyna zmuszona była zwolnić i zatrzymać się kilka metrów za nimi, bo ogromna, brudna ciężarówka torowała sobie drogę z przeciwnej strony alei, blokując przejazd. Harry dogonił limuzynę i puknął pięścią w dach. Morgana odwróciła się na siedzeniu, żeby obserwować Harry'ego przez tylne okno. Widziała, że pasażer cadillaca opuścił szybę, a Harry zaczął rozmawiać z nim – kimkolwiek był – z ogromną złością. Machał swoim notesem jak sędzia na meczu i odwrócił się, wskazując w stronę pożaru.

Morgana cierpliwie czekała przez dwie lub trzy minuty – drżała trochę. Potem z ciekawości otworzyła drzwi i wysiadła. Ostrożnie szła w stronę cadillaca. Z wielkim zainteresowaniem obserwowało ją trzech murzyńskich chłopców owiniętych drelichem i bawiących się na śmietniku oraz mężczyzna pałacy skręta oparty o rozklekotany balkon. W radiu grali *Good Night Irene* w wykonaniu Leadbelly.

Harry krzyczał:

– To pięć istnień ludzkich! Czy pan to rozumie? Pięć! I co ja mam o tym napisać? „Kolejny niefortunny wypadek w następnej ogniowej pułapce na South Side”? Niech mnie pan posłucha, panie Vespucci. Oni skakali z dachu, płonąc.

Morgana doszła do samochodu i stanęła tuż za Harrym.

– Panie Sharpe! – powiedziała dobitnie.

Harry odwrócił się. Był tak zły, że jego twarz była czerwona jak burak.

– Powinnaś zostać w samochodzie – powiedział, ale wydawało się, że jest zadowolony z jej przyjsia. – Właśnie zadałem panu Vespucciemu kilka stosownych pytań na temat tego, co wydarzyło się na Trzydziestej Pierwszej. „Właściciel budynku, pan Enzo Vespucci, lat sześćdziesiąt dwa – znany milioner, człowiek z miasta, przyjaciel wszystkich w Chicago, którzy mają pieniądze i wpływy, wyraża swój głęboki żal z powodu śmierci mieszkańców i zapewnia, że następnym razem spróbuje ewakuować wszystkich przed podpaleniem budynku”.

– No, daj już spokój, przyjacielu – dało się słyszeć łagodny głos z włoskim akcentem z wnętrza limuzyny. – Wiesz dobrze, że nie powinieneś tak mówić.

Morgana zbliżyła się do Harry'ego i zajrzała do środka samochodu. Na kremowym, welurowym siedzeniu rozpiął się mały mężczyzna w szarym, letnim garniturze. Miał elegancki filcowy kapelusz i krawat Chicago Club. Nie było wątpliwości co do jego pochodzenia – jego skóra miała złotawy kolor świeżo zrobionej lasagne, oczy były ciemne i smutne, nos natomiast duży i wystający. Na kolanach trzymał kota, który patrzył na Morganę z hipnotyczną uprzejmością. Gdy mężczyzna zauważył ją, przestał głaskać kota i uniósł kapelusz.

– Pan Sharpe powinien nas przedstawić – powiedział z przesadną uprzejmością.

– Pan Sharpe nic takiego nie zrobi – odpowiedział Harry. – Ta młoda dama omal dzisiaj przez pana nie zginęła. Powinna pozwać pana do sądu o każdy złamany grosz, jaki pan posiada. Niech mi będzie wolno powiedzieć, panie Vespucci, że dziś posunął się pan za daleko. Od teraz, nie bacząc na pańskich prawników, „Star” będzie pana ściagała.

Morgana nachyliła się, zaglądnęła przez okno i spytała:

– Czy ten budynek, który właśnie spłonął, należał do pana? Harry odwrócił się w jej stronę i powiedział z odrazą w głosie:

– Proszę mi wierzyć, że lepiej by było porozmawiać ze szczurami ze slumsów pana Vespucciego. One chociaż nie udają, że są ludźmi.

W tym też momencie okno od strony kierowcy zostało otwarte i ukazała się w nim twarz grubego mężczyzny, który przemówił do Harry’ego równie grubym i niezwykłym głosem:

– Hej! Ty tam! Nie zapominaj, do kogo mówisz!

Enzo Vespucci przyjrzał się Morganie i powiedział czystym głosem:

– Panna Croft Tate? Czyżby była pani jedną z córek Howarda Croft Tate?

Harry usiłował odciągnąć Morgane, ale oparła mu się.

– Tak, ma pan rację, panie Vespucci. Jestem Morgana. Widziałam pana w Weatherwood na obiedzie u ojca, nieprawdaż?

– Ależ, moja droga! – powiedział Vespucci. Ze zdumieniem wskazał na niebieską, za dużą marynarkę, którą Morgana miała na sobie. Był zbyt wykwintnym gentlemanem, żeby skomentować jej ubrudzoną twarz i rozwiane włosy. – Co ty tu robisz? To nie jest miejsce dla ciebie. Przecież dzisiaj są twoje urodziny. Właśnie miałem dzwonić do Weatherwood i pogratulować Howardowi. To nie jest miejsce na świętowanie!

Morgana rozpięła kurtkę strażacką i pokazała Vespucciemu suknię od Diora.

– Przyjechałam zobaczyć pożar. My, dziewczyny z wyższych sfer, szukamy ciągle nowych podniet.

– Morgano, wybacz mi – powiedział Enzo Vespucci – że kazałem ci stać na ulicy – powiedział coś po włosku do kierowcy, który szybko wysiadł i otworzył jej drzwi. – Wejź i usiądź, proszę. Przepraszam, że nie wstaję, ale cierpię ostatnio na korzonki.

– Jakie wzruszające przeprosiny – przerwał Harry. – Ta pani nie może zostać. Jesteśmy umówieni. Niech pan nie zapomina, że spłonął budynek i pięć osób zginęło.

Morgana zwróciła się do Vespucciego:

– Pan Sharpe myśli, że ogień podłożono celowo.

Vespucci cały czas głąskał kota, jakby istniała między nimi jakaś nienaturalna symbioza. Jakby głąskanie było konieczne, aby utrzymać bicie jego serca i jednocześnie powstrzymywało kota od ataku na osoby zbliżające się do pana.



– Bardzo się zasmuciłem na wieść o pożarze – powiedział. – Oczywiście zawsze będą mnie oskarżać. Tym się odpłacają, gdy starasz się pomóc biednym. Właśnie przyjechałem zobaczyć, czy mogę jakoś pomóc tym nieszczęsnym ludziom, którzy stracili dach nad głową i swoich najbliższych.

Jego głos był tak spokojny i łagodny, że Morgana prawie mu uwierzyła. Ale Harry – nie.

– Panie Vespucci, serce mi pęknie – splunął na drogę. Gruby kierowca wysiadł z samochodu i zbliżył się do Harry’ego.

Stał tuż koło niego, wielki i niezgrabny jak niedźwiedź stojący na tylnych łapach. Miał na sobie luźny garnitur z wytartymi łokciami i kolanami, a na ramionach widać było warstwę łupieżu. Harry spojrzął na niego z przesadną obojętnością i powiedział:

– A to co, Monte Forfora? Dalej, koleś, wracaj do samochodu. Zasłaniasz mi światło.

Vespucci powiedział spokojnie:

– Ambrogio, wracaj na miejsce. – Nie przestawał głaskać kota, który z zadowoleniem przymrużył oczy. Z wyrazem złości na twarzy kierowca wrócił do samochodu i usiadł, nie spuszczał jednak Harry’ego z oka.

– Musimy już iść – powiedział Harry, wyciągając notes i ołówek. – Czy ma pan jeszcze coś do dodania?

– Niech pan pisze swój artykuł – odpowiedział Enzo Vespucci. – Ale zanim wypowie mi pan wojnę, niech się pan dobrze zastanowi. Jestem wolnym obywatelem amerykańskim, ciężko pracuję, głosuję na demokratów, proszę o tym pamiętać. W czasie wojny rząd otrzymał ode mnie tysiąc dolarów. W tym kraju istnieje prawo, które chroni ludzi od prześladowań, mam nadzieję, że pan rozumie? A są też wypadki, gdy skrzywdzony obywatel ma prawo się bronić.

– Rozumiem, że jeśli napiszę słowo „podpalacz”, każe pan Ambrogio pogrzebać mnie żywcem w jego łupieżu.

Uśmiech zniknął z twarzy Vespucciego.

– Jest pan zabawnym człowiekiem, panie Sharpe.

– Może powinien pan podać swoją wersję tej historii, panie Vespucci – powiedziała Morgana.

Vespucci zwrócił swoje ciemne oczy w jej stronę.

– Jak mam to rozumieć?

– Mógłby pan udzielić „Star” wywiadu na temat bycia właścicielem slumsów.

– Ten „właściciel slumsów”, proszę. Nie lubię tego określenia.

– Może pan tego nie lubić, ale tak mówią o panu zwykli Śmiertelnicy. Może mógłby pan wszystko sprostować. Proszę pozwolić przyjechać mi podczas weekendu.

Harry gwałtownie szarpnął za rękaw kurtki strażackiej.

– Czyś ty zwariowała! – powiedział głośnym szeptem. – To znaczy, czy ty do reszty

zwariowałaś?

Vespucci zaczął się niecierpliwić i denerwować. Powiedział po włosku do kierowcy:

– Dalej, jedziemy stąd. Nie mogę spędzić całego dnia na rozmowie z tą zwariowaną dziewczyną.

Ale Morgana powiedziała:

– Nie jestem zwariowana. Chcę po prostu wydobyć prawdę od człowieka, który zapomina o niej tak samo jak o dobrych manierach.

Enzo Vespucci zarumienił się zakłopotany i powiedział:

– Bardzo przepraszam. Nie miałem zamiaru cię obrazić. Nie wiedziałem, że znasz włoski.

– Kiedy mogę się z panem spotkać?

Vespucci zastanawiał się i wciągnął policzki, jakby miał zamiar wyssać resztki obiadu ze sztucznej szczęki.

– W niedzielę po południu będę na Winnetce oglądać wyścigi konne. Stajnie Crown Park. Twój kierowca będzie wiedział, gdzie to jest.

– Bardzo dobrze – odparła. – W niedzielę o trzeciej. Mam nadzieję, że się pan nie spóźni.

– Muszę pogratulować twojemu ojcu tak pięknej i mądrej córki – powiedział bez wyrazu Vespucci. – Myślę, że ten lokaj ze „Star” powinien zabrać cię do domu – po czym nachylił się do przodu i, tym razem po angielsku, powiedział do kierowcy: – Jedźmy już. Nie chcę zostawać dłużej w tej okolicy. Nieprzyjemnie tu pachnie, a poza tym nigdy nie jestem tu bezpieczny. Trzydziesta Pierwsza.

Cadillac zakołysał się, przejeżdżając przez śmieci.

– Niezły cwaniak, co? – powiedział Harry z niepohamowaną złością.

Ramię w ramię doszli do samochodu i otworzył Morganie drzwi.

– Dziękuję – odparła chłodno.

– Cała przyjemność po mojej stronie – równie chłodno powiedział Harry. Trzasnął drzwiami tak, że lusterko wypadło i rozbiło się na chodniku.

– To siedem lat nieszczęścia.

– Rozumiem – odparł. – I jeżeli o mnie chodzi, to zacznie się ono w niedzielę o trzeciej.

Jechali w kierunku północnym ulicą State, w stronę Loop, zostawiając za sobą nędzne ulice Południowej Dzielnicy. Mijali trędowatych potępieńców, domy o ponurym wyglądzie z urywającymi się werandami, chodniki i ulice zawałone śmieciami i wrakami samochodów. Mijali sypiące się tory i miejsca do parkowania, tablice ogłoszeniowe z przedawnionymi plakatami, które powiewały na wietrze jak kawałki złuszczonej skóry. Przejeżdżali przez skrzyżowania, na których przesiadywali Murzyni o ponurym twarzach, z wyrazem beznadziei w oczach przysłoniętych rondami kapeluszy i obserwowali ruch uliczny. Mijali porzucone samochody, zabite deskami sklepy i dziewiętnastowieczne hoteliki ze zniszczonymi gzymsami

i oknami jak puste oczy.

Morgana oczywiście już kiedyś przejeżdżała przez Południową Dzielnicę. Slumsy tej ulicy znajdowały się zaledwie kilka metrów od szokujących swoim urokiem Wacker Drive i Nord Michigan Avenue. Ale dotychczas tylko widziała South Side i był to dla niej abstrakcyjny krajobraz – miejsce, przez które trzeba było przejechać, jeśli chciało się dotrzeć na Złote Wybrzeże. Południowy brzeg jeziora Michigan zabudowany niskimi domami, zadymiony przez liczne kominy i zamieszkały przez Murzynów. Nigdy przedtem nie zauważyła zatrważającego nieszczęścia, jakie tam panowało. Nigdy nawet nie pomyślała, że ci ludzie spacerujący po ulicach, spoglądający przez okna i opierający się o rozwalone werandy nie są wzięci z filmu, tylko naprawdę tam mieszkają – to prawdziwi ludzie. Bawią się tam, chodzą do szkoły, pracują, robią zakupy, modlą się i wychowują swoje dzieci. Tutaj, gdzie ulice były zaśmiecone, domy prawie się rozpadały, wszystko wydawało się bardziej ponure i brązowe – brązowe twarze, brązowe ubiory, brązowe budynki, brązowe niebo.

– Wiesz, dlaczego Enzo Vespucci tak mnie denerwuje? – zapytał Harry, gdy przejeżdżali przez wschodnią część Dwudziestej Pierwszej Ulicy. – Spójrz na tę ulicę, tam. Trzy tygodnie temu pisałem na jej temat artykuł. Jest tam trzydzieści siedem budynków, w których mieszkają dwieście pięćdziesiąt trzy rodziny. Każda z tych rodzin płaci czterdzieści dolarów za przywilej mieszkania tam. Potrafisz to sobie wyobrazić? Czterdzieści dolarów za dwa zatłoczone pokoje z towarzystwem karaluchów i bez toalety.

Morgana spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała. Zdania, które wypowiadał, były krótkie i urywane jakby recytował coś z pamięci.

– Ten tutaj obszar – Południowa Dzielnica od Dwudziestej do Czterdziestej Siódmej Ulicy – to jest największe skupisko slumsów, jakie znajduje się w amerykańskich miastach. Miałas szczęście. Widziałas te domy tylko z zewnątrz. W środku woda spływa po ścianach, nie wspominając już o szczurach, zgniliznie i milionach robali. Czy potrafisz wyobrazić sobie życie tam? Nie, nie możesz, bo ja też nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Czy „Star” opublikowała twój artykuł? – spytała Morgana. – Nie pamiętam, żebym go czytała.

Harry zaprzeczył ruchem głowy i stwierdził:

– Wstrzymany przez prawników. Zbyt prowokacyjny. Zbyt niebezpieczny. Vespucci pozwałby nas do sądu i „Star” przegrałaby.

– Ale przecież mówisz mi w oczy, że jest podpalaczem i kłamcą.

– Oczywiście. Tylko tyle mogę zrobić, ale dla niego to jest bez znaczenia. Jeżeli chcesz wiedzieć, jego to bawi. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, iż wszyscy wiedzą, jakim jest kanciarzem. Wie również, że nie możemy zrobić nic, aby mu coś udowodnić.

Harry wyciągnął papierosy i zaproponował Morganie, ale odmówiła. Zapalił sam.

– Enzo Vespucci chce, aby Południowa Dzielnica była taka jaka jest. Właściwie to usilnie walczy, żeby tak było. – Dla niego slumsy to interes, przemysł i prowadzi go tak, jak mu się podoba. Pomyśl tylko, jaki lokator będzie bardziej odpowiedni niż przestraszony, niewykształcony Murzyn? Oni nigdy nie skarżą się władzom miejskim z powodu przeludnienia czy złych warunków sanitarnych, bo boją się tych władz. A i tak władze miejskie w ogóle by ich nie słuchały. Nie skarżą się też policji, bo sami kradną samochody, żeby zapłacić czynsz lub są alfonsami własnych sióstr i handlują narkotykami, bo nie mają nic lepszego do roboty. A sami nie poskarżą się Enzo Vespucciemu, bo tym, którzy to zrobili, połamano żebra, ich żony zostały zgwałcone, a meble spalone i to tylko w przypadku, gdy mieli szczęście.

Harry przez chwilę prowadził samochód w milczeniu, paląc papierosa. Potem kiedy przejeżdżał na światłach przez skrzyżowanie ze Wschodnią Dziewiątą Ulicą, dodał bardziej delikatnym tonem:

– Czy rozumiesz, dlaczego powiedziałem ci, że jesteś szalona? Człowiek taki jak Enzo Vespucci nie potrzebuje reklamy. Nikt nie może z nim przeprowadzać wywiadu ani próbować zrozumieć jego punktu widzenia. Jeśli pojedziesz do Winnetki w niedzielne popołudnie, to porozmawiasz sobie z dwunożną kreaturą, która uważa, że palenie ludzkich domostw to dobry interes, która nie dba o to, że pół tuzina osób usmaży się jak na rożnie. Będiesz piła herbatkę i obserwowała wyścigi konne u boku kreatury, która, jak mi wiadomo, kazała zabić ponad trzydziestu gangsterów, którą aresztowano jedenaście razy za wymuszenia, siedem razy za sutenerstwo, dwa razy za sprzedaż narkotyków i raz za krzywoprzysięstwo. Jednak żadne z tych oskarżeń nie trafiło do sądu. Vespucci to morderca, handlarz narkotyków, stręczyciel, zboczeniec i wrzód na zdrowym ciele Chicago.

– Nie boisz się go? – spytała Morgana.

– Nie żartuj sobie! Nigdy nie chodzę ciemnymi alejkami bez mojej trójkolorowej latareczki Tom Mix. Śpię ze zwiniętym niedzielnym wydaniem gazety pod łóżkiem. Przechodząc przez ulicę, spoglądam najpierw w lewo, potem w prawo, a potem jeszcze raz w lewo i nigdy nie korzystam z proponowanych przejazdów czarnym cadillakiem.

– Rzeczywiście się go nie boisz? – nalegała. Harry zrobił głupią minę.

– Można się bać i bać. Pewnie, że się boję, ale niewystarczająco mocno, żeby się wycofać.

Pomimo iż wciąż jechali przez hałaśliwe State Streets widzieli już przed sobą błyszczące drapacze chmur wyrastające wokół Loop. Beton i szkło kontrastowały z ciemnym popołudniowym niebem jak błyszczące katedry: hotel Drake, budynek Palmolive, hotel Allerton, klub Medinah Athletic i budynek Wrigley. Gdy podjechali bliżej, widzieli budynek „Tribune” z gotycką koroną, siedzibę „Star” na alei Wabash oraz trzydziestosześcioletnie domy Art Deco z charakterystycznymi balkonami i pięcioramiennymi gwiazdami schodzącymi się na dachu. Było widać chmury odbijające się w oknach.

Harry powiedział:

– Jesteś pewna, że nie chcesz jechać do domu?

– Napiszę artykuł i pojedę.

– To znaczy, poczekaś, aż ja napiszę mój artykuł, i potem pojedziesz do domu.

– Nie. To znaczy, że ja napiszę swój artykuł, a ty napiszesz swój.

Harry gwałtownie nacisnął hamulce. Taksówka, która jechała tuż za nim, ostro na niego zatrafiła, a kierowca wrzasnął:

– Co robisz, świrusie?

Harry wychylił się przez okno i zawołał:

– Kogo nazywasz świrusem, świrusie?!

– Czy nigdy nie potrafisz się opanować? – spytała Morgana.

– Opanować się?

Kierowca taksówki wysiadł i zmierzał w ich kierunku, podwijając rękawy koszuli.

– Widzisz? – powiedział Harry. – Wszystko, co znają, to przemoc.

W momencie, gdy kierowca taksówki zbliżał się do otwartego okna, Harry ruszył. Taksówkarz wrzeszczał i wymachiwał pięścią, a za nim ustawił się korek hałaśliwych i trąbiących samochodów.

– Czy usiłujesz mi wmówić, że masz zamiar napisać swój artykuł o pożarze? – spytał Harry. Przejeżdżali teraz przez ładniejsze ulice State Street – mijali hotel Pahner House i sklepy Marshall Field. To były tereny, które zazwyczaj odwiedzała Morgana – chodnik pod markizami Marshall Field, sklep Dwadzieścia Osiem, kawiarenki i drogie hotele. Morgana od razu odprężyła się i poczuła się bardziej pewnie. Jej policzki zaczęły nabierać kolorów. Miała wrażenie, że wraca do cywilizowanego świata po niebezpiecznej wyprawie do Afryki.

Harry skręcił w prawo na ulicę Lake w kierunku Wabash Avenue. Palił papierosa, nie wyjmując go nawet z ust.

– Co ty właściwie usiłujesz zrobić? – spytał po chwili. – Wykorzystujesz swoją pozycję córki posiadacza gazety, dla którego pracuję, oczywiście jako skromny sługa, i chcesz napisać artykuł, który ze wszech miar należy do mnie. To tak, można powiedzieć, jakbyś odbierała mi chleb.

Przejechali przez most Wabash Avenue i skręcili do budynku „Star”, który wyglądał jak srebrzysty klif na brzegach rzeki Chicago. Koło budynku zacumowane były trzy duże barki – na żurawiach i łańcuchach wisiały bale gazet. Harry zawołał Billy’ego Tomahawka, który stał przy wjeździe do podziemnego parkingu. Był on rodowitym Indianinem Arikara, zawsze z ponurą twarzą i zawsze smętnie wyglądający w zniszczonej czapce i uniformie ze złotymi guzikami. Billy spojrział na niego z kwaśną miną i podniósł czerwono – białą barierę. Harry zjechał w dół z piskiem opon i odstawił przedstawienie, parkując samochód w miejscu oznaczonym: „Jerry Hammer, dyrektor do spraw reklamy”. Hałaśliwie przetarł zderzakiem po murze, zostawiając na

betonie żółtą farbę.

– Jedno, co mogę powiedzieć, to to, że masz galopującą manię prześladowczą – powiedziała Morgana do Harry’ego, gdy zmierzali w kierunku windy.

– No cóż, wszystko, co ja chciałbym wiedzieć, to, za kogo ty się właściwie uważasz – odpowiedział jej Harry. Uderzył palcem przycisk „góra”, nie trafił i uderzył jeszcze raz. – Twój ojciec jest właścicielem całej oficyny wydawniczej, gdzie pracuje jedna trzecia najlepszych i najbardziej ambitnych dziennikarzy ze Środkowego Zachodu. Wszyscy są bardzo utalentowani, a słabo opłacani. Jack Wollensky! David Tribe i Nathan Caldicott!

– Harry Sharpe! – wtrąciła Morgana, gdy dojechali na górę i drzwi otworzyły się.

– Dobrze. Niech ci będzie, Harry Sharpe – powiedział Harry i nacisnął guzik na dwudzieste trzecie piętro.

Morgana widziała swoje odbicie w lustrze z tyłu windy. Wyglądała przerażająco – była bledsza niż zwykle, pod oczami miała sińce koloru śliwkowego, a jej fryzura, rozwiana na wietrze, była w zupełnym nieładzie.

Drzwi windy zaszumiały, otwierając się na dwudziestym trzecim piętrze. Szli razem po wypastowanej podłodze korytarza, mijali ciemne mahoniowe drzwi, aż doszli do drzwi, na których widniały setki śladów dłoni wchodzących i wychodzących. Harry skoczył, otworzył drzwi i przepuścił Morgane przodem. Powiedziała spokojnie:

– Znam drogę.

Ale Harry odgryzł się:

– Do mojego biurka na pewno nie. Nikt nigdy nie może znaleźć mojego biurka, nie wyłączając mnie.

Pierwszą osobą, która na nich wpadła, był Dundas – wygadany młody Irlandczyk, w srebrnych zaręczawkach, okrągłych okularach i z fryzurą na jeża.

– Harry? – powiedział Dundas, wymachując ręką pełną papierów – Gordon chce skonsultować z tobą ostateczną wersję historii Walgreen. Mówił coś o tym, że nie stwierdziłeś jasno, czy zakładnicy zostali zranieni, czy nie... – Spojrzał na brudną twarz Morgany i na jej kurtkę strażacką. – Jak się pani miewa, panno Croft Tate? Czy wszystko w porządku? Myślałem, że dziś są pani urodziny?

– Tak to się zaczęło – powiedziała Morgana. Próbowwała się uśmiechnąć. Czowała, że staje się słaba, zmęczona i że robi jej się coraz zimniej – nie mogła uwierzyć, że aż tak zimno. A pomysł napisania własnej relacji z pożaru na Trzydziestej Pierwszej Ulicy w jakiś sposób nie wydawał się już tak nęcący. Nagle podłoga zaczęła się ruszać, ale jakoś udało się jej złapać równowagę przy pomocy najbliższej ścianki; kiedy oparła się ręką, zdała sobie sprawę, jak bardzo ogień poparzył jej palce.

– No to wszystkiego najlepszego – niepewnie powiedział Dundas. Harry kiwnął

porozumiewawczo głową, co oznaczało „splywaj”, więc Dundas oddalił się w stronę działu zagranicznego, z akompaniamentem okropnego pisku butów na gumowej podszewie.

– Chcesz skorzystać z mojego biurka? – spytał Harry. Potaknęła ruchem głowy.

– Dobrze. Chodź ze mną – powiedział i poprowadził ją przez dział wydawniczy.

Jak na tę porę dnia na dwudziestym trzecim piętrze było stosunkowo cicho. Tylko połowa reporterów i pisarzy siedziała w swoich „dziuplach” i stukala coś na maszynach. Reszta niewielkich pomieszczeń była pusta – labirynty ścięsnionych biurków i zasuniętych krzeseł, katalogów i stert papierów – wewnętrzny pejzaż straszliwego nieporządku. Dwa lub trzy telefony dzwoniły, ale reporterzy z uporem ignorowali je. Zegar ścienny pokazywał godzinę trzecią dziesięć – czyli było o wiele wcześniej, niż myślała Morgana.

– Tutaj – powiedział Harry. Poprowadził ją do swojego miejsca tuż koło okna. Stało tam obrotowe krzesło ze zniszczonym obiciem oraz sponiewierany mahoniowy katalog, który służył pewnie jako tarcza do lotek od początku kariery Harry’ego w „Star”. Biurko zavalone było stertami zadrukowanego papieru, starymi gazetami sprzed tygodnia, papierkami po czekoladkach *Baby Ruth*, pudełkami po papierosach i kubkami z zimną kawą. Po kilku energicznych ruchach Harry’ego na środku tego bałaganu wyłoniła się maszyna do pisania Underwood. Wkręcony był w nią papier z napisanymi słowami:

**brak paliwa Ihs**

**Bezpośrednie zagrożenie dotkliwego braku paliwa w mieście Chicago zostało zmniejszone ostatniej nocy do obszaru 705, ogłosił związek przewoźników AFL**

Harry wyrwał tę kartkę, otworzył szufladę i wyjął plik czystego papieru. Ostрым ruchem wkręcił kartkę w maszynę i powiedział do Morgany:

– Proszę bardzo. Pięć kartek powinno wystarczyć. Morgana usiadła niepewnie na krześle Harry’ego. Z okna za nią rozpościerał się widok na północny zachód – nieciekawym widok piętrowych garaży na State Street Bridge z ogromnym plakatem reklamy piwa Fox Head «400», sklejonym ze sobą dachów domów i wieży ciśnień, zza których wyrastały hotele Berkshire i Devonshire. W mglistej oddali widać było świecące nad przedmieściami słońce, a chmury, które kłębiły się za Albany Park i Forest Glen, wyglądały jak szary, gruby szalik. Po drugiej stronie katalogu Harry przyczepił sobie litografię Tadeusza Kościuszki – patrioty polskiego, który walczył po stronie kolonistów w amerykańskiej wojnie o niepodległość. Obok było zdjęcie Alexis Smith.

– Chyba potrafisz pisać na maszynie? – spytał Harry. Morgana odparła opryskliwie:

– Nauczyłam się w szkole. Potrafię pisać siedemdziesiąt pięć wyrazów na minutę i nawet nie

naruszę lakieru na paznokciach.

– Powinienem być się domyślić – powiedział i spojrzął na zegarek. – Muszę zadzwonić w jedno miejsce. Potem przyjdę i pomogę ci.

– Stajesz się bardzo troskliwy, jak na człowieka, któremu odbiera się chleb. I to tak nagle.

– No i co z tego. To tylko chleb – odpowiedział Harry. Zwinął wydruk artykułu o zakładnikach Walgreen i odłożył. Odszedł w stronę biura Gordona McLintocka gwizdząc *Tennessee Waltz*. Krzyknął: „Co słyszać?” do łysego mężczyzny, który pisał coś tak szybko na maszynie, że wszystkie rzeczy na jego biurku pomału zmierzały w stronę krawędzi. Łysy podniósł w odpowiedzi rękę, ale nie uniósł wzroku.

Morgana przez moment siedziała z rękoma na kolanach. Potem powoli wstała i zrzuciła z ramion strażacką kurtkę Bryana. Powiesiła ją na oparciu krzesła i znowu usiadła. Przysunęła krzesło blisko biurka. Siedziała tak, patrząc nieco bezmyślnie na pustą kartkę papieru, którą Harry wkręcił w maszynę.

Wiedziała, że jej odwaga była prawie śmieszna. Niedawno weszła na szczyt drabiny mającej osiemdziesiąt pięć stóp wysokości i z płonącego budynku uratowała dziecko. A teraz miała usiąść i opisać to tak, jakby przydarzyło się to komuś innemu. I właściwie w tej chwili miała takie uczucie, jakby przydarzyło się to komuś innemu. Czowała, że jest zmęczona, nie do życia i zupełnie nie z tego świata. Wydawało się jej, że dzwoniące telefony to jakieś odległe echo, a szum maszyn do pisania był dziwnie przytłumiony.

Znalazła zgnieciony kawałek papieru, na którym Harry zaczął opisywać strajk stacji benzynowych. Powoli zaczęła pisać:

ratunek z płomieni mct

Dzisiaj uratowałam sześciolletnią dziewczynkę z płonącego budynku mieszkalnego na Near South Side. Podczas gdy tysięczny tłum stał na ulicy i obserwował mnie, weszłam na sam szczyt drabiny strażackiej i...

Przestała pisać. Nic z tego nie brzmiało wiarygodnie. Ona sama nie wierzyła, że to się wydarzyło, a skoro ona nie mogła w to uwierzyć, to jak mogli uwierzyć czytelnicy „Star”? A nawet gdyby było to prawdą – w co jej zmęczony umysł zaczynał wątpić – czyż nie brzmiało jak przechwałki?

Wyjęła papier z maszyny i wkręciła nowy. Napisała:

ratunek z płomieni mct

Jeżeli rano, w dniu moich dwudziestych pierwszych urodzin ktoś



powiedziałyby mi, że będę

Wyrwała również tę kartkę i zgmiotła w rękach.

Właśnie wtedy pojawił się redaktor naczelny – Gordon McLintock. Był niskim i krępy męczyzną i nie wyglądał jak dziennikarz – czarne, wybrylantowane włosy, czarne jak noc oczy i gruby brzuch piwosza „zawieszony” pomiędzy śmiesznymi, czerwono-żółtymi szelkami. Gordon był jednym z najlepszych redaktorów w kraju – ojciec Morgany zaaranżował jego przejście z „Inquirer” ukazującego się w Filadelfii po tym, jak zreagował czterostronicowy dodatek nadzwyczajny zatytułowany „Filadelfia w czasie wojny” w roku 1944. Był spokojnym pragmatykiem, a do tego cieszył się renomą człowieka potrafiącego zebrać opinię publiczną przez duże O.

Uprzejmie skinął głową w stronę Morgany i powiedział:

– Dzień dobry, panno Croft Tate. I wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję – powiedziała Morgana i wkręciła następną kartkę. Napisała:

ratunek z płomieni mct

Gordon McLintock stał, trzymając ręce w kieszeniach, obserwował ją i uśmiechał się.

– Harry mówi, że powinna pani dostać medal za to, co pani dzisiaj zrobiła. Nie ma wątpliwości – pierwsza strona jutrzejszego wydania, główny temat na niedzielę.

– Właśnie to piszę – odpowiedziała Morgana. Napisała: „Pięć osób zginęło w płon” i zatrzymała się na chwilę. Usta zakryła rękoma i patrzyła na kartkę, jakby oczekiwała, że napisane słowa zejda z papieru jak małe, czarne gąsienice. Dodała: „ącym budynku dzisiejszego popołudnia”, a potem szybko wyrwała kartkę i zgmiotła ją.

– Powinna pani trochę odpocząć – powiedział delikatnie Gordon McLintock. – Może się pani położyć na kanapie w moim biurze chociaż na dziesięć minut. Poproszę Dundasa, żeby przyniósł pani trochę kawy.

– Dziękuję, ale nic mi nie jest – upierała się. – Chcę tylko dokończyć ten artykuł.

Nadchodził Harry. Gordon odwrócił się i spojrzał na niego pytającym wzrokiem. Harry mrugnął do niego nie uśmiechając się, ściągnął sportowy płaszcz i powiesił go na drewnianym wieszaku, który dzielił z Davidem Tribem i Nathanem Caldicottem.

– Czy Woozy już wrócił? – spytał go Gordon.

Harry przytaknął:

– Jest na dole, w ciemni. Odbitki powinny być gotowe za dziesięć minut.

Morgana znowu zaczęła pisać swoją historię, Harry i Gordon obserwowali ją.

Harry zapalił kolejnego papierosa i głośno wydymuchiwał dym. Przysiadł lekko na drugim

biurku i przyglądał się, jak Morgana pisze. Niebieski dym kłębił się wokół ścian, lekko prześwitywało przezeń słońce. Kiedy Morgana spojrzała na Harry'ego, wyglądał prawie jakby stał w kościele. Gordon chrząknął i przejechał drżącym palcem po nosie.

– Naprawdę nie ma potrzeby, żeby pani to pisała, panno Croft Tate – powiedział, gdy zawahała się na końcu zdania. – Mogliście ustalić z Harrym, że on napisze pani opowieść, a to i tak dałoby całkiem niezły artykuł.

– Ale przecież Harry napisałby to tak, jak on to widzi, prawda? A ja chcę napisać tak, jak ja to widzę...

– Cóż, tak czy tak pójdzie to do adiestacji do Clifforda.

– Pan Clifford to puści – odpowiedziała Morgana z królewską pewnością.

– Cóż, panno Croft Tate, obawiam się, że nawet Wszechmogący... – zaczął, ale Harry porozumiewawczo kiwnął głową w jego kierunku. Gordon wzruszył ramionami, wcisnął ręce w kieszenie i stojąc tam, gdzie przedtem, obserwował, jak Morgana pisze artykuł.

#### ratunek z płomieni mct

Po całym wydarzeniu nazwano mnie bohaterką; ale kiedy wczoraj wchodziłam po drabinie mającej osiemdziesiąt pięć stóp długości, aby uratować małą murzyńską dziewczynkę z płonącego na Trzydziestej Pierwszej Ulicy domu mieszkalnego, fakt, iż mogę zostać bohaterką, nie przyszedł mi nawet do głowy.

Minęło dwadzieścia minut i słońce schowało się za czytelną gazet. Pomiędzy biurkami przechodził szurając nogami Walter Dempsey, reporter od spraw sportu. Miał pięćdziesiąt pięć lat, a wyglądał na sześćdziesiątkę – wspaniała postać w okropnym tweedowym kapeluszu z poutykanymi haczykami na ryby, a do tego z nosem jak jasnokarminowy owoc mango. Na szyi miał niechlujnie zawiązany trawiastozielony krawat, większość guzików przy koszuli albo była odpięta, albo w ogóle nie przyszyta, więc odsłaniała podejrzanie szarą bawełnianą bieliznę. Całości dopełniały workowate spodnie. Czulo się od niego silny zapach whisky, papierosów i płynu do płukania ust Listerine.

– Wyglądasz bardziej elegancko niż zwykle, W. D. – zauważył Harry w momencie, gdy Walter usiłował postawić w jednym miejscu swoje odporne stopy. – Skąd wytrzasnąłeś taki krawat?

– Był tkany ręcznie przez ludzi z meksykańskich gór – wybełkotał Gordon.

– Nie, nie, wyciął go ze stołu bilardowego – powiedział Harry.

– A może znowu idzie na spotkanie Sinn Fein. Walter parsknął pogardliwie.

– Ignoranci! Co wy tam wiecie o dziedzictwie Dempseyów? Mój ojciec był

najznamienitszym Irlandczykiem, który kiedykolwiek postawił nogę na amerykańskiej ziemi. Umiał śpiewać jak anioł! O niebios! Czy mówiłem wam kiedyś, że pewnego wieczoru latem 1915 roku mój starszy brat szedł ulicą i pogwizdywał sobie, kiedy jakiś podniecony facet podbiegł do niego i zapisał melodię na odwrocie koperty? Wyszła z tego melodia *When Irish Eyes Are Smiling*. Czy już wam o tym mówiłem?

– Tak, mówiłeś i to jest kłamstwo – odpowiedział Harry całkiem uprzejmie. – *When Irish Eyes Are Smiling* skomponowano w 1912 roku. Muzykę napisał Bali, a słowa Olcott i Graft. Sprawdziłem w kostnicy.

– Bluźnierca – powiedział Walter do Harry’ego i poklepał go po plecach. – A co z papierosem? O Boże, przyda mi się coś dobrego. Czy idzie ktoś ze mną do O’Leary’ego? Za pół godziny muszę iść do Soldier’s Field, wystarczy czasu na przeplukanie gardła. – Przestał na chwilę mówić, chwając się sięgnął po papierosa, którego podał mu Harry. – Dziedzictwo – mówił, usiłując wycelować końcówką papierosa w zapaloną zapałkę, którą trzymał Harry, ale dopiero gdy ten złapał go za nadgarstek, udało mu się. – Co wy tam wiecie o dziedzictwie? Wy byliście poczęci na tylnych siedzeniach samochodów, w czasie filmu, ot co. Moim dziedzictwem jest Irlandia, Szmaragdowy Klejnot. Waszym jest popcorn sprzedawany na Madison i Crawford!

Dopiero teraz skierował swoją uwagę na Morganę. Spojrzał pytająco na Goniona i jednocześnie zrobił ręką taki gest, jakby pytał: Co to? Co to jest? Potem zbliżył się do Morgany z lekka przechyloną głową i zbadał ją dokładnie swoim wzrokiem. Morga – na dobrze wiedziała, że on tam stoi, ale zupełnie go zlekceważyła. Już prawie kończyła swoją opowieść i była bliska omdlenia.

– To jest... – zaczął Walter Dempsey i zwrócił się do Harry’ego: – Nowy rekrut, co? Co ona pisze? Czy mogę zobaczyć, co to jest? Wyczuwam w powietrzu strach i oczekiwanie! Panna Croft Tate we własnej osobie. Moje uszanowanie, młoda damo. Mieliśmy okazję już się poznać, prawda? Zawsze do usług.

Morgana odwróciła się, uśmiechnęła nieznacznie i skinęła głową.

– Chodź W. D., zostaw panią w spokoju – powiedział Harry. – Wynocha do swoich wywiadów piłkarskich, zanim powiesz coś niepotrzebnego.

– Ale, spokojnie, ona coś pisze – upierał się Walter. – Chciałbym tylko wiedzieć co ona pisze? Starsza córka Wielkiego Białego Jak-mu-tam-ojca zaszczyca nasze nędzne progi swoim pięknem i elegancją. I pisze! Daj spokój, stary! To trzeba sprawdzić!

Gordon usiłował go odciągnąć, ale Walter złapał kartki napisane przez Morganę i gapił się na nie z przesadną ciekawością.

– No, no – powiedział. – Mocne słowa. Czytałeś to, Gordon? Posłuchaj, tylko dobrze nastaw swoje odbiorniki.

Niepewnie odczytał na głos tekst Morgany:

„Tragiczny pożar, który wydarzył się dzisiaj, nie był przypadkiem ani zrządzeniem Bożym. To, co się wydarzyło, było przemyślanym czynem człowieka, który żyje z ludzkiej słabości i ludzkiego cierpienia. Jeżeli w tym, co zrobiłam, jest coś bohaterskiego, to tylko to, że udało mi się uchronić niewinne dziecko przed śmiercią, a tym samym choć raz przeszkodzić tym, którzy chcą sami decydować o prawie do życia lub śmierci. Nie ma też nic bohaterskiego w tym, że obcując z takimi ludźmi, zabronimy im decydować o innych osobach w ich nierozważnej pogoni za łatwym zyskiem. To tylko ludzka przyzwoitość. To...”

Doszedł do końca strony i nie mógł znaleźć dalszego ciągu. W końcu położył kartkę na biurku i powiedział z czcią będącą nie na miejscu:

– To jest wzruszające! To przemawia, panno Croft Tate! Nierozważna pogon za łatwym pieniądzem. O ludzie! Albo dzięki temu sprzedamy jutro półtora miliona egzemplarzy, albo zniszczy nas to kompletnie!

Wtedy Gordon wyciągnął rękę i położył na ramieniu Waltera. W tym dotyku było coś, co go zaalarmowało – nagle zupełnie wytrzeźwiało. W gruncie rzeczy to bardziej się zgrywał, udając pijaka. Był najlepszym dziennikarzem sportowym w stanie Illinois, a może nawet w całej Ameryce, a jego najwyższej klasy reportaże odznaczały się znakomitą wyczuciem nastroju. Joe di Maggio powiedział wprost, że Walter Dempsey odgaduje myśli zawodników, jakby czytał napisy z „dymków” unoszących się nad głowami postaci z komiksów, a Casey Stengel dodał, że wystarczy czytać tylko rubrykę tego niesamowitego faceta, no i ewentualnie menu, jeśli ma się zamiar zjeść lunch.

Morgana też wyczuła, że coś się dzieje. Okręciła się na krześle i spojrzała w drugą stronę pomieszczenia. Poprzez dym zobaczyła tam ojca, Phoebe i Johna.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Harry’ego. Harry wstał z biurka, zgasił papierosa i powiedział:

– Przyznaję się. To ja ich wezwałem. Wyjęła z maszyny ostatnią kartkę.

– Nie jestem na ciebie zła – powiedziała. – Właściwie to jestem nawet wdzięczna, że to zrobiłeś.

Zebrała wszystkie kartki z opisem pożaru i podała Gordonowi.

– Jeżeli będziesz chciał jeszcze coś wiedzieć, zadzwoń do mnie do domu – powiedziała.

Gordon wziął kopie, jakby odbierał nagrodę pocieszenia w sobotniej loterii.

– Trzymaj się – powiedział. – Clifford zajmie się tym, jak tylko przyjdzie do biura.

Phoebe podbiegła do Morgany i uścisnęła ją.

– Spójrz tylko na siebie – zawołała. – Zadzwonili z biura i powiedzieli, że pojechałaś zobaczyć pożar.

John podszedł i objął Morgane.

– Pan Sharpe powiedział nam wszystko – powiedział patrząc na Gordona.

– Ja jestem Sharpe – poprawił go Harry.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni – powiedział John. – A teraz chodźmy już do domu. Wszyscy martwili się, co się z tobą dzieje.

– Masz najlepsze przyjęcie urodzinowe od dziesięcioleci, a ciebie nie ma – powiedziała Phoebe tak piskliwie, że brzmiało to prawie histerycznie.

– Przepraszam. Woozy powiedział mi, że jest pożar, a ja chciałam tylko zobaczyć, to wszystko.

– Woozy? – grubym głosem zapytał Howard Croft Tate. – Kto to jest Woozy?

– Jeden z naszych fotografów, proszę pana, naprawdę nazywa się Joseph Proski – powiedział Harry – ale mówimy na niego Woozy – „Zagubiony” – po kumplu Plastykowego Człowieka.

– Plastykowego Człowieka? – spytał Howard kompletnie zbity z tropu.

– Już dobrze. Tatku, chcę iść do domu – powiedziała Morgana.

– Chodź – powiedział John. – To nie jest odpowiednie miejsce na świętowanie dwudziestych pierwszych urodzin.

– Moja kurtka! Muszę pamiętać o mojej kurtce!

Odwróciła się. Harry szedł, niosąc ciemnoniebieski mundur подарowany jej przez Bryana. Był ogromny, bezkształtny i śmierdział dymem.

– Proszę – powiedział. – Zasłużyłaś na to, pamiętasz?

Gdy obudziła się, sypialnię zalewało światło słoneczne. Leżała, drzemiąc przez chwilę, na poduszce we wzorki z różami, a później wyciągnęła rękę przed oczy. Trzy palce były zabandażowane, a nadgarstek owinięty opaską chirurgiczną. Uniosła głowę i wpatrywała się w rękę, a później usiadła. Wszystko, co wydarzyło się na Trzydziestej Pierwszej Ulicy i potem w redakcji chicagowskiej „Star”, wróciło waląc się na nią, jak gdyby ktoś nagle wysypał jej na głowę pudełko z rupieciami. Pożar, drabina, mała dziewczynka rzucająca się w jej Bimiona, jak zabawka na sprężynie wyskakująca z pudełka i waląca ją w głowę. A później ta dziwna, podobna do snu chwila, gdy siedząc przy maszynie do pisania Harry’ego Sharpe’a, próbowała opisać małymi i nieposłusznymi, czarnymi literkami swój gniew.

Drzwi sypialni otworzyły się i weszła matka, w prostej różowo-białej sukience projektu Pauliny Trigdre. Była bledsza niż zwykle, ale spokojna. Pachniała Chanel No 5, co zazwyczaj wskazywało, że czuła się zrównoważona i opanowana. Przysunęła białe wiklinowe krzesło (nigdy nie siadała na łózkach), uśmiechnęła się i wzięła Morgane za rękę.

– Byłaś w telewizji – powiedziała. – Jesteś niemal osobistością.

Morgana nic nie powiedziała, ale wyciągnęła obandażowaną dłoń.

– Doktor Lemon zapewnił nas, że nie stało ci się nic poważnego – wyjaśniła matka. – Och, Morgano! Przestraszyłaś nas wszystkich! Biedny John szukał cię wszędzie. Zamierzał się oświadczyć. Wiedziałaś o tym, prawda? Czy dlatego uciekłaś? John odchodził od zmysłów. I nie jestem w stanie opisać, co się działo z twoim ojcem. Szalał przez całą noc.

Morganie trudno było skoncentrować się na tym, co mówiła matka.

– Całą noc? – spytała. – Co masz na myśli, mówiąc całą noc? Jaki dziś dzień?

– Sobota, kochanie, już po porze lunchu. Spałaś.

– To znaczy, że moje urodziny się skończyły?

– Goście poszli, namioty złożone, stoły zabrane. Za godzinę albo dwie nie będzie nawet śladu po uroczystości.

– O, mój Boże, tatusiek jest z pewnością totalnie wściekły! Och, mamciu, tak mi przykro! Pojechałam zobaczyć ten pożar, nie wiem, pod wpływem impulsu. Nie sądziłam, że zabierze mi to więcej niż godzinę.

Matka pogłaskała ją po głowie.

– Cieszymy się, że nic ci się nie stało, ot co. Kilka pęcherzy na prawej ręce, szok i parę osmalonych włosów. Poza tym wyglądasz znakomicie, szczególnie jak na kogoś, kto żywi się tylko suszonymi morelami.

– Ach, mamciu – powiedziała Morgana ze szczerym żalem.

– „Adi, mamciu” – naśladowała ją matka. – Cóż, w każdym razie ojciec nie jest o to zły. Byłaś w każdym porannym serwisie wiadomości telewizyjnych i na pierwszych stronach wszystkich gazet, od „Croft Tate do „Movietone News”. Mają przyjść o czwartej i przeprowadzić z tobą wywiad.

Eleonora zawahała się, później oparła rękę na beżowym jedwabnym rogu łóżka Morgany.

– Nie mogłam uwierzyć, kiedy ojciec powiedział mi, co zrobiłaś – powiedziała poważnie. – Nie jestem pewna, czy nawet teraz mogę w to uwierzyć! Sama nie mam nic z twojej odwagi. Z pewnością nie odziedziczyłaś jej po mnie, może po ojcu. Nie wiem. Zawsze sądziłam, że jego odwaga była bardziej wyrafinowaniem. Ale to, co ty zrobiłaś, kochanie, naprawdę zasługuje na podziw. Jeśli mówię nieco chaotycznie, to wybacź, ale wciąż boję się o tym myśleć. Byłaś cudowna i uwierz, proszę, że jestem z ciebie bardzo dumna.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł uśmiechnięty John, w sportowym płaszczu i białych spodniach, niosąc duży bukiet żółtych róż.

– Kim jest ta mała gaduła? – zapytał.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że mówisz o swojej przyszłej teściowej – odparła Eleonora. – Przyniosłeś pierścionek?

John szeroko rozłożył ramiona jak Frank Sinatra.

– Niełatwo jest tu utrzymać tajemnicę. Jak w romansie Heleny Trent.

Położył kwiaty w nogach łóżka, podszedł i czule pocałował Morgane w czoło. Morgana objęła lewym ramieniem jego szyję i oddała mu pocałunek; jego zapach i ciepło były jeszcze bardziej kojące niż kiedykolwiek przedtem i nie mogła sobie przypomnieć, co sprawiło, że myślała o nim jako o sztywnym i niewrażliwym człowieku. Może była sfrustrowana. Może powinni byli zapomnieć o swoim układzie o celibacie i kochać się. Nagle wydał jej się bardzo pożądanym i wzbudzającym zaufanie. Poklepała kołdrę i John usiadł blisko niej.

– Twoja matka już ci zdradziła moje zamiary?

– Nie przejmuj się. Mamcia zawsze wszystko wygada.

– Tak – zaśmiał się.

– Cóż – powiedziała, udając zakłopotanie. – Przykro mi, że nie było mnie tu wczoraj.

John dotknął jej policzka i przestał się uśmiechać.

– Nie chcę, żebyś robiła coś takiego, kiedy się pobierzemy. Mówię poważnie, Morgana. Mogłaś zginąć. Wiem, co zrobiłaś. Wiem, że uratowałaś tę dziewczynkę. Ale...

– Wiesz, jakie my, panie Croft Tate, jesteśmy. Raczej porywcze, Co? – powiedziała Morgana, trochę rozdygotana i całkiem bliska łez.

– Uratowałaś życie tej dziewczynki – powiedział John i sądząc po wyrazie twarzy, był bardziej pod wrażeniem tego, co zrobiła, niż chciał to pokazać.

– A co z nią? – zapytała Morgana.

– Według tego, co piszą gazety, czuje się świetnie. Leży z małymi poparzeniami w klinice na Piętnastej Ulicy.

John zsunął się z łóżka i uklęknął, a ona wtuliła twarz w biały płaszcz i poczuła się bezpieczna. Lubiła słuchać, jak mówi tym swoim męskim, głębokim głosem.

– Zawsze chciałem zrobić to właśnie... wiesz, na kolanach. Wierzę – powiedział, w stare tradycje. Sądzę, że mam w sercu po prostu niepoprawnego członka Phi Beta Kappa. Ale tutaj... spójrz... – wyprostował się, wyjmując z kieszeni ciemnoniebieskie pudełko i uniósł je tak, żeby mogła je zobaczyć.

– Morgana – powiedział z dobrze wyćwiczoną szczerością. – Kocham cię bardziej niż cały świat. Chcę spędzić resztę życia z tobą. Chcę cię uczynić szczęśliwą, tak szczęśliwą, żebyś zapomniała na zawsze, jak to jest być smutną.

Morgana spojrzała ponad ramieniem Johna w stronę matki. Jej twarz miała wyraz, którego nie mogła zrozumieć. Czy to był żal? Czy smutek? Ale później po twarzy matki przemknął uśmiech i Morgana domyśliła się, że wszystko było w porządku, że jej matka była tylko zmęczona po wczorajszym przyjęciu.

– Wyjdiesz za mnie, Morgana? – zapytał John. – Napisałem specjalną piosenkę, aby ją zaśpiewać, jeśli powiesz „tak”.

– To jest to, co nazywam antybodźcem – wtrąciła Eleonora. Chwila zadumy nie pozbawiła jej zjadliwości.

Morgana nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Zanurzyła ręce we włosach Johna, przyciągnęła go blisko, pocałowała i powiedziała:

– Myślę, że nie jesteś taką złą partią.

– Hej, mm!! – zaprotestował, gdy pocałowała go znowu. – Czy to oznacza „tak”, czy co?

– To oznacza „tak”. Poza tym chcę zobaczyć pierścionek.

– Ach, pierścionek. Widzi pani, jakie są dziewczyny w dzisiejszych czasach, pani Croft Tate? Poszukiwaczki złota. Nie interesuje ich miłość i romans. Wszystko, czego chcą, to biżuteria.

– Chcę zobaczyć pierścionek – zażądała Morgana.

– W porządku, już – zgodził się John i otworzył pudełko. W środku, na białej satynowej wyściółce leżał delikatny antyczny pierścionek z misternie przeplecionych szafirów i diamentów. John podniósł go ostrożnie, chwycił rękę Morgany i wsunął pierścionek na jej palec.

– Nie jest wart milion dolarów – wyznał. – Wejść w posiadanie mojego dziedzictwa, dopiero gdy ukończę dwadzieścia pięć lat. Ale należał do mojej prababki. Zaręczyła się w domu rodzinnym w Yorku w Pensylwanii, w nocy przed bitwą pod Gettysburgiem w 1864 roku, a ten pierścionek dał jej mój pradziadek.

Morgana podniosła pierścionek tak, aby zaśniły szafiry.

– Och, John – powiedziała i łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Wczoraj myślała o nim



tak podle...

Ktoś zapukał do drzwi sypialni i John podniósł się z kolan. Wszedł ojciec Morgany. Za nim podążał wysoki, nieśmiało wyglądający mężczyzna o gładko zaczesanych białych włosach; miał na sobie dwurzędowy szary garnitur, który był elegancki, ale dziwnie obszerny i niemodny. Był to Grant Clifford, redaktor „Star”. On i Morgana stali się szczególnie dobrymi przyjaciółmi podczas jej częstych wizyt w biurach wydawnictwa i redakcji. Właściwie zawsze, kiedy odwiedzała „Star”, spędzała większość czasu siedząc w jego biurze i patrząc, jak pracuje. Uwielbiała jego, czasami doprowadzający do szału, spokój i sposób, w jaki układał najbardziej sensacyjne historie, jak gdyby przedstawiał relację ze spotkania w jakimś klubie kobiecym. Nieśmiały, opanowany, prasowy gentleman. Wszedł tego ranka ze świeżym białym goździkiem w butonierce i zwiniętym egzemplarzem „Star” pod pachą.

Howard spojrział na Eleonorę, ale Eleonora odwróciła się. Przez jedną, krótką chwilę Morgana miała wrażenie, że się pokłócili. Ale później ojciec energicznie zatarł ręce i powiedział:

– No i jak się ma nasz przyjęciowy rozrabiaka?

– Ach, tatuśku, tak mi przykro. – Przetarła oczy końcem prześcieradła. – To cudowne przyjęcie, ci wszyscy ludzie... Pewnie jesteś mną rozczarowany.

Howard wepchnął ręce w kieszenie i chrząknął z rozbawieniem.

– Chcę jedynie wiedzieć, czy się dobrze bawiłaś. Masz już dwadzieścia jeden lat i jeśli wolisz wspinać się na drabinę strażacką zamiast tańczyć, to jakież ja mam prawo to krytykować? No, nie przejmuj się. Cała reszta dobrze się bawiła, a większość gości była zbyt wstawiona, żeby zdać sobie sprawę, że wyjechałaś. Ja sam kiedyś zrobiłem coś takiego. Mój ojciec wydawał przyjęcie, kiedy otwieraliśmy drukarnię u Gary’ego. Wiesz, co zrobiłem? Wyjechałem automobilem nad jezioro Diamond razem z trójką przyjaciół i butelką Old Devastation. Wróciłem do domu dopiero po czterech dniach. To był najgorszy kac, jaki pamięta ludzkość.

Uśmiechając się lekko, Grant Clifford wysunął się naprzód.

– Cieszę się, że czujesz się dobrze – powiedział swoim spokojnym akcentem z Down East. – Harry Sharpe powiedział mi, co zrobiłaś. Cóż, nie znam żadnej innej młodej damy, która miałaby tyle odwagi.

Rozłożył gazetę i pokazał z daleka, żeby mogła zobaczyć ogromną, rozciągającą się na osiem kolumn jej własną fotografię, jak stoi na szczycie drabiny strażackiej, a mała murzyńska dziewczynka wpada jej w ramiona. Sztandarowy nagłówek głosił – *Bohaterka*. Poniżej trzydziestosześcioletni podtytuł: *Dziedziczka wydawnictwa w czasie śmiałej akcji ratowniczej na płonącym dachu*.

Morgana próbowała usiąść na łóżku. John podniósł jej poduszki i pomógł się wyprostować. Później, gdy wszyscy patrzyli na nią, wzięła gazetę i szybko ją przejrzała. Wystarczyło tylko kilka chwil, żeby się zorientować, że nie puścili jej tekstu.

Spojrzała na Granta.

– Gdzie jest kawałek, który napisałam?

Grant pokrył zakłopotanie tłumiąc suchy, wymuszony kaszel.

Howard odwrócił się ponownie do Eleonory, ale Eleonora wycofała się z kręgu osób otaczających łóżko i siedziała z rękami splecionymi przed sobą w obronnym geście, jak gdyby była zmęczona lub zmarznięta albo broniła się przed napaścią.

– Nie puściliście tego – nalegała Morgana. – Byłam osobą, która weszła po tej drabinie, żeby uratować tę dziewczynkę, a wy nie puściliście mojego własnego tekstu, z pierwszej ręki.

– My, ee, wykorzystaliśmy fragmenty – powiedział Grant. – Cóż, Harry użył fragmentów w swoim komentarzu. Spójrz, tutaj są cytaty. – Wyraźnie nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

– Ale dlaczego? – domagała się Morgana. – Czy nie było dość dobre?

Grant skrzywił się, ale Howard położył rękę na jego ramieniu, jak gdyby byli towarzyszami broni, i powiedział:

– To, co napisałaś, było dobre, kochanie, ale było też zniesławieniem. Zniesławiałaś pana Vespucciego. On mógł podjąć kroki prawne przeciw nam, a to kosztowałoby nas spory majątek.

– Ale to była prawda! Jakie to oszczerstwo?

– To jest twoja opinia – odpowiedział Howard. – Być może była to prawda. Ale nie masz żadnego dowodu, nic czarno na białym, co mogłabyś wziąć do ręki i powiedzieć sędziemu: nazywam pana Vespucciego tak i tak, ponieważ mam dowód. Pan Vespucci ukrzyżowałby nas, przybiłby nas do ściany. Chcę tylko powiedzieć, że jest moim przyjacielem w interesach, wiesz o tym, ale jednak zrobiłby to i miałby rację.

– On jest właścicielem slumsów – powiedziała Morgana zapalczywie.

– Do niego należą te kwatery o niskim standardzie, to pewne. Ni& zaprzeczyłby temu, nawet jeśli trzyma to w garści poprzez inne firmy i pełnomocnictwa. Ale ty wiesz, że ten rodzaj taniego budownictwa musi istnieć w każdym mieście. Gdzie ci wszyscy biedni ludzie mają mieszkać? A pan Vespucci nigdy nie był oskarżony o naruszenie praw mieszkaniowych.

– Tatuśku! – zaprotestowała Morgana. Ale Howard usiadł koło niej, chwycił za rękę i ścisnął je.

– Przepraszam. To był świetny tekst. Wstrząsający materiał, jak powiedział Grant. Mogę zrozumieć, że cię to boli. Ale wiesz, może zajmiemy się panem Vespuccim kiedy indziej, co?

– Prawnicy naprawdę powiedzieli, że nie możemy tego puścić? – spytała Morgana drżącym głosem. – Czy ty sam to pogrzebałeś, ponieważ tak się składa, że pan Vespucci jest twoim kumplem z nocnego klubu?

Na twarzy Howarda pojawił się grymas. Była to mina, jaką robił zawsze, gdy chciał gniewnie powiedzieć coś obraźliwego, utrzymanego w tonie protekcyjnym. „Dość tego młoda damo, rozmawialiśmy jak dorośli. Powiedziałem, co myślę, i tak będzie”. To ten rodzaj miny.

– Prowadzić gazetę to duża odpowiedzialność – powiedział. – Nie możesz tak po prostu... biegać dookoła, oskarżając każdego kogo podejrzewasz, że robi coś złego, tylko dlatego, że nie podoba ci się jego twarz. Oczekuję, że moje gazety będą prowadzić krucjaty, z pewnością tak. Oczekuję, że będą prowadzić nieustającą kampanię o sprawiedliwość i wolność. Drukujemy amerykańską flagę nad nagłówkiem, a to jest największy symbol sprawiedliwości i wolności, jaki kiedykolwiek istniał. Ale należymy także do społeczeństwa. Rozumiesz to? Służymy wspólnocie i musimy jej służyć odpowiedzialnie.

– Tak samo odpowiedzialnie, jak służy jej pan Vespucci? – zapytała Morgana z głębokim sarkazmem.

Grant potarł czoło w zakłopotaniu i rozejrzał się za Eleonorą, ale Eleonora nie reagowała.

Howard powiedział:

– Pan Vespucci ma posiadłość, firmę przewozową i fabrykę szaf grających. Jest w równie dużym stopniu częścią codziennego życia Chicago jak ja, pułkownik McCormick, Keneth Doyle lub każdy inny z ludzi, którzy wprawiają to miasto w ruch. Więc jeśli on popełnia jakieś wykroczenia, a my mamy na to dowody, wtedy możemy coś zrobić. Ale nie wolno nam rozpoczynać ostrych osobistych ataków tylko dlatego, że moja córka nie lubi sposobu, w jaki on robi sobie przedziałek na głowie.

– Tatuśku, nie interesuje mnie jego fryzura. Interesuje mnie dlaczego i w jaki sposób podpala budynki, w wyniku czego giną ludzie.

– Przykro mi, Morgano, twój ojciec ma rację – wtrącił się Grant. – Nic w tej chwili nie możemy powiedzieć o panu Vespuccim.

– Morgana jest trochę drażliwa, proszę pana. Wie pan, szok i to wszystko – powiedział John.

– Teraz ty nie zaczynaj traktować mnie protekcyjnie! – zaprotestowała Morgana, ale John zignorował ją i przechylił się, aby chwycić jej lewą dłoń. Podniósł jej rękę i zakołysał nią na boki, tak żeby Howard i Grant zobaczyli antyczny pierścienek zaręczynowy; przy tym cały promieniał z dumy.

– Widzicie? W końcu to zrobiłem. Oświadczyłem się, a ona powiedziała „tak”. Proszę złożyć gratulacje przyszłej pani Birmingham!

Morgana już chciała wyszarpnąć rękę z uścisku Johna, ale uchwyciła spojrzenie matki. To nie był czas ani miejsce. Coś zaszło między Howardem a Eleonorą. Morgana nie mogła domyślić się co, ale było widoczne, że cierpliwość Howarda jest już na wyczerpaniu, a Eleonora wręcz siłą przymusza się do uczestnictwa w życiu rodzinnym.

Howard pochylił się i pocałował Morganę w policzek, ale ona nie była w stanie uśmiechnąć się. Miała wrażenie, że wszystko, co zrobiła wczoraj, uratowanie dziewczynki, napisanie komentarza do wiadomości, zostało oszukańczo ułożone przez jej ojca, przez Harry'ego Sharpe'a, a nawet przez Granta Clifforda, człowieka, którego zawsze szanowała jako

najuczciwszego z uczciwych.

Być może to właśnie uczciwość Granta była złem. Są okresy w życiu, kiedy należy opowiedzieć się po czyjejs stronie, przynajmniej tak uważała Morgana. Gazeta nie była warta kupienia, jeśli nie mówiła otwarcie o tym, w co wierzy. Węzeł kłamstw był węzłem kłamstw, a Enzo Vespucci był draniem i nie istniała żadna inna możliwość zachowania się „fair” w tej kwestii, jak tylko nazwanie tego po imieniu.

– Bardzo cieszymy się z waszego powodu – uśmiechnął się Howard, biorąc rękę Morgany i podziwiając jej pierścionek. – Właściwie to John poruszył ze mną ten temat już parę tygodni temu. Nie żebyś potrzebowała mojego pozwolenia. Jesteś już dorosła i możesz robić, co chcesz! Ale naprawdę cieszę się z twojej zgody. Poza tym to świetna okazja, aby wydać kolejne przyjęcie. Mam nadzieję, że na nim pozostaniesz do końca.

Grant Clifford wysunął się naprzód i nachylił się nad Morgana, żeby złożyć gratulacje. Patrzył jej prosto w oczy i Morgana zauważyła, że próbował przekazać coś wzrokiem. Była to wiadomość przesyłana prosto z jego szarozielonych oczu z ich bladym, doświadczonym spojrzeniem do jej ciemnobrązowych oczu, które wciąż uwidaczniały siły życiowe i młodzieńczą ciekawość. Ta wiadomość brzmiała: przykro mi, że nic się nie dało zrobić, nie było żadnej możliwości. Mówiła też: próbowałem.

– Powinnaś pozwolić mi zafundować ci lunch, aby to uczcić – powiedział Grant. – Kiedy planujesz następne przyjście do biura?

– W poniedziałek – powiedziała Morgana stanowczo. Rzuciła spojrzenie ojcu, a wyzwanie w jej spojrzeniu było jednoznaczne. -

Jestem umówiona na wywiad z panem Vespuccim w niedzielę po południu, zamierzam przypiec go na ruszcie. A później chcę wrócić do Południowej Dzielnicy i dowiedzieć się o nim tyle, ile zdołam. Wtedy na pewno będzie można coś wydrukować! Coś nie tylko demaskatorskiego, ale też popartego dowodami.

Howard pozwolił sobie na wybuch dziwnej wesołości, jak ktoś śmiejący się do szklanki.

– Chyba nie sądzisz, że nasi reporterzy nie próbują tego od lat, kochanie? Posłuchaj: pan Vespucci nie jest tym, kim myślisz, a nawet gdyby był, nigdy nie zdołałabyś nic z niego wycisnąć. Więc proszę, zostaw go w spokoju.

– Zamierzam z nim porozmawiać w niedzielę, tatuśku, i to jest moje ostatnie słowo.

Howard pokręcił głową.

– Przykro mi, ale sekretarka pana Vespucciego dzwoniła do mnie dziś rano. Pan Vespucci odwołuje spotkanie z tobą. Musiał zmienić swoje plany na weekend i pojechać do Milwaukee. Ale... przesyła ci wyrazy uszanowania. Powiedział, że jesteś bardzo miłą młodą damą. Powiedział, że jesteś naprawdę „dolce”. „Dolce” znaczy słodka.

– Tatuśku, uczyłam się włoskiego w szkole, a on obiecał spotkać się ze mną.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Króliczku, ja tylko przekazuję wiadomości. Jego sekretarka powiedziała, że jest to jakaś pilna sprawa. Nie wiem.

Z jakiegoś powodu wydawał się rozdrażniony i niespokojny. Grant ponownie uściśnął rękę Morgany, a później wstał, poprawiając węzeł szarego jedwabnego krawata.

– W każdym razie przyjdź porozmawiać ze mną – powiedział. – Postawię ci lunch w Studni Morskiej. I pamiętaj, że życie jest pełne możliwości.

Zdawało się, że nikt w sypialni nie rozumie, co Grant chciał powiedzieć przez swoją ostatnią uwagę, nikt chyba nawet jej nie usłyszał – a nawet jeżeli słyszeli i rozumieli, nie interesowała ich. Ale Morgana była pewna, że próbował ją przekonać, że sprawa pana Enzo Vespucciego nie była definitywnie zakończona. Możliwe, że źle oceniła Granta. Być może jego pozorna niechęć do atakowania Enzo Vespucciego była wymuszona przez ojca. Musiała czekać aż do poniedziałku, żeby się dowiedzieć.

Grant skinął z szacunkiem głową w kierunku Eleonory, wziął ją za rękę i powiedział:

– Będzie się pani dobrze bawiła na ślubie, pani Croft Tate. Wszystkie te przygotowania, wszystkie te stroje dla narzeczonej, które trzeba przyszykować. Prawdziwa rozkosz.

– Nie ulega wątpliwości, że wszystkie dzieci, a szczególnie córki są prawdziwą karą boską – powiedziała Eleonora.

– To nieprawda – uśmiechnął się Grant. – Sama pani wie, że to uwielbia.

Howard i Grant wyszli razem. Grant, żeby powrócić do biura na zebranie redakcyjne z Jackiem Fawcettem, redaktorem niedzielnego wydania „Star”, Howard natomiast zjeść sałatkę z wędzonego kurczaka na zimno, zanim pójdzie pograć z Kennethem Doylem. Eleonora, John i Morgana siedzieli jeszcze przez chwilę, aby ustalić datę ślubu. Czerwiec przyszłego roku wydawał się najbardziej odpowiedni.

– Dziesięciomiesięczne zaręczyny – pokiwała głową Eleonora, zerkając na swój mały notesik ze złotym ołówkiem. – Wystarczająco długie, aby dowieść, że nie jesteś w ciąży, i wystarczająco krótkie, aby nie były zbyt frustrujące.

– Przytyjesz trochę? – zapytał John. – Ostatnio wyglądasz, jakby zostały z ciebie tylko skóra i kości.

– Obiecuję, przestanę jeść suszone morele, zamiast tego zacznę jeść suszone śliwki.

Morgana poczuła się zmęczona i Eleonora wstała, żeby wyjść. Powiedziała do Johna:

– Nie zostawaj zbyt długo, sir Galahad. Nie chcę, żeby moja córka wyschła na wiórek.

John uśmiechnął się, kiedy wyszła.

– Twoja matka wydaje się zadowolona.

– Ach, ona w sumie dość dobrze o tobie myśli. Masz odpowiednie koneksje i rozmawiasz o odpowiednich sprawach.

– To wszystko?

– A czy to nie wystarczy?

– Cóż, nie wiem – powiedział John. – Myślałbym, że pierwszą najważniejszą rzeczą jest to, żeby jej córka była szaleńczo we mnie zakochana.

– Zakochana? O czym ty, u diabła, mówisz? Mamci nie obchodzi miłość, w każdym razie nie, jeśli chodzi o troskę i dobro jej dwóch boskich córeczek. Miłość przychodzi i odchodzi, tak zawsze mówiła, ale dobre imię jest warte pieniędzy w banku, choć pieniądze w banku są nawet lepsze.

John rozejrzał się po pokoju, jakby oczekiwał, że zobaczy Eleonorę pokazującą kartki z odpowiedziami.

– Ta twoja matka jest niezwykłą kobietą.

– Jej córka jest także niezwykłą kobietą, z czego, mam nadzieję, zdajesz sobie sprawę.

John milczał przez chwilę. Później powiedział:

– Ty naprawdę chcesz mnie poślubić?

– Czy sądzisz, że zgodziłabym się, gdybym nie chciała?

– Nie wiem, nie jestem pewien. Wydaje mi się, że ostatnio nie byliśmy zbyt sobie bliscy.

Morgana pogłaskała go po wierzchu dłoni i delikatnej, rozjaśnionej przez letnie słońce linii włosów na jej krawędzi.

– Powiedzieliśmy sobie, że jeżeli warto być razem, warto też czekać, aby być razem. W ten sposób ma to większą wartość.

– Ale czy mówimy właśnie o wartości? Nie mówimy czasem o unikaniu jej, gdy przyniosła rozczarowanie?

Morgana uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

– Było dobrze wtedy na polu? Prawda? Było ci dobrze?

– Cóż, pewnie, że było mi dobrze.

– Mnie też było dobrze – powiedziała. – Po prostu czasami myślę, że chowasz się. Teraz się nie chowasz, ale czasami tak. Nie dzielisz ze mną tego, co dzieje się w twoim wnętrzu. W takich chwilach cienie lubię. Zresztą, trudno to nazwać jednoznacznie. Po prostu odczuwam niepokój, gdy patrzę na twoją twarz, która nie zdradza niczego.

John uniósł brew.

– Nie chowam się celowo. Ja nawet nie wiem, że to robię. Pocałowała go.

– Następnym razem powiem ci, kiedy to zrobisz, żebyś mógł przestać. Czy wiesz, co powiedział o tobie Oscar Hammerstein?

– Nie, nie wiem.

– Powiedział, że jesteś przystojny, ale wyglądasz jakbyś nie miał ani jednego mięśnia.

– Mięśnia? – oburzył się John. – Co znaczy mięśnia? Przygotowuję się, aby być prawnikiem,

a nie umięśnionym atletą.

– Wspaniały John! – drażniła go Morgana.

– Zaskarżę tego Hammersteina, wygram proces i puszcę go z torbami – odparował John, udając zdenerwowanego. Spojrzał na zegarek. – Słuchaj, muszę już iść. Twoja matka powiedziała, żebym cię nie przemęczał. Chcę ci tylko powiedzieć, że cię Kocham.

– Ja też cię Kocham, John. – Morgana usłyszała swoje słowa jakby z oddali.

Wstał i spojrzał na nią z góry.

– Znowu to robisz – powiedziała.

– Robię co?

– Robisz się taki odległy, jakby twój mózg wyszedł sobie na przechadzkę po parku.

– Bo wyszedł, jeśli o to chodzi. Zastanawiam się, ile będziemy mieć dzieci i jak je nazwiemy.

– Dzieci? – zapiszczała Morgana.

– Już idę, idę. Zadzwoń jutro po południu, jeśli ci to odpowiada.

– Przyjdź na lunch.

Nagle pomyślała o odwołanym wywiadzie z Enzo Vespuccim i dodała już mniej szczęśliwa:

– Nie mam nic do roboty.

Kiedy John wyszedł, Morgana zadzwoniła na dół po Millicent, żeby przyniosła jej filiżankę herbaty cytrynowej i podwójną kanapkę z wędzonym łososiem. Później zadzwoniła na Lukię, żeby przyszykowała jej świeżą koszulę nocną – czystą bawełnianą kreację w kolorze jasnej cytryny z białym kołnierzykiem i mankietami z angielskiego haftu z belgijskiej pracowni Aimee. Wzięła prysznic, a później zarzuciła cytrynowy, bawełniany peniuar, otworzyła francuskie okna swojej sypialni i sącząc herbatę, wyszła na balkon.

– Czy coś jeszcze, panno Morgano? – zapytała Millicent, wyglądając z łóżka.

Morgana potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję ci, Millicent. Poczytam gazetę i prześpię się chwilę, ludzie z kroniki filmowej mają przyjść o czwartej.

Stała na balkonie, trzymając się rzeźbionej, żelaznej poręczy i spoglądając w kierunku ogrodów. Sypialnia wychodziła na południe, roztaczał się z niej widok na klomby róż, pole golfowe i las. Był gorący, parny dzień. Owady płynęły z powietrzem jak pyłki złota wytrącające się wolno z błotnistej wody w rynience poszukiwacza złota. Gdzieś grała muzyka dochodząca ze skrzydła dla służących i ktoś śpiewał „Czuję, że prawie zakochałam się”.

Pani Morgana Birmingham, pomyślała o sobie. Pani Johnowa Birmingham III. Nieźle to brzmiało. Chyba lepiej niż Croft Tate.

Nagle mały kos przysiadł na rynnie obok balkonu. Zadarł główkę i zaczął ćwierkać – fi, bi, fibli. Morgana popatrzyła na niego i powiedziała:

– Jak myślisz? Kocham go?

Fi, bli, zaświergotał ptaszek. Bibi, fibi, fibli.

– Cóż, nie jesteś żadnym sędzią – powiedziała Morgana – tylko ptakiem.

Już miała wrócić do środka, kiedy jej oczy uchwyciły ostry odbłask szyby francuskiego okna otwartego na dole. Ścieżką wiodącą do ogrodu różanego szedł John, a za nim Phoebe. Morgana już miała zawołać i pomachać, gdy ptak nagle odfrunął i coś sprawiło, że pozostała na swoim miejscu w drzwiach, niewidoczna z ogrodu, schowana w mroku poruszanych wiatrem zasłon.

Rozległ się śmiech Phoebe. Później usłyszała, że John śmieje się także. Nie wiedziała, co zmusiło ją do zostania tam, gdzie była, i do obserwowania. Zazwyczaj nigdy nie szpiegowała ludzi, to nie leżało w jej naturze. Ale tam były Phoebe i John, śmiejący się razem i w jakiś sposób ich widok ją fascynował. Phoebe miała na sobie prostą biało-niebieską popołudniową sukienkę z tajskiego jedwabiu od Mainbochera i wygięty słomkowy kapelusz. John trzymał ją za rękę. Morgana nie mogła usłyszeć rozmowy. Jeden z ogrodników włączył kosiarkę na East Lawn, gdzie wczoraj odbywało się przyjęcie. Ale zobaczyła, jak Phoebe stanęła na palcach i pocałowała Johna prosto w usta. Nie był to długi, namiętny pocałunek, ale nie było to także cmoknięcie. Morgana poczuła falę ciepła, a później zimna. John chwycił Phoebe w ramiona i oddał jej pocałunek. Później podniósł rękę w krótkim, urwanym pozdrowieniu i energicznie odszedł w kierunku garaży, a jego białe spodnie trzepotały w słońcu jak żagiel małej łódki. Phoebe, machając, stała w drzwiach. Później wróciła do środka, zostawiając francuskie okna otwarte.

Morgana stała jak wryta, z zaciśniętymi pięściami. Czowała się dziwnie zmieszana i zagniewana na nich. Gnębiło ją też poczucie winy, że szpiegowała. Odwróciła się, wolno postawiła filiżankę na białym biurka, później przejrzała się w lustrze, we francuskim lustrze z ramą ze złożonych wstążek.

Może ma zbyt bujną wyobraźnię. Może te pocałunki nic nie znaczyły. Dlaczego John miałby się jej oświadczyć, jeśli byłby zakochany w Phoebe? Phoebe była również odpowiednią kandydatką na żonę, jeśli przygotowanym się było, żeby przeganiać jej różnych konkurentów, jak Donald Crittenden i ten drugi, jak mu tam – ten okropny rajdowiec o wspaniałym profilu i wytatuowanym pośladku.

Nie, to bzdury. Nie robili nic poważnego; pożegnali się tylko. Powinna się cieszyć, że są przyjaciółmi i nie być zazdrosną. Widziała w otoczeniu tak wiele rodzin, z których szwagrowie z przyjemnością wychłostałiby mocnym pejczem o dziewięciu rzemieniach swoje szwagierki. W końcu szwagierki w Encyklopedii Britannica zostały zakwalifikowane jako szkodniki.

Morgana położyła się na łóżku. Zamyśliła się na chwilę. Później podniosła gazetę i wpatrywała się w swoje zamazane zdjęcie, jak stoi na samym szczycie strażackiej drabiny, a mała, czarna dziewczynka spada w jej kierunku z wysuniętą głową. Wyglądało to tak, jakby raczej modliła się, niż spadała.



Zastanawiała się, czy matka pozwoliłaby jej na szklanę brandy.

Późnopołudniowe światło słoneczne padało na pole golfowe Lakeshore niczym złoty szal.

Howard pośpiesznie użył kija numer trzy w długim zagłębieniu przy jeziorze, piłka poszybowała ponad murawą lasu. Teraz kijem wyrwał bluszcz, podczas gdy Kenneth Doyle pomagał mu na swój irlandzki sposób, dużo gadał i co rusz próbował zapalić swoją wygiętą w duże „S” fajkę podobną do fajki Sherlocka Holmesa. Tania zapalniczka iskrzyła jak petarda, ale rzadko się zapalała i szybko gasła.

– Nie skupisz swoich mocy – zauważył Kenneth.

– Moich mocy? A co moje moce mają wspólnego z grą? – odpowiedział Howard, dławiąc wściekłość. Miał ważniejsze sprawy na głowie, niż zgubioną piłkę golfową.

– Twoje moce kontrolują twoje zachowanie – wytłumaczył Kenneth. – Krew kontroluje wierność, żółć kontroluje temperament, flegma uczuciowość, rozumiesz? A twój mocz kontroluje impulsywność.

– Cóż, Kenneth – powiedział Howard. – Każdemu byłoby trudno się skoncentrować, kiedy ty nieustannie skrobiesz tą cholerną zapalniczką. Dlaczego nie pozwolisz mi kupić ci w prezencie jakiejś porządnej zapalniczki, która działałaby?

– To mogłoby być równie dobrze określone przez pozbawionych skrupułów pismaków z prasy brukowej jako przekupstwo urzędnika – powiedział Kenneth. – Czy nie sądzisz, że mam dosyć kłopotów z Murzynami oskarżającymi mnie, że biorę pieniądze od Irlandczyków, Irlandczykami oskarżającymi mnie, że biorę pieniądze od Litwinów. Jedynymi ludźmi, którzy nie oskarżają mnie, że biorę od kogoś pieniądze, są Polacy, ale oni podejrzewają, że pobieram swoją dolę w postaci kabanosów od Czechów.

– Cóż, nikt nigdy nie powiedział, że łatwo być burmistrzem – powiedział Howard.

Nagle powiedział „aha!” i nachylił się nad poszyciem, żeby podnieść piłkę. Uważnie ją obejrzał, a później powiedział „cholera” i znowu ją upuścił. Trochę dalej na lewo chłopiec od zbierania piłek przetrząsał patykiem jeżyny tak zajadle i z taką wściekłością, że nie było szansy, że mógłby jej nie znaleźć. Może wyobrażał sobie, że te jeżyny to Howard.

Kennethowi udało się zapalić fajkę i przez chwilę stał wciągając z rozkoszą dym, z rękami w kieszeniach swoich obszernych spodni i z kijem pod pachą.

– Wiesz co, Howie? – powiedział i wypuścił kłęb dymu. – To był rzadki akt odwagi. Nie sądzisz? Sposób, w jaki Morgana uratowała tę małą dziewczynkę. Nie znajdziesz w życiu wielu ludzi tak opanowanych i im bardziej myślę o tym, tym fantastyczniejsze mi się to wydaje.

– Morgana zawsze była opanowana – powiedział Howard, wciąż szamocząc się z bluszczem.

– Wiesz, ona jest kochaną dziewczyną. Jest też delikatna. Ale kiedy postanowi sobie coś, to

przysięgam, zrobi to. Rozpracuje to w swoim umyśle – poklepał się znacząco w skronie.

– W takim razie jest dobra w skupianiu swoich mocy.

– Wiesz co? – powiedział Howard. – Pamiętam, że kiedy miała coś z osiem lub dziewięć lat, bardzo chciała mieć kucyka, ale Eleonora wciąż mówiła „nie”, ponieważ myślała, że powinna ustalić pewną granicę w dawaniu dziewczynkom tego, co chciały. Jeśli chodzi o Phoebe – gdyby to ona chciała kucyka, przytulałaby się do mnie, całowałaby mnie i namawiała, aż nie mógłbym już wytrzymać i dla świętego spokoju kupiłbym jej upragnione zwierzę.

Wyprostował się, masując plecy ręką.

– Ale Morgana nie. Czy wiesz, co zrobiła Morgana? Wezwała Deke’a Olivera – pamiętasz starego Deke’a, który był szefem działu miejskiego przed Gordonem McLintockiem – i poprosiła go o umieszczenie stosownej informacji na pierwszej stronie sekcji Metro. Nie było mocnych, abym mógł ją przeoczyć. Gdy rano zacząłem czytać gazetę, oniemiałem. Morgana Croft Tate bardzo pragnie kucyka i błaga tatusia, żeby ustąpił. Uwierzyłybyś w to? To było jak wiadomość z serwisu: „Morgana Croft Tate, lat dziewięć, dziś rano błagała swojego ojca, żeby kupił jej kucyka”. Powiedziała reporterom „Star”: „Obiecuję, że będę się o niego troszczyć i będę go zawsze kochać”. Miałem tuziny rozmów telefonicznych od czytelników mówiących mi, jaki to ze mnie stary dusigrosz, że mam natychmiast pozwolić Morganie na kucyka.

– I co, kupiłeś? – zapytał szelmowsko Kenneth.

– I ty mnie o to pytasz? Taki sentymentalny, stary Celt jak ty?

Wyrwał jeszcze trochę bluszczu z poszycia lasu. Za nim przechylały się i kołysały wyzłocone słońcem drzewa.

– Ta dziewczyna ma atrament zamiast krwi. Tak właśnie myśli o niej Grant – powiedział.

– Tak, dobry facet z tego Granta – powiedział szczerze Kenneth. – Nie powiem, żebym miał takie same względy dla Larry’ego Trenta z „Tribune”. – Przerwał i wypuścił dym, a potem powiedział: – Morgana z pewnością zdenerwowała się na Granta, że nie puścił jej informacji o pożarze?

Howard odwrócił się wolno i rzucił Kennethowi zdziwione spojrzenie.

– Kto, u diabła, ci o tym powiedział?

– Howie, Howie, Howie. Uważaj na swoją żółć. Jestem burmistrzem, Howie. Kto mi cokolwiek opowiada? Musisz dzień w dzień zajmować się tymi twoimi reporterami. Wymieniamy wiadomości, twoi reporterzy i ja. Założę się, że większość z nich znam lepiej od ciebie.

– To nie Grant ci powiedział – upewnił się agresywnie – ani też Gordon.

– A wolałbyś, żeby tak było? Oczywiście, że nie. Ale to prawda, czyż nie? Morgana napisała swój własny tekst o pożarze, sześć stron, a z tego, co słyszę, ty odmówiłeś jego opublikowania.

– Kenneth – powiedział Howard – zawierało same oszczerstwa. Prawnicy odrzucili je od

drugiej linijki.

– Było oszczercze, Howie, czy po prostu prawdziwe? Howard sucho pociągnął nosem.

– To, czy artykuł jest zniesławiający, czy po prostu prawdziwy, zależy od wrażliwości osoby, o której się pisze. W tym przypadku osobą, o której pisała Morgana, był Enzo Vespucci, a to oznacza, że nie mogliśmy puścić nic bez jawnego narażania się na sprawę w sądach regionalnych za siedem milionów dolarów.

– I na coś gorszego, oczywiście – powiedział Kenneth z przesadną roztropnością.

– Znasz Enzo równie dobrze jak ja. Hojny jako przyjaciel i wróg ścinający krew w żyłach.

Kenneth spojrzał z jakimś smutkiem w dół.

– Tak, nie ma co do tego wątpliwości. Pamiętasz, co się stało, gdy „Tribune” próbowała puścić te artykuły o rozprowadzaniu prochów. Trzech łapsów dziennikarskich pobitych nieomal na śmierć, dwie redakcyjne ciężarówky podpalone, dwustutysięcznodolarowe zniszczenia w drukarni. Już nie wspomnę o tych wieśniakach w Spring Field oskarżających mnie, że się objąłem, gdy paliło się Chicago. To się jątrzyło. Spojrzał w górę i dodał:

– Nie mówię, że to był Enzo, oczywiście. Nie byłbym tak głupi. Ale nie mówię też, że to nie on.

– Kenneth – powiedział Howard z naciskiem – czuję to samo w stosunku do Enza co ty. Ale on jest rzeczywistością, tak jak rekiny w morzu są rzeczywistością życia w nim. Możesz kursować na swoich łodziach od brzegu do brzegu, a on nie będzie się niepokoił; możesz nawet sobie popływać od czasu do czasu. Ale na Boga nie zaczynaj mącić wody, kiedy on będzie za tobą, bo odgryzie ci w cholerę nogi.

– On tak bardzo cię przeraża? – zapytał Kenneth.

– Nie mów mi, że ty się go nie boisz.

– Cóż, prawdę mówiąc, osobiście się go nie boję, ja nie – odpowiedział Kenneth. – Ale kiedy widzę, jak się wścieka, boję się o innych ludzi. A wiesz, właściwie to gorzej bać się o innych ludzi. To jest bezradność. Moja stara matka mówiła zawsze, że poczucie odpowiedzialności jest większym ciężarem niż worek pełen obierzynek broccoli.

– Zaczynam dziękować Bogu, że nigdy nie poznałem twojej starej matki.

– Ona by cię też nie lubiła. Uważała, że gazety to dzieło diabła. Diabelskie reklamy, tak je zazwyczaj nazywała. Ulotki z Hadesu.

– Powinieneś być zaskarżony o posiadanie rodziców, którzy przekraczali wszelkie granice rozsądku.

– Howie – upomniał go Kenneth. – Nie prosiłem cię, żebyś grał ze mną w golfa dziś po południu tylko dla zdrowia.

– Cóż, wiem o tym, Kenneth – odpowiedział, próbując ukryć rozdrażnienie. – Nie sądzę, że zaprosiłeś mnie na golfa wyłącznie dla mojego zdrowia. Jesteś burmistrzem i masz do mnie

sprawę, prawda? Pomyśleć, że Kenneth Doyle, który nigdy nie prowadził nic poza paradą w dniu św. Patryka, będzie nosił oponczkę Dużego Billa Thompsona.

Kenneth zaśmiał się i potrząsnął głową.

– Jesteś najlepszym lekarstwem, jakie znam, na wybujałe ego, Howie, najlepszym. Ale wiesz, o czym chcę z tobą porozmawiać, prawda? A nie jesteśmy milion mil od tego gościa, o którym dyskutowaliśmy do tej pory.

Howard nie podniósł wzroku.

– Chcesz rozmawiać o Enzo i o oczyszczeniu slumsów. Wiem, Kenneth, pod jaką jesteś presją.

– Potrzebuję twojej pomocy, Howie – powiedział ostro.

– W porządku, więc jeśli o to chodzi, pomówmy otwarcie. Kenneth nie podnosił oczu. Lekki popołudniowy wiatr podwiewał mu białe włosy, jak gdyby ktoś machał chusteczką z odległego balkonu.

– Howie – powiedział. – Minęły już cztery lata, odkąd skończyła się wojna. Wszędzie mówi się o dobrobycie, nowych domach, lepszym poziomie życia. Znowu powróciły szczęśliwe dni, Howie, w tym tkwi sedno sprawy. Ale te szczęśliwe dni jeszcze nie dotarły do centrum Chicago. Żadne słońce nie świeci w South Side. W rzeczywistości sprawy mają się gorzej, niż myślisz.

Howard nie odpowiedział nic, ale słuchał i niecierpliwie postukiwał dookoła kijem w poszukiwaniu piłki.

– Teraz sytuacja jest rozpacзлиwa, Howie, wiesz o tym, prawie nie do uratowania. I ja też jestem zrozpaczony. Czy myślisz, że chcę wejść do podręczników historii jako burmistrz, który przewodzi końcowemu upadkowi drugiego miasta Ameryki? Tak myślisz? Ale na Boga, zmiana istniejącego stanu rzeczy wymaga wyjątkowej śmiałości.

– Już nie mówiąc o wyjątkowych pieniądzach – skomentował Howard.

– Cóż, to byłyby biliony, nieprawdaż? Jeśli mamy być szczerzy. Ale co ja mam? Większość moich najlepszych podatników mieszka na przedmieściach. A kto został? Najbiedniejsi z biednych, ci, którzy nie mogą odejść, i z pewnością nie mogą sobie pozwolić na renowację domów, w których mieszkają. Ach, Howie, to się coraz bardziej pogarsza. Ci ludzie mieszkający w slumsach. Boże, pomóż im, dostali się w środek wiru samonapędzającej się katastrofy, jak Dorotka, z tym, że oni nie idą do piekła. Nie mają pieniędzy, żeby sobie pomóc, nie mają umiejętności, a co gorsza, nie mają woli. Ponadto tacy ludzie jak Enzo, żywiący się ich nędzą, ich degradacją utwierdzają ich w przekonaniu, że nie mają żadnej drogi ucieczki.

Przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu. Był bardzo zdenerwowany. Później powiedział już ciszej:

– Slumsy należy oczyścić, Howie, miasto musi się podźwignąć. Trzeba legalne organizacje, legalne przedsiębiorstwa nakłonić do inwestowania pieniędzy w centrum miasta. Nie tylko

nakłonią, ale ponaglić. I na tym polega rola „Star”. „Star” musi mi pomóc przełamać nacisk ludzi takich jak Enzo Vespucci i przywrócić uczciwe pieniądze. Widziałeś te slumsy, Howie? Rozpłakałbyś się.

Kenneth zadrżał i odwrócił się do Howarda z wyrazem twarzy, jakiego Howard jeszcze nigdy u niego nie widział. Blady, udręczony, przytłoczony.

– Wiesz – mówił dalej Kenneth – w zeszłym miesiącu przychodził do mnie Murzyn i codziennie stał przed moim biurem, przez cały miesiąc. Stał tam od szóstej rano aż do zmierzchu. W końcu wyszedłem i zapytałem go, dlaczego tam stoi i co sobie w ogóle myśli. Sądzę, że byłem zmęczony i niezbyt cierpliwy. I wiesz, co on powiedział? „Szanowny panie, stoję tu, ponieważ pan zabił moją małą dziewczynkę, to nie jest bezpośrednio pana wina, proszę pana, ale moja dziewczynka miała jedenaście lat i wyszła na ulicę, pracowała jako dziwka, a w końcu wzięło ją pięciu mężczyzn, w dzień przed jej dwunastymi urodzinami, i robili wszystko z moją małą dziewczynką. Wszystkich pięciu, a później, kiedy ich poprosiła o pieniądze, w okrutny sposób ją zabili”. Tak właśnie mówił ten Murzyn, a ja nie wiedziałem, co mógłbym mu powiedzieć. On nawet nie chciał żadnej odpowiedzi. Powiedział tylko: „To pana miasto, pan musi je oczyścić. Albo iść do domu i do końca życia nie przekraczać progu ratusza”.

– Nie możesz winić się za to, Kenneth – powiedział chrapliwie Howard. – Niewiele możesz zrobić. Miasta są jak ludzie. Starzeją się, dostają zmarszczek i chorują. Nie możesz zmienić historii.

Kenneth wałnął kijem golfowym w ziemię.

– Muszę zmienić historię! Muszę walczyć! Mam na sumieniu śmierć dziewczyny, Howie, nieustanną codzienną mękę tysiąca innych! Myślisz, że mogę spać spokojnie?! Czuję się jak szczur w pułapce.

Howard popatrzył uważnie na Kennetha. Howard był wpływowym, Howard miał władzę. Kiedy Howard wydał opinię, jego głos rozbrzmiewał od wybrzeża do wybrzeża poprzez milion gazet, rozgłośnie radiowe i tuziny tygodników. Ale Howard niełatwo udzielał swoich wpływów, nie był politycznym ewangelistą, nic z tych rzeczy. Wierzył w prawo, porządek i amerykański styl życia. Wierzył w wolność osobistą. Ale wierzył też, że należy rzeczom pozwolić znaleźć ich własny (poziom. Nie był jakimś Williamem Randolphem Hearstem czy Robertem McCormickiem. Nie brał udziału w preparowaniu wiadomości. Jego ojciec zawsze mu mówił: „To, co się dzieje, to się dzieje i to wystarczy”. I Howard miał swoje rozterki; że nie był wcale pewien, czy jest przygotowany na podjęcie ryzyka z powodu ostatnich niepokojów moralnych Kennetha Doylea. Słyszał, że Kenneth mówił już tak przedtem. Kenneth zawsze tak mówił, gdy panikował, bojąc się o swoje bezpieczeństwo polityczne; i oczywiście do kogo mógł zwrócić się Kenneth, jeśli wszyscy ważniejsi wydawcy gazet byli tak zapalczywie republikańscy.

Kenneth ze swej strony nie miał złudzeń, jeśli chodzi o Howarda. Wiedział, że Howard nie

był niewybrednym krzyżowcem, i że zawsze rozważnie podejmował wszelkie decyzje. Nie przypominał w niczym bohaterów Stephena Leacocka, którzy „wybiegali jak burza z pokoju, rzucali się na konia i kręcili szaleńczo na wszystkie strony”. Dzięki niewielkiemu zaangażowaniu się w politykę Howard pozostał silny, ambitny i przygniatająco bogaty. Taki, jakim usiłował pozostać Kenneth. Jego kariera waliła się w gruzy, podobnie jak miasto Chicago. Czuł też, że jego przyjaźń z Howardem zmieniła swą barwę. Wiele straciła ze swego humoru i prawie wszystko z chłopięcej bliskości. Nie rozmawiali już o koniach, kobietach czy alkoholu, być może nie byli już wcale przyjaciółmi, ale partnerami do golfa, znajomymi politycznymi, dwoma zmęczonymi oportunistami otrząsającymi się ze wspomnień o tym, kim kiedyś byli.

Drzewa dookoła placu golfowego szeleściły niepokojąco, ale chmury nadal dryfowały spokojnie.

– Wiesz, to prawda, Howie, że mam kłopoty – powiedział Kenneth. – Ustawodawstwo państwowe wciąż wstrzymuje fundusze na odbudowę, do czasu gdy pokażę im to, co nazywają realistycznymi planami. Realistycznymi, proszę ciebie! Oni są farmerami, co oni wiedzą o miastach? Moi ludzie z ratusza zarzucają mi, że jestem zbyt łagodny dla właścicieli slumsów, podczas gdy reszta oskarża mnie, że naruszam konstytucyjne prawa prywatnych właścicieli. Dopóki nie pokażę jakichś rezultatów, Howie, będą rozrywali moje resztki w misce z puddingiem. – Przerwał, a później powiedział: – Mamy szansę, Howie, widzisz ją? Realną szansę na nowy początek i musimy z niej skorzystać. Zarówno szpital Michaela Reese jak i Instytut Technologii w Illinois – cóż, sam wiesz, co działo się z nimi przez ostatnich dziesięć lat. Byli otoczeni ze wszystkich stron slumsami. Ale ostatnio rozmawiałem z ich komisjami planowania i obie zdecydowały, że nie przeprowadzą się, ale zostaną tam, gdzie są. Chcą przekonać do współpracy tylu miejscowych biznesmenów, ilu zdołają; chcą też zaplanować i sfinansować prywatne budowy dookoła. Nowy początek, Howie, zburzyć slumsy i budować coś innego, pomyśl, dokąd mogłoby to zaprowadzić.

– A co z Enzo? – powiedział Howard. – Większość tej dzielnicy należy do niego, czyż nie?

– Przestań, Howie – powiedział Kenneth, chociaż nie brzmiało to tak przekonująco, jak chciał. – W Chicago panuje teraz bojowy duch! Duch roku 71! Znowu! I to nie tylko w Południowej Dzielnicy. Powinieneś ich usłyszeć w Hyde Parku, w okręgu Kenwood. Ludzie chcą oczyścić slumsy na dobre! Uniwersytet Chicago ma kilka wspaniałych planów odbudowy terenu, wspaniałych. A są też zgłoszenia grup sąsiadujących, które chcą im pomóc. To święta wojna, Howie! To jest coś, co „Star” powinna poprzeć.

– Święta wojna – powtórzył Howard, wciąż nie przekonany. – Sądysz, że Enzo będzie na to patrzył ze spokojem?

– Enzo jest dinozaurem – odparował niecierpliwie Kenneth.

– Enzo i ludzie jego pokroju są ostatnimi ze złośliwego pomiotu stworzeń o małym mózgu.

Już od dawna powinni wyginać.

– Ach, tak? Kim jesteś, żeby to mówić? – zapytał Howard.

– Sądem? Glinami? Strażą pożarną? Mną? – Podniósł pięść i wymachiwał nią Kennethowi przed nosem, jak gdyby trzymał garść ciem i zgniatał je. – To miasto należy do Enza, nieprawdaż? – stwierdził. – Do Enza i wszystkich jemu podobnych.

Kenneth odwrócił się.

– Wiesz, Howie, zawiodłem się na tobie.

– Tak? Enzo może i jest dinozaurem, ale jest wciąż potężny i bardzo niebezpieczny. A co z Franceskiem Lorenzo, Orvillem O’Keefe i Danym Sabatini, a to tylko trójka, nie mówiąc już o kanciarzach budowlanych i sąsiedzkich gangach Niemców, Węgrów i Czechów.

– I Irlandczyków – wtrącił Kenneth. Howard nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Ty byś przypisał sobie wszystko, ty głupi draniu!

– Nie boję się Enzo – powtórzył Kenneth. Howard podniósł głowę i powiedział:

– Będzie padać. Czuję to. Boli mnie w lewym kolanie, zawsze w lewym kolanie. Wspomnisz moje słowa, będzie padać.

– Na Boga, Howie!

Howard odwrócił się do niego.

– Mówiłeś o swoim poczuciu odpowiedzialności, ty worku obierzynek broccoli. Tylko pamiętaj, że ja też muszę myśleć o moich obowiązkach. Muszę myśleć o biznesie i wszystkich ludziach, którzy dla mnie pracują. Cztery tysiące sześćset osiemnaście osób – wczoraj rano. Wszyscy oni osobiście liczą na mnie, liczą też, że włożę kurczaka w ich garnek, nie tylko dzisiaj, ale jutro i każdego dnia. Kurczaki, Kenneth. Cztery tysiące sześćset osiemnaście kurczaków dziennie, siedem dni w tygodniu. To daje trzydzieści dwa tysiące trzysta dwadzieścia sześć kurczaków.

Kenneth wpatrywał się w niego ze zdziwieniem.

– Kurczaki? – powiedział, i nagle obaj wybuchnęli śmiechem.

Howard nie śmiał się tak od miesięcy. Zanosił się jak duży ochryply pies, podczas gdy Kenneth przepuszczał z sykiem powietrze między zębami. Howard tak osłabł, że musiał oprzeć się o drzewo, aby złapać oddech, podczas gdy Kenneth z rozmachem usiadł w bluszczu.

Właśnie wtedy Kenneth zmarszczył się, sięgnął za siebie i wyciągnął golfową piłkę Howarda, tak jakby zniósł jajko. To przepełniło czarę. Howard zanosił się ze śmiechu i zanosił, płakał i co jakiś czas opierał się o drzewo.

Chłopcy do piłek stali, obserwując w milczeniu Howarda i Kennetha. W końcu Howard powiedział:

– Lepiej rozegram teraz piłkę, bo inaczej ta gra zabierze nam resztę dnia.

– Rozegrasz ją tam, gdzie leży? – chciał wiedzieć Kenneth.



– Jasne, przecież takie są zasady.

– W takim razie skoncentruj swoje moce – poradził mu Kenneth. – Skoncentruj swoje moce, a powinno ci się udać wrzucić ją z powrotem na murawę.

– Och, wyszczaj się na te twoje moce – powiedział Howard, a to sprawiło, że znowu obaj wybuchnęli śmiechem. Chłopiec do piłek zakrył twarz rękami, jak gdyby prosił pana Boga, by interweniował i skrócił tę grę.

Niedługo potem, gdy zaczęli wchodzić na wzgórze w kierunku czwartego dołka, modlitwa pomocnika została wysłuchana. Nagle odezwał się ryk letniej burzy i lunął deszcz. Stali chwilę pod drzewami, patrząc na pył wodny wirujący nad trawnikami, a później Howard spojrzął na zegarek i powiedział:

– Zakończmy to, dobrze? Podwieźć cię do centrum?

– Czy w ogóle zamierzasz rozważyć to, co ci powiedziałem? – zapytał Kenneth. Jego białą twarz zabarwiła świecąca zieleń liści osłaniającego ich kasztanowca. W powietrzu czuło się świeży zapach ozonu.

– Daj mi weekend, a później porozmawiamy jeszcze o tym – odpowiedział Howard.

Kenneth wziął fajkę i popukał nią w pień drzewa.

– W takim razie zgoda – powiedział, jak gdyby nie zniechęciło go to w najmniejszym stopniu.

Jechali w stronę centrum miasta wzdłuż Lake Shore Drive; jezioro po ich lewej stronie miało kolor szarego garnituru z serży, a po prawej wznosiły się eleganckie budynki mieszkalne z 1920 roku podobne do termometrów wypełnionych świecącą rtęcią. Opony limuzyny Howarda, granatowego chryslera, skwierczały na mokrym chodniku, a krople wody drgały na długiej wywoskowanej masce samochodu. Były osiemdziesiąt trzy stopnie i było tak parno, tak parno, że Howard z trudnością oddychał.

– Zadzwoń do mnie w poniedziałek rano – powiedział Kenneth. – Ernie wróciła; być może zafunduje ci lunch.

Howard nic nie powiedział, ale mocno zacisnął palce i ciągle wpatrywał się w okno.

Minęli budynek z 1900 roku, w którym William Wrigley, milioner i król gumy do żucia, mieszkał kiedyś w dwudziestopokojowym bliźniaku, George Wood zajmował na szczycie budynku trzydziestopokojowe mieszkanie z przestronnym ogrodem i widokiem na jezioro. Jednak bliżej centrum miasta wielkie, stare posiadłości z czerwonego granitu, zbudowane przez bogatych chicagowskich kupców, zaczynały wyglądać na zniszczone i podupadłe. Później skręcili na zachód, z dala od Gold Coast, w rejon domów czynszowych na ulicach Clark i Wells, w rejon, który Harvey Zorbaugh nazwał dwadzieścia lat temu „dżunglą ludzkich wraków”, a który dzisiaj wyglądał jeszcze gorzej.

Deszcz, który posrebrzył Lake Shore, przemienił okolicę w nędzny kanion ociekających markiz, połyskujących chodników, spływających wilgocią okien, kałuż i alejek pokrytych rozmokłymi śmieciami. Przed zaparowaną szybą wystawową z napisem „Pyszne dania na wynos” namalowanym grubymi, białymi literami, stało w kolejce siedmiu lub ośmiu mężczyzn; wszyscy osłaniali głowy mokrymi egzemplarzami „Star”.

– Zdaje się, że twoja gazeta robi jednak coś dobrego w slumsach – powiedział Kenneth z wesołym sarkazmem.

Howard chrząknął energicznie, ale nie odpowiedział. Nie lubił docinków Kennetha. Bardzo uważnie wysłuchał tego, co Kenneth mówił o oczyszczaniu slumsów i o planach prywatnej rozbudowy opracowanych przez szpital Michaela Reese i Instytut Technologii. Teraz chciał to przemyśleć, przetrwać w domu i zdecydować, co powinna zrobić z tym „Star”, jeśli się w ogóle za to weźmie.

Kenneth wysiadł na South Michigan Avenue. Szofer Howarda rozłożył nad jego głową czarny parasol. Deszcz dudnił po napiętym materiale parasola i kapał na ramiona Kennetha. Jakaś taksówka głośno zatrąbiła.

– Jest zbyt mokro, żebym uklęknął – powiedział Kenneth. – Poza tym nigdy bym tego nie

zrobił. Ale jeśli mogę cię jakoś przeprosić, że cię uraziłem, to właśnie to robię, Howie.

– Nie uraziłeś mnie, Kenneth – powiedział Howard.

– Jednak cię zdenerwowałem.

– Daj mi po prostu czas na przemyślenie.

– W porządku, Howie. Spotkamy się na lunchu?

– Zadzwoń do mnie. I przekaż moje pozdrowienia Kate. I temu jej słabowitemu pomarańczycowi.

– Pekińczykowi, Howie!

– Dobra, pekińczykowi.

Przez jedną nieokreśloną chwilę na twarzy Kennetha pojawił się wyraz tęsknoty za prawdziwą przyjaźnią, tą, którą byli związani jako chłopcy. Później stanął na baczność waląc czołem w przęt parasola, zasalutował w śmieszny, sztywny sposób i powiedział:

– To do zobaczenia. I, aa, no wiesz... powodzenia z kurczakami!

Charles podjechał gładko pod budynek „Star”.

Drzwi limuzyny otworzył Freddie, umundurowany portier „Star”, były pięściarz o płaskiej twarzy, którego białe rękawiczki skrywały pięści podobne do kanciastych brył betonu.

– Grał pan dzisiaj w golfa, panie Croft Tate? – zapytał, ze świstem wypuszczając nosem powietrze i otwierając szerokie drzwi prowadzące do holu.

Howard zatrzymał się i spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Skąd ty zawsze wiesz, że grałem w golfa? – zapytał. – Mam to wypisane na twarzy?

– Nie, panie Croft Tate. Ale wtedy zawsze pada.

Hol w budynku „Star” był wyłożony posadzką z błyszczącego zielonego marmuru, a ściany udekorowano polerowaną stalą. Z sufitu na wysokości trzeciego piętra zwisał monstrualny żyrandol w kształcie eksplodującej gwiazdy w stylu Art Deco. Dookoła holu ciągnęły się podesty z poręczami z nierdzewnej stali, na których sekretarki, reporterzy i ludzie działu reklamy poruszali się w tę i z powrotem jak aktorzy w jakimś futurystycznym filmie w rodzaju *Just Imagine*. Futurystyczną atmosferę holu „Star” potęgowało niosące się echo głosów, kroków i dudniący hałas dochodzący z piwnicy. Było to bicie dwudziestopięcioletnich serc gazety, maszyn rotacyjnych Goss Headliner, wyrzucających z szybkością pięciuset sztuk na minutę ostatnie egzemplarze niedzielnego wydania.

Howarda pozdrawiali wszyscy, których mijał po drodze do biura recepcyjnego z giętej nierdzewnej stali. Za biurkiem siedziały dwie dziewczyny, każda śliczna jak królowa piękności, jedna blondynka, a druga ruda, obydwie w czarnych, wełnianych, dżersejowych sukienkach z watowanymi ramionami i połyskującymi diamentowo broszkami. Howard zawsze nalegał, żeby personel recepcji „Star” był energiczny, błyskotliwy i „tak wyraźnie przydatny, żeby aż irytował”. Za czasów jego ojca recepcję obsługiwała kłótliva nałogowa palaczka nazywana

„panią czekoladką”, która kiedyś skrzyczała burmistrza „Dużego Billa” Thompsona za wnoszenie błota do holu pewnego deszczowego dnia.

– Dzień dobry, panie Croft Tate – powiedziały chórem dziewczyny.

– Dzwonił ktoś z Ogden Avenue, Mandy? – zapytał Howard. Po chwili dodał: – Wy, dziewczyny, przyprawiacie starego człowieka o szybkie bicie serca.

Dziewczęta zachichotały. Howard oparł ręce na biurku i przechylił się.

– Czy mieliśmy dziś po południu jakichś interesujących gości? Kogoś, o kim powinienem wiedzieć?

Ruda przerzuciła strony swojego notatnika.

– Pan Yablonsky z firmy Alberta Verleya przyszedł do pana Prezesa w sprawie czołówki.

Howard podniósł brwi.

– Wiedział? – Zapisał sobie w pamięci, żeby podyktować notatkę do Alfonsa Pereza. W firmie Alberta Verleya przeprowadzała śledztwo senacka komisja do spraw przekupstw politycznych, a pan Yablonsky był jej głównym adwokatem. Howard nie lubił, jak adwokaci innych firm molestowali jego personel. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków przychodzili tylko w jednym celu – aby domagać się wstrzymania publikacji.

– Wszystko? – zapytał rudą, a ruda uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

– Wszystko, poza tym gentelmanem w rogu. Powiedział, że chce zobaczyć się z panem osobiście, ale nie był umówiony, więc powiedziałyśmy mu, że pan nie wróci.

Howard rozejrzał się. W dalekim kącie holu na wpół zakryty zwisającymi liśćmi paproci, siedział z rękami grzecznie złożonymi na brzuchu dobrze zbudowany mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat.

– Mówił, jak się nazywa? – zmarszczył się Howard.

Ruda potrząsnęła głową.

– Powiedział, że pan go zna.

Howard wyszedł zza biurka recepcji i szedł ostrożnie po marmurowej podłodze w kierunku krzeseł, gdzie czekał na niego mężczyzna. Gdy zbliżył się, zobaczył jego twarz, ziemistą z bladoniebieskimi oczami, twarz przewlekłe chorego. Mężczyzna miał dość długie białe włosy gładko zaczesane z czoła na tył głowy. Ubrany był w brązowy sportowy płaszcz ze skórzanymi łatkami na łokciach, który wyglądał na kupiony w sklepie ze starzyzną, i brązowe, źle połatanie spodnie wypchane na kolanach. Na głowie miał brązowy kapelusz; za szarfę kapelusza wetknięta była ostentacyjnie karta prasowa.

Howard zdecydował, że kimkolwiek jest ten człowiek, nie chce go znać i odwrócił się. Jednak gdy tylko to zrobił, człowiek zawołał:

– Panie Croft Tate! Czekam na pana już od dwóch godzin.

– Cóż, przykro mi, ale jestem teraz zajęty – powiedział Howard z uśmiechem pozbawionym

radości. – Dlaczego nie zadzwonił pan do mojej sekretarki i nie umówił się?

Człowiek krążył wokół Howarda, aż stanął naprzeciwko niego.

– Nie poznaje mnie pan, prawda?

Howard obrzucił go pobieżnym spojrzeniem.

– Przykro mi, ale nie. A powinienem?

– Co mówił pan dziewczynie z recepcji, kiedy pan wszedł?

– Powiedziałem „dzień dobry”. A teraz, jeśli pan pozwoli...

– Nie, nie – gorączkował się mężczyzna. – Przedtem. Zanim pan to powiedział.

– Powiedziałem: „Dzwonił ktoś z Ogden Avenue, Mandy?” To tradycja „Star”. Zawsze to mówimy.

Mężczyzna potarł ręce. Z bliska czuć było od niego drażniący zapach octu.

– Dziewczyna nie ma na imię Mandy – powiedział.

– Nie, nie ma – powiedział Howard. Zaczynał się niecierpliwieć. – Mówimy tak dlatego, że kiedyś, tylko raz, reporter „Star” zdobył nagrodę Pulitzera; za artykuł, który przedyktował przez telefon. Dzwonił z Ogden Avenue, a materiał zapisała recepcjonistka o imieniu Mandy, ponieważ nie było wtedy nikogo, kto by szybciej stenografował.

– Masakra gangu Ackland na stacji benzynowej na rogu Ogden Avenue i La Grange Road w 1935 – powiedział triumfalnie mężczyzna.

– Zgadza się – odrzekł Howard. – A teraz naprawdę proszę mi wybaczyć...

– Lenny Mutken – powiedział mężczyzna.

– Co? – zapytał Howard.

– To był on. Słynny reporter „Star”. Wasz jedyny zdobywca nagrody Pulitzera. Nazywał się Lenny Mutken.

– Tak – zgodził się Howard. Podniósł głowę, żeby spojrzeć nad ramieniem mężczyzny i przywołać wzrokiem portiera. W pierwszej chwili portier zajęty był rozmową z drobną staruszką, Murzynką, ale po chwili odwrócił się i zobaczył, że Howard milcząco wzywa go na pomoc. Pchnął drzwi i kołyszącym krokiem byłego komandosa maszerował przez hol.

– Czy pan nie rozumie? – mówił pachnący octem mężczyzna. – To byłem ja! Niech pan spojrzy na moją kartę prasową. Czarno na białym, z fotografią, Lenny Mutken. To ja.

– A to historia – powiedział szespany Howard. – Prawdę mówiąc, sądziliśmy, że przejechał się pan na łono Abrahama. Cieszę się, że znów pana widzę. Zmienił się pan. Nie rozpoznałbym pana.

– Byłem dość długo chory – wyjaśnił Lenny Mutken. – Paskudnie chory. Ale mniejsza z tym. Tak naprawdę to przyszedłem tutaj, żeby zobaczyć, czy nie potrzebujecie jakichś specjalnych posiłków.

Portier podszedł i stanął obok Lenniego Mutkena z rękami znacząco splecionymi na plecach.

– Doceniam twoją propozycję, Lenny, proszę mi wierzyć – powiedział Howard. – Ale w tej chwili mam zbyt dużo personelu. Ale powiem ci coś, zostaw swój numer telefonu na biurku w recepcji. Jak coś się ruszy, to zadzwonią do ciebie.

– Wciąż jestem najlepszy, proszę mi wierzyć. Mogę wykrzesać opowiadanie z kamienia.

– Jestem pewien, że możesz, Lenny. – Howard niechętnie położył rękę na ramieniu Lenniego Mutkena. – Ale szczerą prawdą jest taka, że nie mamy w tej chwili żadnych wolnych miejsc. Spróbuj może jako wolny strzelec. Płacimy niezłe pieniądze.

Lenny Mutken wyszczerzył zęby w grymasie, przechylił głowę i zaszurał nogami.

– Myślę, że pan nie zrozumiał, panie Croft Tate. Tęsknię właśnie za gazetą. Za hałasem, krzątaniną i wspólną pracą.

– Przykro mi – powiedział Howard, bez potrzeby sprawdzając swój zegarek. – Teraz naprawdę muszę iść.

– Panie Croft Tate!

– Porozmawiaj z Grantem Cliffordem, może on będzie ci mógł coś dać. To na razie, miło cię było zobaczyć.

Lenny Mutken podniósł rękę, ale gdy to zrobił, portier chwycił go za łokieć. Obrażony, siwowłosy reporter próbował się wyszarpnąć, ale odźwierny obrócił go i naprowadzał w kierunku wyjścia.

– Howard, wierz mi, nie wiesz, co odrzucasz! – Lenny Mutken zawołał do Howarda, niezbyt gwałtownie, ale donośnym głosem biblijnego proroka: – Nie wiesz, jaką bombę tracisz!

Howard spoglądał ze smutkiem, jak odźwierny wyprowadza Lenniego Mutkena na ulicę. Blondyna za biurkiem recepcyjnym powiedziała:

– To jest Lenny Mutken? Zawsze sądziłam, że był grubą rybą.

– Bo był – powiedział Howard. – I nikt nie może temu zaprzeczyć.

Lenny Mutken był już na zewnątrz, kłócąc się z portierem. Howard przeszedł do windy, gdzie dołączył do niego młody Dale Perk, zastępca redaktora wstępniaków. Dale Perk zawsze przypominał Howardowi kurze jajko w okularach i kamizelce w gęste paski. Powiedział:

– Czy nie przeszkadza panu, że z panem pojedę? – a Howard wzruszył ramionami. – Lenny Mutken był kiedyś moim bohaterem. Może pan to sobie wyobrazić? – powiedział Dale, gdy drzwi się zamknęły.

– Wszyscy się starzejemy – zauważył Howard. – Niektórzy z nas mają nawet czelność umrzeć, gdy nadejdzie czas.

– Cóż, oczywiście, że tak, proszę pana. Ale nie mogę sobie wyobrazić „Star” bez pana.

Howard spojrział na niego i rzucił mu nikły uśmiech, który tak naprawdę nie był uśmiechem.

– Przecież wiesz, że pewnego dnia umrę, nie? – zapytał Dale’a Perka. – Nie oczekuję, że „Star” przestanie wychodzić z powodu tak drobnego incydentu.

Chłopak się zmieszał. Na lewym ramieniu trzymał odbitki szczotkowe jak kelner niosący ręcznik; poklepał w nie trochę zbyt głośno i powiedział:

– Mamy znakomity kawałek o skandalu w Navy Club, proszę pana. Naprawdę znakomity. Całą kolumnę na temat tych oszukanych wycieczek dla sierot.

– Postawię sobie za cel przeczytanie tego – powiedział Howard. Był podenerwowany i przygnębiony, częściowo dlatego, że był zmęczony i pogoda była taka rozmazana, ale głównie z powodu rozmowy z Kennethem i konieczności podjęcia decyzji, na co nie miał ochoty. Oczywiście wiedział, że Kenneth miał rację. Wiedział, że jego moralnym obowiązkiem demokracji i nadziei opinii publicznej było nadanie kampanii Kennetha o oczyszczenie slumsów takiego ognia i rabanu, jakie tylko „Star” mogła wykrzesać. Zwalić spychaczami Near South Side! Już wyobrażał sobie sztandarowy nagłówek. Ale Eleonora, do diabła, Eleonora.

– Mamy także najbardziej przejrzysty przewodnik terenowy po podmiejskich restauracjach i motelach – powiedział Dale Perk. – I wie pan, to jest zabawne. Jest takie małe miejsce w Hinsdale, restauracja Green Plover, którą Conner ceni nawet wyżej od Whitehall Club. Mają tam kraby z Maryland, błękitnego pstrąga, pierwszorzędne żeberka z musztardą i przepiórki z kasztanami; to zadziwiające, czy nie leci ślinka na samą myśl? A wszystko to tam, w Hinsdale.

– Taak – powiedział Howard powściągliwie. – Hinsdale jest ostatnio dość modnym przedmieściem – z tego, co słyszę.

Nie miał pojęcia, dlaczego Dale próbował go skusić tym menu z restauracji, w której nigdy nie jadł, w miasteczku, którego nigdy nie odwiedził. Zdaje się, że każdy, kogo dzisiaj spotkał, próbował sprawić, żeby poczuł się osobiście odpowiedzialny za uczynienie świata radośniejszym miejscem. Jak gdyby on sam mógł i powinien to zrobić, tylko mu się nie chciało.

– Moje piętro – powiedział Dale Perk, kiedy drzwi windy otworzyły się na dwudziestym drugim piętrze. – Życzę panu owocnego weekendu.

– Nawzajem – odpowiedział Howard, z ulgą opierając się o tył windy, gdy Dale Perk pośpiesznie wyszedł, szeleszcząc głośno swoimi odbitkami. „Owocnego”, co za wyszukane słowo. Pasowało raczej do patriarchy ze Starego Testamentu, niż do właściciela gazety. Bądźcie płodni i rozmnażajcie się. Zakręciło mu się w głowie.

Granta nie było w jego dziale; tylko Jack Fawcett, redaktor niedzielnego wydania „Star”, kłócił się z Adeline Duveen na temat jej trzystronicowego dodatku o modzie do następnego wydania. Jack był korpulentny, niewysoki i płowy: miał płowe włosy, płowe brwi, nosił płowe garnitury z tweedu i wyglądał przez to jak przeciągnięty szmerglem. Adeline Duveen była wysoka, długonoga i chuda; miała głęboko osadzone oczy, haczykowany nos i nosowy akcent absolwentki Bryn Mawr. Nosila bladokawowy, wymyślnie pomarszczony kapelusz z pracowni John-Federic; jej szczupłą figurę okrywała brązowa sukienka projektu Hattie Carnegi z jasnokremowymi marszczonymi mankietami. Na krawędzi biurka Jacka położyła notes

w bladokawowej tłoczonej okładce, który kupiła tylko dlatego, że pasował do całości.

Jack kopcił wściekle papierosa i mówił:

– To ma być propozycja dla zwykłych gospodyń domowych z przedmieść, tak? A zobacz, coś mi tu przyniosła! Popatrz na ten komplet! Parasolka w szachownicę, kapelusz w szachownicę, bluzka w szachownicę, spódnica w szachownicę i rękawiczki w szachownicę. Kobieta chce wyglądać jak kobieta, Adeline, a nie jak magazyn z krzyżówkami!

– Jacku Fawcett, to jest moda – wycedziła Adeline. – W tym sezonie dominują jednolite zestawy. Wszyscy projektanci w Chicago tworzą zestawy strojów z dodatkami. Charles James zrobił nawet płaszcz dobrany pod kolor psa.

– Rany, chwała Panu na wysokościach, że nie przyniosłaś mi przynajmniej tego zdjęcia – pieklił się Jack.

– Przyniosłam, mój drogi. Jest tutaj – powiedziała Adeline i podniosła je.

Jack zgniótł papierosa w brudnej popielniczce z napisem Wiek Postępu.

– Boli mnie głowa – powiedział zrezygnowany. Podniósł wzrok, zobaczył Howarda stojącego tuż za drzwiami i skinął na niego.

– Nie stój tam tak sztywno, włącz do środka. Panna Duveen i ja właśnie usiłowaliśmy ustalić, czy kwadraty na biodrach równały się sumie kwadratów przed oczami.

Podniósł jedną z fotografii i powiedział:

– Popatrz sobie na to. Gdyby moja żona próbowała wyjść w tym na ulicę, to popękałyby wszystkie okna w sąsiedztwie.

Howard uściskał dłoń Jacka i podniósł do ust omdlewającą rękę Adeline.

– Cieszę się, że cię widzę, Adeline. Szkoda, że nie mieliśmy okazji porozmawiać wczoraj na przyjęciu. Czy to ty rozmawiałaś z Salvadorem Dali?

– Och, tak – odpowiedziała Adeline. – Nie umiałabym ci powiedzieć, co on proponował. Moda pełna – nie wiem – zdechłych osłów albo innych paskudztw.

– Tej twojej córce należą się gratulacje – powiedział Jack. – Niewielu ludzi by to zrobiło, nieprawdaż?

Adeline zebrała swoje fotografie, artykuł i skrupulatnie złożyła je razem na samej krawędzi biurka. Jack powiedział przyjacielsko, ale nieobowiązująco:

– Porozmawiamy o tym we wtorek, Adeline. Być może, jadąc do domu przez Grand Avenue ujrzę nagle światło. No wiesz, jak Saul. Tymczasem zrób mi przysługę, dobrze? Rozejrzyj się za jakąś mniej dziwną modą.

– On to nazywa „dziwaczne” – odparowała Adeline. – Człowiek, który ciągle jeszcze używa zarekawków.

Po jej wyjściu Jack przyglądał się swoim zarekawkom, rozciągając gumki.

– Co złego jest w zarekawkach? – zastanawiał się na głos. – To jest klasyka.



Nacisnął guzik telefonu.

– Wiesz, to jest nieprawdopodobne, jaki ta kobieta ma wpływ na moje ciśnienie. Co tydzień doprowadza mnie do takiego stanu, że jestem bliski śmierci. Widziałeś ją? Cała na czekoladowo. Jezu!

Z głośnika telefonu odezwał się napastliwy, nosowy głos:

– Sekretariat.

– Hank?! To Hank?! – wrzasnął Jack.

– Hanka nie ma. Tu Morrie.

– Dobra, Morrie, jest tam pan Clifford?

– Właśnie wyszedł. Lecieć za nim?

– Nie, nie, jak już wraca, to cześć.

Morrie odłożył słuchawkę bez zbędnych słów. Jack odchylił plecy na oparcie wysłużonego fotela z podartą wyściółką, który przyniósł sobie z domu, i zarzucił nogi na biurko.

– Widziałeś gazetę? – spytał Howarda. – Dobra historia o tym uratowaniu Murzyneczki przez Morgane.

Howard obejrzał się na nieporządną stertę numerów „Star” leżących na stole.

– Wolę poczekać do niedzieli. Wierzę w zgadywanki. Czuję się jak winowajca, kiedy zajrzę, co się dzieje z *Terrym i piratami*, jeśli przedtem nie spróbuję zgadnąć.

– Walter napisał wspaniały kawałek o meczu piłki nożnej – powiedział Jack. – Słyszałeś, co znów wywinął?

Howard potrząsnął głową.

– Nie mów mi, że znowu się zalał.

– Dobry Boże, Howard, gdyby tylko. Nie, stało się to, że poszedł się odlać i wszedł prosto do toalety pań, gdzie z majtkami spuszczoneymi do kostek siedziała na kiblu pani Beaumont, prezeska Klubu Kobiet.

– O Boże, pani Beaumont – powiedział Howard. Widywał panią Beaumont na różnych spotkaniach, a bliżej znała ją Eleonora. Pani Beaumont była stuprocentowym typem Helen Hokison, członkini klubu kobiecego, i kiedykolwiek spotykała Howarda, zawsze klepała go w łokieć rękawiczką i mówiła mu, żeby stonował trochę rysunki w kolumnie z żartami, szczególnie ulubioną przez Howarda Smoczykę.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział Jack. – Zamiast wyjść, Walter spróbował nawiązać z nią rozmowę. Wyobrażasz to sobie? Zahaczył o politykę. Nie wiem, dlaczego uparł się, że jedynym rozwiązaniem problemów narodowych miało być przywrócenie papierosów za dziesięć centów i burdeli za trzy dolary.

– O mój Boże – powiedział Howard.

W tym momencie pojawił się Grant Clifford. Wyglądał na zmęczonego.

– Witaj, Howard. Widzę, że Jack powiedział ci o tej katastrofie z panią Beaumont.

Howard warknął.

– Gdyby ten człowiek nie był tak cholernie dobrym, trzymającym w napięciu, reporterem sportowym, to wygoniłbym go z tego budynku, zanim powiedziałby, że ci, co łamią prawo, zawsze przegrywają.

Podciągnął poły płaszcza i stanął z pięściami na biodrach, ale nie mógł się powstrzymać i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Powiem wam coś. Oddałbym miesięczną pensję, żeby tam być. Pani Beaumont z opuszczonymi gaciami próbująca walki wręcz z Walterem Dempseyem. To musiało być starcie stulecia.

– Myślałem, że grasz w golfa z tym Irlandczykiem – zauważył Grant. Odwrócił się szybko do Jacka i powiedział: – Usuwiają awarię podajnika papieru. Powinni skończyć do piątej.

– Przegonił nas deszcz – powiedział Howard. – Poza tym, Kennethowi załazła za skórę ta sprawa oczyszczania slumsów, a wiesz, jaki jest Kenneth, gdy mu coś zależy za skórę. Uważa, że już czas, aby „Star” zaczęła prowadzić kolejną kampanię przeciwko właścicielom slumsów.

Grant ponownie spojrzął na Jacka i po chwili zapytał:

– To już tak źle? Być może ma rację. Może już czas. Sprawa budzi emocje, szczególnie w środowisku biznesmenów.

– Grant – powiedział Howard – naszą pracą jest relacjonowanie wydarzeń, a nie ich wytwarzanie.

– To nie jest całkowicie tak, Howardzie – wtrącił Jack, próbując być dyplomatyczny i rozładować nastrój. – Rozumiem, że twoja córka chce znowu dać temat na poniedziałek. Zdjęcie na pięć szpalt, ze trzy następne napisane lukrem przez Margaret Drzal: *Księżniczka prasowego imperium zaręczona z rozśpiewanym prawnikiem!*

Howard posłał Jackowi dosyć ponure spojrzenie.

– Cóż, wiesz, że już czas, aby się ustatkowała. Nie można być całe życie beztruską trzpiotką. To znaczy, ona oczywiście by się ze mną nie zgodziła. Ale ten John Birmingham dobrze jej zrobi. Morgana ustabilizuje się przy nim. I nie możesz powiedzieć, że robi to tylko na pokaz.

– Co ustaliłeś z Doylem? – zapytał Grant. Howard zmarszczył czoło.

– Obiecałem mu tylko, że się zastanowię.

– Muszę powiedzieć, Howard, że moim zdaniem oczyszczenie slumsów jest problemem fundamentalnym – powiedział Grant nieco drżącym głosem, ponieważ było jasne, że Howard nie chce już rozmawiać o Kennethie Doyle’u i jego krucjacie. – Sądzę, że on ma rację, Howard. Już czas, żeby prasa się ruszyła. Slumsy są teraz głównym i największym problemem Chicago. Wpływają na finanse miasta, oddziałują na jego morale. Dotykają przyszłości miasta. Najgorsze, że ta sytuacja się pogłębia.

– Zastanawiam się nad tym, Grant – odparł Howard.

– Z całym szacunkiem, jak na mój gust, to nie ma nad czym się zastanawiać – powiedział Grant z głębokim przekonaniem. – Przedmieścia ciągle się rozrastają, a miasto się kurczy. W tym mieście mieszka trzy i pół miliona ludzi, czyli o siedem procent mniej niż dziesięć lat temu, w 1939. Miasto umiera. I nie trzeba jechać daleko poza centrum, żeby znaleźć się w rejonie slumsów. One nie są schowane jak coś, co z oczu, to i z serca. – Wskazał ręką na południe przez zamazane deszczem okno, w kierunku mokrych, stłoczonych dachów South Wabash, State Street i Dearborn. – Widzimy je już stąd, Howard. A w dodatku wiemy dokładnie, kto jest ich właścicielem i komu zależy na ich istnieniu.

– Powiedziałem... – warknął Howard, a później już łagodniej – powiedziałem, że to przemysł, O.K.? Będę o tym myślał przez cały weekend, a w poniedziałek zobaczymy się na spotkaniu w sprawie polityki gazety i zdecydujemy, co z tym zrobić. Ale do tego czasu temat slumsów jest tabu. Z powodów prawnych, z powodów wydawniczych i z tego powodu, że nie chcę widzieć w „Star” niczego o slumsach, dopóki osobiście nie podejmę decyzji w tej sprawie.

– Ty jesteś szefem – powiedział Grant.

– Masz całkowitą rację.

W tym momencie pojawił się Harry Sharpe. Był w koszuli z krótkim rękawkiem, z ołówkiem wetkniętym za lewe ucho i jadł „Baby Ruth”.

– Grant? Szukam cię. Miałem telefon od Dana Rogersa z trzydziestego szóstego okręgu. Zdaje się, że było zabójstwo przy Jefferson Park. To jakaś brudna sprawa, sądząc po wstępnych relacjach. Może chciałbyś, żebyśmy z Woozym pojechali i rozejrzeli się trochę.

– Miałeś mieć dzisiaj wolne pół dnia – powiedział Grant. – Co tu jeszcze robisz?

Harry zerknął na Howarda i zasalutował mu szybko po wojskowemu.

– Dzień dobry, panie Croft Tate. Jak się czuje Morgana?

– Dziękuję, Morgana czuje się o wiele lepiej – powiedział Howard. Nie dodał „Nie dzięki tobie”, ale intonacja głosu sugerowała to wystarczająco.

– Morgana się zaręczyła – powiedział Jack, zdejmując nogi z biurka i szperając w stertach odbitek porzucanych na biurku. Podniósł do góry zdjęcie Morgany, dziesięć na osiem cali, jak stoi na trawniku w Weatherwood, a ciemne chmury zbierają się nad jej głową.

– Zrobiono je wczoraj – skomentował Harry z ustami pełnymi czekolady. – Ładne zdjęcie, nie? Ta suknia to jest coś! Ale wciąż uważam, że ona wygląda lepiej w rzeczywistości. Kim jest szczęśliwy wybraniec?

– John Birmingham, junior – powiedział Jack. – Syn Johna Birminghama, seniora.

– Co ty powiesz? Chcesz, Grant, żebym rozejrzał się w sprawie tego zabójstwa? I tak nie mam nic do roboty.

– Właściwie – powiedział Grant spoglądając na zegarek – Busby’ego nie ma. Sądzę, że nie

miałby nie przeciwko temu.

Busby Brill był specem „Star” od przestępstw i zawsze był trochę zły, gdy przydzielano historie policyjne tym, jak ich nazywał: „nieopierzonym faciom”.

Harry zmiął w dłoniach opakowanie „Baby Ruth” i cisnął je do kosza na śmieci. Niestety, nie trafił. Papier odbił się od czubka głowy Jacka. Jack klepnął się ręką po łysinie i wrzasnął:

– Co ty u diabła robisz, ty szajbusie?!

– Już idę, idę – powiedział Harry i wycofał się z biura.

Kiedy wyszedł, Howard odwrócił się do Granta i powiedział:

– Miałeś jakieś kłopoty w drukarni?

– Z papierem – odpowiedział bezbarwnie Grant. Trochę się dąsał, ponieważ Howard przypomniał mu tymi słowami, że decydowanie o linii gazety leżało w gestii wydawcy, nie redaktora. Na swój cichy sposób, Grant sam był dość apodyktyczny i podobnie jak większość apodyktycznych osób, nie lubił, gdy ktoś mówił mu, co ma robić.

– Z papierem czy z maszyną? – zapytał Howard.

– Papier. To była pierwsza dostawa z Calgary Mills. Rola była trochę za szeroka. Ale nie martw się, Harry to załatwi.

– Wpadnij do mnie na słówko – powiedział Howard.

Poszli korytarzem do windy i Grant nacisnął guzik trzydziestego szóstego piętra. Drzwi windy otworzyły się i stanął w nich Walter Dempsey czyniący wygibasy dla zachowania równowagi. Miał na sobie brązowy płaszcz, tak sztywny, że wydawał się żyć własnym życiem, i swój okropny, stary kapelusz, z którego sterczały haczyki na ryby.

– Pan Croft Tate! – wykrzyknął tak głośno, że Howard szybko odwrócił się, żeby zobaczyć, czy Walter nie woła kogoś za nim, w głębi korytarza. – Pan Croft Tate! Co za niespodziewana przyjemność! No, no! Wczoraj zaszczyciła nas swoją obecnością pańska piękna córka i ho, ho! Oto i pan we własnej osobie. Wierzę, że czytał pan mój najnowszy artykuł o meczu piłki nożnej, który odbył się zeszłego wieczoru? Na Jowisza, to była gra. Wszystkie inne wydarzenia piłkarskie to blotki w porównaniu z wczorajszą awanturą.

Howard złożył ręce i stał poważny, nieruchomy jak niezadowolony nauczyciel.

– Dzień dobry, Walter. Słyszałem o pani Beaumont.

Walter skrzywił się i zaczął się obmacywać, jak gdyby szukał pisemnego usprawiedliwienia.

– Pani Beaumont – powtórzył – pani Beaumont?

– Pani Beaumont, prezeska chicagowskiej federacji Klubów Kobiet – przypomniał mu Howard.

– A – powiedział Walter. Nagle chwycił drzwi windy, żeby uniemożliwić im ponowne zamknięcie się. – A – powiedział znowu.

– Przypuszczam, że wiesz, że pani Beaumont jest nie tylko bardzo wpływowym członkiem

społeczności, że jej mąż jest prezesem zarządu chicagowskiej gospodarki komunalnej, ale też jest osobistą przyjaciółką mojej żony?

Walter potarł brodę i spojrzał mocno zamyślony.

– To było jedno z tych nieszczęść społecznych – powiedział – jedno z tych nieszczęść społecznych, w które ogólnie rzecz biorąc, tylko przeznaczenie potrafi człowieka wpakować.

– Mówisz, że ogólnie rzecz biorąc, przeznaczenie zaprowadziło cię do damskiej toalety w Soldier's Field?

– Cóż, proszę pana – powiedział Walter – jeśli to nie było, ogólnie rzecz biorąc, przeznaczenie, to z pewnością była to seria poważnych pomyłek nawigacyjnych. Ułożyłem list przepaszający do tej szanownej pani, prawie w stylu bizantyjskim, jeśli chodzi o bogactwo usprawiedliwień.

– Domyślam się, że poddałeś panią Beaumont rodzajowi agitacji politycznej – powiedział Howard. Widział, że Grant z trudem zachowuje powagę.

– O ile sobie przypominam, miałem coś do powiedzenia na temat republikanizmu Tafta – powiedział Walter. – Wydawało mi się, że pani Beaumont myliła teorię Nowego Porządku z komunizmem, a ja tylko próbowałem ją naprowadzić.

Howard położył rękę na wywatowanym ramieniu przeciwdeszczowego płaszcza Waltera.

– W porządku, Walter. Przypuszczam, że jak zwykle próbowałeś zrobić coś chwalebego. Ale następnym razem, jak natkniesz się na panią Beaumont, upewnij się, proszę, czy twoje zwyczaje nie rażą pani Beaumont.

– Tak jest – odpowiedział pokornie Walter, a następnie wycofał się niezwykłym krokiem Freda Astaire'a, żeby zrobić Howardowi i Grantowi przejście do windy.

Howard i Grant wjeżdżali w milczeniu na trzydzieste szóste piętro. Pomieszczenie na poddaszu zostało specjalnie zaprojektowane dla Howarda przez Leh Ming Pei, architekta budynku „Star”, Howard ukrywał się tu, kiedy miał poważne kłopoty. Było obszerne, zajmowało prawie połowę powierzchni całego trzydziestego szóstego piętra, z trzech stron od podłogi do sufitu było przeszkłone.

Główny widok rozpościerał się nie na miasto, ale na jezioro Michigan i kiedy Howard stanął koło okna i wpatrywał się w płaską szaroniebieską powierzchnię wody, czuł się czasami zawieszony w powietrzu jak latawiec – czterysta pięćdziesiąt stóp nad ziemią.

Podłogi były wyłożone szaroniebieską wykładziną, odbijającą mgliste tony jeziora, tak że czasami trudno było się zdecydować, gdzie kończyło się biurko a zaczynały linie brzegowe. Pośrodku stało pojedyncze ogromne biurko, bardziej przypominające ołtarz, ale też bardzo nowoczesne, wymodelowane z pojedynczej bryły sklejk. Za biurkiem stało podobne krzesło. Obydwa meble były specjalnie zamówione przez Howarda u młodego, przedsiębiorczego projektanta z Los Angeles, Charlesa Eamesa.

Biurko stało puste, nie było na nim nic poza białym bibularzem i czarno – białą fotografią rodziny Croft Tate oraz dwiema stożkowatymi lampami z nierdzewnej stali, zaprojektowanymi przez Laszlo Moholy-Nagy'a z chicagowskiego New Bauhaus.

Każdy, kto bywał w Weatherwood z całą tą jego gotycką pompą, nie domyśliłby się, że Howard miał takie biuro. Surowe w swoim spokoju i prostocie.

Rzadko tu przychodził; ale dobrze robiła mu świadomość, że mógł tu przebywać, kiedy chciał.

– Usiądź, Grant – powiedział Howard, wskazując na jedno z wygiętych, nowoczesnych krzeseł. – Chcesz drinka? Martini?

– Nie, dziękuję, Howard. Myślę, że zrobiłbym się senny.

Grant usadowił się niepewnie na samej krawędzi krzesła, skrzyżował nogi, podczas gdy Howard z rękami w kieszeniach podszedł do okna i zapatrzył się w gęstniejący mrok. Chmury przelatywały jak zaplątane przez wiatr motki wełny.

– Coś nie gra? – zapytał cicho Grant. Howard ciągle wpatrywał się w jezioro.

– To jezioro – powiedział – zawiera tysiąc sto osiemdziesiąt mil sześciennych wody. Wiedziałeś o tym? Tysiąc sto osiemdziesiąt mil sześciennych.

– Skąd wiesz? – zapytał Grant, uśmiechając się nieznacznie.

– Ach, to jest w tym artykule – jak mu tam... *Fascynujące fakty*, który drukujemy pod żartami rysunkowymi.

– Coś cię gryzie – powiedział Grant, próbując nie być zbyt nachalny, choć z niecierpliwością czekał na możliwość powrotu do domu po długim dniu w biurze.

– Nie wiem, wydaje się, że życie się czasami zmienia. To znaczy, przewraca się bez ostrzeżenia do góry nogami, jak gdyby nagle opróżniła się klepsydra, przyszedł Bóg i odwrócił ją.

Grant siedział, podrygując lewą nogą, i nic nie mówił.

– Grant – powiedział Howard. Robiło się już ciemno i stopniowo jego twarz wyłaniała się z okna jak biały odbłask, pozbawiona treści maska życia, zmartwień i wieku. – Grant... myślisz, że jest jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, czy kobieta naprawdę cię kocha?

Grant zeszywniał. To brzmiało niebezpiecznie. Wiedział oczywiście, że Howard zatrzymywał spojrzenie na ładnych młodych dziewczynach, że od czasu do czasu widziano go na obiadkach u Drake'a z tancerkami, aktorkami i dziewczynami z recepcji „Star”, ale jeśli o to chodziło, panienki jego wydawcy były jego sprawą, a on wolał zatrzymywać swoje opinie dla siebie.

Howard oddalił się od okna i stanął naprzeciwko Granta z ręką na ustach.

– To znaczy, czy myślisz, że istnieje coś takiego jak test, coś, o co możesz poprosić kobietę, by zrobiła, żeby przekonać się, że naprawdę cię kocha?

Grant potrząsnął głową.

– Nie sądzę, Howard. W końcu miłość to nie hamburger. Nie można jej wysłać do analizy, żeby dowiedzieć się, że dali do niego krowi pysk zamiast steku. – Wiejski rodowód Granta objawiał się czasami w zaskakujący i niecodzienny sposób.

– Krowi pysk? – powtórzył Howard.

– Mówię tylko, że można ocenić miłość po tym, jak na ciebie działa. Nie istnieje żaden obiektywny test. A czasami, ktoś kocha cię, a ty nawet nie uświadamiasz sobie, jak bardzo, bo źle odgadujesz znaki. Szukasz współczucia, a w tym momencie ten ktoś, kto naprawdę cię kocha, powinien skopać ci tyłek. Szukasz potwierdzenia, choć to, co robisz, jest złe – i każdy, kto cię kocha, powinien ci to powiedzieć.

Howard zastanowił się, pociągnął nosem i chrząknął.

– Nie wiem... – powiedział – wydaje mi się, jakby był jakiś mur.

– Mur?

– Ojej, Grant. Cofnijmy się nieco. Pamiętasz, kiedy Enida była chora i nie powiedziała ci, jak bardzo się martwiła? Ty i ja rozmawialiśmy wtedy, prawda? Jak mężczyzna z mężczyzną.

Grant podniósł głowę. Rozumiał, że Howard prosi go o absolutną dyskrecję. Przed oczami stanęła mu sytuacja, gdy Howard uświadomił mu, że Enida żyje w strachu przed rakiem. Dzięki temu mógł pomóc żonie przeczekać ten zły okres.

– Chodzi o mnie i o Eleonorę – powiedział Howard. – Nie wiem, nigdy nie wnikałem w to, co czuła. Nigdy nie wiedziałem, jaka to kobieta. Wiedziałem, że jest silna. O tak. Wiedziałem, że ma swoje namiętności. I, oczywiście, jest błyskotliwa i inteligentna. Nie jest żoną wiszącą ci u ramion, mam na myśli to, że nie jest po prostu przeciętną kobietą z Lake Shore Drive, z wypełnionym po brzegi kalendarzem spotkań towarzyskich i głową pustą jak dziurawy dzban. Nie wiem. Byłem dość próżny, żeby sądzić, że jej wystarcza, że nigdy nie mogłaby zainteresować się czymś innym poza przedsiębiorstwem Croft Tate i mną.

Grant zwilżył usta. Nie mówił nic. Wyczuwał, że nie był po temu odpowiedni czas.

Howard przyciągnął sobie drugie krzesło i usiadł tak blisko Granta, że gdy mówił, czasami krople śliny lądowały na jego garniturze.

– Zawsze mówiła, że mnie kocha. Ale sądzę, że dość łatwo jest mówić te słowa. Liczy się naprawdę to, co się pod nimi kryje, gdy je wypowiadasz. I nie wiem, Grant, nie jestem pewien, czy Eleonora naprawdę mówi, co ma na myśli.

Grant zapytał bardzo zatroskany:

– A co szczególnie wywołuje u ciebie takie wrażenie?

Howard miał szybki, drżący oddech.

– Nie wiem, Grant. Nie życzę ci w każdym razie takiego ciężaru.

W tej chwili największym pragnieniem Granta było znalezienie się w drodze do mieszkania

na Oak Street. Przyjeżdżał brat Enidy, chcieli przygotować ją do roli przewodnika. Jednak Grant próbował się uśmiechać i wyglądać współczująco, pomimo głodu i zmęczenia, pomimo głębokiej niechęci do wtajemniczania go w małżeńskie kłopoty Howarda. Howard był niezręczny z kobietami, podobnie jak wielu bogatych i wpływowych mężczyzn, ale był zaskakująco szczerzy w stosunku do swoich męskich przyjaciół.

Howard zacisnął ręce tak gwałtownie, że zaskrzypiały.

– Naprawdę trudno jest każdemu mężczyźnie mówić o swojej żonie, Grant. Ale ty i ja jedziemy na tym samym wózku, prawda? Zrozumiesz mnie, że nie mówię ci tego, żeby ją poniżyć. Nie żeby ją poniżyć, Grant, wcale nie. Szanuję Eleonorę w stu procentach. Ale wczoraj, wiesz, zanim zaczęła się ta historia z pożarem... Eleonora zachowywała się tak... dziwnie. Zeszła późno na lunch, a potem zniknęła na chwilę i kiedy się już pojawiła, wydawała się tak nieobecna... no wiesz, zapomniała, co mówiła, w samym środku zdania.

Grant czekał. Jego stopa podrygiwała. Howard mówił dalej:

– Oczywiście, kiedy wydarzyła się ta historia z pożarem... to jakoś poszło w zapomnienie. Ale zeszłej nocy, kiedy poszedłem na górę do jej pokoju, zobaczyłem, że płacze. Wydaje mi się, że wypilem przedtem kilka drinków. Zapytałem ją, co do diabła jest nie tak. Powiedziała, że nie powie mi, bo i tak bym nie zrozumiał. Powiedziałem, do cholery, popatrz, jestem twoim mężem od trzydziestu lat, rozumiem cię lepiej niż ktokolwiek. A ona powiedziała...

Howard odchylił się i położył ręce na brzuchu. Pomimo tego przyćmionego oświetlenia w biurze, Grant nagle zauważył, jak był wymizerowany, jak starzec, którego pewność siebie zmarła zeszłej nocy.

Łza zalśniła w kąci oka Howarda.

– Powiedziała, że nie rozumiem jej i tego, co się z nią wiąże od lat, że nie interesowała mnie od lat. Powiedziała, że żyłem moim własnym życiem i przez cały czas po prostu zakładałem, że ona tam będzie. Powiedziała, że wciąż mnie kocha, ale cóż, to, co ja jej z siebie dawałem, jeśli wiesz, co mam na myśli, że to nie wystarczało. Ona żyła swoim życiem, już od dłuższego czasu.

Grant założył ręce. Wcześniej czy później trzeba było poruszyć tę czułą stronę.

– Masz na myśli to, że ona spotyka się z kimś, z innym mężczyzną?

Howard skinął ostro, gwałtownie i zamruczał potakująco.

– Ktoś, kogo znasz? – zapytał cicho Grant.

Howard skinął głową. Łzy wślizgiwały się w zmarszczki pod oczami, tak jak krople rosy spływające po brzdach jesiennych liści.

– Czy ona wciąż się z nim spotyka?

– Nie. Już nie. Jestem tego pewien.

– Całkowicie?

– Nie pytaj mnie o to, Grant. Wszystko by się wydało. Ale tak, jestem pewien.



– Ona mówi, że wciąż cię kocha – przypomniał mu Grant.

Howard wyciągnął chusteczkę i głośno wytarł nos. Nastąpiła długa cisza między nimi. W tym czasie neon Lindbergha na szczycie budynku Palmolive mignął sześć razy. Robiło się coraz ciemniej, miasto z obu stron zaczynało się iskrzyć, tysiąc mil kwadratowych błyszczących czworokątów uformowanych z prostych ulic i budynków.

– Ciągniesz to rok po roku, wierząc, że jesteś szczęśliwy... i co? Nagle odkrywasz, że wcale nie byłeś szczęśliwy – powiedział Howard.

Grant potrząsnął głową.

– Howard, nie możecie się wzajemnie obwiniać. Nie możesz patrzeć wstecz, jeśli chcesz, żeby Eleonora została z tobą, a zakładam, że chcesz tego. Jeśli byłeś szczęśliwy, to byłeś szczęśliwy. Prowadziłeś swoje życie tak, jak chciałeś. Miałeś własne związki poza małżeństwem. Jak możesz winić Eleonorę, jeśli robiła to samo?

Howard skrzywił się na tę wypowiedź, a później odpędził jego sugestie, jakby opędzał się od komara.

– Daj spokój, Howard – przypomniał mu Grant. Teraz ryzykował, ale wyczuł, że Howard nie miał nic przeciwko temu, że posunął się trochę dalej. – Kim była ta tancerka? Francuzka z ciemnymi włosami? Lois Xenon, prawda. A ludzie opowiadali różne rzeczy o tobie i Jane Wyman.

– Nie było nic między mną a Jane Wyman. Jest piękną kobietą i zaprosiłem ją na obiad, to wszystko.

– Teraz robisz się agresywny – powiedział Grant.

– Nie wiem, Grant, do diabła z tym. Wydaje mi się, że wszystko, w co wierzyłem, było trwałe, a teraz widzę, że to tylko zamki na piasku.

Grant starał się być życzliwy, ostrożnie położył rękę na ramieniu Howarda.

– Przykro mi, Howard, muszę już iść. Enida czeka na mnie od piątej. Mogę ci jedynie powiedzieć, żebyś nie winił Eleonory. Nie bądź zazdrosny o to, co zrobiła, a przede wszystkim nie bądź mściwy. Co się stało, już się nie odstanie. A jeśli będziesz mściwy, to spalisz się od środka i jeszcze mocniej odepchniesz ją od siebie.

– Z ciebie jest mądra sowa – powiedział Howard, kładąc rękę na głowie Granta i klepiąc go kilka razy. – Dziękuję, że poświęciłeś mi swój czas. Jesteś pewny, że nie napijesz się tego martini?

– Muszę jechać do domu. Enida mnie zabije.

– Z pewnością.

Grant wstał i poszedł sztywno w kierunku drzwi, przypominał w tym Lee J. Cobba w ostatnim akcie *Śmierci komiwojażera*. Howard pozostał tam, gdzie był, skulony na swoim krześle ze sklejki. Grant zawahał się w drzwiach.

– Dobranoc, Howard.

Howard uniósł głowę i spojrzał na Granta, jakby już zapomniał o jego obecności. Grant zamknął drzwi biura i poszedł w kierunku windy tak szybko, jak mógł, na wypadek gdyby Howard chciał go zawołać z powrotem.

Irving Park Road na wschód od Milwaukee była zatłoczona tak wieloma samochodami policyjnymi pod tak różnymi kątami, że wyglądała jakby na niej kręcono scenę obławy do *Gliniarzy z Keystone*. Harry przejechał swoim woodiem wzdłuż chodnika i zaparkował go tuż przed domem, w którym popełniono morderstwo.

Był to osobliwy, dwupiętrowy dom budowany w stylu pruskim z otaczającym go, przechylającym się płotem i pojedynczym platanem, którego życie bezlitośnie niszczyły psy z sąsiedztwa. Z pomalowanych na zielono ścian obłaziła farba. Dom będący ciekawą pozostałością z lat dwudziestych, był podmiejską siedzibą, która w jakiś sposób przetrwała rozprzestrzenianie się sklepów i mieszkań dookoła.

Noc była ciepła i parna. Zbiegowisko sąsiadów i przechodniów stało w ciszy za policyjną barykadą. Harry czasami myślał sobie, że zawsze ten sam tłum tych samych ludzi zbierał się i patrzył, kiedy wydarzyło się coś makabrycznego w jakiegokolwiek części Ameryki. Napisałby o tym nowelę do „Zdumiewających Historii”, gdyby kiedykolwiek udało mu się znaleźć czas czy talent. „Tłum”. To naprawdę mogło być coś, od czego cierpnie skóra.

Dan Rogers stał na zewnątrz domu paląc cygaro. Był dużym, brzydkim mężczyzną z grubo ciosaną twarzą, dziobatą od blizn po trądziku i oczami wyglądającymi jak szare, naszyte guziki. Dan Rogers był przyjacielem gazety. Przez piętnaście lat pełnił służbę jako sierżant detektyw w trzydziestym drugim okręgu i nieustannie skarżył się, że nie doceniano zasług podmiejskich policjantów. Dlatego właśnie dzwonił do „Star”, „Tribune” i „Daily News”, kiedy Jefferson Park stawał się sceną zbrodni dużego kalibru. Dziś wieczorem Dan był w swoim żywiole. Stał z rękami wepchniętymi w kieszenie nieforemnego szarego garnituru, podczas gdy fotografowie, pomocnicy koronerów i umundurowani policjanci krzatali się gorączkowo, a flesze oświetlały go jak błyski letniej burzy.

– No, Polaczku – powiedział Dan, nie wyjmując cygara z zębów. – Co się stało dziś w nocy z Busbym?

– Nawet reporterzy od zbrodni muszą czasami wstąpić do domu, żeby sobie wyprać bieliznę – zauważył Harry, a Woozy trzymający się tuż za nim zrobił zdjęcie zadzierającemu nosa Danowi Rogerowi.

– Co tu się stało? – spytał Harry. – Zabraliście już ciało?

– Koroner jest wciąż zajęty – powiedział Dan. – Wciąż szukamy wątroby.

Harry spojrzał w kierunku domu i wysmarkał się w palce.

– Zamieszanie, co?

– Nie mówiłem ci przez telefon? Wy, chłopcy, spędzicie nad tym cały dzień.

– Wiesz, jak nazywała się ofiara? – spytał Harry, wyjmując notatnik.

– Anne z „e” na końcu, Leonidas przez „a”, dwadzieścia cztery lata, Amerykanka greckiego pochodzenia, dwójka własnych dzieci, pilnowała dzieci przyjaciółki mieszkającej obok, Georginy Attalides, żyje w separacji z mężem.

W oddali zawyła syrena; radio policyjne bełkotało i trzeszczało, jakiś głos odezwał się:

– Samochód dwadzieścia trzy, samochód dwadzieścia trzy, gdzie jesteście?

– Samochód dwadzieścia trzy, to wy? – zapytał Danny’ego Harry, uśmiechając się bezczelnie. – Jeśli tak, to gdzie jesteście?

Dan zignorował zaczepkę i dzielnie walił dalej:

– Nieznany zabójca zadzwonił tutaj do drzwi mniej więcej o godzinie czwartej piętnaście. To największe przybliżenie, jakie możemy podać. Dwadzieścia minut później widziano wychodzącego mężczyznę w płaskim brązowym kapeluszu i brązowym garniturze. Za opaskę na kapeluszu wetknięty miał bilet, prawdopodobnie na mecz baseballa. O piątej dziesięć lub coś koło tego zadzwoniła sąsiadka, żeby pożyczyć groszku. Nikt nie odpowiadał, drzwi były uchylone, więc weszła do środka. W jakim stanie znalazła ofiarę, panią Anne Leonidas – cóż, możecie wejść do środka i sami zobaczyć.

Harry skończył pisać i powiedział:

– Ten człowiek w brązowym kapeluszu i brązowym garniturze; jak on wyglądał?

– Jak mówiłem, ubrany był w brązowy garnitur i brązowy kapelusz.

– Taak, to bardzo pomocne, sierżancie, ale wśród dwóch milionów mężczyzn naszej metropolii co najmniej milion musi mieć brązowy kapelusz i brązowy garnitur. Albo zamierzacie ich wszystkich wciągnąć na listę podejrzanych, albo znajdziecie trochę więcej szczegółów, żeby zawęzić tę listę.

Dan Rogers odwrócił wzrok. Harry stał, czekał na odpowiedź, ale wyglądało na to, że żadna nie nadejdzie. Woozy obchodził rozdrażnionego Dana, pstrykając od czasu do czasu zdjęcia.

– Wszystko, co mamy do tej pory, to kapelusz i garnitur – powiedział zachowując spokój.

Harry zapisał to, jednocześnie powtarzał z celowo głupkowskim akcentem „wszystkoo-coo-maomy-to-kaapelusz i gaarnitur”.

– Wiecie co, ludzie? Ja nie muszę was wzywać – powiedział Dan.

– Ale wzywasz, Dan, i na tym to polega – powiedział Harry, ściskając mu ramię. – Jeślibyś tego nie robił, to jaka byłaby nagroda za bycie gliną? Fotografia zbiorowa? Nic, co można by pokazać po dwudziestu dwóch latach służby, poza listem od komisarza i dwupokojowym mieszkaniem wychodzącym na Proviso Yards?

– Ten mężczyzna był z Kaukazu – powiedział niechętnie Dan. – Relacje świadków nie były całkiem jasne, ale uważamy, że był starszy, miał sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat.

– No, coraz lepiej, to zawęży listę do sześciuset tysięcy – powiedział Harry. Skinął głową

w kierunku domu. – Masz coś przeciwko temu, żebyśmy weszli?

– Nie, dopóki nie będziecie jeść – powiedział Dan. – Nie chcę, żeby ktoś zanieczyścił mi dowody.

– To mówi człowiek, który nigdy nie jadł hamburgerów O’Leary’ego. Daj spokój, Dan, jesteśmy z prasy. Widzieliśmy wszystko. Żołądki ze stali.

– Taa, a mózgi z czystego mahoni – powiedział Dan. Harry klepnął go po plecach.

– Nie martw się, Dan. Ty to rozwiążesz i do gwiazdki będziesz kapitanem detektywów.

– Dobrze już – powiedział Dan i zaprowadził Harry’ego i Woozy’ego po zniszczonych stopniach do frontowych drzwi. W drzwiach były kolorowe szybki; jedna była pęknięta. Korytarz był rozświetlony światłem stu pięćdziesięciowatowej żarówki policyjnej, odsłaniającej bezlitośnie smutek tapety w brązowe kwadraty, odłupanej farby ochrowej na boazerii i pożółkłego od wilgoci kalendarza obrazkowego z czasów króla greckiego Jerzego II. Czuć było silny zapach wyschłej, zepsutej i zjełczałej oliwy z oliwek. Fotograf policyjny niezgrabnie przysiadł na podłodze, robiąc zdjęcia śladów krwi. Zerknął na Harry’ego i Woozy’ego, kiedy Dan Rogers wprowadził ich do środka: jego oczy jak dwa zielone winogrona były zupełnie obojętne.

Harry poczuł obawę przed tym, co zobaczy.

– Nie ulega wątpliwości, że ten, kto to zrobił, kobieta czy mężczyzna, z jakiegokolwiek powodu, był maniakiem – powiedział Dan.

– Ach tak? – Harry silił się na nonszalancki ton.

Wózek dziecienny zastawił przejście. Policjanci przepchnęli się obok niego, niosąc w celofanowych torbach różowy plastikowy grzebień z resztkami czarnych włosów i pantofel umazany krwią.

Dan Rogers poprowadził Harry’ego i Woozy’ego do salonu, gdzie miało miejsce zabójstwo. Wszędzie zapalono światła, pokój był nienaturalnie rozświetlony jak scena teatralna, a ćmy trzepotały i odbijały się od żarówek.

Był to z pewnością najlepszy pokój pani Attalides. W rogu pokoju pysznił się porcelanowy serwis i zestaw kieliszków z rubinowego szkła. Tuż obok stał mały stół nakryty szydełkowaną serwetą, na niej dziesięcioletnie radio Zenit z fabrycznym zygzakiem na głośniku, na radiu stała ramka z fotografią dzieci pani Attalides i dwa zwaliste porcelanowe pieski.

Harry obrócił się w kierunku długiej brązowej sofy. Wysoki, chudy mężczyzna o podgolonych włosach nachylał się nad nią, jak gdyby był gościem zwiedzającym wystawę sztuki nowoczesnej. Na środkowej poduszce sofy leżał sam eksponat i przez pierwsze kilka sekund Harry nie mógł uwierzyć, że to, na co patrzy, było rzeczywiste, całe różowoszkarłatne. Później nagle zdał sobie sprawę z tego i zakręciło mu się w głowie, jakby spadał w otwarty szyb windy.

– Święty Jezu – powiedział głośno, chociaż sam nie słyszał swojego głosu.

Wysoki, chudy mężczyzna odszedł od sofy i zaczął przetrząsać czarną skórzaną torbę. Harry stał na swoim miejscu, porażony, przerażony, wpatrywał się z opuszczonymi rękami i rozdziawionymi ustami w ziemskie szczątki pani Anne Leonidas.

– Kim jesteście? Z prasy? – zapytał wysoki, chudy mężczyzna, nie patrząc na nich.

– Tak jest – odpowiedział Harry.

– Upewnijcie się w takim razie, żeby dobrze napisać moje nazwisko Dr Charles... Dr Charles Mischeff przez dwa f.

– Mischeff, przez dwa f – odpowiedział zeszywniały z grozy Harry.

Wciąż wpatrywał się w panią Anne Leonidas, a pani Anne Leonidas wpatrywała się w niego. Jej goły, błydy korpus spoczywał odwrócony na środkowej poduszce sofy. Głowa, ramiona i nogi zostały odrąbane. Głowę ustawiono na czubku odwróconego ciała, broda spoczywała na sromie, a ramiona i nogi, ułożone jedno na drugich, obok. Miała gęste, czarne, kręcone włosy spięte po bokach jasnozielonymi wsuwkami. Jej twarz była ziemistoblada o brązowych oczach patrzących smutnym spojrzeniem Madonny; dolna warga była lekko przygryziona, jakby pani Leonidas zastanawiała się nad czymś. Ciemnoczerwone plamy pokrywające sofę, chodniki i krzesła, w kilku miejscach były jeszcze wilgotne.

Stojący za Harrym Woozy wydał dźwięk pośredni pomiędzy kasznięciem a odruchem wymiotnym.

– Jezu, ja nie będę tego fotografował.

Harry w końcu oderwał oczy od smutnej, zapatrzonej, martwej twarzy pani Leonidas i dotknął jego ramienia.

– Zrób kilka szybkich, dobrze? Przepraszam, ale będziemy potrzebowali do raportu.

Gdy Woozy robił zdjęcia, Harry wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać z sierżantem Rogersem.

Przybył już Vincent Geruso z „Daily News”, wymięty i nie ogolony, czuć było od niego piwem; przyjechał też Bill Keen z „Tribune” w eleganckim, brązowym płaszczu sportowym i w krawacie z namalowaną mewą.

– Witamy ulubieńca Howarda Croft Tate! – zawołał sarkastycznie Vincent.

– Przestań się nabijać – powiedział Harry. – To nie czas ani miejsce.

– Zerknąłeś na to, prawda? – zapytał go Dan Rogers, wskazując głową na dom. – Jak tam teraz z twoim hamburgerem?

– Właśnie, to była wołowina z kapustą – powiedział Harry.

Później, nie odzywając się już, oddalił się zdecydowanym krokiem od domu i znalazł aleję po stronie stacji paliw pełnej walających się pojemników od oleju, wyrzuconych zderzaków, zużytych opon. Żołądek kurczył mu się i podnosił, było mu niedobrze. Przez długi czas opierał się o ścianę, spocony i załzawiony, próbując nie myśleć o pani Leonidas i jej odciętej głowie.

Później wytarł usta i przeszedł przez ulicę.

– Żołądek z żelaza, co? – drwił Dan Rogers, żując swoje cygaro.

– Ta wołowina z kukurydzą musiała być zepsuta – odpowiedział Harry. Pociągnął nosem i trzepnął w swój notes.

– Masz jakąś wersję, kto mógłby ją zabić?

Dan Rogers otworzył kieszeń koszuli i wyjął zwiniętą rolkę miętowych pastylek Life Savers. Uważnie odwinął opakowanie i podał jedną pastylkę Harty'emu, który przyjął ją z cichą wdzięcznością.

– Rozmawialiśmy z jej mężem – powiedział Dan Rogers.

– Alex Leonidas, znany także jako Willy Grek lub jako Alex Metaxas. Dwadzieścia sześć lat, siedem miesięcy odsiadki w Joliet w czterdziestym pierwszym za drobną kradzież. Sprzedaje używane lodówki na Grand Avenue, razem z facetem o nazwisku Czestowki. Pracował dziś cały dzień; w czasie zabójstwa sprzątał dom na Green Street.

– Więc nie jest podejrzany?

– Nie, jeśli nie zlecił komuś tej roboty.

– A jej przyjaciele? – zapytał Harry. – Była w separacji, prawda? Chyba miała jakichś przyjaciół?

Dan Rogers potrząsnął głową.

– Ostatnim mężczyzną, z którym chodziła, był John Kavanagh, dwadzieścia osiem lat, pracuje dla Youngstown Sheet and Tube. W czasie zabójstwa pracował na drugiej zmianie w porcie Indiana.

– Więc kto wam został? – zapytał Harry. Pastylka o smaku mięty pieprzowej klekotała mu w ustach.

Woozy przyłączył się teraz do nich, krew uciekła mu z twarzy prawie tak jak pani Leonidas. Tuż za nim szli, z grymasami na twarzach jak dynie na Halloween, Vincent Geruso, Bill Keen i fotograf z „Tribune” Hanlin O’Neal. Wszyscy co chwilę przełykali gwałtownie ślinę, jakby chcieli zatrzymać w brzuchu lunch, a kiedy Vincent Geruso sięgnął do kieszeni po notatnik, rozsypał po całej ścieżce luźne kartki i zaklął z rozpaczą:

– Cholera!

Dan Rogers patrzył z policyjną satysfakcją, jak schyla się, żeby je podnieść.

– To zrobił jakiś pomyleniec, prawda? – pytał Bill Keen niepewnie. – To znaczy, to musiał być jakiś stuknięty.

Dan Rogers zakołysał się na piętach w tył i w przód Bawił się sytuacją, jak mógł.

– Nie użyłbym określenia „pomyleniec”, panie Keen. „Pomyleniec” nie jest naukowym określeniem.

– W takim razie „psychicznie niezrównoważony”? Powiedziałby pan „niezrównoważony”?

Dan Rogers potrząsnął głową.

– Wszystko, co wiemy, to że morderca był najprawdopodobniej obcym, kimś, kogo pani Leonidas nie znała. Mówimy tak, ponieważ były ślady walki w korytarzu, dywanik był pofałdowany, a stoliczek przewrócony. Rozmawialiśmy także z panią Attalides, a ona mówiła, że pani Leonidas była bardzo zadowolona tego wieczoru, i z pewnością nie spodziewała się żadnej nieprzyjemnej wizyty kogoś, kto by jej zagrażał. Poza tym nie dalej jak przed tygodniem powiedziała pani Attalides, że jest zadowolona ze swego życia. „Życie jest takie słodkie”, dokładnie tak powiedziała. Bill Keen posłał końcówkę ołówka i powiedział:

– W takim razie szukacie przypadkowego rzeźnika? Kogoś, kto zabił i pociął ją dla samej masakry?

Dan Rogers zrobił potępiającą minę, potem nagle wyszczerzył zęby dla fotografa z „Herald Examiner”, który właśnie przyszedł.

– Rzeźnika? Tak, to może być rzeźnik.

– Jeden z ludzi z patrolu natrafił na halkę pani Leonidas, około stu pięćdziesięciu stóp na wschód, w pojemniku na śmieci za apteką przy Jefferson Park. Była przesiąknięta krwią i prawdopodobnie użyto jej do owinięcia dwóch metalowych narzędzi, które z powodu swojej dużej wagi spadły na dno pojemnika. Był to nóż chirurgiczny z dziesięciocalowym ostrzem i rączką z drewna bukowego oraz piła Fultona do cięcia mięsa z trzydziestodwucalowym ostrzem i rączką z twardego drewna. Oba instrumenty były mocno poplamione krwią, w ząbkach piły tkwiły kawałki kości i tkanki ludzkiej.

– Więc będziecie szukać kogoś z Packingtown? – zapytał Harry. – Kogoś z Armour czy Cudahy? Zawodowego rzeźnika, który zna się na cięciu martwego ciała?

– Rozważamy i tę możliwość – powiedział Dan Rogers.

– Ma pan jakieś rady dla samotnych i żyjących w separacji kobiet z Milwaukee Avenue? – zapytał Vincent Geruso i notował odpowiedź, jeszcze zanim Dan Rogers otworzył usta. Istnieją pewne podstawowe wymogi każdego reportażu. A w przypadku zabójstwa dokonanego przez nieznaną sprawców było rutynową zasadą, że „policja ostrzegała samotne i żyjące w separacji kobiety, by pilnowały się i nie otwierały drzwi nieznanym”. Przez kilka następnych dni sprzedawcy szczotek przejdą ciężki okres w Jefferson Park, kiedy drzwi będą zatrząskiwane im się przed nosem. „Co pani sobie myśli, że porąbię panią na śmierć szczotką klozetową?”

Po dziesięciu minutach rozmowy z Danem Rogersem, Harry poszedł w kierunku drugostoru w parku Jeffersona. W sklepie unosił się zapach gumy, kawy i cynamonu, koło budki telefonicznej wisiał wieszak napchany egzemplarzami komiksów policyjnych z oślimi uszami, a także *Czarny Jastrząb*, i *Sheena, Królowa Dżungli*. Gruby, stary mężczyzna wyglądający jak grecka wersja W. C. Fieldsa krzątał się pod girlandą z parówek. Z przodu, na ladzie, leżało pięć paczek niedzielnej „Star”.



Harry przytrzymał słuchawkę ramieniem, wziął egzemplarz *Sheeny* i przeglądał go czekając na połączenie ze „Star”.

„To szczerp B’wali! Hej, szamanie, czy będą atakować?” Złapał się na tym, że z jakiegoś powodu myśli o Morganie Croft Tate. Być może Sheena wyglądała jak jasnowłosa Morgana. Wysoka, zwinna, pięknie zbudowana. Wetknął komiks z powrotem na wieszak i skinął na Woozy’ego, żeby mu podał papierosa. Woozy, przyprawiony o mdłości robieniem zdjęć pani Leonidas, podał mu całą paczkę. Później, w drodze do redakcji, Woozy powiedział:

– Stań na chwilę!

Harry zdjął nogę z hamulca i czekał cierpliwie, paląc papierosa, kiedy Woozy zgiął się nad rynsztokiem i rzygał.

– Jak ktoś mógł to zrobić? – zapytał Harry’ego, gdy skręcili na południe nad Michigan. Światła miasta wyłoniły się przed nimi jak lampki choinkowe.

– Nie wiem.

– Nienawiść? Może nienawidził kobiet? Ale, Jezu, żeby ją tak pociąć. I tak ją poukładać.

Harry nie powiedział nic. Nie było nic do powiedzenia. Obaj wiedzieli, że dziś w nocy i przez następne prawdopodobnie też przyśnią się im koszmary; twarz pani Leonidas, posiniaczona i okrwawiona, a jednak tak osobliwie błoga, wtulona w swoje włosy łonowe, niczym jakaś hybryda z mitologii starożytnej. Wyobrażenie nie chciało odejść i Harry zaczynał rozumieć, że ono nigdy nie odejdzie.

Wyprzedził błyszczącego buicka, wlokącego się między jeziorami Huron i Erie; kierowca w szerokim kapeluszu gwizdał na dziewczynki w kusych spódniczkach i fantazyjnych kapeluszach, które już przechadzały się po chodnikach, wyglądając wieczornych klientów.

– Może wypijemy drinka? – zapytał Woozy’ego. – Nie musisz śpieszyć się z odbitkami. I tak nie można ich opublikować.

– Drinka? Pewnie. A może dwa?

Zaparkowali w podziemiach budynku „Star”. Tomahawk Billy siedział w swojej małej drewnianej budce i słuchał przez radio „Pana i pani North”. Skrzywił się do nich, jakby zamierzał ich oskalpować. Przeszli przez Wabash Avenue do klubu O’Leary’ego, tuż na rogu Wabash, gdzie aleja przechodząc mostem przez rzekę Chicago zakręcała na północ. Powietrze było nabrzmiące i ciężkie, gdzieś z oddali, z zachodu dochodziły odgłosy przewalającej się burzy z piorunami.

O’Leary zaciekle konkurował z knajpą Billy’ego Goata mieszczącą się w budynku Wrigley, gdzie zbierali się co bardziej pijani reporterzy „Tribune”. Pub umeblowany był w stylu, który najlepiej dałoby się określić jako wiktoriańsko – irlandzki; ciemne przepierzenia z mahoniem i matowego szkła, stoły z kutego żelaza z marmurowymi blatami. Nazwa pubu pochodziła oczywiście od pana O’Leary’ego, którego krowa zwała lampę i zaczęła w ten sposób wielki

pożar Chicago w 1871 roku. Właściciel nazywał się Roy Chamberlain i był prawdziwym Anglikiem, z brzuszkiem i wąsami. On i jego żona Betty stali za barem, polerując szklanki, kiedy weszli Harry i Woozy. Nie musieli nawet nic zamawiać, bo właściciel już ustawił dwa kufle piwa i dwie szklaneczki – z podwójnym Hamm i podwójnym pour Roses.

– Ciężki dzień, moi drodzy – powiedział. W ten sposób pozdrawiał każdego.

Harry szarpnięciem poluźnił krawat i jednym haustem wlał w siebie whisky.

– Aż tak źle? Co? – zapytał Roy.

– Morderstwo – powiedział Woozy. – Prawdziwa mokra robota. Najgorsza, jaką widziałem.

Harry rozejrzał się po zadymionym barze, żeby zobaczyć, kto siedzi. Było jeszcze wczesnie. Ostrzy pijacy przychodzili zazwyczaj po meczach piłki nożnej. Zobaczył Waltera Dempseya w królewskim mroku jego ulubionego kąta, wychwalającego przed dwoma młodzikami z „Tribune” przedwojenne sławy baseballa. Harry pokiwał Walterowi, a Walter odpowiedział wyniośle.

Betty Chamberlain pojawiła się, przynosząc im sałatkę orzechową. Była tlenioną blondynką o macierzyńskim wyglądzie, zębami zawsze przybrudzonymi szminką i łonem, na którym już niejeden reporter „Star”, pijany czy w cikliwym nastroju, w przenośni a czasami dosłownie, kładł skołatana głowę.

– Harry – powiedziała – nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Morderstwo – powtórzył Woozy. – Jakaś Greczynka, całkowicie pocięta na kawałki. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Kurczę. To brzmi okropnie. Wiedzą, kto to zrobił?

– Nie ma nawet żadnych poszlak – powiedział Harry, strząsając popiół.

– Prawdopodobnie jakiś zawodowy rozpruwacz. W każdym razie, czy możemy o tym nie rozmawiać?

– Wiecie, kto przyszedł na lunch? – spytała Betty.

– Walter Dempsey, i jeszcze nie wyszedł.

– Nie, nie, nigdy byś nie uwierzył. Lenny Mutken. Harry rozejrzał się i oparł łokieć o kontuar.

– Lenny Mutken? Masz na myśli tego Lenny’ego Mutkena? Myślałem, że nie żyje.

– Już zaglądał śmierci w oczy – powiedział Roy otwierając nową butelkę ginu.

– No, no. Człowiek, który rozslawił Ogden Avenue.

– Kiedy ty się tu pojawiłeś, jego już nie było? – zapytał Roy.

– Pewnie – odparł Harry. – Nie wiem, kiedy odszedł, może dwa albo trzy lata, zanim dołączyłem do „Star”. Ale nawet wtedy wciąż o nim rozmawiali. Teraz też wciąż o nim mówią.

– Myślę, że chce po prostu pogadać ze starymi kumplami – odezwała się Betty – ponownie przeżyć stare czasy. Walter wciąż tu jest. Rozmawiał z nim przez chwilę. Nie wygląda dobrze.

Bardzo się zestarzał.

– Według mnie sprawiał wrażenie bardzo samotnego – powiedział Roy.

– Szkoda, że go nie widziałem. – Harry zapalił papierosa i wypuścił dym przez zęby.

– Może znowu wstąpi – powiedziała Betty. – Powiedział, że tęskni za dawnymi czasami, szczególnie za napięciem. Tak właśnie powiedział, za napięciem. Problem bycia emerytem, powiedział, polega na tym, że nie ma terminów, żadnego przymusu. Budzisz się po prostu pewnego dnia i zdajesz sobie sprawę, że nie ma po co wychodzić z łóżka.

Harry zaczerpnął garść orzechów.

– Mówił, co teraz porabia?

– Píše małe notki, „wypełniacze”. Cokolwiek, co uda mu się złapać. Mówił też o meblach na wysoki połysk. Nie byłam pewna, co ma na myśli.

– Może poleruje meble – powiedział Woozy.

Pojawił się Walter Dempsey, balansując jak przeładowany wózek z cegłami na krawędzi dachu trzypiętrowca. Objął ramionami Harry’ego i Woozy’ego i krzyknął:

– Tropiciele prawdy! Rozgrzani, niezmordowani tropiciele po fakcie!

– Jak leci, Walter? – zapytał Harry. Walter spojrział na niego niewyraźnie.

– Niezbyt dobrze, proszę pana. Właściwie to źle. Skończyłem ostatniego drinka jakiś czas temu, a ci oszczędni uczniacy z „Tribune” nic nie robili, tylko siedzieli i gapili się we mnie z impertynenckim rozbawieniem, jak gdyby matki wyprały im kieszenie przed wyjściem, to znaczy jeśli oni mają matki.

– Berty, daj temu człowiekowi drinka. Walter bez drinka jest jak Chicago bez jeziora.

Walter przysunął swoją szklankę i uważnie przyglądał się, jak Betty napelnia ją do połowy.

– Pan jest bohaterem, panie Sharpe – powiedział, nie odrywając oczu od drinka. – Bohater z samodziła.

– Betty mówi, że był tu Lenny Mutken – powiedział Harry.

– Ach tak! Leonard Alward Mutken – jedyny wybitny pismak poza mną, którego zrodziło to nędzne imperium Croft Tate. Gdy z nim rozmawiałem, poczułem się jak za dawnych lat, tyle że Lenny teraz nie pije, w każdym razie nie tak samo jak kiedyś. Wiesz, właśnie Lenny Mutken nauczył mnie, jak trzymać drinka. To było oczywiście w czasach prohibicji. Wspaniałe czasy, no wiesz, świetlane czasy. Lenny był blisko – tak blisko jak – no, po prostu blisko z Alem Capone. Kiedyś jeździliśmy do siedziby Ala Capone w Hawthorne Hotel, Lenny i ja byliśmy goszczeni jak książęta udzielni. Opijaliśmy się jak baki wszelkimi trunkami i jeszcze dostawaliśmy na drogę. Wiesz, co Capone mówił? Mówił, że kiedy sprzedawał alkohol, każdy nazywał to meliniarstwem, ale kiedy te same trunki podawano na srebrnej tacy na Lake Shore Drive – to była to gościnność. Przyjazny gość, Al Capone. Wszyscy dla Ala i Al dla wszystkich. Lenny kiedyś uważał, że Al Capone to najznakomitszy człowiek, jakiego zrodziło to miasto.

– Czy on znowu tu wpadnie? – zapytał Harry.

Walter zmarszczył czoło.

– Capone? – zapytał.

– Nie Capone, Walter, na rany, Lenny Mutken.

– Aha – powiedział Walter. – No... tak. Powiedział, że może wpadnie. Wiesz, on jest wciąż... olśniewający. Ben Hecht niech się schowa. Lenny Mutken był człowiekiem, który sprawił, że każdy wiersz druku śpiewał. – Zamrugnął powiekami, szurnał lekko nogą i dodał: – Sam też trochę śpiewał. Rozumiecie, do swoich kieliszków.

Później powiedział:

– Robert i Slobert Hink.

– Robert i Slobert Hink? Kim, do diabła, są Robert i Slobert Hink?

– Byli identycznymi bliźniakami w „Vic and Sade”, jasne? I właśnie tak blisko był Lenny z Alem Capone. Robert i Slobert Hink. Próbowałem wymyślić im imiona.

Trochę po ósmej głodny, ale wciąż męczony mdłościami, Harry odwiózł Woozy’ego pod jego dom na Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Później skierował się, w gorączkowym, sobotnim ruchu, na róg Sto Trzynastej i Michigan, na terenie zwanym Roseland, gdzie mieszkała jego matka. Odwiedzał ją tylko dwa razy w miesiącu, ale dzisiaj poczuł potrzebę normalności, ciszy i niezachwianego dowodu, że na tym świecie istnieją jeszcze ludzkie uczucia.

Roseland było kolonią dwupiętrowych ceglanych domów, szeregowych bliźniaków i jednorodzinnych domów z lat trzydziestych. Sercem osiedla były Michigan Avenue i Sto Jedenasta Ulica, gdzie wciąż stała budka z popcornem, a w sklepie monopolowym Tysona kupowało się muszkatel z beczki. Pierwszą polską rodziną, która wprowadziła się tutaj dwadzieścia pięć lat temu byli Szanieccy; wówczas mieszkali tu głównie Szwedzi i Duńczycy. Teraz na ulicach tłoczyli się Litwini, Włosi i Murzyni. Obszar ten stopniowo niszczał i podupadał, ale kiedy Harry przejechał znajome skrzyżowanie na Michigan Avenue, mijał oświetlone szyby sklepów, które znał jako chłopiec, poczuł, że jedzie do domu.

Skreślił w prawo w Sto Jedenastą i jechał w górę, mijając Palmer Apartmens i sklep spożywczy Zyzniewskiego. Nachylił się i spojrzął w górę, żeby zobaczyć na drugim piętrze okna matki. W pokoju gościnnym paliło się światło, brązowe bawełniane zasłony w czerwone róże były zasunięte. Harry oparł się o siedzenie i wyjął następnego papierosa. Spali go, a potem wejdzie na górę.

W niedzielę rano, po kościele odwieziono Croft Tate'ów z powrotem do Weatherwood, gdzie wysiedli z limuzyny i weszli do domu, cały czas nie odzywając się do siebie. Otaczała ich ciężka atmosfera: taka, która, jak mówiła babka Morgany, zagazowała by szczury. Howard poszedł do garderoby się przebrać. Jego księgowy Wendell Wiley miał przyjść przed południem do Weatherwood, żeby porozmawiać o rozruchu nowej stacji telewizyjnej w rejonie Cleveland. Phoebe poszła do swojego pokoju, żeby napisać jeden ze swoich namiętnych listów do Donalda (oczywiście na adres biurowy, gdzie jego sekretarka będzie wachać kopertę i uśmiechać się, ale zachowa dyskrecję). Donald odmówił wczoraj odebrania telefonu od niej i Phoebe była całkiem załamana i zdenerwowana. „On jest dumny”.

Morgana weszła do pokoju wychodzącego na ogród, żeby czekając na przybycie Johna napić się kawy i przeczytać niedzielną „Star”. Słońce tego ranka zdecydowało się zachowywać równie kapryśnie jak Croft Tate'owie – świeciło i gasło, wychodząc zza chmur i zachodząc, tak że pokój robił się na przemian to jasny, to ciemny. Morgana była jednak niezmiernie jasna w swej żonkilowo – żółtej lnianej garsonce z plisowaną spódniczką przed kolana. Włosy zaczesła do tyłu i związała żółtymi wstążkami. Czytała w „Star” artykuł o Doris Wells, dziewczynce, którą wyratowała z płonącej kamienicy. Na zdjęciu, Doris na oddziale oparzeń siedziała w łóżku z bandażem na jednej stronie głowy. Uśmiechała się i ścisnęła misia.

– Widziałas to? – zapytała Morgana, gdy Eleonora weszła do pokoju, balansując filiżanką kawy.

Eleonora była ubrana na szaro, z surową elegancją. Jediną ozdobą był duży biały kwiat z jedwabnej wstążki, przypięty na piersi. Usiadła koło Morgany i nachyliła się, żeby spojrzeć w gazetę.

– Więc to jest ta dziewczynka. Śliczna, nieprawdaż? Powinnaś pójść do kliniki i spotkać się z nią.

– Myślałam o tym. John zawiezie mnie po lunchu.

– To ty powinnaś go zawieźć. Nie wypróbowałaś jeszcze swojego nowego samochodu.

– No, nie wiem, mamciu. Jeszcze jestem trochę roztrzęsiona. Zapanowało milczenie. Pokój znów pogrążył się w półmroku, co nadało mu wygląd babcinej fotografii. Eleonora odstawiła filiżankę i usiadła z rękami założonymi na brzuchu. Wyglądała bardzo nieszczęśliwie. Zwijając gazetę, Morgana powiedziała:

– Mamciu, wszystko w porządku? Nie miałaś chyba żadnej utarczki z tatuśkiem?

– Czuję się doskonale, dziękuję ci, kochanie. Lepiej się nie da, jak powiedział Martin Luther do swojego krawca.

– Mamciu, coś jest nie tak – nalegała Morgana. – Musi być coś nie w porządku. Od czasu przyjęcia urodzinowego chodzisz z bardzo niewyraźną miną. I zachowujesz się jakoś – nie wiem – dziwnie.

– Na litość boską, Morgana, nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy! – odburknęła nagle matka. Morgana poczerwieniała.

– Mamciu, to jest moja sprawa. Omal nie zrujnowałaś mego przyjęcia! A teraz cały dom jest ciemny i ponury! Tatusiek nie chciał nawet śpiewać dziś rano w kościele.

– Morgana!

Nastąpił moment drżącej ciszy. Eleonora wykręcała w rękach koronkową chusteczkę, jak gdyby próbowała wycisnąć z niej łzy, których nie mogła wycisnąć z siebie.

– Pokłóciłaś się z tatuśkiem, prawda? – zapytała Morgana.

Eleonora podniosła głowę i zaczerpnęła powietrza.

– Można to tak nazwać.

– Co się stało, czyżby chodziło o mnie?

– Oczywiście, że nie. Chodziło o nas, o niego i o mnie. Morganę zaalarmował ton głębokiego smutku w głosie matki.

Upuściła gazetę na podłogę, nachyliła się i dotknęła jej ręki.

– Mamusiu, stało się coś złego? Powiedz mi!

Eleonora starała się, by jej słowa brzmiały lekko i beztrósco. Ale ciężar tego, co mówiła, nadawał jej słowom stopniowo opadający rytm rekwiem.

– Musiałam powiedzieć twemu ojcu coś bardzo przykrego. Sprawilo to nam obojgu duży ból, ale przypuszczam, że należało to powiedzieć. Utrzymywanie tajemnic przed takim człowiekiem jak twój ojciec jest nie w porządku. Robiąc to, sama się karzesz. Widzisz, on jest czymś więcej niż człowiekiem. Przez te wszystkie lata stał się instytucją. Wszystkie tajemnice przed nim – to jak ukrywanie dochodów przed urzędem skarbowym. Wszelką korzyść przyćmiewa przytłaczające poczucie winy.

Morgana patrzyła oszołomiona. Zazwyczaj jej matka była jak lustro. Mogła spoglądać na nią i widziała siebie. Matka była energiczna, miała bystre spojrzenie, jasny uśmiech i doskonałą postawę. Zamożna, inteligentna kobieta o ciętym języku. Dziś rano jednakże wyglądała jakoś szaro i mizernie, skóra na szyi przypominała zmiętą bibułę.

– Mamusiu, nie rozumiem, o czym ty mówisz? Jakie sekrety?

Długie lakierowane paznokcie Eleonory odcisnęły znak w szarej sukni na wysokości kolan. Próbowwała uśmiechnąć się czule. Po raz pierwszy Morgana spostrzegła w kącikach ust matki brzdędy goryczy. Widok ten wstrząsnął nią bardziej, niż to, co usłyszała.

– Wiesz, to był Robert Wentworth. Młody Robert. Cóż, to co ci powiedziałam, to prawda. Kiedyś zabawiłam się z nim w San Francisco. Ale to nie wszystko. Tak się złożyło, że znowu

spotkaliśmy się w Waszyngtonie, kiedy załatwiałam interesy związane z administracją Akcji Wojennych. Można powiedzieć, że byłam bardzo samotna. Oczywiście, miałam wiele spraw na głowie. Wszystkie te komitety zbierające fundusze i cała praca w Chicago Beach Hotel, kiedy zamienili go w szpital. Ale wiesz, dla kobiety takiej jak ja... – zawahała się. Splotła dłonie i ścisnęła mocno, jak gdyby próbowała wymyślić odpowiednią modlitwę. Później już cichszym głosem powiedziała: – Oczywiście, wiedziałam, że twój ojciec miał przelotne romanse. Cóż, nie wiem, może to były zażyłe przyjaźnie? Miał zwyczaj zabierać na obiad swoje sekretarki. Czy kiedykolwiek coś się między nimi działo, trudno powiedzieć. Zresztą, kogo to naprawdę obchodzi? Zawsze wracał. Czy wiesz, jak się czułam, wiedząc, gdzie i z kim był? Godziłam się z tą sytuacją i nie myślałam o rewanzu. Gdy spotkałam Roberta w Waszyngtonie, coś się we mnie przełamało. Zdradziłam ojca, ponieważ potrzebowałam czegoś, czego twój ojciec nie był zdolny mi dać, czego nawet od niego nie oczekiwałam.

Wpatrywała się błagalnie w Morgana, desperacko szukając jej zrozumienia.

– Ryzyko, Morgana! Hazard! Dlatego to zrobiłam! Dla dreszczyku emocji! Nie mówiąc o tym, że o tyle młodszy ode mnie Robert uważał, że wciąż jestem atrakcyjna.

– Byliście kochankami – powiedziała miękko Morgana.

Na twarzy Eleonory pojawił się grymas.

– Jakie to było wieloznaczne! Jak gorzkie, jak tragiczne, jak słodkie, jak bolesne! Najgorsze jest to, że oboje dawno mamy za sobą wiek zalewania się łzami. Jesteśmy zbyt doświadczeni i zbyt mądrzy życiowo.

– Powiedziałaś tatuškowi? – raczej stwierdziła, niż spytała Morgana.

– Tak – wyszeptała Eleonora. – Ogólnie rzecz biorąc, zniósł to dość dobrze. Nie jest gwałtownym człowiekiem, prawda? Nie krzyczał, nie rzucał cennymi talerzami. Trochę sposepniał. Wciąż jest posepny. Zamknął się w swojej garderobie, otwiera i zamyka szuflady, gwizdząc pieśni bractwa uniwersyteckiego. „Wszyscy jak jeden dla Phi Sigma Pi” czy coś równie głupiego. A on nawet nie chodził do college’u. Boże, Morgano, gdyby moja matka jeszcze żyła, wróciłabym do niej.

– A musiałaś mu mówić?

Eleonora zamyśliła się nad tym przez chwilę i powiedziała:

– Tak. Sądzę, że tak. Bardziej ze względu na Roberta niż siebie utrzymywałam moją miłość do niego w tajemnicy. Jedyne, co mogłam zrobić, to wyznać prawdę, gdy umarł. Pewnie uważasz, że to było nierozważne, ale to było coś w rodzaju testamentu. Spodziewam się, że prześladowałby mnie, jeśli nie powiedziałabym o nim twojemu ojcu.

Morgana odchyliła się na swoim skrzypiącym koszykowym krześle.

– Cóż – powiedziała, wytrącona z równowagi – to niemały szok, kiedy dowiadujesz się nagle, że twoja matka jest przewrotną kusicielką.

– Nie drwij ze mnie, moja droga. Moja sytuacja może się wydać śmieszna, ale mogę cię zapewnić, że strapienie jest szczere. Był moim kochankiem. Kochałam go, a on utonął.

– Nie wiem, co mogłabym jeszcze powiedzieć – szepnęła Morgana. – Co teraz będzie? Czy ty i tatusiek zostanieie ze sobą?

– Prawdopodobnie, nie wiem. Tak naprawdę nie mieliśmy okazji o tym porozmawiać.

– Kochasz go?

– Cóż to za pytanie? – powiedziała ostro Eleonora.

– Bardzo proste, kochasz go?

– Nie wiem, co odpowiedzieć! To tak, jakbyś pytała mnie, czy lubię jeść. Jem, żeby żyć; jem, bo cieszy mnie to. Czasami jem coś, a pięć minut później już zapominam, co jadłam. Czasami jem coś i smakuje mi to, a później żałuję.

– Czy często spotykałaś się z Robertem?

Eleonora podniosła filiżankę, zerknęła do niej, ale gdy zdała sobie sprawę, że kawa jest zimna jak lód, odstawiała ją z powrotem.

– Nie wiem. Dwa razy w miesiącu, czasami trzy, jeśli mieliśmy szczęście.

– Myślałaś kiedyś o zostawieniu tatuśka dla Roberta? Eleonora zawahała się.

– Tak, myślałam o tym, ale nie na serio. Pomimo jego wad, pomimo wszystkich jego nastrojów, Howard nie jest kimś, kogo spotyka się codziennie. Ale gdybym odeszła z Robertem, musiałabym wszystko porzucić, straciłabym prawie wszystko. Ciebie, Phoebe, ten dom, pozycję. I dlatego – chociaż brzmi to wstrętnie i przyziemnie – dlatego właśnie nie myślałam o odejściu. Możesz mnie nazwać tchórzem, jeśli chcesz, albo nierządnicą. Ale Robert był młody, a ja nie. Lubiłam moje ryzyko, lubiłam moją przygodę, ale nie miałam zamiaru mieszkać w dwupiętrowym domu na Avenue G, z jednym płaszczem na grzbiecie i dwiema parami butów, smażyć siekaną wołowinę, zastanawiając się, kiedy przyjdą z gazowni, żeby zaplombować mi piecyk.

– Robert chyba nie był aż taki biedny?

– Byłby, gdyby Cy Wentworth dowiedział się, co się dzieje. I bez zastanowienia można powiedzieć, że twój ojciec załatwiłby mnie finansowo, gdybym odeszła. Ojciec potrafi wiele znieść. Jest twardym człowiekiem. Ale bardzo wątpię, czy zniosłby takie poniżenie, że jego cenna żona z wyższych sfer opuściłaby go dla jakiegoś wyjętego z powieści Fitzgeralda młodego łobuza i hazardzisty.

Morgana przesunęła ręką po niebieskozłotym dzbanku. Był już zimny; sięgnęła więc ręką za siebie i zadzwoniła na Millicent, żeby przyniosła trochę świeżej kawy. Pomyślała, że matce też się przyda dolewka.

– Mamciu – powiedziała. – Naprawdę, przykro mi.

– Ależ, kochanie, nie ma ci co być przykro. Nie zasługuję na współczucie, prawda?



– Co zamierzasz uczynić?

– Uczynić? Absolutnie nic nie można zrobić. Powiedziałam twojemu ojcu, że nie oczekuję wybaczenia, ale że wciąż go kocham, że chcę zostać i mam nadzieję, że z czasem wszystko będzie mogło pójść w zapomnienie.

Eleonora zrobiła pauzę, a potem dodała:

– Minęły już dwa dni od śmierci Roberta. Jutro będą trzy. W końcu minie ich tak wiele, że będę mogła przetrwać od rana do wieczora, nie myśląc o nim.

– Chcesz, żebyśmy porozmawiała o tym z tatuśkiem?

– Nie, kochanie. Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

– Mam już ponad dwadzieścia jeden lat.

– Zaledwie. I masz szczęście, że żyjesz po tej wspinaczce po drabinie strażackiej.

Morgana uklękła i objęła ją ramionami. Poczwała Chanel. Poczwała też brandy. Była dopiero jedenasta przed południem, a jej matka już piła.

– Może ty i ja jesteśmy takie same – powiedziała Morgana. – Może szukałam tego samego, co ty.

– W takim razie pozwól, że ci dam radę. Jeśli jesteś takim typem dziewczyny jak ja, zastanów się dwa razy, zanim wyjdiesz za Johna.

Morganę zatkała bezpośredniość matki.

– Ale ja kocham Johna.

– Mogłabyś tak powiedzieć, gdybyś naprawdę to czuła.

– Mówię poważnie, kocham go.

– A ja kocham twojego ojca. A spójrz na mnie teraz. Może po głębszym namyśle dojdiesz do wniosku, że lepiej się wycofać.

Eleonora wstała i podeszła do okna. Na zewnątrz rozciągał się widok na pole golfowe otoczone wiazami. Słońce zaświeciło przez chwilę jaśniej i utworzyło poświatę na włosach Eleonory. Skuliła się silnie zaciskając ramiona, jak gdyby straciła wiarę, że ktoś mógłby ją objąć.

– John jest świetnym, młodym mężczyzną – powiedziała. – Ciężko pracuje, jest dobrze ułożony i zdaje się, że ma pewne poczucie humoru. Nie byłoby to katastrofą towarzyską, gdybyś go poślubiła. Byłaby to katastrofa uczuciowa.

Odwróciła się, jej oczy płonęły wzburzeniem.

– Zapytaj jakąkolwiek kobietę, czym jest śmierć, prawdziwa śmierć. Ujarzmieniem ducha, moja droga. Codzienną akceptacją decyzji podjętych przez niższe umysły. Śmierć zawsze jawi się piękna, śmierć to przyjęcia, śmierć uśmiecha się na ramieniu twojego męża. Śmierć to siedzenie w zamkniętej klatce, mauzoleum jego domu, czekanie na mężczyznę, który może zdecydować, że przyjdzie do domu lub nie, w czasie gdy twój prawdziwy kochanek traci życie, a ty nie możesz nic zrobić.

– Mamciu!

– W porządku, nie musisz mnie słuchać – powiedziała Eleonora. – Rozpaczam nad swym życiem, to wszystko. Sądziłam, że uda mi się to ukryć, ale niestety. Przepraszam. Nie słuchaj. Twoje życie nie przypomina mojego i ty w niczym mnie nie przypominasz. Wyjdź za Johna i bądź szczęśliwa. Niech ci śpiewa swoje głupie pieśni, aż po kres waszych dni.

Morgana wstała, podeszła do matki. Eleonora spuściła głowę.

– Tej pierwszej nocy wziął mnie na kolację – powiedziała. – Była to mała włoska restauracja w North Side. Nie jadłam w takim miejscu od lat Jedliśmy arrosticini all’abruzzese i pizza rustica. Nawet teraz, gdy zamknę oczy, pamiętam, jak to smakowało. I to wino, Corvo. Później zabrał mnie do mieszkania swojego ojca, na Lake Shore Drive. Mój Boże, Morgana, znowu poczułam się jak dziewczyna.

Morgana wzięła matkę za rękę, ale niewiele mogła zrobić i niewiele mogłaby powiedzieć. Eleonora uśmiechała się przez chwilę, jak gdyby rozpamiętywała coś, co powiedział Robert, a później jej uśmiech zniknął.

W tym momencie weszła hałaśliwie Phoebe, wymachując listem do Donalda Crittendena.

– Niech mnie, jeśli wiem, co miałam na myśli – powiedziała. – To jest piąty list! Nie mogę tego dobrze napisać. Albo brzmi to zbyt patetycznie, albo zbyt sucho. A przy tym nie chcę obsmarować biednego Bradleya, który, nawiasem mówiąc, przychodzi dzisiaj na lunch, jeśli wolno.

Morgana po raz ostatni uściśnęła rękę matki i odwróciła się z uśmiechem do siostry.

– Pokaż – powiedziała. – Niech rzucę okiem.

List był na różowym papierze z przyciemnionymi brzegami, a Phoebe zdążyła go już mocno spryskać perfumami Norell. Pismo Phoebe było okrągłe i śmiałe, z sześcioma czy siedmioma przekreśleniami. „Mój najdroższy, kochany Dondon. Jak mogłeś tak wyjść bez słowa, nie wiem, co ty sobie pomyślałeś!!! Bradley jest mi drogim, ale tylko przyjacielem. Powinieneś o tym wiedzieć!!! Jeśli myślisz, że chcę spędzić resztę życia jako pani Ham-I-Yam, to się mylisz!!! Nie dałeś mi nawet okazji, żeby się wytłumaczyć!!! Jednak wciąż lubię cię, nawet kiedy się gniewasz!!! Proszę, zadzwoń do mnie, żebyśmy mogli ty i ja znowu być razem!!!

Morgana nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Phoebe, to jest okropne! Pomijając gramatykę, co on sobie o tobie pomyśli.

– Nie obchodzi mnie, co on sobie pomyśli, byleby tylko zadzwonił – zaprotestowała Phoebe.  
– Poza tym, co jest nie tak z gramatyką?

– Zrobiłaś dużo błędów.

– No to co? Nawet wielcy geniusze literatury popełniali błędy. Nie słyszałaś, jak Max Sackheim mówił o tym w piątek? On był mocny. Wiesz, co powiedział? „Tak między nami, sam często nie umiem powstrzymać się od robienia błędów.” Nie uważasz, że to było zabójcze?

W każdym razie, powiedział coś w tym sensie.

Otworzyła porcelanową papierośnicę i wyjęła papierosa.

– Donald pomyśli, że się nie cenisz – powiedziała Morgana Phoebe wydeła wargi:

– Cóż, jeśli moja duża siostra wstawiłaby się za mną, zamiast ganiać ze strażakami, w ogóle nie musiałabym do niego pisać. Ale kto mógł przewidzieć. On też się trochę nie docenia. Jesteśmy jedną zbiorową tandetą.

Wzięła list z powrotem, zwinęła go, pocałowała i powiedziała:

– No wiesz, nie możemy się wszystkie zaręczyć z prawnikami z wyższych sfer!

– Tylko mi nie mów, że jesteś zazdrosna o Johna – powiedziała Morgana, żeby to zabrzmiało zabawnie, ale coś ścisnęło gardło, gdy wymawiała słowo „zazdrosna”. Zabrzmiało to tak, jakby była rozdrażniona.

– Zazdrosna, moja droga, dlaczego miałabym być zazdrosna? – zapytała Phoebe. – Ja w ogóle nigdy nie jestem zazdrosna. Co by tu założyć na lunch? A co sądzisz o tej szaro – białej sukience, którą miałam u Bessenhauserów? Albo o tej zielonej, z fałdami. Teraz ty jesteś w fałdach. Nie chcemy być obydwie pofałdowane, prawda? A niech mnie! Ale mamy szczęście od rana!

Phoebe zapaliła papierosa i nagle zobaczyła matkę, która siedziała skulona i nieszczęśliwa. Wyglądała jak prasująca kobieta z obrazu Picassa. Nieszczęście w postawie Eleonory było niezwykle i bardzo wymowne. Osłaniała twarz ręką, ręką, na której połyskiwały trzy ogromne diamenty.

– Mama? – powiedziała Phoebe, marszcząc czoło.

Enzo Vespucci wyszedł ze swojej perfumowanej kąpieli i stanął nagi jak dziecko, czekając, aż służący Carmino zawinie go w ogromny śnieżnobiały turecki ręcznik. Zaparowane lustra łazienki pokazywały, że musiał być mrocznym i ponurym dzieckiem, które w średniowieczu podejrzewano by, że jest odmieńcem, podrzuconym pewnego ranka w kołysce w tumanach dymu siarczanego.

Kiedy już cichy, wypomadowany Carmino osuszył i opudrował go, Enzo wślizgnął się w swój niebieski, jedwabny szlafrok ze smokiem, w niebieskie jedwabne pantofle i przeszedł do jadalni na śniadanie.

W wystroju jadalni przeważał ton delikatnej żółci, okrągły stół przykryty był jasnożółtym obrusem. Owalne lustro było tak ogromne, że Enzo mógł przeglądać się w nim, gdy jadł. Mieszkanie miało wszędzie lustra. Było tak wiele lusterek, że czasami jego służący doznawali denerwującego uczucia, że mieszka tu nie sześciu, lecz trzydziestu ludzi.

Służąca Eufemia czekała już na niego z serwetką. Była przystojną dwudziestoparolatką, ale nie oszałamiająco piękna. Usiadł – Eufemia położyła mu serwetkę na kolanach, naląła mu kawy i poszła po jedzenie. Zatarł ręce, ściskając palce tak mocno, że trzaskały kości. Wszystkie gazety niedzielne leżały wepchnięte w mosiężny stojak obok niego, ale nie wyciągnął żadnej. Myślał o seksie i operze.

Eufemia wróciła z tacą. Postawiła przed Enzo talerz i podniosła wypolerowaną metalową przykrywkę. Talerz nosił monogram EV i leżało na nim parujące spaghetti alla carbonara z jajkami, włoskim bekonem pancetta, białym winem i serem pecorini romano. Enzo nachylił się lekko wdychając zapach spaghetti i kiwał głową tak nieznacznie, że kto nie przyglądałby mu się uważnie, nie zauważyłby tego.

Zaczął jeść. W pokoju poza stukaniem widelca i przytłumionym odgłosem ruchu ulicznego dochodzącego zza okien było cicho. Od czasu do czasu odległy, jasny błysk światła od strony jeziora przeszywał delikatne koronkowe zasłony, które oddzielały Enzo od świata zewnętrznego. Mieszkał na ostatnim piętrze przy Lake Shore Drive, na południe od Lincoln Park, w szesnastopiętrowym budynku w stylu francuskiego chateau.

Jak na człowieka włoskiej narodowości wyjątkowo mało interesował się własną rodziną. Uważał, że spełnił swój obowiązek zatrudniając w koncernie handlowym trzech braci Piccage, synów siostry. Prowadził cichą, normalną, skupioną egzystencję, pობłażając sobie we wszystkim, co uwielbiał, w sposób kosztowny, ale i wstrzemięźliwy. Uwielbiał jedzenie, ale nigdy nie jadł dużo. Uwielbiał wino, ale nigdy się nie upijał. Chodził do opery tylko raz w miesiącu. Umawiał się z pięcioma kobietami w swoim życiu, ale tylko w weekendy, a i to nie we wszystkie. Wierzył,

że pojedyncze doznanie musi zapierać dech w piersiach.

Pod koniec lat trzydziestych Enzo poprzez skomplikowane negocjacje z głównymi kanciarzami szybko przejął kontrolę nad ogromną częścią dróg w Near South Side. Z zasady dochodził do celu w sposób nielegalny i krwawy. Policja i FBI od lat próbowały ujawnić jego kanty i ocenić wartość jego zdobyczy, ale nie wysilano się zbytnio, bo przecież mogło wyjść na jaw, jak blisko interesy Enzo były związane z prezesami związków, politykami, biznesmenami, notablami, nie mówiąc już o urzędnikach policji i sędziach. Enzo płacił należności, kiedy trzeba było. Enzo uszczęśliwiał wszystkich. Ale Enzo był także zdolny zabijać tych, którzy zakłócili jego ciszę i równowagę. Zabił człowieka własnymi rękami, gdy miał czternaście lat, człowieka, który zrobił z jego ojca rogowca. Przeklął ojca za to, że jest tchórzem, a matkę za to, że jest flądą. Ale potem poszedł do kościoła i podziękował Bogu, że odkrył w sobie tajemną moc, która uczyni go potężnym i bogatym. Zwykli ludzie nie byli przygotowani stawić czoło komuś, kto był zdolny zabijać bez skrpułów.

Enzo związał na widelcu resztki spaghetti, gdy wszedł Ambrogio. Stanął z filiżanką w rękę, czekając w milczeniu, kiedy Enzo skończy jeść i wytrze grymaśne usta chusteczką.

– No? – zapytał Enzo.

– Zastanawiałem się, o której godzinie zechce pan wyjść na spacer – powiedział Ambrogio.

Enzo pomyślał przez chwilę i powiedział:

– O której godzinie Marcella powiedziała, że tu będzie?

– O drugiej, proszę pana, coś koło tego.

– W takim razie wyjdziemy o drugiej. Dawno jej nie widziałem.

– Tak jest. I... proszę mi wybaczyć.

Enzo patrzył na filiżankę, prawie tak jakby przeniósł się gdzieś myślami. Eufemia wróciła do jadalni, przeszła wolno po żółtym dywanie i nalała świeżej kawy. Enzo podniósł filiżankę, sączył wolno napój i czekał z niewzruszoną maską na twarzy, co powie Ambrogio.

– Carlo Aceto jest na dole. Powiedział, że błaga, by się z panem zobaczyć.

Enzo odstawił filiżankę. Maska pękła.

– Carlo Aceto? Ten świński pomiot ma czelność tu przychodzić? Sądziłem, że jest w Nevadzie.

– Mówi, że błaga pana o wybaczenie.

Enzo wstał gwałtownie i trzasnął serwetką w dół.

– O wybaczenie? Człowiek, który zdradził swoich braci? Człowiek, który za cenę zużytej opony ogoliłby swojej siostrze tyłek? Czyż nie mówiłem Carlowi Aceto, że jeśli kiedykolwiek postawi stopę w Chicago, to przybiję mu głowę do drzewa?

Ambrogio słuchał tych inwektyw z widocznym pobłażaniem. Enzo uwielbiał obrażać i grozić. Dopiero gdy przestawał obrzucać wyzwiskami i krzyczeć, ludzie wokół niego mieli

prawdziwy powód do strachu. Enzo chodził po jadalni, zwracając się co jakiś czas w stronę oprawionego obrazu świętego Michała, jak gdyby tylko święty mógł zrozumieć, co musi wytrzymać Vespucci.

– Czyż nie powiedziałem Carlowi Aceto, że nakarmię go szkłem zmieszanim z cementem i wrzucę do stawu?

– Czy chce go pan widzieć? – zapytał cierpliwie Ambrogio.

– Carla Aceto? Ten psi pomiot?

– Przyszedł o siódmej, proszę pana. Czeka na dole w galerii.

– No, dobrze. Zaprowadź go do biblioteki. I dopilnuj, żeby usiadł na gazecie.

– Jak pan każe.

– I nie zapomnij mu powiedzieć, że wystawia moją gościnność na próbę i że jestem na niego wściekły jak diabli, przepraszam, San Michel. Upewnij się, że zrozumiał, iż wszedł do jaskini lwa; że jak tylko kichnie, rozedrę go od czubka nosa po sam brzuch i wypcham majerankiem. Carlo Aceto al maggiorana.

Ambrogio nie mógł powstrzymać się od śmiechu, głębokiego, dudniącego, rubasznego rechotu.

Enzo wrócił do łazienki i skrupulatnie wyszorował zęby pastą chlorofilową. Gdy płuca usta, drzwi otworzyły się i weszła mała, zmysłowa, czarnowłosa dziewczyna. Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Enzo – przymilała się – kiedy obudziłam się, ciebie już nie było. Nie wrócisz do łóżka?

Enzo obserwował odbicie ich mocno przytulonych ciał w lustrze. On ze swoimi dziwnie nieruchomymi szlachetnymi rysami i głęboko osadzonymi oczami. Ona z potarganymi włosami, wystającymi kośćmi policzkowymi i wydętymi uszmińkowanymi na karmazynowo wargami jak dziewczyna z plakatu; gwałtowna, gorąca, namiętna, mocno pachnąca Chamade i seksem. Była owinięta w jedwabny szlafrok w odcieniu eau de nil, z beżowym koronkowym wykończeniem. Poły szlafrocka rozchyliły się, ukazując wspaniałe nogi.

– Enzo, Enzo, Enzo – wydeła usta, a jej wargi odsłoniły zęby w uśmiechu tak wyzywającej lubieżności, że Enzo odwrócił się, spojrzął jej w twarz i wyraźnie przeszedł go dreszcz. Wtedy się roześmiała, jak gdyby coś wygrała od niego, pocałowała jego twarz, szyję, policzki, czoło, nos i powiedziała:

– Enzo, dalej, wróć do łóżka, i niech mój domek wpasuje się pod twój komin.

Enzo złapał ją za lewy, później prawy nadgarstek i stopniowo odsuwał od siebie.

– Mam interes. Wracaj do łóżka.

– Interes? Interes? Jest niedziela. Jaki interes może mieć mężczyzna w niedzielę? Jesteś księdzem, Enzo, musisz spowiadać?

Enzo uśmiechnął się lekko.

– Można to tak nazwać, Nana. Spowiedź, tak.

– Enzo, pozwól mi usmażyć te twoje jajka. Enzo? Odepchnął ją otwartą dłonią.

– Najpierw interes. Wracaj do łóżka. Uczesz włosy. Znajdź sobie jakieś zajęcie.

– Enzo, jesteś taki niedobry – wyrzuciła z siebie Nana i znowu zaczęła go całować.

Sięgnął ręką pod jej szlafrok i chwycił mocno za włosy łonowe.

– Enzo! – Z trudem łapała oddech i kurczowo chwyciła jego ramię.

Ścisnął jeszcze mocniej, tak mocno, jak może kochanek w chwili silnego podniecenia seksualnego: z tą tylko różnicą, że on nie był podniecony, był niewzruszony jak głaz. Uśmiech Nany zamienił się powoli w grymas strachu.

– Enzo, nie rób mi krzywdy – wyszeptwała.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy. Chcę, żebyś mnie słuchała, to wszystko. Czy proszę o zbyt wiele? Mam interes. Wracaj do łóżka. Później możesz bawić się domkami, kominami, jajkami, czym chcesz.

Nana zamknęła oczy. Na rzęsach pojawiły się łzy. Wiedziała, co musi powiedzieć.

– Przepraszam – wyszeptwała. – Wybacz mi.

Puścił ją. Podniósł rękę bardzo wolno do nozdrzy i beznamiętnie chłonał jej zapach. Później dokładnie umył rękę i pedantycznie wytarł ją. Jego twarz w lustrze była całkowicie pozbawiona wyrazu. Podziwiał ludzką twarz, która nic nie zdradzała. Kochał rzeźby, szczególnie Berniniego. Pomyślał o zeszłej nocy, o krzyku Nany, o jej szeroko rozpostartych udach, o swoich palcach zagłębionych w jej piersiach jak szpony. Pomyślał o „Tosce”, swojej ulubionej operze, o scenie, w której Tosca uświadamia sobie, że Cavaradossi naprawdę został rozstrzelany. Intensywne chwile, chwile zapierające dech. „Jego spojrzenie jest jak spojrzenie rzeźb, a jego głos, odległy, spokojny i poważny, mówi o tych, którzy byli drodzy, a teraz milczą”. Enzo załkał w sobie, bezgłośnie. Jego twarz nie ukazywała nic, ale w oczach pojawiły się łzy.

Carlo Aceto czekał na niego, siedząc dość niewygodnie na małym kawałku reklamowej „Tribune”. Biblioteka była pusta, ponieważ Enzo trzymał wszystkie swoje książki w sypialni, ale Plotke i Grosby w oryginalnym prospekcie apartamentu 1540 na Lake Shore Drive opisali pokój jako bibliotekę, i jeśli chodziło o Enzo, to zawsze go tak nazywał. Pokój był jasnozielony, w prawie takim samym kolorze jak szlafrok Nany. Słońce wpadające przez okna błyszczało na czaszce Carlo Aceto, pomimo że zczesał włosy na łysinę, próbując ją ukryć.

Aceto zerwał się na równe nogi, szeleszcząc gazetą. Był mężczyzną o kwadratowej sylwetce, dużych ramionach i dużą głową, która wyglądała jak efekt uboczny przerostu kości. Trzymał swoje ręce o krótkich palcach zaciśnięte razem, tak że ich kostki mocno przylegały do siebie. Jego szary garnitur był przyciasny i źle dopasowany. Nawet wizyta u dobrego krawca nie poprawiłaby jego ciołkowatego wyglądu.

Enzo stanął nad Carlem z rękami wepchniętymi w kieszenie swojego smoczego szlafroka

i wpatrywał się w niego z pogardą.

– Carlo Aceto – powiedział po chwili.

Aceto nie było prawdziwym nazwiskiem Carla i było to włoskie określenie ostrego octu. Enzo był pewien, że wymówił je ostro. Przewano tak Carla, ponieważ zawsze pozostawiał po sobie ludziom kwaśny smak w ustach, nawet przyjaciółom.

– Panie Vespucci, wiem, że obiecałem – wił się Carlo. – Wiem, że już nigdy nie miałem tu wrócić. Ale nie mogłem znaleźć pracy. Nikt nie chciał mi pomóc. Nawet Salvatorowie w Reno. Błagałem, ale odmawiali. Musiałem wrócić. Nie było dla mnie nigdzie miejsca.

Enzo usiadł naprzeciw Carla w fotelu ze sznurkowym oparciem; założył ręce na brzuchu i wpatrywał się w Carla bez mrugnięcia przez denerwująco długi czas.

– Nie chcieli cię zatrudnić – powtórzył. – Czy to cię dziwi?

– Nie, proszę pana.

– Więc co cię skłania do tego, żeby myśleć, że ja cię zatrudnię?

– Och, proszę pana, panie Vespucci...

– Nie jestem szlachetnym człowiekiem – przerwał mu Enzo. – Nie jestem też pobłażliwy. Możesz się zapytać kogokolwiek. Nie muszę być! Czy w Stanach istnieje jakieś prawo mówiące, że muszę być szlachetny i pobłażliwy? Jestem życzliwy, tak. Spytaj się każdego. Ale życzliwość jest czymś szczególnym.

Carlo Aceto wpatrywał się w niego.

– Słyszałem, jak ludzie mówili, panie Vespucci, że... jest pan życzliwy.

– Czy myślisz, że powinienem być życzliwy dla ciebie, Carlo Aceto?

– Panie Vespucci, nie proszę o wiele. Wiem, że popełniłem kilka niewybaczalnych błędów. Ale nie miałem pieniędzy. Mój brat miał kłopoty, musiałem naruszyć zasady. Nie chciałem, żeby mój brat poszedł tą samą drogą. Pan wie, co on zrobił? On nie ukradł tego samochodu. Oddałby go, gdyby się nie rozbił. To był wypadek, nic więcej. Ale jak mogłem go zostawić w opałach? Pan rozumie.

– Nie mam brata, Carlo. Jedyne siostrę – powiedział Enzo z pewną przyjemnością.

Carlo wyciągnął z kieszeni wyblakłą chusteczkę i wytarł nią pot z twarzy.

– Pan wie, nie przyszedłbym, gdybym nie miał czegoś w garści. Wie pan, czegoś do zaoferowania.

– Rozumiem – powiedział Enzo. – Masz jakąś propozycję?

– Nie przychodzę z tym, żeby pana przekupić, panie Vespucci, proszę mi wierzyć. Nie próbuję powiedzieć, że jestem kimś wyjątkowym. Ale słyszałem, co słyszałem, i sądzę, że jest to coś warte, bo nikt inny o tym nie wie.

– Słyszałeś coś? – zapytał Enzo, raczej układnie. – Co? I gdzie?

– Przyjaciółka mojej siostry pracuje w ratuszu miejskim, gdzie jest stenografistką. Przepisuje



dla burmistrza listy na maszynie.

– O, doprawdy? – powiedział Enzo. – To ty naprawdę masz niezłe powiązania. Masz jakieś kopie tych listów? Co w nich jest?

– Och, tak, proszę pana, wiem, o czym one są. O slumsach. Wszystkie dotyczą oczyszczenia slumsów.

Enzo wstał z fotela i przeszedł się sztywno po bibliotece, aż stanął tuż za krzesłem Carla Aceto – tak blisko, że Carlo nie widział go, nawet gdyby próbował obrócić się w drugą stronę.

– Wiesz, co jest w tych listach – powiedział Enzo. – W takim razie powiedz mi. Przecież po to tu przyszedłeś, prawda?

– Panie Vespucci, proszę mi wybaczyć.

– Już ci wybaczyłem. Chcesz, żebym wybaczał ci dwa razy? Carlo pociągnął nieszczęśliwie nosem.

– Chodzi mi o te listy. Wiem, co w nich jest, i wiem, co burmistrz Doyle planuje zrobić. Ale, wie pan, muszę mieć jakąś gwarancję, zanim panu powiem, co się dzieje. Muszę mieć jakąś gwarancję, że potem nikt nie będzie mnie ścigał za to, co zrobiłem. To znaczy, to nie była moja wina, to wcale nie była moja wina, to co się stało z Benny i Genaro.

W rogu biblioteki stało małe biurko. Enzo podszedł i otworzył je.

– Chodź tutaj – powiedział do Carla. – Mówiłeś coś o gwarancji.

Carlo obrócił się na krześle.

– No tak, proszę pana...

– Gazeta – powiedział Enzo, wskazując na gazetę, na której siedział Carlo. – Jeszcze jej nie czytałem. Nie gniewaj się.

– Przepraszam, panie Vespucci, ale chciałem powiedzieć...

Ale Enzo nie pozwolił mu nic powiedzieć. Enzo wiedział, czego chciał Carlo. Chciał ni mniej ni więcej jak szansy pozostania żywym, bez groźby, że będzie ścigany, bo na jego głowę nałożono cenę. Chciał świętej ochrony consigliere. Takiej gwarancji mógł mu Enzo udzielić; ale Enzo nigdy nikomu niczego nie gwarantował, ponieważ nie wierzył w zapewnienie. Dawanie zapewnień było takie nieamerykańskie. Ci, którzy dawali gwarancję, dawali pod zastaw swoją swobodę działania, oddawali swoje, dane im przez Boga, prawo do zemsty.

Enzo mówił cicho i ostro, przypominało to odgłos szurania papieru ściernego.

– Wciąż pamiętam, co zrobiłeś, ty krowi pomocie. Sam widziałem Benito i Genaro martwych. Z przestrzelonymi głowami i mózgami na ścianach. A ty, który ich zdradziłeś, masz czelność prosić mnie o gwarancję życia!

– Łaski, panie Vespucci.

Enzo zacisnął ramię dookoła szyi Carla, prawie go dusząc. Jak na małego, delikatnie wyglądającego mężczyznę, Enzo był zadziwiająco silny i chociaż ręce Carla natychmiast

pochwyciły rękaw Enzo, nie mogły połuźnić ich uchwytu.

– Consigliere, moja rodzina...

Właśnie wtedy Enzo podniósł nóż do otwierania listów ze srebrną rączką i dziobnął nim w czubek tysej głowy Carla. Ostrze było tępe, ale Enzo wbił je wystarczająco silnie, żeby przebić skórę, i wąska struga krwi spłynęła po jednej stronie głowy Carla, na jego brudny kołnierzyk. Carlo wrzasnął i próbował podnieść się z krzesła, ale Enzo przytrzymał go jeszcze mocniej i wbił ostrze jeszcze głębiej.

– Słuchaj mnie, ty psi pomiole, masz szczęście, że jeszcze cię nie zabiłem. Byłeś gotów wrócić do Chicago, na kolanach, skamłając i posypując głowę popiołem, błagając o wybaczenie, a teraz prosisz mnie jeszcze o gwarancję? No, to masz swoją gwarancję. Gwarantuję, że nie wbiję ci tego przedmiotu w głowę po rękojeść, jeśli powiesz mi, co burmistrz Doyle pisze w swoich listach.

Carlo dyszał ciężko.

– Moja matka, panie Vespucci, jest taka chora.

– Benito i Genaro byli bardziej chorzy. I ty też będziesz, jeśli nie zaczniesz gadać.

Głos Carla zmienił się prawie w bełkot.

– Panie Vespucci, gdybym tylko mógł cofnąć czas...

Enzo zacisnął uścisk na gardle Carla i stopniowo wykręcał na boki otwieracz do listów. Carlo zapiszczał głośno i krzyknął:

– Nie, nie, panie Vespucci, nie! Proszę! Powiem, panie Vespucci – proszę!

Enzo wyciągnął ostrze o pół cala i czekał. Carlo skrzywił się z bólu, przełknął ślinę i chaotycznie wyrzucił z siebie wszystko, co wiedział.

– Listy jeszcze nie wyszły. Dopiero piszą je na maszynie. Mają być tajne, czy coś w tym rodzaju, tak powiedziała June. June to ta stenografistka, którą zna moja siostra. W każdym razie, zdaje się, że burmistrz Doyle mówi, że zrówna z ziemią wszystkie slumsy na South Side, i mówi, że zrobi to po dobroci, albo idąc po trupach, tak powiedział. Mówi, że nie może likwidować slumsów, dopóki nie wypchnie stamtąd właścicieli, no wie pan – pana, Franny’ego Lorenzo i Orville’a O’Keefe. Ma listę dwudziestu, może trzydziestu nazwisk, a pana nazwisko, panie Vespucci, jest na samej górze.

– Dalej – ponaglał Enzo.

Carlo przełknął ślinę i przesunął się na gazecie.

– Burmistrz Doyle mówi, że musi uzyskać pomoc, żeby zburzyć slumsy, no wie pan, pomoc ludzi z gazet i z telewizji. Mówił, że dąży do publicznego rozdmuchania tej sprawy, wszyscy mówią, że trzeba zburzyć slumsy na South Side i dopaść tych dupków, ich właścicieli.

Enzo widział siebie w lustrze na ścianie pokoju. Zastanawiał się bez emocji, jakby to było, gdyby wydułbał Carlowi Aceto oczy. Carlo pocił się.

– Mówi, że nie chce, aby ktoś jeszcze się pana bał, nawet ci, którym pan płaci. Mówi, że prokurator okręgowy będzie patrzył przez palce na tych, którzy przyjdą i opowiedzą o współpracy z panem, pod warunkiem, że złożą zeznania przeciwko panu, Franny’emu i całej reszcie. Mówi, że będzie to coś jak święta wojna. Nie wiem, co on przez to rozumie, ale June powiedziała, że Doyle wciąż o tym mówi, jakby to było dość ważne. W każdym razie June myśli też, że Doyle chce dopaść pana bardziej niż innych z listy.

– Co ją skłoniło, żeby tak myśleć? – zapytał Enzo. Jedna gałka, później druga, nic prostszego. Chlup, chlup.

– No, widziała tych facetów w biurze Doyle’a, kiedy zabierała pocztę, i jeden z nich, tego była pewna, to był Orville O’Keefe, rozpoznała jego gębę z gazety. Mówi, że Doyle i O’Keefe rozmawiali cholernie przyjacielsko i mówili o zbiorowym wynajmie i takie tam. Nie wiem na pewno, ale domyślam się, że Doyle chce pana wystawić pod ostrzał i nie obchodzi go, kto mu w tym pomoże.

„Więc to tak?” zastanawiał się Enzo. „Dał O’Keefemu gwarancję. Widzisz, Carlo, jak łatwo dawać gwarancję? Widzisz teraz, jak mało ona znaczy? Jedyne gwarancją, jaka liczy się na tym świecie, Carlo, jest to, że pewnego dnia będziesz martwy, z liliami w słoiku i fotografią na nagrobku uśmiechającą się do każdego i mówiącą: «Patrzcie na mnie wiara, nie żyję».”

Carlo chrząknął i zazgrzytał zębami. Czuł, jak ból od czubka rozlewa się na całą głowę i ścisza skronie jak paraliżująca migrena.

– Uff, to tyle, panie Vespucci, to już wszystko, przysięgam!

– To tyle? Tylko tyle? Czy nie sądzisz, że to sporo, jeśli wszyscy przyjaciele zwracają się przeciwko mnie?

– To burmistrz Doyle, panie Vespucci, on jest tym człowiekiem – aa – mówi, że wykończy pana. Tak mówi w listach, wykończy pana, zmusi gazety, żeby pana rozerwały na strzępy, gazety i stacje rządowe, chce zwerbować prokuratora okręgowego, żeby pana dopadł, jak tylko ludzie obrócą się przeciwko panu i zaczną mówić. Zamierza oskarżyć pana o podpalenia, oszustwa ubezpieczeniowe, handel narkotykami, oszukiwanie na podatku dochodowym, co tylko pan chce. To jest w listach.

Enzo wolno zwolnił dławiący uścisk na szyi Carla i odwrócił się. Carlo natychmiast wyjął chusteczkę i przyłożył ją do czubka głowy.

Enzo przeszedł na drugą stronę pokoju. Poruszał stopami jak baletmistrz, pełen energii i nagłej groźby. Dziwnie wyglądał. Ścisnął prawy łokieć lewą dłonią i powiedział w zadumie:

– Wiesz co, Carlo Aceto, to prawda. Ostatnio rzeczywiście wyczuwałem jakiś niepokój, kiedy odwiedzałem przyjaciół. Czułem, że patrzyli na mnie, jak gdybym cierpiał na śmiertelną chorobę i był jedyną osobą, która nic o tym nie wie.

Zrobił trochę dłuższą pauzę i powiedział:

– Dranie. Tak wielu z nich brało ode mnie pieniądze, a ja się dowiaduję o tym od ciebie, Carla Aceto, podłego szczura, który sprzedał życie Benito i Genaro! Siedzę, uśmiechając się głupkowato, kiedy wszyscy, jeden przez drugiego, pchają się do wyjścia.

Spojrzał na Carla, na jego twarz w kolorze otoczonego w mące ciasta na pizzę.

– Dranie! Poleje się krew. Łotry! Na życie mojej matki przysięgam, że zetrę ich na pasztet i nakarmię nimi ich własne dzieci.

Nieszczęsny Carlo przyglądał się chusteczce.

– Mój kołnierzyk jest przesiąknięty krwią.

– Twój kołnierzyk jest już tak otłuszczony, że wesz by się na nim poślizgnęła – odpowiedział Enzo.

Podniósł telefon z biurka i powiedział:

– Ambrogio? Pan Aceto idzie już do domu. Może chciałbyś go odprowadzić.

Carlo wstał, chowając głowę jak pasierb, uchylający się przed ciosem macochy.

– Wystarczy jedno pańskie słówko, panie Vespucci.

Enzo odłożył słuchawkę. Nic nie powiedział. Wygiął język dotykając górnych zębów i ukazując jego spód – jasnoniebieski i gruzelkowaty jak brzuchy morskich padlinożerców.

Carlo gwałtownie upadł na kolana.

– Wszystko, czego chcę, to pańska zgoda, panie Vespucci. Jedno „tak” mi wystarczy.

W momencie gdy Carla Aceto odprowadzano na tylne siedzenie beżowego nash-ambassadora, którym podjechał portier, Enzo zamknął za sobą drzwi sypialni i melodramatycznym gestem poluźnił pasek szlafroka.

Carlo bronił się rozpaczliwie przed wepchnięciem do samochodu. Uczepił się dachu i zaparł nogami obutymi w eleganckie pantofle o ciemnych noskach, zasłaniając wejście na tylne siedzenie. Ambrogio szarpał się z nim ciągnąc za ramiona, żeby odsunąć go na bok. Portier przyglądał się tym milczącym zmaganiom z twarzą wypraną z wszelkich emocji. Już wcześniej zauważył, że wyświechtany mężczyzna w średnim wieku wyłonił się chwiejąc z autobusu i szedł w ich kierunku, ale ostrzeżenie Ambrogia nie należało do jego obowiązków.

– Złamię ci kark – warknął Ambrogio. Zastygła twarz Carla wyrażała przekonanie, że całkowicie mu uwierzył.

Nana zachichotała i wygięła się pod żółtym prześcieradłem, jej oczy spozierały na Enza lubieżnie i z rozbawieniem, a także w oczekiwaniu diamentowej bransoletki, którą jej obiecał. Enzo pozwolił, żeby szlafrok ześlizgnął mu się do kostek, a potem wszedł na łóżko, ziemistoblady i nagi. Miał nieowłosioną klatkę piersiową i sutki jak ściśnięte między stronami książki płatki róży. Małe pieprzyla pokrywały jego plecy i ramiona. Kiedy po raz pierwszy Nana widziała go nago, zapytała, co by się stało, gdyby połączyła wszystkie kropki długopisem jak w dziecięcych zagadkach, jaki obraz pojawiłby się. Enzo uśmiechnął się, dotknął czubkami palców jej ust i powiedział:

– Il Diabolo.

Enzo zwinął prześcieradło trzema systematycznymi zagięciami. Nana udawała, że mu się opiera, i ze śmiechem przeturlała się po łóżku, żeby zakryć swoją nagość. Enzo syknął z niezadowoleniem i rzucił się na nią.

Szamocząc się z Ambrogio, Carlo pochylił głowę i nagle zobaczył mężczyznę w średnim wieku, szukającego wejścia budynku. Wykrzyknął:

– Proszę pana! Proszę pana!

Mężczyzna zatrzymał się, ale nie rozglądał się. Stał w miejscu, z rękami zagrzebanymi w kieszeniach płaszcza, krzywiąc się do siebie, jak gdyby usłyszał głos z niebios lub głębi własnej grzesznej duszy. W końcu to była niedziela.

– Proszę pana! – krzyknął Carlo, tym razem bardziej rozpaczliwie. Ambrogio szarpnął go za nadgarstek, a jeden z paznokci Carla wszedł w zagłębienie nad drzwiami samochodu i odgiął się do tyłu.

Ostatni krzyk Carla i wzmożona szamotanina przy samochodzie przyciągnęły uwagę człowieka w średnim wieku. Zerknął niepewnie w stronę samochodu i zaczął iść w tę stronę; jego nogi poruszały się z przyciężką gracją nurka chodzącego po dnie morza.

Enzo nie miał zamiaru szarpać się z prześcieradłem okrywającym Nanę. Zanurzył palce lewej ręki głęboko w jej gęstych czarnych włosach, i chwycił je tak mocno, że Nana wydała okrzyk autentycznego bólu. Leżała na plecach dysząc i wpatrując się w niego rozbieranym wzrokiem, próbowała zrozumieć, czego chciał, próbowała osądzić, jak daleko się posunie.

– Chcę, żebyś była naga – powiedział.

Zawahała się przez jedną chwilę, a on znowu szarpnął jej włosy.

– Chcę, żebyś była naga – powtórzył.

Wolno, nie spuszczając z niego wzroku, Nana, założyła kciuki za górną krawędź prześcieradła i odchyliła je na dół. Najpierw odsłoniła się jedna pierś, później druga. Nana miała szesnaście lat i siedemnaście dni. Jej piersi były duże, krągłe i białe; i jak to Areti – no kiedy? opisywał ciało młodej żarliwej zakonnicy: „delikatniejsze niż mysz urodzona i wychowana w mące”. Jej małe różowe sutki mocno się zmarszczyły. Usta rozchyliły się lekko, oddech pachniał winem i świeżymi brzoskwiniami.

Zsunęła dalej prześcieradło, obnażając delikatny biały brzuch i łagodne łuki szerokich i kuszących bioder. Enzo zsunął palce z jej włosów i chwycił twarz w sposób, który momentalnie ustala wyższość jednej istoty nad drugą. Zazwyczaj chwytają się w ten sposób dzieci lub zwierzęta; jeśli chwytasz w ten sposób kobietę, to albo ją pocałujesz, czy chce tego, czy nie, albo zrobisz jej krzywdę.

Ambrogio chrząknął.

– Cholera! Właź do samochodu!

I zaraz potem walnął Carla bardzo mocno pięścią w nerki. Carlo zaskowyczał i upadł na chodnik, ale Ambrogio podniósł go za kołnierz.

W tym momencie mężczyzna w średnim wieku zdecydował się na interwencję.

– Co tu się dzieje? – chciał wiedzieć. Spojrzał w dół na czerwoną jak burak twarz Carla z trudem łapiącego powietrze.

– Co jest? Co, do licha, robisz z tym człowiekiem?

Ambrogio powiedział:

– Daj spokój, zajmij się swoimi sprawami. Zjeżdżaj stąd.

Człowiek w średnim wieku utkwiał w nim wzrok i zakołysał się.

– Wiedz o tym, że jestem przedstawicielem prasy, mój dobry człowieku, i jeśli natychmiast nie wypuścisz tego człowieka, wezwę łapsów.

Ambrogio pchnął obcego prosto w pierś. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby ten

zatonął się trzy czy cztery kroki w tył. Zarówno Ambrogio jak i portier o beznamiętnej, płaskiej twarzy przyglądali się z zainteresowaniem, czy skończy się to upadkiem, ale normalne prawo grawitacji i równowagi wydały się chwilowo zawieszony i mężczyzna wyprostował się, z jednym palcem surowo wzniesionym i brodą drżącą, zranioną uczciwością.

– Napad to poważna sprawa, ty łotrze. A dla sędziego okręgowego pchnięcie równa się uderzeniu. Portier, chcę, żebyś zadzwonił do mieszkania dwadzieścia jeden, do mieszkania pana Vespucci, i powiedział mu, że przybył pan Walter Dempsey z chicagowskiej gazety „Star”, ale chwilowo spóźnia się, bo zajmuje się chuliganem.

Ambrogio przerwał swoje próby wtłoczenia Carla na tylne siedzenie nasha.

– Pan do pana Vespucci?

Walter chwycił się mocno za klapy, a że odchyłał się od pionu pod nieprawdopodobnym kątem, wydawało się, że to jego własny sposób utrzymywania pozycji stojącej.

– Dowiedz się, że pan Vespucci zaprosił mnie osobiście, żebym napisał artykuł o jego koniach wyścigowych.

– W takim razie proszę pana o wybaczenie – powiedział Ambrogio. Ostatnim wysiłkiem udało mu się wepchnąć Carla do samochodu i zatrzaskać drzwi.

– Jestem szoferem pana Vespucci. Wypełniam tylko jego polecenie, aby usunąć tego człowieka, który próbował zdenerwować pana Vespucciego i przeszkadzał mu w jego zajęciach. Nic złego się nie dzieje. Sam pan się przekona, jakim łagodnym człowiekiem jest zawsze pan Vespucci. Proszę przyjąć moje przeprosiny za pchnięcie pana.

Walter pociągnął nosem, zamrugnął i spojrzał, jak gdyby nie rozumiał ani słowa. Ale w końcu odwrócił się do portiera, mówiąc:

– Cofam tamto polecenie. Możesz zadzwonić do mieszkania dwadzieścia jeden i zaanonsować mnie.

W złotym pejzażu łóżka Nana uniosła jedno pulchne kolano, tak że prześcieradło wolno ześlizgnęło się, aż odsłoniło pierwsze loki włosów łonowych, czarne i połyskujące. Enzo uniosł lewą rękę, wolno jak pajak skradający się za ofiarą, wyciągnął swój długi środkowy palec z szafirowym sygnetem i zagiął na górnym szczytu prześcieradła, na samym jego brzegu. Jego zapadnięte oczy wpatrywały się bez zmużenia między uda Nany. Wydawało się, że nie oddycha. Sama Nana obserwowała go zafascynowana. Jej czarne włosy falami rozsypywały się na poduszkach.

Urodziła się i wzrastała w monotonnym, przemysłowym zgiełku Calumet, pośród tanich brązowych tapet, obskurnych brązowych zasłon, wychowywana przez matkę, uprzykrzoną jak ból zęba, i ojca, który zapijał się piwem, aż zaczynało mu się cofać. Dzieciństwo śmiechu słyszanego w radiu, kusych bawełnianych spódniczek, gotowanej marchewki i nie kończącej się

kontroli. „Co rysujesz? Księżniczkę w białym kożuszk i w koronie ze złota.”

Jej rodzina była katolicka i pobożna aż do przesady, „od oszustw i sztuczek diabła, uwolnij nas, Matko Święta”, i właśnie dlatego Enzo oczarował Nanę, ponieważ w jej oczach wydawał się mieć coś z księdza czy kardynała. Był święty, na tym to polegało. Enzo był święty. Tego przekonania nie umniejszało jego okrucieństwo i obsesja seksualna.

Jednym palcem ściągnął kołdrę. Oczywiście, widziała go nagiego już przedtem, ale jakimś sposobem udało mu się porazić ją tym jednym aktem odsłonięcia, czuła, że się rumieni, i nic nie mogła zrobić, żeby to powstrzymać.

Enzo wpatrywał się w nią ze szczeniacką lubieżnością. Cienista linia poniżej włosów otoczona tajemnicą. Posunął wzdłuż linii czubkiem palca, a Nana zadrżała, wciąż go obserwując. Uśmiechnął się. Nie podniósł wzroku.

– Twój zamek, twoje drzwi, twój ogród – powiedział dziwnie cienkim głosem. – Twoje gniazdo, twoja pochwa, twoje Colosseum.

Zaśmiał się. Jego śmiech ją przeraził. Umieścił oba kciuki na wargach sromu i delikatnie je rozszerzył. Odsłonił połyskujące wyłogi różowego ciała, rozsuwającego się z prawie słyszalnym mlaśnięciem. Wpatrywał się przez dłuższą chwilę, nachylił głowę i przesunął między nimi samym końcem języka. Nana zamknęła oczy. Jego delikatność była zadziwiająca. Wnętrzem dłoni rozepchnął szeroko jej uda, tak że odsłoniła się jeszcze głębiej.

Znowu nachylił głowę, a potem jeszcze raz. Otworzyła oczy i wpatrywała się w dekorację na suficie. Odblask z powierzchni jeziora zatrzepotał jasno w rogu pokoju, jak duch uwieczniony kiedyś motyla.

– Enzo – zamruczała niewyraźnie.

Walter Dempsey opierał się ręką o dzwonek na drzwiach. Stłumił beknięcie pretensjonalnym ruchem dłoni; wyglądało to, jakby salutował; żałował, że nie wybrał albo tylko salami, albo tylko wina rodzynkowego na śniadanie, zamiast mieszać je ze sobą.

– Morderstwo – powiedział do siebie, myśląc o tym, co dzieje się w jego żołądku. – Prawdziwe morderstwo z Szekspira.

Carmino otworzył drzwi i wpatrywał się w niego złowrogo.

– Tak? Czego pan chce?

Walter zakołysał się, pociągnął nosem, a potem beknął.

– Cholerne salami – powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to zabawnie.

– Żebrakom wstęp wzbroniony – powiedział Carmino. – Będzie pan musiał wyjść.

– Żebrakom? – nalegał Walter. – Żebrakom? Nazywam się Walter Dempsey i jestem starszym redaktorem chicagowskiej „Star”. Jestem umówiony na spotkanie z panem Vespucci, żeby obejrzeć jego konie. Żebrak, na litość boską! Oto moja karta, trochę się pomieła,



przepraszam, chciałbym ją z powrotem.

Carmino założył okulary; uważnie przeczytał kartę. Potem powiedział:

– Pan Vespucci oczekuje pana, tak, panie Dempsey. Żałuję jednak, ale w tej chwili ma spotkanie. Może zechciałby pan poczekać w galerii przez chwilę, przyniosę panu kawę i gazetę do poczytania.

Walter poszedł za nim do galerii. Była długa i wąska, bez okien, ściany pomalowane były tak, żeby sprawiały wrażenie marmurowych. Stało tam pojedyncze, połączane krzesło z zielonym siedzeniem i jeden połączany stół. Naprzeciwko krzesła i stołu znajdował się obraz Dzieciątka Jezus Duccio di Buoninsegna, który musiał mieć wartość setek tysięcy dolarów. Walter zakreślił się, z rękami wciąż wepchniętymi w kieszenie.

– Nie masz chyba nic przeciwko temu, że zaczekam trochę z tą kawą, prawda? I daj sobie spokój z tą gazetą. Nienawidzę czytać. Gazety są zawsze pełne cudzych opinii. Boję się, że dałbym się skołować cudzymi opiniami. Ale nie odmówiłbym brandy, jeśli macie coś takiego.

– Brandy, proszę pana? – zapytał zimno Carmino.

– No, może z wodą sodową, bo jest dość wcześnie – zaśmiał się Walter, wytarł nos palcem i pokiwał głową w stronę Świętego Dzieciątka.

– Śliczny mały gość, nie sądzisz?

Carlo siedział zamknięty na tylnym siedzeniu nasha, gdy Ambrogio przejeżdżał na południe przez slumsy. Raz czy dwa próbował walić w okno samochodu, ale prawie nikt nie zwracał na to uwagi, a tych, którzy przypatrywali się trochę uważniej, uspokajał uśmiech Ambrogia i kółko, jakie kręcił na czole, dając znać, że Carlo jest w drodze do wariatkowa. W końcu Carlo dał sobie spokój i siedział na brzegu siedzenia z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z lewą nogawką przesiąkniętą moczem od rozmowy z Enzo. Nie zwracał się do Ambrogia. Wiedział, że tylko wyśmiałyby go, a ostatnią rzeczą, jakiej by chciał w tych ostatnich chwilach na ziemi, było, żeby ktoś śmiał się z niego. Zaczął się modlić, ale słowa nie wychodziły mu poprawnie. Powtórzył kilka razy imię żony, ale całkowity bezsens tego doprowadził go do płaczu, więc zamilkł.

Zniszczone ulice przesuwały się przed jego oczami, jak wojenny film dokumentalny z europejskiego miasta po nalotach bombowych. Puste parcele, śmieci, zrujnowane drewniane domy i garaże, sklepy z używanymi rzeczami, hotele, w których nie trzeba rezerwacji, nawet żeby popełnić samobójstwo.

To było terytorium Vespucciego. To było serce interesów i obiekt przedsiębiorczości Enzo. Był to teren, o którym Louis Kurtz napisał ostatnio: „Widziałem w moich podróżach nędzne, biedne, pożałowania godne, zgięte i przeklęte szopy, nory, przybudówki, dziury, ale Czarny Pas Chicago bije je wszystkie na głowę, jeśli chodzi o najgorszy rodzaj nędzy”.

Ambrogio podśpiewywał pod nosem *Noc i dzień*, swoją ulubioną piosenkę. Spotkał kiedyś

Sinatrę, w pewien letni weekend w Miami, kiedy Enzo odwiedzał Lucky Luciano. Ambrogio był szczęśliwy, gdy Enzo czynił go odpowiedzialnym za zrobienie czegoś. To powodowało, że rósł od wewnątrz. Sprawiało, że czuł się jak kolos. Fakt, że miał sześć stóp i trzy cale wzrostu i ważył dwieście czterdzieści jeden funtów, nie liczył się.

Zahamował na końcu ulicy Honore pomiędzy Trzydziestą Piątą a Trzydziestą Szóstą Ulicą. Była to jedna z najbardziej plugawych i wałących się własności Enzo, rząd drewnianych domów z drewnianymi schodami prowadzącymi na wyższe piętra od strony podwórek, złamane ogrodzenia, zmurszałe domy i sznury z praniem trzepoczącym na letnim wietrze roznoszącym kurz. Murzyni wylegli na werandy, żeby pilnować prania, albo tak sobie; albo żeby razem osuszyć butelkę alkoholu. Grały trzeszczące radia. Psy ujadły, dzieci wrzeszczały jakby bojąc się, że niebo zwali im się na głowy.

Mieszkańcy ulicy Honore nazywali ją Aleją Wychodków, ponieważ żaden dom nie miał kanalizacji, wzdłuż domów ciągnął się rząd drewnianych klozetów.

Murzyni patrzyli obojętnie, jak Ambrogio wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi dla Carla. Carlo wysiadł. Stał w wirującym w słonecznym świetle kurzu. Zdjął kapelusz. Rana, którą zrobił Enzo, już zasklepiła się w strup. Ambrogio wziął go za ramię sprawdzając jednocześnie godzinę na zegarku.

– Tędy – powiedział.

Ciągnął Carla wzdłuż alei na tyłach domów, a Carlo podążał za nim, ściskając kurczowo swój kapelusz.

Dotarli do kibla z luźno wahającymi się drzwiami. W drzwiach wycięto otwór w kształcie gwiazdy, otwór, na który skrzywiłby się Lem Putt, uznając go za zbyt wymyślny, ponieważ rzuca postrzępiony cień. Ambrogio wepchnął Carla do ustępu. Nastąpiła chwila szamotania, w czasie której fruwały kartki z katalogu Roebucka. Później Ambrogio mocno uderzył Carla w żołądek, aż ten zwinął się i usiadł na desce ze świstem łapiąc oddech.

Ambrogio kopnął drzwi zatraskując je i powiedział:

– Zostań tam, zrozumiałeś? Jeden ruch i koniec z tobą. Wiesz, co pan Vespucci powiedział.

Ponownie sprawdził zegarek. Były trzy minuty po jedenastej. Sięgnął do kieszeni szarego płaszcza sportowego i wyciągnął automatycznego colta czterdziestkę piątkę, matową czernią, pachnącą lekko olejem. Odbezpieczył go i ponownie sprawdził zegarek. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógł wypalić w inną stronę i Enzo nigdy by się o tym nie dowiedział.

Walter Dempsey kartkował numer magazynu „Fortune”, na którego pierwszej stronie namazano okazały, drukowany w złocie ekslibris Enzo Vespuciego. W połowie artykułu o deflacji i o tym, jak obniżyła ona cenę placka a la modę o jeden cent i w tym samym czasie wywindowała bezrobocie do czterech milionów, Walter upuścił magazyn z pozbawionych czucia

palców na podłogę, burknął coś, wstał i walnął pięścią w ścianę.

Z pomieszczeń dla służby wyszedł Carmino i powiedział łagodnie:

– Tak?

– Mój dobry człowieku – powiedział Walter. – Przyszedłem tutaj na umówione spotkanie, co naraziło mnie na znaczne niewygodę, i na Boga nie każ mi tego powtarzać. I powiedzmy jasno, gdybym chciał czytać, to poszedłbym do biblioteki i wyciągnął *Dziela zebrane* Johna Keatsa. „Wszedł, ale wszedł pełen gniewu, jego płonące szaty spływały mu za pięty.” Wiesz, co to jest? *Hyperion*, fragment. I dlaczego nie przynosisz mi brandy?

Niewzruszony Carmino powiedział:

– Pan Vespucci przeprasza, że kazał panu czekać, panie Dempsey, i obiecuje dołączyć do pana wkrótce.

– Taak – westchnął Walter. Nie nawykł do tego, żeby ludzie go przepraszaali. Zazwyczaj było odwrotnie.

– Już przynoszę panu brandy – dodał Carmino, uspokajając tym Waltera całkowicie.

W sypialni, zaledwie trzydzieści stóp od krzesła, na którym siedział Walter, Nana dyszała ciężko; jej powieki były mocno zaciśnięte, policzki płonęły. Stopniowo rumieniec rozlewał się na piersi, zwolniła chwyt na prześcieradle, objęła rękami piersi, tak że rozwartymi dłońmi dotykała sutek. Kręciła rękami dookoła, celowo muskając sutki tak lekko, jak mogła, w akcie samostymulacji, który był tym bardziej podniecający, że jej silnym pragnieniem było chwycić mocno obie piersi i ścisnąć je aż do bólu.

W pokoju było zupełnie cicho, poza dającym się słyszeć od czasu do czasu chlupoczącym, wilgotnym dźwiękiem, gdy Enzo wsuwał swój język w to, co klasyczni autorzy erotyki nazywali „stronami jej mszału”. Enzo był wielkim kolekcjonerem erotyki, książek, rysunków, rzeźb i innych oryginałów. Dla niego uprawianie seksu z Naną było bardziej doświadczeniem intelektualnym niż fizycznym. I oczywiście, miało to swoje pokrętne aspekty, dające mu niezwykłą, nieopisaną przyjemność. Czasami było to, jakby po gołym ciele ślizgały się węże. Innym razem czuł się jak porażony prądem. Było to niezmiennie tak intensywne, że gdy dochodziło to do crescendo, prawie tracił świadomość. Zawsze jednak robił to przytomny i zawsze pragnął robić od nowa.

– Enzo – wyszeptła Nana. Później krzyknęła: „Enzo”, a jej głos był głęboki, jak męski.

Enzo usłyszał, jak ścienny zegar koło łóżka tyka lekko, a mechanizm wybijający godziny zaczyna furkotać. Była już prawie jedenasta, ułamki sekund przed jedenastą. Czubek języka Enza trzepotał tak szybko jak skrzydła kolibra i równie delikatnie. Nana coraz szybciej masowała rękami piersi, ale w końcu nie mogła już znieść tego nabrzmiewającego doznania, wpakowała paznokcie głęboko w ciało i wydała głośny krzyk.

Zaczęła wybijać jedenasta. Nana krzyczała: Ach – ach – ach! i wiła się w ekstazie na prześcieradle. Enzo, obojętny na bodźce z wyjątkiem tego, co działo się tutaj i na ulicy Honore, upadł płasko na plecy z szeroko otwartymi oczami, jak średniowieczny pielgrzym uderzony świętą wizją, i wypuszczał fontannę za fontanną lepkiej, perlistej mazi.

Dokładnie w tym samym momencie Ambrogio podniósł obiema rękami swoją automatyczną czterdziestkę i wypalił w ścianę drewnianego klozetu, mniej więcej na wysokości głowy siedzącego człowieka. Rozległ się ogłuszający huk, pojawiła się chmura niebieskiego dymu, a pocisk wyrwał dziurę w jednej i drugiej stronie klozetu, po drugiej stronie zostawił coś czerwonego, przypominającego chrząstkę i ścięgno zwisające z dziury. Ambrogio strzelał ciągle i ciągle, aż Murzyni na werandach zatykali uszy. Klozet był podziurawiony i rozwalony w drzazgi.

Ambrogio wystrzelił na zakończenie pięć razy, opuścił dłoń z coltem i zbliżył się do klozetu. Dym i pył opadły. Z radia dobiegał śpiew o grochu z kapustą nadziewanym musztardą. Ambrogio zajrzał do środka. Światło słoneczne przeświecało przez dziury po pociskach i oświetlało skurczoną postać Carla Aceto, dokładnie tak jak pojawi się jutro na pierwszej stronie „Star”.

Trzy murzyńskie dziewczynki z brązowym kundlem podeszły do Ambrogia, stanęły i wpatrywały się w niego ze strachem. Ambrogio schował colta, zapiął płaszcz, sięgnął do kieszeni spodni po garść drobnych. Wybrał trzy dziesięciocentówki i podał je każdemu dziecku po kolei. Później sięgnął do drugiej kieszeni, wyjął małą papierową torebkę kulek anyżkowych i rzucił garść w powietrze, żeby mógł je złapać pies.

Wrócił do samochodu, znalazł klucze, zapuścił silnik i wycofał samochód z Alei Wychodków, przyjacielsko machając starej Murzynce z koszykiem bielizny, która zeszła mu z drogi.

Sierżant Dan Sorensen z 9 komisariatu zauważył później, jakie niesamowite było to, że prawie dziewięćdziesięciu ludzi stało na swoich werandach, wieszalo pranie albo bawiło się z dziećmi – tylko trzydzieści jardów od miejsca, w którym zastrzelono Carla Aceto, a jednak nikt nic nie widział ani nie słyszał, poza jednym bezzębnym staruszkiem, który przyznał: „Chyba żem widział, jak samochód jechał w tył...”

Walter stał w galerii Enza, a jego oczy były szeroko otwarte, szklanka z brandy mocno zaciśnięta w ręce. Słyszał jęki i krzyki Nany i zastanawiał się, czy powinien wyważyć drzwi lub wezwać policję, czy po prostu wypić drinka i uciec, zanim nie wyrzuci go sam Enzo.

Carmino otworzył drzwi znowu.

– Czy wszystko w porządku, panie Dempsey?

– Czy, czy ty to słyszałeś? To chyba nie była moja wyobraźnia? – zapytał Walter.

– Przepraszam...?

Walter gapił się na niego z opuszczoną szczęką. Później wolno usiadł. Zaczęło do niego docierać, że chyba zrobił z siebie głupka. Łyknął dwa razy ze szklanki, a potem jednym haustem wlał w siebie resztę. Z jakiegoś powodu, którego nie rozumiał, poczuł strach.

Enzo stał przy oknie, zawijając się w niebieski jedwabny szlafrok. Nana leżała na poduszkach, obserwując go spod przymkniętych powiek.

– A może byś wrócił do łóżka – zamruczała. – Wróc do łóżka, włóż swój obelisk w moje Colosseum. – Zachichotała ze swojego sprytu w używaniu klasycznych eufemizmów Enzo.

– Jestem zaspokojony – powiedział Enzo. W jego głosie była jakaś twarda nuta, która zniechęcała do jakiegokolwiek dyskusji na ten temat.

– Wiesz co – powiedziała Nana, wolno pocierając o siebie nagimi udami – jesteś bliższy Boga niż jakikolwiek inny mężczyzna.

– Bóg Ojciec – powiedział i uśmiechnął się do siebie, ponieważ ona nigdy nie zrozumiałaby, dlaczego był zaspokojony. Jej ignorancja była częścią zaspokojenia. Nigdy się nie dowie, że doprowadził ją do orgazmu w tej samej chwili, w której został zabity człowiek, i dla Enzo podniecającym było to, że osobiście wyreżyserował oba akty. „Mała śmierć” i prawdziwa śmierć, obie naraz.

Nana nigdy się nie dowie, że szesnaście lat i siedemnaście dni temu, w dniu, w którym się urodziła, Enzo wysłał jej matce kopertę zawierającą dwa tysiące dolarów gotówką wraz z obietnicą dalszych pięciu tysięcy, gdy Nana osiągnie swoje szesnaste urodziny. Poproszono tylko jej matkę, żeby zadzwoniła do Enza w dzień urodzin Nany i powiadomiła go, gdzie ją można znaleźć. Gdy to się stało, pracowała jako kelnerka w browarze Siebensa na Larrabee Sireet w North Side i mieszkała u rodziny przyjaciółki dwa bloki dalej.

Enzo miał prawo wiedzieć, gdzie przebywa Nana, ponieważ tak jak pozostałe pięć dziewczyn, z którymi obecnie odbywał swoje regularne rytuały seksualne (oczywiście niezbyt często, wiele polegało też na oczekiwaniu), Nana była jego córką.

Lunch w Weatherwood przebiegał w atmosferze przymusu i smutku. Rodzina siedziała dookoła dużego, owalnego stołu, wyłożonego śnieżnobiałym obrusem, który wydawał się Morganie tak szeroki i lodowaty jak Chignik Bay zimą. Howard siedział na końcu stołu, odzywając się tylko wtedy, gdy ktoś do niego mówił, i pozostawiając pokrojenie pieczonych żeberek wołowych Wintonowi Snell. Eleonora tryskała udawanym humorem, podnosząc wysoko głos, rozmawiając i szczebiocząc z Johnem i Bradleyem, podczas gdy Morgana i Phoebe siedziały naprzeciwko siebie, wymieniając spojrzenia, począwszy od ironicznych, poprzez bardzo zaniepokojone, a kończąc na rozpaczliwych. Morganie przypomniał się początek *Anny Karminy*: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”.

W ogrodzie za francuskimi oknami było jasno, ale jadalnia była zawsze ponura. Nad kredensem wisiały obrazy Waltera Beedy, który zbudował Weatherwood, i jego uduszonej narzeczonej Doris; żadne z nich nie uśmiechało się, oboje ubrani byli na czarno, jak gdyby czekali na zbliżającą się śmierć.

Morgana także ubrana była na czarno; w kostium o szerokich ramionach od Norella z kaskadą diamentów w klapach, co kontrastowało z białą karnacją Eleonory. Phoebe włożyła jedwabną, letnią sukienkę od Anne Miller utrzymaną w tonacji zielonej.

– Jedziecie z Johnem po południu do kliniki, do tej małej? – zapytała Eleonora.

Morgana sięgnęła po pieprz.

– Mamciu, mówiłam ci już ze dwadzieścia osiem razy, że tak.

– Dwadzieścia osiem? Tylko tyle? Zazwyczaj mówisz mi przynajmniej ze sto razy. Nie, dziękuję, Millicent, nie chcę soku. Ktoś mi kiedyś powiedział, że w soku z wyciśniętego owocu jest witamina, która wprawia człowieka w nienaturalne ożywienie. Howard? Co o tym myślisz? Nienaturalne ożywienie nie zrobiłoby nam dobrze, prawda?

Howard przeniósł wzrok z talerza na Eleonorę i patrzył na nią, jakby była odległym stekiem.

– Ożywienie?

Bradley, mrugając i przekładając widelec z jednej ręki do drugiej i z powrotem, powiedział:

– Człowiek jest tym, co je, to prawda. Departament Zdrowia ściśle kontroluje, co wkładamy do szynki *Ham-I-Yam*. Na przykład, nie wolno nam przekraczać norm zawartości zboża albo kości czy barwników.

– Bradley, ja jem – skarżył się John. – Jeśli o mnie chodzi, już sama nazwa *Ham-I-Yam* wywołuje odruchy wymiotne. Szczególnie od czasu, gdy przeczytałem cały przerażający zapis rozprawy sądowej Stan Illinois versus Przetwórnice Mięsa Clarke, Inc, 1937.

– To wszystko było nieporozumienie – powiedział Bradley, a jego uszy zrobiły się płomiennie czerwone.

– Nieporozumieniem było, że pięćdziesiąt sześć przeżartych przez raka świńskich kadłubów zostało zmielone, zapuszkowane i sprzedane ludziom jako pierwszorzędne mięso obiadowe?

– Nie wiedziałam, że używacie barwników – wtrąciła Eleonora, próbując zmienić temat rozmowy.

John chrząknął rozbawiony.

– Barwników? Oczywiście, że używają barwników! Chyba nie sądzisz, że jeśli ubijesz na papkę świńskie nerki i świńskie płuca, po czym zmieszasz je na kluchowatą pacie razem z rozgotowaną ogonówką, to będziesz miała piękną, różową masę, prawda? To coś jest szare, kiedy wycieka z maszyny. Ma kolor i konsystencję rozgniecionej na papkę gazety. Oni to muszą barwić! Zjadłabyś coś szarego?

– Na litość boską – powiedziała Phoebe – nie mówcie o tym, bo mi się wszystko przewraca.

– Cóż... przypuszczam, że nie powinno się przymykać oczu na takie sprawy – powiedziała Eleonora. – Będzie z ciebie świetny prawnik, John! Gdybym ja była sędzią, to bez wahania skazałabym *Ham-I-Yam!* Pięć lat w Joliet, bez amnestii, i stała dieta *Ham-I-Yam* rano, po południu i wieczorem.

– Przepraszam, ale teraz jest pani niesprawiedliwa, pani Croft Tate, niech mi wolno będzie powiedzieć... – zaczął Bradley, ale Howard podniósł rękę i chociaż nie powiedział nic, było jasne, że nie chce już słuchać o sposobach przygotowania mięsa.

– Pozwólcie mi tylko coś powiedzieć – dodał Bradley. – Może przyjdziecie kiedyś do fabryki i oprowadzę was po niej osobiście. Co wy na to? A potem może zjemy lunch w fabrycznej stołówce.

– Dopóki nie jest to *Ham-I-Yam* – odparł John. Rozmowa urwała się i znów zapadła przytłaczająca cisza.

Eleonora skrupulatnie zajęła się kawałkiem wołowiny, a Howard w zamyśleniu dłubał widelcem po talerzu. Phoebe rzuciła spojrzenie Morganie i zacisnęła usta w smutnym uśmiechu, przypominającym Łona Chaneya z *Upiora w operze*.

Morgana zwróciła się do ojca.

– Jak tam burmistrz?

– Kenneth – ożywił się Howard. – Ach, Kenneth jest wciąż taki sam. Eloquentny.

– Eloquentny – poprawiła go Morgana. – A o czym tak się rozgadał?

Howard wzruszył ramionami i odłożył sztucce.

– Mówił o oczyszczeniu slumsów, to jego najnowszy konik. Chce rozpocząć rozwalanie Near South Side.

– No, to wszystkiego najlepszego – powiedziała Morgana.

– To nie jest takie proste – odparł Howard. Łyknął trochę czerwonego wina; wytarł usta serwetką.

– A co w tym trudnego?

– Nie chodzi o burzenie budynków, ale uwarunkowania, zależności. Trzeba rozważyć wiele spraw.

– Jakich? – chciała wiedzieć Morgana.

Howard najwyraźniej nie zamierzał dać się wciągnąć w tę rozmowę. Rzucił Eleonorze dziwne, wymijające spojrzenie, a potem powiedział z nie ukrywanym zniecierpliwieniem:

– Wszystkie te budynki mają właścicieli. Niektórym nie podoba się, że ich własność zostanie przejęta i zrównana z ziemią. Zainwestowali w tę dzielnicę sporo pieniędzy, zarówno państwowych jak i prywatnych. Wielu z nich ma duże wpływy polityczne. Zanim Kenneth zdoła rozwalić Near South Side, będzie musiał zniszczyć pięćdziesiąt lat tradycji w ratuszu miejskim. Nie jest to proste, szczególnie dla burmistrza, który nie ma wielu przyjaciół.

– Sądziłam, że ty jesteś jego przyjacielem – powiedziała Morgana.

Howard po raz pierwszy oderwał oczy od Eleonory i spojrzał uważnie na swoją starszą córkę.

– Jestem – powiedział.

– Więc dlaczego go nie poprzesz? Dlaczego nie popiera go „Star”?

– Ponieważ czas temu nie sprzyja. Ponieważ ludzi trzeba poprosić, żeby wyrzucili dobre pieniądze po tych złych. Ponieważ Kenneth jeszcze nie opracował tego, co chce zrobić i jak chce zrobić. Znasz Kennetha. Irlandzka petarda. Pełna hałasu, ale nie tak gorąca, kiedy trzeba naprawdę krzesać iskry.

– Ładnie powiedziane, panie Croft Tate – zauważył John.

– Nie sądzisz, że „Star” powinna zrobić wszystko, co możliwe, żeby oczyścić slumsy? – spytała Morgana. – Co to znaczy, „kiedy nadejdzie odpowiedni czas”? Przecież nie można ludzkiej degradacji szacować niżej niż zyski niewielkiej grupy. O czym my tu w ogóle mówimy! Tatuśku, musimy coś zrobić! Howard milczał przez chwilę. Potem powiedział:

– Sądzę, że wyjaśniłem to już dostatecznie. „Star” nie będzie drukować żadnych materiałów w sprawie oczyszczania slumsów. Jest to prawne i polityczne bagno i tak się składa, że nie chcę wciągać w to „Star”. Powiem więcej, to nie podnosi nakładu. Nie jest to temat, o którym mieszkańcy Chicago chcą czytać, szczególnie ludzie reklamujący się u nas. Jeśli chcesz mieć to w gołych liczbach, to brakuje nam jedenastu tysięcy do pobicia „Tribune” w wysokości nakładu. Nie chcę niszczyć szans Granta na pobicie ich tylko z powodu niepopularnego tematu.

– Niepopularnego tematu? – nalegała Morgana, trzaskając otwartą dłonią w stół. – Tatuśku, mówisz o życiu ludzi.

– Młoda damo, pohamuj się – powiedział Howard. – O ile o mnie chodzi, to sprawa jest



zamknięta. Relacjonujemy wiadomości, nie wymyślamy ich. I nie zawodzimy zaufania naszych odbiorców używaniem naszych gazet i stacji radiowych do wciskania ludziom naszych projekcji społecznych.

– Projektów – poprawiła go Morgana. – I od kiedy taka zmiana? Dobrze pamiętam, jak „Star” głośno krzyczała w sprawie Doyle’a w 1947 i to samo robiły wszystkie nasze stacje radiowe. A co powiesz o sprawie podniesienia kolejowych opłat przewozowych? „Star” wywlekała to na wierzch tygodniami, tylko dlatego, że Buddy Mullet z chicagowskiej i północno – zachodniej kolei załatwił ci wejście w skład zarządu.

Howard wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć. Kurczowo opierał lewą rękę o brzeg stołu i Morgana czuła, że cały stół drga, a wraz z nim srebro od Tiffany’ego we wzorki w kształcie łez i kryształowa karafka stojąca na środku. Wszystko brzęczało jak przy trzęsieniu ziemi.

Eleonora powiedziała nakazująco:

– Morgana, sądzę, że powinnaś przeprosić ojca. Morgana zwróciła twarz w jego stronę, ale Howard wolno pokiwał głową.

– Nie chcę żadnych przeprosin, dziękuję ci. Nauczyłem się w tym tygodniu wystarczająco dużo o kobietach w naszej rodzinie i zrozumiałem, że ranią bez skrępowań, niezależnie, czy mówią przepaszam, czy nie. Jeśli powiesz, że ci przykro, moja droga, nie uwierzę; po prostu zjem mój lunch, będę udawał sam przed sobą, że to, co słyszałem, nie było niczym innym, tylko skrzypieniem czyjegoś noża na talerzu.

Mówiąc to, podniósł widelec i zaczął wolno jeść, podczas gdy wszyscy siedzieli wpatrując się z zakłopotaniem jeden w drugiego.

Bradley pierwszy przerwał ciszę. Powiedział:

– Chcieliśmy z Phoebe odwiedzić Palmersów dziś po południu. Mają jakiś turniej tenisowy. Oczywiście amatorski, ale będzie tam Margaret Osborn du Pont. Myślę, że taki wypad poprawiłby nam humor.

– Jacy wy, mężczyźni, jesteście wrażliwi – powiedziała Eleonora i przez dłuższą chwilę nikt nie pojął, że to odpowiedź na wybuch Howarda, a nie na wypowiedź Bradleya. Podniosła wzrok. Spojrzała prosto na Howarda i powiedziała: – Torturujecie swoje żony dzień po dniu, noc po nocy i nawet cień myśli o ich ciągłej agonii nie przemknie wam przez głowę. A wystarczy jedno zadrapanie na waszej drogocennej skórze i słycać ryki.

– Eleonoro, przestań – rozkazał jej Howard.

– Mamciu, proszę – wtrąciła Morgana. – Wiem, że oboje jesteście zdenerwowani, ale proszę. Eleonora przycisnęła serwetkę do ust.

– Przepraszam – wstała gwałtownie od stołu.

Howard nie uczynił żadnego ruchu, żeby ją powstrzymać, nawet kiedy przeszła obok niego.

– Pójdę za mamą i zobaczę, czy wszystko w porządku – powiedziała Phoebe.

– Zostań tam, gdzie jesteś. Jemy lunch – rozkazał Howard.

Phoebe spojrzała wyzywająco na Morgane, ale Morgana szybko pokiwała przecząco głową. Rodzina przechodziła ostry kryzys, a Morgana wiedziała, że była tak samo winna jak ojciec czy matka; nie chciała, żeby dzisiejszy lunch rozdzielił ich jeszcze bardziej.

– Moja matka kiedyś grała z Pauline Betz – powiedział John. – Moja mama to prawdziwy spec od tenisa. I brydża też. Absolutna pogromczyni w brydżu.

– A ja wygrałam w zapasach – powiedziała Phoebe. – Wiesz, nad Yukonem, z brodatymi facetami w czerwonych flanelowych ogrodniczkach o nazwiskach Pierre Merde.

Morgana odłożyła sztucce. Prawie nic nie zjadła. Howard z pozorną obojętnością zuł swoją wołowinę, wpatrując się bezmyślnie w znak Croft Tate na brzegu talerza. Atmosfera w jadalni była tak lodowata i wroga, że każdy z niecierpliwością oczekiwał końca lunchu.

Bradley zwrócił się do Phoebe, z ożywieniem zrodzonym z czystej desperacji:

– Twój ojciec jest właścicielem „Star”, a ty robisz takie błędy językowe.

– Jakie błędy, Bradley? – spytała Phoebe napiętym głosem. Bradley zachichotał.

– No takie: faceci w czerwonych flanelowych ogrodniczkach o nazwiskach Pierre Merde. Z tego, co powiedziałaś wynika, że ich czerwone ogrodniczki nazywają się Pierre Merde. Nie oni, ale ich ogrodniczki.

– O Boże, Bradley – jęknęła Phoebe.

– Przepraszam – zachichotał.

Howard bardzo długo jadł swoją wołowinę. Cała czwórka w ciszy obserwowała jego zmagania. Kiedy już nic nie zostało oprócz sosu au jus, połamał na kawałki chleb i wycierał nimi talerz, aż wyczyścił go całkowicie. Gdy był chłopcem, jego ojciec szturchał go złośliwie, jeśli zostawił coś na talerzu.

Weszła Millicent, spytała, czy chcą placek ze śliwkami i sorbet żurawinowy. Odmówili, marząc o zakończeniu tej farsy, ale gdy Howard poprosił o placek, nie mieli wyjścia i bezradnie uśmiechając się, z twarzami jak maski na Halloween, poprosili o małe kawałki tego samego ze śmietaną.

– Chciałbym wyjechać zimą do Colorado – powiedział John. – Wicie, na narty. Nie byłem w zeszłym roku na nartach, bo miałem egzaminy.

– Naprawdę? – zaciekała się Phoebe. – Uwielbiam jeździć na nartach, w przeciwieństwie do Morgany. Może zabrałbyś mnie, a nie ją?

John roześmiał się. Morganie wcale nie podobało się brzmienie tego śmiechu, nie podobała jej się też jego przyczyna. Millicent podała placek śliwkowy, wszyscy siedzieli w milczeniu i wpatrywali się w niego. Howard zaczął jeść swój kawałek z wojowniczym uporem. W tym momencie wszedł do jadalni, ślizgając się na skórzanych podeszwach, Winton Snell. Nachylił się do ucha Howarda i wyszeptał:

– Telefon, proszę pana. Pan Mmhm-Hmhm.

– Kto, – dopytywał się głośno Howard.

– Pan Mmhm-Hmhm, proszę pana – powiedział Winton, wyprostował się trochę i podniósł wolno brwi, aby upewnić się, że Howard go zrozumiał.

Howard odłożył serwetkę, przyczesał palcami włosy i powiedział „przepraszam”, po czym wyszedł z jadalni. Morgana, Phoebe, John i Bradley zostali sami z pogrzebowymi portretami Waltera i Doris Beedy, oraz talerzami pełnymi placka.

– Taak – westchnął John.

– Przykro mi – powiedziała Morgana. – To wszystko moja wina.

John uśmiechnął się do niej ujmująco.

– Gdy mówisz, że ci przykro, moja droga – nie wierzę ci. Po prostu będę udawał, że ktoś skrobał nożem po talerzu.

– To jest straszne – jęknęła Phoebe. – O Boże, nie jestem w stanie opisać, jak nie cierpię placka śliwkowego.

– Jak nie lubisz, to nie jedz – powiedział Bradley.

– Ach tak? – prowokowała go Phoebe. – I mam uwieńczyć dzisiejszy dzień powodując odejście kucharki? Alice jest bezwzględnie najbardziej despotyczną kucharką od, nie wiem, Fannie Farmer.

– Tylko bez paniki – powiedział John. – To wszystko da się załatwić. Czy ktoś jeszcze nie lubi placka śliwkowego? Ręce do góry, kto nie lubi placka śliwkowego?

Wszyscy podnieśli ręce.

– O.K. – powiedział John. Wyjął piętnastocentówkę i podrzucił ją w powietrze.

– Rzucimy monetę, a kto przegra, będzie musiał przemycić placek na zewnątrz. Jeśli Bradley albo ja przegramy, włożymy go do kieszeni. Jeśli ty albo Phoebe, będziecie musiały wynieść go w torebkach. Zgoda?

Morgana grała przeciw Bradleyowi.

– Orzeł! – krzyknęła i John odłonił monetę. Był orzeł. Teraz Phoebe grała przeciwko Bradleyowi.

– Reszka! – krzyknęła i była reszka.

– Teraz my – wyszczerzył zęby John. – Co wybierasz?

– Orzeł... albo nie, reszka! Był orzeł.

– A niech to – powiedział Bradley.

– Wstań, młody człowieku, i do dzieła – rozkazał rzeczowo John.

Bradley wstał i jeden po drugim wrzucali placek z talerzy do jego kieszeni. Na zakończenie John wyjął Bradleyowi chusteczkę z górnej kieszonki i włożył do niej zgrabny trójkątny kawałek placka. Bradley spojrział z obrzydzeniem.

– Czy to już wszystko? – spytała Morgana. – Dobrze, więc poczekajmy na tatuśka. Phoebe, zadzwoniłabyś po Millicent? Jak już musimy czekać, to napijmy się kawy.

John pochylił się nad stołem, kładąc na nim ręce w białych sztywnych mankietach i spinkach Chicago Club i zapytał Morgane w typowo prawniczy sposób:

– Chyba nic złego nie zaszło między twoim ojcem i matką, prawda? Wydaje mi się, że ich stosunki są bardzo napięte.

– Powiem ci później – powiedziała Morgana i ostrzegawczym spojrzeniem zmusiła Johna do milczenia.

Bradley skarżył się nosowym głosem:

– Ten placek jest obrzydliwy. Przecieka mi na podszewkę.

– Przykro mi, stary, ale przegrałeś. Musisz ponieść konsekwencje.

Howard odebrał telefon w pracowni. Nie wiedział dokładnie, kto to był. Miał kilku przyjaciół i znajomych, z którymi robił interesy, a których Winton zawsze przedstawiał jako „pan Mmhm-Hmhm”. Howard nie był jakimś specjalnym przyjacielem mafii, ale niemożliwością było, aby zamożny i wpływowy demokrat i negocjator związkowy nie miał okazjonalnych układów z tymi, których Kenneth Doyle opisywał jako „rycerzy Canneloni”.

Głos w telefonie był jedwabisty i charakterystyczny.

– Dzień dobry, Howard. Czy przeszkodziłem ci w lunchu? Howard wytarł usta chusteczką.

– W porządku, Enzo. I tak już kończyłem.

– Chciałbym ci pogratulować. Masz pełną werwy córkę.

– Cóż, mam nadzieję, że nie była bezczelna.

– Wcale nie. Cieszą mnie dziewczyny, które umieją myśleć.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Enzo?

– Jak się czuje twoja czarująca żona?

– Świetnie, dziękuję.

– No to dobrze. Masz żonę jedną na milion, Howard. Znam wielu mężczyzn, którzy popełniliby poważne zbrodnie, żeby tylko mieć taką żonę.

– Mam nadzieję, że to żart – powiedział Howard.

Enzo zachichotał.

– Właściwie, to dzwonię w sprawie Kennetha.

– Kennetha? A o co chodzi?

– Czy widziałeś się z nim ostatnio?

– Graliśmy wczoraj w golfa. Ale o co chodzi?

Enzo ostro pociągnął nosem.

– Czy może poruszył w rozmowie temat slumsów?

– Tak. Właściwie to cały czas o tym mówił.

– Zaczyna coś w rodzaju krucjaty, aby oczyścić South Side, tak? I prosi gazety, stacje radiowe i ludzi z telewizji o pomoc? Czy tak jest?

– W istocie, tak – powiedział Howard.

– Cóż, przekazano mi informacje na ten temat – powiedział Enzo. – Ale wiesz, byłoby bardzo źle, gdyby Kenneth przeforsował ten plan. Kenneth jest Irlandczykiem. Nie zna się na ekonomii. Nie rozumie, co znaczy dobry interes. Dobry interes jest wtedy, kiedy są niskie nakłady, małe koszty utrzymania i wielokrotnie sprzedajesz towar, który wciąż należy do ciebie. Dlatego dobrym interesem jest prostytutka. Prawdę mówiąc, prostytutka jest nawet lepszym interesem niż bycie właścicielem domów. Gdybym nie był człowiekiem z zasadami, Howard, to chyba by mnie to skusiło.

Howard nie lubił takich rozmów. Czuł, że Enzo bawi się z nim, prowadzi jakąś grę.

– Przejdź do sedna – rzekł.

– Nie ma sedna – powiedział Enzo. – Chciałbym się tylko upewnić, że ani „Star”, ani żadna z twoich stacji radiowych nie poprze Kennetha Doyle’a.

Howard ze znużeniem przejechał ręką po włosach.

– Musisz pytać?

– Zawsze lubię się upewnić, Howard. Zawsze lubię podwajać czeki.

– No cóż, to już wiesz.

– Uspokoilem się, Howardzie. To także uspokaja Marcelłę. Najlepsza miłość, jaką może ofiarować mężczyzna, to taka, która go drogo kosztuje. Wiesz, kto to powiedział?

– Czy to wszystko, Enzo? Enzo lekko westchnął.

– Nie lubisz marnować słów, prawda? Być może dlatego tak bardzo cię lubię. Jesteś dobrym człowiekiem.

– Jak się ma Marcella? – zapytał Howard, spoglądając w kierunku wpół otwartych drzwi do biblioteki, żeby upewnić się, iż nikt nie podsłuchuje.

– Marcella to anioł, jak jej matka. Wychodzi dzisiaj. Czy ten twój pijany reporter sportowy cały czas wywraca się, wymiotuje i obraża każdą kobietę, którą spotka?

– Masz na myśli Waltera?

– Tak, Waltera. Gdybym cię tak bardzo nie kochał, mój przyjacielu, nigdy bym go do siebie nie wpuścił. Marcella nazywa go wieżą w Pizie, ponieważ cały czas kiwa się na boki. Całkiem bystra dziewczyna, nie sądzisz?

Howard nie odpowiedział. Widział, jak Millicent niosła tacę z kawą koło drzwi biblioteki, a potem Winton zerknął do środka i zamachał w jego kierunku; było to grzeczne pytanie, czy wszystko w porządku. Enzo powiedział:

– Mówiąc między nami, uprzedzam cię, że Kenneth nie zostanie długo na swoim stanowisku. Nie mówię, że ktoś go sprzątnie jak Tony’ego Cermaka, ale ten człowiek nie wie, czego wymaga

jego stanowisko. To miasto jest dużym miastem i potrzebuje szefa, a nie księdza proboszcza.

Howard potraktował poważnie odniesienie do Tony'ego Cermaka. Cermak wybrany na burmistrza Chicago po upadku Dużego Billa Thompsona został zabity w czasie wizyty prezydenta Roosevelta na Florydzie w 1933. Oficjalnie tłumaczono zabójstwo burmistrza Cermaka pomyłką Giuseppe Zengary, który mierzył do prezydenta. Jednak powszechnie było wiadomo, że Zengara to jeden z bandziorów Enza Vespucci. Potem Enzo dał do zrozumienia, że wszelkie przyszłe próby rady miejskiej regulowania jego prywatnych spraw potraktuje tak samo.

Enzo był zawsze uprzejmy. Na pogrzeb burmistrza Cermaka wysłał największy wieniec, zrobiony z chryzantem.

– Będziesz musiał być ostrożny, Enzo – powiedział Howard. – I wierz mi, to nie jest przyjacielskie ostrzeżenie. Kenneth jest moim przyjacielem, a ja wierzę w to, co robi. To, że zgodziłem się siedzieć cicho w sprawie slumsów, niczego nie zmienia. Nie będę spokojnie patrzeć, gdy posuniesz się za daleko, pamiętaj.

– Howard, nie gorączkuj się – upomniał go Enzo. – Wszystko będzie dobrze, tyle tylko, że Kenneth wyskoczy ze stanowiska. – I nie pomoże mu pułkownik McCormick. Nie pomógłby, nawet gdyby był samym Chrystusem Wszchemogącym.

– Pułkownik McCormick to płotka – powiedział Enzo. – Jest tylko jeden ważny wydawca na środkowym zachodzie, Howard, i ty wiesz, kogo mam na myśli. Howard Croft Tate.

Howard wrócił do jadalni. Morgana, Phoebe, John i Bradley pili kawę i rozmawiali o komunizmie. John oskarżał Bradleya, że jest lewicowcem, ponieważ wierzył w interwencję rządu, żeby utrzymać ceny mięsa; Bradley oskarżał Johna o bycie rozrabiaczem, kimś, kto podważa status korporacji przy każdej możliwej okazji.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – zapytał śmiało John, gdy Howard już usiadł.

Howard lekko się uśmiechnął.

– Wszystko w porządku, dziękuję.

Morgana sięgnęła przez stół i dotknęła ręki ojca. Nie powiedziała nic, nie mogła wymyślić niczego, co złagodziłoby jego zdenerwowanie. Ale chciała gestem i spojrzeniem pokazać, że go kocha.

– Czy to był ktoś ważny? – zapytała Phoebe, skrobiąc łyżeczką talerzyk, żeby się wydawało, że właśnie skończyła deser.

– Ważny? – zapytał Howard. Potrząsnął głową. – Nie, to był tylko... – zrobił pauzę, oderwał kawałek placka i powiedział: – człowiek w sprawie samolotu. Odkąd Bert McCormick kupił B-17 i przerobił go na biuro prywatne... cóż, myślałem, czy nie powinniśmy zrobić tego samego. Wicie, to kwestia pozycji. Jeśli „Tribune” może mieć swój samolot, to „Star” także. Jest tam jakiś DC-3 w Orchard Place. Myślałem sobie, że razem z Grantem możemy pójść obejrzeć go w przyszłym tygodniu.

– To byłoby cudownie! – entuzjasmowała się Phoebe. – Moglibyśmy organizować taneczne przyjęcia w powietrzu.

– Przynies butelki i spadochron – uśmiechnął się John.

– „Wysokie loty sióstr z elity” – powiedziała Phoebe, wymyślając nagłówek.

Howard spróbował się uśmiechnąć, ale Morgana, spojrzawszy na niego, zdała sobie sprawę, że cierpiał. Tarł rękami załzawione oczy, usta wygięły mu się w podkówkę w nieudanej próbie ukrycia żalu.

– Tatuśku... – powiedziała.

– Nic, nic – powiedział potrząsając głową. – Po prostu kawałek placka wleciał nie w tę dziurkę, co trzeba. Może zechciałabyś mi podać dzbanek z wodą i może... – klepnął się po kieszeniach – mógłbym pożyczyć twoją chusteczkę, Bradley?

Bradley powiedział „ach” i wyprostował się na siedzeniu, ale było za późno, żeby powstrzymać Howarda przed sięgnięciem do jego górnej kieszeni i ściśnięciem kawałka placka śliwkowego.

Howard wyciągnął rękę z kieszeni Bradleya i szybkim spojrzeniem obrzucił swoje poplamione śliwkami palce. Później wychylił się i poklepał przód marynarki Bradleya.

– Bradley – powiedział. – Masz deser w kieszeni.

– Tak jest.

Morgana podała ojcu swoją chusteczkę, a on wytarł oczy, ale wciąż wpatrywał się w Bradleya z niespokojną ciekawością. Bradley był czerwony jak burak i zlany potem.

Wreszcie Howard skończył deser, wypił kawę i zwolnił wszystkich od stołu. Morgana zaczęła, aż inni przeszli do oranżerii, i położyła rękę na ramieniu ojca.

– Mamcia wszystko mi powiedziała – szepnęła. Howard nie wydawał się zdziwiony.

– Miałem nadzieję, że to zrobi. Musiała o tym z kimś porozmawiać.

– Myślisz, że zdołacie przez to przebrnąć? – zapytała Morgana. – No wiesz, zapomnieć i wybaczyć?

– Nie wiem. To zaczyna drażnić coraz głębiej. Wzięli się pod rękę i poszli w kierunku oranżerii.

– Możesz jej wybaczyć, prawda? Nie chciałabym, żebyście się rozeszli.

– Kocham twoją matkę – powiedział Howard. – Chcę, żebyś to wiedziała. Nie wiem, jak poradziłbym sobie z tym wszystkim, gdybym się dowiedział, że mnie nie kocha.

– Och, tatusiu, jestem pewna, że wciąż cię kocha. Mówi o tobie w taki sposób, że to nie ulega wątpliwości.

Doszli do okna zrobionego z małych szybek, wychodzącego z korytarza wyłożonego parkietem na ogród dookoła cieplarni. Howard zatrzymał się na chwilę i przysłonił ręką oczy, żeby popatrzeć na trawnik. Bradley stał koło ozdobnego stawu, otoczony kaczkami.

Wytrząpywał z kieszeni placek i karmił nim kaczki.

– Co ten chłopak wyrabia, u diabła? – dumał na głos Howard. – Czy on i jego rodzina są ekscentryczni, nie wiesz? Nie jestem pewien, czy chcę, żeby Phoebe wiązała się z chłopakiem, który upycha sobie deser po kieszeniach.

Morgana pocałowała ojca w policzek. Miała nadzieję, że on i matka pogodzą się. Zastanawiała się, dlaczego kłamał z tym samolotem. Podśluchała, jak rozmawiał o tym rano z Wendellem Wileym i był zdecydowanie przeciwny. Kto mógł dzwonić do niego podczas lunchu i tak go zdenerwować? Kto, u diabła, poza matką mógł go przyprawić o łzy?



Harry wszedł do pokoju redakcyjnego tuż po pierwszej, niosąc pomiętą brązową torbę z małymi kielbaskami i kanapkami z kiszonym ogórkiem, które zrobiła dla niego matka i których jeszcze nie miał czasu zjeść. Przewiesił płaszcz przez ramię, zatykając wieszak na palcu. Kapelusz zsunięty był na tył głowy, a krawat z palmami luźno zawiązany.

Pierwsze wydanie poniedziałkowe było prawie skończone. Reporterzy, maszynistki i redaktorzy pochylali się nad biurkami, niektórzy prawie niewidoczni w dymie osiemdziesięciu papierosów. Gordon McLintock już kończył pracę na drugim końcu biura, rozmawiając z Busbym Brilllem o artykule na pierwszej stronie – *Rzeźnik uderzy ponownie*. Busby zajął się zabójstwem pani Anne Leonidas rano, jak tylko pojawił się w biurze i natychmiast porozysłał swoich reporterów kryminalnych na wszystkie strony. Wciąż leżał mu na sercu sposób, w jaki wytrawny reporter policyjny z „Tribune” James Gavin wyprzedził go w sprawie zabójcy George’a Heirensa trzy lata temu. Heirens też był rzeźnikiem. Zamordował jedną kobietę na Kenmore Avenue, pobił i zastrzelił kilka innych, zakłuł nożem i zastrzelił jedną kobietę w alei przy lasku sosnowym, następnie porwał i poćwiartował sześciolletnią dziewczynkę, Suzanne Degan.

Busby wysłał początkującą reporterkę, młodą dziewczynę Jenny Crowe, żeby porozmawiała z jednym z detektywów pracującym nad sprawą Heirensa. Detektyw odpowiedział jej poważnie: „Był to mord rytualny i jeśli dowiem się czegokolwiek o morderstwach rytualnych, to powiem ci więcej. Samotne kobiety niech lepiej zaryglują drzwi, łącznie z tobą, słoneczko”.

Harry powiesił płaszcz mówiąc „cześć” Davidowi Tribe, który siedział w swojej norze skulony nad maszyną do pisania; okulary miał na czubku nosa i opisywał fatalną kraksę drogową na Elk Grove, w której spłonęło dwóch kierowców ciężarówki. Harry usiadł i otworzył torbę z kanapkami; wyciągnął pajdę żytniego chleba i wgryzł się w niego łapczywie. Czuł zmęczenie. Był na nogach od szóstej. Po pierwsze, przeprowadził wywiad z Alexem Leonidasem, mężem zmarłej kobiety, który był przyjacielski, rozmowny i całkowicie nieprzydatny. Popijał piwo z butelki („to jest śniadanie, rozumiesz? Lepsze niż cztery pełne talerze tostów w każdym razie”), poklepując wielkie, podobne do poduszek uda swojej greckiej przyjaciółki, i gadał: „Wiesz, Anne, cóż, co mam powiedzieć, to musiało się jej przytrafić”. Później zjechał ostatniego kochanka pani Leonidas, Johna Kavanagh, który siedział w swojej kawalerce w Calumet z rękami złożonymi przed sobą na zielonej ceracie, nie mówiąc nic i nie chcąc wyłączyć radia, kiedy Harry zadawał mu pytanie.

Harry wkręcił papier w maszynę i zaczął stukać w nią, przeżuując kanapki. Naprawdę nie można było wiele napisać, ale wiedział, że Gordon oczekiwał pełnego opisu Alexa Leonidas

i Johna Kavanagh, łącznie z ich skarpetkami, nawet jeśli by tego nie puścił.

Dziewiętnaście pięter niżej prawie pięćdziesiąt młodych kobiet stuknęło w maszyny do pisania, które różniły się od zwykłych maszyn tym, że od razu justowały tekst, który wychodził z maszyny w równiutkich kolumnach. Te kolumny były wycinane i naklejane na makiety „Star”, fotografowane i wytrawiane na matrycach. Zwykle cały skład gazety robiony był na linotypach i wiersze odlewane były w gorącym metalu, ale miejscowy oddział Chicagowskiego Związku Zawodowego Drukarzy strajkował od listopada 1947, zmuszając wszystkie ważniejsze gazety do techniki fotograficznej.

Pułkownik Robert McCormick z „Tribune” powiedział, że nie obchodzi go, jak długo potrwa strajk, Marshall Field III, który był właścicielem „Sun Times”, był równie zdecydowany nie ulec szantażowi, a poglądy Howarda na temat związków drukarzy były już legendarne. Tak więc ani drukarze nie przzerwali strajku, ani wydawcy nie mieli zamiaru go łamać.

Harry pisał:

### Rębacz 1

Dwudziestosiedmioletni Alex Leonidas, mąż zrażony do ofiary, wczor. na spac. na ul. Green, Anne była d. żoną i d. matką. 6.

Naprzeciwko Harry’ego, w boksie udekorowanym kalendarzami astralnymi, Peter Donleavy wystukiwał na maszynie horoskop na poniedziałek. Peter miał faliste włosy i był młodym absolwentem historii uniwersytetu Michigan, który zawsze marzył o dziennikarstwie. Dzięki sympatii Granta w ramach pół etatu pisał *Twoje Gwiazdy* w „Star”, pod główną kolumną Madame Tzizane. Przydzielono mu pięć wierszy na każdy znak zodiaku, nie więcej, a ponieważ było trzydzieści liter w każdym wierszu, wystukiwał po prostu rząd trzydziestu kropek u góry kartki i pisał pod kropkami, tak żeby pasowało.

.....

### BARAN

Ludzie tobie bliscy spowodują,

że zwątpisz w ich lojalność.

Otrzymasz w środtku tygodnia

wiadomość, która cię ucieszy.

Peter z zapartym tchem policzył literki w ostatniej linijce, zdecydował, że dwie literki zbyt zacieśniały linię, zamiast nich wstawił inne, wykreślił „ucieszy” i wpisał „zasmuci”. Na takich rozważaniach opierało się codzienne przeznaczenie mieszkańców Chicago.

Obok Petera siedział John Sebastian, który pisał prognozę pogody w „Star”. John uczył się w szkole jezuickiej i opatrywał każdą stronę nagłówkiem AMDG; były to pierwsze litery łacińskiego motta jezuitów – *na większą chwałę Bożą*. W dole każdej kartki wystukiwał LDS – *chwał Boga zawsze*. Gordon McLintock nie zabronił mu tego, ale każdy redaktor wiedział, że naraziłby się na wściekłość McLintocka, gdyby dopuścił, żeby te inicjały prześliznęły się do prognozy pogody.

Harry wciąż pisał, gdy Busby Brill podszedł i przechylił się ponad przepierzeniem.

– „Ostry”\* [\*sharp (ang.) – ostry] z nazwiska i z natury, no nie? – zapytał, zapalając papierosa.

Harry znowu ugryzł kawałek kanapki i oparł ją na krawędzi biurka.

– Dwie minutki, Busby, i dowiesz się wszystkiego, co wiem.

Busby obserwował go zmrużonymi oczami. Busby był mały, bystry i próżny, z napomadowanymi włosami, wytrzeszczonymi oczami i lubieżnymi ustami, jak wygadany brat Edwarda G. Robinsona. Miał na sobie zielony myśliwski garnitur, brązowe buty; zielony garnitur głosił, że Busby jest członkiem Yacht Clubu Lake Forest, chociaż nigdy nie żeglował, nie licząc płynięcia promem z Milwaukee w stanie Wisconsin do Ludington w stanie Michigan. Był jednak naprawdę dobry w swej dziedzinie. Znał wszystkich gangsterów, wszystkie gliny, wszystkich facetów od odcisków palców i wszystkich pomocników koronerów i w jakiś sposób jego odpychający wygląd sprawiał, że wszyscy go akceptowali.

Busby zawsze ubiegał reporterów policyjnych z „Tribune”. Tylko sprawa Heirensa załatwiła mu za skórę.

Było oczywiste dla Harry’ego, że gdyby udało mu się rozwiązać zagadkę morderstwa pani Leonidas, to jego duma odrodziłaby się. Duma znaczyła wiele dla Busby’ego Brilla.

– Mogłeś do mnie zadzwonić – powiedział Busby, patrząc, jak Harry kończy pisać.

– Pewnie, że mogłem.

– Więc dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Ponieważ skończyłeś służbę. Sądziłem, że jesteś zajęty pracą w domu albo żeglujesz.

Busby zaciągnął się papierosem i wypuścił dym przez zaciśnięte zęby.

– To był mord rytualny, prawda? Powinieneś zadzwonić.

– Nie wiedziałem, że to był mord rytualny, dopóki nie zobaczyłem zwłok, a kiedy już zobaczyłem, to odechciało mi się wszystkiego. Więc sobie nie wyobrażaj, że wsadzam nos w nie swoje sprawy. Wcale się do nich nie wyrywam.

Harry wyszarpnął kartkę z maszyny do pisania i podał ją Busby’emu z żartobliwym pokłonem.

– Nie są winni, żaden z nich. No, może Kavanagh mógł to zrobić, ale policja podobnie jak ja zdaje się uważać, że to nie on. Był zbyt zamknięty w sobie. Bardziej interesował się sobą niż nią.

Poza tym, nie wygląda na silnego. Miał ręce jak patyczak.

– To lepsze, niż mieć mózg jak patyczak – zauważył Busby, lekceważąco przewracając maszynopis Harry’ego.

Harry znowu ugryzł kanapkę i przeżuwał ją obojętnie.

– Wiesz co? – powiedział między jednym przełknięciem a drugim. – Jest takie stare polskie przysłowie, chcesz je usłyszeć?

Busby palnął środkowym palcem w maszynopis Harry’ego, aż papier zatrzeszczał, i powiedział:

– Jeśli te twoje stare polskie przysłowia chociaż trochę przypominają twoje stare polskie maszynopisy, to daruj sobie.

– Nie, nie, powinienes je usłyszeć. Mój ojciec zawsze mówił: „Ktoś, kto wydobywa złoto ze swojego tyłka, powinien wystrzegać się ostrych łopat”.

Busby gapił się na niego.

– Jesteś wariat, wiesz o tym? Coś ci powiem. Artykuł, który napisałeś o zabójstwie Leonidas, był pierwszorzędny. W stu procentach. Sam nie mógłbym go lepiej napisać. Ale nie spodziewaj się, że będę to powtarzać, i nie spodziewaj się, że powiem to komuś innemu. Jesteś cholernie dobry i jesteś zwariowanym Polakiem.

Nie mówiąc nic więcej, Busby wrócił do swojego boksu, zostawiając Harry’ego przy biurku, przełykającego ostatnie kawałki żytniego chleba i zastanawiającego się nad końcem świata. Bo Jack Wollensky powiedział kilka miesięcy temu: „Jeśli kiedykolwiek usłyszysz pochwałę od Busby’ego Brilla, to znaczy, że zbliża się koniec świata”. David Tribe przestał pisać na maszynie, zdjął okulary i spojrzał na Harry’ego spojrzeniem, w którym żal mieszał się z głębokim szacunkiem.

Pięć po drugiej Harry wyjeżdżał swoim woodiem z parkingu „Star”. Tomahawk Billy podszedł, żeby otworzyć mu barierkę, a Harry zasalutował i rzucił mu paczkę tytoniu „Czerwonoskóry”. Tomahawk Billy złapał tytoń i obejrzał go z kamienną twarzą.

– To jakiś żart? – zapytał tonem twardym jak granit.

– Żart? Jaki żart? Biali lubią to żuć tak samo jak Indianie.

– Jesteś gnojkiem – powiedział Tomahawk Billy, ale i tak włożył tytoń do kieszeni.

Harry jechał Lake Shore Drive i Sheridan Road do Winnetki; na prawo połyskiwało jezioro, niebo było białe i jasne jak lampa jarzeniowa. Było wpół do trzeciej, gdy skręcił przy Elder Lane Park w kierunku klubu golfowego Indian Hill i koło Crown Park spadziłą, pełną kurzu drogą dojechał do białych podestów i pomalowanych na zielono stacji. Cadillac Enzo Vespuciego był zaparkowany w pobliżu, przy furgonie z napisem na drzwiach „Stajnie Crown Park”. Obok stał przedwojenny jasnozłoty kabriolet buick z opuszczonym dachem. Harry zaparkował i siedział chwilę w woodiem paląc papierosa.

W końcu podszedł do niego niski, kanciasty człowiek z twarzą białą jak mąka i szerokimi ramionami piłkarza obrońcy i zapukał w szybę. Harry wychylił się wypuszczając dym.

– Tak? – zapytał.

– To jest prywatna posiadłość – powiedział ponuro drab.

– Wiem o tym – powiedział Harry. – Mam się z kimś tutaj zobaczyć.

– Doprawdy? A kim jesteś?

Harry wyjął kartę prasową. Mężczyzna oglądał ją badawczo, marszcząc czoło i poruszając ustami, gdy czytał nazwisko. W końcu zwrócił kartę.

– Reporter, co?

– Tak jest – naśladował go Harry. – Reporter.

– A z kim chcesz się spotkać? – zapytał drab, wodząc rozbieranym wzrokiem od toru wyścigowego do nagłego intruza.

– Z panną Morganą Croft Tate. Jest tutaj? Miała się dzisiaj spotkać z panem Vespucci.

Człowiek potrząsnął głową.

– Nie ma dzisiaj żadnych pań, kolego. Tylko panna Marcella.

– Aha – powiedział Harry. – Może jeszcze tu nie dotarła. Ale pan Vespucci jest, prawda? To jego samochód.

W tym momencie wyszedł Enzo, ubrany w kurtkę myśliwską, bryczesy i wysokie połyskujące buty; postukiwał szpicrutą o dłoń i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Tuż za nim szedł Ambrogio, który wydawał się dzisiaj spokojny, ogromny, drapieźny i uśmiechnięty.

– W porządku, Guido – powiedział Enzo, machając na boksera. – Tego tropiciela akurat znam. Jak się pan ma, panie Sharpe. Wyjechał pan pooddychać wiejskim powietrzem?

Harry wysiadł z auta i wypuścił nosem dym.

– Myślałem, że wezmę sobie wolną niedzielę – powiedział. – No wie pan, żeby zobaczyć, jak ci lepsi zażywają rekreacji. Czy jest już panna Croft Tate?

Enzo trzasnął bacikiem o dłoń, wpatrując się w twarz Harry'ego, jak gdyby przekonany, że może ona nagle zmienić się w kogoś lub w coś innego.

– Chce pan zobaczyć moje konie? Jest ich dzisiaj sześć. Najlepsze. Przywieziono je w zeszłym tygodniu z Kentucky. Pana przyjaciel i kolega z pracy Walter Dempsey jest tutaj. Chce napisać artykuł o moich koniach. – Enzo przerwał na chwilę, po czym dodał: – Jak otrzeźwieje.

Ruszył z powrotem w stronę stajni i Harry poszedł za nim.

– Jest pan pewny, że mojemu combi nic się tam nie stanie? Ten pana przyglup nie będzie próbował ukraść nakrętek od kół, czy czegoś w tym rodzaju?

– Nie jest Polakiem – powiedział Enzo. Harry mocno zacisnął usta.

– Mamy takie powiedzenie w Polsce: „Nie ufaj ludziom, którzy wyglądają, jakby mieli ci

ukraść nakrętki od kół, bo pewnie to zrobią”.

Doszli do stajni. Czuć było zapach świeżego siana i końskiego nawozu.

– To dobre dla róż – powiedział Enzo, gdy chłopiec stajenny prowadził elegancką i nerwową klacz kasztankę, zostawiającą kupki za każdym krokiem.

– Słyszałem, że można to wysuszyć i palić. Ale uwaga, bo nie jestem pewien. Mogę iść milę po wielbłąda, ale nie sądzę, żebym się wybrał dwa albo trzy bloki dalej po konia\* [\*gra stów camel (ang) – wielbłąd, to także marka popularnych papierosów].

– Ta klacz nazywa się Córka Hyperiona – powiedział Enzo. – Jest warta prawie pół miliona dolarów.

Harry zagwizdał.

– Umie biegać?

– Gdyby była człowiekiem, umiałaby tańczyć *Coppelię*.

Gdy klacz już wróciła do stajni, wypuściła niosący się echem podmuch gazów żołądkowych.

– Założę się, że idzie jak burza – powiedział Harry. Był z siebie dumny, że się nie roześmiał.

Enzo oprowadził Harry’ego po stajni, pokazując mu swoje konie. Wszystkie były wspaniałe; najbardziej okazały był czarny ogier zwany Księciem Ciemności, wychowany w Lexington przez D. D. Thomasa. Potężne, wspaniałe umięśnione zwierzę z sierścią świecąca jak rozlana oliwa.

– No, to jest niezły koń – musiał przyznać Harry. – Szkoda, że zwierzęta nie rozpoznają się nawzajem, no wie pan, taki Książę Ciemności, patrząc na pana, pewnie rozpoznaje w panu szczura.

Ktoś głośno powiedział:

– Nie wolno panu tak mówić do mojego ojca.

Harry obejrzał się. Wysoka dziewczyna z ogromną grzywą skręconych czarnych włosów szła w ich kierunku, obcasy jej butów do jazdy konnej stukwały ostro o kratkowane płyty podłogi. Wpadające z tyłu światło dzienne zarysowało najpierw jej sylwetkę i Harry prawie nie widział, jak wygląda, ale później obeszła go i stanęła przed nim z rękami na biodrach i pytaniem w oczach: kim jest – przyjacielem czy wrogiem.

Dziewczyna była uderzająco przystojna i w dziwny sposób przypominała Harry’emu Morganę, tyle tylko, że jej skóra była bardziej ciemna, włosy gęściejsze i bardziej poskręcane, a oczy intensywnie czarne. Jak Enzo, miała na sobie różową kurtkę myśliwską, skrojoną tak, żeby uwydatnić jej ciężkie jak u Jane Russell piersi. Bryczesy były tak obcisłe, że Harry widział najdelikatniejsze szczeliny między jej udami. Wyglądała na Włoszkę; usta miała wydatne i zmysłowe, a w głosie słychać było intonację przypominającą Harry’emu dziewczynę z Neapolu, która pracowała kiedyś w niedzielne ranki w sklepie Zyzniewskiego (o pełnych piersiach, pulchnym tyłeczku, z rozmarzonymi zielonymi oczami, słodko sepleniącą). Ta dziewczyna pachniała ciężkimi perfumami, w których było piżmo, goździki, olejek pomarańczowy; patrzyła

prosto na Harry'ego, nie spuszczać z niego oczu.

Enzo uśmiechnął się.

– Nie poznał pan mojej córki, Marcelli.

– Ma pan rację, nie poznałem, ale numer! – zwrócił się do Marcelli, a potem do Enza: – Nie wiedziałem, że ma pan rodzinę.

– Nie ma – przerwała Marcella. – Mój ojciec nie wierzy w rodzinę. Jest zbyt egoistyczny na to, prawda, ojczy? Ale w 1919 roku tak się złożyło, że poszedł na przyjęcie u gubernatora Lowdena i poznał tam piękną kobietę z South Bend, w stanie Indiana, a dwa tygodnie później wyjechali do Reno i pobrali się. Moja matka zawsze twierdziła, że to wina szampana. Ja nie winię nikogo.

– Małżeństwo trwało siedem tygodni i dwa dni – dodał Enzo. – Matka Marcelli była zupełnie niemożliwa. Miała zwyczaj jeździć rowerem dookoła sypialni i dzwonić dzwonkiem, kiedy próbowałem spać.

– No, no, to coś nowego – powiedział Harry. – A może by napisać artykuł o tajnym małżeństwie i ukrytej córce, panie Vespucci? Może opinia publiczna znów stanie się dla pana przychylna? Czy połamię mi pan za to nogi?

– Połamię ci nogi – potwierdził radośnie Enzo. Pojawił się Guido i powiedział:

– Telefon do pana, panie Vespucci. Pan Di Angelo.

– Ach tak, pan Di Angelo – powiedział Enzo z przesadnym naciskiem.

Harry wzruszył ramionami i zapatrzył się w dal okazując tym kompletny brak zainteresowania. Pan Di Angelo był to nikt inny jak Mikę Di Angelo, alias Mikę Constant, alias Neapolitańczyk, jeden z najpotężniejszych szefów mafii i prawdziwy dyktator trzymający łapę na całym West Side. Enzo wziął Marcellę za rękę, pocałował ją w policzek i powiedział:

– Wybaczysz mi, hm? – i odszedł do telefonu. Ambrogio zrobił zadowoloną minę i energicznie poprawił wyłogi marynarki, zanim podążył za swoim panem.

Harry i Marcella zostali sami. Harry kiwnął głową wskazując na kurtkę Marcelli:

– Jeździsz konno?

– Czy naprawdę sądzisz, że ubrałabym się w to, gdybym nie jeździła?

Harry zaproponował Marcelli papierosa, ale potrząsnęła głową.

– Był kiedyś radny miejski, który przebierał się w strój baletnicy, chociaż nigdy nie słyszałem, żeby tańczył w balecie.

Marcella uśmiechnęła się.

– Pójdę wypróbować konia. Idziesz ze mną?

– Powiniennem postawić na niego jakieś pieniądze?

– Już niedługo, kiedy będzie odpowiednio wytrenowany. Jesteś reporterem z gazety?

– Po czym to widać?

– Może przez ten krawat. Tylko chuligani i reporterzy noszą takie krawaty. Powinam uważać na to, co mówię, prawda? Mamy tu jeszcze jednego dziennikarza, ale śpi w stajni. Sądzę, że jest pijany.

Harry nie mógł się powstrzymać, żeby nie przyglądać się, jak Marcella szła kołysząc prowokacyjnie biodrami, a krągłości jej tyłka podskakiwały w górę i w dół. Rzucił spojrzenie na jej buty do jazdy konnej. Słyszał o sztuczkach stosowanych przez królowe piękności, które ścinały jeden obcas o ćwierć cala, żeby jeszcze bardziej rozkołysać krok, ale ruchy Marcelli wydawały się naturalne. Wpatrywał się w nią, a ona zauważyła jego spojrzenie, oboje zatrzymali się i spojrzeli na siebie.

Marcella wskazała na stojącego na torze cudownego, eleganckiego deresza, którego prowadzono do niej na krótkich cuglach.

– O tam, to mój koń. Co sądzisz? Czyż nie jest piękny? Ma na imię Ukradkowy Pocałunek.

– Jaką wy jesteście romantyczną rodziną – powiedział Harry. Zapalił papierosa, chociaż bardziej wolałby odpakować *Baby Ruth*. Był głodny, zmęczony i czuł, że mu trochę niedobrze. Miał jeszcze takie dokuczliwe uczucie, że za chwilę będzie musiał pójść się odlać. A poza tym, był bardziej, niż mógł przypuszczać, rozczarowany tym, że nie pojawiła się Morgana. Patrzył krzywo, jak Marcella klepie konia po pysku i gładzi jego bok. Chłopiec stajenny wyszczerzył się do niej jak Igor z Frankensteina, piętnastoletni chłopiec z krzywym ramieniem i twarzą siedemdziesięciolatka.

Harty pomyślał sobie, że ten, kto powiedział, że nie można ocenić książki po okładce, ostro pieprzył. Z jego doświadczeń gangsterzy wyglądali jak gangsterzy, skorumpowani politycy wyglądali jak skorumpowani politycy, a dziwki wyglądały jak dziwki. Popatrzył na swój krawat i dodał do tej listy reporterów.

– Trzymaj ją, Kermit – powiedziała Marcella do chłopca stajennego. Wzięła cugle i odwróciła się do Harry'ego. – Może mi pan pomóc przerzucić nogę, panie Reporterze Prasowy?

Harry wetknął papierosa w usta, podszedł do konia i złożył ręce w kubeczek.

– Harry Sharpe – powiedział. – To skrót od Szczaniecka.

Marcella włożyła nogę w jego ręce, a on podniósł ją w górę, aż mogła przerzucić nogę nad siodłem i wetknąć buty w strzemiona.

– Dziękuję, panie Sharpe – powiedziała.

– Cóż, znam swoje miejsce – odpowiedział Harry. – Znam cię dopiero od pięciu minut i już pozwalam ci po sobie deptać. – Klepnął konia w bok, jak gdyby był przyzwyczajony do klepania końskich grzbietów. – To ładny kawałek żywego pojazdu. Twój stary za to wybulił?

– Jesteś zbyt ciekawy – powiedziała, cmoknęła i pocałowała na Ukradkowym Pocałunku na drugą stronę toru.

Harry wydmuchnął dym i patrzył, jak Marcella oddala się od niego, a później zawraca. Nie



miał pojęcia o koniach, chociaż od czasu do czasu grał na wyścigach na Arlington Park, ale uznał, że Marcella wygląda okazale. Miała wyprostowane plecy i zadarty podbródek, jej czarne loki powiewały na wietrze. Może i była córką Enzo Vespucciego, ale miała klasę, której niejedna mogłaby jej pozazdrościć.

Walter Dempsey wyłonił się z budynku stacji, mrugając, kaszląc i przesuując ręką po głowie. W jego polu widzenia pojawił się Harry, ale Walter najwidoczniej nie uwierzył własnym oczom. Podszedł, powłócząc nogami i położył rękę na ramieniu Harry'ego.

– Co ja tu robie? – zapytał.

– Przyszedłeś, żeby napisać coś o koniach wyścigowych Enza Vespucci.

– Aha, o to chodzi! Dobrze, że mi przypomniałeś. Gdzie one są? Czy ta dziewczyna jedzie na jednym z nich?

– Nie, to jest Marcella, córka Enza Vespucci. Ma swojego własnego konia.

Walter pokiwał nieprzytomnie głową, a później zasłaniając ręką oczy, stał jak zamurowany, nie mówiąc nic przez całą minutę. Nie słychać było żadnego dźwięku, poza delikatnym dudnieniem wiatru i twardym stukotem kopyt Ukradkowego Pocałunku.

– Coś się stało i próbuję sobie przypomnieć co – powiedział Walter.

Harry palił, nie odpowiadał. Walter w końcu zdjął rękę z oczu i powiedział:

– Coś się wydarzyło, Harry. Coś, o czym chciałem ci powiedzieć. Chciałem, ale nie wiem. Zawodzi mnie pamięć. Może robię się już za stary do tych rzeczy.

W tym momencie doszło do nich wysokie rzenie Ukradkowego Pocałunku; Harry rozejrzał się po torze, zobaczył, że koń cofnął się, stanął dęba na tylnych nogach, a przednie kopyta młóciły powietrze. Nagle bryknął i znowu kopnął, rżąc i chrapiąc, Marcella musiała kurczowo chwycić go za szyję, żeby nie dać się zrzucić.

– Księżniczka! Księżniczka! – krzyknął Igor i pognął na krzywych nogach przez trawę.

Harry zawahał się przez chwilę, a potem pobiegł za nim, wyrzucając papierosa. Był o wiele szybszy niż Igor, i przegonił go, kiedy ten pokonał jedną trzecią pola.

Marcella zgubiła strzemień i wydawało się, że zostanie wyrzucona z siodła, ale jakoś udało jej się chwycić grzywę konia.

Doszedł konia, a ten okręcił się na tylnych nogach. Z bliska wyglądał na dwadzieścia stóp.

– Co mam robić?! – wrzasnął w kierunku Marcelli, ale nie zrozumiał odpowiedzi.

Harry stwierdził, że może zrobić tylko jedno, to znaczy chwycić konia za cugle. Tańczył niezdarnie z boku na bok, próbując przewidzieć, w którą stronę ruszy się zwierzę. Walter, pędzący za nim, wykrzyknął:

– Pasek przy pysku, Harry! Łap pasek przy pysku!

Harry obrócił się, a wtedy Ukradkowy Pocałunek dziko zarżał, ostro wierzgając. Jego lewe kopyto silnie trzasnęło Harry'ego w brodę. Poczuł, jak twarda ziemia kołysze się pod nim,

i upadł. Zobaczył niebo, paciorkowate małe gwiazdy i twarz Waltera patrzącego w dół jak twarz człowieka spoglądającego w studnię. Później stracił na chwilę przytomność.

Usłyszał dudnienie, krzyki i pomyślał, że znowu jest 1949, a on słucha przez radio parady zwycięstwa. Słyszał, jak matka kłóci się po polsku z ojcem, „Siedzisz cały czas na kanapie i nic nie robisz!” Usłyszał, jak ktoś się śmieje, i znowu powróciło światło słoneczne; pomogli mu usiąść, wszystko było takie jaskrawe i przyprawiające o ból głowy, a on czuł, że jego szczęka jest przynajmniej dziesięć razy większa.

Marcella klęczała przy nim. Walter i Igor trzymali Ukradkowy Pocałunek, która zaczęła uspokajać się. Marcella sięgnęła w kierunku szczęki Harry’ego i zapytała zmartwiona:

– Nie jest złamana? Możesz nią ruszać? Ale masz siniaka! Harry spróbował powiedzieć „w porządku, dziękuję, mogę poruszać”, ale zabrzmiało to mniej więcej jak „aku, dachu, mni poruszu”.

Wstał na nogi. Świat wydawał się osobliwie płaski i zwyczajny. Poklepał swoją brodę, ale nie czuł, żeby należała do niego.

– Czuję się dobrze – udało mu się powiedzieć. – Sądzę, że miałem szczęście.

– Kermit, zabierz Pocałunek do stajni i wytrzymaj ją, dobrze? Panie Sharpe, czy mogę zaprosić pana na drinka? Chyba będzie pan mógł się napić?

– Czuję się dobrze – powiedział Harry, poruszając szczęką na boki. – Nie jest tak źle, jak się wydawało. Nie będę mógł jeść kanapek mojej matki przez miesiąc, i chwała Bogu.

– Czy coś jest nie w porządku z kanapkami twojej matki? – zmarszczyła brwi Marcella.

– Równie dobrze można pytać, czy jest coś nie w porządku z suchymi zgniłkami – powiedział Harry.

– Mogę się przyłączyć? – zapytał Walter. – Sądzę, że i mnie przydałby się środek uśmierzający.

– Ty tu zostań i zbieraj materiały do artykułu – powiedział mu Harry. Później obrócił się do Marcelli.

– Weźmiemy samochód?

– Który jest twój? Combi? Przykro mi, będziemy musieli wziąć mój. Najbliższy bar jest w Indian Hill Hotel, a tam nie wpuszczają combi. Kierownictwo uważa, że obniżają standard.

Wzięła Harry’ego za rękę i poprowadziła go przez tor w kierunku lśniącego buicka.

– Jeden drink i to wszystko, dla celów leczniczych – powiedziała. – Musisz mi obiecać, że nie będziesz mówić o swojej pracy. Chcę rozmawiać wyłącznie o koniach, o tym, jaką piękną jestem kobietą i jakie kwiaty powinniśmy wybrać na nasze pogrzeby.

– Żartujesz? Nasze pogrzeby? – powiedział Harry.

Marcella poczekała, aż Harry otworzy drzwi samochodu, potem zasiadła za kierownicą. Harry osunął się na siedzenie pasażera, a Marcella uśmiechnęła się do niego.

– Pызata bużka.

– Wielkie dzieki – powiedział Harry. – Już prawie zaczynałem czuć się jak człowiek, dopóki tego nie powiedziałaś.

– O, będziesz się musiał do mnie przyzwycząić. Zawsze mówię to, co myślę. – Zapuściła silnik i wykierowała kabriolet wzdłuż białego toru wyścigowego w kierunku klubu golfowego Indian Hill.

– W każdym razie nie spodobałoby ci się, gdybym powiedziała, że wyglądasz wspaniale. Wiesz, że jesteś opuchnięty. To nie twoja wina. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, pomyślałam, że wyglądasz całkiem przystojnie.

– Wiesz, co ojciec mi zawsze mówił, kiedy byłem dzieciakiem? – powiedział Harry, opierając łokieć na drzwiach. – Nie ma ani jednego Polaka na całej planecie, który by nie wyglądał jak dno torby na śmieci. To znaczy włączając w to ciebie i mnie, mawiał. Ale wiesz, co jeszcze powiedział? Harry, mój synu, dzięki temu, że wyglądasz tak głupio, będziesz miał każdą kobietę, jaką chcesz. Wiesz, to naprawdę podbudowało moją pewność siebie.

– I miałeś te kobiety? – zapytała Marcella.

Harry wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– „Sporadycznie”. To jest polskie słowo na od czasu do czasu.

– A jak jest po polsku „co tu robisz”?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak – powiedziała Marcella. Była w tym słowie tak bogata modulacja – porywcza, włoska, europejska, prowokacyjna, prawie zagniewana.

Z cocktail – baru przy Indian Hill Hotel roztaczał się widok na pole golfowe. Usiedli na wysokich stołkach, podczas gdy zbyt poufały barman o imieniu Irving hałaśliwie mieszał drinki o tak niepociągających nazwach jak: *Darnina*, *Bomba w bunkrze*, *Dziura Numer Dziewiętnaście*, a gderliwe małżeństwa pod pięćdziesiątkę wchodziły i głośno narzekały na pogodę, stan łąk i to, co, u diabła, dzieje się z tym dzisiejszym światem.

Harry wypił *Cztery Róże*.

– Powiem ci prawdę – zwrócił się do Marcelli. – Ścigam twojego ojca już od dłuższego czasu. To żadna tajemnica.

– Ponieważ jest mafiozo? O to chodzi, tak?

Harry spojrzał na nią i zamilkł na chwilę. Później wyciągnął papierosa i powiedział:

– Zawsze go tak nazywasz? Prosto w twarz? Marcella wzruszyła ramionami.

– Jesteście sobie bliscy? – zapytał Harry.

– Jest moim ojcem. A ja uznaję ten fakt. To wszystko. Jakoś wypracowaliśmy sposób życia ze sobą.

– A co z twoją matką?

– Moja matka nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby używali ojca do testowania działania pił tarczowych na ludzką szyję. Twój ojciec to oszust, tak mi mówi. Upewnij się, że nie idziesz tą samą drogą.

– Niezwykła matka – powiedział Harry, unosząc brew.

– Tak – powiedziała Marcella – niezwykła.

– I niezwykła córka. Marcella uśmiechnęła się do niego.

– Podobasz mi się. Lubię twój styl. Nie owijasz niczego w bawełnę, prawda? Powiedz mi, dlaczego tropisz mojego ojca? Co on ci zrobił?

Harry zapalił papierosa, zdmuchnął zapałkę i wypuścił dym.

– Naprawdę, nie chciałem zepsuć tej miłej godziny w barze.

– Powiedz – miękko powiedziała Marcella.

– Cóż... Nie mów mi, że nigdy nie jechałaś wzdłuż State Street czy Cottage Grove Avenue? Twój ojciec ma cały blok na Cottage Grove Avenue, gdzie w jednym czteropokojowym mieszkaniu mieszka sześć rodzin. To daje łącznie dwudziestu siedmiu ludzi, w tym dwanaścioro poniżej pięciu lat. Można sobie wyobrazić, jak im się żyje.

– Zaraz, pozwól, że postawię ci jeszcze jednego drinka – nalegała Marcella.

– Sądzę, że nie powinienem. Już i tak za dużo mówię. Może lepiej pojedę do domu.

Marcella pokiwała na barmana Irvinga, żeby przyniósł następne drinki, a on zasalutował i trzasnął palcami:

– Już się robi, panno Vespucci – i poszedł do baru. Harry rozwiął ręką dym przed twarzą Marcelli i powiedział:

– Widzisz, zacząłem zastanawiać się nad tą sprawą w piątek. Słyszałaś o pożarze na Trzydziestej Pierwszej Ulicy? No wiesz, ten pożar, w którym Morgana Croft Tate uratowała małą Murzynkę. Siedmiu ludzi wtedy zginęło, licząc więc z tymi, którzy spłonęli w podobnych okolicznościach, jest już osiemnastu. Cała sprawa ciągnie się na South Side od lipca. Zrobił to twój ojciec. Nie mogę tego udowodnić, ale Bóg mi świadkiem, że on to zrobił.

Marcella zamyślona sączyła drinka, podczas gdy Harry siedział wzburzony obok niej paląc, pijąc i wierząc się na stołku. W końcu powiedział:

– Muszę iść do toalety.

Stał przed pisuarem, oglądając komiksy golfowe. Był tam rysunek człowieka grającego w golfa w salonie na dywanie, a jego służąca z kwaśną miną trzymała odkurzacz i mówiła: „Pozwoli pan, że przerwę tę grę?”

Skończył i już miał wyjść, gdy drzwi zakołysały się i wszedł Guido. Harry próbował go ominąć, ale Guido pchnął go prosto w klatkę piersiową.

– W porządku King Kongu, o co chodzi?

– Mam wiadomość – powiedział Guido. – Pan Vespucci mówi, żebyś wracał, wziął

samochód i wynocha z Winnetki, pronto.

– Pan Vespucci może sobie wepchnąć głowę tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Guido uśmiechnął się. Zacisnął dłoń w pięść i przez chwilę Harry pomyślał, że walnie go w twarz. Zamiast tego jednak Guido rozwarł pięść i mocno trzepnął Harry'ego w miejsce, gdzie kopnął go Ukradkowy Pocałunek.

– Aaa! – zawył Harry i podniósł ramię, żeby się osłonić. Guido tylko się uśmiechnął, otworzył drzwi męskiej ubikacji i pokiwał Harry'emu.

– Wracasz, bierzesz swój samochód i koniec.

Marcella wciąż czekała na Harry'ego w cocktail – barze. Widziała, jak Guido wchodził do toalety, i intensywnie obserwowała wracającego Harry'ego.

– Nie zranił cię? – zapytała. Harry potrząsnął głową.

– Ale powiedział ci, żebyś się wynosił tak szybko, jak pozwalają na to ludzkie możliwości? Ach, te cyferki. Mój ojciec nie lubi, gdy rozmawiam z mężczyznami, których dochody nie przekraczają dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie.

– Czy tak właśnie wyglądam?

– Mówiłam ci. To ten krawat.

Harry podniósł krawat w palmy; uważnie mu się przyjrzał.

– Lubię go. Gdybym zarabiał dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie, też bym go nie zmienił, kupiłbym po prostu parę krawatów więcej.

– Słuchaj – powiedziała Marcella. – Musisz lecieć. Naprawdę, dla twojego własnego dobra. Ale spotkaj się ze mną o jedenastej. Tylko się upewnij, że nikt cienie śledzi. – Sięgnęła po torebkę i podała Harry'emu wizytówkę z adresem; 333 West Burton Place.

Harry obrócił wizytówkę w palcach.

– O.K. – powiedział, wolno kiwając głową. Uśmiechnęli się do siebie i uświadomili sobie z przyjemnym uczuciem zadowolenia, że się lubią.

Mała Murzynka Doris Wells spała owego popołudnia, kiedy John i Morgana przyszli do kliniki przy Piętnastej Ulicy, żeby ją odwiedzić. Miała zabandażowaną głowę i spuchnięte, pokryte bąblami wargi. Przy łóżku dziewczynki siedziała jej ciotka, duża nieruchawa Murzynka, która najwyraźniej nie przepadała za białymi. Siedziała cały czas nieruchomo i przypatrywała się Morganie podejrzliwym wzrokiem, a kiedy ta wychodziła, mały pluszowy miś, prezent dla Doris, został porwany z wezłowania i schowany w szpitalnej szafce. Morgana usłyszała wyraźnie za plecami „Boojums” – pogardliwe określenie na białych używane w murzyńskich dzielnicach.

– Proszę się nią nie przejmować – powiedziała przełożona. – Ona nie życzy pani źle, rozpacza tylko po śmierci matki tej małej.

Morgana przeszła do biura kwestora i wypisała czek na tysiąc dolarów, który zapewnił dziewczynce należytą opiekę. Potem wróciła z Johnem do swojego jasnoczerwonego wayfarer sportabouta z odkrytym dachem.

– Mam ochotę trochę poprowadzić – powiedziała. – Masz coś przeciwko temu?

Otworzył jej drzwiczki. Wyglądał bardzo szykownie w wełnianym blezerze kremowego koloru i czerwono – zielonym krawacie. Morgana z kolei zdecydowała się dzisiaj na bladyszara garsonkę od Diora z czesanego jedwabiu, z poszerzonymi ramionami i plisowaną spódnicę. Spod zakietu wyglądała jedwabna bluzka z kolekcji Williama z San Francisco. W klapę zakietu wpięła diamentową broszkę w kształcie gwiazdy, którą dostała na urodziny od Johna, a na palcu błyszczał antyczny pierścionek zaręczynowy.

W saszetce miała niespodziankę dla niego – rodzinny sygnet, który kiedyś należał do jej dziadka. Była to wąska, złota obrączka z oszlifowanym na kształt prostokąta szmaragdem. Chciała mu go dać wieczorem przy pożegnaniu – pocałunek i zaraz potem sygnet.

Jechali na północny zachód, wzdłuż Lake Shore Drive. Nie wiedząc nawet o tym, minęli przy Foster Avenue Beach Harry’ego Sharpe’a jadącego z naprzeciwka swoim żółtym wozem. John siedział obok Morgany. Patrzył za szybę z nogą na nodze i splecionymi dłońmi. Tak bardzo silił się na spokój i opanowanie, że przyspieszyła i zaczęła szarżować, żeby tylko zobaczyć, jak długo wytrzyma. Dłonią w szarej rękawiczce z ręcznie zmieniała biegi.

– Jak ci się podoba? – zapytała.

– Miałś mi powiedzieć, o co chodziło w tej awanturze między twoimi rodzicami.

– Och, mamcia i tatko muszą sobie wyprawić przynajmniej jedną porządną awanturę per annum\* [\* (łac) – na rok] – skłamała. – To była po prostu jedna z nich.

W rzeczywistości nadal miała zaprzątniętą głowę problemami rodzinnymi. Nie chciała jednak powiedzieć mu prawdy, nie teraz, tuż po ich zaręczynach. Powiedzieć narzeczonemu

dzień po oświadczeniach, że twoi rodzice tak na dobrą sprawę nie mogą już ze sobą dłużej żyć?

– Mają szczęście, jeśli to tylko raz do roku – odpowiedział. – Moi rodzice wiecznie się kłócą.

– Ależ twoi rodzice są cudowni!

– No właśnie. To jest ten problem. Mama uważa, że jest bardziej cudowna niż ojciec, a ojciec, że jest bardziej cudowny niż mama. I tak starają się prześcignąć w swojej cudowności, że zawsze kończy się to piekielną awanturą.

– Cóż, mam nadzieję, że my się nie będziemy tak kłócić po ślubie.

– A z jakiego powodu? Przecież się kochamy, prawda?

– Oczywiście – zgodziła się z nim. – I nie ma wątpliwości, kto jest bardziej cudowny.

Dojechali do Lake Forest i zaparkowali przy klubie Onwentsia, w którym Howard Croft Tate dostał honorowe członkostwo, mimo że był demokratą. Wypili przy barze kilka rickeyów – drinków z ginu, soku limony i wody sodowej, a potem wyszli na dwór popatrzeć na grę w tenisa. Popołudnie było pochmurne, ale bardzo parne, więc Morgana zdjęła płaszcz i zostawiła go w samochodzie. Usiedli przy koltach, a kelner przyniósł im jeszcze po drinku. Morganie zaczęło się lekko kręcić w głowie.

Spotkali kilkoro znajomych. Na początek Tylerów, grających w mieszanego debla z Underbergami. Dwóch najbogatszych handlarzy nieruchomościami z żonami wyciskało z siebie ostatnie poty, by wykończyć się nawzajem wściekłymi uderzeniami i nieskoordynowanymi backhandami.

– Twoja, na miłość boską!

– Henrietta, zejdź do cholery z mojej nogi!

Spotkali też Forbesów, Petriech i Ryersonów. Nie obyło się bez mnóstwa uścisków dłoni, pocałunków w policzki i gratulacji z tytułu wyczynów Morgany na drabinie strażackiej i jej jeszcze nie ogłoszonych zaręczyn. John był, jak zwykle, doskonały. Zawsze wiedział, co powiedzieć, której kobiecie prawić komplementy i do którego mężczyzny jak najczęściej zwracać się per „sir”.

Potem wypili jeszcze ze dwa koktajle z McHenrymi. Biff był hutnikiem ze starych chicagowskich McHenrych. Miał wydatny brzuch i był urzekająco ograniczony. Jego zdaniem Stany Zjednoczone popełniały niewybaczalny błąd, nie zrzuciwszy jeszcze bomby atomowej na Rosjan i Chińczyków, po tym jak ją wynalazły i pomyślnie przetestowały. Brytyjczyków też by należało przynajmniej przestraszyć.

Żona Biffa, Marjorie, miała na sobie turkusową sukienkę i hałasujące bransoletki. Można było powiedzieć, że sapała „Napraawdę?” w odpowiedzi na wszystko, co się do niej mówiło.

Ściemniło się już, kiedy wracali drogą wzdłuż jeziora.

– Jesteś pewna, że chcesz sama prowadzić? – zapytał ją John przed odjazdem. – W barze dają dość mocne drinki.

Ale ona za bardzo uwielbiała swój nowy samochód, by zrezygnować. Po drodze prześpiewali ze trzy razy *Koniki lubią owies* w przeróżnych i niewiarygodnych tonacjach, kończąc na basie Morgany i falsecie Johna.

„Koniki lubią owies,  
I jelonki lubią owies,  
A owieczki podszczypują bluszcz...”

Minęli Park Górski. Przez chwilę jechali w milczeniu. Morga – na miała uczucie, jakby byli w samym środku Wszechświata, a Chicago było błyszczącym zamkiem pośrodku horyzontu, za który właśnie schowało się słońce. Ogarnęło ją ciepłe, silne i romantyczne uczucie wywołane szybką jazdą między jeziorem a łąkami, poczucie bycia pięknym, bogatym i zakochanym.

– O czym myślisz? – odezwał się po dłuższej chwili John.

– O nas – odpowiedziała pogodnie.

– Tak? I do jakiego wniosku doszłaś?

– Eto takiego, że jesteście idealną parą. Skrojeni dla siebie na miarę.

– Dobrani jak gacie do marynarki. Morgana roześmiała się.

– Ale jesteście tacy, nie? Idealnie dobrani.

– Myślę, że tak – pochylił się i pocałował ją w ramię, a potem w policzek. Obróciła się, żeby oddać pocałunek, ale powiedział: – Patrz na drogę.

– Lubię ryzykowne życie.

– Zauważyłem. Mam tylko nadzieję, że po naszym ślubie skończysz z tym chałturzeniem w Miejskiej Straży Pożarnej.

– Kto wie? – powiedziała, prowadząc slalomem z jednej strony drogi na drugą. – Może przypadkiem gdzieś wybuchnie pożar, ktoś przypadkiem będzie potrzebował pomocy i ja się tam przypadkiem znajdę...

– Jesteś zwariowana. Co nie znaczy, że tego nie lubię.

– Mówisz, że jestem zwariowana? To ty jesteś szalony. Kto, jak nie wariat, chciałby się ożenić z wariatką?

– No to pozwól, że ci opowiem zwariowaną historię.

– Zwariowaną historię? – zachichotała.

– Ręczę, że jest zupełnie zwariowana. Otóż był sobie pewien mały głupi gość, którego żona uwielbiała przesiadywać na ganku i wachlować się dużym wachlarzem. Pewnego dnia wachlarz złamał się i ten głupi gość poszedł do sklepu z galanterią, żeby kupić nowy. No i wyobraź sobie, jak stoi tam i przegląda setki, dosłownie setki wachlarzy, a właściciel coraz bardziej się niecierpliwi. Ostatecznie koncentruje się na dwóch wachlarzach, jednym za dolara i jednym za



pięćdziesiąt centów. Głupek pyta sklepikarza, czym się różnią, a ten odpowiada z ironią: „Tym za dolara ochładzasz się machając wachlarzem z lewej na prawą, o właśnie tak. A ten drugi trzyma się sztywno w ręce i kiwa głową na boki”. Na to ten głupek zaczyna znowu przyglądać się wachlarzom i znowu trwa to całe wieki. W końcu mówi: „Wie pan, zastanawiam się, czy moja żona będzie uważała, że to jest warte pięćdziesiąt centów ekstra”.

– To wariactwo – powiedziała Morgana. – To najbardziej zwariowana historia, jaką w życiu słyszałam.

John wtulił głowę w jej szyję i samochód zjechał na środek drogi.

– Uważaj, co robisz. Nie widzisz, że prowadzę? To nie żarty.

– Oczywiście – odpowiedział. – Szczerze mówiąc mam ochotę zapisać cię na przyszłoroczny wyścig Indy 500. Załatwić Billy’ego Hollanda to będzie dla ciebie pestka.

Nie wiadomo czemu, Morgana zaczęła nagle chichotać i nie mogła przestać.

– Myślałam, że nie chcesz, żebym za często ryzykowała.

– Bo nie chcę. Po „pięćsetce” masz się ustatkować.

– Ustatkować? I jak mam to zrobić?

– Jak masz to zrobić? Masz zostać moją żoną, a przy odrobinie szczęścia matką moich dzieci.

– A ty znowu swoje. Zaplanowałaś moją ciążę już przed oświadczeniami.

– Nie, ale to po prostu ważne. To znaczy, musimy podtrzymać nazwisko Birminghamów. Musimy dać światu Johna Birminghama IV. Mój ojciec nigdy by ci tego nie wybaczył, gdybyś mi nie dała potomka.

– Ale ja nie wychodzę za twojego ojca. Wychodzę za ciebie.

– Morgana, będziesz miała mnóstwo zajęć, mnóstwo, mnóstwo! Nie bój się, że nie będziesz miała co ze sobą zrobić. Nie myślisz chyba, że żona jednego z najlepszych młodych specjalistów w prawie handlowym w całym Illinois będzie mogła siedzieć cały dzień na pupie i opychać się słodyczami.

– John – zaprotestowała, jeszcze na pół chichocząc. – Nie zamierzam stać się tak zwaną gospodynią domową. Mam ambicje nieco innej natury, wiesz o tym... mam odziedziczyć „Star”. No i poglądy. Mam własne poglądy na wszystko. I uczucia. Pomyśl o tej małej biedulce, u której dzisiaj byliśmy! I pomyśl o wszystkich innych ludziach żyjących w slumsach, tak jak ona.

John potrząsnął głową z rozbawieniem.

– Jak już się na coś napalisz, to nie popuścisz. Ludzie zawsze będą żyli w slumsach, to normalna rzecz. Są biedni i są bogaci, są głupi i są mądrzy. Gdybyś dała dwóm ludziom po sto dolarów i pozwoliła zrobić z nimi, co im się podoba, to po pięciu latach jeden z nich tkwiłby po uszy w długach, a drugi opływał w dostatki. Nie zmienisz ludzkiej natury!

– John...

– Dobrze, już dobrze. Uspokój się i prowadź. „Wieź mnie przez park, wesołego jak kanarek,

wieź mnie przez park, nawet gdy już zmrok...” – zanucił. – Ty i ja i tak będziemy najszczęśliwszą parą.

Przysunął się i pocałował ją we włosy. Potem położył dłoń na jej udzie i zaczął je powoli masować przez jedwabną spódniczkę. Subtelne tarcie naelektryzowało jedwab i nylonową pończochę, co razem z delikatnym zapachem Chanel wywołało u Morgany drżenie, częściowo z irytacji, a częściowo z podniecenia.

– Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Mam na twoim punkcie zupełnego świra. Jesteś moją boginią, jesteś moją królową. Wierz mi, kiedy się pobierzemy, każdy dzień będzie jak Czwarty Lipca.

– Codziennie święto niepodległości – drażniła go.

– Nie, do diabła. Codziennie fajerwerki.

Jechali Sheridan Road. Morgana prowadziła beztrząsowo. John zsunął dłoń w dół i zaczął pieścić jej łydkę. Trzymała nogę na gazie i nic nie mogła zrobić. Znowu pocałował ją w policzek gorącymi i suchymi wargami, a potem przesunął dłoń w górę łydki, podciągając jej spódnicę. Zaczął ją uderzać raz za razem w kolano.

– John – zachichotała. – Przecież prowadzę.

– Prowadzisz jak diabolic! Nie zatrzymuj się!

– Jesteś pijany!

– Do licha, ty też!

Zachichotała, ale usiłowała zachować zdrowy rozsądek.

– John, to jest niebezpieczne.

– Powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko odrobinie ryzyka od czasu do czasu. Wejście na drabinę strażacką było o wiele bardziej niebezpieczne. To tutaj, to nic. Ile jedziemy? Siedemdziesiąt na godzinę? To jest nic! Tamta wspinaczka, to musiało być przeżycie!

– Byłam przerażona, jeśli chcesz znać prawdę.

– Jasne, byłaś przerażona. Naprawdę? I co jeszcze? To cię dopiero musiało rajcować!

Jego ręka prześlizgnęła się wyżej, pod spódnicę. Pieścił uda nad brzeżkiem pończoch, wciskał koniuszki palców pod ciasny nylon, ku jej nagiemu ciału. Zadrżała i powiedziała:

– John... – w jej głosie nie było jednak ani zachęty, ani zakazu.

Prowadziła teraz prawie osiemdziesiąt na godzinę, a mrok, który gęstniał nad jeziorem, zdążył już otoczyć drzewa nad brzegiem i bloki po przeciwnej stronie drogi. Przy wyprzedzaniu prawie nie widziała przeciwnego pasa. Wiatr dobrał się do chusty na jej głowie, na twarzy czuła lodowate zimno, kontrastujące z gorącym ud, pieszczonych przez Johna.

– Powiedz mi, co wtedy czułaś – spytał cicho i ochryple. Ledwo go dosłyszała.

Właśnie z naprzeciwka nadjechała limuzyna. Klakson, zwielokrotniony efektem Dopplera, ostrzegł ją w ostatniej chwili.

– Czuję... – zaczęła szeptem, ale zapomniała, co miała powiedzieć. Chciała, żeby przestał, i wiedziała doskonale, że starczy zaparkować na poboczu i odsunąć jego rękę. Zdecydowanie nie pociągała jej jazda osiemdziesiątką o zmierzchu, gdy jego ręce badały delikatnie najwrażliwsze miejsca po wewnętrznej stronie jej ud. Nie zrobiła jednak nic, żeby to przerwać. Coś w niej chciało nawet, żeby posunął się dalej. Może te pieszczoty miały być dowodem, którego potrzebowała. Dowodem na to, że to ją kochał bezgranicznie i nie tęsknił już, sekretnie czy też nawet nie, za Phoebe. Może miały świadczyć o tym, że ich długa abstynencja miała źródło we wzajemnym szacunku, a nie w tym, co ją tak niepokoiło – że może nie kochają się tak bardzo, jak usiłują to sobie wmówić. Zawsze wyglądali na dobraną parę. W ogóle pasowali do siebie. Poza tym, Eleonora właśnie układała listę gości na ich przyjęcie zaręczynowe, wyznaczone na piętnastego września.

Jego palec wskazujący wsunął się pod luźny materiał jedwabnych francuskich fig, za nim następny. Głaskały jej kędzierzawe, zbite futerko, gdy usta całowały i pieściły szyję. Zamruczał czule do jej ucha, czuła alkohol w jego oddechu.

– Czy wiesz, jak bardzo cię pożądam... Przygryzł płatek małżowiny.

– Przestań – powiedziała, ale prawie bezgłośnie.

Nacisnęła mocniej pedał gazu i strzałka szybkościomierza zaczęła posuwać się w górę, drżąc jak żywe stworzenie. Było ciemno. Aleja ukazywała się nagle wyłuskiwana światłem reflektorów, jakby rzucano ją przed samochód kawałek po kawałku: skrzynki na listy, drzewa, zaparkowane samochody, domy. Tylko palce Johna były gorące i powolne. Reszta świata to chaos.

– Przestań – wiatr zagłuszył jej szept. – Och, przestań, John, proszę cię, przestań.

Czuła, jak znów płonie, tak samo jak tuż przed tym, zanim uratowała małą Murzynkę ze szczytu domu. Wiedząc o tym czy nie, John wykazał ogromną intuicję, pytając, co czuła po wejściu na drabinę. Dzięki temu czuła teraz ten sam płomień, żar prawie do białości. Pędziła przez półmrok jak piękna kometa, ciągnąca w warkoczu ogień, strzępki gazety, natrętny zapach spalonej benzyny i Chanel No. 5.

Oto ona! Morgana Croft Tate!

Jego palce rozchyliły ją, powoli, jakby otwierały pęk. Nie wiedziała już, czy prowadzi szybko, czy wolno. Jasne okna domów nad brzegiem migały w nie kończącej się procesji, z nimi światła liniowców, pociągów towarowych, obwarowanych posesji. Jego palec wsunął się szybko i głęboko, a ona wparła się w skórzanе siedzenie sportabouta, czując, jak jej pierś wypełnia się, a oddech przyspiesza.

Miała uczucie, że zaczęła wypełniać ją przyjemna fala gęstej cieczy. Słyszała coraz szybszy oddech Johna. Mięśnie brzucha napięły się i zaczęły drżeć.

– Przestań... – mogła go błagać, ale tak naprawdę było już za późno, by się zatrzymać.

Pogrążyła się już całkowicie w lepkiem cieple i wydała z siebie dziwny wysoki krzyk, jakby chciała powtórzyć najwyższe B fortepianu.

Na ułamek sekundy zamknęła oczy. Przejechała na czerwonym świetle i nie zauważyła tyłu ogromnej ciężarówki ze stalowymi dźwigarami – wielkiego, ciemnego i wyjącego wcielenia piekła na kołach. Ciężarówka zaryczała klaksonem, a Morgana wykrzyknęła.

– John!

Niezdarnie zjechała na pobocze i zaparkowała pod dziwnym kątem. Drżała ze strachu i podniecenia. John sięgnął, by znów jej dotknąć, ale go odepchnęła. Siedział bez słowa i patrzył, jak brała jeden głęboki oddech za drugim.

– Mój Boże, mogłam zabić nas oboje – powiedziała.

Wyciągnął swoją złotą papierośnicę, zapalił dwa papierosy. Podał jej jednego. Zaciągnęła się tak głęboko, że papieros zapisał. Potem wydmuchnęła głośno dym i strzepnęła nerwowo popiół, którego jeszcze na dobrą sprawę nie było.

– Mój Boże – powtórzyła.

– Chyba nagle wytrzeźwiałem – powiedział John. Jego twarz nabrała żółtego koloru ulicznych latarni.

– Chcesz się ze mną kochać? – zapytała. Była jeszcze w szoku, nie kontrolowała histerycznego drżenia głosu. – Czy o to chodzi?

– Oczywiście, że tak. Morgana, ja cię kocham.

– No to weź mnie do łóżka.

Pocałował ją, ale się odwróciła. Nie dlatego, żeby go nie chciała, ale musiała się dowiedzieć, o co mu chodzi. Wyprostował się na siedzeniu i patrzył na nią przez chwilę. Koniuszek jego papierosa żarzył się purpurowo w ciemności. Po chwili powiedział:

– To już niedługo, prawda? Tylko dziesięć miesięcy.

– John, ja tego w ogóle nie rozumiem. Nie chcesz iść ze mną do łóżka, zanim się pobierzemy – ale byliśmy już kiedyś ze sobą i było nam dobrze, prawda? Dlaczego musimy czekać z tym do ślubu? Dlaczego nie możemy kochać się już teraz?

– Przepraszam, chyba wypilem jednego za dużo.

Zawiedziona, zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła go lekko w ramię.

– John, kocham cię, kocham, kocham. I chcę tego, ale normalnie, nie jak dwoje uczniów na tylnym siedzeniu. Chcę cię, ale tak jak dawniej. To było dobre. Dlaczego nie możemy zrobić tego jak wtedy, a chcesz tak jak dzisiaj?

– Morgana, moja droga, ale my nie jesteśmy, my nie jesteśmy jeszcze po ślubie – zaprotestował. Jego głos podniósł się o pół oktawy w udawanym rozbawieniu, jakby nagle musiał jej wyjaśnić, że ludzie z towarzystwa nie mieszają herbaty widelcem.

– Ale my już spaliśmy ze sobą – odparowała. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Tak – skinął głową. – I było nam dobrze. Było nam wspaniale, przyznaję. Prawdę mówiąc była to jedna z tych rzeczy, które przekonały mnie, że będziemy doskonałą parą.

– Tak?

– Waśnie tak. I zapragnąłem się z tobą ożenić. Teraz jesteśmy już oficjalnie zaręczeni. A to nie świadczy dobrze o mężczyźnie, jeśli sypia ze swoją przyszłą żoną.

Morgana zaciągnęła się mocno, popatrzyła na koniuszek niedopałka i wyrzuciła go przez okno.

– Och, John – powiedziała. – Jesteś gentelmanem w każdym calu.

– Mam nadzieję.

– Cóż, przynajmniej za jedną rzecz powinnam być ci wdzięczna – powiedziała. – Uświadomiłeś mi, że traktowałeś mnie jak porcelanową lalkę tylko ze względu na konwenanse. A ja zaczynałam się już martwić, że ochłodziłeś w zapalach.

Była spięta i niespokojna. Wiedziała, że jej słowa brzmią gorzko. Prawdopodobnie jej rozdrażnienie było zupełnie naturalne, po tym jak otarła się o śmierć. Nie co wieczór mogła stanąć twarzą w twarz z unicestwieniem i ekstazą w jednej i tej samej chwili. Uraczyła Johna szybkim, bladym, niezobowiązującym uśmiechem i ponownie zapuściła silnik.

– Przepraszam – powiedział John. – Naprawdę mi przykro. Słuchaj, wiem, co zrobię. Zapraszam cię na kolację do Pump Room, co ty na to? Byliśmy tam tylko raz. Pokażę ci, jaki potrafię być romantyczny, kiedy się postaram.

Spojrzała na niego, rozluźniła się i roześmiała, a potem pocałowała go w czubek nosa.

– Przepraszam – powiedziała i było jej naprawdę przykro.

– Nie, nie, to ja przepraszam.

– To śmieszne. To ja zawiniłam i ja przepraszam.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że tak właśnie zaczynają się zawsze kłótnie między moimi rodzicami.

– Ważne jest tylko to, mój drogi, jak się kończą.

Podjechał do nich wóz policyjny. Oficer obok kierowcy wycelował w nich latarkę.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, panie oficerze, dziękuję – odpowiedziała Morgana.

– Więc proponuję, żebyście stąd odjechali. Utrudniacie ruch.

– Już się robi – powiedział John, machając przyjaźnie ręką. Potem odwrócił się do Morgany.

– No już, Morgana, znikamy. Chyba nie chcesz dać się złapać najeździe w stanie wskazującym na spożycie alkoholu.

Odwiozła go pod jego blok na Walton Street. Portier otworzył drzwiczki samochodu i zasalutował Morganie z promiennym uśmiechem.

– Przyjadę po ciebie o dziewiątej – powiedział John. – Uważaj na siebie po drodze.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, panie – odpowiedziała i zawróciła z piskiem opon.

Morgana przejechała jeszcze pięć kilometrów, zanim dojechała do Weatherwood, żeby się przebrać na kolację. Ogromny dom jaśniał na tle pograżonego w ciemności nieba. Zaczynało grzmieć, wiał porywisty wiatr. Zostawiła samochód szoferowi, a Liley, jej czarnoskóra służąca, odprowadziła ją na górę do sypialni. Murzynka zapaliła światło, poprawiła poduszki na szezlongu i wyszła do łazienki napuścić wody.

– Czy ojciec jest w domu? – zapytała Morgana, rozpuszczając włosy przed toaletką.

– Panienci ojciec pojechał do miasta – odpowiedziała Liley, wyjmując naręczę świeżych ręczników. – Był tu ten pan Donato ze związków. Oni są zawsze obcesowi, gdy przychodzą z czymś drażliwym.

– Czyli nic nowego – powiedziała Morgana. Już od czasów wojny Howard Croft Tate i dostawcy gazet walczyli ze sobą jak dwójka małych chłopców, którzy nie umieją się podzielić siedmioma kulkami do gry. Howard poważnie im zaszkodził w 1931, kiedy wykazał, że ich prezes, Daniel A. Serritella, jest na usługach Al Capone'a. No i kiedy potem miał dla nich jakieś dodatkowe polecenia albo odrzucał wnioski o podwyżkę, rewanżowali się zwoływaniem zebrań o niemożliwych godzinach albo, jak dziś, zawracaniem mu głowy w niedzielę.

Dzisiaj było to bez znaczenia, bo dzień ten nie należał do udanych. Matka Morgany znów zamknęła się w swoich pokojach, „żeby nadrobić zaległości w korespondencji”, jak powiedziała Millicent, ale Phoebe przyłożyła ucho do drzwi i słyszała, jak płacze. Sama Phoebe też nie była w najlepszym nastroju. Miotła się, paliła jednego papierosa za drugim i kłęła jak szewc. Ten Donald, któremu niestety nie mogła się oprzeć, zadzwonił do niej dzisiaj i rzucił nagle słuchawką w środku ich czulej rozmówki, dlatego że jego żona, „Pułapka” we własnej osobie, wkroczyła właśnie do pokoju, wróciwszy cztery dni wcześniej z Savannah w Georgii.

Zaaferowana służba krzątała się po całym Weatherwood, zmieniając wodę w wazonach, odkurzając, polerując, prasując, czyli robiąc wszystko, co możliwe, żeby tylko nie pogłębiać nieprzyjemnej atmosfery panującej w domu.

Morgana kazała Liley wyjść i zamknęła za nią drzwi. Zrzuciła jeden za drugim buty, które potoczyły się po podłodze. Chwilę później zapukała Millicent i zapytała, czy życzy sobie koktajl. Czasem piła o tej porze martini albo rickeya. Odmówiła. Stała przed lustrem garderoby i zdjęła żakiet. Potem rozpięła spódnicę, zsunęła ją do stóp i wyszła z niej. Teraz zapukała Lukia, pytając, czy potrzebuje pomocy przy ubieraniu. Morgana znów odmówiła. Przynajmniej przez godzinę chciała być zupełnie sama. Jej głowa, jak dziecięcy kalejdoskop, wypełniona była mnóstwem kolorowych szkiełek i Morgana chciała ułożyć je w jakiś wzór, zanim z kimkolwiek porozmawia.

W jej głowie tłoczyło się mnóstwo pytań. Niektóre błahe, inne jeżyły włosy na głowie. Jedne

ważne, inne mniej, ale jednakowo przerażające. I wszystkie wymagały odpowiedzi. Czy John naprawdę ją kocha? Wiedziała, że uwielbia ją ekscytować, ale na ile to podniecało jego? Czy naprawdę ogląda się za Phoebe? Dlaczego Oskar Hammerstein jest na niego taki cięty? Dlaczego matka ostrzegała ją, że małżeństwo z nim będzie wielką romantyczną klapą? Czy go kocha? Czy naprawdę go kocha?

Włączyła telewizor. *Godzina natchnienia*, program Croft Tate'ów, transmitował właśnie psalmy. Wyłączyła odbiornik. „Zupełnie jak w życiu”, pomyślała. „Jak wjedziesz w ciężarówkę, to giniesz w jednym momencie, jak obraz w wyłączanym telewizorze. W jednej chwili *Rock stulecia* ze studia Croft Tate'ów, a w następnej już nic. Tyle, że jeśli wyjdiesz za niewłaściwego człowieka, to nie będziesz mogła wyłączyć telewizora. Będzie nadawał, od *Howdie Doody*, aż do końca programu, poprzez *Arta Godfreya*, *Goldbergów*, *Dave'a Garrowaya*, *Hopalong Cassidy'ego* i wieczorne wiadomości NBC, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, latami.”

Uznała to porównanie za głębokie, tak głębokie, że otworzyła szufladę toaletki i wyjęła pamiętnik. Pod „niedziela” zapisała: „Wyjść za niewłaściwego człowieka to jak kupić telewizor, którego nie da się wyłączyć”. Potem, po chwili wahania, narysowała złotym ołówkiem pionową kreskę, dzieląc kartkę na połowy. Pierwszą zatytułowała „Plusy Johna”, a drugą „Minusy Johna”.

Pod „plusami” zapisała: „Przystojny! Bardzo!”, „Seksy”, „Absolutnie sto procent dobrych manier”. A w końcu dodała: „Doskonała partia”.

Pod „minusami” zapisała: „Pryncypialny, jak to prawnik”. „Flirtuje z P???” „Spodziewa się, że jego żona będzie żoną przez duże Ż.” A potem: „Inni ostrzegali, dlaczego?”

Przeczytała raz i drugi to, co napisała. Potem, pogrubiając kreski, dopisała w poprzek: „Problem w tym, że go kocham!”

Zaczęła się dalej rozbierać. Jej francuskie, jedwabne majteczki były mokre. Stała przez chwilę, trzymając je w ręku i patrząc w oczy swojego odbicia w lustrze garderoby. Kim jesteś, Morgano Croft Tate? Wszyscy myślą, że jesteś opanowana i rozsądna, bogata i inteligentna. Wszyscy ci tego zazdroszczą. Twojego wyglądu, pieniędzy, strojów, koneksji. Na twoich dwudziestych pierwszych urodzinach tańczył z tobą sam Laurence Olivier. Wszedł na drabinę strażacką, zapierając wszystkim dech. Spójrz teraz na siebie. Niepewna i niezdecydowana, po raz pierwszy wątpisz w siebie i w swoje życie. Mogłaś się dzisiaj zabić. Podnieciło cię to. Ale co by było, gdybyś zginęła? Co za śmierć. Co za bezsensowna śmierć bez znaczenia i celu.

Skończyła się rozbierać. Była bardzo szczupła. Piersi miała pełne, ale kości biodrowe wystawały pod skórą. Wślizgnęła się do ciepłej, wyperfumowanej wody w jasnoróżowej wannie, przed wesołymi oczami kurków w kształcie delfinów. Powoli namydliła ramiona. Czuła się niepewna jak dziecko. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że im więcej człowiek wie, tym bardziej jest świadom tego, czego nie wie.



Po minucie lub dwóch weszła Phoebe w różowej i zwiewnej sukience. Bez pukania, oparła się o futrynę, obserwując Morgane. Miała jasną oprawę oczu. Zmyła właśnie makijaż i jej twarz, mimo że nadal piękna, zdawała się dziwnie pusta. Paliła papierosa w długachnej cygarnicze i właśnie schyliła się, żeby strzepnąć popiół do mydelniczki.

– Bradley pojechał do domu – powiedziała, bardziej do siebie niż do Morgany.

– Myślałam, że zabiera cię na kolację.

– Miał mnie zabrać, to słodkie maleństwo z różowymi uszkami, ale musiał jechać do domu.

Chora matka, czy coś w tym rodzaju.

– No i co będziesz robić?

– Nie wiem, a ty?

– Idziemy z Johnem do Erniego.

Phoebe poprawiła włosy palcami.

– Ciężkostrawna kolacja.

– Przegryziemy tylko coś lżejszego.

– Moja droga, u Erniego „coś lżejszego” to pięcioletni homar.

Morgana wygramoliła się z wanny i owinęła dużym różowym ręcznikiem od Fieldcrafta.

Phoebe poszła za nią do garderoby, pałac i rozmawiając z jednym ze swoich odbić.

– Mogłabym zabić Donalda. Mogłabym z zimną krwią dodać trucizny do jego kanapek z soloną wołowiną.

– Nie wiedziałam, że lubi kanapki z soloną wołowiną – powiedziała Morgana, przyglądając się sobie uważnie, żeby dobrać makijaż. Przymrużyła jedno oko.

– Ja też. Po prostu wygląda, jakby je lubił. Myślisz, że mama i tato będą chcieli się rozstać?

– Rozstać? Nie sądzę.

– Cóż, jest w tym trochę pikanterii, jeśli nasza matka jest jedną z tych, które puszczają się z młodszymi mężczyznami, nie sądzisz? Wiem, że inne matki to robią. Na przykład matka Filipy Kogan – robiła to, z kim się dało. Z ogrodnikami, szoferami, pomocnikami w pralni, królami, księżętami i mechanikami – starczyło powiedzieć słowo i już była gotowa. Ale nasza dostojna matka, ta olśniewająca i lodowato chłodna Eleonora Croft Tate, czy możesz ją sobie wyobrazić, jak to robi, i to z kimś takim jak Robert Wentworth? Bo ja nie.

Morgana zaczęła nakładać maseczkę na zmytą twarz.

– Wyglądam okropnie – powiedziała. – Spójrz na te worki pod oczami. Wypiłam chyba z sześć rickeyów w Lake Forest. Przypominam teraz pijaną sowę.

– Masz szczęście, że nie było cię tutaj, ma cherie. Ojciec grzmiał i trząsał drzwiami, a matka przemykała od pokoju do pokoju, jakby to była ślizgawka, a ona trenowała przed zawodami w łyżwiarstwie szybkim. W zasadzie ojcu musiało nieźle ulżyć, kiedy pojawił się ten koszmarny Donato, to mu dało pretekst, żeby się urwać. I jeśli chcesz wiedzieć, to matka

Bradleya z pewnością nie czuje się gorzej niż on sam.

Morgana obróciła się na siedzeniu.

– Phoebe... nie wolno ci mówić tak lekceważąco o mamci i tatku. To nasi rodzice, a ta sprawa z Robertem Wentworthem wygląda nieco... cóż, nieco zabawnie z jednej strony, ale z drugiej bardzo przygnębiająco... i chociaż jesteś prawdopodobnie tak samo wytracona z równowagi jak ja...

– Wytracona z równowagi? Kto tu jest wytracony z równowagi? Są już dorośli, nie? I nie muszą nas pytać o zgodę, jak mają na coś ochotę. Kimże jesteśmy, żeby im mówić, co wolno, a co nie?

– Phoebe! – warknęła Morgana, zaszokowana tym, co usłyszała.

– Cóż – powiedziała Phoebe, robiąc przesadzony gest swoim ustnikiem. – W końcu jesteśmy ich córkami, nie? I to nie było znowu tak dawno, kiedy ojciec podrzucał nas na kolanie, a matka pokazywała, jak zaplatać warkocze. Byliśmy rodziną. A teraz przyjrzyj się, co z tego zostało!

Nagle Phoebe poczuła w oczach alarmującą, ciepłą wilgoć. Morgana podeszła i wzięła ją w ramiona. Zrozumiała, jak bardzo Phoebe zależało na tym, żeby rodzice zostali razem. Biedna mała Phoebe, niby taka wyzwolona, a bezradna wobec takich problemów.

– Cicho... – uspokajała ją Morgana. – Nie chcesz chyba, żebym zaczęła mówić na ciebie „beksa”...

Phoebe odsunęła się i zaczęła trzeć oczy zaciśniętymi dłońmi.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Nic mi nie jest. Po prostu jestem zła, to wszystko.

– Chcesz, żebym dzisiaj została z tobą w domu?

– Nie, wyjdź sobie gdzieś. Nie miałaś jeszcze okazji, żeby uczcić swoje zaręczyny. Znajdę sobie coś ciekawego do roboty, na przykład przejrzę stare numery „Vogue”. Jedziesz jutro do miasta? Może też tam będę, to pójdziemy razem do Fieldsa i kupimy coś do ubrania. To znaczy, mnóstwo ciuchów.

Morgana złapała Phoebe za rękę i mocno ją ścisnęła.

– Nie martw się. Jestem pewna, że mamcia i tatko znajdą jakieś wyjście.

Phoebe wzruszyła ramionami i zaczęła się rozglądać za popielniczką.

– Byłabym zdolna ich zabić, wiesz? Byłabym zdolna dosypać im trucizny do śniadania.

John zjawił się dokładnie o dziewiątej. Przyjechał staromodnym szarym kaiserem swojego ojca. Morgana wybrała prostą, białą wieczorową suknię z tafty projektu Nettie Rosenstein, z obniżonymi ramionami i kokardą z tyłu. Założyła do niej trzy sznury pereł i gładki szal z białych norek. Biały, zgrabnie wygięty kapelusik też miał kokardę i trzy rzędy naszytych pereł. Twarz Morgany przesłaniała delikatna biała woalka.

– Już teraz wyglądasz jak panna młoda – skomplementował ją John. Miał na sobie biały smoking z białym goździkiem w butonierce.

Pojechali do hotelu Ambassador East, w którym znajdowała się restauracja Pump Room. John wprowadził Morganę do środka. Zewsząd witały ich uśmiechy i ukłony obsługi, a kierownik nocnej zmiany z błyszczącymi pomadą włosami wyszedł, by ich osobiście przywitać.

– Panna Croft Tate! Czytałem o pani we wczorajszej prasie. Mam nadzieję, że przyjmie pani gratulacje od obsługi hotelu Ambassador East.

Weszli do restauracji, dużej sali o sklepieniu na białych filarach i kobaltowoniebieskich ścianach, huczącej jak ul, mieniającej się światłem lampek spirytusowych i obsługiwanej przez kelnerów w czerwonych, krótkich fraczkach i bryczesach. Goście zareagowali na ich wejście ogólnym pomrukiem i licznymi spojrzeciami, a kiedy właściciel hotelu Jimmy Hart podszedł i przywitał Morganę pocałunkiem, a Johna mocnym uściskiem dłoni, rozbrzmiały oklaski.

– Nie codziennie podejmujemy bohaterkę – uśmiechnął się Jimmy Hart. – Proszę tędy, do mojego prywatnego stolika.

Posadził ich przy stoliku ozdobionym świeżo ściętymi białymi różami.

– Oczywiście dla państwa szampan – powiedział. – Krug z prywatnej cuvée\* [\* (franc.) – piwnica].

– Prawdę mówiąc – zwierzyła się Johnowi Morgana – wolałabym chyba filiżankę kawy. To albo jedno z ich królewskich martini.

– Świetny pomysł – odpowiedział John. – Kelner, zanim poda pan szampana, czy moglibyśmy prosić o dwa duże martini?

Ernie Byfield wymyślił te ogromne sześciuncjowe martini. We wczesnym okresie działania restauracji, mając nadzieję, że klienci znacznie szybciej pozbędą się uprzedzeń do droższych pozycji w menu, zostaną dłużej i zapłacą więcej. Jednak okazało się, że dwa albo trzy takie drinki doprowadzały większość klientów do stanu półświadomości, zanim zdążyli zamówić cokolwiek. Znany bon vivant Lucius Beebe opisał je kiedyś jako „Jedyny naprawdę możliwy koktajl między Nowym Jorkiem a San Francisco”, jednak ostatnio ograniczono ich podawanie do jednego na osobę.

Sącyli pachnące ginem drinki z lodem i przeglądali menu.

– Muszę przyznać, że chciałem tu przyjść głównie z jednego powodu – powiedział John. – Wiesz, jak oni tu uwielbiają podawać wszystko w ogniu. Chyba moglibyśmy zamówić same „płonące” dania. Żeby uczcić twój wyczyn.

– Myślałam o sałatce szpinakowej – roześmiała się promiennie Morgana. – Ale niech będzie. Ty płacisz, przyszedł mąż, ty zamawiaj.

W Pump Room już zwyczajowo podawano potrawy na złożonych otwieranych paleniskach, zgodnie ze starą zasadą Ernego Byfielda, że posiłek powinien cieszyć nie tylko podniebienie, ale także oczy, co zwykle oznaczało podawanie go w płomieniach. John zamówił kraba a la crepes

louise, skwierczącego w ogniu, potem pieczonego bażanta polanego koniakiem, a następnie uzupełnił to brzoskwiniami flambees i dwoma pucharami cafe diable, co oznaczało, że pomiędzy pierwszym martini a ostatnim łykiem szampana przez stół przewinęły się cztery rydwany ognia.

Morgana była tak zachwycona kolacją, że wszystko bawiło ją do łez. Żalony incydent z szosy został już zapomniany, prawdę mówiąc wywietrzył z pierwszym sześciuncjowym martini. Zapomniała też o swoich wątpliwościach co do Johna i przyglądała mu się szczęśliwa, nie słuchając tego, co mówi.

Około północy John poprosił o rachunek, ale pojawił się Jimmy Hart i powiedział:

– Proszę przyjąć ten posiłek wraz z gratulacjami dla prawdziwej chicagowskiej amazonki.

Kiedy zostali sami, Morgana wyjęła z saszetki małe niebieskie pudełko, które nosiła przy sobie cały dzień, czekając na tę chwilę. Podała je Johnowi i powiedziała:

– Otwórz, to dla ciebie.

Utkwił w niej spojrzenie, które przykuło całą jej uwagę. Było pełne czułości, ciepła, troskliwości i zrozumienia.

– Zanim to otworzę – powiedział – zanim w ogóle na to spojrzę, chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham.

Potem otworzył pudełko i wyjął pierścień ze szmaragdem, który rozjaśnił zielonym blaskiem jego oczy. Uniósł klejnot do góry, obrócił go kilka razy, a jego oczy wyrażały szczery podziw. Niestety, kiedy próbował go włożyć na palec, sygnet okazał się o wiele za mały. Nie dało się go wcisnąć nawet na najmniejszy palec. Mimo to John pochylił się nad stołem i pocałował Morgane.

– Jest cudowny. Naprawdę wspaniały. Będę go strzegł jak oka w głowie – szepnął.

– Znasz swój rozmiar? – zapytała. – Jadę jutro do Fieldsa, to mi go powiększ. Jestem taka zawiedziona. Chciałam, żebyś już teraz go nosił.

– Powiem ci, co zrobimy. Wpadnij do mnie na kieliszek, to dam ci na wzór mój stary sygnet bractwa studenckiego.

Wyszli z Pump Room, odprowadzani ukłonami kelnerów, i John zawiózł ją do apartamentu swoich rodziców na Walton Street. Państwa Birmingham nie było w domu. John wyjaśnił, że pojechali na pogrzeb jego ciotki do Peru w Indianie i postanowili wykorzystać tę okazję, żeby odwiedzić kilku krewnych jego matki. Ciotka Hilda była kobietą z charakterem. Krytykowała dosłownie wszystko, ale zwykła była mawiać, że „są w życiu tylko trzy rzeczy, których nie toleruje: chłopcy, koty i zapiekła złość”.

Na kilka minut przed Walton Street silnik zaczął się krztusić i kiedy odźwierny przyszedł, żeby odprowadzić samochód, John poprosił go, żeby zajrzał pod maskę.

– Ojciec mnie zabije, jeśli mu zepsułem ten samochód – powiedział.

Wjechali windą na jedenaste piętro. W ciszy ekskluzywnego wieżowca John wziął Morgane mocno w ramiona i pocałował.

– Gdzie twoim zdaniem powinniśmy zamieszkać? – zapytał. – Może w Lake Forest?

– Za daleko – odpowiedziała. – Loop całkowicie mi wystarczy.

– Wiesz, jest z tobą pewien problem – przekomarzał się z nią. – Jesteś stuprocentową chicagowską dziewczyną i nigdy nie przyjmujesz do wiadomości odpowiedzi „nie”.

– Ty natomiast masz taki problem – zripostowała – że jako stuprocentowy prawnik nigdy nie przyjmujesz do wiadomości prostego „tak”.

Drzwi otworzyła ciemnoskóra pokojówka. John wprowadził Morganę do środka, a Annie wzięła jej szal.

– Drinka? – zapytał, kiedy byli już w salonie.

Apartament Birminghamów cechowało przytłaczające bogactwo wystroju, prawdopodobnie nie zmienianego od wczesnych lat trzydziestych, kiedy to ojciec Johna się wzbogacił. Na przepych ten składały się ogromne beżowe dywany z czarnozielonymi obrębieniami, sufity z fasetami\* [\*fasety – wklęsły, zaokrąglony narożnik między ścianami a sufitem lub między samymi ścianami] z modelowanego gipsu, masywne sofy typu Odeon z białej skóry oraz jasnoorzechowe, fornirowane stoły i kredensy. Obrazy wiszące na ścianach warte były setki tysięcy dolarów. Były tu i ciemnozielone liście kasztana Arthura Dove’a i kubistyczne miasta Lyonela Feiningera. Na prawie każdym stole stał akt Art Deco z brązu lub alabastru. W powietrzu unosił się zapach pieniędzy i przegrzanych mebli.

Morgana usadowiła się w jednej ze skórzanych sof.

– Ale tylko jedno i to bardzo małe martini – powiedziała. – Obawiam się, że zaczynam odczuwać już trzeciego kaca dzisiejszego dnia.

– Ale za to coś to był za dzień – uśmiechnął się, otwierając barek.

Kiedy jej podawał martini w kieliszku z czarnego szkła, do salonu weszła Annie i stanęła pokornie przy drzwiach.

– Annie? – zwrócił się do niej. – O co chodzi?

– Czy mogłabym z panem chwilkę porozmawiać, panie Birmingham?

– Oczywiście. Co takiego?

– To sprawa osobista, panie Birmingham.

– Czy to nie może poczekać? – zapytał John z irytacją, siadając koło Morgany.

– Przykro mi sir, ale nie.

– No dobrze, Annie, jeśli tak uważasz. Pozwolisz, że cię opuszczę na minutkę, kochanie?

Wrócił po jakiejś półminucie, wzburzony.

– Coś nie tak? – zapytała go Morgana.

– Nie, nic poważnego, to znaczy, nic zbyt poważnego.

Dzwonił jeden z klientów ojca, potrzebuje pilnej porady. Przyjedzie zaraz z rana. Muszę do tego czasu rozgryźć sprawę „Untermeyer kontra Pierwszy Bank Kredytowy Stanu Illinois”.

Morgana ujęła go za rękę.

– Och, John, nie musisz się mną przejmować. Jeśli masz coś do zrobienia, odwieź mnie po prostu do domu. I tak jestem już zmęczona.

John pocałował ją w czoło.

– Jesteś aniołem, wiesz? – Podniósł słuchawkę białego telefonu. – Halo, Freddie? Tak, tu Birmingham. Muszę odwieźć pannę Croft Tate do domu. Czy mógłbyś zajechać wozem od frontu?

Słuchał przez chwilę, po czym odpowiedział.

– Och, aż tak źle?

Po dłuższej chwili odłożył słuchawkę.

– Przykro mi. – Obrócił się w stronę Morgany. – Freddie mówi, że to pompa olejowa lub coś w tym stylu. Samochód musi iść do mechanika. Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym cię wsadził do taksówki?

Morgana uśmiechnęła się.

– Jestem znana z tego, że czasem zniżam się do jazdy taksówką.

Pożegnali się przed budynkiem, w chłodnym nocnym wietrze rozwiewającym jej futrzany szal. Taksówkarz czekał, rozbawiony, a oni całowali się i całowali bez końca. Odźwierny Freddie też ich obserwował, z rękami w białych rękawiczkach założonymi do tyłu i głupawym uśmiechem na twarzy. Już od tego pierwszego razu, kiedy John przyprowadził Morganę na spotkanie ze swoimi rodzicami, miał do niej pewną słabość.

Morgana weszła do taksówki.

– Weatherwood, proszę – i pomachała Johnowi na pożegnanie.

– Widziałem pani zdjęcie w gazecie – powiedział taksówkarz, przyglądając się jej w lusterku.  
– To było naprawdę coś, to jak pani uratowała tę małą Murzynkę. Pewnie dostanie pani za to jakiś medal albo co innego? Powinna pani.

– Szef straży pożarnej dał mi swój płaszcz.

– Ma pani na myśli Bryana? To jest pani pierwszą osobą w historii, która coś dostała od tego skurwysyna – przepraszam za wyrażenie. Kiedyś wiozłem jego i jego starą na Bal Strażaków, jakieś trzy albo cztery lata temu. Wystroił się w biały krawat i frak, a jego stara wyglądała jak ulubiona klacz Astora. Cały czas usiłowali mi pokazać, jacy są ważni i wspaniali, a wie pani, jaki dostałem napiwek? Dwa losy na loterię strażacką. No to się go pytam, a co to ma być, panie, to on mi na to, że mogę wygrać wakacje na dwie osoby w Miami na Florydzie. No a ja mu na to, że może tak, a może nie. I wie pani co? Nie wygrałem.

Byli już prawie pod długim kamiennym murem z żelazną bramą oddzielającym Weatherwood od Lake Shore Drive, kiedy Morgana sięgnęła do saszetki po pieniądze dla taksówkarza i dostrzegła w środku drobny przedmiot, lśniący na tle ciemnej podszewki. Był to

pierścień zaręczynowy Johna. Tak szybko się rozstali, no i ciągle jeszcze była trochę podchmielona, więc w końcu zapomniała go poprosić o jego pierścień.

– Przepraszam – powiedziała do taksówkarza. – Czy może pan szybko zawrócić na Walton Street? Zapomniałam czegoś ważnego.

– Dała mu pani tylko sto dziewięćdziesiąt dziewięć buziaków, zamiast dwustu – uśmiechnął się taksówkarz i zawrócił.

– Mogę panią o coś spytać?

– Proszę.

– Zna pani tę stronę z pytaniami. *Droga Glorio...* i tak dalej, no wie pani, ta gdzie jest o różnych problemach, jakie mają ludzie. No więc te listy, które oni drukują, czy one są prawdziwe?

– Tak, najzupełniej. To prawdziwe listy od prawdziwych ludzi i przychodzą pocztą, a my nawet sprawdzamy, czy są autentyczne.

– Naprawdę? – powoli pokręcił głową. – No wie pani. Aż trudno uwierzyć. W jakim świecie my żyjemy. To chyba połowa Chicago powariowała. Widziała pani numer sprzed dwóch dni? Ten, w którym facet myśli, że jego żona się kurwi, jak on jest w pracy, i jedyny dowód jaki ma, to że ona oddaje do pralni kupę ręczników? Czytała to pani?

– Chyba nie – odpowiedziała. Zaczęła odczuwać senność i zmęczenie, a w głowie wirowała jej mała karuzela: koniki w górę, tygrysy w dół, koniki w dół, tygrysy w górę. Miała nadzieję, że się nie rozłoży.

Skręcili w Walton Street i taksówkarz zaparkował przed blokiem. Freddie otworzył drzwi.

– Już z powrotem, panno Croft Tate? To była krótka noc.

– Pan Birmingham miał mi dać coś ważnego. Ale niech pan sobie nie zawraca głowy, po prostu pojedę na górę i zadzwonię do drzwi.

– Jak pani sobie życzy, panno Croft Tate. Ale ja jednak też będę dzwonił. Ich pokojówka wyszła jakieś dziesięć minut temu, a państwo czasem nie słyszą dzwonka do drzwi, jak są w łazience albo w sypialni.

Pojechała na jedenaste piętro. Karuzela w jej głowie zaczęła przyspieszać, koniki i tygrysy wznosić się i opadać, rozmazywać i wynurzać z zamglenia. Z żołądka Morgany wydobył się długi bulgot i podziękowała Bogu, że jest sama w windzie. Wreszcie winda zatrzymała się i Morgana po grubym dywanie podeszła do drzwi.

Dzwoniła i dzwoniła, ale nikt nie odpowiadał. John musiał brać kąpiel albo studiować swoje prawnicze książki w sypialni. Miała już zrezygnować, kiedy drzwi windy znowu się rozsunęły i pojawił się Freddie.

– Nikt nie otwiera? – zapytał i sam nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę, a potem potrząsnął głową. – Na pewno jest. Nie widziałem, żeby wychodził. Pewnie bierze prysznic. Ale czemu nie

miałbym pani wpuścić? Zrobi mu pani miłą niespodziankę.

– Wolno panu? – zapytała, kiedy wyjął pęk kluczy uniwersalnych i wybrał ten do apartamentów na jedenastym. Skinął głową w konspiracyjnym geście.

– Wszystko w porządku. Znam panią na tyle dobrze, żeby pani zaufać. Nie wyobrażam sobie, że panna Croft Tate bierze coś z biżuterii pani Birmingham albo wychodzi stąd w jednym z jej futer.

Otworzył drzwi apartamentu i wpuścił ją do środka. Korytarz był pogrążony w ciemności, nawet światła w salonie były już wygaszone. Tylko smuga ostrego światła wydobywała się spod drzwi sypialni na końcu korytarza. Morgana odwróciła się do Freddiego i szepnęła:

– Lepiej niech pan stąd znika. Chyba nie chce pan mieć kłopotów. Zawsze mogę powiedzieć, że drzwi były otwarte.

– Dobranoc, panno Croft Tate – uśmiechnął się i dotknął dłonią daszka czapki.

– Och, niech pan zaczeka – zawołała za nim i sięgnęła do saszetki po dolara.

Kiedy odszedł, a winda zjechała na parter, Morgana ruszyła na palcach, wzdłuż ciemnego korytarza, do podświetlonych drzwi. Przyłożyła do nich ucho. Usłyszała odgłos przypominający wyciszone radio, rodzaj ciągłej mamrotaniny, jakby komentarz radiowy. Słuchała przez chwilę, potem chwyciła i nacisnęła kłamek.

– Niespodzianka! – krzyknęła, otwierając drzwi.

Sypialnia była oświetlona dwiema nocnymi lampkami przy ogromnym podwójnym łożu, na którym, wprost przed oczami Morgany, klęczeli Phoebe i John. Phoebe miała twarz wciśniętą w poduszkę i wypięty tyłek, naga, z wyjątkiem różowych podwiązek i pończoch. John klęczał tuż za nią, tylko w rozchełstanej koszuli i wbijał się w nią gwałtownymi, mocnymi pchnięciami, będąc na granicy szczytowania.

Radio obok łóżka podawało wiadomości.

John zamarł nagle i gapił się na Morgane, jakby zobaczył zjawę. Phoebe otworzyła oczy i zobaczyła ją przez swoje potargane blond loki. Morgana cofnęła się sztywno, jak w kiepskiej amatorskiej sztuce. Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej przerażone.

Morgana widziała wszystko w najdrobniejszych szczegółach, które miały potem wracać notorycznie przed jej oczy przez najbliższe miesiące. Czerwone ślady zadrapań na udach Johna. Zaróżowione usta Phoebe. Wygniecione prześcieradła i wymiętoszona kołdra. Krawat Johna na podłodze. I, najgorszy ze wszystkiego, zapach perfum Phoebe i seksu.

Nagle, nie wiedząc kiedy, znalazła się przed drzwiami windy, uderzając otwartą dłonią w przycisk, raz za razem, w histerycznej i desperackiej ucieczce. Słyszała, jak John ją wołał, ale jego głos brzmiał bełkotliwie, jak w filmie puszczonej na zwolnionych obrotach.

– Morganaaaa...

Drzwi windy otworzyły się. Wpadła do środka, objając się o przeciwległą ścianę. Jazda



wydawała się nie mieć końca. Winda była ciasna i duszna, twarz Morgany w małym lustrze na ścianie miała szary kolor. Wyszła na główny korytarz, Freddie uśmiechnął się jak właściciel zakładu pogrzebowego, oczywiście musiał wiedzieć, że Phoebe była na górze. To właśnie Annie chciała powiedzieć Johnowi na osobności – że przyjechała Phoebe.

Ciepławe powietrze letniej nocy zaatakowało jej żołądek, wypychając resztki kraba crepes louise, bazanta, brzoskwini flambees, nie mówiąc o sześciuncjowym martini i szampanie.

Taksówkarz otworzył drzwiczki i wyciągnął do niej rękę, żeby pomóc jej wejść, ale odprawiła go machnięciem dłoni. Pochyliła się nad kratą ścieku.

Freddie i taksówkarz patrzyli w milczeniu, jak dziedziczka największego dziennika w Stanach Zjednoczonych, wystrojona w swoją wieczorową suknię za siedemset dolarów, wymiotuje wprost na ulicy do rynsztoka.

Grant Clifford spędzał ten wieczór w domu, tylko jedną przecznicę dalej od Walton Street. Rozgrywał przed pójściem spać ostatnią partię pokera ze swoim sąsiadem z naprzeciwka, Dennisem Pekko. Grant siedział przy stoliku w białych mankietach i daszku, który Howard Croft Tate dał mu jako żartobliwy prezent, kiedy został mianowany redaktorem „Star”. Dennis był już na emeryturze, ale Grant lubił go za jego dowcip, odczytanie i realizm, a przede wszystkim za to, że nie miał pojęcia o wydawaniu gazet. Dennis zarobił poważną sumę na wyrobach cukierniczych i teraz spędzał czas na czytaniu, spacerach, gotowaniu i rozmowach z żoną.

– Wiesz, że nie rozmawiałem z Hettie przez całe te trzydzieści lat, kiedy pracowałem u Bracha? Mamy mnóstwo do nadrobienia. Wyobraź sobie, ja przez cały ten czas nie wiedziałem, że ona nie cierpi czekolady.

Dennis rozwiódł się dalej nad wadami czterdziestogodzinne – go tygodnia pracy, kiedy w przedpokoju zadzwonił telefon. Enid poszła go odebrać. Grant dał Dennisowi znak, żeby się na chwilę uciszył. Było w tej scenie coś z atmosfery Normana Rockwella: światło lampy obejmujące dwóch mężczyzn przy pokerze, pokój umeblowany skąpo ciemnymi, tradycyjnymi meblami, pokrowce na krzesłach, tapety w róże i srebrnowłosa kobieta stojąca na zewnątrz w jasno oświetlonym korytarzu, rozmawiająca z kimś przez telefon w otoczeniu akwareli maków.

– Tak – powiedziała. – Tak. – Położyła słuchawkę na stoliku i weszła do pokoju. – To Busby, kochanie. Mówi, że to ważne.

Dennis wyjął cygaro z ust i położył je w popielnicze.

– Nigdy nie graj w karty z redaktorem jakiegokolwiek gazety, bo nigdy nie będziesz miał szansy się odegrać – powiedział. – Wiesz, podejrzewam, że on aranżuje te wszystkie telefony, na wypadek gdyby przegrywał.

Grant poszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę. Enid stanęła tuż za nim i zaczęła bezmyślnie przyglądać się jego łokciom, zaczerwienionym i pomarszczonym.

– Cześć, Busby, co nowego?

Głos Busby’ego był szorstki i zdradzał zmęczenie.

– Ano jest nowina. Znaleźli następne ciało, pod 995 na West Grand Avenue. Takie samo, rytualne morderstwo. Zaraz przyjedzie po mnie Woozy i pojedziemy tam.

– Dzwoniłeś do Gordona? – zapytał Grant. – Dobrze, sam z nim porozmawiam. Zbierz tyle informacji, ile się da. Jak skończysz na miejscu, to pogadaj z komisarzem. I wyślij Jenny, żeby pogadała z tym, no, jak mu tam, tym psychologiem, który opisał przypadek Heirensa.

– DuQuesne – podpowiedział Busby. Wiedział o wszystkim i wszystkich, którzy mieli

związek z tą sprawą.

– A tak – przypomniał sobie Grant. – I słuchaj, Busby, to mi wygląda na coś wielkiego. Potencjalny nabijacz nakładu, no i oczywiście poważna sprawa kryminalna z podtekstem społecznym. Jak nam się uda z zabójcą, to podniesie to nasz prestiż nie tylko u glin. Zbierz wszystkich swoich ludzi, szybko. Możesz zaangażować w to Harry’ego, jeśli będzie trzeba. A ja teraz zadzwonię do Gordona.

Odłożył słuchawkę. Enid obserwowała go.

– Co się stało, kochanie?

– Następne morderstwo. Chyba będę musiał iść do biura. Dennis stanął w drzwiach salonu ze szklaneczką whisky w ręce.

– Jeszcze jeden trup? – zapytał. – To znaczy, ciało posiekane jak te poprzednie?

Grant przytaknął. Podniósł słuchawkę i wykręcił znany wszystkim z reklam numer wydawnictwa, SUPERWIADOMOŚCI\* [\*niektóre numery telefoniczne w USA łatwiej zapamiętać jako hasła – na tarczy aparatu litery przyporządkowane są cyfrom]. Gordon odebrał prawie natychmiast. Był zupełnie spokojny, mimo że poranne wydanie zdążyło już wejść do druku i trzeba było teraz zmieniać pierwszą stronę, a z nią drugą i trzecią, wycofując 150 tysięcy egzemplarzy. Z powodu długiego cyklu drukarskiego gazety zaczynały druk porannego wydania już poprzedniego wieczora i teraz mieli już część nakładu z nagłówkiem *Rzeźnik uderzy znowu* – gdy tymczasem on już uderzył. Mimo wszystko nie wpakowali się aż tak paskudnie, jak „Tribune” podczas wyborów prezydenckich zeszłego roku. Musieli zmienić *Dewey pokonuje Trumana* na *Demokraci przejmują teki*, gdyż to Truman, i to znaczną przewagą głosów, przejął urząd. Pułkownik McCormick nie mógł przeżyć tej gafy, a Howard Croft Tate nigdy nie przepuścił okazji, żeby mu o niej przypomnieć.

– Zadzwoniłem po sześć dodatkowych dziewczyn do przepisywania, a Hunziger zaraz tu będzie i robi matryce. Jak Woozy pospieszy się, to może uda nam się puścić zdjęcia z obu morderstw obok siebie – powiedział Gordon.

– Bądź w kontakcie – powiedział Grant. – Jeśli mnie będziesz potrzebował, to przyjadę do biura w każdej chwili. Tak przy okazji, co z artykułem od wydawcy? Sprawdź, co napisał Frank. Może dać w podtekście coś o przyczynach, które robią z człowieka rytualnego zabójcę. Coś o potrzebie zwrócenia na siebie uwagi, chęci odegrania się na społeczeństwie. Zresztą Frank będzie wiedział.

Gordon zanotował wszystko.

– A propos – powiedział. – Nie wiesz, gdzie jest Harry? Dzwoniłem do niego do domu i do jego matki. Nigdzie go nie ma. Chciałbym, żeby pomógł Busby’emu.

Grant zmarszczył brwi.

– Wolę nie wnikać w to, gdzie się włóczy po pracy. Ale możesz spróbować w O’Learym.

– Tam zadzwoniłem najpierw – odpowiedział Gordon bezradnie.

Grant skończył rozmowę i wrócił do salonu. Dennis czekał na niego przy stole.

– Przebijasz? – zapytał. Grant potrząsnął głową.

– Przepraszam, może dokończymy jutro. Nie mogę się skupić na grze. Ta historia z Rzeźnikiem to naprawdę coś. To jedna z tych spraw, które wspomina się latami. O Boże, aż się trzęsę. Pomyśl, Dennis, gdzieś w tym mieście jest facet, który zabija kobiety, a potem szatkuje je na kawałki, i ten facet siedzi teraz może w barze, czeka na autobus albo jedzie kolejką, a inni ludzie, zupełnie tego nieświadomi, siedzą obok niego.

Dennis parsknął i skrzywił się.

– Wiesz, co z tobą jest? – powiedział. – Tyle lat pracujesz dla gazet, że zaczynasz gadać jak one. Dla mnie ta sprawa jest prosta. Gdzie są gliny? Gdzie są te chicagowskie asy? Zawsze są w pobliżu, gdy nieprzepisowo zawrócisz albo zaparkujesz przy hydrancie. Ale jestem ciekaw, gdzie oni są, te strugane dupki, gdy po ulicach grasuje zabójca?

Grant nalał sobie jeszcze jedną whisky i usiadł na krześle.

– Wiesz, jak zaczynałem pisać, jeszcze w Filadelfii, to marzyłem, żeby redagować własną gazetę. A zwłaszcza „New York Timesa”. Ale nie zdawałem sobie wtedy sprawy z obowiązków, jakie ma redaktor wobec miasta, w którym wychodzi jego gazeta. To nawet poważniejsze niż bycie burmistrzem. Burmistrz ma przynajmniej swoje obowiązki, jasno określone prawem, poza tym ma do dyspozycji odpowiedni aparat wykonawczy. A jak jesteś redaktorem gazety, to twoje obowiązki obejmują wszystko, co możesz sobie wyobrazić – od zabawiania ludzi po zajmowanie się ich zepsutą kanalizacją. Masz pomagać słabym, popierać silnych, być lojalnym, mówić prawdę, demaskować niczemników, komplementować miłośnych, a jednocześnie dostarczać rozrywki i zabawy wszystkim, od kołyski po grób, nie obrażając niczyich przekonań religijnych ani poczucia przynależności etnicznej. A wszystko należy robić tak, aby nie rozczarować wydawcy, a co ważniejsze nie zawieść firm, które się u ciebie reklamują, bo z tego masz dochody. I wiesz, Dennis, czasami myślę, że to za dużo.

Dennis wyssał listek tytoniu pomiędzy zębów i wyjął go palcami. Myślał przez chwilę, po czym krzyknął:

– Enid!

– Tak, Dennis? – pojawiła się w drzwiach.

– Enid, twój mąż potrzebuje, żebyś go pogłaskała po głowie. Upił się na smutno.

Grant nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Dennis, jesteś niepoprawny. Nie przejmuj się, Enid. Mówi tak, bo mu idzie karta i chce mnie zgrać do ostatniego centa.

Zegar w przedpokoju wybił północ. Enid powiedziała, że idzie do łóżka.

Dwadzieścia minut po tym, jak Enid zamknęła drzwi do swojej sypialni, Busby Brill

i Woozy zaparkowali przed numerem 995 na West Grand Avenue. Wąski czteropiętrowy dom sąsiadował z zaśmieconym wysypiskiem i niskim budynkiem fabryki Miller Peerless – Spółka Produkcyjna. Na południowym wschodzie, tylko milę stąd, strzeliste wieżowce w Loop rozświetlały niebo. Na wschodzie bogate bloki mieszkalne Gold Coast lśniły jak Camelot\* [\*zamek króla Artura]. Ale ta dzielnica była jak jezioro, do którego o różnych porach roku napływały fale imigrantów przeróżnej narodowości, po czym ponownie się wycofywały. Bywali tu Szwedzi, Włosi, polscy i rosyjscy Żydzi, Puertorykanie, Murzyni i biali z Południa. Busby pociągnął nosem. Zawsze, jak był zmęczony, zaczynały mu dokuczać zatoki.

Na ulicy stało pięć wozów i jedna karetka policji kryminalnej. Nadajniki paplały i trzeszczały, światła syren oświetlały ulicę czerwonym rozedrganym blaskiem. Za policyjnymi barierkami zebrał się dość pokaźny, milczący tłum. Byli to w większości Murzyni, ale znalazło się też kilku ortodoksyjnych Żydów w okularach i czarnych kapotach.

Busby nie był bynajmniej zaskoczony obecnością komisarza Philipa Sectorskiego. Jego cyniczne oko wypatrzyło pod paradnym mundurem wypiętą klatkę piersiową i ściśnięty stan, oczywisty efekt noszenia moleskinowego pasa na otyłość od Searsa. Twarz komisarza miała kolor szynki, był w stanie wyraźnej paniki. Nie cierpiał wywiadów i traktował dziennikarzy jak robactwo, pchające się na siłę w jego życie. Dlatego właśnie Busby uwielbiał przeprowadzać z nim wywiady. Drażnienie ludzi było jego powołaniem.

Woozy natychmiast sfotografował Sectorskiego. Komisarz uderzył w lampę błyskową i krzyknął:

– Żadnych nieoficjalnych zdjęć, rozumie pan? Żadnych zdjęć bez uprzedzenia.

– Przepraszam, panie komisarzu – powiedział pojednawczo Busby. – Następnym razem upewnię się, że pana ostrzeżono i zdążył się pan uśmiechnąć. Ale to, co dzisiaj mamy, nie jest do śmiechu, co?

Jak zwykle przy takich okazjach, pojawił się tłum reporterów. Vincent Geruso, James Gavin i Bill Keen przyjechali z fotografami. James Gavin zapytał:

– Czy i tym razem mamy oglądać szczątki? Jeśli tak, to chciałbym mieć to jak najszybciej za sobą.

– Proszę za mną – powiedział komisarz ze źle skrywaną pogardą i poprowadził ich po trzech stopniach podestu do czerwonych drzwi z numerem 995. Policjanci i dziennikarze poszli za nim z hałasem, przez hol i potem schodami na górę. Tynk na ścianach korytarza pokrywały bąble pleśni i wilgoci. Tapeta zwisała z sufitu płatami, przypominając grabarskie prześcieradła. Czuć było ostry smród moczu i zgnilizny. Na podeście między pierwszym a drugim piętrem stała stara rama rowerowa bez kół i karton wypełniony dwudziestoma albo trzydziestoma pustymi butelkami po whisky.

– Ci z dalekopisów chyba już tu byli – zażartował Gavin.

Spectorski odwrócił się i spojrzał na niego surowo spod daszka oficerskiej czapki.

– Nikogo tu nie było, z wyjątkiem policji, świadków i lekarzy sądowych, rozumie pan?

Gavin zasalutował.

– Tak jest, rozumiem. Po chwili byli na miejscu.

Weszli do mieszkania na trzecim piętrze. Było zimne i ciemne jak siedlisko demonów. Na lewo od drzwi wejściowych była mała wnęka ze starą kuchenką gazową i zlewem przepelnionym brudnymi naczyniami. Były tam też na pół opróżnione butelki zsiadłego już mleka, przewrócony karton orzeszków i spora kolekcja puszek – po tuńczyku, morelach i gotowanej fasoli, a wszystkie z łyżeczkami w środku i śmierzące.

– Nie jest to Wersal – powiedział Gavin.

To był ostatni żart, na jaki pozwolił sobie którykolwiek z nich. Komisarz bez słowa wprowadził ich do salonu; wysokiego pokoju z brudnymi ścianami i kocem w oknie zamiast firanek. Stał tam tylko kuchenny kredens bez drzwi i duży fotel Grand Rapids. Naga żarówka dawała przygnębiające światło, kładąc na ścianach gamę upiornych cieni. Oświetlała ciało martwej kobiety z najdrobniejszymi szczegółami. Było to ciało Murzynki – a raczej to, co z niego zostało. Żaden artysta czy filmowiec nie oświetliłby jej ciała tak ostro. Żaden kierownik planu nie położyłby jej w środku tego pokoju. Skrytykowano by ten pomysł w gazetach następnego ranka za nadwerężanie nawet najbardziej odpornych żołądków.

Busby stał z rękami w kieszeniach płaszcza i wpatrywał się w szczątki kobiety zastanawiając się, chyba po raz pierwszy w życiu, o co zapytać. Czego jeszcze można by chcieć się dowiedzieć o kobiecie, która tak zginęła? Widział flesze migające z obu stron jak letnie błyskawice. Nawet jeśli poczucie przyzwoitości zabraniało im opublikować te zdjęcia dzisiaj, to zawsze ktoś mógłby się na nie pokusić za parę lat, kiedy będą już należały do historii.

– Nazywa się Katherine Burnham Mead – zaczął komisarz. – Była prostytutką i narkomanką, miała około dwudziestu jeden lat i mieszkała z ośmioletnim synem Wilburem. Nie znaleźliśmy jeszcze Wilbura ani byłego partnera panny Mead, Jeffreya Attwoolla. Pewna starsza pani z czwartego piętra mówi, że panna Mead rzadko kiedy przyjmowała klientów w niedziele, bo chodziła zwykle rano do kościoła, a resztę dnia spędzała z synem. Mówiła zawsze tej starszej pani, że pewnego dnia Jezus ją zbawi.

Wyjątkowo nikt nie robił ironiczných uwag. Określenie „panna Mead” w odniesieniu do tego, co leżało w fotelu, pachniało makabreską, ale Busby wiedział, że tylko tak należy mówić. Spodziewał się jednak po Spectorskim raczej terminów typu „ofiara” albo „szczątki”.

Morderca Catherine Mead odciął jej głowę, ręce i nogi. Potem wcisnął korpus w fotel szyją do dołu i rozciął go od pochwy do mostka. Głowę wepchnął do rozprutej jamy brzusznej, tak że zakrwawiona twarz patrzyła na nich teraz z wnętrza ciała. Ręce i nogi zostały ułożone w zgrabny stosik przed tułowiem. Wszędzie było tyle krwi, jakby ktoś wylał ją na fotel wiadrem

z wysokości przynajmniej piętnastu metrów.

Busby wskazał na ciało końcem ołówka.

– Czy jest coś... oprócz sposobu, w jaki to zostało zrobione... czy jest coś, co wskazuje na związek między tą sprawą a zabójstwem pani Leonidas?

Komisarz skinął głową.

– Wstępne badania wykazały te same ślady stóp, ten sam rodzaj podeszwy. Jednak to są British Walkers, bardzo popularne buty, nie możemy powiedzieć nic pewnego, zanim ich nie zbadamy pod mikroskopem. Tym razem nie ma odcisków palców, morderca miał rękawiczki. Na dodatek nikt nic nie widział ani nie słyszał. Zresztą nawet jeśli go tu ktoś zobaczył, to nie zwrócił uwagi. Tu ciągle kręcili się jacyś mężczyźni.

– Jakież narzędzia zbrodni? – zapytał Gavin.

– Nie tym razem. Ale trzeba było bardzo ostrego noża, żeby tak rozciąć ścianki żołądka, a nasze wstępne ustalenia wskazują na użycie narzędzia typu topór rzeźniczy przy oddzielaniu głowy i kończyn.

– Czy wiadomo, jak została uśmiercona? – zapytał Vincent Geruso. Utkwił wzrok w notatniku, nie patrząc na porąbane ciało. Wszyscy z nich wiedzieli, że szklany wzrok Catherine będzie ich potem prześladował w snach.

– Jak dotąd brak przekonującej hipotezy na ten temat.

– Złapicie go? – zapytał Busby.

Nozdrza Spectorskiego rozdymały się.

– Co to za pytanie, Brill?

– Pytanie, jakie będzie zadawać każda bezbronna kobieta w tym mieście, jak tylko dowie się, że Rzeźnik znowu zabił.

– Słuchaj no, Brill, mamy tu do czynienia ze sporadycznym zabójcą, maniakiem bez motywacji i celu. Jednego dnia zabija gospodynię domową, drugiego prostytutkę. Kto wie, co to za człowiek, co się dzieje w jego umyśle? Ale dowiemy się i aresztujemy tego faceta tak szybko, jak tylko to możliwe. Nie wskakuj mi na kark oczekując, że złapię go za kołnierz jeszcze, zanim ostygnie ciało.

– Dobra, komisarzu, proszę tak trzymać – powiedział Busby.

Vincent Geruso obszedł zbryzgany krwią fotel, jakby studiował współczesną rzeźbę.

– Jak pan myśli, komisarzu, czy to jakiś maniak religijny?

– Nie mogę się na ten temat wypowiadać – odpowiedział Spectorski. – Oczywiście, nasi ludzie sprawdzą teraz obyczaje etnologiczne, żeby zobaczyć, czy taki rodzaj zabójstwa może być związany z jakimś znanym nam rytuałem.

Wyszli gęsiego z mieszkania i wrócili na dół. Chodnik zalany był światłem, kamerzyści z Movietone i wiadomości czekali na oświadczenie Spectorskiego. Busby i Woozy nie mieli tu

już nic do roboty. Wsiedli do samochodu Woozy'ego i popędzili jasno oświetlonymi ulicami prosto do budynku „Star”. Busby prowadził, a Woozy przewijał i wyjmował film. Na rogu Wabash Avenue czekał na nich posłaniec. Woozy rzucił mu kasetę i chłopak pobiegł do ciemni.

– Mam tylko nadzieję, że szybko złapią tego gościa – powiedział Woozy zapalając papierosa i ignorując wyraźny znak zakazu na ścianie windy. – Nie wiem, ile jeszcze takich porąbanych pań uda mi się wytrzymać.

Busby podniósł brew, ale nic nie powiedział. Układał już swój artykuł, nicując wszystkie fakty na wszelkie możliwe strony.

Nigdy jeszcze nie spotkał się z takim zabójstwem. Przeważnie motyw rytualny był mocno powiązany z seksualnym. Były ślady tortur, gwałtu albo picia krwi. Tutaj, mimo że narządy rodne zostały brutalnie rozcięte, nic nie wskazywało na to, żeby mordercę interesowało cokolwiek innego poza zabiciem Catherine Mead dla samej przyjemności i ułożenia potem jej szczątków w najohydniejszy z możliwych sposobów. Było w tym coś z potwornego przedstawienia i to niepokoiło Busby'ego najbardziej.

Podszedł wprost do swojego biurka, zdjął płaszcz, poluzował krawat, zapalił powlekaną skórką fajkę Longchampa i wkręcił kartkę do wysłużonego Underwooda. Były to rutynowe, proste czynności człowieka, który już od dwudziestu lat przychodzi do biura i za każdym razem robi to samo. Machinalnie wystukał pierwsze słowa (ułożył je już w windzie):

### Rzeźnik I

Pracownicy wydziału kryminalnego przeszukują gorączkowo publikacje o prymitywnych rytuałach religijnych w nadziei odkrycia motywu, jakim mógł się kierować morderca dwóch kobiet, które zostały dosłownie porąbane zeszłego weekendu.

Dalej napisał:

Ich ciała – z odciętymi ramionami, nogami i głowami – zostały odkryte przez sąsiadów w stanie, który komisarz policji Philip L. Spectorowski określił jako „przerażający ofiarny ordynek”. Komisarz Spectorowski ostrzega, że podwójny morderca może zabić znowu, w jakimś nie znanym teraz nikomu miejscu – i to wkrótce.

Wyciągał kolejne kartki z maszyny i podawał je do tyłu nad prawym ramieniem, nie patrząc nawet, czy posłaniec tam jest, czy nie. Oczywiście, zwykle był, ale zdarzyło się już raz czy dwa, że Busby napisał artykuł, rzucił go przez ramię na podłogę i wyszedł, traktując go od tej pory jako cudze zmartwienie.

Po jakimś czasie zrobił krótką przerwę na palenie. Potem wrócił do pisania, już teraz



z większym namysłem. Żar fajki był też sygnałem dla McLintocka, że może przyjść do biurka Busby'ego i zobaczyć, jak się sprawy mają. Redaktor techniczny nanosił już swoje uwagi – 7D na 8.5 pkt. Regał dm x 10.5 cyc. – co oznaczało czcionkę siedmiopunktową z półtorapunktowym odstępem między wierszami, zarówno duże jak małe litery, w kolumnie szerokości 47 milimetrów. Potem posłaniec zabierał je na dół, gdzie przepisywały je maszynistki. Przeważnie przesyłano artykuły pocztą pneumatyczną, ale ten był zbyt pilny, żeby ryzykować, że gdzieś się zabłąka.

– No i jak? – zapytał Gordon, przypatrując się pożółkłym od nikotyny palcom biegającym po nadwerężonych klawiszach Underwooda. – Jak artykuł?

– Po prostu podwójne morderstwo – powiedział Busby przez zaciśnięte na fajce zęby. – Ale będzie z tego dobry ciąg dalszy w popołudniówce. Coś w stylu, co to za facet i tak dalej, oczywiście, jeśli Jenny odstawi kawałek dobrej psychologii. No i jak naprawdę się postaramy, to może wytropimy tego żartownisia, z pomocą glin czy bez.

– Chyba widzę cztery grosiki pomnożone przez milion – powiedział Gordon z ostrożną satysfakcją.

Busby skończył następną stronę i podał posłańcowi.

– Wiadomo coś o Harrym? Chciałbym go wyciągnąć na mały rekonesans.

– Jak na razie nic. Maureen dzwoniła do niego jakieś pół godziny temu, ciągle bez odpowiedzi.

– Szkoda. Ale on zawsze musi się wybrać na ryby, jak go potrzebuję. A młody Wollensky? Co teraz robi?

– Wysłałem go do North Green, żeby porozmawiał z rodzicami tej kobiety.

– North Green w taką ciemną letnią noc jak dziś? Lepiej, że to on, nie ja.

Busby skończył ostatnią stronę i podał chłopcu, który ledwo zdążył dobiec, żeby ją odebrać. Potem obrócił się na krześle do Gordona.

– A co z redaktorskim Franka? Masz go już?

– Przesłał go telefonicznie. David! – Grant zawołał do Tribe'a. – Masz ten redaktorski o Rzeźniku? Jak zwykle *donner und blitzen*\* [\*(niem) – burza z błyskawicami] – zwrócił się znów do Busby'ego.

Tribe podszedł do nich, z podwiniętymi rękawami koszuli, zatkniętym za ucho ołówkiem i ogromnym odciskiem kciuka na lewym szkle okularów.

– Właśnie go składają. Ale mam szczotkę.

Podał Busby'emu próbną odbitkę artykułu, a ten przeleciał go szybko wzrokiem, pociągając nosem i dmuchając dymem fajki.

– Zaskakujące, nie? – powiedział, kiedy skończył. – Frank potrafi pisać takie rzeczy, nawet tak na dobre, nie otwierając oczu.

„Tego weekendu zabito w Chicago dwie kobiety. Ich morderca, potworne widmo terroru, jest nadal wolny i spragniony świeżej krwi.

Czekając ze wstrzymanym oddechem, aż ogromne wysiłki policji i prasy sprowadzą mordercę przed oblicze sądu, zadajemy sobie z pewnością pewne drażące pytanie. Pytanie dotyczące naszego miasta i naszego społeczeństwa.

A pytanie to brzmi: Czy w naszym społeczeństwie, gdzie ogromne bogactwo sąsiaduje z galopującą biedą, narodził się nowy, przerażający typ mordercy? Czy to społeczeństwo, w którym profity sukcesu sięgają drapaczy chmur, a konsekwencje niepowodzenia nizin slumsów, wytworzyło osobowość żądną zabijać i ćwiartować nie dla popędu ciała ani zachłanności, ale z potrzeby dokonania rytualnego aktu na tych dwóch najbardziej barbarzyńskich i zdecydowanie «zakazanych» pojęciach amerykańskiej kultury – byciu biednym i nie zauważanym?”

Artykuł ciągnął się w tym samym duchu do końca, slogan gonił za sloganem, przyprawiając czytelnika o porządny zawrót głowy i silne przekonanie, że „Star” jest naprawdę zaangażowana w sprawę. I nie tylko. Dowodził on też niezbicie, że gazety Croft Tate’a domagają się nie tylko zapewnienia bezpieczeństwa niewinnym kobietom i natychmiastowego aresztowania Rzeźnika, ale także radykalnych zmian w strukturze społecznej Chicago, aby takie morderstwa utraciły rację bytu. Zatytułowano go *GORZKI OWOC* – w nawiązaniu do słynnego zdania z audycji radiowej *Cień: Drzewo zbrodni rodzi gorzki owoc*.

Zeszli do drukarni. Było tam dziwnie cicho, zważywszy na to, że maszyny drukarskie powinny teraz pracować pełną parą. Zielone ściany drukarni miały wysokość dwóch pięter i mieściły sto dwadzieścia sześć maszyn do druku biało – czarnego i dwadzieścia trzy do kolorowego. Poza tym były tam jeszcze dwadzieścia cztery falcarki\* [\*urządzenie do składania arkuszy], a wszystko ustawione było w cztery rzędy, równe długością blokowi mieszkalnemu. Każda z nowych maszyn rotacyjnych typu Goss Headliner ważyła jakieś dwadzieścia pięć ton. Umocowano je na resorach wpuszczonych na około trzydzieści cztery metry w dół, aż do skalnego podłoża. To pozwalało zredukować wibracje do minimum – rzecz bardzo ważna dla studiów radiowych i telewizyjnych, mieszczących się w budynku.

Herman Short, przysadzisty, krótko ostrzyżony Niemiec, który zajmował się drukiem w nocy, podszedł do Busby’ego i Granta, wycierając ścierką smar z rąk.

- Macie może jeszcze coś, żeby mnie wykończyć? Nabawię się wrzodów żołądka.
- Jesteście gotowi do druku? – zapytał Gordon.
- Prawie. Robią ostatnią płytę.
- Ile mamy spóźnienia?
- Godzinę, może pięćdziesiąt minut.

Herman podszedł do czegoś, co nazywał swoim „biurem” – blaszanego stołu zawalonego

kluczami, ścierkami, kubkami kawy po turecku i częściami maszyn. Na ścianie za biurkiem przyklejony był skomplikowany rozkład terminów drukarskich, plakat informujący o zachowaniu w razie porażenia prądem, pocztówka z palmami w Tampa na Florydzie od siostry Hermana i plakat przedstawiający dziewczynę w czarnej nocnej koszuli, otwierającą drzwi, żeby wpuścić małego kotka z kokardką, wracającego o trzeciej w nocy ze spaceru.

– Muszę wyregulować wtryskarki w jednej z linii, ale jak mi się uda zrobić, to zmniejszymy spóźnienie do dwudziestu minut.

– Dobra, próbuj – powiedział Gordon.

W tym momencie, jeszcze zanim Gordon skończył mówić, zagwizdały gwizdki i zaskoczyły silniki. Ogromne bębny zaczęły się obracać, nabierając powoli prędkości, jak trzy potężne lokomotywy pędzące donikąd, osiągnąwszy po chwili swoją maksymalną prędkość, sześćdziesiąt tysięcy stron na godzinę.

Hałas był potworny. Drukarze w kwadratowych czapkach zaczęli kręcić się po pomostach, sprawdzając napięcie taśmy papieru płynącej do maszyny, pracę podajników, falcarek i zbieraków. W dalekim końcu hali stał sznur piętnastu jasnopurpurowych towarowych chryslerów z opuszczonymi burtami, czekając, aż pierwsza partia gazet dotrze do ramp i będzie ją można zawieźć do miasta. Gordon McLintock stał z rękami na biodrach i przyglądał się maszynom. Był to jeden z tych momentów, kiedy wiedział, że nie chciałby być nikim innym.

Była w tym potęga, potęga ogromnych maszyn zdolnych drukować 96 – stronicowe gazety razem z kolorowymi fotografiami w tempie szesnastu na sekundę, moc dostarczenia ponad miliona egzemplarzy ponad milionowi czytelników, przekazania materiału z biurka Busby’ego i aparatu Woozy’ego do wszystkich kiosków w Chicago w niecałe czterdzieści pięć minut.

Herman Short, w swoim luźnym białym kombinezonie, podszedł do jednego ze zbieraków i wyjął błyskawicznym ruchem dwa egzemplarze, nie naruszając szybko rosnącego stosiku. Podał jeden Gordonowi i jeden Busby’emu.

– No i jak? – zapytał ze swoim mocnym teutońskim akcentem. – Chłopcom chyba należy się za to premia, co?

Na pierwszej stronie były dwie fotografie. Jedna przedstawiała zakrwawiony korytarz w domu pani Leonidas, a druga fotel, w którym znaleziono ciało Cathenne Mead, tyle że od tyłu, tak że nie było widać zmasakrowanych zwłok. Pod zdjęciami biegł szeroki na całą stronę napis: *PORĄBAŁ DWIE KOBIETY NA KAWAŁKI. Policja dopatruje się rytualnego podłoża obu morderstw.*

Artykuł Busby’ego znajdował się tuż pod winiętą. Natomiast artykuł Harry’ego, przerobiony tak, by pasował do sytuacji po dokonaniu drugiego morderstwa, zaczynał się pod nim. Druga i trzecia strona były wypełnione różnymi reportażami, zrobionymi specjalnie na tę okazję, wywiadami z przyjaciółmi i krewnymi pani Leonidas. Był tam też portret osobowości

potencjalnego podejrzanego i artykuł Franka.

– Kto wie, jakie zło czai się w sercach ludzkich? – powiedział Busby składając gazetę i wkładając ją pod ramię. – Idę do O’Leary’ego na jednego szybkiego przed zamknięciem. Idziesz ze mną?

Gordon potrząsnął głową.

– Pokręcę się tu jeszcze. Zadzwoń do mnie, jak wyjdiesz z baru. Chcę wiedzieć, gdzie jesteś. Jak tak dalej pójdzie, ten facet zarżnie jeszcze ze trzy kobiety i ofiarnego kozła, zanim się rozwidni.

– Temu facetowi nie wolno zarżnąć nic i nikogo, zanim nie skończymy tego wydania – wtrącił Herman. – Inaczej będzie miał ze mną do czynienia.

Busby wyszedł z budynku „Star” i przeszedł Wabash Avenue do O’Leary’ego. Roy Chamberlain widział, jak idzie – szklaneczka burra-peg\* [\* drink z whisky albo brandy z wodą sodową] z kanadyjskiej whisky czekała już na niego, kiedy znalazł się przy barze.

– Ciężki dzień w biurze, co, złotko? – zapytał Roy.

– Co powiesz na śniadanie przed wyjściem? – zaproponowała Marcella. – Nie ma w Chicago drugiej córki gangstera, która robiłaby taką jajecznicę jak ja.

Harry przejechał ręką po włosach, tak że stały jak Stanowi Laurelowi.

– Która to godzina? – Spojrzał na zegarek. – Nie do wiary, prawie czwarta!

– Ty się zabawiasz, a czas ucieka – uśmiechnęła się. Harry siedział po turecku na małym dywaniku, oparty plecami o kanapę. Sztywno wyprostował nogi i wstał.

– Lepiej się prześpij. Muszę być w biurze o dziewiątej.

– Możesz spać tutaj, jeśli chcesz. I zawsze możesz sobie pożyczyć czystą koszulę. Mama ma ich całe sterty. Dla gości, rozumiesz. Niektóre kiszą się w szafie jeszcze od czasów sprzed wojny. Więcej koszul niż gości, jak widzisz.

Harry przyjechał wczoraj dokładnie o jedenastej. Uległ irracjonalnej chęci, żeby założyć swój niedzielny garnitur, niebieski w kredowe prążki, z poszerzonymi ramionami na poduszkach i szerokimi klapami, które zawsze okropnie odstawały, niezależnie od tego, ile razy próbował je przygładzić. Marcella przywitała go w drzwiach w zachwycającej tunice z czarnego jedwabiu, z plisowanymi rękawami i głębokim dekoltem w kształcie litery V. Wprowadziła go do zasobnego salonu, gdzie w ogólnej tonacji przeważały kolory pawioniebieski i srebrny, stały antyczne meble ze złoceniami i rzeźbiony marmurowy kominek. W narożniku wisiał portret matki Marcelli, kobiety szalenie atrakcyjnej, która wyglądem przypominała bardziej królową z bajki niż rzeczywistą, oddychającą istotę.

Czarnoskóra pokojówka podała im lekką kolację, składającą się z zimnych zakąsek, krakersów, sera i białego wytrawnego wina, pamiętając o butelce zimnego piwa dla Harry'ego, na wypadek gdyby miał ochotę. Usiedli na podłodze i zaczęli rozmawiać, z początku z pewną rezerwą, a z biegiem czasu coraz głośniejszym i żywiej, coraz bardziej na siebie otwarci i weseli; śmiali się często, ciesząc się sobą i swoją szczerością. Oczywiście Marcella bardzo go podniecała, a już szczególnie, kiedy sięgnęła po kolejny kawałek sera i ten jej wycięty dekolt odsunął się na jedną tylko, okrutną dla Harry'ego chwilę, odsłaniając znaczną część piersi.

– Nie myśl tylko, że nigdy nie myślałam o moralnym dylemacie, z jakim wiąże się bycie córką takiego ojca – powiedziała, przeżuwając kawałek Cheddara Longhorn i Bath Olivier. – Po prostu musiałam o tym myśleć, przynajmniej dwa razy dziennie, odkąd dorosłam na tyle, żeby zrozumieć, że mój ojciec nie jest tym typem ojca, który wychodzi rano do pracy w Prudentialu i wraca późno wieczorem z wieczorną gazetą i bukietem kwiatów.

Harry wsunął do ust oliwkę, rozbawiony myślą o Enzo Vespuccim jako pracowniku ubezpieczalni w szarym flanelowym garniturze.

– Ale co ja mogę zrobić? – W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. – Myślałam już o wszelkich możliwych sposobach, żeby go nawrócić. Myślałam o tym, żeby tu zaprosić kardynała Langella, by mu uświadomił, że robi źle. Nie śmieję się, mówię poważnie. Myślałam nawet o tym, żeby pójść do Biura Prokuratora i na niego donieść. Wysłaliby go na resztę życia do Joliet, gdzie nie mógłby już skrzywdzić nikogo, chyba że innych kryminalistów albo siebie. Myślałam, żeby się od niego odciąć, wyemigrować do Pekinu, albo chociaż do Boise. Ale nie mogę przecież uciec przed świadomością, że to mój naturalny ojciec, Harry, mój ojciec! Pochodzę z jego lędźwi, używając biblijnego sformułowania, jestem jego córką i nawet, jeśli miałabym być winna zmyślenia i współudziału we wszystkich tych okropnych rzeczach, które zrobił, to nie mogę go wysłać do więzienia i nie mogę go odrzucić, bo go kocham, a on kocha mnie.

Hairy sączył wino w zamyśleniu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że kochasz człowieka, który trzyma tysiące ludzi w warunkach, w których ani ty, ani ja nie chcielibyśmy nawet hodować ślimaków? Mam rację?

Marcella spuściła wzrok na diamenty i szafiry w pierścionkach na swoich nieskazitelnie zadbanych dłoniach.

– Tak. Nie zaprzeczam. Widziałam te slumsy.

Rozmawiali tak jeszcze przez ponad godzinę o skomplikowanej moralności jej rodziny, bez wykrętów czy zdawkowych odpowiedzi, zupełnie szczerze. Teraz, za sześć szóstą, Harry miał wrażenie, że ma jako takie pojęcie o tym, co popchnęło Enza Vespucci do takiego, a nie innego postępowania, do zagarniania wszystkiego, co się dało, bez względu na konsekwencje. Przyprawiało to Harry'ego o dreszcz, a mogło odebrać umocenie każdemu, pozostawiając posmak krwi. Pomogło to jednak Harry'emu poznać naturę człowieka, którego życie i oparte na korupcji działania zamierzał zniszczyć.

Poszedł za Marcella do kuchni. Otworzyła ogromną zamrażarkę.

– Są jajka, bekon i zimne spaghetti.

– Wystarczy trochę kawy – odpowiedział. Uniósł lekko żaluzję i popatrzył na światła w Parku Lincoln. Potem obrócił się do Marcelli i uśmiechnął. – Samej kawy.

– Co zamierzasz w sprawie artykułu o pożarze? – zapytała. Harry wepchnął ręce do kieszeni.

– Niewiele mogę. Jestem tylko pionkiem. Kierownictwo kazało mi trzymać się od tego z daleka. Rozumiesz, nie tylko mój szef, ale sama „góra” też. Wnioskuje z tego, że wydział prawny przekonał Croft Tate'a, że jeśli spróbuje wmieszać twojego starego w sprawę z podpaleniem jego własnych slumsów, to wytoczy nam proces, i to na niemałą sumkę.

Marcella otworzyła gliniany słoik do kawy.

– Zastanawiałeś się może kiedyś, dlaczego Howard Croft Tate się tym przejmuje?

Harry zmrużył oczy i przyjrzał się jej uważnie.

– Czyżby ktoś tu wiedział więcej, niż mówi?

– Jesteś za ostry, Harry Sharpe. Kiedyś się na tym przejedziesz. – Nastawiła wodę. – Myślałam, że twoja gazeta nie boi się nikogo. Czemu twoi szefowie mieliby się tak bać, że obrażą mojego ojca? Przecież wiesz, kim jest. Myślisz, że jego słowo mogłoby przeważać w sądzie słowo takich uczciwych i nieustraszonych ludzi? Miałby wygrać z waszą gazetą?

Harry przygładził sobie włosy. Nie odpowiedział. Marcella wyjęła dwie filiżanki z półki.

– Powinieneś także sobie zadawać pytania, tak jak zadajesz je innym.

– Na przykład jakie?

– Na przykład takie: „Czy ta pani mi pomoże? Czy nie szuka sposobu, żeby ukarać swojego ojca bez zaangażowania się w to osobiście?”

Harry sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął zmiętą paczkę lucky strike'ów. Wysunął jednego do połowy i wyciągnął rękę w jej stronę, ale potrząsnęła głową.

– Chyba nawet, nie zdając sobie z tego sprawy, już od dłuższego czasu czekałam na kogoś takiego jak ty – powiedziała. – Kogoś niegłupiego, szczerego i odpornego na bzdury wszelkiego rodzaju. Może jestem tchórzem. Ale jak powiedziałaś, że chcesz się dobrać mojemu ojcu do skóry, zobaczyłam w twoich oczach błysk, który mnie przekonał, że wierzysz w to, co mówisz.

Zawahała się, a potem dodała:

– Kocham go, ale ktoś musi wreszcie powiedzieć „dość”. Zapalił papierosa, obserwując ją w milczeniu. Marcella mówiła dalej:

– Ja sama nie mogę go ruszyć. Język odpowiedni dla córki gangstera, nie? „Ruszyć go”. Ale dobrze, powiem ci, co mogę zrobić. Mogę ci powiedzieć, kto podpalił ten dom na Trzydziestej Pierwszej Ulicy. Słyszałam, jak ojciec rozmawiał tym przez telefon, kiedy byliśmy na torze. „Nie zapomnij spłacić Medilla”, tak powiedział.

– Słyszałaś to? – zapytał Harry. – Skąd wiesz, że chodziło o pożar?

Starał się zachować wygląd człowieka spokojnego i obojętnego, ale serce waliło mu jak młot.

– Po prostu wiem. Musisz mi uwierzyć na słowo.

– Masz może pojęcie, kim jest ten Medill?

– Nie, ale myślę, że pracuje gdzieś w urzędzie miejskim. Ojciec mówił kiedyś o jakimś przecieku w ratuszu. Nic więcej nie słyszałam.

Harry spoważniał.

– Rozumiesz chyba, że jak dowiem się, kim jest ten Medill, i udowodnię, że to on podpalił, a twój ojciec go do tego wynajął, to twój ojciec może dostać odsiadkę? Nie za długą, jeśli jego adwokaci są do rzeczy, ale zawsze jakąś?

Marcella stała, nic nie mówiąc. Była piękną dziewczyną. Jej ojciec wyglądał jak sprzedajny ksiądz, ale ona miała urodę ciemnowłosej świętej.

– Nazywa się Medill – powtórzyła szeptem. – Tyle mogę ci powiedzieć, bo tyle wiem.

– Okay – odpowiedział, rozglądając się za czymś, do czego mógłby strzepnąć papierosa. – Napijmy się tej kawy, dobrze?

Siedzieli razem w salonie, bardzo blisko siebie, nic nie mówiąc. Za oknem stopniowo rozjaśniało się, był już poniedziałek rano. Harry wypił kawę, wypalił papierosa i zaczął się zastanawiać, co dalej.

– Przysporzyłam ci zmartwień? – zapytała Marcella. Jej twarz była mlecznobiała, miała ciemne kręgi pod oczami.

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiedział. – Ostatnio trzeba czegoś naprawdę poważnego, żebym się naprawdę zmartwił. Martwię się, jak zgubię dziesięć dolarów w Parku Waszyngtona, martwię się, jak matka mi mówi, że chudnę. Ale to nie są poważne sprawy. Poza tym, nie jestem teraz w nikim zakochany. Miłość to jedna z tych rzeczy, które powodują mnóstwo zmartwień. Weź na przykład takiego *Romea i Julię* – o cóż tam do diabła chodziło? O dwoje ludzi osaczonych przez problemy. Myślę, że miłość i zmartwienia to dwie strony tego samego medalu. Jedyna różnica między nimi polega na tym, że od samego martwienia się nie ma dzieci. Chociaż, jak się ostatnio martwiłem, że nie dostanę pracy, to omal nie zniosłem jaja.

Dokładnie, kiedy wymawiał słowo „dzieci”, z sąsiedniego pokoju dało się słyszeć charakterystyczne zachłyśnięcie się i zaraz potem ochryply płacz dziecka. Harry dokończył zdanie szeptem, ostatnie słowa były już tylko bezgłośnym poruszaniem ustami. Spojrzał na Marcellę.

– To jest dziecko. Powiedziałem „dzieci” i powiedziałem „nie ma się dzieci” – i co się stało?

Marcella uśmiechnęła się.

– Pozwól, że go przyniosę. – Nieoczekiwanie pocałowała Harry’ego w policzek i poszła do sypialni. Wróciła z dziesięciomiesięcznym chłopczykiem, który na widok Harry’ego zamrugał oczkami, zmarszczył brwi i natychmiast schował główkę w ramieniu mamy. Miał na sobie bładoniebieski kubraczek z dopinanym kapturkiem i słonikami na kołnierzyku. Jego włoski unosiły się wokół główki jak delikatna wstęga ciemnego dymu.

– To jest Eduardo – powiedziała i pogładziła małą główkę. – Chyba chce, żeby go przewinąć.

– Jest twój? – zapytał.

– Pierwszy i jedyny. Matka mówiła, że to zbrodnia go zatrzymywać, że powinnam go oddać do adopcji. Ale spójrz tylko na niego. Jak można go oddać?

– Tutaj, daj go tutaj – powiedział Harry i Marcella podała mu dziecko. Posadził je sobie na kolanie i zaczął bujać, w górę i w dół. Eduardo przyglądał mu się ze śmiertelną powagą, charakterystyczną dla wystraszonych maluchów.

– A co myśli o nim dziadek? – zapytał Harry. – No, chodź tu, przyjacielu. Dwidzi, dwidzi, dwidzi.

– Dziadek go rozpieszca. Biedny Eduardo, mieć takiego dziadka. No i biedna ja, mam



takiego ojca.

Nagle usteczka Eduarda wykrzywiły się w półksiężyc i mały wybuchnął płaczem. Marcella musiała go odebrać.

– Jeszcze się do mnie nie przyzwyczaił – powiedział Harry.

Z Eduardem przy biodrze, Marcella podeszła do okna i pociągnęła za sznureczek przy żaluzjach. Na zewnątrz niebo nasiąknęło już specyficznym błękitem poranka. Na ulicach w dole królowała atmosfera melancholii pomieszanej z oczekiwaniem. Ludzie idący do pracy, pojedyncze samochody, bezgłośnie mrugające migaczami.

– Myślisz, że Bóg mi wybaczy? – zapytała, odwracając się i patrząc Harry’emu prosto w oczy. – Że ci powiedziałam o Medillu?

Harry wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie wiem, gdzie się zaczyna „czcij ojca swego i matkę swoją”, a gdzie się kończy. – Podeszedł do Marcelli i podał Eduardo mały palec. – Widujesz jego ojca?

– Od czasu do czasu, ostatnio rzadziej.

– Nie mów, że nie jest z niego dumny. Marcella wzruszyła ramionami.

– Jego ojciec ma swoje życie. Płaci na jego utrzymanie i przysyła mu prezenty, ale rzadko go odwiedza.

Harry pochylił się i lekko nacisnął nosek chłopca.

– Nie martw się, mały, jeszcze cię odwiedzę. Chcesz się nauczyć grać w baseball? Masz tu przed sobą najlepszego miotacza w historii Roseland. Jak się nauczysz chodzić, wezmę cię na Soldier’s Field na mały trening.

– Zadzwonisz do mnie, jak znajdziesz Medilla? – zapytała. – I proszę, nie mów nikomu, skąd się dowiedziałeś. Mój ojciec to bardzo mściwy człowiek.

Pocałował ją w policzek. Miała bardzo delikatną skórę i pachniała jakimiś pizmowymi perfumami, których nie potrafił zidentyfikować.

– Słuchaj, Marcella, pozwól, że ci coś wyjaśnię. Chcę, żeby ktoś wreszcie utarł nosa twojemu ojcu, bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Tak samo, jak chcę, żeby wreszcie zburzyli te slumsy. Ale jeśli jest choćby najmniejsze ryzyko, że coś ci się może stać...

– Nie ma, o ile nie wspomnisz nigdzie mojego imienia. Już najwyższy czas, Harry. Jeśli nie zrobię tego teraz, nie zrobię tego nigdy.

– I tak mam ochotę zapomnieć, że wymieniłaś to nazwisko. I to, wierz mi, wbrew mojej naturze.

Marcella położyła otwartą dłoń na jego piersi. Spojrzenie, którym go obdarzyła, miało w sobie tyle treści, że trudno byłoby zinterpretować je na jeden określony sposób. Troska, determinacja, ale też uczucie. Nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, ale wiedział, że coś się między nimi zawiązało już podczas pierwszego spotkania

– Chciałbym się z tobą jeszcze zobaczyć – powiedział.

– Zobaczymy się – zapewniła go. – Zadzwoń.

Harry wyszedł z bloku i poszedł do swojego woody’ego zaparkowanego na North Deaborn. Szyby zaparowały od porannej wilgoci i ktoś ukradł ostatnią osłonę z felgi. Wsiadł i ruszył pociętymi słońcem ulicami do swojego mieszkania na Ashland Avenue, dwie przecznice na północ od redakcji „Daily Zgoda” – polskojęzycznego dziennika, w którym zaczynał. Miał tam swoją pierwszą rubrykę, zbiór wiadomości i plotek pod tytułem *Towarzyska Pogawędka*.

Mieszkał na strychu czteropiętrowego domu z czerwonej cegły, należącego do wdowy polskiego pochodzenia o nazwisku Nina Czerwonka. Była to mała i otyła starsza pani, która ubierała się zawsze na matowoczarny kolor i wymagała od swoich lokatorów (którzy byli wszyscy samotnymi mężczyznami, a każdy z nich był samotny na swój własny sposób), żeby mówili do niej per „matka” i całowali ją w policzek (ten z brodawką) co rano przed wyjściem do pracy.

Harry wszedł kamiennymi schodami od frontu i pchnął drzwi. Było przed piątą i wszyscy jeszcze spali. Podłoga w hallu wyłożona była nakrapianym linoleum, a ściany oklejone tapetą w brązowe kwiaty. Z półpiętra biło zielonożółte światło przefiltrowanego przez witraż słońca. Wszędzie czuć było silny zapach Fels-Napthy i tłuszczu salami.

Harry, najciszej jak potrafił, wszedł na ostatnie piętro i otworzył brązowe drzwi do swoich pokoi. W obszernym salonie stała ogromna staromodna szafa w stylu znanym kiedyś jako Roman Davenport. Ruchoma poręcz powinna być opuszczona przy rozkładaniu, ale opuszczano ją już tyle razy, że tak została. W narożniku stała przenośna maszyna do pisania. To na niej próbował kiedyś napisać powieść o polskich emigrantach w Chicago w XX wieku. Na podłodze leżał wypłowiały i wytarty dywan, a na ścianach wisiały litografie z cyklu *Amerykańskie sceny farmerskie* – mężczyźni o srogich twarzach i pracujące z samozaparciem kobiety.

Harry wszedł do wąskiej kuchni, otworzył małą lodówkę i wyjął butelkę soku pomarańczowego. Pociągnął trzy łyki i włożył ją z powrotem.

Przeszedł do sypialni. Była kwadratowa i mała, w sam raz dla nakrytego pikowaną niebieską narzutą tapczanu i dębowej szafki na ubrania. Opał ciężko na łóżko i rozebrał się ze znużeniem. Zwinał zapoconą koszulę w kłębek i poszedł nago do kuchni, gdzie umył się letnią wodą i mydłem Ivory. Ubrał się i ogolił przed lustrem kuchennej szafki żyletką, którą powinien był zmienić jakieś dwa tygodnie temu.

Zapukała pani Czerwonka.

– Harry! Czy to ty, Harry?

Otworzył drzwi, zawiązując jedną ręką krawat. Pani Czerwonka natychmiast przejęła ster i sama go zawiązała jak należy. Na koniec pociągnęła z lewa w prawo, żeby dobrze leżał.

– Już pięć razy dzwonili z gazety – zbeształa go. – A ty gdzie jesteś całą noc? Jak mam

o ciebie zadbać, jak tu nie mieszkasz? Płacisz, to mieszkaj, mieszkanie jest twoje. Kto inny wziąłby trzy razy tyle. Chcesz śniadanie?

– Dziękuję matko, zjem u Irvinga. Muszę być zaraz w biurze.

– Racja! Dzwonili z pięć razy! Pan McLintock! Tak się denerwuję, mówi, gdzie się ten chłopak podziewa? Skąd mam wiedzieć, ja mu na to, och!

Harty przeczesał włosy szczotką, narzucił płaszcz i wyszedł z domu. Było dziesięć po piątej. Pan Pincus otwierał właśnie swoje stoisko z gazetami na rogu Ashland i Milwaukee, więc Harry kupił paczkę lucky strike'ów i „Star”.

To dlatego Gordon tak wydzwaniał. *PORAŁ DWA KOBIECY NA KAWAŁKI* – a on przez ten cały czas siedział u Marcelli i spędzał mile czas na filozoficznych pogawędkach i kawie.

– Kobiety już nie są bezpieczne – powiedziała pani Dzuba. Przechodziła tędy codziennie wczesnym rankiem w tym swoim kapeluszu z postrzępionymi piórami. Była sprzątaczką w Alliance Printers.

– Nigdy nie były – powiedział pan Pincus ponuro.

Harry ruszył, poprzez zygzak chicagowskich ulic, do redakcji. Jechał przez Division Street i Wacker Drive. Na moście oślepił go na chwilę refleks słońca na wodzie. Spojrzał na leżącą na sąsiednim siedzeniu gazetę. Więc Rzeźnik znowu uderzył, a on to przepuścił. Ale jeśli uda mu się znaleźć podpalacza, który spalił ten dom czynszowy na Trzydziestej Pierwszej, to powinien odkupić z nawiązką to przewinienie. Szczególnie w oczach Granta. Wiedział, jak staremu zależy, żeby się wreszcie dobrać do Enza Vespucci i rozwiązać problem slumsów.

Biura „Star” były jeszcze puste, kiedy się tam pojawił. Zrobił sobie herbatę i przeczytał poranne wydanie od deski do deski. Przyszedł posłaniec Dundas. Był wyraźnie błądy i zmęczony. Usadowił się na skraju jednego z biurek i zaczął monotonicznie brzdąkać na „żydowskiej harfie” – elastycznej nitce, którą przygryzł u jednego końca zębami.

Harry, z nogami na biurku, spowity w obłok dymu papierosa, zapytał niedbale:

– Kiedy masz przesłuchanie z orkiestrą symfoniczną?

O dziewiątej, kiedy zaczęto urzędowanie w ratuszu, Harry podniósł słuchawkę telefonu. Na początku zadzwonił do Judy Maloney, sekretarki w kadrach, z którą był kiedyś na randce (baseball, pizza i zero seksu). Wahala się, ale w końcu perspektywa obiadu we włoskiej restauracji przekonała ją, żeby jednak poszukać nazwiska Medill w aktach.

Oddzwoniła po godzinie, mówiąc, że miasto Chicago nie zatrudnia nikogo o takim nazwisku już od jakichś sześćdziesięciu lat.

– Jesteś pewien, że dobrze podałeś nazwisko? – zapytała cierpko.

– Medill, M-e-d-i-l-l. Przyjadę po ciebie w środę o siódmej. Lubisz kalamari?

– Lubię wszystkie rodzaje sera.

– Ciesz się mnie to, ale kalamari to kałamarnica.

Harry sięgnął po książkę telefoniczną. W Chicago i najbliższej okolicy mieszkało dziewięciu Medillów, dwóch Medallów i jeden Medil. Zadzwoił do wszystkich. Pan Medil zmarł na początku marca. Medallowie byli krawcami, a oprócz tego jeden ojcem, a drugi jego synem. Spośród dziewięciu Medillów sześciu podniosło słuchawkę i żaden nigdy nie pracował w urzędzie miejskim.

To pozostawiało jeszcze trzech panów Medill do sprawdzenia.

Harry pojechał na Weed Street, gdzie mieszkał pan R. Medill. Sąsiad z trzeciego piętra wychylił się z okna i krzyknął, że Bob Medill rzucił żonę i wyjechał do Madison w Wisconsin, i że naprawdę nie można mieć mu tego za złe.

Potem pojechał na East Cullerton Street w Południowej Dzielnicy, gdzie mieszkał pan K. Medill, jak się okazało właściciel sklepu z dywanami, który prawie przekonał Harry'ego do kupna brązowego dywanu ze Smyrny z wzorem psa.

W końcu Harry pojechał na South Indiana Avenue, kiedyś jedną z najmodniejszych i najdroższych ulic Chicago, teraz z obłazący – mi tynkami, zniszczoną i zatłoczoną parkującymi samochodami, wózkami dostawczymi i wszelkiego rodzaju śmieciem. Takie były skutki pojawienia się kolorowych lokatorów w sąsiedztwie.

To był ostatni Medill z książki telefonicznej. Harry miał irracjonalne, ale silne przeczucie, że to będzie ten człowiek. Zaparkował za zdezelowanym fordem pick-upem na podziurawionych oponach i przeszedł chodnikiem do dużego starego budynku z czerwonej cegły z tablicą „POKOJE DO WYNAJĘCIA”. Kiedy był już przy drzwiach, te otworzyły się i wyszedł z nich szczupły mężczyzna z lekkim wąsem i ulizanymi włosami, który przewracał właśnie kieszenie w poszukiwaniu klucza, drobnych, czy jakiegokolwiek innej rzeczy, której zapomniał.

– Czy mieszka tu pan P. Medill? – zapytał Harry.

Młody mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na niego uważnie.

– P. Medill to ja – odpowiedział z chrapliwym akcentem z Południowej Dzielnicy. – A kto mnie szuka?

– Panie Medill, jestem ze „Star”. Już od trzech dni poszukuję w Chicago wszystkich osób o nazwisku Medill, ponieważ pan Horace Medill, milioner z branży mięsnej, zmarł w zeszłym tygodniu, zostawiając po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów dla każdego ze swoich dalekich krewnych. To niesamowita historia i wspianiała okazja, może pan stać się bogaty...

Mężczyzna zmierzył Harry'ego podejrzliwie od stóp do głów.

– Pan wie, kim był Horace Medill? – zapytał Harry, naprowadzając go na odpowiedź.

– Cóż... oczywiście – odpowiedział młody mężczyzna. – Nie przypominam sobie, żebym go kiedykolwiek spotkał, ale wiem, kto to taki.

– To wspianiałe – Harry wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Wszystko, czego mi trzeba, to nazwisko panińskie pana matki.

– Frankel – odpowiedział mężczyzna. Harry zapisał je, jak coś bardzo ważnego.

– Oraz... jaki jest pański zawód, panie Medill?

– Jestem strażakiem, a co?

– Ach, jest pan strażakiem, to ciekawe. W jakiej pan jest kompanii?

– W dwudziestej dziewiątej, a co, to też pan musisz wiedzieć?

– Och, nie musimy się za bardzo przejmować szczegółami, panie Medill. Gdyby tylko pan mógł mi podać swoje imiona, to dość ważne, jeśli jest pan jednym z tych krewnych, których szukamy.

– Poważnie – zapytał Medill, oblizując wargi i robiąc krok naprzód. – Mógłbym dostać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

– To zależy, czy jest pan tym, kogo szukam – uśmiechnął się Harry.

– No... moje imiona to Peter Axelrod.

– Ookay – powiedział Harry, zamknął notes i schował go do kieszeni. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby pan pozostał w mieście przez dzień lub dwa, musimy sprawdzić pana dane i upewnić się, że jest pan uprawniony do swojej części milionów Medilla. Zjawię się u pana, jak tylko wszystko będzie podpisane, podbite i dostarczone.

Medill złapał rękę Harry'ego i zamasyżuje ją potrzęsając.

– To dopiero! To dopiero! Ale, niech no tylko chłopaki się dowiedzą!

Harry uniósł wskazujący palec w geście przestrogi.

– Wolałbym, żeby pan to zachował dla siebie, a przynajmniej do czasu, kiedy pan otrzyma list z potwierdzeniem. Widzi pan, zdarza się tylu oszustów, ludzi podających się za Medillów, którzy są w rzeczywistości Brownami, Gassmanami albo Hackenbushami. Z pewnością nie chciałby pan narażać na szwank swojego spadku, prawda?

– Nie, proszę pana. Oczywiście. Spokojna głowa, będę trzymał gębę na kłódkę. Ale nie czekaj pan za długo z tym przyjściem, dobra? Jeśli to moja forsa, te dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, to chcę ją mieć szybko!

– Oczywiście – uśmiechnął się Harry.

W drodze do redakcji ćwiczył w kółko szorstki, nosowy akcent Medilla.

– Jestym straszakiem. Tho thysz pan musisz wiehdzieć?

Stał na światłach i powtarzał:

– Jestym straszakiem, jestym straszakiem...

Aż kierowca z samochodu obok wychylił się i zawołał:

– Ej, zapomniałeś węża!

W redakcji czekała na niego wiadomość od Busbye'go. Chciał się z nim zobaczyć. Harry jednak najpierw podniósł słuchawkę telefonu, włączył magnetofon i wykrecił numer straży pożarnej. Poprosił Bryana.

Czekał. Słyszał w tle wyraźny śmiech Bryana. W końcu Bryan podniósł słuchawkę.

– Bryan. Kto mówi?

Serce Harry'ego ścisnęło się, jak drapieżny anemon morski, kiedy złapie ofiarę.

– Peter Medill, szefie.

– Medill? Czego, do diabła, chcesz? Po co dzwonicz?

– Naczelniku, coś przeciekło. Chyba ktoś sypnął. Nawinał się wczoraj wieczorem w barze jeden gość i mówi, że słyszał, że podpalam za forszę. Chce, żebym coś spalił na Cottage Grove Avenue.

Bryan mało nie dostał apopleksji z wściekłości.

– Słuchaj, Medill, dostałeś swoją działkę za to podpalenie na Trzydziestej Pierwszej i skończ już z tym, rozumiesz? Nieważne, ile ci dają, nie rób tego.

– Ale, szefie, on daje dwa razy tyle, ile Vespucci – powiedział Harry. – Moglibyśmy się podzielić.

Głos Bryana zabrzmiał podejrziwie.

– Skąd wiesz, że to Vespucci zapłacił?

– Ja mieszkam w tej dzielnicy i tu pracuję. Przy South Normal wszystko jest Vespucciego, z wyjątkiem kiosków na gazety. Któż inny zapłaciłby za spalenie rudery Vespucciego, jak nie on sam?

Bryan milczał przez chwilę. Potem zapytał.

– Czy to Peter Medill? Masz jakiś inny głos.

– Przeziębłem się. Wie pan, jak to jest być strażakiem. W jednej chwili ci gorąco, a w drugiej zamarzasz.

– To nie Peter Medill! Kto ty, kurwa, jesteś? Harry zrezygnował z akcentu z południowej dzielnicy.

– Mówi Harry Sharpe, z chicagowskiej „Star”. Wszystko, co pan powiedział, zostało nagrane i zamierzam użyć każdego pańskiego słowa w gazecie. Czy ma pan coś do dodania?

Bryan trzasnął słuchawką bez słowa. Harry przewinał taśmę i włączył od początku. Głos Bryana był głośny i wyraźny. I bez wątpienia był to jego głos.

Harry wykręcił numer Marcelli. Była zaspana.

– Marcella? Tu Harry Sharpe. Znalazłem Medilla.

– Szybko!

– Znalazłem go w książce telefonicznej, to wszystko. Nic trudnego. Co więcej, mam wszystkie dowody na jego powiązania z Bryanem i na powiązania Bryana, sama wiesz z kim.

Marcella milczała przez chwilę, potem powiedziała:

– Boże, boję się.

– Nie ma czego. Nie jesteś w to zamieszana. W ogóle. Jak to damy w gazecie, twój ojciec

przyśle ze dwustu adwokatów tutaj, a drugie tyle na policję i cała sprawa skończy się dla niego upomnieniem od prokuratora okręgowego, oczywiście nie za ostrym. Ale to nam da środki, żeby wesprzeć burmistrza Doyle'a i osłabić pozycję twojego ojca w sprawie slumsów.

– Cieszę się – powiedziała bardzo cicho Marcella.

– Słuchaj, muszę już kończyć. Mam mnóstwo roboty. Ale może moglibyśmy się spotkać dzisiaj wieczorem?

– Chętnie – odpowiedziała. – O siódmej. Przyjdź tutaj. Zostawiłeś kapelusz, Eduardo zrobił z niego mokrą papkę.

– Przynajmniej wiesz już, co lubi.

Odłożył słuchawkę. Potem znowu ją poniósł. Wykręcił numer Woozy'ego. Tak go rozpiekało, że nie mógł nad sobą zapanować.

– Woozy? Przytaszcz tu swój tyłek. Właśnie dokonujemy aresztowania pewnego obywatela\* [\*citizen's arrest – (prawdopodobnie pozostałość z czasów pionierskich, kiedy było niewielu urzędników państwowych) prawo każdego obywatela USA do dokonania aresztowania na drugim, co do którego ma dowody na popełnienie przestępstwa]. *Reporter „Star” aresztuje opłacanego przez mafię podpalacza.* Tak, właśnie tak. I weź ze sobą ten kij do baseballa, który ci dali w Kanadzie. Facet nie wygląda zbyt groźnie, ale nigdy nie wiadomo, jaki wypierdek ci rypnie.

Nadszedł Grant Clifford, krocząc dostojnie między biurkami. Starannie ogolony, w szarym letnim garniturze i takiegoż koloru jedwabnym krawacie.

– O, Harry. Gdzież to się podziewałeś zeszłej nocy? Przydałbyś się tu.

– Tak, wiem – przytaknął Harry. – Dostałem pilne wezwanie. Labrador mojej matki się oszczenił. Wie pan, jak to jest.

– Labrador twojej matki się oszczenił? – zapytał Grant z niedowierzającym uśmiechem.

– To poważna sprawa. – Harry skinął w stronę gazety na swoim biurku. – Chce pan, żebym się w to włączył?

– A nad czym teraz pracujesz?

Harry sięgnął do kieszeni koszuli po papierosa i wzruszył ramionami.

– Coś szykujesz – uśmiechnął się Grant. – Powiesz mi teraz, czy chcesz mnie wziąć z zaskoczenia?

Grant wręcz wymagał od reporterów, żeby byli wścibscy i sami szukali tematów. Uważał jednak pełne i porządne opracowanie wydarzeń dnia za święte. Grant wiedział i Harry wiedział, że Sharpe ma dzisiaj pojechać na Kedzie Avenue i zrobić wywiad z siedmioma uczennicami, które wygrały zawody stanowe w stepowaniu. Harry mógł poprosić Granta, żeby go zdjął z tej sprawy, ale wtedy musiałby powiedzieć, nad czym pracuje. A chciał przynieść tę sprawę dopiętą na ostatni guzik i przewiązaną wstążeczką, jak paczkę z niespodzianką.

– To tylko pewne poszlaki – powiedział Harry.

– Dotyczące...?

– No... korupcji, jak sądzę.

– Korupcji? – dopytywał się Grant.

Harry spojrzał na niego błagalnie. „Proszę, czy chociaż raz mogę coś zrobić i nie mówić co?” Doskonale wiedział, że Grant nigdy by się nie zgodził na żadną awanturę z aresztowaniem. Kiedy chodziło o prawo, robił wszystko zgodnie z kodeksem, a ten przewidywał, że znalezienie przestępcy należy do kompetencji policji. Grant jadł co miesiąc lunch ze Spectorskim w Chicago Press Club dla, jak się to ładnie nazywało, usprawnienia współpracy między policją i prasą. Atmosfera tych spotkań bywała naprawdę niezręczna, kiedy dochodziło do wyjaśnień, czemu dziennikarze bawią się w policjantów i złodziei.

– Dobrze – powiedział Grant, patrząc na swój kieszonkowy zegarek marki *Chicago and North Shore*. – Tylko masz tu być koło trzeciej. Mamy konferencję generalną o Rzeźniku. I oczywiście zajmij się tym artykułem o stepowaniu.

– Tak jest – powiedział Harty.

– Uważaj – dodał Grant. – Nie wpakuj się w jakieś kłopoty. Pamiętasz tę sprawę z podrabianym kawiozem?

Wyglądało na to, że Harry jest już należycie utemperowany.

– Tak jest, pamiętam.



Morgana jeszcze spała, kiedy o jedenastej do drzwi zapukała delikatnie Eleonora. Weszła do środka. Śniadanie leżało nietknięte na wiklinowej tacy, gazeta też nie była jeszcze ruszona. Biała róża, którą Millicent przyniosła z ogrodu i włożyła do małego dzbanka z Lalique zaczęła już opadać. Zasłony były zaciągnięte, nie dopuszczając porannego słońca.

– Mogę wejść? – zapytała miękko.

Morgana otworzyła oczy i spojrzała na nią półprzytomnie. Miała na sobie koszulę nocną, uszytą specjalnie dla niej przez Omara Kiama, a jej ciemne włosy ułożyły się na poduszce jak włosy Ofelii na wodach rzeki. Była blada i czuła się słabo. Nie spała tej nocy więcej niż dwie godziny.

Eleonora podniosła tacę ze śniadaniem i położyła ją na sekretarzyku. Potem wróciła do łóżka i, łamiąc zasady swojej surowej osobistej etykiety, usiadła na jego brzegu. Wzięła rękę Morgany w swoją.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Kiepsko. Nie najlepiej spałam.

Eleonora spojrzała na stolik przy wezglowiu. Zobaczyła pierścionek zaręczynowy i diamentową gwiazdę Morgany. Powiedziała, ze współczuciem, ale stanowczo:

– Phoebe przyszła do mnie wczoraj wieczorem. Powiedziała mi, co się stało. Była załamana.

Morgana skinęła głową.

– Wyobrażam sobie. Nie codziennie bywa się nakrytym in flagranti z narzeczonym siostry i to w czterdzieści osiem godzin po ich zaręczynach.

– To nie był pierwszy raz. Phoebe... cóż, była ze mną zupełnie szczerą. Opowiedziała mi wszystko.

– Powinam cię była posłuchać, prawda, mamciu? Ostrzegałaś mnie, że to będzie wielka romantyczna katastrofa. Tak samo Oskar Hammerstein. Zdaje się, że wszyscy wiedzieli, jaki z niego szuja, z wyjątkiem mnie.

– Teraz martwię się tylko o to, moja droga, żeby nasza rodzina zupełnie się nie rozpadła.

Morgana zmierzyła matkę wzrokiem.

– Z twojej strony to duży tupet, mamciu, nie sądzisz?

Eleonora wciągnęła głęboko powietrze.

– To, co zdarzyło się między mną a Robertem Wentworthem, należy już do przeszłości.

– Oczywiście, szczególnie dla niego.

– Chciałam powiedzieć, że tego żałuję i że to się nigdy nie powtórzy. Powiedziałam to twojemu ojcu.

– Uwierzył? Eleonora spuściła wzrok.

– Nie wiem. Leci dziś po południu do Los Angeles. Mówi, że musi to przemyśleć.

– Wie o Phoebe i Johnie?

– Jeszcze nie. Sądzę, że dość się już nacierpiał. W zasadzie przyszedł tu między innymi dlatego, żeby cię prosić, żebyś nic na razie nie mówiła. Nie ze względu na Phoebe albo na mnie, ale ze względu na niego. Skrzywdziłam go, wiem, ale bardzo chcę, żebyśmy zostali razem. I jeśli on się o tym dowie, to cóż, może pomyśleć, że życie z wszystkimi tymi wszetecznymi kobietami to dla niego za dużo.

Morgana popatrzyła na matkę zimno. Jeszcze nigdy przedtem nie czuła do niej takiego chłodu.

– Poprawka – powiedziała. – Nie wszystkimi tymi wszetecznymi kobietami. „Wszystkie” sugeruje trzy albo więcej. Zapytaj Granta, jeśli masz wątpliwości co do gramatyki. A w tym domu są tylko dwie zepsute kobiety.

Eleonora zamilkła na dłuższą chwilę, potem spojrzała na okno.

– Czy mogę rozsunąć zasłony? Mamy taki piękny dzień.

Morgana nie odpowiedziała, więc wstała i rozsunęła je. Sypialnia wypełniła się jasnym i ciepłym światłem słońca. Morgana podniosła się na poduszkach i sięgnęła po szczotkę do włosów.

– Jak długo tata nie będzie? – zapytała.

– Nie jestem pewna. Około tygodnia.

– Trudno mieć mu to za złe. Sama chętnie bym wyjechała.

– Mogłabyś. Nasz dom w Sarasocie jest już otwarty. Morgana potrząsnęła głową.

– Mam w biurze kilka rzeczy do zrobienia. I jestem dzisiaj umówiona na lunch z Grantem.

– Ale z całą pewnością...

– Nigdzie nie pojedę, mamciu. Nie dam się przegonić z własnego domu i od własnych spraw matce, która nie umie dochować wierności mojemu ojcu, i siostrze, która nie umie trzymać się z daleka od moich chłopców. Pamiętasz George Phelps? I to, jak rozprawiła się z Lennie Ross!

Eleonora stała tyłem do okna, pod światło słońca. Wyglądała smutno, ale pięknie. Miała dziś upięte włosy. Założyła jedwabistą suknię z szerokim stanem od Pauline Trigere, a do niej broszkę w kształcie listka miesięcznicy. Głosem gładkim jak wypolerowana kość słoniowa powiedziała:

– Masz prawo być zła. Mam tylko nadzieję, że tobie nie przytrafi się nigdy nic podobnego. Łatwo być surowym, kiedy jest się młodym, ma się powodzenie i pieniądze na wszystko, czego się potrzebuje albo będzie kiedykolwiek potrzebować. Ale dla większości ludzi życie wygląda zupełnie inaczej. Wysłałam za twojego ojca dla jego stylu i bogactwa. Byłam chyba czymś w rodzaju poszukiwacza złota. Ale niecałe trzy lata małżeństwa uświadomiły mi, że wpływowi i bogaci mężczyźni są najgorszymi mężami i najbardziej niezdarnymi kochankami, a także to, że

jak spotkają kogoś, kogo nie można kupić ani zastraszyć, to tracą cały animusz. Zresztą nie tylko, czasem są jeszcze wściekli, a czasem mściwi. Sądzę, że tylko dlatego ostrzegłam cię przed Johnem. Nie dlatego, żebym go nie lubiła. I nie dlatego, żebym uważała, że nie jest dość przystojny, czy atrakcyjny, czy uprzejmy, bo jest. Ale dlatego, że ty jesteś inna, Morgano. Ty masz w sobie coś, co ci pozwoli wybić się kiedyś ponad nas wszystkich.

– Więc o co ci chodzi? – krzyknęła Morgana, rozpalona wściekłością i frustracją. – Czy mam oddać Johna Phoebe? Mam oddać siostrze narzeczonego, jak nie chciany prezent urodzinowy?

Eleonora podniosła ze stolika pierścioneł i diamentową gwiazdę.

– Już to zrobiłaś.

Morgana spojrzała na matkę i zrozumiała, że prawdopodobnie ma rację. Wychowano ją tak, żeby brała wszystko, co najlepsze. A John po tym jak przespał się z Phoebe, już taki nie był. Jak na ironię, będzie ukarany za swoją niewierność podwójnie: teraz nie chciała go już Morgana ani Phoebe.

– Mamciu? – zapytała Morgana cicho. – Czy myślisz, że się z tym kiedykolwiek uporamy?

– Ty tak – odpowiedziała Eleonora.

– A ty?

– Nie wiem. To zależy od tego, czy twój ojciec będzie umiał przyjąć serce, które ciągle do niego należy, ale nosi na sobie ślady tego, że kiedyś na krótko należało do kogoś innego.

Eleonora zamilkła na chwilę. Potem uśmiechnęła się do siebie i suchymi wargami pocałowała Morgane w czoło.

– Wiesz, co powiedział kiedyś James Thurber? „Kłaniać się za nisko to jak upaść na twarz”. Zobaczmy się później. Zostajesz w domu na lunch?

– Umówiłam się z Grantem w mieście.

– Porozmawiasz z Phoebe?

– Jest tu jeszcze?

– Wróciła tuż po pomocy. Rozmawialiśmy chyba do drugiej albo trzeciej. Teraz śpi.

– Nie wiem – odpowiedziała Morgana. – Musi chyba minąć trochę czasu.

– Morgana, jeśli on potrafił się kochać z twoją siostrą, będąc zaręczony z tobą, to nie był wart, żeby za niego wychodzić. Na szczęście to się stało teraz, zanim to ogłosiliśmy.

– Myślałam, że napiszą o tym w porannej gazecie. Dlatego jeszcze do niej nie zajrzałam.

Eleonora potrząsnęła głową.

– Odłożyli to z powodu historii z morderstwami. Ojciec chciał koniecznie, żeby ogłosić zaręczyny z rozmachem, na pierwszej stronie. Oczywiście nie mógł tego dać obok artykułu o morderstwach.

Morgana podniosła gazetę i rozwinęła ją.

– Zabił następną kobietę – powiedziała przerażona.

– Ojciec powiedział, że zdjęcia były tak makabryczne, że nie mogli ich wydrukować. Mężczyźni znają tyle różnych sposobów, żeby zniszczyć kobiety, czyż nie?

Morgana upuściła gazetę na podłogę.

– Mamciu...

Eleonora zatrzymała się przy drzwiach. Zdawała się zjawą, bardziej wspomnieniem matki niż żywą osobą, bladą podobizną z albumu rodzinnego, smutnym uśmiechem między kartkami tłoczonych w pajęczynkę bibułek.

– Zostaw wszystko czasowi – powiedziała Eleonora. – Jakoś się to wszystko ułoży.

Morgana zawołała Lukię. Założyła bladyszara, płócienną garsonkę, którą zrobił dla niej na początku tego lata Mainhrocher. Potem przysłała Millicent i uczesała ją, zaczesując włosy do tyłu i upinając je grzebieniem z szylkretu. Morgana zajmowała się w tym czasie makijażem, powiększając lekko oczy i delikatnie podkreślając kości policzkowe. Założyła pierścionek, który dostała od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny. Ten i żadnego innego.

Howard stał na dole w jednym ze swoich brązowych garniturów, w których chodził do pracy. Był już prawie gotowy do wyjścia. Przez otwarte drzwi widać było ciemnoniebieskiego chryslera imperiał, który miał go zawieźć na lotnisko.

– Tatku... – Morgana podeszła do niego i mocno objęła. Pocałował ją w policzek, a potem odsunął na odległość ramion i przyjrzał się jej.

– Wszystko w porządku? – Jego oczy zdradzały niepokój.

– Tak, tatku, wszystko w porządku. Jestem trochę przybita, to wszystko.

Nagle ścisnęło ją w gardle i pomyślała przez chwilę, że nie uda jej się powstrzymać łez. Jednak zdołała się uśmiechnąć i strzepnąć pyłek z kłapy jego garnituru ze zwykłą dla siebie drobiazgowością.

– On zsyła na nas te rzeczy, żeby nas wypróbować – powiedział. Zauważył, że Morgana wygląda na zmęczoną, nieco sfrustrowaną tym, co się stało. Wydawała się bardziej dojrzała, niż kiedykolwiek przedtem. Może wydorosłała przez noc. Ludzie przechodzą takie przemiany, kiedy ich życie wywróci się nagle do góry nogami. Może też widział w niej odbicie siebie i swojego bólu, bólu bycia oszukany, a także bólu gorszego niż tamten, bólu, do którego niewielu zdradzonych kochanków potrafi się przyznać – bólu zwanego „utrata twarzy”.

– Nie zostaniesz długo? – zapytała.

– Cztery albo pięć dni. Mam interesy do załatwienia w Los Angeles. To mogłoby poczekać jakiś tydzień albo dwa, ale przyspieszyłem trochę sprawy. Parę dni na przemyślenie wszystkiego nie zaszkodzi ani mnie, ani matce.

– Nie zostawisz jej, prawda? Howard uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń.

– Szczerze mówiąc nie nad tym chciałem się zastanowić. Chcę pomyśleć o tym, co mogło skłonić twoją matkę do związania się z kimś innym, z młodym mężczyzną takim jak Robert

Wentworth. Będę myślał o sobie, o tym, jakim byłem mężem. I zastanowię się nad swoimi obowiązkami względem rodziny, oczywiście, włączając i ciebie.

Winton Snell podszedł do nich swoim rozkołysanym krokiem, z szerokim uśmiechem rozlanym na grubych czerwonych wargach.

– Powinien pan już jechać. Ma pan pierwsze spotkanie w Los Angeles o siódmej trzydzieści.

Howard pocałował Morgana i powiedział:

– Trzymaj się, kochanie. Zobaczymy się za kilka dni. Zadzwoń do ciebie.

Odszedł, a wypolerowana podłoga odbijała jego sylwetkę jak śliski lód. Wsiadł do limuzyny i zobaczyła jeszcze tylko jego rękę, uniesioną w pożegnalnym geście.

– Kawa czeka na panią w oranżerii, panienko Morgano. Morgana poprosiła o swój nowy samochód i poszła do oranżerii dokończyć czytanie „Star”. Była ciekawa swego horoskopu.

Millicent nalała jej kawę z kunsztownego dzbanka z serwisu Limoges w kwiaty. Były jeszcze świeżo pieczone magdalenki, paszteciki z kapustą, wszystko ciepłe, prosto z kuchni Weatherwood. Morgana przeczytała artykuł o Rzeźniku, potem o jakiejś stacji benzynowej, na koniec przerzuciła kartki do stronicy z horoskopem. Madame Tzizane (*Co mówią gwiazdy*) przewidziała, że „Ktoś bliski cię zawiedzie, ale strzeż się mściwych uczuć”. To niekoniecznie było to, co Morgana chciała usłyszeć.

Właśnie wtedy wszedł Winton Snell, z białym rokokowym telefonem w powykręcanych reumatyzmem palcach.

– Dzwoni pan Grant Clifford, panienko Morgano, chce rozmawiać z pani ojcem. Powiedziałem, że wyjechał do Los Angeles.

– Dobrze, Winton, ja odbiorę. I tak chciałam z nim porozmawiać.

– Halo? Howard? Mam okropne połączenie – głos Granta zdradzał wzburzenie.

– Nie, mówi Morgana, Grant. Mogę coś dla ciebie zrobić?

– O, dzień dobry, Morgano. Słyszysz mnie? Ja, cholera, prawie nic. Słuchaj, muszę pilnie rozmawiać z Howardem. Chodzi o ten piątkowy pożar. Harry Sharpe doszedł do tego, kto podłożył ogień. Znalazł podpalacza i dokonał jakiegoś idiotycznego aresztowania, omal go przy tym nie zabili. Ale podpalacz jest teraz tutaj, w biurze.

– Harry go znalazł! To cudownie!

– Spokojnie, spokojnie. Ten podpalacz jest na dodatek strażakiem i to z tej samej jednostki, która gasiła pożar. Nieprawdopodobne, nie? Jest gotów wskazać na Bryana i, co lepsze, na samego Enzo Vespucciego. Tak naprawdę, to tak się boi więzienia, że podałyby nazwisko każdego człowieka z Chicago i okolic, jak by mu to pomogło się wykręcić. Podał nam wszystkie fakty, daty, nazwiska, nawet markę benzyny, której użył. Prawnicy mówią, że mamy nawet więcej, niż trzeba, żeby puścić artykuł demaskujący Vespucciego jako podpalacza z Południowej Dzielnicy.

– Cudownie! – krzyknęła z entuzjazmem.

– Co powiedziałaś? Nie usłyszałem.

– Powiedziałam, że to cudownie!

– To dopiero początek, nie ma wątpliwości. A jego wysokość burmistrz będzie tańczył swojego irlandzkiego jiga. Ale potrzebuję zgody Howarda. Tego weekendu dał mi wyraźne polecenie, żeby nie puszczać niczego o Vespuccim albo slumsach. Powiedział, że sprawa jest za bardzo przygnębiająca i drażliwa, no i ryzykowna, jak chodzi o prawo. Ale teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej. Mamy relację opartą na faktach i na dodatek głównego bohatera. Ale muszę już teraz znać odpowiedź. Nie możemy trzymać tego podpalacza przywiązanego do biurowego krzesła w nieskończoność, bo Spectorski nakarmi naszym mięsem swoje psy. Twój ojciec musi mi wyraźnie powiedzieć – tak albo nie. To jego gazeta. Nie mogę tego puścić bez jego wyraźnej zgody.

– Grant...

– Czy mogłabyś go poprosić do telefonu? Morgana zmarszczyła brwi.

– Czy... – I nagle zrozumiała. Grant nie słyszał, jak Winton mu powiedział że Howard pojechał do Los Angeles. Połączenie było kiepskie.

– Co takiego? – zapytał Grant.

Morgana wpadła właśnie na doskonały pomysł.

– Nic takiego. Zaczekaj chwileczkę, tatko wyjeżdża właśnie do Kalifornii. Jest przed domem, zawołam go.

Położyła słuchawkę na stolik do kawy i czekała, z dłońmi złożonymi na piersi. Może to błąd, ale znała swojego ojca i jego skomplikowany pogląd na świat. Co do Morgany sprawa była diabelnie prosta.

Podniosła słuchawkę. Mówiła na wydechu, jakby dopiero przybiegła.

– Grant? On już musiał jechać. Ma spotkanie w Los Angeles o wpół do ósmej, nie mógł dłużej zatrzymywać samolotu.

– A niech to szlag. Powiedziałaś mu, o co chodzi? I jakie to pilne? Jak przekazemy tego podpalacza policji, to wściubią w to swój nos wszystkie gazety w Chicago.

– Wszystko w porządku – uspokoiła go. – Rozmawiałam z nim, powiedziałam, o co chodzi, i powiedział, że dobrze.

– Co to znaczy „dobrze”? Możemy to puścić?

– Na pierwszej stronie. Nagłówek siedemdziesiątkądwójką.

– Jesteś pewna? Dokładnie mu powiedziałaś, co się stało i co chcemy zrobić?

– Absolutnie, sto procent?

Grant westchnął z ulgą.

– Cóż, to wspaniale. Nie wierzyłem, że się zgodzi. Usłyszała, jak krzyknął do kogoś obok niego.

– Harry! Wszystko w porządku! Pan Croft Tate mówi, żeby z tym jechać!

W tle dał się słyszeć ogólny okrzyk podniecenia. Redakcja „Star” już od dawna miała ochotę ugotować Vespucciego na kilka lat. Teraz, po długim oczekiwaniu, ta chwila wreszcie nadeszła. A przy okazji będą mieli przyjemność zapalić stos pogrzebowy pod Bryanem.

– Czy nadal jesteśmy umówieni na lunch? – zapytała Morgana.

– Jasne – odpowiedział Grant. – Przyjdź do mnie do biura o wpół do pierwszej. Obiecałem ci rybę, tak?

Morgana odłożyła słuchawkę i skończyła kawę. Była podniecona i jednocześnie przestraszona. Wstała i na chwilę pociemniało jej w oczach.

W korytarzu zatrzymała się na chwilę, wahając się. Białe gladiole w kunsztownym wazonie drżały w lekkim ciągu powietrza. Mogła pójść na górę i porozmawiać z Phoebe. Może, im wcześniej załatwi całą sprawę z Johnem, tym lepiej. Jednak po chwili zastanowienia rozmyśliła się. Była jeszcze zbyt zła i zdenerwowana. A poza tym chciała, żeby jej ból po utracie Johna mógł dojrzeć, jak u innych opuszczonych ludzi, którzy muszą zawsze doświadczyć pełni cierpienia, zanim mogą się od niego wyzwolić.

Jej sportabout czekał przed frontowymi drzwiami. Powietrze było czyste jak kryształ. Zabrała torebkę, poperfumowała się obficie Chanel i wyszła z domu, nie żegnając się z nikim.

Lunch z Grantem w Studni Morskiej upłynął w ciepłej i przyjaznej atmosferze, jak dwojgu bliskim znajomym. Dzięki ostatniemu sukcesowi, Grant był pełen energii i w świetnym humorze. Sypał zabawnymi historyjkami z okresu, kiedy raczkował jako dziennikarz w Filadelfii. Ku własnemu zdziwieniu Morgana śmiała się, a już szczególnie po butelce przedwojennego szampana i soli a la pani Walewska.

– Naprawdę mamy co świętować – powiedział Grant, wznosząc kieliszek szampana. – Za lepsze Chicago, Chicago bez ludzi takich jak Vespucci.

– Chętnie za to wypiję – odpowiedziała Morgana.

Po lunchu Grant pojechał do redakcji, a Morgana do Fielda, żeby pocieszyć się kilkoma nowymi sukienkami. Było ciepłe popołudnie, lekki wiatr wiał przez zatłoczone ulice. Samochody trąbiły; taksówki wyżej, ciężarówki barytonem, a kolejka naziemna zgrzytała wokół Loop. To było Chicago w godzinach szczytu – miasto pełne hut i fabryk, które produkowało, pakowało, a potem wysyłało towary z własnego portu w samym sercu Ameryki, półtora tysiąca kilometrów od morza. Tętniło życiem, ulicznym ruchem, ciągłymi zmianami i potężnym dudnieniem milionów par butów na chodnikach. I opisywało własne życie we własnych gazetach.

Przed eleganckim frontem Marshalla Fielda stało sześć wysokich wiązków, które zdawały się wyrastać wprost z chodnika. Pojawiły się tu z dnia na dzień niecały rok temu i dla wielu przechodniów wciąż były atrakcją. Zasadzono je w specjalnych betonowych donicach, które Field zamówił przy okazji budowy metra pod State Street.

Morgana skręciła w East Washington Street i weszła do osobnej windy należącej do „Dwudziestkiósemki” – sklepu na szóstym piętrze. Zazwyczaj tutaj kupowała ubrania, szczególnie te na co dzień. Weszła do owalnego foyer o beżowych ścianach z ręcznie polerowanej dębiny, za którym znajdowała się centralna rotunda sklepu z kopulastym sklepieniem, otoczona szeregiem alków z beżowo-turkusowymi draperiami.

Natychmiast zauważyła ją kierowniczkę.

– Panna Croft Tate! Nie widzieliśmy już pani od dwóch tygodni! Mój Boże, czytałam o pani w gazetach i podziwiałam pani odwagę!

– Sama nie wiem, jak mi się to udało – odpowiedziała Morgana. – Czy mogłabym obejrzeć kapelusze?

– Ależ oczywiście, właśnie przyszło kilka wspaniałych kapelusików od Diora. Pani Barrett była tu nie dalej, jak dzisiaj rano, a wie pani, jaka ona jest. Tu jest jeden bardzo ładny bicorae, mamy go jeszcze w kolorach fiołkowo – różowym, zielonym i różowym.

Morgana przymierzyła sześć czy siedem kapeluszy, a potem wzięła do przymierzania kilka



spódniczek, reklamowanych jako ostatni krzyk mody. W „Dwudziestceósemce – zgodnie z nazwą – było dwadzieścia osiem przebieralni, dekorowanych w zestawach po dwie. Jedna para była czarnobrzoskwiniowa, z koronkowymi zasłonami, następna różowozielona, jeszcze następna morelowa z ciemnym różem, z wyściełanymi pluszem ławkami. Morgana lubiła najbardziej tę z lustrami z wszystkich stron. Sprzedawczyni przyniosła jej filizankę rosyjskiej herbaty, a ona przymierzała jakiś tuzin spódniczek i naręcze sukni koktajlowych od Normana Norella. Najtańsza kosztowała sześćset dolarów. Morgana już dwa razy została wytypowana do słynnych reklam Fielda z serii *Kobiety Chicago*: „Tę kobietę rozpoznacie wszędzie, tak samo jak styl, który uczyniła sławnym”.

Przed chwilą zdecydowała się na turkusową sukienkę, a teraz obracała się powoli przed lustrem i zastanawiała nad brzoskwiniową z głęboko wyciętymi plecami. Nagle pojawiła się Phoebe. Stała w rogu i obserwowała ekspedientkę, jak przynosi suknię, a potem przyglądając i układa na Morganie.

– To pani kolor – powtarzała ekspedientka. – Naprawdę pani.

Phoebe wyglądała strasznie. Była bardzo blada, a na dodatek, z sobie tylko znanego powodu, położyła na powieki niebieski cień, który jeszcze bardziej podkreślał jej wygląd. Miała na sobie białą letnią garsonkę i biały kapelusz z woalką, który czynił ją jeszcze bledszą. Paliła papierosy przez długą, białą cygarniczkę.

Morgana poczuła, jak podłoga usuwa się jej spod stóp. Czowała, że się czerwieni.

– Czy mogłaby nas pani na chwilę zostawić? – poprosiła sprzedawczynię.

– Oczywiście – odpowiedziała tamta i wyszła, a grzywka podskakiwała jej na czole.

Phoebe odsunęła się, żeby ją przepuścić, a potem spojrzała uważnie na Morgane przez chmurkę nikotynowego dymu.

– Tak myślałam, że tu będziesz. Gdzie chodzą dziewczęta, kiedy ktoś im złamie serce?

Nie powiedziała tego uszczypliwie czy sarkastycznie. Po prostu przyznała, że gdyby coś takiego przytrafiło się jej – to jest, gdyby Morgana spała z jej chłopcem – to też przyszlaby właśnie tutaj. Żeby się ubrać, dodać sobie nowego uroku, zmienić się tak, żeby nie poznać się w lustrze i zostawić swój smutek pomięty na podłodze przebieralni – niech kto inny go posprząta.

– Naprawdę nie mam jeszcze ochoty z tobą rozmawiać – powiedziała Morgana.

– Niewiele da się tu powiedzieć, prawda? Znowu byłam niegrzeczną siostrą. Jeśli przyniesie ci to jakąś ulgę, to żałuję. Tak naprawdę, to bardzo żałuję. Chyba chciałam się odegrać na Donaldzie. Chciałam się przekonać, że jeszcze ktoś może mnie chcieć.

Morgana odwróciła się do niej plecami, ale dalej obserwowała jej twarz w lustrze garderoby.

– On miał być moim mężem. Zabrałaś mi nie tylko chłopaka, zabrałaś mi przyszłość.

– Chyba jednak oddałam ci przysługę. John cię, tak naprawdę, nie kochał.

– Pewnie powiedział ci to, jak się z nim łądaczylaś?

– Niezupełnie, moja droga, ale prawie.

– Nie jest to dla mnie żadnym pocieszeniem. Phoebe usiadła na małym krzeselku w stylu Regency.

– Powiedzieć ci prawdę? – zapytała Morgana. – Proszę cię, wysłuchaj mnie i uwierz – kocham cię. Wiem, że czasem jestem podła, ale wypływa to bardziej z głupoty niż wrodzonej złośliwości. Jesteśmy siostrami i nawet gdybyś chciała, nie możesz tego zmienić.

– Rzeczywiście – odpowiedziała Morgana. – Niestety nie mogę.

– On cię nie kochał, to znaczy nie tak, jak powinien kochać przyszły mąż. Powinnaś go była widzieć, jak cię wychwalał! Twój wygląd, styl, inteligencję. Takie wielkie wrażenie robiłaś na nim! A szczególnie jako dziedziczka „Star”, bo miał być mężem wydawcy. To było chyba najważniejsze.

– Więc kiedy poszłaś z nim do łóżka, to oddałaś mi przysługę, tak? Rozmyślnie mnie od niego odsunęłaś, ratując mnie od nieszczęśliwego małżeństwa? Muszę przyznać, że umiesz się poświęcić. Gdyby dawali za to medale, dostałabyś Państwowy Medal za Puszczanie się z Lojalności, z listkiem figowym na awersie!

– Powiedziałam, że żałuję – wybuchła Phoebe. – Co mam zrobić, byś mi uwierzyła.

– Chyba dość już narozrabiałaś – odpowiedziała Morgana. Była wściekła, pod powiekami poczuła łzy, a twarz miała rozpaloną jak piec.

Phoebe zamilkła. Zgasiła papierosa, odłożyła lufkę i po prostu stała, patrząc na Morgana ze zmieszaniem i żalem.

– Chyba masz jednak trochę racji – powiedziała Morgana. – Jeśli był w stanie pójść do łóżka z tobą, to jest w stanie pójść do łóżka z każdą. Lepiej wiedzieć teraz niż dzień po ślubie. Ale wiesz, tak pięknie mówił, że mnie bardzo kocha. Że podziwia i szanuje bardziej niż jakąkolwiek inną, którą zdarzyło mu się spotkać.

– Najwyraźniej szanował cię aż za bardzo.

– I co ja teraz zrobię? – ciągnęła Morgana. – Nie ma chyba sensu szukać kogoś nowego. I tak znajdziesz drogę do jego rozporka. A może powinnam się cieszyć, że jest coś, co mogę z tobą dzielić?

– To nie moja wina, że się do mnie dostawiał! To znaczy przyznaję, że uległam...

– To nie twoja wina! – wściekła się Morgana. – Nie ma co, masz tupet, żeby tak powiedzieć! Po tym, jak ukrywałaś się w jego mieszkaniu, kiedy tam byłam, a zaraz potem poszłaś z nim prosto do łóżka!

Phoebe doskoczyła do niej i chciała ją uderzyć, ale Morgana była szybsza. Złapała podniesioną rękę i mocowały się przez chwilę, dysząc i piszcząc, a potem Phoebe złapała Morgana za włosy i pociągnęła mocno, wyszarpując jedną ze spinek.

– Ty suko! – krzyknęła Morgana i zrzuciła jej z głowy kapelusz.

Phoebe krzyknęła, złapała przód sukienki koktajlowej Morgana i pociągnęła z całej siły w dół. Rozległ się ostry odgłos prucia. Phoebe szarpnęła jeszcze raz i przód odpadł, odsłaniając piersi Morgana.

– Ta sukienka kosztuje sześćset dolarów! – wrzasnęła Morgana i dziko rzuciła się do zdzierania spódniczki z Phoebe. Mocowały się, szamotały i okładały, aż straciły równowagę i upadły na pluszową ławkę. Morganie udało się wejść na Phoebe. Naga do pasa, tylko ze sznurem pereł na szyi, usiadła na niej okrakiem i przygwoździła rękami. Phoebe próbowała się obrócić, to w jedną, to w drugą stronę, ale Morgana trzymała mocno.

– Myślisz, że jesteś taka doskonała! – krzyknęła Phoebe. – Tak cholernie święta! – Młóciła wściekle nogami, aż jeden z jej białych butów potoczył się do drzwi, gdzie złapała go ekspedientka. Pędziła właśnie z powrotem, zaniepokojona krzykami i odgłosami szamotaniny.

– Panno Croft Tate! – zachłysnęła się ze zdziwienia. – Panno Croft Tate i... – tu spojrzała na Phoebe – Panno Croft Tate.

Morgana wstała, naciągając na siebie przód sukni, żeby się zasłonić. Phoebe podniosła się również.

– Przepraszam – wysapała Morgana. – Chyba, cóż, chyba nas trochę poniosło. – Jej włosy zwisały żałośnie z jednej strony, na ramionach widać było czerwone ślady po palcach Phoebe, a rozmazana szminka nadała jej wręcz komiczny wygląd. Dyszała ciężko, a serce waliło jej w piersi jak tam-tam.

Ekspedientka podeszła bliżej. Była porządnie przestraszona, ale doskonale to ukrywała. U Marshalla Fielda klient miał zawsze rację, bez względu na okoliczności. Okrążyła Morgane, przyglądając się podartej sukni i powoli podnosząc palec do ust – widać zawsze ratowała się w takich sytuacjach gryzieniem tego palca.

– Czy pani... czy pani życzy sobie wziąć tę sukienkę, panno Croft Tate?

Zapadła cisza, słychać było tylko ciężki oddech obu sióstr. Phoebe popatrzyła na Morgane, a Morgana na Phoebe – i obie zastanawiały się, czy wybuchnąć śmiechem, czy zlekceważyć tę drugą i dumnie wyjść. Ale w końcu Phoebe powiedziała miękko:

– Wszystko w porządku, to moja wina. Zapłacę za nią, może pani doliczyć do mojego rachunku.

– Phoebe... – zaczęła Morgana, ale ta potrząsnęła głową.

– Porozmawiamy później. Teraz muszę kupić na dole krem na noc dla mamy.

Szybkim ruchem poprawiła kapelusz i uśmiechnęła się do odbicia Morgana, blado i niezręcznie. Wyszła.

Morgana założyła garsonkę, ekspedientka obserwowała ją, ciągle gryząc palec.

– Czy mogłabym prosić o naprawę? – zapytała Morgana.

– Tak, panno Croft Tate, to tylko szew.

– Naprawdę mi przykro z powodu tego, co się stało.

Ekspedientka zdobyła się tylko na nieokreślony grymas.

Poprawiwszy makijaż i włosy, Morgana poprosiła o dostarczenie wszystkiego do domu i wyszła ze sklepu. Zatrzymała taksówkę i kazała się zawieźć do „Star”. Siedziała i myślała o Phoebe – dalej była na nią wściekła. Nic nie mogło wymazać z jej pamięci tego pełnego sprośnych detali obrazu; obrazu tych dwojga wypełnionego dźwiękiem, zapachem perfum i żywym kolorem. Jednak miała uczucie, że to ją w jakiś sposób zbliżyło do Phoebe, zamiast oddalić.

Taksówkarz zapytał:

– Czyja pani nie widziałem na jakimś plakacie?

– Nie, nie sędzę – odpowiedziała. – To musiał być ktoś inny.

– To ma pani ten sam problem co ja. Jestem bardzo podobny do Madmana Muntza, nie sądzi pan? Zna pani tego milionera, tego od używanych samochodów? Wszyscy pytają: „Ej, nie widziałem pana w reklamie? Czy pan jest Madman Muntz?” Co oni sobie myślą, że on by robił w takim gracie?

Nie odpowiedziała. Taksówka zatrzymała się przed redakcją. Wyszła w jasny blask słońca.

Nie była ani doskonała, ani święta. Ale z jakiegoś powodu czuła się o wiele lepiej.

O trzeciej po południu do redakcji przyjechało czterech oficerów policji, żeby aresztować Medilla. Medill zdążył już zeznać dziennikarzom, że Bryan wezwał go do siebie po tym, jak złapano go na szperaniu w kieszeniach płaszcza jakiegoś oficera straży. Bryan miał zaproponować, że zapomni o całej sprawie, jeśli Medill wyświadczy mu w zamian małą przysługę.

Ta „mała przysługa” miała polegać na tym, że Medill podpali kamienicę czynszową na Trzydziestej Pierwszej Ulicy i zrobi to tak, żeby lokatorzy byli narażeni na minimum ryzyka, a podpalenia nie dało się udowodnić. Kiedy Medill zapytał, czyj to dom i dlaczego ten ktoś chce go spalić, Bryan miał odpowiedzieć: „Robisz to dla jednego z największych dobroczyńców Chicago, pana Enzo Vespucciego. Pieniądze z odszkodowania są w całości przeznaczone na szpital dziecięcy.”

Nawet Medill nie był tak naiwny, żeby w to uwierzyć, ale uznał, że będzie dla niego lepiej, jak posłucha Bryana, szczególnie, że był w to zamieszany Enzo Vespucci. Jak by nie było, powiedział reporterom, Vespucci to nie jest człowiek, na którego można się wypiąć.

Harry był za tym, żeby zatrzymać Medilla do następnego porannego wydania, ale Grant kazał zawiadomić policję. Mieli już pełne zeznanie, którego nie zdobędzie żadna gazeta, zanim nie dojdzie do formalnego przesłuchania, tak samo jak zdjęcia uciekającego Medilla z Harrym siedzącym mu dosłownie na karku.

Walter Dempsey przyglądał się zdjęciom z politowaniem.

– Jesteś potwornym jeźdźcem, Harry – powiedział. – Siedzisz o wiele za daleko w siodle.

Nagłówek na pierwszej stronie brzmiał: *PODPALACZ BYŁ OPŁACANY PRZEZ MAFIĘ*. Pod spodem dodano osobnym drukiem: „Nasz dziennikarz złapał mordercę i podpalacza, który przyznaje się do współpracy z dowódcą Straży Pożarnej, opłacanym przez mafię”. Po tym następowała melodramatyczna historia, jak to „przeciek ze świata przestępczego” naprowadził Harry’ego Sharpe’a na Petera Medilla. Pod spodem wydrukowali zeznanie Medilla, słowo w słowo, obok fotografii Bryana i Vespucciego. Harry zadzwonił do obydwu z prośbą o komentarze, ale Bryan już znalazł sobie prawnika, a gospodyni Vespucciego powiedziała, że pojechał on na wakacje i nie zamierza odpowiadać na oszczerstwa.

To nie było wszystko. Na drugiej stronie Frank napisał komentarz od redaktora na jakieś tysiąc słów, którego tematem, byli oczywiście, właściciele slumsów i wszystkie przypadki podpażeń, nadużyć i korupcji, jakie udało się odgrzać. Większość z nich została przedtem odrzucona przez prawników gazety albo samego Howarda, ale teraz, kiedy mieli naocznego świadka, a Howard udzielił im swego błogosławieństwa, odgrzebali wszystko, co się dało.

„Wreszcie niepodzielni władcy slumsów stoją przed nami obnażeni. Wreszcie możemy bez obawy wskazać na ludzi, takich jak Enzo Vespucci, Francesco Lorenzo czy Orville O’Keefe i powiedzieć wprost: Ciemńcy Biednych, Wyzyskiwacze Słabych, Królowie Nędzy i Rozpaczy.”

Harry rozparł się na krześle z satysfakcją, położył nogi na biurko i zapalił. Przy biurku obok David Tribe piął się nad artykułem o nowościach w branży mrożonek.

– Ten cholerny artykuł drażni mi żołądek – powiedział. – Indyk w cieście, jambalaya, wołowina w potrawce – a na śniadanie zjadłem tylko miskę tych pomyj firmowanych przez Ralseya.

Harry spojrział na zegarek.

– Chodź do O’Leary’ego. Jestem chyba w odpowiednim nastroju, aby skusić się na jeden z tych brytyjskich steków Betty i pudding z cynaderkami. Nie mówiąc o małym drinku.

David oddał artykuł i poszli do windy, wiążąc krawaty. Harry pożyczył cztery, w tym jeden od Davida, żeby przywiązać Medilla do krzesła. To był chyba precedens w historii kryminalistyki. Podejrzany związany czterema krawatami: dwoma w ręcznie malowane palmy, jednym z czerwono – żółtymi plamami po zupie i brązowym, wąskim, z wystrzępionym brzegiem.

Drzwi windy otworzyły się i stanęła w nich Morgana z Grantem. Harry natychmiast zdjął z głowy kapelusz i wydmuchnął dym z papierosa, którym się właśnie zaciągnął.

– Panna Croft Tate! Znów się spotykamy! Dobrze się spotkać w świetle dzionka\* [\*parafraza wersetu ze *Snu nory letniej (akt II, scena II)* Williama Shakespeare’a].

– Jak się masz, Harry? – zapytała. – Niesamowicie się ucieszyłam na wiadomość, że złapałeś tego podpalacza. I on był strażakiem! Jak, u licha, udało ci się go wytropić?

– To coś w rodzaju tajemnicy zawodowej. Znają dwóch reporterów, jeden garbus i jedna zakonnica, a każdy tylko w jednej czwartej.

Uśmiechnęła się.

– Musisz być z siebie zadowolony, nie?

– To była robota pierwszej klasy – wtrącił Grant. – Szkoda, że sam się zabrał za aresztowanie, to było trochę ryzykowne, ale w sumie wyszło dobrze. Całymi latami czekaliśmy na to, żeby się wreszcie dostać do Vespucciego. No i chyba wreszcie udało się. A już szczególnie cieszy mnie, że twój ojciec zmienił zdanie. To na pewno nie było łatwe, ale cóż, to właśnie czyni z dobrego wydawcy wielkiego wydawcę.

Uśmiech Morgany stał się nieco bardziej powściągliwy.

– Na pewno przekażę mu ten komplement.

– Więc tak – powiedział Harry. – Jutro jadę z burmistrzem Doyle do Południowej Dzielnicy. Jest zachwycony tym, że tak otwarcie atakujemy Vespucciego. Chce mi pokazać najgorsze

kamienice do reportażu.

Zamilkł na chwilę, potem dodał:

– Znam pani zdanie co do slumsów, panno Croft Tate i zastanawiam się, czy nie chciałaby pani pojechać z nami.

– Chciałabyś? – zapytał Grant. – To nie będzie wycieczka krajoznawcza.

Morgana myślała nad tym przez chwilę, a potem skinęła głową.

– Świetny pomysł. Kiedy wyjeżdżacie?

– Wczesnie. Jemy śniadanie o siódmej w ratuszu, zaczynamy o ósmej.

– Dziękuję, będę tam.

Grant wziął Morganę pod ramię.

– Mamy kilka odbitek pierwszej strony z jutrzejszego wydania. Chodź zobaczyć.

Harry i David zeszli schodami do ultranowoczesnego hallu na parterze. Harry podszedł do recepcji i pochylił się nad rudą recepcjonistką, która rozmawiała właśnie z jakimś rozdrażnionym czytelnikiem.

– Jakież telefony z Ogden Avenue, Mandy? – zapytał. Dziewczyna uciszyła go ruchem dłoni i powiedziała do słuchawki:

– Tak, proszę pana, wierzę, że tak. Jednak, przykro mi bardzo, ale „Star” nie bierze odpowiedzialności za jakość reklamowanych towarów.

– Co powiesz na drinka?

Znów go uciszyła i zmarszczyła brwi.

– Proszę pana, robimy wszystko, żeby mieć pewność, że wszyscy, którzy się u nas reklamują, są uczciwi. Czasem jednak udaje się jakimś niepoważnym osobom zamieścić ogłoszenie.

Po drugiej stronie dał się słyszeć jakiś wrzaskliwy odgłos, jakby jazgot małego psa, domagającego się jedzenia. Harry odczekał jeszcze chwilę, z wyraźną niecierpliwością, a potem odebrał dziewczynie słuchawkę.

– Tu kierownik kontroli jakości. Czy mogę w czymś pomóc?

– Jasne, że pan może! – natarł na niego zirytowany głos. – Odpowiedziałem na wasze ogłoszenie z zeszłego wtorku. To miała być niezawodna metoda zmniejszenia zużycia benzyny o sto procent. To są dokładnie te słowa: „Niezawodna metoda na zmniejszenie zużycia benzyny o sto procent. Proszę przesłać trzy dolary.”

– Czy wysłał pan te trzy dolary?

– Tak, jak zupełny idiota! I wie pan, co mi przysłali? Świstek z napisem „Zostaw samochód w garażu”.

Harry obrócił się do dziewczyny.

– Jak masz na imię, słonko?

– Nancy – uśmiechnęła się.

– O której kończysz?

– Mój mąż przychodzi po mnie o piątej.

– Trudno go za to winić, cholera.

– Co pan mówi? – zapytał facet po drugiej stronie słuchawki.

– Że „Star” z przyjemnością zwróci panu te trzy dolary. Proszę tylko zostawić swoje nazwisko i adres u tej piękności w recepcji.

Harry i David przeszli przez obrotowe drzwi, a potem Wabash Avenue do O’Leary’ego. Było tam pełno ludzi, hałasu i dymu papierosowego. Dempsey już ich wyprzedził o jakieś dwie lub trzy minuty i właśnie czystą brandy świętował upadek Vespucciego. Harry podszedł do baru i poprosił to, co zwykle, plus dwa steki i pudding z cynaderekami.

Walter ryczał ochryple:

– Ale jestem wściekły. Poświęciłem mój talent i czas na napisanie artykułu o koniach wyścigowych Vespucciego, który nie może się teraz oczywiście ukazać. Stwierdzam ponad wszelką wątpliwość, że Vespucci jest nie tylko wcieleniem szatana, mordercą, złączyńcą i uosobieniem podłości „in extremis”, ale jest też najgorzej ubranym facetem, z jakim miałem nieszczęście się zetknąć. Purpurowa satyna i wiatrówka od Harrisa Tweeda! Firma Tailor and Cutter\* [\* (ang) – krawiec i krojczy] już dawno powinna była wynająć kilku speców od broni maszynowej, żeby się nim zajęli.

– Walter w formie – powiedział David, sącząc zimne piwo.

– Chyba zdecydował się ominąć stadium kaca, w jakim się wiecznie znajduje, i pić bez przerwy – odpowiedział Harry. – Zgodnie ze swoją logiką twierdzi, że jeśli będziesz pijany przez całe życie, to spieczony język i porządny ból głowy grozi ci jedynie, jak już cię złożą na wieczne odpoczywanie. Nazywa to swoją *Teorią Monumentalnego Kaca*.

Betty przyniosła im talerze.

– Dwa steki i cynadereczki w puddingu, kochanie – powiedziała i pochyliła się nad nimi stawiając talerze na stole. Rowek między jej piersiami przypomniał im czasy, kiedy jako małych chłopców podniecały ich ciała własnych matek. Buchnęło gorącem i zapachem perfum. Była to szczelina, w którą mężczyzna mógłby skoczyć na główkę i już nigdy się nie wynurzyć.

Zaczęli jeść i właśnie wtedy do baru wszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna około sześćdziesiątki. Stał przez chwilę w otwartych drzwiach z kapeluszem w ręce, otoczony promieniami rozproszonego w dymie słońca. Harry odłożył widelec i zaczął mu się przypatrywać. Było w nim coś znajomego, mimo to Harry był pewien, że nigdy go nie spotkał. Trącił Davida łokciem.

– Kto to jest? Jestem pewien, że go znam.

Mężczyzna zamknął drzwi i podszedł do baru. Powoli, nierówno, na zeszywniałych od artretyzmu nogach.



Harry skończył jedzenie. Stek i pudding z cynaderkami stały się już jego nałogiem. Żałował tego za każdym razem, kiedy jadł, bo kładły mu się na żołądku, jak nieudany bachor” (używając określenia Dempsey). Kiedy odsunął talerz, zauważył, że mężczyzna przygląda mu się uważnie, a Roy najwyraźniej wskazuje na niego palcem. Barman skinął na Harry’ego i stary mężczyzna zaczął szurać w stronę ich stolika.

– Pewnie pan pomyśli, że to nieuprzejmie z mojej strony – powiedział z czystym farmerskim akcentem. Robił przez to wrażenie faceta, który mówi „Jeruna, toć dziwy”, ilekroć coś go zaskoczy. Przełożył kapelusz z prawej do lewej ręki i przyjaźnie uściśnął dłoń Harry’ego. – Poprosiłem Roya, żeby mi powiedział, jak pan przyjdzie. Dawno tu nie byłem i widzę same nowe twarze. Już nie piję, lekarze zabronili. Byłem w lecie u Billy’ego Goata jakieś dwa razy, ale muszę się trzymać z dala od pokusy, Boże, chroń od złego.

– Wydaje mi się pan znajomy – powiedział Harry.

– No, ty pracujesz dla „Star” teraz, a ja pracowałem kiedyś. To przeze mnie mówi się, Jakieś telefony z Ogden Avenue, Mandy?”

– Niesamowite! – Harry wytrzeszczył zęby w szerokim uśmiechu. – Pan jest Lenny Mutken! Jedyny dziennikarz ze „Star”, który dostał Pullitzera! To zaszczyt! Jestem Harry Sharpe, a to David Tribe.

– Wiem, jak się nazywasz, Harry – powiedział Lenny. Wyjął paczkę cameli i poczęstował wszystkich. Jego stara zapalniczka Zippo buczała jak zdezelowany miotacz ognia.

– Dziwne, że jeszcze masz brwi, przy takiej zapalnicze. – powiedział Harry.

– Jestem już za stary, żeby przejmować się brwiami – odpowiedział Mutken rozpierając się na krześle. – Zostało mi jeszcze jakieś sześć lat na tym padole i niespecjalnie mnie obchodzi, czy z brwiami, czy bez.

Zakaszłał, a jego kaszel zamienił się szybko w przerażające, spazmatyczne łapanie oddechu. Harry i David wymienili przerażone spojrzenia. W końcu Lenny pozbierał się jakoś, otarł oczy chusteczką, potem wydmuchał w nią nos i wyprostował się na oparciu.

– Lekarze mówią, że mam rzucić i palenie, i picie. Ale niemożliwe jest zrobić te dwie rzeczy naraz. Jak nie piję, kopcę jak lokomotywa, a jak nie palę, to piję do nieprzytomności. Okazało się, że te rzeczy są ze sobą po prostu dość blisko powiązane. W końcu zdecydowałem, że będę palić. Lepszy Lucky od szkockiej.

– Może ci coś przynieść, sodową albo RC\* [\*skrót od *Royal Crown*, marki napojów bezalkoholowych]?

Lenny potrząsnął głową.

– W drodze do domu wstąpię na kawę.

Znowu gwałtownie zaczerpnął powietrza i odchrząknął. Harry już się wystraszył, że znowu zacznie kaszleć, ale Lenny zaciągnął się tylko płytko papierosem i powiedział do Harry’ego.

– Napisałeś dobry kawałek o Rzeźniku.

Zabrzmiało to tak, jakby było ich więcej i tylko jeden był dobry Harry skinął głową.

– A tak, to o pani Leonidas. Widziałem ciało.

– To, co napisałeś, pozwoliło mi odczuć, jakie to musiało być wstrząsające – powiedział Lenny. – Świetny, wrażliwy styl. Potworny temat, poważnie i obrazowo zrobiony. Niewiele już jest takich talentów. Gdzie się podziałeś, Jamesie O’Donell Bennetcie? Gdzie jesteś, Willu Barber? Obrócili się w proch, wszyscy ci świetni reporterzy. A ci, którzy zostali, stracili popularność. Pamiętam, jak swego czasu Edward J. Kelly przechodził specjalnie z drugiej strony ulicy, żeby mi uścisnąć dłoń. A teraz kim jestem? Nikim więcej niż ci wszyscy, których artykuły gniją w archiwach „Star”, tej kostnicy, z której nikt ich nie wyciągnie, żeby przeczytać, już nigdy. Wiesz, historia o tobie nie wspomni, nawet jeśli to tyją przekazujesz. Spłowiejesz, wyblakniesz i przeminiesz z wiatrem.

Harry wziął łyk piwa.

– Nie powinien pan popadać w takie przygnębienie, panie Mutken – powiedział. – Dostał pan Pullitzera i wszyscy w „Star” o panu pamiętają. Nawet Howard Croft Tate pyta: „Jakieś telefony z Ogden Avenue, Mandy?”

Lenny zmarszczył brwi z dezaprobatą.

– Czuję się, jakbym był już martwy. To okropne uczucie, potrafisz to zrozumieć? Wiesz, że twoja praca odeszła w zapomnienie, nawet zanim ty sam zdążyłeś się skończyć i zejść z tego padółu. I proszę, nie mów do mnie per „panie Mutken”. To było dawno temu, kiedy wszyscy mnie znali i od tego zaczynali rozmowę. Jestem Lenny. *Lenny – Sumienie Chicago* – taki był tytuł mojej rubryki. Powinieneś być przeczytać mój artykuł o letnim przesunięciu czasu i godzinach roboczych. Był nie tylko mocny. Był gorszy od bomby atomowej!

– Przeczytałem go – odpowiedział Harry. – Musiałem napisać spory artykuł o czasie letnim, jak mieliśmy zrezygnować z zimowego, pod koniec wojny. Użyłem go jako materiału źródłowego.

Lenny przyglądał mu się z nabożeństwem, jakby mówił o cudzie.

– Przeczytałeś go? – zapytał raz i potem drugi, z niedowierzaniem. – Przeczytałeś go? No tak. Przeczytałeś.

Spojrzał znowu na Harry’ego i powiedział:

– Wiesz, jak zobaczyłem twój kawałek o Rzeźniku, ten podpisany przez ciebie, od razu poczułem bratnią duszę. To było to. Człowiek, który umie pisać. Czy to nie nadzwyczajne? No, bo jak często takie coś się może zdarzyć? Takie poczucie wzajemnego zrozumienia z człowiekiem, którego się nigdy przedtem nie widziało? Ty przeczytałeś mój artykuł, a ja twój. No tak.

Harry uśmiechnął się niepewnie, wyczuwając, że sytuacja staje się niezręczna.

– Czy masz na myśli coś konkretnego, Lenny? – zapytał. – To znaczy, czy może chciałbyś coś omówić?

Lenny skinął na Harry'ego dłonią, żeby się bliżej przysunął.

– Mam nadzieję, że nam wybaczysz – powiedział do Davida z niesympatycznym uśmiechem. David wzruszył ramionami, podniósł szklankę do ust i powiedział:

– Oczywiście.

– O co chodzi? – zapytał Harry. Z bliska czuł wyraźnie mocny zapach tytoniu, nie zmienianej od dwóch dni koszuli i czegoś, co nie od razu wiedział, czemu przypisać, a miało nieprzyjemny zapach przypominający ocet.

– Musisz wiedzieć, Harry, że w mojej okolicy nadal cieszę się swego rodzaju popularnością. Szczególnie starsi ludzie myślą, że dalej pracuję dla gazety. Przynoszą ploteczki, przychodzą po poradę. Tak więc, jak dzieje się coś ważnego, przeważnie wiem o tym pierwszy.

Harry myślał cały czas o tym, żeby Mutken się pośpieszył i wreszcie skończył. Mutken zaciągał się papierosem po każdym zdaniu, a każde słowo wiązało się z chmurą dymu i falą cuchnącego oddechu.

– No więc, ten Rzeźnik... – ciągnął Lenny. – Siedziałem kiedyś w domu, była niedziela rano, no i zadzwonił telefon i jakiś głos powiedział: „Poszatkowałem kobietę i mam zamiar poszatkować jeszcze jedną”. I odłożył słuchawkę. Nawet nie zdążyłem zapytać, kim jest i po co do mnie dzwoni.

– Zawiadomiłeś policję?

Lenny potrząsnął gwałtownie głową.

– W ogóle o tym nie myślałem. Po co? Często dostaję zwariowane telefony. Raz jakaś babka zapytała, czy jestem przyjacielem świętego Franciszka z Asyżu. Ja jej, że nie, a ona na to: „Dziwne, myślałam zawsze, że przyjaźni się z wszystkimi zakutymi łbami”. Teraz też myślałem, że to kolejny żartowniś, tym bardziej, że w niedzielnych gazetach nie było żadnej wzmianki o morderstwie, a radio mam od tygodni zepsute.

– No i co dalej?

– No, wstałem dzisiaj rano, kupiłem „Star” i zobaczyłem, że mój znajomy zrobił dokładnie to, co obiecał. Oczywiście byłem wstrząśnięty.

– I mimo to nie zawiadomiłeś policji?

– Już miałem rękę na telefonie. I numer posterunku przed sobą. Ale zanim zdążyłem wykręcić, telefon znowu zadzwonił i ten sam głos powiedział: „Panie Mutken, jestem tym, którego gazety nazywają Rzeźnikiem. Do tej pory zarzynałem dwie, a teraz zarżnę dwie następne, naraz”.

Harry wpatrywał się w twarz Lenny'ego.

– Chce zabić jeszcze dwie? Naraz?

– Tak powiedział.

– Zapytałeś dlaczego?

– Tak, i tym razem nie odłożył słuchawki. Powiedział, że ma powód, bardzo ważny powód. Najpierw zarżnie te dwie, a potem, już po sprawie, powie mi dlaczego.

– Naprawdę tak powiedział? – dopytywał się Harry. – Naprawdę zadzwoni do ciebie i powie, dlaczego zabija?

Nawet David nie mógł się powstrzymać od pochylenia się wprzód.

Lenny uniósł rękę, żeby go uciszyć.

– Więcej. Spotka się ze mną w umówionym miejscu i czasie w cztery oczy, i da mi wywiad.

Harry wyprostował się na krześle, oparcie zaskrzypiało. Był bardzo podekscytowany, ale nie mógł już dłużej wytrzymać tego zalatującego octem zapachu.

– No i co zrobisz, Lenny? – zapytał. – Zawiadomisz gliny? No nie, musisz. Spectorski robi z ciebie miazgę, jak ukryjesz taką informację.

– Muszę zaryzykować. Rzeźnik stanowczo zapowiedział, że policja ma się od tego trzymać z daleka. Jak tylko będzie miał jakieś podejrzenia, to ze spotkania nici i zabije cztery następne, naraz, w odwecie.

Zdusił papierosa i powiedział:

– To bardzo trudna decyzja, wierzcie mi. Ale tak sobie myślę, że policja będzie miała większe szansę, żeby go złapać, jak z nim porozmawiam, a nie, jak się do tego zaborą teraz, na podstawie tych nielicznych informacji, jakie mam. Spójrz na to realnie, Harry; ja teraz praktycznie nic nie mam, oprócz dwóch telefonów, stłumionego głosu i pogroźek, na które mógł się pokusić każdy. Nie – dwie kobiety mogą zginąć dzisiaj albo jutro, tyle że moje zeznanie raczej ich nie uratuje. Więcej pomogę policji, jak dowiem się o tym facecie wszystkiego, co się da. Wzrost, waga, budowa ciała, akcent, odruchy. Na pewno zakryje twarz, ale nie uda mu się ukryć wszystkiego. Harry myślał nad tym przez chwilę, a potem zrobił nieokreślony grymas.

– Pewnie masz rację. Ale gdzie się zaczyna moja rola?

– Będziesz moim heroldem – uśmiechnął się Lenny, odsłaniając poślizgnięte od nikotyny zęby.  
– Zapowiesz mój wspaniały powrót do „Star” i zrobisz wstęp do moich artykułów o Rzeźniku. Ja nie mogę, skromność zabrania. Tylko ty możesz to zrobić jak należy. *Reporter policyjny, laureat Nagrody Pullitzera, wraca z emerytury, żeby rozmawiać z Rzeźnikiem.* A pod spodem, na jasnoczerwono: *Zastrzeżone.*

– Kiedy Rzeźnik znowu do ciebie zadzwoni? – zapytał Harry.

Lenny potrząsnął głową.

– Nie wiem. Ale jak już to zrobi, będę gotów.

Właśnie w tej chwili do O’Leary’ego wszedł Woozy z aparatem przewieszonym przez ramię.

– Harry? Jesteś gotowy do tej roboty na Kedzie Avenue? Wiesz, te mistrzyni stepowania?

– No, ja nie mogę! – krzyknął Harry. – Robimy mu materiał na pierwszą stronę, a on nas dalej wysyła do szkółek dla dziewcząt i każe rozmawiać z tymi, które stepują.

– Chlebem powszednim codziennej gazety są codzienne wydarzenia i zwykli ludzie – Woozy zacytował ulubione powiedzenie Howarda Croft Tate’a.

– Dobra, dobra – odpowiedział Harry. – Łap, tu są moje kluczyki. Poszedłbyś na parking i wyprowadził samochód? Będę za dwie minuty. Muszę tylko skończyć rozmowę z Lennym.

Rzucił kluczyki, a Woozy złapał je w kapelusz. Potem schylił się i wysypał je sobie na otwartą dłoń.

– Czy ty niczego nie robisz normalnie? – zapytał Harry. Woozy najwyraźniej odczuwał niedosyt uznania.

– A ty tak nie łapiesz kluczyków? Harry zwrócił się do Lenny’ego:

– Co zrobisz, kiedy Rzeźnik znowu do ciebie zadzwoni? Zadzwonisz do mnie od razu? Dam ci kilka numerów, pod którymi możesz mnie znaleźć. Rzadko jestem w domu.

Woozy przeszedł przez Wabash Avenue z rękami w kieszeniach. Był dzisiaj w dobrym, żeby nie powiedzieć, wyśmienitym humorze. W poniedziałek przypadał jego wolny wieczór, a Moira, dziewczyna z wysyłkowego, zgodziła się z nim dzisiaj wybrać na *All the Kings Men* z Broderickiem Crawfordem. Popołudnie było ciepłe, ale wietrzne, powietrze było znacznie lżejsze niż w czasie weekendu. Wiatr zadarł Woozy’emu krawat jak ramię semafora.

Na podziemnym parkingu Billy Tomahawk, prawie leżąc na swoim biurku, czytał komiks i monotennie żuł tytoń. Powiódł za Woozym wzrokiem tak nieprzejednanym, jak ten z wizerunków Chrystusa. Woozy uśmiechnął się szeroko, pomachał ręką i podszedł do samochodu. Wrzucił aparat na tylne siedzenie i zapalił silnik.

Właśnie wtedy u progu betonowego podjazdu pojawiło się dwóch mężczyzn w szarych, doskonale skrojonych garniturach i glansowanych na połysk butach.

Tomahawk Billy uniósł się na łokciach, przyglądając się im, poważnie i podejrzliwie. Nigdy przedtem ich nie widział, jednak było w nich coś, co mu się stanowczo nie podobało.

Nie patrzyli ani na lewo, ani na prawo, szli z determinacją facetów, którzy mają konkretną robotę i są gotowi na wszystko.

Billy podszedł do drzwi swojej pakamery i powiedział.

– Czego panowie tu chcą? Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

Jeden z nich zboczył lekko z trasy i podniósł rękę w ostrzegawczym geście.

– Zostań gdzie jesteś, Geronimo, to nic ci się nie stanie\* [\*Geronimo – słynny wódz Apaczów (1829-1909)]. Drugi podszedł do Woozy’ego i, właśnie kiedy ten miał odjechać, zastukał w szybę.

– Przestańcie, albo zadzwonię na policję! – zawołał Billy.

Mężczyzna obok niego odpowiedział krótko.

– Zapomnij o tym. Chcesz się dostać przesyłką poleconą do krainy wielkich łowów? Mówię ci, zapomnij o tym.

Woozy, siedząc za kierownicą, uśmiechnięty i nieświadomy, opuścił szybę.

– O co chodzi? – zapytał. – Mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna w szarym garniturze powiedział coś niewyraźnie.

Tomahawk Billy przysięgał potem, że to było coś jak: „To taki mały prezent dla ciebie, przyjacielu.”

W każdym razie, niezależnie od tego, co ten mężczyzna powiedział, nie było żadnej wątpliwości co do tego, co zrobił. Wyjął z kieszeni automatycznego colta czterdziestkępiątkę i strzelił prosto w twarz Woozy’ego, dokładnie w jego lewe oko.

Dał się słyszeć głuchy odgłos, jakby ktoś zatrzasnął drzwi w dużym, wypełnionym po brzegi pomieszczeniu. Okna auta pokryły się czerwienią. Silnik zakrzuszył się i zgasł. Zapadła cisza, w której tamtych dwóch, spokojnie i bez śladu emocji, podeszło do podjazdu i wyszło na zewnątrz, zostawiając samochód tam, gdzie był, z oknami pokrytymi lepкими girlandami krwi.

Tomahawk Billy stał oniemiały.

Po dziesięciu minutach Dundas, posłaniec wszedł do O’Leary’ego, żeby powiedzieć Harry’emu, co się stało. Harry wyszedł na Wabash Avenue, w słońcu jego twarz była tylko jasną plamą, jak na prześwietlonej fotografii. Zatrąbił na niego samochód, jeden z tych ekscentrycznych chicagowskich modeli z reflektorem pośrodku. Harry obrócił się i spojrzał na kierowcę; mężczyznę w średnim wieku, w kapeluszu z szerokim rondem i zastraszoną żoną na siedzeniu obok. Nie widział rysów ich twarzy. Dla niego mogli być i Marsjanami. Tylko śmierć Woozy’ego nie mieściła mu się w głowie.

Reszta popołudnia przebiegła jak w filmie. Przyjechały i odjechały wozy policyjne, wyjąc i rzucając naokoło snopy czerwonego światła. Przyjechała i pojechała karetka, w zasadzie karawan, jej sygnał to był już tylko marsz pogrzebowy. Policjanci rysowali i ustalali fakty. Tomahawk Billy był tam, Woozy był tu, mordercy zrobili to, mordercy zrobili tamto. Gruby detektyw w żółtobrązowym garniturze pompatycznie palił tanie cygaro i zaglądał we wszystkie kąty. Poklepał Harry’ego po plecach, żeby mu okazać współczucie i zrozumienie.

– Wiem, jak to jest stracić partnera. Ostatni facet, z którym pracowałem, skończył w jeziorze.

– Tak... – mruknął Harry. Cały się trząsał.

Gruby detektyw rozejrzał się dookoła.

– Wiesz pan, kto to mógł zrobić?

Harry potrząsał głową.

– No już, nie jestem głupi. Pan jest dziennikarzem. A jedyny powód, dla którego giną dziennikarze, to jak trafią na coś śmierdzącego. Dzięki Bogu, nie zawsze.

– Woozy był fotografem, co mógł wiedzieć? Grubas uśmiechnął się szeroko.

– Prowadził pański samochód. Nie zapominaj pan o tym. Ci faceci działali na zlecenie, to znaczy, że nie wiedzieli, jak pan wyglądasz. Jasne? No to jeśli fotografowie nie robią zazwyczaj niczego groźniejszego niż zdjęcia, po co ich zabijać? Odpowiedź brzmi: oni nie zamierzali zabić jego. Czekali na pana.

Harry spojrział na jasnożółtego woodie z zakrwawionymi szybami i pomyślał, że już nigdy nie będzie mógł jeździć tym samochodem.

– Rzuciłem mu kluczyki, wie pan? – powiedział do detektywa. – Rzuciłem mu kluczyki, a on je złapał, o tak, w kapelusz.

– W kapelusz? – powtórzył grubas. Potem powiedział, już poważnie. – Pan powinienś wiedzieć, kto to był.

– To znaczy? – zapytał Harry.

– Nie próbuj mnie pan kiwać. Wiesz pan przecież, nad czym pracujesz. I wiesz pan na pewno, komu to może aż tak przeszkadzać.

Harry nic nie odpowiedział. Odwrócił się plecami do detektywa. Ten obserwował go z jednym okiem przymkniętym, a dym cygara wspinał mu się po policzku. Wyglądał teraz tak, jak jedna z najśłynniejszych gwiazd kina dopiero miała kiedyś wyglądać – czyli Orson Welles w *Tym trzecim*.

Harry rozejrzał się i zaczął powoli iść w stronę podjazdu.

– Zadzwoń pan do mnie, jak sobie coś przypomnisz – zawołał za nim detektyw.

Harry uniósł rękę na znak, że się zgadza, ale nie obejrzał się za siebie.

Marcella ubierała się właśnie w garderobie przed wyjściem, kiedy do drzwi zapukała Eunice, mówiąc że pan Vespucci czeka w salonie. Była siódma, wczesny wieczór. Marcella słyszała już w radio, że wynajęty przez mafię podpalacz został właśnie przekazany policji po tym, jak aresztował go dziennikarz ze „Star”, Harry Sharpe.

Nie słyszała jednak o tym, że niecałą godzinę temu fotograf z tej samej gazety został zastrzelony przez płatnych morderców w samochodzie Harry’ego. Gdyby o tym wiedziała, byłaby może ostrożniejsza. Szybka i bezlitosna zemsta była specjalnością Vespucciego. Nie bawił się w wystawianie swoich wrogów na pośmiewisko jak Capone.

Jeśli ktoś wszedł mu w drogę, zabijał.

Marcella starannie nałożyła kredkę cienie i ciasniej owinęła się szlafrokiem. Przeszła do salonu. Enzo siedział na sofie trzymając za rękę młodą dziewczynę o oliwkowej skórze w różowej plisowanej spódnicy. Ambrogio stał za nim, z mięsistymi łapskami założonymi na podbrzuszu, jakby pozował do zdjęcia drużyny piłkarskiej. Enzo miał na sobie pięknie skrojony garnitur z kremowej wełny, z różową lamówką w klapach. Dziewczyna miała prawdopodobnie szesnaście lat, ale wyglądała na dwanaście.

– Marcello, mój najdroższy aniołku – przywitał ją Enzo, wstając i wyciągając rękę. – Musisz koniecznie poznać Izabellę.

– No, no, już następna – odpowiedziała Marcella z pobłażliwym uśmiechem. Posłała dziewczynie całusa znad czubków palców. – Musimy się lepiej poznać. Jestem pewna, że mamy ze sobą dużo wspólnego.

Enzo spojrzał na nią chłodno.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał.

– Collburnowie wydają mały koktajl. Mark wygrał w ten weekend jakieś regaty i świętują to.

– O – odpowiedział, a potem bez żadnej logicznej przyczyny dodał:

– Izabella gra na fortepianie. Wczoraj zagrała mi *Sonatę Księżycową* Beethovena.

– Nie wiedziałam, że jesteś wielbicielem Beethovena – odpowiedziała obcesowo. – Chciałeś się zobaczyć z matką? Czyżby to już był dzień wypłacania czeku? Mógłbyś to załatwić za pośrednictwem banku. Co prawda, nie miałbyś wtedy okazji zobaczyć, jak bardzo ci jesteśmy wdzięczne, ale za to jaka oszczędność czasu.

Enzo uśmiechnął się, jego wargi rozciągnęły się jak zrobione z katguta\* [\* elastyczna nić chirurgiczna].

– Jesteś moim aniołkiem, czyż nie tak cię zawsze nazywałem? Ale nie wysilaj się na dowcipy. Kobietom to nigdy nie wychodzi.



– Ależ wiem o tym, tatko, wierz mi. Może napilibyście się koktajlu? Mój Pisco Punch jest zabójczy. Kilku znajomych wylądowało w szpitalu po jednym łyku.

– Przyszedłem poważnie porozmawiać, Marcello.

– Tak? No cóż, ani przez chwilę nie sądziłam, że przyszedłeś opowiadać głupstwa.

– Marcella, wczoraj rozmawiałaś na torze z Harrym Sharpem, tym dziennikarzem ze „Star”.

– No i? – zapytała lekceważąco, chociaż serce jej ścisnęła obręcz strachu.

– Wiesz zapewne, że Sharpe to jeden z tych dziennikarzy, którzy uważają mieszanie mnie z błotem za swój święty obowiązek.

– Myślałam, że każdy dziennikarz tak uważa, bez wyjątku. Enzo podszedł i położył jej dłonie na ramionach.

– Chodź – powiedział i wyprowadził ją na korytarz. Pchnął ją na oklejoną brązowoniebieską tapetą ścianę i powiedział, bardzo cicho:

– Nie baw się ze mną, Marcello. Nie będę twoim kotkiem.

– Gdybym wiedziała, o co ci chodzi... – zaczęła, ale złapał ją mocno za włosy, tuż przy skórze i pociągnął mocno w dół. Poczowała jakby skrzypnięcie, kiedy myślała, że oderwie jej skalp. Krzyknęła głośno.

– Wczoraj po południu rozmawiałaś z Sharpem. A dzisiaj Sharpe łapie Medilla, który, tak się składa, wykonał dla mnie pewne drobne zlecenie. Jego aresztowanie jest bardzo niewygodne, nie tylko dla mnie, ale dla wielu ludzi w tym mieście. To o podpaleniu, to oczywiście oszczerstwo, ale przede wszystkim interesuje mnie, jak Sharpe dostał to nazwisko.

Oczy Marcelli błyszczały łzami.

– Ojczy, zabiję cię. Na świętą Teresę i Antoniego, zabiję cię.

Patrzył na nią przez chwilę, nie mówiąc nic. Marcelli zdawało się, że minuty nie mają końca. Jego głęboko osadzone oczy wpatrywały się w nią badawczo. Żyła na czole pulsowała miarowo. W końcu puścił jej włosy.

– A więc zabiłabyś własnego ojca. Porwałabyś się na źródło swojego życia. Cóż, przynajmniej teraz wiem, na czym stoję. Wiem, jak wygląda twoja wdzięczność za wszystko, co ci dałem. Szkoły, drogie ubrania, konie. Spójrz na to mieszkanie! Kto za nie płaci? Ja! Skrupulatnie, co miesiąc, płacę za to mieszkanie i wszystko, co w nim jest, łącznie z tym, co wkładasz do ust. I czy słyszę w zamian choćby słowo podziękowania czy wdzięczności? Co? Chociaż jedno miłe słówko? O nie. Słyszę: „Ojczy, zabijecie”.

Marcella opierała się obolała o ścianę, szlochała cicho. Enzo poprawił pory marynarki. Oparł pięści na biodrach i popatrzył na nią z nienawiścią.

– Czy to ty? – natarł. – Czy to ty powiedziałaś Sharpe’owi, że Medill dla mnie pracuje? Wierz mi, dowiem się prawdy, a wtedy odetnę język temu, kto to zrobił, nieważne, kim jest, nieważne!

Marcella otarła łzy kołnierzem szlafroka. Nie miała zamiaru przyznać się czy przepraszać, tak jak nie miała już siły na złość. Enzo pochylił się, wpatrując się w nią dziko.

– Czemu nic nie mówisz? Nie masz nic do powiedzenia? Żadnego: „Przepraszam, tato, to ja się wygadałam?” Co? Jaka z ciebie córka?

– Eduardo płacze.

– Och, Eduardo płacze. Przy takiej matce jak ty, co mu innego pozostało?

– Ojczy, to nie ja. Nie powiedziałam Sharpe’owi niczego. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Był aroganckim ignorantem.

– Aroganckim ignoranckim – powtórzył, przeciągając głoski. – Aroganckim ignoranckim. No i nie wiem, co mam zrobić. Może powiesz mi, co mam zrobić? Mam się też rozplakać?

Nie odpowiedziała. Enzo zastanawiał się przez chwilę, pocierając dolną wargę, jakby szukał na niej jakiejś mikroskopijnej zadry.

– Jak myślisz – zapytał w końcu. – Czy Howard Croft Tate zatrudniałby kogoś, kto jest aroganckim ignorantem?

– Może – odpowiedziała drżącym głosem. – Sam jest ignorantem i to dość aroganckim.

Enzo pokiwał głową i zaczął chodzić wielkimi krokami po korytarzu, w tę i z powrotem. Na ścianie wisiał mdły plakat, przedstawiający, pochylonego z troską nad globusem kardynała „Aide toi, le ciel faidera”.

„Pomóż sam sobie, a niebo ci pomoże.”

Enzo zatrzymał się nagle, pstryknął palcami i zawołał:

– Ambrogio, przyprowadź tę czarną dziewczynę!

Goryl pojawił się po chwili, popychając przed sobą dziewczynę. Była wyraźnie przestraszona. Wyczuwała groźbę w zachowaniu Enzo, mimo że się uśmiechał. Skinął na nią, żeby podeszła bliżej. Zrobiła to, bardzo ostrożnie.

– O co chodzi? – zapytała Marcella. – Czego chcesz od Eunice?

– Chcę sprawdzić twoją prawdomówność. Dla mnie prawda jest bardzo ważna. Szczerłość córki wobec ojca to podstawa, świadczy o lojalności wobec rodziny.

– Zostaw ją – odpowiedziała Marcella. – Ona niczego nie zrobiła, tylko tu pracuje.

– Przecież ja nie sprawdzam jej, tylko ciebie. To ty masz mi powiedzieć prawdę. Chcę się dowiedzieć, czy przypadkiem nie wspomniałaś przy Sharpie nazwiska Medill. Mogło to zdarzyć ci się zupełnie przypadkiem. Chcę tylko poznać prawdę, Marcello, kochanie.

Ambrogio wyjął z kieszeni duży sprężynowy nóż z rogową rączką. Wyjął ostrze i zablokował. Eunice powoli skierowała w tamtą stronę wzrok i jęknęła.

– Co oni robią, panienko Marcello, co oni robią? Enzo wyszczerzył zęby.

– Eunice, słyszysz? – zwrócił się do dziewczyny. – Powiedz swojej pani, żeby powiedziała najświętszą prawdę. Wiesz, co to jest najświętsza prawda, młoda damo? To jest coś, na co można

przysiąc przed Panem Bogiem. Święta prawda to też jakby sztuczka magiczna. A wiesz czemu?

– Nie, proszę pana – wyszeptwała Eunice, nie odrywając oczu od ostrza.

– No to słuchaj uważnie. Dlatego, że może zrobić z dziewczyny takiej ładnej jak ty teraz, bardzo brzydką.

– Ojczy, to straszenie jest śmieszne – powiedziała Marcella. – Słyszysz, Eduardo dalej płacze.

Enzo złapał delikatnie rękaw jej szlafroka.

– Niech sobie popłacze, dobrze mu to zrobi na płuca. Może wyrośnie z niego drugi Caruso.

– Ojczy, już ci wszystko powiedziałam. Rozmawiałam wczoraj z Sharpem, ale nie powiedziałam słowa o Peterze Medillu. Rozmawialiśmy tylko o wyścigach.

– A cóż on wie o wyścigach?

– Niewiele, pewnie dlatego tak się lubi na ich temat wymądrzać.

Ambrogio uniósł nóż do policzka Eunice. Czubek ostrza był tylko o cal od jej skóry.

– Widziałas to już kiedyś? – zapytał sucho i rzeczowo, jakby uczył ją łowić łososia. – Wkłada się czubek ostrza do kącika ust, tylko czubek, a potem szarpie w tył, takim samym ruchem nadgarstka, jakby się strzelało z bata. Ciach! Dokładnie tak, robiąc półokrągłe nacięcie od ust aż pod ucho. I zawsze wypada język, nie wiem dlaczego.

– Jak śmiesz! – krzyknęła. – Ta biedna dziewczyna jest przerażona.

– I o to chodzi. Teraz, ze względu na swoją urodę, może cię błagać, żebyś powiedziała prawdę. Takie nacięcie zawsze zostawia potworną bliznę.

– Panienko Marcello! – krzyknęła rozpaczliwie Eunice. Chciała paść na kolana i złapać Marcellę za szlafrok, ale Ambrogio złapał ją wpół i odciągnął. Chwycił jej policzek ogromną dłonią, unosząc nóż w drugiej. Ostrze drgało w kąciku otwartych ust.

– Ja tylko chcę dowiedzieć się prawdy – powiedział Enzo. Marcella spojrzała najpierw na Eunice, potem na swojego ojca.

Dziewczyna była zbyt przestraszona, żeby coś powiedzieć, poza tym Ambrogio zaciskał jej szczęki. Enzo zaczął zacierać ręce, jakby poczuł nagle chłodny powiew.

Albo jakby miała polać się krew.

Powiedziała cicho, ale pewnie:

– Prawda jest taka, że nie powiedziałam Sharpe'owi o tym całym Medillu ani słowa. Po co? Twoje wyczyny rzucają cię także na mnie. Wstydę się tego, co robisz. Czemu miałabym to rozgłaszać? A ty i tak nigdy nie kryjesz się ze swoją działalnością, nie? Jak można wydać twój sekret, jeśli jesteś dość bezczelny, żeby się samemu przyznawać do wszystkiego publicznie?

Enzo pomyślał nad tym przez chwilę, a potem obrócił się do Ambrogio i mrugnął. Goryl przycisnął nóż do kącika ust Eunice, na tyle tylko, żeby naciąć delikatną skórę i wywołać lekkie krwawienie. Eunice zapiszczała i wyrwała się, przyciskając rękę do ust.

Ambrogio złożył nóż, śmiejąc się. Enzo też się uśmiechał z perwersyjną satysfakcją.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Eunice – powiedział. Wyjął portfel, a z niego dwudziestodolarowy banknot. Wyciągnął do niej rękę i zatrzepotał papierkiem zachęcająco. – Masz. I nie mów nigdy, że Enzo Vespucci nie jest szczodry. Jest zawsze szczodry. Dla rodziny i przyjaciół. No już, Eunice. Rana szybko się zagoi. Nie jedz tylko przesolonych flaczków.

Marcella pobiegła do pokoju Eduardo, potraćiwszy ojca w przejściu. Mały siedział w kołysce, rozpalony i czerwony od długiego płaczu. Marcella podniosła go i mocno objęła. Stała tak w ciemnym pokoju – okna były zasłonięte – a Enzo stał w progu i przypatrywał się im z uśmiechem.

– Mój wnuk – powiedział. – Mój wnuk – graba ryba. Jeszcze zobaczysz! Krew zawsze się odezwie.

Odpowiedziała, nie odwracając się nawet do niego.

– Wyjdź stąd, ojcze. Nie mam nastroju na twoje prostackie żarty.

Enzo wzruszył ramionami.

– A jednak to bardzo miłe. Masz dobre poczucie humoru. Poczucie humoru Vespuccich. Ale wierz mi, gdybym miał chociaż cień wątpliwości co do ciebie, to obciąłbym tej Murzynce głowę, razem z twoją.

– Wyjdź stąd – powtórzyła.

Eduardo pachniał zasypką dla dzieci, ciepłym moczem i talkiem. Pocałowała czubek jego spoczonej główki i zaczęła go uciszać.

– Już dobrze, kochanie, straszny potwór już sobie idzie, a mamusia zaraz cię nakarmi.

Enzo wybuchnął śmiechem. Marcella jeszcze nigdy nie słyszała takiego śmiechu, nawet u niego. Był ostry i złośliwy, suchy jak trzask lasek, którymi okładają się w farsach clowni.

Enzo skinął na Izabellę, która siedziała jeszcze w salonie, patrząc na niego nieobecny wzrokiem. Wstała i podeszła. Objęła go ramionami i potarła kolanem o jego nogawkę. Była zawsze gotowa i pokazywała to. Nawet na nią nie spojrział.

– Jestem cierpliwy – powiedział Enzo. – Ale ta sprawa z Medillem mnie martwi. Chcesz pokazać, że jesteś dobrą córką, to miej oczy i uszy otwarte. I z nikim nie rozmawiaj, pamiętaj. Teraz potrzebuję lojalnej rodziny.

Jak tylko zamknęły się za nim drzwi, jej opanowanie puściło. Wybuchnęła płaczem. Musiała usiąść na krześle w pokoju dzieciennym. Łzy kapały na becik.

W drzwiach stanęła Eunice, z chusteczką higieniczną przy ustach. Też płakała. Podeszła i ujęły się za ręce. Eduardo sapał i pokasywał.

Po chwili Marcella powiedziała:

– Muszę go przewinąć. Wytarła nos.

– Ze mną wszystko dobrze, panienko Marcello – powiedziała Eunice. – Zniosę to. Panienki

ojciec mówił prawdę, takie skaleczenia szybko się goją.

Marcella podała jej dziecko i podeszła do drzwi, żeby zapalić światło. W tym momencie zadzwonił dzwonek. Spojrzały na siebie, niepewne, co robić, pewne, że to znowu Enzo. Ale po chwili dzwonek znowu zadzwonił, krótkim, zwrotnym riffem\* [\* (jazz) zagrywka melodyczna, która, grana raz za razem, stanowi akompaniament dla solisty], na który Enzo raczej by się nie zdobył: drrring, drrr – drrr, drrring, drrr. Marcella poszła otworzyć.

To był Harry. Błady i rozczochrany, z opróżnioną do połowy butelką „Czterech Róż” w ręce.

– Harry! – krzyknęła. – Wchodź szybko. Mój ojciec dopiero co wyszedł.

Wtoczył się do środka i osunął na ścianę. Miał nieprzytomne, rozbiegane oczy.

– Widziałem go, jak tu szedłem – powiedział i zakaszła. – Miał przy sobie tę wściekłą małpę ijj... jakąś dziewczynę. Baaardzo atrakcyjna... pomyślałem sobie, baaardzo, naprawdę.

– Harry, co się stało? Jesteś zupełnie pijany! – Wprowadziła go do salonu i posadziła na sofie. Rozwalił się na oparciu, głowa opadła mu na ramię, przymknął oczy.

– Racja – wymamrotał. – Jestem bardzo pijany. Nie byłem taki pijany... od... od zwycięstwa nad Japonią. No, i zeszłego roku, na moich urodzinach. Na moich urodzinach też byłem bardzo pijany.

Otworzył oczy i zmarszczył brwi.

– Schowałem się, ooo, właśnie tak... schowałem się, jak zobaczyłem twojego ojca. Myślisz, że... jestem tchórzem? Czy powinienem był stanąć z nim twarzą w twarz, jak mężczyzna? Może... ale tak nie zrobiłem. Kolana mi się ugięły i... schowałem się za tą palmą... rośliną w doniczce, na korytarzu.

Pociągnął dwa łyki, siorbiąc głośno. Spojrzał na butelkę.

– Doprowadza mnie do szaleństwa ta butelka. Im więcej piję... tym mniej ubywa... zacząłem od ćwiartki... ćwiartki butelki, a teraz mam pół. Może jak jeszcze wypiję, to się napełni, no, rozumiesz, całkowicie...

Popatrzył na nią zaczerwienionymi oczami. Zaczął się śmiać, piskliwym i przerywanym śmiechem.

– Słuchaj, musisz wytrzeźwieć – powiedziała Marcella. – Zostań tu, zdejmij buty, zrobię ci kawy. A tego – sięgnęła po butelkę – tego musimy się pozbyć.

Próbował jej odebrać flaszkę, ale zamachnął się tylko ręką w powietrzu i opadł bokiem na sofę.

– To mnie kosztowało... ej, to mnie kosztowało... trzy dolary sześćdziesiąt... najpiękniejszy... bukiet... Ameryki...

Położył się na sofie. Już się nie śmiał.

Marcella poszła do kuchni zrobić kawę – mocną, z ciemno palonego ziarna. Spojrzała na swoją twarz w lustrze kredensu i zaczęła delikatnie masować tył głowy, tam gdzie ją złapał

ojciec. Jeszcze nigdy dotąd go nie nienawdziła. Nie była nawet pewna, czy go nienawdzi teraz, po tym co zrobił.

Upewniła się natomiast co do dwóch innych rzeczy. Po pierwsze, że ojciec na pewno zabiłby ją, gdyby się dowiedział, że to ona go zdradziła. Po drugie, bardzo chciała żyć.

Wpatrywała się w swoje niewyraźne odbicie i zastanawiała, dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Po chwili pomyślała, że przecież doskonale zna odpowiedź, znała ją, nawet zanim zadała sobie to pytanie. Enzo był nie tylko brutalny, grubiański i chciwy. Dysponował ponadto niewyczerpanym zasobem diabelskich sztuczek i pomysłów, które umożliwiały mu jego ulubioną rozrywkę; stawianie spraw na ostrzu noża i trzymanie wszystkich otaczających go ludzi na granicy przerażenia. Marcella bała się już za długo. I kiedy przez jedną krótką chwilę był przy niej zwyczajny, rozumiejący mężczyznę, zapagnęła zapomnieć o narzuconej sobie przez lata dyscyplinie.

Wypowiedziała te dwa słowa, „Peter Medill”, jakby były magicznym zaklęciem, które mogło obalić imperium. Miało zniszczyć życie i dobrą reputację wielu ludzi, razem z walącymi się ruderami.

Harry siedział wyprostowany, z rękami założonymi na brzuchu. Marcella wróciła do salonu. Nie próbowała ukryć łez. Postawiła małą filiżankę na marmurowym stoliku obok i usiadła przy Harrym.

– Harry, o co chodzi, co się stało?

Zaczął szukać po kieszeniach chusteczki. Musiał doprowadzić do porządku nos.

– Wiesz, co mi zawsze mówili, jak byłem małym dzieciakiem? Chwal się tym, co potrafisz, jeśli coś potrafisz. Czy u ciebie też się tak mówiło?

– Harry...

– Tak... – ciągnął dalej. – Harry. Wspaniały, nieustraszony dziennikarz. Dowcipniś, gawędziarz, popularny i śmiały pisarz, kandydat do Pullitzera.

Obrócił do niej twarz. Jego oczy były czerwone od alkoholu i łez. Powiedział, tak wyraźnie jak mógł:

– Zaczęliśmy coś poważnego, moja droga. Naprawdę coś. Prasa jest potęgą, o taaak... Tyle, że niektórzy się jej nie boją albo mają gdzieś... jak prawo albo życie człowieka... Oni się nie boją oddać, jak im dołożysz. Nie mają żadnych zahamowań. Bo wiesz, prasie można założyć kaganiec, można. Trzeba ją tylko zastraszyć. Śmiertelnie zastraszyć. Oczywiście nie tych wspaniałych magnatów prasowych, właścicieli gazet, o nie, oni mają swoje pozłacane broje. Trzeba się zabrać za zwykłego dziennikarzynę, takiego, co to chodzi po ulicach i zbiera informacje. Wiesz, taki jest strasznie odważny, jak ma coś wystukać na maszynie. Gorzej jak ma patrzeć w lufę czterdziestki.

– Harry, o czym ty mówisz? Co się stało? Harry położył jej rękę na kolanie.

– Dziś po południu, zaraz po tym, jak policja aresztowała Medilla, wydarzyły się dwie rzeczy. Jedna: Medill został natychmiast zwolniony za kaucją, dokładnie za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i z całą pewnością zniknie, jak białe króliczki pana czarodzieja Wielka Niespodzianka. Druga: mój fotograf został zastrzelony na podziemnym parkingu w budynku „Star”. Siedział za kierownicą mojego samochodu.

Marcella popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Matko Boska! – wyszeptała.

– Widzisz, co rozpętaliśmy? Ten twój tatuś jest porządnie rozgniewany, co? Tak to przynajmniej wyglądało spoza tej doniczkowej palmy. Przy czym przyznaję, nie widziałem go jeszcze nigdy w dobrym nastroju.

Marcella wstała, przeszła za oparcie sofy, na której siedział, i zaczęła chodzić, w jedną i drugą stronę, jakby krążyła po klatce. Nie mogła poradzić sobie z faktami, kręciło jej się w głowie. Nie mogła w to wszystko uwierzyć.

– Ten twój artykuł... czy już go wydrukowali? Wyjdzie w popołudniowym wydaniu?

Harry potrząsnął głową.

– Jest przygotowany na jutro rano. Poranne wydanie zaczynają drukować o jedenastej.

– Może udałoby się ich przekonać, żeby dali z tym spokój?

– Nie – znów potrząsnął głową. Wychylił się do tyłu i popatrzył na nią.

Marcella na chwilę zakryła twarz rękami. Potem spojrzała na Harry’ego i powiedziała:

– Popełniłam błąd. Popełniłam straszny błąd.

– Och, przestań, nie popełniłaś żadnego błędu.

– Mój ojciec jest mordercą! Zabił twójgo przyjaciela!

– Tak. I właśnie dlatego ten artykuł musi się ukazać. Miałby umrzeć za nic?

Marcella przeszła znowu przed sofę i usiadła obok niego.

– Jednak popełniłam straszny błąd. Mam śmierć tego człowieka na sumieniu.

– Tu się mylisz. Całe Chicago jest tu winne, a szczególnie radni miejscy, obieralni urzędnicy razem z tymi, którzy na nich głosują, biznesmeni, policja i różne inne służby publiczne. Po prostu każdy, kto pozwala takim ludziom jak twój ojciec robić takie interesy. On powinien już dawno siedzieć, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Dlatego podałaś mi nazwisko Medilla.

Zamilkł na chwilę. Potem zaczął znowu mówić.

– Może ten artykuł będzie miał tylko taki skutek, że zachęci kilku innych do robienia tego samego. Rozumiesz, chodzi mi o tych, którym kontakty z mafią imponują. Tych, którzy biorą brudne pieniądze i nie pytają o źródło; tych, którzy nade wszystko cenią sobie spokojne życie.

– A jeśli mój ojciec znowu kogoś zabije? – wyszeptała Marcella. – A jeśli będzie zabijał i zabijał, aż twoja gazeta się uciszy, całe miasto się uciszy i wszyscy powiedzą: „Dobra, nie powiemy już na ten temat ani słowa”?

– Nie tym razem – odpowiedział. – Teraz załatwimy go na dobre.

Marcella została z nim wieczorem. Zadzwoiła do Colbumów i wykręciła się chorobą matki. Eunice nakarmiła Eduarda i pojechała o dziewiątej do domu. Marcella zapłaciła jej za taksówkę. Dziewczyna bała się; nie miała już powodu, ale w sumie można ją było zrozumieć.

Harry trzeźwiał w miarę, jak półmrok zamieniał się w ciemność nocy. Rozpacz jest w tym przypadku lepsza od największej liczby filiżanek kawy.

– Chyba nikt nie wie, co to znaczy mieć takiego ojca – powiedziała Marcella, siedząc tuż przy nim. – Zawsze chciałam być normalną dziewczyną jak inne. Kiedy zrozumiałam, że go nie zmienię, starałam się tego wszystkiego nie zauważać. Ale masz rację, to trwało za długo, tak samo jak mieszkańcy Chicago za długo patrzyli przez palce na jego wyczyny. Jak ty się nie boisz, to ja też nie.

Pozłacany zegar z brązu stojący na marmurowym okapie kominka wybił dziesiątą.

– To dla mnie bije dzwon. Lepiej już pójdę – powiedział Harry. Marcella złapała go za rękę.

– Muszę iść – powtórzył. – Chcę tam być, jak gazeta zejdzie z maszyn.

– Zostań jeszcze chwilę. Potem pójdziemy razem po poranne wydanie, jeszcze zanim się rozjaśni, dobrze?

Zaprowadziła go do swojej sypialni, jak małe dziecko, za rękę. Sypialnia była wysoko sklepionym pomieszczeniem, urządzonym w bladej zieleni. Na ścianach, oprawione w zielone ramy, wisiały obrazy od Curriera i Ivesa o tematyce hippicznej. Jedwabna kołdra miała kolor płatków żonkila.

Marcella włączyła lampki przy wezgielciu i szepnęła:

– Usiądź.

Usiadł na brzegu łóżka, zgarbiony i wyraźnie wyczerpany. Zrzuciła z nóg pantofelki z marszczonego jedwabiu, rozluźniła pasek przy szlafroku i pozwoliła mu opaść do stóp. Pod spodem miała beżową jedwabną kombinację. Jej piersi falowały pod jedwabiem, między nimi kołysał się wisior z rubinów i diamentów. Dzięki swoim kocim oczom i zmierzwionym, kręconym włosom wyglądała teraz jak namiętna, gorąca dzikuska.

Zsunęła ramiączko koszulki. Harry wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Jeszcze na pół senny, czuł narastające podniecenie. Marcella zaczęła śpiewać, właściwie ciepło szeptać jakąś melodię „ta, ta, ta”, i tańczyć, stepując nagimi stopami o purpurowo pomalowanych paznokciach na zielono cieniowanym białym dywaniku. Obróciła się tyłem i zsunęła koszulkę. Miała szerokie plecy o oliwkowej skórze, z kilkoma pieprzykami na prawej łopacie. „Kobieta wyrzeźbiona jak etruski dzban” – czy nie tak powiedział kiedyś Dempsey o jednej ze swoich dawnych miłości z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego?

Obróciła się twarzą do niego, z dłońmi na piersiach; unosiła je lekko do góry, bo były takie pełne, duże i gładkie, pocięte jasnoblękitnymi żyłkami jak włoski marmur. Podeszła do niego



tańcząc i kołysząc biodrami, śpiewając swoje „ta, ta, ta”, jej wargi nabrzmiały, oczy błyszczały, pachniała perfumami ciepło i zachęcająco, aż na jego ustach pojawił się uśmiech, jeden z tych leniwych uśmiechów, jakim mężczyźni witają nowy dzień po nocy spędzonej na tych najprzyjemniejszych ze snów.

Opuściła dłonie, odsłaniając sutki w kolorze płatków herbacianej róży w ciemnoróżowych otoczkach. Oplotła ramionami jego szyję i pocałowała jego włosy, potem czoło, oczy, policzki.

On zaczął w odpowiedzi całować jej sutki, obejmując rękami jedną i drugą pierś. Przygryzał je delikatnie, aż stwardniały i mógł je mocno przyciskać językiem do podniebienia.

Przylgnęła mocno do jego twarzy, tak że przez chwilę nie mógł zaczerpnąć powietrza, tylko woń perfum.

– Aawgh... – zaprotestował, kiedy pocałowała go w brodę.

– O co chodzi? – zapytała miękko. Delikatnie pocałowała go tam jeszcze raz.

– Tu mnie kopnął ten twój konik.

– Ale nie ma żadnego śladu! Tylko małe zaczerwienienie.

– Musiał naruszyć kość.

– Naruszyć kość! Och, ty mój biedaku. Masz rację, dziennikarze to cykory. Eduardo jest odważniejszy niż ty!

Roześmiała się i zaczęła obsypywać go pocałunkami. Uśmiechając się poważnie, powiedział:

– To na nic, Marcella, przepraszam.

Popatrzyła na niego z bliska. Czuł jej oddech na twarzy.

– Jesteś za bardzo przygnębiony, tak? Nie możesz przestać myśleć o twoim przyjacielu. Masz wyrzuty sumienia, że zginął zamiast ciebie?

Harry wzruszył ramionami i przełknął ślinę. Miał wrażenie, jakby to, co czuł do tej pory gdzieś w dołku, przesunęło się teraz do gardła i uciskało go jak ość.

– Miał iść na randkę z dziewczyną z wysyłkowego. Powinnaś to była widzieć. Tyle krwi.

Rozluźniła mu krawat i zaczęła rozpinąć koszulę.

– Wiesz, Włosi wznoszą czasem taki toast po kolacji. Mówią: „Twoje zdrowie! Niech najsmutniejszy dzień, jaki dla ciebie nadejdzie będzie jak najszczęśliwszy z tych, które już przeżyłeś”.

Zdjęła z niego koszulę. Zaczęła całować go po ramionach. Jego pierś była wypukła i muskularna – ciemne włoski na mostku układały się w mały krzyżyk.

– Myślisz, że ja tego nie przeżywam? – zapytała, gładząc jego nagą skórę. Jej sutki tarły o jego ramiona, usta muskały uszy i dotykały obolałej brody.

Leżał na wznak i czuł na plecach chłód gładkiej kołdry. Ręka Marcelli powędrowała w dół, ku jego żołądkowi, a potem między uda, ściskając ciepło i mocno, delikatnie ciągnąc i masując, aż penis urósł jej w dłoniach. Po chwili jednak uspokoił się znowu, mimo że nadal go pieściła.

I kiedy zegar w salonie wybił wpół do jedenastej, Harry wiedział już, że to wszystko na nic się nie zda.

Za dużo whisky, za dużo rozmyślań, za dużo zmartwień.

Marcella uniosła się i usiadła.

– Może zrobiłabym kawę.

Wyciągnął ramię i pogładził koniuszkami palców jej plecy.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Nie ma czego wybaczać. Poza tym obawiam się, że nie mam święceń i nie znam się na udzielaniu rozgrzeszenia.

Nagle pochyliła się i pocałowała jego penisa. Jeszcze żadna kobieta tak go dotąd nie pocałowała, żadna. Poczul przyływ gwałtownego podniecenia. Był jednak zbyt zmęczony. Stać go było tylko na to, żeby podnieść się na łokciu i pocałować ją w plecy, gładząc czarne kręcone włosy.

Kiedy wróciła do sypialni z dwiema filiżankami gorącej kawy, spał. Miał śmiesznie złożone ręce, jakby udawał królika albo kangura. Spał z otwartymi ustami, jego włosy były potargane. Usiadła na brzegu łóżka i przyglądała się mu, popijając kawę. Położyła mu rękę na udzie i potrząsnęła nim, ale nie zareagował. Uśpiony zawartością butelki Czterech Róż; jego umysł pograżył się w ciemnym, zimnym i pustym miejscu, gdzie rozgrzeszenie dawali od ręki.

Nigdy nie dowiedział się, co z nim wtedy zrobiła. Rozebrała się. Potem weszła na łóżko obok niego, wzięła w rękę jego uśpioną dłoń i powiodła nią po swoich piersiach i całym ciele. W końcu położyła się na nim i rozwarła szeroko uda, pocierając jego bezwładnymi palcami swój otwarty seks, w przód i w tył. Zaczęła dyszeć i podśpiewywać, tym razem nie melodię z operetki, ale jakąś piosenkę z dzieciństwa. Pocałowała jego palce, a potem wsunęła je w siebie, najpierw dwa, potem trzy, cztery, tak głęboko, jak potrafiła. Potem zwarła uda, zamykając między nimi jego dłoń.

Nie dowiedział się nigdy, że to zrobiła. Nie dowiedział się, co wtedy czuła, jakim popędem dała ujście. Dyszała, sapała, jej oliwkowa skóra błyszczała od potu, powieki drżały, otwierając się i zaciskając. Był żywym mężczyzną, nagim i kompletnie nieprzytomnym, którego wykorzystwała w każdy możliwy sposób. Robiła rzeczy tak śmiało, że jej żołądek kurczył się z emocji. Raz tylko mruknął coś niewyraźnie i próbował odwrócić twarz, ale pogładziła go po czole i uspokoiła.

Kiedy otworzył oczy, była czwarta rano. W pokoju robiło się już jasno. Usiadł na łóżku i rozejrzał się, marszcząc przy tym brwi. Czuł mocny, tępy ból w karku. Oblizwał wargi i poczuł dziwny, słodkawy posmak. Czuł się nieświeżo. Usłyszał obok cichy oddech. To była Marcella. Spała.

– Jasna cholera! – powiedział ochryple i zerwał się na równe nogi.

O czwartej czterdzieści był już w budynku „Star”. Herman Short podszedł kołyszącym krokiem i rzucił w niego świeżą gazetą.

– Wyglądasz jak psie rzygowiny – powiedział.

– Dzięki, Herman.

Harry otworzył gazetę. Było tam. Zdjęcie ciała Woozy’ego nakryte prześcieradłem, na podłodze parkingu. A pod spodem napis: *ZAMORDOWANY*.

Harry wyszedł z drukarni ze złożoną gazetą pod pachą.

Teraz, na gazetowym papierze, śmierć Woozy’ego już tak bardzo nie bolała. Może nic już tak bardzo nie boli, kiedy się to widzi w drobnym czarnym druku. Może gazeta działa jak konfesjonał, ten genialny wynalazek, do którego możesz wrzucić i zostawić na zawsze te wszystkie niepojęte przeciwieństwa, rządzące codziennym życiem. Ludzie mogą umierać, śmiać się i ranić wzajemnie. Dni mogą się zaczynać pocałunkami i tancerkami, a kończyć śmiercią. Kolejka żelazna może spaść z wiaduktu na ulicę. Samoloty mogą wybuchać nad jeziorem Michigan. Głupia, ale bogata dziewczyna może wychodzić za mąż. Wszystko sprowadza się do siedmiopunktowego Royała na ósmio i półpunktowej interlinii, na dziesięć i pół cycero. Wszystko sprowadza się do szarego standardu, tak jak ludzie sprowadzeni są w ostatecznym rozrachunku do tabliczek na swoich grobach.

Harry usiadł na krześle i położył nogi na biurku. Otworzył gazetę na trzeciej stronie, gdzie umieszczono jego artykuł *PODPALACZ BYŁ OPLACANY PRZEZ MAFIĘ*. Ciągle jeszcze siedział i czytał, kiedy przyszedł Grant. Miał podkrążone oczy i wyglądał na zmęczonego.

– Harry?

Harry zdjął nogi z biurka.

– Cześć, Grant.

Grant usiadł na brzegu pulpitu.

– Smutny dzień dla „Star”. Jeszcze nikt nigdy nie zginął, nawet jak pisaliśmy o Bugsie Morganie.

– Nie martw się, Grant. Jadę zobaczyć te slumsy. Będziesz miał taki ciąg dalszy, że hej.

Grant skinął głową.

– Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Harry zapalił papierosa. zaproponował jednego Grantowi, ale ten potrząsnął głową.

– Co stary powiedział o Woozym?

– Pan Croft Tate? Jeszcze nie udało mi się z nim skontaktować. Wczoraj wieczorem miał spotkanie z panią Watson, z Kalifornijskiego Banku Handlowego. A potem... cóż, nikt tak naprawdę nie wie, gdzie jest. Zostawiłem dwie lub trzy wiadomości w hotelu Beverly Hills.

Harry uniósł brew, ale nic nie powiedział. Uważał, że każdego faceta ciągnie trochę w bok i to nie raz.

Zaczął się zastanawiać, i to z pewnym zakłopotaniem, czy i on pozwolił sobie na coś, czego nie pamięta.

Morgana przyszła na przyjęcie u Collburnów głównie z uprzejmości – wpłacili czterdzieści osiem tysięcy dolarów na fundusz „Star” dla dzieci w Europie osieroconych przez wojnę.

Mark Collburn, syn państwa Collburn, był zepsutym, aroganckim dwudziestolatkiem, którego nic w życiu nie interesowało poza żeglarstwem. Jego rodzice zafundowali mu właśnie nowy jacht, „Pandorę II”, za sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i nic dziwnego, że wygrywał każdy wyścig w swojej klasie.

Wyszła wcześniej. Odwiózł ją sympatyczny chłopak, Carl Pockett. Miał wystające zęby i loczek na czole. Cały czas przepraszał za zapach w samochodzie.

– Odwoziłem kota mojej siostry do weterynarza. Niestety, zwierzak nie jest miłośnikiem podróży.

Musnął jej policzek, zanim otworzył drzwiczki, żeby ją wypuścić, ale najwyraźniej nie miał odwagi się z nią umówić.

Millicent pospieszyła jej na przywitanie.

– Pan Birmingham tu jest. Czeka od siódmej.

– Gdzie jest?

– W sali kameralnej, panienko. Panienki matka powiedziała, żeby go tam zaprowadzić.

– Matka ciągle jest w domu?

– Tak, panienko Morgano. W gabinecie.

Morgana weszła na piętro, a potem poszła wzdłuż korytarza do drzwi matki. Zapukała dwa razy i zawołała:

– Mamciu!

Eleonora natychmiast otworzyła drzwi. Była doskonale opanowana. Miała na sobie aksamitną spódnicę w kobaltowym błękitcie i białą organdyńską bluzkę z żabotem.

– Morgana, wcześniej wróciłaś. Wejdz.

Gabinet matki był mały, ale elegancki. Stało w nim ładne biurko z drzewa orzechowego z połączanymi okuciami i półeczka na listy, koperty i pióra. Smutny cherubin patrzył ponuro ze sztychu na ścianie. Widać, w niebie też może być smutno.

– John tu jest – szepnęła Morgana.

– Tak – Eleonora skinęła głową z niezachwianym spokojem. – Nie wiedziałam, co zrobić, przyjąć go czy nie. To było bardzo niezręczne z jego strony, tak przychodzić bez uprzedzenia. Powinien był najpierw napisać. Ale pewnie nie może już popełnić większego nietaktu niż ten niedzielny. No i jak się pomyśli o tym, co cały czas wyprawiał... No więc pomyślałam, że go wpuszczę, a wy to już wyjaśnicie między sobą.

– Mamciu, ale ja nie chcę niczego wyjaśniać! Dla mnie jest już sprawa skończona! Nie mamy o czym mówić.

Eleonora obdarzyła ją matczynym uśmiechem.

– Dzisiaj właśnie pomyślałam, że mój związek z ojcem też już dawno powinien być pójść za burzę, rozbity na mieliźnie różnicy wieku i obojętności, nie mówiąc o zdradzie! Ale jednak mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do wyjaśnienia sobie nawzajem, taką mam przynajmniej nadzieję.

– Czy tatko słyszał o tym, co się dzisiaj stało?

– O zabójstwie? Nie, jeszcze nie. Nie można było się z nim skontaktować. Ma wrócić do hotelu, tylko nie wiadomo kiedy, więc zostawiłam mu wiadomość. Na wypadek, gdyby nie usłyszał o tym w wiadomościach.

Morgana usiadła przy biurku. Leżał na nim bibularz z częściowo napisanym listem. Zaczynał się od słów: „Drogi Cyrusie...” Nie czytała dalej. Ów Cyrus był Cy Wentworthem, ojcem Roberta Wentwortha. Nie interesowało jej, co matka ma do powiedzenia któremukolwiek z Wentworthów. Nie umiała jej sobie wyobrazić w ramionach Roberta. Ten przystojny, ciemnowłosy rozpustnik obejmujący matkę, uśmiechający się i zachowujący jak kochanek... „Drogi Cyrusie. Jestem tak oszołomiona...” – Morgana musiała przyznać sama przed sobą, że posunęła się za daleko.

– Czy nie mogłabyś po prostu powiedzieć Johnowi, żeby sobie poszedł? – zapytała matkę. – Powiedzieć mu, że nie chcę z nim w ogóle rozmawiać?

– Sądzę, że ty to powinnaś zrobić – odpowiedziała Eleonora. – Powinnaś sama załatwić ostatecznie tę sprawę, w taki czy inny sposób.

Morgana spuściła głowę. Jej matka zauważyła z odrobiną melancholii, jak ponętnie dziś wyglądała – córka jej i Howarda Croft Tate’a. Miała na sobie ciemnoczerwoną koktajlową suknię od Diora, bez ramion, z podkreślającą stan spódnicą. Kapelusz tego samego koloru ozdobiony był egretą\* [\* ozdoba z piór, zwykle strusich lub wykonanych z metalu albo drogich kamieni, przypinana do wysokiej fryzury lub nakrycia głowy].

– No dobrze – zgodziła się Morgana, zdejmując rękawiczki. – Tak będzie chyba najlepiej. Zejdiesz ze mną na dół?

Eleonora potrząsnęła głową.

– Tę sprawę musisz załatwić sama, moja droga.

Kiedy weszła do sali kameralnej, John siedział przy fortepianie, wybrzdąkując nieporadnie kilka taktów Chopina. Kiedy podniósł głowę, jego twarz i ramiona odbiły się w wypolerowanym skrzydle fortepianu. Przypominał przez chwilę ogromnego, żywego waleta.

John odsunął stołek od fortepianu i natychmiast wstał, idąc w jej stronę z wyciągniętymi ramionami. Mankiety koszuli błysnęły nieskazitelną bielą.

Morgana nie ruszyła się z miejsca. Złożyła ręce na piersi i patrzyła na niego

z niewzruszonym chłodem.

Zawahał się, opuścił ramiona, pochylił głowę i zaczął zbliżać się w jej stronę, robiąc wszystko, aby wyglądać na skruszonego.

– Pewnie mi nie uwierzysz, jak ci powiem, że bardzo żałuję.

– Zgadza się – odpowiedziała. Jej głos był dość ostry, by przyprawić o drżenie kryształowy żyrandol.

– Chciałbym cię przeprosić – powiedział i podniósł głowę, nieco za wcześnie, zdaniem Morgany, jak na pokutnika. – Chciałem też wyjaśnić...

– Twoje przeprosiny zostały odnotowane – przerwała mu. – Co do wyjaśnień, są zbędne. Sytuacja była wystarczająco jasna.

– Morgana, proszę, wysłuchaj mnie – błagał.

Zmierzyła go wzrokiem z góry na dół. Oto człowiek, powiedziała sobie, którego kochałam. I ciągle jeszcze kocham. Jest taki odurzająco przystojny i taki nienaganny. Jego styl, to jak się uśmiecha, i zawsze doskonale skrojone spodnie... no i oczywiście będzie kiedyś bardzo wziętym prawnikiem. Pamiętam jeszcze uścisk jego ramion, zawsze czułam, jakie są silne, przez rękawy marynarki. Pamiętam jeszcze zapach jego potu i wody kolońskiej. No cóż, jest najatrakcyjniejszym facetem, jakiego znam.

– Dobrze. Chcesz coś wyjaśnić? Wyjaśnij.

Zaczął chodzić po pokoju, z jedną ręką w kieszeni, a drugą uniesioną, jakby przemawiał na rozprawie.

– Po pierwsze – zaczął – nie mam nic na swoją obronę. To było złe, egoistyczne, nierozważne.

– Nierozważne?! – wykrzyknęła.

– Proszę – spojrzał błagalnie. – Dałaś mi szansę złożyć wyjaśnienie. Pozwól mi to zrobić, a potem mnie osądzaj.

– Proszę, mów dalej – odpowiedziała z wyraźną ironią.

– Chodzi o to, kochanie, że po tym, jak pierwszy raz się z tobą kochałem, od razu wiedziałem, że chcę się z tobą ożenić. Chciałem, żebyś była moją życiową towarzyszką. Masz zalety, których nie spotkałem dotąd u żadnej, absolutnie żadnej dziewczyny. Ale zawsze wychowywano mnie w przekonaniu, że mąż musi głęboko szanować żonę. A to oznacza, że jako narzeczony nie kompromituje jej, sypiając z nią przed ślubem. Czy potrzebne było, aby idąc do ślubu słyszeć z bocznych ławek szept w stylu: „Nie wiem, z jakiej racji ona ma na sobie białą sukienkę”?

– To jeszcze nie usprawiedliwia twojej gimnastyki z Phoebe. John rozłożył szeroko ramiona – adwokat apelujący o zrozumienie do całego świata.

– Morgano, jestem mężczyzną. Każdy odczuwa zwierzęce popędy. To go po części czyni

mężczyzną. Gdyby to nie Phoebe, to byłaby inna. Jakaś X albo Y, może prostytutka. Nie sądzisz, iż w tej sytuacji lepiej, że wszystko pozostało w rodzinie?

Morgana czuła, jak krew uderza jej do głowy. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę nie mówiąc nic, a on w tym czasie posyłał jej zachęcające spojrzenia w stylu: „No już, Morgana, bądź wyrozumiała.” Podeszła do fortepianu. Stał na nim wazon, wysoki Baccarat, z woskowobiałymi liliami. Wyjęła jedną z nich i powiedziała.

– Wiesz, co powinny oznaczać, nie? Podeszedł i stanął tuż obok, uśmiechając się.

– Morgano, kocham cię i potrzebuję. I przysięgam zaczekać, aż się pobierzemy. Zobaczysz. Będę najcnotliwszym facetem w całym Illinois, tylko dla ciebie.

– John, zdradziłeś mnie z moją siostrą!

– Ale zauważ, tylko dlatego, że nie mogłem uczciwie kochać się z tobą!

– Chcesz przez to powiedzieć, że myślisz portkami?

– Morgana, każdy mężczyzna w moim wieku czuje to samo! Pogadaj z którymkolwiek facetem z akademika Mid Western, każdy powie ci to samo! Tacy są po prostu mężczyźni! Nie mów, że nie czytałaś Kinseya! W mężczyznach jest ogień, i to ogień, który musi znaleźć ujście i ukojenie!

Morgana zamknęła oczy. Po chwili znowu je otworzyła.

– Podejź tu, John – powiedziała raczej ciepłym tonem. W jej oczach było wyzwanie. – Pocałuj mnie.

Chciała tylko, żeby jej serce przestało wreszcie szaleńczo tańczyć. John ostrożnie położył rękę na jej ramieniu, przyciągnął do siebie i pocałował.

– Nie zamkniesz nawet oczu? Posłusznie zacisnął powieki.

Sięgnęła w bok po wazon. Potem szybko cofnęła się, szarpnęła za pas jego nienaganych wieczorowych spodni i wylała mu zawartość w slipy.

– To ugasi ten okrutny ogień – powiedziała, stawiając głośno wazon na fortepianie.

John, z kamiennym wyrazem twarzy, spojrzał w dół na ociekające wodą spodnie. Powoli wyjął zza pasa dwie lilie.

– Cóż – powiedział po chwili – to byłoby na tyle. Zawsze byłaś zwolenniczką zwilżaczy do bielizny, prawda?

– John, niepotrzebne mi twoje tłumaczenia. Niepotrzebne mi twoje żarty, śpiewki, arogancja, niewierność, wyjaśnienia, cokolwiek! A teraz wynoś się z tego domu i nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj!

– Okay, okay, jak chcesz. Jest jednak jeszcze jedna rzecz. Zważywszy na to, że byliśmy oficjalnie zaręczeni tylko dwa dni, mam chyba do tego prawo.

– O co tym razem chodzi, kochanie? Oświadczenie na piśmie?



– Morgana, o czym ty do cholery mówisz? Chcę, żebyś mi oddała pierścionek. To pamiątka rodzinna.

Popatrzyła na niego z otwartymi ustami, potem nagle wybuchnęła śmiechem.

– Ależ, mój drogi, oczywiście, że oddam ci pierścionek. Dokładnie mówiąc, każę ci go odesłać. Ale póki co, byłabym wdzięczna, gdybyś wyszedł.

– No cóż, dobrze – westchnął, a potem spojrzał na nią pełnym smutku i bólu spojrzeniem, z pewnością jednym z tych, które ćwiczył starannie przed lustrem.

– A więc koniec, tak?

– Tak, John – odpowiedziała twardo. Czuła się coraz pewniej, stawała się agresywna jak młoda lwica po zabiciu pierwszej ofiary. Wiedziała, że jeszcze dużo brakuje jej, aby poczuć się szczęśliwą, ale wiedziała też, że na pewno będzie. Kiedyś, w przyszłości, jak już zniknie ból.

John wyszedł z pokoju, przy drzwiach wręczono mu kapelusz, a szofer przyprowadził samochód pod schody. Winton Snell (dla którego nic, co działo się w domu Tate'ów, nie było tajemnicą), stanął przy nim, żeby mieć pewność, że nie pokusi się na nic szalonego, jak jeden z poprzednich konkurentów dziewczyny.

Służący spojrzał na podłogę z wypolerowanego marmuru i zobaczył kałużę powiększającą się stopniowo przy lewej nogawce Johna. Uśmiechnął się zimno i John uśmiechnął się do niego. Nagle zrozumiał, na co patrzy Snell. Podniósł nogę i potrząsnął nią.

– Ach, to... to nie... nie chciałbym, żeby pan myślał... Winton pochylił grzecznie głowę, ale nic nie odpowiedział.

– Zupełnie przypadkowo woda z wazonu wylała mi się na spodnie...

Morgana obserwowała scenę ze szczytu schodów. Uśmiechnęła się do siebie i odeszła dystygowanym krokiem. Musiała się położyć. Jutro miała wcześniej wstać.

Howard wrócił do hotelu Beverly Hills we wtorek o szóstej rano. Dzień był jasny i słoneczny, wokół różowych budynków hotelu harcowały kalifornijskie przepiórki, a krzaki jukki grzechotały na wietrze jak kastaniety. Howard zapłacił taksówkarzowi i wszedł do środka, paląc pierwsze tego dnia cygaro.

Był z siebie bardzo zadowolony, dokonał właśnie czegoś w rodzaju odwetu na Eleonorze. Spędził ostatnią noc u pewnej rudowłosej gwiazdy filmowej, którą poznał dwa lata temu, kiedy otwierał studio telewizyjne Tate'a w Burbank. Tak naprawdę nazywała się Lois Heufenbacher. Była energiczna jak fajerwerk, inteligentna jak Einstein, a jej apetyt seksualny wyciskał z niego zawsze ostatnie soki. Szczególnie podniecała go mała wysepka rudych włosów na jej białej skórze. Lubiła różowego szampana i naszyjniki.

Posłaniec hotelowy zaszedł mu drogę.

– Pan Croft Tate? Dzień dobry panu. Przyszła pilna wiadomość z biura „Star” w Chicago. Poproszono mnie także, żeby przekazać panu to.

Podał Howardowi dużą kopertę z brązowego papieru. Tate przygryzł cygaro zębami i rozerwał opakowanie. W środku było dzisiejsze wydanie „Star”, przyszło pocztą lotniczą. Howard rzucił okiem na pierwszą stronę, a potem od razu przewrócił kartki na strony drugą i trzecią. Posłaniec uprzejmie czekał.

– Czy mogę coś dla pana zrobić? – zapytał.

Howard popatrzył na niego, jakby nagle zapomniał, gdzie jest i kim jest chłopiec. Potem, z poszarzałą twarzą, wypadł z hallu i pobiegł do swojego apartamentu.

Otworzył drzwi drżącymi rękami. Na nietkniętej poduszce leżały trzy zawinięte w złoty papierek cukierki i karteczka: „Hotel Beverly Hills życzy dobrej nocy”.

Szarpnął za węzeł krawata, rozpiął kilka górnych guzików koszuli i złapał za telefon.

– Centrala? Proszę mnie połączyć z numerem w Chicago, SUPERWIADOMOŚCI. Tak, jak najszybciej.

Słuchawkę podniósł McLintock, Grant był jeszcze w domu i spał. Howard natychmiast wrzasnął:

– Właśnie dostałem poranne wydanie! Co się tam do cholery wyprawia? Mówiłem wyraźnie, nic o slumsach! Mówiłem szczególnie wyraźnie, żadnych osobistych napaści na Enzo Vespucciego! Co w was, kurwa, wstąpiło? Jesteście zwolnieni, cała ta pieprzona redakcja!

Gordon odczekał chwilę, aż Howard się uspokoi, a potem powiedział:

– Próbowaliśmy się z panem wcześniej skontaktować. W hotelu powiedzieli, że pana nie ma.

– Co to za wytłumaczenie?

– Przepraszam, proszę pana, nie próbuję bynajmniej szukać wymówek. Ale wyraził pan poparcie dla artykułu o tym podpaleniu, a ten był w pewien sposób jego skutkiem. Niestety, zginął przez to Woozy.

– Chwileczkę – przerwał mu Howard, nadal wściekły. – Nie zgadzałem się na żaden artykuł o podpaleniu. Pierwsze słyszę o podpalaczu i całej aferze. Wyraźnie powiedziałem Grantowi, tobie i wszystkim w redakcji, że nie zaczynamy żadnej kampanii przeciwko Vespucciemu.

– Tak, proszę pana, doskonale to pamiętam, ale wczoraj zadzwoniliśmy do pana do domu, kiedy pan wyjeżdżał, i poprosiliśmy pana córkę, żeby zapytała, co pan myśli o naszych planach. Powiedziała, że pan się zgadza.

Ręce Howarda zacisnęły się na słuchawce. Były mokre.

– Mówisz o Morganie?

– Tak, proszę pana, o panie Morganie.

Howardowi wyrwało się głośne, nerwowe westchnięcie. Obliznął wargi. Były spieczone i suche. Poranny wiatr rozsunał zasłony, przewijał się przez nie teraz wąski strumyczek porannego kalifornijskiego słońca. Gordon odezwał się z wyraźną rezerwą:

– Panie Croft Tate, jest pan tam?

Howard skinął głową, jakby tamten mógł go widzieć, i powiedział:

– Tak, Gordon, jestem. Chyba już wiem, o co chodzi. Porozmawiam z Grantem, jak tylko uda mi się z nim połączyć, a potem zaraz wracam do Chicago. Podstawcie mi samochód na Midway.

– Tak, proszę pana. Życzę udanego lotu.

Zaraz potem Howard zadzwonił do Granta. Z początku Enid nie chciała go budzić, dopiero co się położył. Ale kiedy Howard jej powiedział, że to naprawdę sprawa życia i śmierci, zgodziła się po niego pójść. Ton Howarda podczas rozmowy był suchy i oficjalny.

– Czytałem dzisiejsze poranne wydanie i zanim powiesz chociaż słowo, chcę, żebyś wiedział, że nic nie wiedziałem o tym artykule przeciwko Vespucciemu i nie wyraziłem zgody na jego wydrukowanie, to co zrobiłeś, będzie miało daleko idące konsekwencje i może kosztować cię pracę.

Grant milczał przez chwilę, potem odpowiedział:

– Howardzie, dopiero wstałem i jestem półprzytomny. Mimo to uważam, że nie masz prawa tak do mnie mówić. I jeśli mamy dalej rozmawiać, to należą mi się przeprosiny.

Howard wybuchł:

– Jezu Chryste, Grant, nie bądź taki nadęty! Jestem twoim szefem! A ten artykuł jest nie przemyślanym oszczerstwem, bardzo niebezpiecznym. Może mieć konsekwencje, o jakich nie pomyślałbyś nawet w najgorszych snach! Na dodatek wyszedł na pierwszej stronie mojej gazety, wbrew moim wyraźnym wskazówkom!

Nie mówiąc nic, Grant odłożył słuchawkę. Howard patrzył przez chwilę z niedowierzaniem na głuchy aparat. Potem wściekle uderzył w tarczę i kazał się znowu połączyć z tym samym numerem.

– Grant? – powiedział chrapliwie, kiedy ten znowu podniósł słuchawkę.

– Tak, Howard?

– Grant, przepraszam. To nie była twoja wina. Całą aferę zawdzięczamy Morganie. Tak naprawdę, to nic o tym nie wiedziałem. Przypuszczam, że zdecydowała się autoryzować artykuł w moim imieniu. Jeszcze do niej nie dzwoniłem, ale przecucie mi mówi, że mam rację. Przepraszam. Chodzi po prostu o to, że ten artykuł stawia mnie w bardzo niewygodnej pozycji.

– Mogę wiedzieć, na czym dokładnie polega ta niewygodna pozycja? – zapytał Grant.

– Nie mogę o tym mówić przez telefon, zaraz lecę do Chicago. Porozmawiam z tobą, jak tylko będę w biurze.

– A co teraz robimy? – zapytał Grant.

– Jak to, co teraz robimy?

– Mam dalszy ciąg, artykuł na pierwszą stronę, właśnie wysłałem Harry’ego z burmistrzem, żeby przygotowali szczegółowy materiał o Południowej Dzielnicy.

– Nie możemy puścić niczego w tym stylu. Będziesz musiał to wstrzymać.

– Howard, wczoraj zabili jednego z naszych chłopców. To był tylko dzieciak i tylko odwałł swoją codzienną robotę. Nie możemy tego darować Vespucciemu. I co do cholery sobie pomyślą czytelnicy, jak nagle ucichniemy? Co zacnie pisać „Tribune”? „Och, «Stan, ci to się boją drażnić lwa...”. A może zrobią z nas raczej Stefka Burczymuchę?

Howard zamknął oczy i przetarł powieki. Zawsze bał się, że do tego dojdzie. Zawsze – od czasu tego przyjęcia w hotelu Blackstone. Sytuacja komplikowała się coraz bardziej i nie było możliwości wytłumaczenia tego komu trzeba. To była jego wina, on sam pozwalał się wciągać w coraz to nowe ograniczenia nie szukając sensownego i uczciwego wyjścia. „Jak jesz zupę z diabłem, używaj długiej łyżki” – powinien był o tym pamiętać.

– Howard, wszyscy w redakcji uważają, że powinniśmy zrobić co się da, aby rozliczyć Vespucciego. Ja też tak uważam i trudno mi sobie wyobrazić osobiste względy, obojętnie jakie, które mogłyby być ważniejsze. Pozwól, że wyłożę kawę na ławę. Jeśli wstrzymasz tę kampanię przeciwko Vespucciemu, stracisz gazetę. Twój ludzie odejdą.

Howard znów otworzył oczy. Światło słońca było jakieś takie zamazane.

– Sam porozmawiam z Enzo – powiedział. – Niczego nie wypuszczaj, dopóki ci nie dam znać.

– Byłoby dobrze, gdybyś mi powiedział, z czym masz kłopoty. Kiedy dzielisz troskę z przyjacielem... i tak dalej.

– W tym konkretnym przypadku, Grant, obawiam się, że kłopot tylko by się podwoił.

– Rób, jak uważasz. Zobaczymy się potem. Ale nie zwlekaj za długo z rozmową z Vespuccim. Może mnie skusić, żeby wypuścić ten artykuł i do diabła z konsekwencjami. Zawsze jeszcze mogę dostać robotę w Filadelfii.

Howard powoli położył słuchawkę. Miał ochotę wyjść z hotelu, pójść Sunset Boulevard do brzegu Pacyfiku i dalej, aż do horyzontu. Zawsze zdawał się taki odległy i tajemniczy. Howard nie był skomplikowanym człowiekiem, a czasem najprostszym wyjściem wydaje się wyjechać i zostawić swoje kłopoty komuś innemu. Napisałby tylko na małej karteczce: „Koniec” – tak jak jego dziennikarze podpisują artykuły.

Zamówił prywatny czarter do Chicago, potem poprosił o połączenie z Vespuccim. Carmino powiedział, że sprowadzi go do telefonu „subito”, ale minęło jakieś pięć minut, zanim Enzo podniósł słuchawkę i odezwał się, zupełnie beznamiętnie:

– Howard? Dzwonisz z Los Angeles?

– Dzień dobry, Enzo. Właśnie zobaczyłem poranną „Star”.

– Tak, Howard, mam nadzieję, że jesteś z niego dumny. Pełno tam bezczelnych kłamstw, jak zwykle. Czasami zastanawiam się, dlaczego twoi dziennikarze nie przerzucają się na literaturę, powiedzmy, powieści z Dzikiego Zachodu albo romanse?

– Przestań, Enzo. Mamy poważny problem.

– To nie my mamy poważny problem. To ty go masz. Jesteś człowiekiem, który ma bardzo poważny problem, Howard.

– Enzo, zastrzelenie tego fotografa było grubą przesadą. Jeśli myślisz, że zamierzam...

– Nie uważam, żebyś cokolwiek zamierzał – przerwał mu Enzo. – Po prostu twoja gazeta wydrukuje jutro wyraźne przeprosiny, przeprosiny na pierwszej stronie, a ty już nigdy nie wspomnisz o mnie i moich interesach, kropka. Tak myślę.

Howard potarł kark.

– Więc zastrzeliłeś tego fotografa, tak?

– Oszalałeś? Co to za podejrzenia? Nikogo nie zastrzeliłem, wiem, kim jestem. Jestem biznesmenem. Nawet nie mam broni.

– Ale kazałeś go zastrzelić.

– Howard, myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Enzo, nie możemy być przyjaciółmi.

– Cóż – odparł Enzo. – To bardzo smutne, co mówisz. Naprawdę bardzo mi przykro. Zawsze myślałem, że jesteś człowiekiem z klasą. Ale to, co napisałeś o mnie w swojej gazecie – nie, w tym nie ma klasy. Howard, jestem zmuszony ci powiedzieć, że już dość, wystarczy, masz wydrukować, że mnie przepraszasz, i potem już nigdy o mnie nie pisać. Przeprosiny mają być na pierwszej stronie.

– A co, jeśli tak nie zrobię?

– Co mówisz?

– Powiedziałem, co będzie jeśli tego nie zrobię?

Enzo roześmiał się. Tym swoim błazeńskim śmiechem, od którego mogłyby popękać szyby.

– Howard! Jak możesz zadawać takie pytania! Wszyscy na caluteńkim świecie dowiedzą się, kim naprawdę jesteś! Będą o tym trąbić!

– Dobrze, Enzo, wyraziłeś się dość jasno. Kup jutrzejszą gazetę, potem porozmawiamy.

– Howard, jesteś najrozsądniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem – odpowiedział Enzo ironicznie.

Howard odłożył słuchawkę. Wstał i poszedł sztywnym krokiem do łazienki. Musiał się wykapać i ogolić. Spojrzał na siebie w lusterku nad umywalką. Wyglądał jak klasyczny włóczęga. Prawdziwy chicagowski bumelant. To właśnie w Chicago przyjęło się niemieckie słowo „bummeln” i Howard na pewien sposób do niego pasował. Miał w sobie całą tę nadwerężoną godność włóczęgi i jego, prowadzącą do samozniszczenia, dumę. Posiadał chyba wszystkie charakterystyczne cechy oprócz jednej: zdolności przetrwania.

Wiedział, że będzie musiał pozwolić Grantowi i Harry’emu na tę ich krucjatę, niezależnie od konsekwencji. Może to wszystko wyglądałoby inaczej jakieś dwadzieścia lat temu, w czasach Big Billa Thompsona. Ale teraz Howard, tak samo jak wszyscy inni, zdawał sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w Chicago. Wyczuwał ogólną potrzebę, żeby zrównać slumsy z ziemią, pozbyć się dzielnic biedy i zrobić z Chicago miasto na miarę lat pięćdziesiątych.

Jeden osobisty sekret nie mógł być przyczyną, żeby próbować odwrócić przeznaczenie.

Zadzwoił do Marcelli. Musiał długo czekać, zanim odebrała. Jej głos był bardzo podejrzliwy.

– Kto mówi? – zapytała.

– Marcella, kochanie, to ja, Howard.

– Howard! Widziałam gazetę! Rozmawiałam też z jednym z twoich dziennikarzy, Harrym Sharpem. Powiedział mi o wszystkim.

– A co u twojego ojca? Słyszałaś coś?

– Był tu wczoraj wieczorem. Był wściekły. Zranił Eunice, ale to nic poważnego. Nie martw się, nie tknął Eduarda.

– Czemu był taki wściekły?

– Myślał, że to ja powiedziałam twojemu dziennikarzowi o podpalaczu.

Harry odchrząknął.

– A było tak?

– Jak?

– No, czy to ty mu powiedziałaś?

– Co ty sobie wyobrazasz? Myślisz, że mogłabym zrobić coś takiego?

– Nie wiem, może byś mogła – prychnął Howard. – Ale tak czy owak, stało się. Już nic nie da się zrobić. Parę minut temu rozmawiałem z Enzo. Powiedział, że jeśli „Star” nie wyciszy sprawy, on wszystko rozgłosi. Wiesz, co miał na myśli.

Marcella zamilkła na chwilę. Potem powiedziała miękko:

– I co teraz zrobisz, Howard?

– Nie mam chyba dużego wyboru. To się musiało stać, wcześniej czy później. Twój ojciec nie należy do tych, którzy wypuszczają ptaszka z garści tylko z dobroci serca.

– On w ogóle nie jest z tych, co mają serce.

– Marcella, posłuchaj. Naprawdę byłoby lepiej i dla ciebie, i dla Eduarda, gdybyście na jakiś czas wyjechali. Sytuacja stała się zbyt skomplikowana i groźna. Możecie pojechać na Florydę, do domku w Sarasota.

– Howard, nie mam zamiaru uciekać! Nigdy dotąd cię nie opuściłam, mam to zrobić teraz?

– Pomyśl o Eduardo.

– Będzie bezpieczny. Ojciec nigdy by go nie skrzywdził.

– Cóż, jak uważasz... ale gdybyś miała najmniejsze problemy... proszę, daj znać... mogę załatwić czarter w przeciągu godziny...

– Nic nam się nie stanie. Proszę, uważaj na siebie.

– Przepraszam cię...

– Za co? Może powinieneś był to zrobić już dawno temu? Chyba nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale zawsze cię do tego popychałam...

– Marcella, to jest twój ojciec...

– Tak, ale też Enzo Vespucci.

– Zadzwoń jeszcze – powiedział na zakończenie. Przez ostatnie dwa lata spędzał godziny na rozmowach o jej ojcu i o tym, co o nim myślała. Teraz nie chciał się w to wdawać. Dodał tylko cicho:

– Kocham cię, wiesz. I Eduarda. Czasem żałuję, że nie jestem kimś innym.

– Gdybyś był kimś innym, nie kochalibyśmy cię tak, ani ja ani Eduardo. Zawsze będziemy cię kochać.

– Ciao, Marcella.

– Ciao, Howard.

Kilka minut po dziewiątej czarter DC3 Orzeł wystartował z Los Angeles i skierował się na północny wschód. Howard siedział przy oknie z aktówką na kolanach i wpatrywał się w stalowoniebieski ocean. Silniki buczały i wibrowały. Po chwili kadłub zanurzył się w silny prąd powietrzny nad górami Santa Monica. Howard wyprostował się, zamknął oczy i zaczął zmawiać cichą modlitwę, tę samą, którą jego matka zmawiała przy nim co wieczór.

„Boże, bądź ze mną od rana po wieczór, bo bez Ciebie żyć nie mogę,

Bądź ze mną, kiedy noc bliska, bo bez Ciebie śmierci się boję.”



Kenneth Doyle był w doskonałym nastroju. Podał Morganie i Harry'emu śniadanie – jajka na szynce, siekane mięso w sosie, kaszę, do tego kawę i herbatę. Jedli u niego w gabinecie. Przykrył biurko białym płóciennym obrusem i postawił na środku dzbanek białych goździków. Założył dzisiaj najbardziej krzykliwy ze swoich irlandzkich garniturów – zielony w pomarańczowy deseń – i był tak podekscytowany, że prawie nie mógł jeść.

– Postawiłbym duże pieniądze na to, że twój ojciec nie zwróci się przeciwko Vespucciemu! Założyłbym się o całe sto dolarów! Zawsze starał się być obiektywny – nic bez dowodów, to była jego maksyma. Ale jak otworzyłem „Star” dzisiaj rano, chwała niech będzie Bogu, mogłem wreszcie głośno powiedzieć: „Kryminalista!” Żona myślała, że zwariowałem, tak głośno się wydarłem z zadowolenia!

Morgana nie miała apetytu. Odrobina kaszy, trochę szynki. Zeszłej nocy spała może dwie godziny. Z początku myślała tylko o Johnie, ale nad ranem zaczęła się martwić swoją samowolą w sprawie Vespucciego. Ojciec mógł mieć konkretne powody, żeby nie chciał się jemu narażać. Trudno powiedzieć jakie, ale jeszcze nigdy przedtem tak nie sprzeciwiał się jakiegokolwiek kampanii, na którą mieli ochotę jego ludzie. To było niepokojące.

Jednak z drugiej strony Kenneth był w siódmym niebie, a Harry robił wrażenie, jakby dzisiejszy numer był wstępem do wspaniałej krucjaty przeciwko zbrodni i korupcji. Nastrój w ratuszu był tak podniosły, że chyba nie mogła zrobić nic złego. Nie, wręcz przeciwnie, to była dobra robota.

Po śniadaniu wsiedli do ośmioosobowego plymutha i pojechali do Południowej Dzielnicy. Dołączyła do nich Sylvia Leno, zastępca rzeczownika prasowego władz miejskich i Sydney Kress, senior fotografów „Star”.

Sylvia była obcesową młodą damą z fryzurą a la Ava Gardner i sztucznym pieprzykiem na policzku, w śnieżnobiałej koszuli z poszerzonymi ramionami i postawionym kołnierzem.

Sydney z kolei był uosobieniem cynizmu. Robił przedtem reportaże o marynarce w Guadalcanal, Betio i na wyspie Morotai. Po dwóch i pół roku uganiania się z aparatem wśród świstu kul, ręcznych granatów i miotaczy ognia, stracił wszelkie zainteresowanie dla kobiecych stowarzyszeń, herbatek i szkolnych wycieczek. Jak dla niego, Dzielnica Południowa była rajem na ziemi, oczywiście zaraz po Betio.

– To są waszym zdaniem slumsy? Powinniście obejrzeć Atol Tarawa – błoto, robactwo, lepianki – ciekawe, jak byście tamto nazwali?

– Różnica w tym, panie Kress – odpowiedziała Sylvia – że mieszkańcy Południowej Dzielnicy nie walczą obecnie z Japończykami.

Sydney prychnął.

– Lepiej by na tym wyszli, gdyby walczyli. Przynajmniej podostawaliby medale.

Pojechali na South Cottage Avenue pod numer 2621. Był to piętrowy budynek z czerwonej cegły z białymi łukami nad oknami na piętrze. Parter zajmowało okno warsztatu reklamujące Blond Roofing Co. i roboty blacharskie. Trzech Murzynów w zakurzonych i połatanych garniturach siedziało na krawężniku tyłem do wystawy, opróżniając butelkę tkwiącą w brązowej papierowej torebce.

Kenneth Doyle podszedł do nich i usiadł. Zapytał tego obok:

– Jak sprawy?

Murzyn wytarł nos wierzchem dłoni i popatrzył w wylot ulicy, jakby spodziewał się samego świętego Mikołaja na saniach.

– Człowieku, ja jestem jak mały niedźwiadek, nie mam żadnych spraw.

Kenneth spojrział w górę na budynek.

– Wiesz, kto jest właścicielem tej budy?

– Nigdy tego nie wiedziałem, człowieku, i pewnie się już nie dowiem.

– A kto zbiera czynsz?

– A, czynsz. To co piątek. Nazywamy go Dniem Stypy. Tu już nie ma, człowieku, żywych ludzi. To jakiś Italianiec, znaczy pan Ministrone, ale jasne jak słońce, że to nie jest prawdziwe nazwisko.

– A wiesz, dla kogo pracuje?

– Daj spokój, człowieku, nie mam grosza.

Harry natychmiast sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów. Wyciągnął z niego dwa dolary i podał Murzynowi. Ten wziął je, powąchał, pomachał nimi w powietrzu, a potem starannie złożył i schował do kieszeni na piersi.

– Ministrone pracuje dla gościa zwanego Amboge.

– Ambrogio – poprawił Harry.

– To ten człowiek. Ale nie trąb, że ja to nadałem, bo i tak się wyprę.

– Mieszkasz tu?

– Bywa. Oprowadzisz nas?

– Po kiego?

– Chcemy pokazać ludziom, jak źle mieszkacie, żeby można było coś z tym zrobić.

Murzyn poklepał się po piersi.

– Czego wy chcecie? Narobić mi wstydu?

Jego kumple ryknęli śmiechem, uderzając się rękami po udach.

– No już, Jonas, oprowadź ich. Ty się nigdy nie wstydzisz! Spójrzcie na tego gościa! Prędzej byś zawstydził słonia!

Na to Murzyn, lekko zamroczony, chwiejnie, ale za to z niezachwianą pewnością siebie, wstał i podszedł do bocznych drzwi domu.

– Tutaj – powiedział, kiwając na nich palcem, jakby był przewoźnikiem na tę drugą stronę. – Proszę za mną.

Kenneth uniósł brew i wszedł pierwszy. Jak by nie było, był wybranym burmistrzem wspaniałego miasta, w którym stała ta rudera. Reszta poczłapała za nim. Harry, Morgana i Sydney Kress. Sylvia Leno trzymała się końca w nadziei, że da jej to trochę czasu na namysł i ewentualnie ucieczkę. Jeszcze nigdy nie była w Dzielnicy Południowej, nazywanej eufemistycznie Starym Miastem. Zastanawiała się, jak do licha pokazać takie ponure miejsce przeciętnemu, dobrze wykarmionemu czytelnikowi, który otworzy egzemplarz „Star” w swoim komfortowym mieszkaniu. Nie wiedziała nawet, czy ona sama to wszystko dobrze pojmuje. W każdym razie określenie typu „zaniedbane” albo „dawno nie odnawiane” nie wydawały się odpowiednie.

Korytarz był zawalony rowerami, wózkami dziecięcymi i papierowymi torbami pełnymi mokrych śmieci. Szli po nasiąkniętych moczem opakowaniach po cieście do szarlotki Flako i suszonej kukurydzy Nunso. Na pół opróżnione puszkę dyni Scout Cabin porastały powoli bladym grzybem, a, przynajmniej miesięczne, słoiki po fasoli Libby’s Deep Brown Beans dopełniały swoim widokiem ten obraz rodem z filmów Karloffa.

I wszędzie uderzający, ostry zapach – potu, moczu, zgniłych warzyw i zepsutego kurczaka.

Ostrożnie weszli na schody, poprzedzani przez kiwającego się na boki Murzyna. Jonas podśpiewywał:

„Mieszkam w tym starym domisku za długo,  
Mieszkam w tym starym domisku w cholerę za długo,  
Jaśnie pan makaroniarz może mi dać kopa w dupę,  
Ale mieszkam tu w tym starym domisku w cholerę za długo.”

Sidney wymamrotał.

– Wszystko byłoby lepsze od spędzenia w tej pieprzonej rudrze jednej pieprzonej minuty. Generale McArthurze, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

Stopnie skrzypiały i uginały się pod ich ciężarem. Poręcz była wyszczerbiona i połamana, a ściany wyglądały jakby się nabawiły trądu. U szczytu schodów było małe okienko, ostała się w nim tylko jedna szyba. Resztę zalepiono rozmiękłymi kartonami po warzywach.

Morgana nic nie mówiła wchodząc na górę, tylko raz czy dwa wsparła się na Harrym. Spodziewała się brudu i nędzy, wiedziała, że slums nie jest rodzajem letniej rezydencji. Nie spodziewała się jednak tego mdlącego zapachu, który musiała, chcąc nie chcąc, brać w płuca

z każdym oddechem. Zapachu cudzego potu, cudzych odchodów, odpadków z cudzego stołu – woń czyjegoś upadku i rozkładu atakowała bezlitośnie jej zmysły. Pomyślała, że jednym z największych przywilejów bogactwa jest możliwość kupienia sobie odosobnienia. Teraz, kiedy szła w górę schodami, ta możliwość zdawała się jej najcenniejszą rzeczą na świecie.

Kiedy jednak zaczęła chodzić po pokojach, zdecydowała się zrezygnować z marzeń o wspaniałym i uświęconym odosobnieniu. W trzecim pomieszczeniu zdjęła z twarzy chusteczkę – to była rażąca zniewaga dla ludzi, którzy musieli tu mieszkać. Jeżeli jej na nich zależało, przynajmniej trochę, to musiała doświadczyć chociaż przez chwilę tego, czego oni doświadczali na co dzień.

– To jest jadalnia – powiedział Jonas, wprowadzając ich do obskurnego pomieszczenia z podartymi workami zamiast zasłon.

Zachowując się, jakby byli niewidzialni, biali gapili się na skulonych na gołej podłodze jedenastu czarnych, którzy przypatrywali się im z taką samą ciekawością. Było tam sześciu starców. Dwóch owinęło się kocami, drząc, mimo zaduchu i przytłaczającego, parnego powietrza. Reszta, półnaga, opierała się o ścianę. Ich oczy miały pusty wyraz, a skóra na żebrach była pomarszczona jak kozuch na stygnącej czekoladzie.

– Jadalnia, mówisz? – powiedział Harry, a Sidney w tym czasie zaczął przedzierać się przez płataninę rąk i nóg, świecąc fleszem wprost w twarze staruszków.

– Tak. – Jonas wytrzeszczył zęby w uśmiechu. – A wiesz, czemu tak to nazywam? Bo co wieczór krzyczą: hej, umieramy z głodu, pomóżcie nam, umieramy z głodu.

Uznał to za tak świetny dowcip, że aż klepnął się po udzie i klasnął.

Jeden ze starych mężczyzn wyciągnął rękę do Kennetha.

– Proszę pana, już od jakiegoś czasu zimno mi w rękę, pomógłby mi pan?

Kenneth wiedział, że „zimno w rękę” znaczy „nie mam grosza”. Ale wiedział też, że jak zacznie rozdawać dolary, obojętnie jak bardzo ten stary ich potrzebował, to skończy się na kolejce na całe South Cottage Grove Avenue. Podszedł do niego, wziął jego rękę w swoją i powiedział:

– Przykro mi, stary przyjacielu, nie mam ani grosza. Zresztą nie przyszedłem tu, żeby ci dawać jakieś marne grosze. Przyszedłem, żeby ci pomóc, znaleźć wam lepsze miejsce, czyste i zdrowe. A to chyba lepsze niż parę groszy, co?

Głowa starego opadła na pierś.

– Człowieku, uwierz mi, wcale nie. Za miesiąc będę w swojej trumnie, a to najczystsze i najzdrowsze miejsce na świecie.

Jonas poprowadził ich przez podwójne drzwi do następnego pokoju.

– Nie przejmujcie się hałasem – powiedział. – Tu trzymamy dzieciaki.

Ten widok był nawet bardziej przygnębiający niż poprzedni. Smród był przepotężny,

Kenneth aż pobladł.

– Jezus Maryja, można by pociąć to powietrze na porcje i sprzedawać jako dojrzałą gorgonzolę\* [\* gatunek włoskiego sera o mocnym zapachu].

Stało tam siedem kołysek, w każdej brudne i zapłakane dziecko. Nie miały majteczek ani pieluszek. Osiem czy dziewięć innych bawiło się na wyłożonej linoleum podłodze. Tylko jedno było ubrane, reszta naga. Bawiły się puszkami, podartymi kartonowymi pudełkami i drewnianymi łyżeczkami. Pełzały po podłodze, jak jakieś karłowate stworzenia z koszmaru, sikając jak zwierzęta pod siebie i taplając się potem we własnym moczu.

Sidney chodził po pokoju dużymi krokami. Zrozumiał właśnie, że te dzieci są tak samo ofiarami, jak martwi żołnierze na plaży w Betio. Nie potrzebował do tego żadnego ideologicznego podkładu, jak dociekanie natury ich tragedii. Robił po prostu jedno zdjęcie za drugim, chciał mieć pewność, że złapie wszystkie te lepkie odparzenia, wytrzeszczone oczka, duże muchy siadające na twarzach.

Morgana odwróciła się na chwilę. Zamknęła oczy, po czym zrobiła jeszcze jeden ogromny wysiłek, aby wytrwać do końca.

Harry położył jej rękę na ramieniu.

– Dobrze się pani czuje? Może pani poczekać w samochodzie, jeśli pani chce.

Morgana potrząsnęła głową.

– Nie, wszystko w porządku. Jeśli ci ludzie mogą to znosić latami, to ja mogę wytrzymać parę minut.

– Czy rozumie pani teraz, dlaczego byłem taki zdenerwowany, kiedy spotkałem panią po raz pierwszy?

– Chodźmy dalej.

Ich półgodzinny pobyt w domu numer 1621 na South Cottage Grove Avenue był jak nie kończąca się podróż po kolejnych kręgach średniowiecznego piekła.

W jednym z ustępów trafili na trzynastoletnią dziewczynkę z farbowanym „kogutem” na głowie. Igła tkwiła jeszcze w żyłce.

Piętro wyżej, w zagraconym pokoju, który musiał być kiedyś ubikacją, leżał groteskowo gruby mężczyzna rozdęty do niewiarygodnych rozmiarów chorobą nerek. Umierał w dychawicznej ciszy na materacu, z którego szczury zostawiły tylko kupę luźnych szmat.

W innym pokoju dwie wychudzone kobiety stały przy oknie, opierając cienkie czarne łokcie o parapet. W ich oczach nie było już ani nadziei, ani ludzkiej godności. A razem z nadzieją i godnością zniknął z nich także zdrowy rozsądek. Rozmawiały o cakewalku\* [\* taniec murzyński, w którym pary maszerują jedna za drugą i ta, która wymyśli najbardziej fantastyczny krok, dostaje ciasto (cake) albo inną nagrodę] w hotelu Derby i cenie butów na maskaradę.

W rogu tego samego pokoju zobaczyli, dziesięcioletnią może, dziewczynkę, zdumiewająco

czystą i ładnie ubraną. Miała nienaturalnie wzdęty brzuch.

– Co ci się stało, dziecko? Byłaś u doktora? – zapytał łagodnie Kenneth.

– Byłam.

– I co ci pan doktor powiedział?

– Pan doktor powiedział, że dziecko urodzi się dwudziestego drugiego września.

– Dziecko? Jak to, masz mieć dziecko?

– Moje własne, tak powiedział pan doktor.

– Kto jest tatusiem? – zapytał Harry.

– Moim tatusiem?

– Nie, tatusiem twojego dziecka.

– To dziecko mojego tatusia, tak powiedział pan doktor.

Kenneth wyszedł z pokoju i złapał Jonasa za ramię.

– Już starczy, Jonas. Byłeś dobrym przewodnikiem. Wyprowadzisz nas teraz?

Obrócił się do Morgany. Był wstrząśnięty.

– Słyszałaś to? Ma urodzić własnego brata. Boże Wszechmogący!

Wyszli z domu. Stali jeszcze przez chwilę na chodniku, musieli się otrząsnąć. Ogółem naliczyli, czy też powiedziano im o siedemdziesięciu sześciu ludziach mieszkających pod tym numerem.

Siedemdziesiąt sześć osób stłoczonych na trzech piętrach nad warsztatem blacharskim. Niektórzy dopiero co się urodzili, niektórzy prawie już umarli. Część z nich straciła nadzieję, część pograżyła się w desperacji, inni oszaleli albo byli ciężko chorzy. Jednak wszyscy bez wyjątku walczyli o przetrwanie mimo, że już dawno zapomnieli albo też nigdy się nie dowiedzieli, po co żyć.

Kenneth otworzył papierośnicę i zapalił. Spojrzał na Morgane.

– Widzisz teraz, jaki to poważny problem. Przyznaję, wiedziałem, że ten dom jest najgorszy. Przeprowadziłem was tu, żeby wami trochę potrząsnąć. Ale powiedz sama, czy nie wolałabyś raczej umrzeć, niż tak żyć? Bo ja bym wolał.

– Czy mamy jakieś dowody na to, że to dom Vespucciego? – zapytał Harry.

Kenneth potrząsnął głową.

– Oficjalnie zarejestrowanymi właścicielami są Lake Shore Realtors Inc.

– A kto nadzoruje Lake Shore Realtors?

– Korporacja z Nevady, McLaughlin Enterprises. Do żadnej z tych dwóch nie należy Vespucci.

Harry spojrział na obłąający budynek.

– Dbaj o czyste ręczki. Nie można tego powiedzieć o jego domach.

– Chodźmy – powiedział Kenneth. – Chcę wam jeszcze coś pokazać.

Objechali całą Dzielnicę Południową i Wschodnią. South Wabah, Federal Street, Vincennes Avenue, Hastings, Throop i Loomis.

Do jedenastej Morgana stała się zupełnie obojętna i ślepa na ubóstwo. Widzieli stare ceglane domy, które przekrzywiały się już i rozsypywały ze starości. Widzieli przeróżne chaty, chałupy i przybudówki. Całe rodziny w szałasach ze zużytych opon, sprasowanych kartonów i metalowych baryłek. Odkryli dwie rodziny w zdezelowanym autobusie przed numerem 1400 na Hastings Avenue. Po obejrzeniu na pół rozwalonej drewnianej chałupy na rogu Clinton i Liberty, tuż przy linii kolejki Soo Line, Harry zapisał tylko lakonicznie:

„Dziesięcioro ludzi, pięć rodzin, bez łazienki, wychodka i prądu.” Zapisał już notatnik do połowy. Stał się on stenopisem, księgą upadku i rozpaczy w drugim co do wielkości mieście Ameryki. I to nie były lata dziewięćdziesiąte XIX wieku. Był rok 1949.

Jako ostatnią zwiedzili „Aleję Wychodków” – słynny odcinek ulicy Honore między Trzydziestą Piątą i Trzydziestą Szóstą Ulicą. Szli obok drewnianych ganków, sznurów z praniem i oczywiście rzędu wygódek. Byli zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Ten obraz nie wymagał zresztą żadnego komentarza – po prostu było tu tyle nędzy i brudu, że żaden normalny człowiek nie mógłby tego znieść.

– Co tu się stało? – zapytała Morgana. – Wygląda, jakby ktoś zrobił sobie z tego wychodka strzelnicę.

– Dokładnie tak było – powiedział Kenneth z pewną dozą jowialności. – Jest teraz czymś w rodzaju miejscowej atrakcji, może chyba rywalizować ze schodami u Świętego Patryka. To w tym wychodku znaleźli w niedzielę tego gangstera, Harry?

– Nie zajmowałem się tą sprawą – odpowiedział Sharpe.

– Ja tu byłem – powiedział Kress i pociągnął nosem. – Robiłem zdjęcia. Carlo Aceto, tak się nazywał. Jakiś pionek spoza miasta. Policja mówi, że pewnie wkurzył któregoś z szefów. Posadzili go w wychodku i dosłownie rozwalili.

Z boku pojawił się czarny chłopak w płaszczu z dużymi bufiastymi rękawami i przyciasnym stanem. Uśmiechał się do nich spod szerokiego ronda kapelusza.

– Rozmawiacie o tym wychodku? – zapytał.

– Tak, to ten w którym zastrzelili tego gangstera?

– To tu, człowieku – powiedział chłopak. Jego oczy były ukryte w cieniu, ale zęby błyszczały biało. Dalej się uśmiechał. Zakręcił łańcuszkiem zegarka, że świsnął w powietrzu. – Byłem tu i wszystko widziałem.

– Kiedy tu byłem z policją, synku – powiedział Sidney – wszyscy o trzy bloki stąd skarżyli się, że nagle wpadła im do oka jakaś mucha.

– Dobrze wiesz, że takie gadanie to szczyuny. – Chłopak znowu wyszczerzył zęby. – Ta strzelanina miała największą oglądalność od czasu rozgrywek koszykówki.

– I ty to widziałeś? Chłopak przymrużył jedno oko.

– Pan jest burmistrzem, tak?

– Za moje grzechy.

– I dobiere się pan do tyłków tych makaroniarskich lalusiów, tak? Znaczy, tak na poważnie?

Kenneth nic nie odpowiedział. Morgana odgoniła natrętną muchę. Duchota i smród nie pozwalały oddychać. Marzyła o tym, żeby chłopak wreszcie powiedział, co ma do powiedzenia i wszyscy mogli wrócić do ratusza. Dałaby sto dolarów za szklankę mrożonej herbaty.

Chłopak rozejrzał się, ciągle kręcąc łańcuszkiem.

– Gdybym coś ci powiedział, człowieku, to zapewnisz mi bezpieczeństwo?

– Mogę ci zapewnić ochronę dla świadka.

– A zielone?

– To zależy, dzieciaku – wtrącił się Harry. – Jak kogoś zapuszczujemy, to dostaniesz, i to dużo. A jak nie, to pięć centów i kopa w rewers.

– Mam dobre informacje – powiedział chłopak, nieco urażony. – Nie jakieś tam szczyny.

– Pięćdziesiąt – powiedział Kenneth jak brzuchomówca, prawie nie poruszając wargami.

– Pięćdziesiąt? – powtórzył Sidney.

– Może być – powiedział chłopak, dalej kręcąc łańcuszkiem, ale wyraźnie był pod wrażeniem. Nie doceniał powagi intencji Kennetha, tak samo jak Harry, Morgana i Sidney. Wiedzieli, że pewnie będzie musiał zapłacić z własnej kieszeni. Harry zanotował: „50 dolarów!!”, a Sidney zakaszłał i popatrzył gdzieś przed siebie.

– Masz jakąś maszynę? – zapytał chłopak.

Harry skinął w stronę zaparkowanego u wylotu alei busa.

– Dobra – powiedział dzieciak. – Przejedź się dookoła bloku, będę czekał na rogu Trzydziestej Szóstej.

Szwendali się jeszcze parę minut po alei i porozmawiali z kilkoma mieszkańcami. Jakaś kobieta nie miała bieżącej wody, młody mężczyzna umierał na rozedmę. Potem wrócili do samochodu i Kenneth kazał kierowcy pojechać na drugą stronę bloku.

Chłopak czekał na nich, jak obiecał, przed zabitymi deskami wystawą G. Scruggs Cleaners. Otworzyli mu tylne drzwi; wdrapał się na miejsce obok Sidneya. Ten natychmiast się odsunął i obserwował go potem uważnie przez cały czas, jak przeżuwał wykałaczkę i pociągał nosem.

– No dobrze, mój przyjacielu – powiedział Kenneth. – Jak się nazywasz?

– Earl Knapp junior, proszę pana. Znaczy, Knapp przez K.

– Okay, Earlu Knapp juniorze przez K. Powiedz mi, co widziałeś.

– Była niedziela, proszę pana. Szwendałem się z kilkoma chłopakami na tyłach tych domów. Widzieliśmy całą strzelaninę. Ten facet nawet nie starał się ukryć tego co robi. Wiedział kim jest, że my też to wiemy i nic nie powiemy, bo jest gorylem samego szefa. Po prostu, jak powiesz coś



złego na właściciela, nawet tej babce z opieki, to tak pobijają, że już nie będziesz chodzić. No i wylatujesz z mieszkania.

– Jeśli to takie niebezpieczne, to czemu mi to mówisz?

– Ktoś musi wreszcie puścić parę.

– To znaczy?

– Że jak nikt nie pęknie, to ich pan nigdy nie ruszy.

– Wiesz, że mogą próbować cię zabić, jak się dowiedzą, że tory?

– Taaam, dawno mnie tu już nie będzie. I tak miałem wyjechać do Nowego Orleanu. Brat rozkręcił mały biznes na spawaniu i chce, żebym przyjechał.

– No dobrze, jeśli zdajesz sobie sprawę z konsekwencji. Więc kto to zrobił? Kto zastrzelił Carlo Aceto?

– Słyszał pan kiedyś o takim facecie jak Ambodžo? Duża makaroniarska świnia. Czasem przychodzi po czynsz.

– Ambrogio – poprawił go Harry. – Znamy go. Pracuje dla Enzo Vespucciego.

– Chwilunia – wtrącił chłopak. – Tak nie mówiłem. Ma być uczciwie. Widziałem Ambodžo, jak to robi, tak jak ze trzydziestu albo czterdziestu innych ludzi. Ale nie widziałem żadnego Vespuki, oni też nie. Czyli Vespuki to zamknięty rozdział.

– Święte słowa, bracie – westchnął Kenneth.

– Zeznasz to w sądzie? – zapytał Harry.

– Jasne – odpowiedział chłopak. – Ale dwa warunczki, dobra? Primo, pogadacie z prokuratorem okręgowym, zanim pójdziemy do sądu. Ma być sto procencików, że Ambodžo pójdzie do pierdła. Sekundo, przygotujecie dwa bileciki, z przedsprzedaży, pierwsza klasa. Prościuteńko na południe.

– No i oczywiście te pięćdziesiąt dolarów – uśmiechnął się Kenneth.

– Jasne, że pięćdziesiątka aktualna. Chyba pan nie myśli, że naraziłbym swoją osobę dla jakiegoś śmiecia.

– Taka myśl nie przyszlaby mi do głowy nawet w najśmielszych wyobrażeniach.

Chłopak zagapił się przez chwilę w Kennetha. Potem potrząsnął głową ze zdziwienia i powiedział:

– To tak wygrywacie wybory? Znaczą, gadką turysty z kosmosu?

Wypuścili Earla na rogu Dwudziestej Ósmej, a potem zawrócili na North LaSalle, do ratusza.

– I co ty na to? – zapytał Kennetha Harry. – Bo moim zdaniem mamy pierwszorzędnego świadka.

Kenneth przejechał po twarzy otwartymi dłońmi.

– Zgadza się, to już jest coś. Ale to nie wystarczy. Może ten chłopak coś widział, a może nie. Gdyby był białym, ze średniej klasy, a najlepiej jeszcze bohaterem wojennym, to powiedziałbym:

„No, chwała Panu, jesteśmy w domu”. Ale prawda jest taka, że on jest czarny i nosi stary płaszcz, a żaden sędzia nie skarże najemnika Vespucciego na podstawie nie potwierdzonych zeznań oberwańca z Północnej Dzielnicy. Szczególnie, kiedy połowa trybunału siedzi u Vespucciego w kieszeni, zależna od jego pożyczek, alkoholu i całej reszty.

– Czego jeszcze potrzebujesz? – zapytała Morgana. Kenneth zrobił minę godną irlandzkiego goblina\* [\* w mitologii irlandzkiej elf zabawiający się kosztem ludzi lub wręcz wobec nich złośliwy].

– Przynajmniej jeszcze jednego świadka. Musi być biały i z dobrego domu. Wtedy, cóż, sprawy mogą przybrać inny obrót. Może prawnik Ambrogio przekona go, żeby sypnął swego pana i ratował własną skórę. My też oczywiście wystąpimy z taką propozycją. Chcę Enzo, nie Ambrogio. Na świecie jest pełno takich półgłówków jak Ambrogio, ale niewiele takich asów jak Vespucci. Są bardzo przebiegli i trudno ich złapać.

W ratuszu zjedli obiad; mięso na zimno, sałata i chłodzone białe wino. Potem Harry i Morgana mogli wreszcie wrócić do „Star”. Kiedy jechali windą, Morgana powiedziała:

- Chciałabym zobaczyć, co napisałeś, jak będzie gotowe.
- Czemu sama nie spróbujesz też coś napisać?
- Tak jak ten artykuł o pożarze?
- To było co innego. Teraz twoja praca na pewno zostanie doceniona.

Spuściła oczy.

– No dobrze, spróbuję. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, od czego zacząć. To było takie okropne.

– Od tego właśnie zacznij. „To, co widziałam dzisiaj rano, było takie okropne, nie wiem, jak o tym pisać.” Jak już to napiszesz, przekonasz się, że to nieprawda – wiesz, jak o tym pisać.

– Żeby tylko to nie były same słowa, o których jutro wszyscy już zdążą zapomnieć.

Harry wetknął papierosa do ust, ale jeszcze go nie zapalił.

– Mam nadzieję, że nie.

Dojechali na piętro redakcyjne. Otworzył drzwi. Kiedy szli korytarzem, zapalił papierosa i powiedział ze swoją starannie wyćwiczoną bezceremonialnością:

– Moja matka zaprosiła mnie dzisiaj na kolację. Pomyślałem, że może chciałabyś pójść ze mną.

Weszli do działu wiadomości. Był tam ogromny hałas – maszyny do pisania, telefony i krzyki jak na giełdzie. „Kopia! Kopia!”, „David, to dla ciebie, pilne.” „Gdzie do licha jest mój notatnik!” „Mów głośniej, nic nie słyszę.” „Jezu Chryste!”

Harry powiedział ostrożnie:

– Po prostu pomyślałem, że jak razem pracowaliśmy nad tą samą sprawą, to możesz mieć ochotę o tym później porozmawiać. Mogłyby powstać następne artykuły na ten temat i...

Podniósł oczy i spojrzał na nią. Wyglądała na bardzo zmęczoną, ale mimo to była oszałamiająco atrakcyjna. Mało co nie stracił panowania nad sobą.

– Oczywiście, jeśli jesteś zajęta albo coś w tym rodzaju...

– Nie, nie, to byłoby cudownie. O której?

– Około ósmej? Czy mam po ciebie przyjechać do Weatherwood?

– Nie masz chyba samochodu...

– Mogę pożyczyć od Petera Donleavy.

– Nie, spotkajmy się w Blackstonie. Wypijemy drinka, a potem możemy pojechać moim wozem.

– Słuchaj, mieszkanie mojej matki to zupełnie zwykłe miejsce. Ona jest z niego dumna i ja jestem dumny z niej, ale to zupełnie zwykłe miejsce.

Wzięła jego rękę w swoją i pocałowała go w policzek. Nagle Harry zdał sobie sprawę, że wszystko ucichło i cały dział wpatrywał w nich ze skupieniem. Kiedy Morgana rozejrzała się, wszyscy natychmiast wrócili do pracy.

– Napiszę coś o tym, co widzieliśmy dzisiaj rano, i przyniosę ci – obiecała.

– To będzie bajer, panie McBell\* [\*pan McBell – slogan reklamowy] – odpowiedział i odszedł do swojego biurka.

Wtedy właśnie pojawił się Gordon, z ołówkiem za uchem i grubym plikiem wierszowników pod pachą.

– A, tu jesteś – powiedział do Morgany. – Mam nadzieję, że przygotowałaś już linię obrony.

– Jakiej obrony? – zapytała.

Pochylił się na nią konspiracyjnie.

– Grant i ja jesteśmy po twojej stronie, tak samo dział wiadomości.

– Nie rozumiem.

Gordon wyprostował się i puścił do niej oko.

– Nic nie słyszałaś? Twój ojciec właśnie wrócił. Jest na gorze z Grantem.

– Mój ojciec?

– Tak. I nie jest specjalnie zachwycony. W rzeczy samej, kiedy zadzwonił do mnie dzisiaj rano, ział żywym ogniem.

Morgana wzięła głęboki oddech.

– Rozumiem. Cóż, chyba muszę iść na zakupy.

Gordon uśmiechnął się i skinął głową na windy.

– Przykro mi, ale mam ściśle polecenie, żeby doprowadzić cię prosto do jaskini lwa, zaraz jak cię dorwę. Pod groźbą kary śmierci.

Howard stał przy oknie swojego gabinetu na poddaszu. Z rękoma założonymi do tyłu wpatrywał się w refleksy słońca na tafli jeziora. Grant siedział na jednym z foteli Charles Eames,

najwyraźniej czując się niezręcznie i nieszczęśliwie.

Sekretarka wprowadziła Morganę.

Morgana zastanawiała się nad trzema możliwymi wyrazami twarzy: smutnym, pokornym i zmieszonym, ale ostatecznie doszła do wniosku, że pomoże tylko szczerłość.

– Tatko?

Howard podszedł do niej i pocałował ją, obejmując ramieniem.

– Właśnie przeprowadziłem długą oświeclającą rozmowę z Grantem – powiedział.

– Oświeclającą – poprawiła go Morgana.

– Tak – powiedział. – Wygląda na to, że zgodziłem się na tę kampanię przeciwko Vespucciemu.

– Wspaniale tatku, przepraszam.

– Tak naprawdę, to nie masz za co przepraszać – powiedział Howard. – Ta sytuacja trwała już i tak za długo. To moja wina, nie twoja. W zasadzie, to ma niewiele wspólnego ze slumsami czy Vespuccim, ale za to bardzo dużo ze mną i twoją matką.

– O czym ty mówisz? Howard objął ją czule.

– Właśnie to wyjaśniałem Grantowi. Pewnie powinienem był to zrobić już dawno. Czasem można coś zachować w tajemnicy, ale trzeba zaufać przyjaciołom. A Grant jest przyjacielem.

Grant odezwał się cicho:

– Może opowiedziałbyś Morganie wszystko od początku, tak jak mnie?

Howard spojrział na Morganę i skinął głową.

– Chyba ci się to należy. No i masz już dwadzieścia jeden lat. Napiałabyś się czegoś? Może kawy? Grant, jeszcze jedną whisky, będziesz tak uprzejmy? Wyznania kosztują.

Kiedy jego szklaneczka znowu się napełniła, wrócił do okna. Morgana stanęła tuż za nim, żeby widzieć jego twarz. Pociągnął łyk.

– Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała. Zawsze kochałem twoją matkę, od pierwszej chwili, kiedy ją poznałem. To był jeden z romansów nadających się na powieść – miłość od pierwszego wejrzenia.

Przerwał na chwilę. Potem zaczął mówić dalej:

– Miała wszystko, czego mi było trzeba – urodę, zdrowy rozsądek, mądrość, inteligencję. I, przede wszystkim łatwo mi było zrobić na niej wrażenie – byłem bogaty i potężny, miałem te wszystkie gazety, stacje radiowe i całą tę resztę.

– Co dalej? – poganiała go. Westchnął.

– Cóż, problem polegał na tym, że w miarę upływu lat mój brak wykształcenia, zasad dobrego wychowania i ogłady towarzyskiej stawał się coraz bardziej widoczny. Twoja matka potrafiła rozmawiać z artystami, tancerzami baletowymi, politykami. Potrafiła być zajmująca, zabawna i wszyscy ją uwielbiali. Zacząłem czuć się jak prostaczek, z wszystkimi tymi

pieniężmi i redakcjami. Wierz mi, niełatwo to powiedzieć, ale słusznie czy nie, zacząłem myśleć, że nie jestem jej wart, nie dorównywałem jej i że już na pewno jej nie interesuję.

– Tatko... – powiedziała Morgana. Czuła się potwornie.

Howard potrząsnął głową.

– Nie, nie, pozwól mi skończyć. Wiem, że pewnie się pomyliłem i nie powinienem był tak myśleć. Tak czy owak, wtedy tak właśnie się czułem, jak ci powiedziałem, i zacząłem budować między mną i twoją matką coś w rodzaju muru. A to oczywiście tylko pogorszyło sytuację. Muszę przyznać, że nie byliśmy normalnym małżeństwem od końca wojny. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak – wyszeptała.

Howard odchrząknął i znowu na chwilę zamilkł. Potem powiedział:

– Jedynym tego skutkiem było to, że twoja matka zaczęła się oglądać za innymi mężczyznami. Jednym z nich był Robert Wentworth. Zresztą, o tej sprawie wiesz wszystko, spowodowała dość dużo zamieszania w domu. Nie mogę powiedzieć, że mnie to nie zraniło, bo byłoby to kłamstwo, ale chcę, żebyś wiedziała, że raczej jestem w stanie przejść nad tym do porządku dziennego. Jednak drugą... cóż, drugą stroną medalu było to, że zacząłem oglądać się za innymi kobietami. Potrzebowałem dowartościowania. Potrzebowałem kobiety ładnej, pełnej uroku, mniej inteligentnej ode mnie, żeby mnie nie przerażała. Nie jestem psychologiem i nie znam się na tym wszystkim, ale gdy teraz o tym myślę, jestem przekonany, że kierowały mną takie pobudki. To jest, zresztą, pewnie jeden z głównych powodów większości małżeńskich zdrad.

Howard wziął duży łyk i wzdrygnął się.

– Kilka lat temu poszedłem na przyjęcie z okazji otwarcia hotelu Blackstone. Poznałem tam młodą włoską dziewczynę, Marcellę Mascagni. Była bardzo młoda, bardzo miła i od razu się polubiliśmy. Muszę ci powiedzieć, że zanim zostaliśmy kochankami minęły cztery miesiące. Zabierałem ją na kolacje, do teatru i takie tam rzeczy. Najbardziej ceniłem sobie jej towarzystwo – po prostu towarzystwo osoby, której sposób bycia nie sprawiał, że czułem się gorszy. Byliśmy przyjaciółmi, a potem... stało się. Nasz związek trwał krótko.

Morgana cofnęła się i usiadła na jednym z krzeseł. Wiedziała, jak trudno mu o tym mówić. Nigdy przedtem nikogo nie przeprosił, nigdy nie przyznał się do żadnej słabości. Jego wyznanie wstrząsnęło nią. Niszczyło także wszystkie idealistyczne wyobrażenia, jakie pieściła od czasu dzieciństwa. Jej umysł był jak galeria rzeźb, w której postawiono wspaniałe posągi w niszach. Ktoś szedł właśnie od jednej do drugiej i rozbijał je po kolei, zostawiając za sobą tylko gipsowe okruchy.

– Spotkaliśmy się kiedyś w Raquel Club i powiedziała, że jest w ciąży – powiedział Howard.

– Zaproponowałem, że mogę jej pomóc pozbyć się dziecka, doktor Keller mógł to zrobić bez

żadnego kłopotu, ale ona jest katoliczką i oczywiście nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała wtedy coś, co mnie bardzo zaskoczyło. Powiedziała, że rozmawiała o tym z matką, a ta powiedziała ojcu. Nigdy przedtem nie spotkałem jej ojca, tylko matkę. Myślałem, że może nie żyje. Zapytałem, kim jest i czy może powinienem się z nim zobaczyć. Powiedziała, że go znam. Rzeczywiście, znałem go bardzo dobrze.

Obrócił się do Morgany i zobaczył coś, o czym tylko nieśmiało przedtem marzył – zrozumienie, współczucie i miłość.

– Jej ojcem jest Enzo Vespucci – powiedział mechanicznie, nie rejestrując własnych słów.

– Och, tatku, to dlatego... Howard sztywno skinął głową.

– Teraz wiem, że powinienem był od razu powiedzieć o tym twojej matce. Powinienem był jasno postawić sprawę. Ale bardzo bałem się, że ją stracę. Gdyby się dowiedziała o Marcelli i dziecku... Myślałem, że to będzie koniec. A kiedy urodził się chłopiec, nie mogłem ot... tak odejść. Wiesz, jak całe życie marzyłem o synu.

– Czy Vespucci cię szantażował? – zapytała.

– Nie, aż do tej pory. Ale zawsze był taki podtekst. A wiesz przecież, co by się stało z reputacją „Star”, gdyby się wydało, że jestem ojcem wnuka Vespucciego i osobiście zabraniałem swoim dziennikarzom pisać przeciwko niemu. Nie mówiąc o mojej reputacji, członkostwie w Izbie Handlowej, pozycji w Partii Demokratycznej, całym moim życiu publicznym i prywatnym. Wszystko by się zawaliło. Dla ciebie też. Ty i Phoebe jesteście spokrewnione z najgroźniejszym mafioso w Ameryce.

– Chyba się napiję – powiedziała Morgana. Grant wstał i położył jej rękę na ramieniu.

– Chciałbym coś powiedzieć. Chciałbym powiedzieć, że niezależnie od błędów, jakie popełnił, Howard zrobił na mnie dzisiaj takie wrażenie, jak nikt przedtem. Po prostu przyszedł i przyznał się do wszystkiego. I nie szukał usprawiedliwienia. Wskazał na siebie jako winnego. Dlatego uważam, że zasługuje na poparcie i rodziny, i pracowników.

– Co teraz zrobisz? – zapytała Morgana.

Howard dopił drinka.

– Po pierwsze muszę iść do domu i porozmawiać z Eleonorą. Boję się jak nigdy, może mnie wyrzucić z domu i będzie miała do tego prawo. Ale muszę to zrobić. Potem wracam tu i zajmę się największą z możliwych kampanią przeciwko Vespucciemu. Muszę go zniszczyć raz na zawsze. I niech szlag trafi konsekwencje.

Nagle do oczu napłynęły mu łzy. Głos załamał się z nadmiaru nerwów i emocji.

– Vespucci zabił jednego z naszych chłopców. Wyznaczył mi termin i warunki. Jak chce walki na śmierć i życie, to będzie ją miał.

Grant spojrzał na Morganę i po raz pierwszy nie potrafiła zinterpretować wyrazu jego twarzy. Rozumiała natomiast doskonale, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo.

– To jest Roseland, tutaj dorastałem – powiedział Harry. – Zaparkuj tutaj, zaraz za tym zielonym buickiem, tak będzie dobrze.

Morgana skręciła na rogu Sto Jedenastej i zaparkowała przed jasną wystawą delikatesów Zyzniewskiego. Harry wyskoczył z samochodu i obiegł go, żeby otworzyć drzwiczki. Zgasła silnik i wysiadła.

Wyglądała bardzo smukło i elegancko w swej prostej, blade – niebieskiej sukience od Pauline Trigere, z lekko poszerzonymi ramionami. Założyła do niej żakiet tego samego koloru. Nie chciała się dzisiaj zbyt elegancko ubierać, nie na wieczór z matką Harry’ego na Sto Jedenastej Ulicy. Z drugiej strony nie mogła ubrać się zbyt prosto, żeby nie wyglądało to na lekceważenie.

– Muszę kupić coś na deser – powiedział Harry. – Jedną minutkę.

Wprowadził ją do jasno oświetlonego sklepu. Dokoła wisały pęta kielbasy, całe setki jak wota w Lourdes. Za szybą lady leżały pierogi z serem, szynka, kiszona kapusta, różne rodzaje sera, krojone salami, słoiki sałatki ziemniaczanej i sałatki warszawskiej z kwaśną śmietaną i jabłkami, oraz świeże rolmopsy ze srebrnoniebieską, błyszczącą skórką.

Na półkach stały w szeregu konserwowe ogórki, zawekowane czereśnie i puszki szynki. Zapach był zaskakująco ostry, pomieszanie wędzonego mięsa i octu z apetycznym aromatem kapusty.

Pojawił się pan Zyzniewski – mężczyzna okrągły jak drewniana wańka-wstańka. Jego twarz przypominała orzech – wyraźna oznaka dobrobytu.

– Dobry wieczór, młody człowieku – powiedział, starając się nadać głosowi surowy ton. – Czemuż to nie odwiedzałeś swojej matki przez całe dwa dni?

Uścisnęli sobie dłonie. Potem Harry przedstawił Morgane.

– Panie Zyzniewski, chciałbym panu przedstawić pannę Croft Tate, mojego szefa.

Pan Zyzniewski uklonił się i uścisnął jej rękę.

– Dobry wieczór, słoneczko. Potem obrócił się do Harry’ego.

– Jak to możliwe, że masz takiego ślicznego szefa? Spójrz na mojego!

Wskazał głową na panią Zyzniewską, krzątającą się na szczycie drewnianej drabinki przy napełnianiu wyższych półek kartonami cukru. Była szeroką w biodrach kobietą, której nogi mogłyby służyć za podpory łuku triumfalnego.

Harry wziął tort warszawski z grubą warstwą kremu i wiórkami migdałowymi. Pan Zyzniewski zapakował go starannie w kartonik i przewiązał wstążeczką.

– To najlepsze ciasto – powiedział. – Pani Zyzniewską zjada zawsze trzy na śniadanie.

Razem z Harrym wybuchnęli śmiechem, Morgana była trochę zaskoczona. Nie знаła abstrakcyjnego i lekko złośliwego poczucia humoru Polaków. Nie przedstawiono jej pani Zyzniewskiej, która oczywiście uznała żart za nie najlepszy.

Zeszła z drabinki – stopnie uginały się i skrzypiały pod jej ciężarem – i zaczęła okładać męża żółtą packą na muchy. Śmiał się przy tym tak, że dwie łzy potoczyły mu się po policzkach.

– Kiedy pan Bóg rozdawał dobre obyczaje, spałeś pod ladą! – krzyknęła na niego.

– Litości, litości! – krzyczał pan Zyzniewski, zanosząc się śmiechem.

Harry musiał obtrzeć oczy chusteczką. Pani Zyzniewską machnęła łapką w jego stronę i powiedziała surowo:

– Pamiętam cię, Marku Sczaniecki, jak tu przychodziłeś w krótkich spodenkach i kupowałeś chałwę za grosza. Więc nie śmiej się teraz ze mnie, prosiaku!

„Prosiak” rozłożył już Harry’ego kompletnie. Morgana musiała sama zabrać tort i wyprowadzić go ze sklepu. Na zewnątrz oparł się o szybę wystawy i znowu otarł oczy.

– Tych dwoje zawsze mnie rozkłada Ale wiesz, oni są jak dwa wieloryby.

Uspokoił się trochę i kiwnął głową.

– Wieloryby wybierają partnera na całe życie. Kiedy się zakochają, stają się biologicznie nierozzerwalne. Tak samo Zyzniewscy.

– Ja i szanowny pan John Birmingham nie byliśmy pewnie dość podobni do wielorybów.

Harry spojrzał na nią.

– Cóż... tak, słyszałem o tym, bardzo mi przykro.

– Nie ma powodu. Muszę przyznać, że mnie to trochę podcięło, ale wyszło mi w sumie na dobre. Czy to tu mieszka twoja matka?

Wprowadził ją do pomalowanego na zielono korytarza. Podłoga była wyłożona czarno – białą kostką. Nie była niczym przykryta, ale nieskazitelnie czysta. Z piętra dochodziły wybuchy radiowego śmiechu. Wyżej ktoś ćwiczył na wiolonczeli *Ciche lasy* Dvoraka.

Harry zasunął rozklekotaną kratę windy i nacisnął przycisk z czwórka.

– Mam nadzieję, że nie żałujesz, że przysłaś.

W świetle nagiej żarówki wyglądał na bardzo zmęczonego. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Gwiazdy mówiły, że jak skończę dwadzieścia jeden lat, moje życie wywróci się do góry nogami.

Harry zrobił zabawną minę.

– Chętnie usłyszę to jeszcze raz.

Pani Sczaniecka domyśliła się, że to jej syn, zaraz jak usłyszała windę. Czekwała w drzwiach mieszkania. Była drobną kobietą o krągłych policzkach, migdałowych oczach i małym, zadartym, typowo polskim nosku. Miała starannie zaplecione włosy, które upięła grzebykami diamante.



Założyła elegancką czarną suknię od Searsa z szerokimi wyłogami i eleganckie, czarne, staromodne buty. Miała jeszcze na sobie fartuszek kuchenny i pachniała wodą lawendową, mąką i cebulą.

– Marek! Tak myślałam, że to ty!

– Cześć, matko, to jest panna Croft Tate.

Pani Sczaniecka skłoniła głowę. W tym momencie zdała sobie sprawę, że zapomniała zdjąć fartuch i mocno się zaczerwieniła. Zaczęła szarpać się z supełem.

– Cały dzień się przygotowuję, a teraz proszę, zapomniałam o fartuchu!

– Proszę mi mówić po prostu Morgana – zaproponowała Morgana.

– Morgana? – powtórzyła pani Sczaniecka i zapytała bezpośrednio: – Czy to niemieckie imię?

– Niezupełnie. Mój ojciec wydaje poranną gazetę i chciał, żebym miała imię przypominające ranek. Mógł mnie nazwać „Świt”.

– Ciesz się, że cię nie nazwał Późny Dodatek – zażartował Harry.

Pani Sczaniecka wprowadziła ich do mieszkania. Było zatłoczone ciężkimi, zdobionymi meblami. Dużymi stołami, kredensami, biblioteczkami, gabinecikami. Dosłownie wszystko było osłonięte przed zniszczeniem. Na meblach leżały bieżniki, dziergane makatki. Wypolerowany parkiet był przykryty kilimami, a kilimy kawałkami dywaników. Lepsze z nich miały nawet na sobie gumowe maty, żeby się nie zabrudziły. Podobnie duże brązowe fotele – miały nałożone zagłówki i koronkowe narzuty na poręczach.

Ściany były oklejone jaskrawą tapetą w różę, a gdzie indziej w kratę. I wszędzie wisały obrazki Jezusa i Marii w ramach – Ostatnia Wieczerza, Przypowieść o Oraczu. Także całe mnóstwo zdjęć słowiańskich wujów i ciotek o zaciętym wyrazie twarzy, ślubne zdjęcie państwa Sczanieckich u Świętego Stanisława Kostki, Harty jako mały chłopiec, po kolana w śniegu i z groźnie zmarszczonymi brwiami, jakby chciał stłuc obiektyw wzrokiem, potem pani Sczaniecka w dniu, kiedy skończył liceum. Na kredensie, z dala od innych, stało zdjęcie ojca Harry’ego, w przewiązanej czarnej tasiemką ramce.

Pani Sczaniecka poprosiła Morgane, żeby usiadła, a Harry nalał po kieliszku słodkiego węgierskiego wina. Morgana piła tylko i wyłącznie wytrawne wina francuskie, ale tym razem z przyjemnością przyjęła poczęstunek. Miała wrażenie, jakby przez zainteresowanie pracą Harry’ego udało się jej uciec od świata bogactwa do czegoś tak prostego i zwykłego jak ten dom – w jakby bajkowej postaci. Była z siebie zadowolona. Była też jednak dość inteligentna i samokrytyczna, żeby wiedzieć, że jej zadowolenie bierze się głównie stąd, że nie musi tu stale mieszkać i prowadzić zwykłego życia mieszkańców tego domu. Wyjdzie wieczorem z Harrym i może już nigdy tu nie wracać.

Teraz jednak przyszedł czas, żeby zdać sobie sprawę z tego, kim jest i kim chce być

w przyszłości. A część tego, czym chciała być, była tutaj.

– Masz piękną sukienkę, Morgano. Możesz mi powiedzieć, ile kosztuje taka sukienka? – zapytała pani Sczaniecka.

– Matko – zaprotestował Harry.

– Nie, nic nie szkodzi – odpowiedziała Morgana. – Kupiłam ją na wyprzedaży u Fieldsa. Kosztowała sto dziesięć dolarów.

– Jedna sukienka! – wykrzyknęła pani Sczaniecka.

Obróciła się do Harry’ego i zaczęła wyrzucać z siebie pospieszne polskie słowa szeptem.

– „Jak – mogłeś – przyprowadzić – do domu – tę – kobietę – w sukni – za sto – dziesięć dolarów – i – nawet mnie – nie – ostrzec? – Nie – miałam – nawet, – nie – miałam jak – kupić – sobie – nowej – sukienki.”

Morgana domyśliła się, na co skarży się pani Sczaniecka. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Pani Sczaniecka, jestem najstarszą córką w bardzo bogatej rodzinie. Zawsze, od kiedy pamiętam, miałam wszystko, co chciałam. Ubrania, zabawki, wszystko. Ale to nie moja wina, że się urodziłam bogata, tak jak to nie pani wina, że urodziła się pani biedna.

– Cóż – powiedziała pani Sczaniecka, niezupełnie przekonana. – Z całą pewnością nie urodziłam się w bogatej rodzinie! Na wszystko, co tu widzisz, musieliśmy zapracować, ja i Janek! I to była ciężka praca!

– Oczywiście, że tak – zgodziła się Morgana. – Ale próbuję pani powiedzieć, że to panią i Harry’ego przyszłam tu zobaczyć. Bardzo go lubię i jestem pewna, że jeśli da mi pani szansę, to polubię także panią. Nie przyszłam zobaczyć, ile macie pieniędzy. Tak samo pani, kiedy mnie odwiedzi, na co szczerze liczę, nie będzie na pewno dodawała cen poszczególnych rzeczy, które mam.

– Nie musisz mnie zapraszać na rewizytę. Nie wymagam tego – powiedziała pani Sczaniecka, a jej dolna warga wysunęła się do przodu, jako wyraźna oznaka nadąsania.

– Ależ oczywiście, że panią zaproszę. I proszę mi pozwolić wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. Kiedy zobaczyłam panią w drzwiach, z tak pięknie zaplecionymi włosami i w tej czarnej sukience, wie pani, co sobie pomyślałam?

– Głupia stara kobieta, jak przypuszczam.

– Bynajmniej. Pomyślałam sobie: „Oto dama, która jest panią w swoim własnym domu. Dama o dobrym guście i manierach”. Czuję się u pani bardzo dobrze i bardzo mi przyjemnie, że mogłam panią spotkać.

Pani Sczaniecka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wycelowała swoją wysuniętą wargę w Harry’ego, jakby to była jego wina, że straciła pewność siebie. Spróbowała się uśmiechnąć i powiedziała:

– Ha!

W jej oczach pojawił się słaby poblask łez. Potem podniosła kieliszek i powiedziała:

– Chciałabym wznieść toast.

Harry i Morgana podnieśli kieliszki.

– Toast za pannę Croft Tate, dziękuję bardzo. Wypili. Potem Morgana powiedziała:

– Chciałabym wznieść toast za wszystkie matki które wychowują synów na dobrych ludzi.

A przede wszystkim za panią, pani Szaniecka.

– Matka – poprawiła pani Szaniecka.

– Dziękuję – powiedziała Morgana. – A szczególnie pani, matko.

Reszta wieczoru upłynęła w ciepłej i przyjaznej atmosferze. Wypili jeszcze dwa kieliszki słodkiego białego wina i przeszli do jadalni. Na stole paliły się świece i błyszczało szkło. Pani Szaniecka podała czerninę – zupę z kaczej krwi, śliwek, wieprzowiny i jabłek; do tego zapiekany z kiełbasą chleb, ser i sałatkę ziemniaczaną.

Pani Szaniecka opowiedziała Morganie o ojcu Harry'ego, Janku. Jak lubił książki i jak Harry był do niego zawsze podobny – duży Janek i mały Marek. Harry z kolei opowiadał, jak to matka się nim opiekowała i jak zawsze chciała, żeby był małą dziewczynką.

– Kazała mi nosić spódniczki aż do czasu, kiedy skończyłem pięć lat.

– To tradycyjny strój! – wykrzyknęła pani Szaniecka. – Pokażę ci na zdjęciach!

– Mamo! – roześmiał się Harry. – Jak pokażesz Morganie te zdjęcia, to już nigdy nie...

Tu przerwał, zauważywszy, że się trochę pośpieszył. Popatrzył na Morgane i powiedział, nieco niepewnie:

– Chodzi o to, że są trochę krępujące.

Morgana uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Wiedziała, czego o mało nie powiedział. Nie sprawiało jej przykrości, że uważał ją za atrakcyjną i chciał zachować ich przyjaźń. Pogodziła się już z myślą, że jej życie zaczyna się od nowa, że będąc znów wolną, będzie spotykać się z mężczyznami i przyjmować ich zaloty. A Harry zdawał się taki bezpośredni. Rzadka cecha – niezdolność ukrycia gniewu czy rozbawienia. Nie spotkała tego jeszcze u żadnego z synów chicagowskich dynastii z niebieskich stron książki telefonicznej. Niewielu spośród tych bogatych i sławnych mogło sobie na to pozwolić.

Morgana opowiedziała pani Szanieckiej całe swoje dzieciństwo i jak wygląda życie w Weatherwood. Pani Szaniecka dopytywała się też o ten pożar z dnia jej urodzin.

– Marek przyszedł i powiedział, że jest pani zwariowanym głuptasem. Ale przyznał, że jest pani odważna.

Zabrali się do tortu. Morgana podniosła rękę w geście protestu, kiedy pani Szaniecka chciała nałożyć jej drugi kawałek.

– Nie chcę skończyć jak pani Zyzniewski.

Harry natychmiast zaczął przedrzeźniać krzyki pani Zyzniewskiej:

– Ty prosiaku! Roztrzaskam ci głowę! Pamiętam, jak przychodziłeś w krótkich spodenkach! Wiedeński zegar w korytarzu wybił dziesiątą. Właśnie wtedy zadzwonił telefon i pani Sczaniecka poszła go odebrać. Wróciła po chwili mówiąc:

– Harry, to do ciebie. Jakiś Mutton.

– Lenny Mutken. Powiedział, że zadzwoni, jak usłyszysz coś o Rzeźniku.

– Szybko – powiedziała Morgana i wyszła za Harrym na korytarz. Stała za nim. Dziewica Maria przyglądała się im słodko, aczkolwiek smutno z ikony.

– Lenny? – zapytał Harry. Słuchał przez prawie minutę, marszcząc brwi. Potem odłożył słuchawkę i spojrzał na Morgane. Jego twarz była napięta.

– Co się stało? – zapytała Morgana. – Chyba nie powiesz, że znowu kogoś zabił.

– Dwie naraz, dokładnie tak, jak zapowiedział. Lenny mówi, że zadzwonił do niego jakieś dziesięć minut temu. Muszę jechać na róg Trzydziestej Trzeciej i Rhodes.

– Podwożę cię – powiedziała Morgana. Pani Sczaniecka przyszła do nich na korytarz.

– O co chodzi? Chyba nie musisz jechać do pracy, nie teraz!

– Przepraszam, matko. To był cudowny wieczór. Byłaś doskonała. Ale to znowu ten morderca Rzeźnik. Zabił dwie następne kobiety i muszę natychmiast jechać.

Pani Sczaniecka wydeła wargi w stronę Morgany.

– Pani jest jego szefem. Niech mi pani powie, czy on naprawdę musi jechać?

Morgana otoczyła panią Sczaniecką ramieniem.

– Przykro mi, ale tak. Taki jest los dziennikarzy. Ale to była najprzyjemniejsza wizyta spośród wszystkich, jakie pamiętam. I najlepsza kolacja. Przyjdę znowu, jeśli mnie pani przyjmie, no i oczywiście zapraszam do Weatherwood.

Ucałowała najwyraźniej zaskoczoną panią Sczaniecką.

– Dziękuję, matka!

– Ty mówisz po polsku? – zapytała pani Sczaniecką.

– Harry mnie tego nauczył, jak tu jechaliśmy, i teraz bardzo się z tego cieszę.

Szybko dokończyli kawę, ucałowali panią Sczaniecką na pożegnanie i wyszli na ulicę. Przez jasne okno wystawy sklepu zobaczyli Zyzniewskich, jak ciągle się jeszcze kłócą, a ich klienci czekają cierpliwie na kielbasę, śledzia, czy „pirogi”. Wsiedli do sportabouta Morgany i pojechali na róg Trzydziestej Trzeciej i Rhodes. Harry zapalił dwa papierosy i podał jednego Morganie.

– Cieszę się, że dobrze się bawiłaś. Uśmiechnęła się.

– Przy takiej osobie jak twoja matka i po takiej kolacji każdy byłby zachwycony.

Zaparkowali w pobliżu zrujnowanego bloku domków tarasowych w slumsowej dzielnicy murzyńskiej. Policja już przyjechała, zebrał się też spory tłum.

Morgana otworzyła drzwiczki. Na zewnątrz była potworna duchota. Syreny wyły; dom, rozświetlony światłami policyjnych wozów, wyglądał niedorzecznie odświetnie.

Harry ujął Morganę za rękę.

– Dziękuję za podwiezienie i za to, że poszłaś ze mną do matki.

– Uważaj na siebie – powiedziała miękko i sama rozpoznała w swoim głosie nutkę zachęty.

Pocałował ją w policzek. Ona pocałowała go w usta.

Wpatrywał się w jej twarz przez długie pięć sekund. Mógł je policzyć – syrena z najbliższego wozu policyjnego błysnęła w jej oczy dokładnie pięć razy.

– Zadzwoń do ciebie, mogę? – zapytał.

– Oczywiście. Jak ty nie zadzwonisz, to ja zadzwonię do ciebie.

– Dobranoc, Morgano.

– Dobranoc, Marek Szczaniecką.

– Cii – powiedział, przykładając palec do ust. – To moje sekretne nazwisko, rozumiesz, jak u Supermena. Wolno ci tylko wiedzieć, że jestem łagodnie usposobionym dziennikarzem Harrym Sharpe. Boże, jak ja przejdę przez tych wszystkich ludzi?

– Wetknij sobie kartę dziennikarza w kapelusz, to może będziesz wyglądał jak prawdziwy reporter – krzyknęła za nim.

Zaśmiał się i pomachał jej na pożegnanie, potem zaczął się przeciskać przez tłum gapiów do policyjnych barier.

Morgana patrzyła za nim przez chwilę i wsiadła do samochodu. Trzech czarnych chłopców wspięło się właśnie na maskę, żeby lepiej widzieć. Kiedy zapaliła silnik, zaczęli zeskakiwać z okrzykami strachu i radości.

Wyjechała na Trzydziestą Trzecią Ulicę i skręciła do miasta. Była bardzo podekscytowana, prawie jak pijana. Znowu miała to wspaniałe, palące uczucie, że może wszystko i nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Zaczęła podśpiewywać „Koniki lubią owies”.

Mimo że nie przyznała się do tego jeszcze przed samą sobą, każdy, kto ją znał, powiedziałby od razu, że jest zadurzona.

Morgana była u siebie może z pięć minut, kiedy usłyszała u drzwi szaleńcze pukanie.

– Morgana, jesteś tam?

To była Phoebe. Przyszła w najśliczniejszej ze swoich wieczorowych sukni, białej, z jedwabiu, bez ramion, ze spódnicą do połowy łydki. Zawinęła włosy pod biały kapelusik w kształcie różka, błyszczący cekinami. Na stopach miała proste białe sandały, też z cekinami.

Stała przez chwilę w drzwiach.

– Myślisz, że mogę już otrzymać przebaczenie? – powiedziała tym swoim gardłowym, przepraszającym tonem.

Morgana zerknęła na jej twarz w lusterku i dalej zmywała makijaż.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam, ale możliwe.

– Co powiesz na to, żeby się wybrać ze mną i Bradleyem do „Tropicala”? No chodź, możesz się przebrać w minutkę. Załóż tego niebieskiego Diora, którego miałaś w kasynie, jest super. Bradley nas zawiezie.

Morgana dalej zmywała makijaż.

– Kim jest zwierzyna która mi przypadnie?

Phoebe usiadła na łóżku z nieprzyjemnym szelestem jedwabiu.

– No, niezupełnie zwierzyna, Bradley mnie zaprosił, a zaraz potem zadzwonił Donald.

– No i?

– No i już nie mogę wytrzymać. Muszę się z nim zobaczyć. Tytuł tej historii brzmi *Córka Croft Tate'a usycha z tęsknoty za prostackim gwiazdorem filmowym*. No i obawiam się, że z nim też się umówiłam na wpół do jedenastej w Tropicalu.

– Na miłość boską! Umówiłaś się w jednym miejscu z obydwojema? Phoebe, jesteś niemożliwa.

– Wiedziałam, że tak powiesz.

Phoebe nagle wstała i pocałowała Morganę w czubek głowy.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała Morgana. – Ty już zupełnie zwariowałaś. I co ja mam zrobić?

– Miałam nadzieję, że jak pokaże się Donald... to zajmiesz się Bradleyem.

– Phoebe, czasem aż trudno w to uwierzyć. Czemu jesteś taka łatwa? Dlaczego chociaż raz nie możesz się z nim podroczyć? Przecież biegasz za nim jak szalona.

– Och, Morgana, proszę, to tylko ten raz. Nie wiedziałam, że zadzwoni. Myślałam, że już sobie mnie odpuścił. On jest taki ekscytujący, taki brutalny! Proszę, po tysiąc kroć, proszę!

Morgana popatrzyła na siostrę w lustrze tak surowo, jak potrafiła. Potem obróciła się na

stołku i powiedziała:

– Daj mi dziesięć minut, dobrze? I upewnij się, że Bradley ma ten swój odświeżacz do ust.

Zrobiła to po części dlatego, że była w dobrym nastroju, dlatego że spędziła taki fantastyczny wieczór chez\* [\* (franc) – u] Szczaniecka i dlatego, że niezależnie od tego, co zaszło między nią a Johnem, Phoebe nadal była jej siostrą. No i ta kolizja Donalda z Bradleyem była taka typowa dla Phoebe.

– Jesteś aniołem – powiedziała Phoebe.

– Raczej naiwną idiotką.

Morgana zawołała Lukię, żeby pomogła jej się ubrać. Phoebe zeszła tymczasem na dół, żeby dołączyć do Bradleya i matki, popijających w salonie manhattan.

Howard nie wrócił jeszcze do domu, ale dzwonił z biura. Jego głos był cichy i pojednawczy. Eleonora miała wrażenie, że najgorsze już za nimi. Pogrzeb Roberta Wentwortha miał być w piątek, może potem ich małżeństwo jakoś się ułoży. Tak czy owak, czuła się dzisiaj o wiele spokojniej. Ciągle jeszcze czuła się winna, ale przecież wszystko przemija. Czas jest najlepszym lekarzem. Wcześniej była u niej Morgana.

– Rozmawiałam z tatkiem w biurze. Wiesz, że cię kocha, prawda?

Eleonora uśmiechnęła się wtedy, pogrążona we własnych myślach. Uścisnęła rękę córki, jakby badała jej puls.

– Tak – odpowiedziała. – Przynajmniej taką mam nadzieję. I mam też nadzieję, że rozumiem, jak ja go kocham.

Po kwadransie Morgana była już gotowa. Schodziła właśnie tanecznym krokiem po schodach. Na dole czekał na nią Bradley, wystrojony w biały smoking.

– Cześć, Morgana. Cieszę się, że idziesz z nami. Czuję się wspaniale, mając takie babki u swego boku. Gdyby mnie teraz widział jakiś kumpel z college'u!

– Dostałby piany na ustach i padł plackiem na podłogę, tego jestem pewna – powiedziała Phoebe.

Morgana porozumiewawczo wykrzywiła twarz za plecami Bradleya. Miała tylko nadzieję, że to spotkanie trojga znajomych, z czwartym w planie, okaże się zabawne. Problem tylko w tym, że Bradley tak poważnie traktował wieczór z Phoebe, że trudno było przewidzieć, jak zareaguje na widok Donalda.

Packard Bradleya stał przed drzwiami frontowymi. Morgana pocałowała matkę na pożegnanie, obiecując, że nie zabawi długo. Potem dołączyła do Bradleya i Phoebe.

– Jak wieczór z tym klawym reporterem? – zapytała Phoebe. – No, chcę wiedzieć wszystko, jak leci.

– Szczerze mówiąc, było potwornie nudno, przede wszystkim on był potwornie nudny i nie mam najmniejszego zamiaru się z nim więcej spotykać.

– Och – powiedziała Phoebe i straciła zainteresowanie. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że jej chorobliwe zainteresowanie każdym facetem Morgany było widoczne jak zielone światło na skrzyżowaniu w pogodną noc.

– Nie wiecie przypadkiem, kto dzisiaj gra w Tropicalu? – zapytał Bradley.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Morgana. Na końcu języka miała: „Ale wiem, kto się tam będzie dzisiaj tłukł”.

Bradley prowadził jedną ręką i podśpiewywał „Bali H’ ai” myląc słowa. Phoebe złapała go za drugą i dmuchnęła mu w ucho.

– Ej, to łaskocze! – krzyknął i samochód skoczył w bok.

– Jesteś dzisiaj w dobrym nastroju – powiedziała do niego Morgana.

– Zawsze, jak odwalę kawał dobrej roboty.

– I to ma być ekscytujące? Patrząc, jak tysiące puszek wieprzowiny schodzi z linii produkcyjnej?

– Och, nie masz po prostu pojęcia, o czym mówisz.

– Najwyraźniej.

Zaparkowali przed rozjarzonym wejściem do Tropicala. Tego lata stał się najpopularniejszym klubem nocnym dla młodych i bogatych. Znajdował się w podziemiu hotelu Erie, w miejscu dawnego klubu Dobre Czasy, gdzie bogaci biali mogli posłuchać boogie-woogie w wykonaniu czarnych bandów w późnych latach dwudziestych. Grali tam Jimmy Bythe i Narty Dominique, Kid Ory i Jimmy Bertrand, John i Baby Dodds. Było to coś w rodzaju importu ze strefy zakazanej, czyli Dzielnicy Południowej.

Dziś wieczorem North Michigan Avenue aż po Water Tower zastawiona była podwójnym rzędem limuzyn. Chodniki odbijały echem stukot wysokich obcasów. Bradley wcisnął samochód obok busa chicagowskiej „Tribune”, potem podał jedno ramię Morganie, drugie Phoebe i wprowadził je do klubu.

Foyer zapełniał tłum młodych roześmianych ludzi. Zeszli kręconymi schodami do baru; ciemnej, pełnej luster sali, ozdobionej palmami o chromowanych liściach. W głębi stał błyszczący, także chromowany bar. Pełno tu było młodych przystojnych mężczyzn we frakach i pięknych dziewcząt w głęboko wyciętych sukniach. Błyszczała biżuteria, szemrały rozmowy, śmiech podrywał się falami jak ptaki do lotu. W tle Morgana dosłyszała muzykę, którą John zwykł był określać jako „podły, brudny jazz”. Przez otoczone palmami przejście przy barze widać było zapełniony parkiet.

Bradley podjął się niewdzięcznego, męskiego zadania i poszedł do baru po szampana. Zostały same w kącie, krzycząc do siebie, żeby usłyszeć choć słowo.

Morganę ogarnął nagły przyptyw zmęczenia. Dzień ciągnął się jak tydzień, pełen sprzeczności nie do pogodzenia. Śniadanie z burmistrzem, przerażająca rzeczywistość slumsów,



kolacja u pani Sczanieckiej, a potem ta gwarna feta w „Tropicalu”. Który z tak różnych obrazów Chicago był prawdziwy? Carl Sandburg powiedział kiedyś: „Zbuduj miasto, rozłóż je potem na drobne kawałeczki, poskładaj z powrotem i zobacz, czy to, co masz przed oczami, jest ci choć trochę znajome”. Po tym, co zobaczyła dzisiaj, uwierzyła, że nie ma czegoś takiego jak jedno Chicago. Było ich tak wiele, jak wielu żyło tu ludzi, a byli wśród nich i bogaci, dumni, szanowani, sławni, pełni inicjatywy, i cierpiący, brudni i pokonani, ciągle jednak żywiący resztki nadziei. A wszyscy żyli „razem”, mimo że w tak różnych światach.

Phoebe przerwała jej rozmyślenia.

– Jak zobaczysz Donalda – jeśli zobaczysz go pierwsza – to na miłość boską, daj mi jakoś znać.

Morgana zrobiła zeza i wyciągnęła język.

– Tak będzie dobrze?

Młody przystojny mężczyzna obok zmarszczył brwi i powiedział:

– Pani wybaczy...

W końcu pojawił się Bradley, wymachując butelką. Znaleźli sobie mały narożny stolik i rozlali szampana do trzech wysokich szklanek. Bradley podniósł swoją i powiedział:

– Zdrowie dwóch młodych dam, które uczynią mnie sławnym.

– Masz na myśli nas? – zapytała Morgana.

– Jeden mężczyzna i dwie kobiety to był zawsze dobry temat dla gazet, nie uważasz?

– Żeby ci tylko nie uderzyło do głowy, Bradley – odpowiedziała.

Wypili szampana i zatańczyli, Phoebe z Bradleyem, a Morgana z przystojnym młodym mężczyzną z przyciętym wąsikiem, który przedstawił się jako Fred Young IV, a tańczył jak jego imiennik Fred Astaire.

Grała piętnastoosobowa orkiestra jazzowa. Blask piętnastu białych garniturów mieszał się z połyskiem nasmarowanych brylantyną włosów i słabym poblaskiem stojaków na nuty z inkrustowanymi literami KSO – Orkiestra Kelly Sobermana. Saksofonista najwyraźniej uważał się za pozeracza niewieścich serc – robił przy solówkach sprośne aluzje, wywracając oczami i podnosząc brwi na widok każdej dziewczyny, która przewinęła się akurat przed podium. Fred Young IV zauważył raczej sucho:

– Raczej trudno uważać się za pociągającego, jak się ma ustnik między wargami, nie uważasz?

Za kwadrans dwunasta pojawił się Donald. Zauważył Morgane i pomachał do niej ręką. Morgana obróciła się do Phoebe i syknęła:

– Phoebe! Phoebe!

Ale saksofonista grał akurat głośniejsz niż zwykle i Phoebe jej nie usłyszała. Szarpnęła ją więc za rękaw, zrobiła zeza i pokazała język.

– Wszystko w porządku? – zapytał Fred Young IV.

– Tak, to rodzinne.

Phoebe przywołała w tym momencie na twarz zboląły wyraz i złapała się za żołądek.

– Ach! – wykrzyknęła. – Ach, ooo, ooo. Bradley omal nie oszalał z niepokoju.

– Phoebe! Phoebe! Co ci jest? Czy wszystko w porządku? Phoebe zachwiała się, najpierw w lewo, potem w prawo.

– Oczywiście, że nie! Czy wyglądam, jakby wszystko było w porządku? To na pewno te mięczaki, które zjadłam na obiad! Czuję je! Czuję każdego z nich! Wywracają mi się w żołądku! Bradley, te mięczaki kipią mi w żołądku!

– No... no... Phoebe... wszystko będzie dobrze... może zabrałbym cię do domu... – wyjąkał Bradley.

– Nie, nie mogłabym tego od ciebie wymagać! A Morgana? Tak świetnie się bawi! Nie, proszę, powiem ci, co trzeba zrobić. Pójdę teraz do toalety i jak dalej będę się źle czuła, wezmę taksówkę do domu. Tak, tak będzie najlepiej. Nie chcę, żebyś mnie widział w takim stanie.

Morgana złapała Bradleya za ramię.

– Wszystko w porządku, Bradley, no, proszę! No, zostań ze mną, tak strasznie chciałabym z tobą zatańczyć.

– Ale, Phoebe...

– Nic jej nie będzie, nie martw się, po prostu musi zostać przez chwilę sama. Już ją kiedyś widziałam w takim stanie, też po tym jak jadła mięczaki. Ona je uwielbia, ale one, niestety, jej nie cierpią.

Morgana i Phoebe miały już dużą praktykę w manewrowaniu partnerami. Phoebe uciekła do toalety, zanim Bradley w ogóle się zorientował, a Morgana przeprosiła Freda Younga IV szczerząc zęby w krzywym uśmiechu i padła Bradleyowi dramatycznie w ramiona, gestem godnym Scarlett O’Hara. Obróciła Bradleya w tańcu, żeby nie widział, jak Phoebe przed samymi drzwiami toalety zmienia kurs o jakieś dwadzieścia stopni i skręca do baru, przy którym czekał Donald.

Morgana i Bradley nadal tańczyli.

– Mam nadzieję, że Phoebe nie czuje się bardzo źle. Może powinnaś tam pójść i sprawdzić – powiedział Bradley.

– Och nie, nic jej nie będzie. Zdarza jej się to od czasu do czasu. Nagle przychodzi, rozumiesz, i powala ją na jakieś kilka godzin, a potem równie nagle przechodzi i znowu wszystko jest w porządku. Ale, zabawmy się!

Po lekkim Fredzie Youngu, taniec z Bradleyem przypominał wywijanie jednym z tych ciężkich rzeźbionych wózków kelnerskich z Pump Room. Nie mówiąc już o tym, że uszy Bradleya znacznie poczerwieniały i najwyraźniej nie wiedział, o czym mówić. Po półgodzinie

i następnym szampanie Morgana uznała swój obowiązek za spełniony. Poprosiła Bradleya, żeby ją odwiózł do domu.

– Muszę przyznać, że jesteś szalowa – powiedział Bradley wyprowadzając ją z Tropicala. Otworzył dla niej drzwiczki. Wsiadła, rzucając białą etolę z nerek na oparcie. Bradley wsadził głowę przez okno i powiedział:

– Poczekaj minutkę, sprawdzę, czy Phoebe wzięła swoją kurtkę. Zabiłaby mnie, gdybym o niej zapomniał.

Morgana oparła się i ziewnęła, nie zasłaniając nawet ust. W tym momencie etola ześlizgnęła się za oparcie. Morgana sięgnęła za siebie, ale zamiast etoli znalazła uchwyty dużej torby, która brzęknęła, kiedy spróbowała ją przesunąć.

Zapaliła światło nad siedzeniem kierowcy. Uklękła na swoim i zajrzała w tył. Jej etola tam była, tuż za torbą. Ale torba była teraz otwarta, a w środku widać było zmięty fartuch pokryty ciemnobrązowymi plamami.

Spojrzała na markizę przed wejściem do Tropicala. Na razie nie było śladu Bradleya. Z mocno bijącym sercem otworzyła szerzej torbę i wyjęła fartuch. Coś było w środku, to właśnie zabrzączało przy przesuwaniu. Ostrożnie odwinęła materiał.

Narzędzia rzeźnicze. Trzy profesjonalne noże długości około trzydziestu centymetrów. Miały czyste ostrza, ale ręczki z drzewa koki były mocno zabrudzone. Patrzyła na nie przez chwilę i zaczęła drzeć. Szybko zawinęła je z powrotem i wepchnęła do torby. Porwała etolę i natychmiast wysiadła z packarda, zatrzasnąwszy drzwiczki. Ciągle jeszcze nie było widać Bradleya.

Poszła North Michigan Avenue i potem, najszybciej jak mogła, West Erie Street, oglądając się ciągle za siebie, w strachu, że mógłby iść za nią.

Próbowała zatrzymać taksówkę, ale że do „Star” było nie więcej niż osiem bloków, poddała się i poszła piechotą.

Wszystko, co Bradley powiedział tego wieczora, przewijało się teraz w jej umyśle jak cofnięta taśma.

„Zdrowie tych dwóch pań, które uczynią mnie sławnym.”, Jeden mężczyzna i dwie kobiety to dobry temat do gazet, nie uważasz?” I co jeszcze? „Zawsze jestem w dobrym nastroju, jak odwałę kawał dobrej roboty.”

To się wydawało zupełnie niewiarygodne. Niemożliwe. Ale fakty były takie, że Lenny zadzwonił dzisiaj wieczorem i powiedział o tych dwóch nowych ofiarach, a niecałą godzinę później Bradley chełpił się „dwoma kobietami” i „dobrą robotą”. No i miał w samochodzie pobrudzony krwią fartuch i trzy rzeźnicze noże.

Bradley mógł się wydawać głupkowaty i nieszkodliwy. Ale czy to nie właśnie tacy nieszkodliwi i głupkowaci ludzie byli największymi zbrodniarzami? Czy to nie om właśnie

chcieli wziąć odwet za swój los? Na przykład Bradley. Kochał Phoebe. Kochał ją tak bardzo, że zeszłego piątku odgrażał się, że pobije Donalda. Może miał dwie osobowości. Głupka i Rzeźnika. Może to, że Phoebe ciągle go odrzucała, popchnęło go do skrajności – Rzeźnik postanowił zemścić się na innych kobietach. Wzdrygnęła się i znowu obejrzała za siebie. Spodziewała się chyba czegoś rodem z horroru – poczwary pełzającej za nią chodnikiem.

Wreszcie zobaczyła światła „Star”. Wbiegła do hallu pod opiekuńcze skrzydła ogromnego żyrandola. Maszyny drukowały właśnie jutrzejsze wydanie. Było jasno, mnóstwo ludzi kręcących się tu i ówdzie, i przyjazne twarze.

Wsiadła do windy i nacisnęła przycisk działu wiadomości. Wychodząc wpadła na Granta. Szedł korytarzem w swoich okularach do czytania na nosie. Studiował właśnie odcisk z powielacza mającą świadczyć o wpływach komunistów w przemyśle rozrywkowym. Tinseltown by się zaczerwienił?

– Grant? – zawołała niecierpliwie. – Widziałeś Harry’ego?

– O, witam, co tu robisz tak późno? – zapytał, zdejmując okulary. – Nawet twój ojciec już poszedł do domu.

– Grant, to absolutnie pilne – powiedziała podnieconym głosem. – Odkryłam, kim jest Rzeźnik.

– Odkryłaś, kim jest Rzeźnik? Ale jak?

– To był zupełny przypadek. Byłam dzisiaj na kolacji z Harrym i ktoś do niego zadzwonił, mówiąc, że Rzeźnik zabił dwie następne kobiety.

– Zgadza się. Jest tam teraz Busby Brill.

– Ale chodzi o to, że potem spotkałam się z chłopakiem o nazwisku Bradley Clarke, wiesz, ci Clarkowie od „Szynki Którą Uwielbiasz”.

– Jasne, spotkałem go na twoich dwudziestych pierwszych urodzinach.

– Czekałam w jego samochodzie. Sięgnęłam w tył i tam było całe brudne od krwi ubranie i rzeźnickie noże.

Grant popatrzył na nią uważnie.

– Brudne od krwi ubranie? Rzeźnickie noże?

– Grant, przysięgam, widziałam to na własne oczy.

– Lepiej wejdź do mojego biura. Zobaczą, czy da się złapać Busby’ego.

Poszła za Grantem. Jutrzejsze wydanie leżało na jego biurku. Na pierwszej stronie było zdjęcie tego pokoju na 1621 South Cottage Grove Avenue, w którym bawiły się dzieci – czarne twarze i wytrzeszczone oczy. A nad nim nagłówek. *HANBA NASZEGO MIASTA*. Pod spodem zamieścili mniejszy artykuł o Margaret Mitchell. *PRZEMINĘŁO Z WIATREM – AUTORKA ZGINĘŁA W WYPADKU SAMOCHODOWYM*. Grant podniósł słuchawkę i wykręcił numer policji. Dłuższą chwilę nikt nie odbierał. Czekając układał spinacze na biurku w wymyślną

kompozycję. W końcu ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie.

– Halo? Tu Grant Clifford. Jestem redaktorem z chicagowskiej „Star”. O, wie pan, kim jestem? Cóż, muszę pilnie rozmawiać z jednym z moich dziennikarzy, który jest teraz na miejscu tego podwójnego morderstwa na rogu Trzydziestej Trzeciej i Rhodes. Nie zawracałbym panu głowy, ale to może mieć ogromne znaczenie dla sprawy i jestem pewien, że komisarz Spectorowski pochwaliby to. Czy mógłby się pan połączyć z jednym z oficerów tam na miejscu i poprosić, żeby odnalazł Busby Brilla? Pan Brill powinien pilnie zadzwonić do biura. Tak, dziękuję bardzo. Dziękuję. Nasza gazeta docenia pańską pomoc, proszę mi wierzyć.

Grant odłożył słuchawkę i złożył dłonie w charakterystycznym dla niego geście, jakby się modlił.

– Napiałabyś się kawy? Nie jest świeża, ale na pewno postawi cię na nogi – zapytał Morganę. Po dziesięciu minutach zadzwonił Busby.

– Busby – powiedział Grant. – Może mamy jakiś trop co do tożsamości Rzeźnika. Jak tylko tam skończysz, wracaj do biura. Nie, nie mów nic policji, jeszcze nie. Tak, wiem co robię zazwyczaj, ale tym razem sprawa przedstawia się trochę inaczej. Jak się dowiemy kto to jest, musimy mieć pewność, że pierwsi to opublikujemy. Tak, Busby, to może być godzina twojego triumfu. Jest tam Harry? Grant zakrył na chwilę dłonią słuchawkę.

– Busby mówi, że Harry był tam przez chwilę, ale już pojechał. Podobno coś mu wpadło do głowy z Rzeźnikiem, ale Busby nie jest pewny, co. W każdym razie Busby będzie tu za jakieś dwadzieścia minut. Wtedy pomyślimy co dalej.

Morgana spojrzała na zegar. Było trochę po pierwszej. Podniosła gazetę i przeleciała wzrokiem artykuł o slumsach. Zbyt świeża pamięć o pobycie tam, zniechęciła ją do czytania. Powiedziała do Granta:

– Przykro mi z powodu Margaret Mitchell, ona była taka miła.

Weszła do na pół zaciemnionego działu wiadomości. W pokoju obok nieprzerwanie klekotał dalekopis. Samotny felietonista kończył ostatni akapit artykułu o japońskiej giełdzie. Z popielniczki za nim unosiły się smugi papierosowego dymu.

Podeszła do biurka Harry’ego i usiadła na skrzypiącym krześle obrotowym. Tu czuła się najlepiej, jakoś swojsko, nawet pod surowym spojrzeniem Tadeusza Kościuszki. Cyfrowy zegar przeskoczył na pięć po pierwszej. Przez okna przebijał poblask ulic Chicago, a raczej tych wielu miast z ich wieloma marzeniami.

Cały budynek drżał lekko od pracy potężnych Goss Headlinerów. Wiedziała, że tam na dole jest teraz prawdziwe piekło, tyle że doskonale zorganizowane – gazety wypływają szerokim strumieniem z maszyn, *HANBA NASZEGO MIASTA*, powielona milion razy, jest odliczana, wiązana w pakiety i rzucana na oczekujące ciężarówki.

Otworzyła górną szufladę biurka Harry’ego. Leżała w niej na pół opróżniona paczka cameli,

wyjęła jednego i zapaliła zapalką z firmowego pudełka hotelu Allerton. W tym momencie zadzwonił telefon. Wahala się przez moment, w końcu jednak podniosła słuchawkę. Odezwał się oschły głos:

– Harry? Czy to Harry Sharpe?

– Nie ma go teraz – odpowiedziała. – Kto mówi?

– Lenny Mutken. Rozmawiałem z nim wcześniej, mieliśmy się spotkać u O’Leary’ego o jedenastej, tyle że się nie pokazał. Jestem jeszcze tu, w pubie, ale nie mogę zostać dłużej. Myśli pani, że powinien szybko wrócić?

– To pan dzwonił do niego w związku z Rzeźnikiem.

– Zgadza się. Rzeźnik zabił dzisiaj w nocy dwie następne kobiety i zadzwonił do mnie zaraz potem. Chodzi o to, że obiecał mi wywiad w cztery oczy, ma powiedzieć czemu to robi i tak dalej. Za chwilę mam się z nim spotkać, dlatego potrzebuję Harry’ego.

– Dlaczego pan nie zawiadomi policji?

– Bo Rzeźnik sobie zastrzegł, że jak zawiadomię policję, to nie będzie żadnego wywiadu, a on będzie dalej zabijał, dwie dzisiaj, to może cztery jutro, sam Bóg z resztą wie, ile.

– Niech pan posłucha – powiedziała Morgana. – Harry’ego teraz tu nie ma, ale może wrócić w każdej chwili. Ja jestem Morgana Croft Tate, córka Howarda Croft Tate’a. Jeśli pan chce z kimś porozmawiać o tym wywiadzie, to może mógłby pan ze mną.

Zapadła dłuższa cisza. Usłyszała mlaśnięcie, jakby Lenny oblizywał wargi. W końcu się odezwał.

– Pani jest Morgana Croft Tate?

– Zgadza się, starszą córką Howarda Croft Tate’a.

– Oczywiście, widziałem panią w gazetach w zeszły weekend. Uratowała pani tę małą Murzynkę.

– Jest pan teraz u O’Leary’ego?

– Jasne – odpowiedział. – Niech pani posłucha. A może by tak pani tu przyszła? Tylko niech pani nikomu nie mówi, on jest chyba naprawdę nerwowy. Wie pani, starczyłoby tylko szepnąć słowo „policja” i już go tracimy. A wywiad twarzą w twarz, pomógłby go złapać. No i jaka to byłaby sensacja...

Morgana nie wahała się. Potrafiła rozpoznać prawdziwą okazję. Była w tym momencie jedyną osobą, która miała podstawy sądzić, że Rzeźnikiem jest Bradley Clarke. Najlepsze, co mogła zrobić, to pójść na spotkanie, rozpoznać Bradleya i tym samym ubiec wszystkich w rozwiązaniu zagadki. I to nie tylko „Tribune” czy „Daily News”, ale także Busby’ego i nawet Harry’ego Sharpe.

– Niech mi pan da pięć minut.

Wstała i miała już odejść, kiedy pomyślała o pozostawieniu informacji dla Harry’ego.

Naskrobała więc szybko na skrawku papieru: „U O’L. rozm. z Mutk.” Wsunęła kartkę pod taśmę maszyny do pisania i szybko wyszła z działu wiadomości. Przeszła cicho pod drzwiami Granta, żeby się nie zorientował, i zjechała w dół.

Pchnęła obrotowe drzwi i wyszła na cichą Wabash Avenue. Było późno, prawie żadnych samochodów. Gdzieś na Near North Side zawyła syrena. Znowu ktoś zginął. Wiatr od jeziora był delikatny i jednostajny, nieco chłodny. Był to nocny wiatr, który zmuszał włóczęgów i ćpunów, by szczelniej owijali płaszcze wokół wyniszczonych ciał, myśląc o czasach, kiedy życie wyglądało inaczej. Słyszając ten wiatr Murzyni z Południa otwierali oczy w Południowej Dzielnicy i wspominali w ciemności Macon, Baton Rouge, Memphis i wiatr wiejący w gałęziach sasafarów.

U O’Leary’ego było prawie pusto. Urzędował jedynie Dempsey z przyjacielem, zapitym jak on sam. Rozmawiali o baseballu, Dempsey nie zauważył nawet Morgany.

Podeszła wprost do baru i zapytała Roya o Lenny’ego Mutkena. Wskazał na niego palcem. Siedział sam i czytał „Mitchella”, magazyn „Star” – ogólne tematy, opowiadania, historie z życia wzięte, przepisy na ciasta i jak co naprawić w domu. Nakład około miliona trzystu tysięcy.

Lenny wstał, kiedy podeszła do stolika, i zgasił papierosa.

– Panna Croft Tate? To właśnie nazywam niespodziewanym zaszczytem. Nie myślałem, że ujrzę kogoś z Croft Tate’ów po tym, jak opuściłem „Star”. Ale oto jest pani i to bardzo urodziwa, jeśli nie ma pani nic przeciwko komplementowi starego człowieka.

– Oczywiście, że nie – uśmiechnęła się. – Może się pan czegoś napije?

Lenny potrząsnął głową i nakrył dłonią szklanekę.

– Nie, nie, już starczy. To będzie wspaniały wieczór! Oko w oko z Rzeźnikiem! Jak powiedziałem o tym Harry’emu, był naprawdę podniecony. Nie rozumiem, dlaczego nie przyszedł. Taka sprawa! Ale pani jest córką szefa, tak? Jest więc pani profesjonalistką, o ile nie jedyną kobietą godną tego miana w prasie. Może się pani zająć tym artykułem tak samo jak Harry.

– Mam nadzieję – odpowiedziała. Lenny przełknął ostatni łyk whisky.

– No, to mój samochód czeka. Mam się spotkać z Rzeźnikiem naprzeciw bloków Marshalla Fielda, czyli naprzeciw mojego domu. Może pani ze mną pojechać, pod warunkiem, że zostanie pani w samochodzie i nie pozwoli mu się zorientować, że tam jest Chce pani? Myśli pani, że da radę?

– Sądzę, że tak – odpowiedziała.

Wstali i podeszli do wyjścia. Właśnie wtedy rozpoznał ją Walter i gwałtownie zapragnął się przywitać.

– Panna Croft Tate! Panna Morgana Croft Tate! Niech pani przyjmie najlepsze gratulacje znane człowiekowi czy bogom! Niech pani przyjmie też te nie znane człowiekowi czy bogom.

– Proszę za mną, panno Croft Tate, nie mamy czasu – powiedział Lenny.

Morgana uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Czy wszystko w porządku, Walter?

– Czy w porządku? Wprost świetnie, panno Croft Tate! Wszystko jest super, wspaniale, doskonale, wyjątkowo, cudownie, zawrotnie cudowne, najlepsze, przewspaniale!

– Przepraszam, muszę już iść – powiedziała Morgana. – Pan Mutken zabiera mnie do siebie, żeby się z kimś spotkać.

Walter wykonał jedno niepewne szurnięcie w jej stronę i szepnął do ucha.

– Niech pani nie wierzy w te bzdury, jakie opowiada.

– Bzdury?

– Niech pani pozwoli... ujmę to tak... – Walter zniżył głos do prawie niesłyszalnego szeptu. –

On już nie jest tym samym człowiekiem, którym był kiedyś.

Morgana uściśnęła mu rękę i powiedziała:

– Nie martw się, Walter, poradzę sobie. Ty też uważaj na siebie.

Podszedł do nich Roy. Zbierał właśnie puste szklanki.

– Niech się pani nim nie przejmuj, panno Croft Tate. Pan McLintock zabiera go zawsze, jak już zejdzie ostatnie wydanie.

Morgana wyszła razem z Lennym i poszli na parking. Lenny zaprowadził ją do dużego starego de soto, poobijanego beżowego auta z uszkodzonym zawieszaniem. Otworzył jej drzwiczki i obszedł samochód, żeby sięść za kierownicą.

– Przykro mi, że to nie samochód w stylu limuzyn, do których pani nawykła – powiedział i zapalił silnik. Skóra na obiciach była popękana, wewnątrz samochodu pachniało octem albo jakimś innym kwaśnym chemikaliem.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – O ile dowiezie nas tam, gdzie się wybieramy.

Lenny zmienił bieg, rozległ się chrzęst, jakby kości mielonych w rzeźniczej maszynie, i de soto wyłonił się na Wabash Avenue.

– Mam nadzieję, że się pani za bardzo nie boi – powiedział Lenny ze sztywnym, pozbawionym serdeczności uśmiechem.

Morgana odpięła szpilki kapelusza i przejechała rękami po włosach.

– Kiedy szłam po tej drabinie strażackiej, też się bałam, a jednak szłam dalej.

– No to gazety mówiły prawdę – powiedział Lenny. – Jest pani odważna.



Donald prowadził już jakieś dziesięć minut, kiedy Phoebe rozejrzała się dookoła i zapytała:

– Donald? Gdzie do licha jedziemy?

Donald spojrzął na wsteczne lusterko i skręcił na zachód w Division Street.

– Muszę się jeszcze spotkać z kilkoma przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? Jakimi przyjaciółmi? Myślałam, że jedziemy gdzieś potańczyć.

– Wiem, wiem, mieliśmy pojechać na dancing, ale muszę jeszcze załatwić jedną sprawę.

– W środku nocy? Donald, ja nie mam ochoty na żadne spotkania w interesach, ja chcę iść na dancing. A jak już sobie potańczę – tu pochyliła się w jego stronę i przyłożyła mu wargi do ucha – to będę miała ochotę na namiętne... dobrze wiesz, co.

Zwichrzyła mu przy tym trochę nabrylantynowane włosy z tyłu głowy. Przyglądał jej z powrotem.

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku, nie panikuj. Pojedziemy potańczyć.

Znowu spojrzął we wsteczne lusterko.

– To potrwa tylko chwilę, obiecuję.

Uklękła na swoim siedzeniu i zajrzała w lusterko. Była trochę krótkowzroczna, ale dostrzegła światła następnego samochodu jakieś trzydzieści metrów za nimi. Zjechali z Division na North Clybourn, kierując się na północny zachód. Światła podążyły za nimi.

– Donald, ktoś nas chyba śledzi. Jedzie za nami jakiś samochód, jestem tego pewna.

Donald tym razem nie spojrzął w lusterko.

– Może uda mi się go zgubić – powiedział. – Słuchaj, może byś tak usiadła, a ja przejadę się kilkoma bocznymi uliczkami. Będziemy mieli pewność, czy nas śledzą.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała Phoebe. – Poszukajmy jakiegoś wozu policyjnego i powiedzmy im, że za nami jadą.

– Spokojnie – powiedział Donald, skręcając ostro w Ogden Avenue i potem w Weed Street. Jechali znowu na wschód. Spojrzął w lusterko i powiedział:

– O, jednak nas nie śledzili, pozbyliśmy się ich. Nie, znowu są.

Skręcił z piskiem opon w Mohawk Avenue, teraz kierując się na południe. Phoebe obróciła się do tyłu i zobaczyła światła zbliżające się nieubłaganie.

– Donald, na miłość boską, boję się! Poszukajmy wozu policyjnego!

Donald też obrócił się w tył.

– To żalosne. Nie pozwolę jakiemuś gnojkwowi ganiać się po całym Chicago. Co on sobie wyobraża?

– Co robisz? Donald, co ty wyprawiasz? To może być niebezpieczne! – krzyknęła, kiedy

zwolnił przy poboczu na pustej ulicy. Światła zatrzymały się kilka jardów za nimi.

– Powiem ci, co wyprawiam – odpowiedział, zatrzymując i zaciągając ręczny hamulec. – Pójdę tam i zamienię słowo z tym gościem.

– A jak jest uzbrojony, albo coś w tym stylu? Donald, ja jestem córką bardzo bogatego człowieka, pamiętaj, to mogą być porywacze!

– Och, przestań – powiedział z szerokim uśmiechem i otworzył drzwiczki. – Kto by chciał cię porwać?

Wysiadł, a potem wsunął głowę do środka i pocałował ją w policzek.

– Daj mi dwie minutki. Jak usłyszysz strzały, wezwij Samotnego Łowcę.

Gryząc wargi patrzyła, jak szedł do tamtego wozu, zapinając po drodze płaszcz. Uliczne lampy rzucały refleksy na jego wyblaszczony włosy. Zobaczyła, jak drzwiczki drugiego samochodu otwierają się i gramoli się nimi na zewnątrz potężny mężczyzna. Nie wiedziała, kto to jest. Światła jego wozu świeciły jej prosto w oczy.

Czekała. Silnik lincolna wciąż jeszcze chodził na jałowym biegu, nie słyszała, co się dzieje na ulicy. Nagle jednak straciła Donalda z pola widzenia i widziała już teraz tylko tamtego mężczyznę, jak szedł w stronę lincolna rozchwianym krokiem. Przypominał w tym Bluto z komiksów Popeye. Mężczyzna otworzył drzwiczki samochodu i usiadł za kierownicą. Uśmiechnął się szeroko. Pachniał mocno wodą lawendową i nawet w mdłym świetle latarni widać było na jego ramionach obfity łupież.

– Kim pan jest? – zapytała. – Gdzie jest Donald? Co się dzieje?

Gardło ścisnęło jej przerażenie. Mogła tylko pisać.

– Proszę się nie martwić – powiedział mężczyzna. Miał silny włoski akcent. – Pani chłopak miał mały wypadek. Potknął się o zapalkę i uderzył głową w chodnik. Ale nic mu nie jest. Tylko trochę... – tu zakreślił kilka razy palcem wokół głowy, żeby pokazać lekki zawrót.

– Donald! – krzyknęła Phoebe i zaczęła mocować się z drzwiczkami. – Chcę wysiąść! Proszę mnie wypuścić!

Goryl złapał ją mocno za rękę. Krzyknęła. Uderzył ją w twarz. Poczuli, jak gruby sygnet uderza w jej wargę i nacina skórę. Chciała znowu krzyknąć, ale nie mogła. Po prostu nie miała odwagi.

– Bądź grzeczna, to nic ci się nie stanie – pouczył ją cicho. – Rozumiesz? Nic mu nie jest. Uderzył się trochę w głowę, to wszystko. Tobie też nic się nie stanie. Będziesz się miała wręcz świetnie. Po prostu przez pewien czas będziesz gościem pana Vespucci. Znasz pana Vespucci? To gentleman. Przyjaciół twojego ojca. Zaopiekuje się tobą przez chwilę. Teraz siedź cicho, to wszystko będzie o'key.

– Nie rozumiem, czy pan mnie porywa? Mężczyzna zluźnił hamulec i odjechał od krawężnika.

– Porywam? Ależ tak nie możemy rozmawiać. Pani jest gościem, została pani zaproszona. Nie musi się pani niczym martwić. Jeśli pani tatko zrobi to, co powinien, pojedzie pani z powrotem do domu i będzie klawo.

– On się nie podda żadnym presjom, rozumie pan?

– Nie? – zapytał typ, prawie rozbawiony.

– Nie.

Mężczyzna przybrał przesadnie ponury wyraz twarzy, jak clown.

– No to się nie najlepiej dla pani składa, co?

Kiedy Phoebe wieszono Near North Side, Harry wchodził do działu wiadomości. Był tam już Busby, siedział na skraju biurka Granta. Tak samo Gordon McLintock i David Tribe. Powietrze było szare od dymu, a biurko wypełnione na pół opróżnionymi filiżankami kawy.

– Harry! – zawołał Grant. – Zachodzimy w głowę, jak rozegrać sprawę Rzeźnika.

– Właśnie dlatego tu wróciłem – odpowiedział Harry. Miał rozluźniony krawat, był spocony i zmęczony. – Mam chyba niezły ślad. I chyba wiem, gdzie go szukać, ale nie chciałem odstawiać następnego aresztowania obywatelskiego bez twojej zgody i pomocy Busby’ego.

Grant kiwnął głową.

– Cieszę się, że już ci przeszła ochotę na zabawę w Dicka Tracy. Szczególnie, że my już też wiemy, kto to jest. Zastanawiamy się nad planem – kto pojedzie z policją, kto porozmawia z rodziną i naszym wspaniałym psychiatrą. No i przede wszystkim, jak to opublikować przed innymi gazetami. Chyba wydamy dodatek.

Harry sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął papierosa.

– Wiecie, kto to jest? To znaczy, jeździłem do Michael Reese i Calumet Harbor i Bóg jeszcze wie gdzie, a wy cały czas wiedzieliście?

Busby podał mu ogień.

– Po prostu szczęście. No i talent dziennikarski panny Morgany Croft Tate. Jest kimś, nie ma co.

– Morgany? A co ona ma do tego?

– Zna go prywatnie, oczywiście, i dzisiaj wieczorem trafiło się, że ją gdzieś podwoził. Znalazła narzędzia zbrodni w tyle samochodu.

Harry wydmuchnął dym i powiedział, marszcząc brwi:

– Zna go prywatnie? Od kiedy? Nic mi nie mówiła.

– Widać nie obracasz się we właściwych kręgach, przyjacielu – dociął mu Busby. – A w tych kręgach wszystko jest możliwe. Rozumiesz, wysokie koneksje, intrygi, niepewność. *Bohaterka „Star” idzie na ratunek*, czy jak to sobie nazwiesz. Chcesz zobaczyć nagłówek? Gdzie jest nagłówek, Grant?

Busby uniósł się nieco i wyjął spod własnego siedzenia wzór pierwszej strony. Nagłówek

biegł przez całą jej szerokość, nakreślony mocno niebieskim ołówkiem. *RZEŹNIK – ARESZTOWANIE OSOBISTOŚCI Z NIEBIESKICH KART\** [\*niebieskie karty, dosłownie „Niebieska księga” (Blue Book) – spis numerów telefonów osób na ważnych stanowiskach w danej społeczności, w tym bogatych biznesmenów – często jako część ogólnej książki telefonicznej].

Harry spojrział na kartkę. Potem na Granta, na Busby’ego i z powrotem na to co trzymał w ręce.

– Chwileczkę – powiedział. – Czy my mówimy o tej samej sprawie? To znaczy, tej samej osobie?

– O co ci chodzi? – zapytał Gordon. – Uważasz, że Bradley Clarke nie jest Rzeźnikiem?

– Bradley Clarke? – wykrzyknął Harry. – Ten Bradley Clarke? Ten z uszami? Co ma *Ham-I-Yam*?

– Tak właśnie – powiedział Grant. Oparł się na oparciu krzesła. – Morgana znalazła trzy noże rzeźnicze i zabrudzony krwią fartuch w jego samochodzie, godzinę po tym, jak popełniono to podwójne morderstwo.

– Na miłość boską, Busby, przecież znasz Bradleya Clarke’a i widziałeś dzisiaj w nocy te ciała. Ten facet ma na pewno kłopoty z pokrajaniem własnego kotleta.

Busby wzruszył ramionami.

– Pięćdziesiąt lat praktyki reportera policyjnego nauczyło mnie jednej rzeczy – nie ocenia się książki po okładce ani nie próbuje odkryć zbrojcy po wyglądzie. Pamiętasz Williama Heirensa, miał siedemnaście lat i nie znalazłbyś chyba sympatyczniejszego chłopaka w całym kraju.

– Tyle, że to nie ty go złapałeś, a teraz z całą pewnością nie złapałeś Rzeźnika – wybuchnął Harry.

– No, Harry, dobrze, powiedz nam, o co chodzi – powiedział Grant. – Jeśli uważasz, że to ktoś inny, to musimy się dowiedzieć kto. Ale oprócz tych narzędzi i fartucha mamy jeszcze na Clarke’a to, że zrobił kilka aluzji do kobiet, jak to miał trafić na pierwsze strony gazet i jak się napracował tego popołudnia.

– A musisz przyznać, że Rzeźnik się dzisiaj napracował – powiedział Busby, rozdrażniony uwagą o Heirensie. – Dwie kobiety, obie poszatowane i tak wymieszane, że nie można rozróżnić czyja to noga, a czyja ręka. To się nazywa praca.

– Lenny Mutken – powiedział Harry.

– Lenny Mutken? – zmarszczył brwi Grant. – Mówisz o tym Mutkenie ze „Star”?

Harry wyjął swój notatnik.

– Lenny Mutken spotkał się ze mną po tych pierwszych artykułach o Rzeźniku, które pokazały się w czasie weekendu. Powiedział, że Rzeźnik do niego zadzwonił, zanim miary miejsce same zbrojstwa.

– Nic mi nie powiedziałaś – powiedział Grant.

– Nie, bo Lenny powiedział, że Rzeźnik by się wystraszył, gdyby doszło do jakiegoś poruszenia w policji, a wiedziałem, że jako redaktor masz obowiązek przekazywać takie informacje Spectorskiemu.

– Więc samowolnie zdecydowałaś, że zatrzymasz informację dla siebie, ukrywając ją przede mną i policją?

– Sądziłem, że tak będzie lepiej – powiedział Harry. – Jeśli byłem w błędzie, jestem gotowy ponieść konsekwencje.

Grant najwyraźniej miał jeszcze ochotę coś powiedzieć, ale pozwolił sobie na razie tylko na kontrolowane westchnienie.

– No dobrze, mów dalej.

– Lenny powiedział, że Rzeźnik chce z nim rozmawiać. Powiedział, że Rzeźnik zgłosił się do niego, bo w sąsiedztwie dalej uważają go za reportera. Poszedłem za jego sugestią, słusznie czy nie, bo to byłby naprawdę sensacyjny wywiad. I akurat zgadzałem się z Lennym co do tego, że taka rozmowa pomoże w rozwiązaniu sprawy.

Harry spojrział znowu do notatnika. Drżała mu ręka.

– Dzisiaj w nocy pojechałem na róg Trzydziestej Trzeciej i Rhodes, tam gdzie zabito te dwie kobiety. Cóż, Busby też tam był, to wam może opowiedzieć. Nie chciałem oglądać ciała, ale w końcu spojrzałem, i to mnie na moment wyłączyło z obiegu. Spectorski powiedział, że widziano tam tylko dwoje obcych ludzi, jak wchodzili i wychodzili. Jednego czarnego mężczyznę i jednego białego. Ten biały miał na sobie brązowy garnitur i kapelusz.

Busby wyjął z ust fajkę i westchnął.

– To by wskazywało na powiązanie między tą sprawą a pierwszym morderstwem na Irving Avenue. Brązowy garnitur i fedora\* [\* miękki kapelusz z wywiniętym rondem], pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam. Ale potem przypomniałem sobie jeszcze coś innego. Zanim się pożegnaliśmy przed tym domem, panna Morgana Croft Tate powiedziała: „Masz swoją kartę dziennikarza? Wetknij ją sobie za wstążkę kapelusza, to będziesz wyglądał jak prawdziwy dziennikarz.” I wtedy skojarzyło mi się coś, co powiedział Dan Rogers na Irving Avenue. Tamten mężczyzna w fedorze miał coś wetknięte w kapelusz, jakby bilet na baseballa albo coś w tym rodzaju.

– Kartę prasową – powiedział Grant, śmiertelnie poważny.

– Cóż, wtedy nie było żadnej logicznej podstawy, żeby tak pomyśleć, prawda? Ale dzisiaj wieczorem jeszcze raz przemyślałem słowa Lenny’ego i coś mnie w nich uderzyło. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego spragniony sławy morderca miałby się kontaktować ze starym Lennym Mutkenem? Oczywiście, dostał Pullitzera, ale ja na przykład do zeszłego weekendu nie miałem nawet pojęcia, że on jeszcze żyje. Ktoś, kto zabija jak estradowiec, jak prawdziwy rzeźnik, cóż,

ktoś taki jeśli już, to wolałby rozmawiać z nadal pracującym redaktorem jakiejś gazety.

– Dziękuję bardzo – powiedział Grant sucho.

– Sprawdziłem co nieco – mówił dalej Harry. – Miałem spotkać się z Lennym u O’Leary’ego, więc wiedziałem, że nie będzie go w domu. Poszedłem do niego i porozmawiałem z sąsiadem. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, dałem mu dwudziestaka. Zasłużył sobie na niego, tym bardziej, że go obudziłem. Powiedział, że Lenny właśnie wrócił ze szpitala Michael Reese, ma zrujnowaną wątrobę i jakiś problem natury psychicznej, pewnie z powodu alkoholu. Lenny miał jakąś kobietę, mieszkała z nim, ale odeszła dwa dni po tym, jak wrócił. Musiało dojść do potężnej awantury, sąsiad słyszał, jak Lenny darł się na całe gardło, że jest dziwką i Jezabel\* [\* postać biblijna, synonim przewrotnej i bezwstydnego kobiety], i że on na pewno wyrówna rachunki.

Busby znowu zapalił fajkę i spojrzał uważnie na Harry’ego. Ten mówił dalej:

– Pojechałem do Michaela Reese i rozmawiałem z doktorem Cohenem. Potem pojechałem do prywatnego sanatorium, w którym Lenny mieszkał w czasie wojny, do Calumet. Otóż Lenny pożegnał się ze „Star” w 1938, bo cierpiał na halucynacje i regularnie zażywał DT. Potem przez całe lata cierpiał na psychozę paranoidalną. Jego żona rozwiodła się z nim w 1941 i wtedy zaczął przejawiać patologiczną nienawiść do kobiet. W 1943 aresztowano go za drobną napaść na jakąś kobietę z Rezerwy Żeńskiej, na Streeter Drive koło Navy Pier. I potem w 1944 za atak na kobietę na North Seneca Street.

Grant wstał.

– Świetna robota, Harry. Busby, damy sobie spokój z tymi niebieskimi kartami. Gordon, czy możesz mnie połączyć ze Spectorskim? Iak, nawet jakbyś go miał wyciągnąć z łóżka. Nadal uważam, że trzeba sprawdzić Clarke’a, ale po tym, co powiedziałeś o Lennym... cóż, wygląda na to, że to ten człowiek. Boże Wszechmocny, były dziennikarz „Star”! To będzie o wiele bardziej kłopotliwe niż sprawa Jake’a Lingle’a.

Jake Lingle był jednym z najlepszych reporterów policyjnych „Tribune” w czasach Al Capone. Po tym jak w 1930 zastrzelił go jeden z facetów gangu, odkryto ku poważnemu zmartwieniu „Tribune”, że ich as był zamieszany w załatwianie ulg dla gangsterów w ratuszu, regularnie pośredniczył w nielegalnych przedsięwzięciach, kontrabandzie alkoholowej, hazardzie i prostytutce.

– Lepiej powiedzmy pannie Croft Tate, że jej przyjaciel z dużymi uszami jednak nie jest wielokrotnym mordercą – powiedział Busby, wychodząc do działu wiadomości. – Chociaż może byłoby lepiej, gdyby wytłumaczył się z tych noży.

– Morgana tu jest? – zapytał Harry, idąc za nim.

– Jasne, przyszła zaraz po tym, jak je odkryła. – Busby przerwał i rozejrzał się dookoła. – A w każdym razie była.

Harry podszedł do swojego biurka i wyjął notatkę z maszyny. Przeczytał ją i potem, bez słowa, podał Busby'emu.

– Jezu Chryste – powiedział Busby, z zębami zaciśniętymi na fajce.

Tymczasem Morgana siedziała na przednim siedzeniu de soto Mutkena, zaparkowanego na North Sedgewick Street, naprzeciw tak zwanych bloków ogrodowych Marshalla Fielda. Lenny zostawił ją jakieś dwie albo trzy minuty temu, wyszedł z samochodu, żeby nawiązać kontakt z Rzeźnikiem. Była prawie za kwadrans druga. Sedgewick Avenue była pusta i źle oświetlona – budynki rozsypywały się, przy krawężnikach stały sznurkiem zardzewiałe, powygniatane samochody i wszędzie było pełno śmieci.

Bloki Fielda były próbą zbudowania dobrych budynków w bardzo kiepskiej okolicy. Teraz udzieliło się im opuszczenie, zaniedbanie, wandalizm i rozkład panujący dookoła. Kiedyś będą to nazywać Ogrodami na Starym Mieście, potem zburzą.

Morgana była bardzo zmęczona i miała wyrzuty sumienia. Mimo że miała w perspektywie taką bombę, zaczęła żałować, że zgodziła się pojechać. Powinna była przynajmniej powiedzieć Grantowi. Czowała się bardzo samotnie i niepewnie w tym cuchnącym octem samochodzie, w środku nocy na slumsowej ulicy. Jednak nie miała odwagi wysiąść i poszukać Mutkena. A gdybym zamiast niego znalazła Rzeźnika?

Czekała jeszcze piętnaście minut, potem podjęła decyzję. Jeśli Mutken nie wróci przez następne pięć minut, ona zaryzykuje spacer po Division Street i spróbuje zatrzymać taksówkę.

Zauważyła, że od przodu nadchodzi dwóch czarnych mężczyzn. Mieli postawione kołnierze u płaszczy, białka ich oczu błyskały spod rond kapeluszy. Osunęła się na siedzeniu najniżej jak mogła. Minęli de soto nie zauważając jej. Podniosła trochę głowę i spojrzała we wsteczne lustro, żeby upewnić się, że już przeszli.

Nie było ich w zasięgu jej wzroku. Może skręcili za rogiem, albo weszli do jakiejś klatki. A może byli tylko wytworem jej przemęczonej wyobraźni?

Spojrzała jeszcze raz na zegarek. Minęło już pięć minut. Rzuciła wzrokiem w kierunku, w którym zniknął Lenny, i otworzyła drzwiczki, stawiając stopę na chodniku. Noc była wyjątkowo zimna, ale powietrze było przynajmniej świeże. Gdzieś wysoko nad głową usłyszała warkot silnika jakiegoś samolotu krążącego nad Midway, a daleko w centrum niezemskie wycie syreny.

Już miała odejść, kiedy nagle pojawił się Lenny, w swoim brązowym płaszczu i kapeluszu. Złapał ją za ramię i powiedział podekscytowanym głosem:

– Jest, jest tu! Powiedział, że chce się poddać!

– Co takiego? – zapytała Morgana, zupełnie zaskoczona.

– Jest tutaj! – Pociągnął ją w stronę, z której przyszedł. – Szybko, szybko! Jest tutaj! Mówi, że już nikogo nie skrzywdzi, chce się oddać w ręce policji!

– Lenny, panie Mutken, czy nie myśli pan, że powinniśmy zadzwonić na policję?

– Nie ma na to czasu! Może zmienić zdanie! Proszę, niech pani już ze mną idzie. Mówiła pani, że jej zależy na tym materiale!

Morgana wahała się przez jedną straszną chwilę. Jej instynkt nakazywał jej natychmiast uciekać ile sił w nogach. Była jednak tak zafascynowana myślą o spotkaniu z Rzeźnikiem twarzą w twarz. No i jakby to było wspaniale, gdyby się oddał w jej ręce, w ręce Morgany Croft Tate!

– No już, moja droga, proszę się pospieszyć! – powiedział Mutken, puszczając jej ramię. Odszedł parę kroków w stronę bloków, przystanął, obejrzał się na nią, zrobił znowu krok do niej i znowu powrócił.

Morgana nie wahała się dłużej. Przycisnęła ręką kapelusz i pobiegła za nim przez ulicę, wprost w ciemność między kwadratowymi blokami.

Harry pchnął drzwi O’Leary’ego i podszedł wielkimi krokami do baru. Za nim dreptali Busby i Gordon.

Roy zdjął kufel z haka nad barem i zapytał:

– Jak tam, stary, dzień w biurze? To co zwykle?

– Morgana Croft Tate – powiedział Harry bezpardonowo.

– A tak – skinął głową Roy. – Była tu jakieś pół godziny temu. Siedziała tam i rozmawiała ze starym Muttersem \*.[\* przekreścone nazwisko ma swoje znaczenie w angielskim – mamrotać, marudzić, czyli Morgana rozmawiała ze starym Marudą]

– Wyszli razem?

– Tak. Ale nie powiedzieli, gdzie idą.

– A niech to szlag.

W tym momencie przyczłapał Walter Dempsey, krocząc z wysiłkiem, jak człowiek brodzący po pas w wodzie.

– Gordon! – wykrzyknął. – Gordon, stary przyjacielu! Czy to już ta straszna pora? Czy już czas opuścić plac boju i zostawić ten cudowny rząd butelek na następny dzień? Wezmę łaskę.

Harry złapał go za ramię.

– Walter, czy widziałeś dzisiaj pannę Morganę Croft Tate? Walter zmarszczył brwi, patrząc na rękę Harry’ego na swoim rękawie.

– Łapy precz, łotrze – powiedział. – Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Ten garnitur został kupiony dokładnie za sto pięć dolarów i to w roku 1928, kiedy dolar był jeszcze dolarem, prezydentem był Cichy Kalwin,\*[\* chodzi tu o Calvina Coolidge, prezydenta USA w latach 1923-1929, protestanta, znanego z małomówności] a cały świat w ogóle wyglądał zupełnie inaczej.

– Walter, na miłość boską, pomyśl – poprosił Harry.

– Dobrze, za małą szklaneczkę na pożegnanie jestem gotów wyjawić fakt, iż panna Croft



Tate opuściła ten lokal w towarzystwie człowieka znanego jako Lenny Mutken, były dziennikarz „Star”, odprawiony swego czasu z wszelkimi honorami. Rzeźnica Morgia – na Croft Tate napomknęła, iż pan Mutken zabiera ją do swojej siedziby, by się z kimś spotkać, jednak – tu Walter podniósł głowę i uniósł dłoń, a wszyscy czekali z zapartym tchem na jego słowa – nie mam absolutnie pojęcia, z kim.

– To bloki Marshalla Fielda – wysapał Harry. – Roy! Dzwon na policję i powiedz, żeby tam na nas czekali! Znaczy, przy blokach Marshalla Fielda. Powiedz im, że mamy Rzeźnika. I że to bardzo pilne!

– Co więcej – powiedział Walter jeszcze bardziej jowialnie, – przypominam sobie teraz, Harry, co też ci miałem powiedzieć tamtego dnia. Nie, zaczekaj! To ważne! Kiedy podjeżdżałem do domu pana Vespucciego, gdzie miałem rozmawiać o konnych wyścigach, zdarzyło mi się zobaczyć ogromnego bandytę, wpychającego jakiegoś mężczyznę do swojego samochodu. I teraz, oczywiście, mój powolny, aczkolwiek bezlitosny mózg dokonał skojarzenia. Ten wpychany: wpychany, a nie wpychający, zauważ, był tym drobnym chuliganem Aceto, który spotkał swego Stwórcę w przewietrzonym przez kule wychodku.

Harry spojrział na Busby’ego. Busby na Granta. Było to bardzo znaczące spojrzenie.

– Walter – powiedział Gordon, najspokojniej jak potrafił. – Jeśli redaktorzy dostają wrzodów żołądka, to nie dlatego, że się przepracowują. To dlatego, że mają dziennikarzy takich jak ty.

– No to już są dwaj świadkowie! – wykrzyknął Harry. – Jeden widział, jak Ambrogio zastrzelił Aceto, a drugi, jak go wpychał do swojego samochodu, dwadzieścia minut przed morderstwem.

Gordon złapał Harry’ego za ramię. Był podekscytowany.

– Słuchaj – powiedział. – Ty i Busby pojedziecie znaleźć Mutkena. Ja dzwonię do Spectorskiego i burmistrza, żeby zobaczyć, czy da się zdjąć Ambrogio. A może nawet samego Vespucciego razem z nim! Do cholery! Do jasnej cholery! Co za noc! Czy przeżyłeś kiedyś taką noc?!

Kiedy zadzwonił telefon, Howard głęboko spał. Minęło trochę czasu, zanim jego umysł otrząsnął się z miłej nieświadomości, w której był pogrążony. Nawet kiedy powiedział do słuchawki: – „Tak, tu Howard Croft Tate”, właściciel „Star” praktycznie jeszcze spał.

– Mój drogi przyjacielu – powiedział aksamitny, bezosobowy głos.

– Kto mówi? – zapytał Howard. – Cholera, która to godzina?

– Nie poznajesz mnie? Och, Howard, to twój stary przyjaciel, Enzo.

– Enzo! Po jaką cholere do mnie dzwonisz? – Howard zaczął szukać po omacku wyłącznika lampki. Zapalił ją i popatrzył mrużąc oczy na swój zegarek od Cartiera. – Cholera, Enzo, jest kwadrans po drugiej!

– Ależ, Howard, chyba wiesz, że ja nigdy nie zakłócam snu swoich przyjaciół, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Sen jest błogosławieństwem zesłanym nam przez Boga.

– Enzo, pobłogosławię nawet twój tyłek, jak mi wreszcie powiesz, o co chodzi. I na Boga, lepiej, żeby to były dobre wiadomości.

– Niestety, nie są – odpowiedział Enzo z teatralnym smutkiem. – Zdobyłem kopię dzisiejszego wydania i zobaczyłem, że jednak puściłeś ten artykuł o południowych slumsach. Co prawda, nie wymieniasz mnie z imienia, ale i tak możesz poważnie zaszkodzić moim interesom. Rozmyślnie i złośliwie mnie atakujesz, Howard! Zawsze myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, jak mogłeś mi to zrobić? Będę zmuszony nalegać, żebyś nie drukował już więcej takich artykułów.

Howard odchrząknął i usiadł prosto na łóżku.

– Słuchaj, Enzo, i to uważnie. Nie boję się ciebie i co więcej, nie boję się tego, co możesz mieć na mój temat do powiedzenia. Jak chcesz użyć własnego wnuka, żeby mi zaszkodzić, proszę bardzo. Zdecydowałem się przyznać do wszystkiego, co zaszło między mną a Marcellą i do spółczenia Eduardo, i do cholery, zdecydowałem się wziąć to na siebie. Więc rób, co chcesz, staruszk, ale „Star” nie przestanie za tobą węszyć, aż wylądujesz w Joliet.

Zapadła dłuższa cisza. Potem odezwał się Enzo.

– Możesz sobie teraz pozwolić na tę odrobinę śmiałości, co, Howard? Może spłynęło na ciebie co nieco odwagi Morgany. Ale wiesz, zupełnie się z tobą zgadzam. Nie przystoi dziadkowi posługiwać się własnym wnukiem. To taki śliczny mały chłopiec, jak mógłbym sponiewierać jego imię? Więc cóż, byłem zmuszony znaleźć inne rozwiązanie. Jakiś inny sposób, żeby ci pomóc zrozumieć mój punkt widzenia.

– O czym ty pleciesz, Enzo? Przejdź do rzeczy albo odłóż słuchawkę. Jestem zmęczony.

– No dobrze, Howard. Streszczę się. Ponieważ żaden z nas nie chciałby narażać Eduardo na niepotrzebny stres i ponieważ w głębi ducha mógłbyś być nawet dumny z tego, że możesz się

publicznie przyznać do syna, widzisz, jakim jestem dobrym psychologiem, no więc pomyślałem, że musi być jakiś inny sposób, żeby zyskać twoją współpracę, jak na przykład twoje córki.

– Co z moimi córkami? – zapytał szorstko Howard.

– O, to się nazywa uwaga! Mówię o twojej córce Phoebe! Tak, dokładnie o niej! Phoebe łaskawie wyraziła zgodę, żeby być moim gościem, dopóki nie przerwiesz tej kampanii przeciwko mnie. Co więcej, masz opublikować na pierwszej stronie oficjalne przeprosiny i napisać artykuł o tym, jak bardzo pomagam temu miastu. Rozumiesz mnie?

– A jak sienie zgodzę?

– W tym mieście jest mnóstwo przetwórci mięsa. Masz zamiar szukać córki w każdej kolejnej puszcze solonej wołowiny?

– Enzo, jeśli jej nie odeślesz z powrotem w pół godziny, to przyjadę i rozniosę cię na strzępy własnymi rękami!

Enzo ziewnął rozbawiony.

– Enzo, słuchaj...

– Najwyższy czas, Howard, żebyś ty zaczął mnie słuchać. Daj sobie spokój z tymi paszkwilami w gazecie. Przecież nie obchodzą cię slumsy, masz swoje wielkie domostwo. Nikogo spośród szanowanych obywateli one nie obchodzą, tylko naszego drogiego burmistrza Doyle, ale kim on jest? Słabeuszem, roztrzęsionym Irlandcem bez przyjaciół i poparcia. Przegrany człowiek. I ty też taki będziesz, jak się nie opamiętasz. Będziesz człowiekiem, który zoczył z obranej słusznie drogi, człowiekiem, który stracił nie tylko córkę, ale także własną duszę.

Howard stopniowo spuszczał głowę. Drzwi do sypialni otworzyły się i stanęła w nich Eleonora w bladobrzoskwiniowym peniuarze. Howard upuścił słuchawkę na kołdrę. Patrzyła na niego z dłońmi złożonymi na piersiach, jak nie może powstrzymać łez płynących po policzkach.

Uklękła przy wezglowiu, szeleszcząc jedwabiem.

– Howard... Howard... – wyszeptała miękko i otarła mu łzy. Słuchawka buczała cicho na kołdrze.

Lenny otworzył kluczem drzwi swojego mieszkania i przyłożył palec do ust.

– Cicho, dobrze? Niech go pani przypadkiem nie zdenerwuje. On się bardzo łatwo denerwuje.

– On naprawdę tu jest? – Jej serce biło jak oszalałe.

– Jasne – odpowiedział Lenny. – Proszę wejść. Morgana zawahała się. Wyciągnęła rękę, żeby go przytrzymać za rękaw, ale był już za daleko.

Korytarz był wąski i zagracony, czuć było zapach wilgoci i octu. Lenny poszukał po omacku włącznika. Zapaliła się słaba żarówka w abażurze z czegoś, co miało być chyba piracką mapą skarbów. Tapeta w zielone pasy przypominała szpitalną piżamę. Dziewczyna w dresie uśmiechała się do niej z kalendarza na miniony rok. Pod ścianą piętrzył się stos ubrań – brudne płaszcze przeciwdeszczowe wymieszane ze sztruksowymi spodniami.

– Zamknij drzwi – powiedział Lenny, nie odwracając się.

– Lenny, zaczekaj, ja wiem, kto to jest – powiedziała.

Zatrzymał się w drzwiach salonu, plecami do niej. Kiedy się odezwał, głos jego zabrzmiał dziwnie głucho.

– Wiesz, kto to jest?

– Tak, odkryłam to dzisiaj wieczorem. W zasadzie, to mój znajomy.

– Rzeźnik to twój znajomy?

– Lenny, on jest kimś bliskim dla rodziny. Dlatego przyszłam. Pomyślałam, że może uda mi się z nim porozmawiać, no wiesz, przekonać go, żeby się poddał.

Lenny przez chwilę nie odpowiadał. Potem szepnął, tym samym głuchym głosem:

– A dlaczego miałby to zrobić?

– No, żeby oszczędzić swojej rodzinie jeszcze więcej wstydu. I oszczędzić siebie, i te kobiety.

W końcu Lenny obrócił się i spojrzał na nią. Widziała błysk oka nad zgarbionym ramieniem.

– Boisz się go? – zapytał.

– Oczywiście, że tak! A ty nie? Ale ja go znam. I mogę spróbować z nim porozmawiać. To znaczy, nie wiem dokładnie, jaki teraz jest, czy może staje się zupełnie inny, kiedy zmienia się w Rzeźnika.

Lenny skinął głową w stronę ciemnego salonu.

– Powiesz mi jak ma na imię, to go zawołam?

– Ma na imię... Bradley. Ale może będzie lepiej, jak sama go zawołam. Lepiej go znam.

Lenny pomyślał nad tym przez chwilę i powiedział:

– Pewnie tak. Czemu nie miałabyś pójść przodem?

Zrobiła kilka kroków i stanęła przy nim. Spojrzała na niego, jakby szukając oparcia: a potem wyteżyła wzrok, starając się przebić potężną ciemność pokoju. Lenny pewnie zaciągnął zasłony, albo może zabił kiedyś to okno deskami. W powietrzu unosił się stęchły zapach, jakby nie było tu nikogo od lat.

– Dalej, zawołaj go – powiedział Lenny, pozbawionym wyrazu głosem. – Zobaczymy, czy odpowie.

Morgana oblizwała wargi.

– Bradley? – wyszeptwała, potwornie przerażona. Rzeźnik mógł nie być Bradleyem. Może popełniła potworny błąd. Ale przecież te noże i krew. To musi być on.

– Bradley – powtórzyła, tym razem nieco głośniej.

– Dalej – zachęcał ją Lenny.

– Bradley, jesteś tu? To ja, Morgana. Nie masz się czego obawiać! Możemy spokojnie o wszystkim porozmawiać. Będzie dobrze.

Bez odpowiedzi. Lenny patrzył na nią i wzruszył ramionami.

– On tu jest, przysięgam.

– A może wyszedł, kiedy poszedłeś po mnie? Lenny potrząsnął głową.

– Na pewno tu jest, skurczybyk. Może po prostu wejść i go wyciągnę, jak myślisz?

– Jest światło?

– Nie, żadnego światła. To jeden z jego warunków. Żadnego światła. Pewnie nie chciał, żeby go zobaczył ktoś, kto by go mógł od razu rozpoznać. Ktoś taki jak ty, na przykład. Ale ty już teraz wiesz, kto to jest, prawda?

– Bradley T. Clarke – odpowiedziała ochryple. – Spadkobierca *Ham-I-Yam*.

– Spadkobierca *Szynki, Którą Uwielbiasz*? Takie coś warto dziedziczyć. Sam to jadłem. Jak to oni mówią? „Szynka, która dała siłę Ameryce”. No i co, czy to on?

Morgana nagle przestraszyła się i cofnęła o krok.

– Lenny, panie Mutken, ja nie jestem pewna, czy on tu w ogóle jest. A jeśli jest i nie odpowiada... to może nie jest bezpiecznie z nim rozmawiać, rozumie pan, o co mi chodzi?

– Szaaa – uspokajał ją Lenny, klepiąc dłońią po ramieniu. – Niech się pani nie da przestraszyć. Jest pani przecież dziennikarką, niech pani o tym nie zapomina. Proszę zachować zimną krew, a ja po prostu wejść i wyciągnę faceta na korytarz. Spadkobierca „Szynki Którą Uwielbiasz”? Takie coś warto dziedziczyć.

– Myślę, że powinniśmy wezwać policję.

– Niech pani zaczeka, wszystko będzie w porządku – powiedział Lenny i bez wahania wszedł do ciemnego salonu. Jeszcze przez moment widziała zarys jego płaszcza przeciwdeszczowego, potem już nic. Czekała, nerwowo oblizując wargi. Podświadomie spodziewała się w każdej

chwili okrzyku bólu.

– Czy wszystko w porządku? – zawołała. – Panie Mutken? Czy wszystko jest dobrze?

Znowu długa cisza. Zabuczały przewody grzewcze. W momencie gdy zrozumiała, co tu się naprawdę działo i o co chodziło Mutkenowi, dwie silne, kościste ręce wychyły się z ciemności i złapały jej nadgarstki. Palce owinęły się wokół przegubów jak bykowce. Krzyknęła, a raczej zachrypiała przez zaciśnięte gardło. Natychmiast znalazła się w pokoju, jej ręce zostały boleśnie wykręcone na plecy. Próbowwała się wywinąć, obróciła się, zrobiła unik i wierzgnęła za siebie, ale upadła ciężko na gołą podłogę, wprost na biodro. Potem zarejestrowała tylko, że jej ręce zostały skrepowane czymś zimnym i twardym. Usłyszała ostry trzask. To były kajdanki.

Mutken zapalił stojącą lampę w abażurze z frędzlami. I teraz naprawdę się pokazał. Pokazał, kim jest. Stał dysząc w drugim końcu pokoju, z wyrazem tryumfu i rozbawienia na twarzy, nagi, tylko w luźnych majtkach. Obok stał tani kredens z 1930 roku, nakryty obrusem w kwiaty. Leżały na nim rządkiem rzeźnicze noże, chyba tuzin. Od ich ostrzy bił matowy poblask. Były tam też dwie piły do przecinania kości, mnóstwo toporków, przekłuwaczy, mieczy, szpikulców i innych doborowych narzędzi rzeźniczych.

Na ścianie za Lennym wisiał jego Pullitzer w wytartej, złoczonej ramie. I kolorowa reprodukcja Bobrowej Tamy w Wisconsin wiosną.

Lenny uklonił się. Pośrodku wąskiej piersi miał kępkę siwych włosów. Wystawały mu żebra, a skóra wyglądała, jakby nie zaznała słońca przez ostatnie trzydzieści lat.

– Voila! – powiedział, zadowolony z siebie. Wymówił to francuskie słowo bardziej jak „voyleer”. – Oto przed tobą Rzeźnik.

Morgana zrobiła ogromny wysiłek, żeby wstać, ale strach obezwładnił ją i prawie zemdłała.

– To dopiero! – wykrzyknął Lenny. *Rzeźnik zabija córkę Howarda Croft Tate'a. Czy którakolwiek kobieta jest bezpieczna?* Toż to będzie prawdziwy krzyk rozpaczony z pierwszych stron! *Terror jeszcze raz wkroczył na ulice Chicago.* Ale tym razem to ci bogaci i uprzywilejowani będą nerwowo przebierać nóżkami w swoich ręcznie szytych bucikach! A pod nagłówkiem, o tak, czy możesz sobie to wyobrazić? *Napisał Lenny Muiken, laureat nagrody Pullitzera, as reporterów!*”

Opuścił chude ramiona i popatrzył na nią z ponurym, prawie rozdrażnionym wyrazem twarzy.

– Niech pani zauważy, bynajmniej nie twierdzę, że to było nieuniknione. Życie nie jest takie jak w kinie. Życie to życie. Życie to ciekące krany i puszka *Szynki, Którą Uwielbiasz*, której nie możesz otworzyć, bo ci nie dali w sklepie otwieracza. To i marmur, i błoto. Życie to... to. Spójrz dookoła. Ciągłe jeszcze używają tego głupiego frazesu, kiedy wchodzi do „Star”. A to przecież nie był ani żart, ani frazes, to byłem ja! To były moje najwspanialsze czasy.

Morgana powiedziała szeptem, na wydechu:

– Tak naprawdę nie masz zamiaru mnie zabić, prawda?

Lenny popatrzył na nią, jakby nagle zapomniał, skąd się tu wzięła.

– Zabić cię? Mmm... tak samo mówiły wszystkie inne. Ale wiesz, nie krzyczały, tylko jedna płakała. Wiedziały, co chcę zrobić, ale nie krzyczały. Zaakceptowały to, wiesz, jakby wiedziały, że na to zasługują.

– Jak ktokolwiek mógłby zasługiwać na taką śmierć? – zapytała Morgana trzęsącym się głosem.

– Chodzi ci o to, że trudno sobie zasłużyć na poćwiartowanie? – zapytał niewinnie. – Cóż, nie wiem. Przecież nie mówię, że rzeczywiście na to zasługiwały. Może nie. Może były dobrymi ludźmi.

Zmienił ułożenie noży, jak Lionel Hampton swoich pałeczek przed odegraniem *Niech biją dzwony* na ksylofonie.

– Niektórzy mówią, że dobry dziennikarz nigdy nie wyraża swojego zdania, nie osądza. No więc jak dziesięciu biznesmenów ginie w prywatnym samolocie po drodze do burdelu w Nevadzie, to czy mam zacząć roztrząsać, czy byli winni cudzołóstwa, czy zasługiwali na śmierć? Czy dziennikarz ma prawo w ogóle nad czymś takim się zastanawiać?

Zamilkł na chwilę, a potem powiedział:

– Ale Ben Hecht powiedział mi kiedyś, że być dziennikarzem to jak być geografem. Widzisz świat jako kulę, a musisz go pokazać na płaskim kawałku papieru. I jak go pokażesz tak po prostu, bez własnego punktu widzenia, to go zafałszujesz. Tak samo jak mapa świata nie pokazywałaby świata, gdyby go przedstawił takim, jaki jest.

Morgana nie była w stanie powiedzieć słowa ani się poruszyć. Sama już nie wiedziała, czy naprawdę tu jest, w podnieszczonym salonie, w słabym świetle, klęcząc przed rozgadany mordercą w gaciach. Czowała się bardziej jak *Morgana po drugiej stronie lustra*, jakby wszystko było wywrócone dołem do góry i wierzchem do wewnątrz. Ale czuła chłód jego zimnego wyrachowania, zimnego serca i martwej duszy.

Nie wiadomo dlaczego, dawno temu z życia Lenny'ego uszło całe światło.

Podniósł trzydziestocentymetrowy nóż i mocno ujął rączkę.

– Oczywiście, może się zdarzyć, że zboczysz z raz obranej drogi – powiedział piskliwie zakatarzonym głosem. – Możesz zapomnieć, kim jesteś, stracić z oczu przyjaciół i samego siebie. Wtedy – skinął głową na ramkę z Pulitzerem – wtedy wiedziałem, kim jestem. Był ze mnie niezły gość. Pijak, ale przede wszystkim niezły gość. A teraz zobaczyłem drogę powrotu i to jakiego powrotu! Na pierwszą stronę! Lenny Mutken, dziennikarz ze „Star”, gwiazda i śmiały rycerz! Przeciw niemoralności, grzechowi i rozpasanemu bogactwu. No i zauważ tę inteligencję i geniusz dziennikarski. Zbudowałem swój sukces zupełnie na niczym – sam jestem Rzeźnikiem, i dorabiającym się na nim sławy dziennikarzem, dwie osoby w jednym ciele!

– Lenny – błagała Morgana.

Ale Lenny przyłożył sobie ostrze do ust, każąc jej być cicho.

– Z powrotem na szczycie! – wyszeptał. – Lenny Mutken z powrotem na szczycie!

Popatrzył na nią. Przez chwilę jego spojrzenie było zwierzęce i dzikie, zaczął niekontrolowanie wywracać oczami. Morgana krzyknęła z grozą. Obszedł stół, nóż był teraz wysoko nad jego głową, jak znicz w Statui Wolności.

Była pewna, że to już koniec. Jej ciało przebiegła konwulsja, nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczyła. Pochylił się nad nią nisko, jego szara twarz była tylko parę centymetrów od jej twarzy.

– Wiesz, jak się nazywa oczyszczanie mięsa z kości?

Spojrzała mu w oczy, ale nie mogła wykrztusić słowa.

– Filetowanie – uśmiechnął się z satysfakcją. Przysunął nóż do jej policzka.

– To ich wszystkich zaskoczy – powiedział. – *Panna Morgana Croft Tate, najlepsza partia w Chicago, została dzisiaj uszkodzona w sposób wykluczający reperację.*

Zaśmiał się astmatycznie.

– Proszę, nie zabijaj mnie – powiedziała Morgana. Lenny cofnął nóż.

– Jeśli cię nie zabiję... to co to by z tego była za historia? Żadna! *Rzeźnik łagodnieje?, Rzeźnik mięknie!*

– Błagam, nie zabijaj mnie.

Lenny zastanawiał się nad tym przez chwilę i potrząsnął głową.

– Przykro mi. Mam nadzieję, że rozumiesz, iż naprawdę mi przykro. Pamiętasz, co napisał Hawthorne? „Jakiż loch jest ciemniejszy niż ludzkie serce, jakiż dozorca bardziej bezwzględny niż my sami!” Więc nawet jeśli mnie nie złapią, a mogę cię zapewnić, że nie, to i tak kara mnie nie minie.

Wtedy właśnie mieszkaniem wstrząsnął huk wyłamywanych drzwi. Lenny wstał i powiedział zaskoczony:

– Co...?

Korytarz był już pełen hałaśliwych, uzbrojonych policjantów. Morgana znalazła się nagle na nogach w drugim końcu pokoju. Jakiś ostry głos krzyknął:

– Weź ten nóż, O'Rourke, weź ten nóż!

Jakiś inny odezwał się silnym irlandzkim akcentem.

– Panie Sharpe, tutaj, panie Sharpe! Ona jest tutaj! Tak, bezpieczna! Niech się pan już nie martwi, tu.

Jakiś policjant podszedł do niej z kluczami i po chwili udało mu się zdjąć jej kajdanki. Inny krzyknął:

– Daj mu jakieś spodnie, dobra? Powiedziałem: znajdź mu jakieś spodnie! Nie obchodzi



mnie, kim jest! Nie wezmę go na posterunek w stroju Tarzana'. Rusz trochę głową, OK?

– Panno Croft Tate! – wrzasnął Lenny. Momentalnie wychwyciła jego głos, mimo całego zamieszania. – Panno Croft Tate!

Teraz pojawił się przed nią Harry i złapał ją za rękę. Ciągnął ją korytarzem do wyjścia, w którym tłoczyło się coraz więcej policjantów. Flesze błyskały jej w oczy, prawie oślepiając.

– Niech im pani powie, dlaczego to robiłem! Panno Croft Tate, niech im pani powie, dlaczego! Niech im pani powie! Niech im pani powie! Niech im pani powie, że dziewczyny nigdy nie krzyczały!

Harry zaprowadził ją do samochodu. Zatrzasnęły się drzwiczki. Potem wiózł ją przez Sedgewick Street. Mijały ich światła innych samochodów, zauważyła że jakoś dziwnie pasuje to do rytmu jej serca. Trudno jej było zrozumieć, skąd się tu wzięła. Podniosła dłonie, jedną po drugiej, i delikatnie potarła nadgarstki.

– Morgana, czy wszystko w porządku? Dzięki Bogu, że zostawiłaś tę kartkę.

Zauważyła, że trudno jej było rozpoznać rysy jego twarzy. Zamazywały się, jakby patrzyła na niego przez zaparowaną szybę. Pomyślała, jak o obcej osobie, że pewnie jest w szoku.

– Chciał mnie zabić – powiedziała. Jej głos zabrzmiał dziwnie głucho, jak nie jej własny.

– Jezu Chryste – powiedział Harry. Był wściekły na Morgane, wściekły na Lenny'ego, a przede wszystkim na siebie.

– Miał powód – powiedziała.

– Powód, żeby cię pociąć na kawałki? Powód, żeby pociąć te wszystkie kobiety? Jezu Chryste!

Nie odpowiedziała. Rozumiała pobudki Lenny'ego, kiedy jej przerażenie sięgało szczytu, ale nie była pewna, czy rozumie je teraz. A nawet jeśli tak, to czy potrafiła je sensownie przekazać Harry'emu?

– Zawiozę cię do domu, dobrze? – powiedział Harry. – Może byś spróbowała zasnąć.

Morgana oparła głowę na zagłówku, ale nie zamknęła oczu. Patrzyła, jak odpływają w tył światła i ciemne sylwetki budynków. Potem obróciła twarz do szyby i zaczęła się przyglądać swojemu zamazanemu odbiciu. Widzisz świat w trzech wymiarach, a musisz przedstawić w dwóch. Tak powiedział Lenny. I musisz coś dodać i coś ująć, żeby obraz nie był wypaczony. Tak powiedział Lenny.

Zdawało się jej, że słyszała, jak Harry mówi:

– Wiesz, kocham cię.

Ale może usłyszała to tylko gdzieś we wnętrzu swojej skołatanej głowy. Może to wiatr, albo syrena parowca na jeziorze.

Howard zadzwonił do Marcelli. Była minuta po trzeciej rano. Eleonora stała przy nim. Jej twarz była blada i zastygła jak z wosku. Zachowanie spokoju dużo ją kosztowało.

Jakieś pięć minut temu zadzwoniła po Millicent i poprosiła o kawę. Ani ona, ani Howard nie mogli już zasnąć, a oboje potrzebowali czegoś, co by ich trzymało w jako takiej formie.

Marcella powiedziała do słuchawki zasnany głosem:

– Kto mówi?

– Marcella, to ja, Howard.

Nastąpiła chwila ciszy, potem dał się słyszeć szelest pościeli.

– Howard? Czemu dzwonisz tak późno?

– W zasadzie nie późno, ale wcześnie. Przykro mi, że cię budzę, ale to ważne.

– O co chodzi? Jesteś taki dziwny!

– Chodzi o Phoebe. – Howard spojrział pełnym poczucia winy wzrokiem na Eleonorę. Jeszcze nie spuściła z niego oczu. Powiedział jej dzisiaj wieczorem wszystko o Marcelli, Eduardo i niesławnej przyjaźni z Enzo. To wszystko doprowadziło go teraz do tego, że musi zebrać o życie własnej córki córkę gangstera, który ją porwał. – Zabrali Phoebe – powiedział do słuchawki. – Porwali ją.

Marcella była poruszona.

– Och, Howard, to okropne!

– Marcella – powiedział jeszcze i to było wszystko. Głos odmówił mu posłuszeństwa, a w oczach pojawiły się łzy.

– Howard? – zapytała Marcella. – Howard, proszę, powiedz, o co chodzi.

W końcu Eleonora musiała przejąć słuchawkę.

– Marcella – powiedziała chłodnym, pełnym godności głosem. – Mówi Eleonora, żona Howarda. Nie, proszę, nie przerywaj mi. Howard już mi wszystko powiedział o tobie i twoim synu. A sytuacja przedstawia się następująco. Twój ojciec próbował powstrzymać Howarda przed publikacją artykułów o slumsach w Południowej Dzielnicy. Zorganizował morderstwo jednego z naszych fotografów, a teraz porwał młodszą córkę.

– Mój ojciec? – wyszeptała Marcella.

– Zadzwonił do Howarda przed chwilą. Wyraził się zupełnie jasno. Jeśli nie odwołamy kampanii, nie zobaczymy już więcej Phoebe.

Zapadła dłuższa cisza. Eleonora potrząsnęła słuchawką i wysapała:

– Marcella, czy słyszałaś mnie?

– Tak, pani Croft Tate, słyszałam.

- Czy jesteś w stanie nam pomóc?
- Nie wiem.
- A czy możesz chociaż spróbować?
- Pani Croft Tate...
- Tak?

– Proszę mi dać godzinę. Może dwie. Porozmawiam z ojcem.

Eleonora przycisnęła dłoń do czoła. Czowała pierwsze oznaki migreny.

– Dwie godziny, Marcella. Potem zadzwonię do komisarza Spectorskiego. Znasz nasz domowy numer, jak sądzę.

– Tak – powiedziała Marcella i odłożyła słuchawkę.

Eleonora powoli odłożyła słuchawkę na widełki. Howard już się trochę pozbierał. Właśnie zawiązywał ciasniej pasek szlafroka. Patrzył na Eleonorę jak pies, który dostał bykowcem po pysku.

– Dałam jej dwie godziny – powiedziała. – Jak nie zadzwoni do piątej, skontaktuję się ze Spectorskim.

– Dobrze – odpowiedział i wstał zdecydowanym ruchem z łóżka. Eleonora popatrzyła za nim, jak szedł do garderoby.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? „Dobrze”? Nie masz zamiaru czegokolwiek zrobić?

Howard zdjął górę od piżamy i przewiesił ją przez oparcie krzesła.

– Eleonora – powiedział. – Ubiorę się i pojedę do biura. A tam, wierz mi, mam zamiar coś zrobić.

Nic nie odpowiedziała, a on w tym czasie założył niebieską dwurzędową marynarkę i przeczesał włosy. Kiedy podszedł, żeby się pożegnać, wstała i odczuła nagły przypływ strachu. Nie wiedziała dlaczego.

Otoczyła go ramionami i mocno przytuliła się. Czowała jego ciało, jego siłę i bijące odeń ciepło. Kiedy podniosła głowę i spojrzała mu w twarz, jej oczy błyszczały od łez.

– Howard – wyszeptła, jakby w głębi zdesperowanego serca miała nadzieję, że to słowo okaże się magicznym zaklęciem zdolnym przenieść ich z powrotem do lat, kiedy się dopiero poznali i spotykali. Do lata, jezior, jazzowych orkiestr i radości. Do Chicago lat dwudziestych. Pocałunków, tańca i wywiniętych przy kostkach skarpetek.

Kiedy potem pomyślała o tej chwili, zrozumiała, że już wtedy wiedziała, co Howard chce zrobić. Tyle, że nie miała dość siły, żeby temu zapobiec.

Howard pocałował ją, z obowiązku raczej niż miłości, jak mąż żonę. Podszedł do drzwi. Wyszedł i już go nie było. I nie pozostało po nim nic więcej tylko wspomnienie jego twarzy i jej wyrazu w tym ostatnim ułamku sekundy. Jest – nie ma. Jest – nie ma. Jak w kuglarskiej sztuczce.

Howard zszedł na dół i poprosił o chryslera. Winton przyniósł z garderoby letni płaszcz i rękawiczki. Pracował już dla Croft Tate'ów za długo, żeby komentować ich poczynania. A dzisiaj widać było jasno, że Howard nie jest w nastroju do pogaduszek. Płaszcz i rękawiczki zostały dostarczone, a potem stali w ciszy, czekając, aż samochód zajedzie przed frontowe drzwi.

Korytarzem poszedł słaby powiew, unosząc lekko poły płaszcza Howarda.

Kiedy chrysler podjechał, Howard niespodziewanie uściśnął Wintonowi rękę.

– Proszę pana? – powiedział pytająco Winton, do którego dotarło nagle, że ma się wydarzyć coś doniosłego. Howard po prostu uśmiechnął się i powiedział:

– Trzymaj się, Winton – i wszedł do limuzyny.

Czerwone światelka małały już w oddali, kiedy na dole pojawiła się Eleonora, w długiej sukni. Była przybita. Stała przy schodach. Na dworze już jaśniało.

– Czy mogę jakoś pomóc, proszę pani? – zapytał Winton. Obróciła w jego stronę bladą twarz i powtórzyła za nim bezwiednie:

– Pomóc?

Howard siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu limuzyny. Jechali na południe wzdłuż Lake Shore Drive. Niebo jaśniało już nad jeziorem Michigan, tak tajemniczo srebrnoniebieskie. Światelka nawigacyjne pobłyskiwały na horyzoncie jak krople porannej rosy. Okna bloków na Gold Coast były jeszcze nadal ciemne i starannie zapieczętowane zasłonami, tymi tarczami bogactwa.

Limuzyna zaparkowała przed blokiem Enzo Vespucciego. Howard powiedział do szofera:

– Zaczekaj tu. To nie potrwa długo.

Potem przeszedł korytarzem do wind, odpowiadając lekkim skinieniem na ukłon portiera.

Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio zdarzyło mu się odczuwać taki wewnętrzny spokój. Zdjął rękawiczki, palec za palcem i starannie je złożył.

Carmino otworzył drzwi i bardzo nisko się uklonił.

– Dzień dobry, panie Croft Tate. Czy napije się pan kawy? Howard wręczył mu kapelusz i rękawiczki, i obcesowo potrząsnął głową w odpowiedzi na pytanie.

– Proszę tędy, panie Croft Tate. Pan Vespucci oczekuje pana. Enzo siedział w bibliotece popijając kawę i czytając poranną

„Star”. Na widok Howarda podniósł się, uśmiechnął i skinął głową. Miał na sobie biały smoking i krawat, prawdopodobnie jeszcze od wczorajszej kolacji. W drugim końcu biblioteki spała młoda dziewczyna, zwinięta w kłębek na skórzanej sofie typu Chesterfield. Miała długie, jedwabiste, czarne włosy, a tęczyowy negligé skąpo okrywał krągłości jej ciała.

– Proszę, nie przejmuj się Aną – powiedział Enzo. – Można by strzelać z armaty, a ona i tak się nie obudzi. Ma mocny sen, jak jej matka.

Howard zdecydował, że postoi.

– Przyszedłem załatwić pewien interes – powiedział z napięciem.

– Cóż, Howardzie, miło mi to słyszeć. Doceniam tak szybką decyzję. Znasz mnie przecież, zawsze byłem rozsądnym człowiekiem. Ale muszę powiedzieć, że dość znaczy dość, nawet swoim najbliższym przyjaciółom. Mam nadzieję, że rozumiesz, że ten mały pokaz siły miał tylko służyć interesom. Nie przejawiam wobec ciebie żadnej osobistej urazy czy czegokolwiek w tym rodzaju.

– Czy Phoebe tu jest? – zapytał Howard. Nagle zdał sobie sprawę, że prawie nie może wymówić jej imienia.

Enzo strzelił palcami.

– Jest bezpieczna, Howard, zapewniam cię. Ambrogio mają pod swoją opieką. A gdyby ktoś chciał jej zrobić krzywdę, to... – tu przejechał palcem od ucha do ucha.

– Zdecydowałem się zrezygnować z tych artykułów o slumsach – powiedział Howard. – No i wydrukować te przeprosiny na pierwszej stronie, a w środku może coś o akcjach dobroczynnych, jakie masz w dorobku. To nie tylko sprawa odzyskania Phoebe. To sprawa starannego redaktorskiego osądu. Byliśmy dla ciebie zbyt surowi, Enzo. Cóż, niektórzy w redakcji dostają czasem bzika na jakimś punkcie i nie udaje mi się ich na czas powstrzymać... wiesz, mówię teraz o kwestii dobrego smaku i jakości dziennikarstwa. Nie pozwolę, by uważano „Star” za gazetę brukową, nawet... szczególnie, jeśli chodzi o twoje interesy.

Enzo poklepał Howarda po ramieniu.

– Howard, wreszcie zrozumiałeś! Nie masz pojęcia, jak się cieszę! A teraz co robimy? Zadzwońisz do biura i przekażesz swoje instrukcje, a ja zadzwonię do Ambrogio i każę wypuścić Phoebe?

– Pomyślałem o lepszym rozwiązaniu – powiedział Howard. – Czemu nie miałbyś pójść ze mną do „Star”? Moja limuzyna czeka na zewnątrz. Pójdziemy do drukarni i osobiście każesz zatrzymać prasy. Nie uważasz, że należy ci się takie rozwiązanie? To po prostu przyjazny gest, wierz mi. Enzo, dopóki nie staniesz przy tych maszynach, kiedy pracują na pełnej mocy, i nie każesz ich zatrzymać, nie masz pojęcia o potędze.

Enzo klasnął w dłonie.

– Howard! Howard! Howard! Jaki z ciebie wspaniały człowiek! To naprawdę wspaniały gest! I żeby ci pokazać, jak ci ufam i cenię to, co robisz, już teraz zadzwonię do Ambrogio.

Podniósł słuchawkę i wykręcił jeszcze jeden z „SUPER” numerów. Czekał przez chwilę przy aparacie, rozpromieniony jak student starszego roku, który szykuje kawał kotom z pierwszego. W końcu ktoś odebrał. Enzo powiedział:

– Ambrogio? Tak. Wszystko w porządku. Pan Croft Tate okazał się chętny do współpracy ponad wszelkie oczekiwania! Tak, możesz wypuścić pannę Croft Tate!

Enzo zakrył dłonią słuchawkę i zwrócił się do Howarda:

- Gdzie chcesz, żeby ją zabrać?
- Do „Star” – odpowiedział Howard. – Czy mogę z nią porozmawiać?
- Oczywiście.

Enzo przekazał mu telefon.

- Phoebe? – zapytał Howard. – Czy to ty?
- Tatusiu – powiedziała Phoebe. – Tatusiu, Kocham cię.
- Czy wszystko w porządku? – zapytał Howard. – Nie zrobili ci krzywdy?
- Tatusiu, wszystko w porządku. Chcę do domu.

– To już załatwione. Zabiorą cię do „Star”, a potem ktoś zawiezie cię prosto do domu. Nie martw się niczym, Kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Howard oddał Enzo słuchawkę. Enzo porozmawiał z Ambrogio po włosku i zwrócił się do Howarda:

- Świetnie! To jest dobry interes! No, to jedziemy?

Wyszli z bloku Enzo. Niebo było już szaroniebieskie. Howard nie mówił nic, kiedy jechali na Wabash Avenue, natomiast Enzo nawijał cały czas o przyjaźni, wpływach i potędze. I o tym, jaka przykra jest konieczność, żeby przypomnieć najbliższym o należnym ci szacunku.

– To się zdarza! – wykrzyknął Enzo. – Na przykład Marcella. Nawet Marcella mnie czasem nie docenia. I cóż innego mogę zrobić, jak ją upomnieć?

W tym momencie Marcella rozmawiała przez telefon z Carmino. Carmino powiedział:

– Przykro mi, panienko Marcello, ale pani ojciec wyszedł. Tak, parę minut temu, z panem Croft Tate. Pojechali do „Star”. Nie, nie wiem dlaczego.

Limuzyna Howarda zajęła pod „Star”. Odźwierny pośpieszył otworzyć im drzwiczki. Howard powiedział szoferowi, żeby zaczekał, i wprowadził Enzo do jasnego hallu. Podeszedł wprost do stalowego kontuaru recepcji i zapytał siedzącą tam ładną Murzynkę:

- Jakies telefony z Ogden Avenue, Mandy?
- Nie, panie Croft Tate. I dzień dobry.
- Tędy do drukarni – powiedział Howard, biorąc Enzo pod ramię.

Maszyny pracowały pełną parą. Szedł właśnie późny dodatek Granta – *PRYZNAJE, ŻE JEST RZEŹNIKIEM*. Budynek drżał, jakby wstrząsany lekkim trzęsieniem ziemi. Enzo uśmiechnął się do Howarda.

- Potęga prasy, co? Potęga prasy!

Howard wprowadził go do windy i zjechali na dół. Tymczasem na górze, na piętrze redakcyjnym, Grant, Harry, Morgana, Gordon, oraz siedmiu innych dziennikarzy i fotografów świętowało rozwiązanie sprawy Rzeźnika kawą i whisky, którą Harry znalazł w biurku Dempseya.

Pierwsza strona, przypięta do tablicy ogłoszeniowej przy biurku Granta, zawierała duże

zdjęcie Mutkena wyprowadzanego przez policję z bloku Marshalla Fielda. Pod głównym tytułem biegł podtytuł *Przyparłam Rzeźnika do ściany jego własnej jaskini – napisane przez Morganę Croft Tate*.

Morgana była zupełnie wyczerpana, kręciło się jej w głowie i czuła się pijana. Zdecydowała jednak, że napisze swój artykuł i przyłączy się do fety. W przyszłości gazeta miała należeć do niej i już teraz chciała stać się jej częścią.

Zadzwoił telefon. Grant rozmawiał z kimś przez chwilę, a potem wyciągnął rękę ze słuchawką do Harry'ego.

– Harry? To do ciebie. Pani, która zwie się Marcella.

Harry dopił whisky i obszedł biurko Granta, szurając łokciem po blacie.

– Marcella? Dziwna pora na telefony do biura!

– Harry? Słuchaj uważnie! Pewnie jeszcze o tym nie wiesz, ale mój ojciec porwał Phoebe Croft Tate! Tak! Tak! Tak! Ale nie ma na to czasu! Harry! Słuchaj mnie! Słuchaj i nie przerywaj! Howard przyszedł do mojego ojca parę minut temu i pojechali razem do „Star”. Tak! Harry, ja czuję, że on chce zrobić coś strasznego! Musisz go natychmiast znaleźć!

Harry rzucił szybko do słuchawki:

– Dobrze, Marcella, dobrze. Słuchaj, będziemy w kontakcie. Spróbuję go znaleźć. Oczywiście, tylko nie panikuj. Znajdziemy go.

Morgana natychmiast zauważyła, że coś jest nie tak.

– Harry? – zapytała. – O co chodzi?

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. Twój ojciec jest teraz gdzieś w budynku i musimy go znaleźć. David, czy mógłbyś zadzwonić do przybudówki i sprawdzić, czy tam jest? Morgana, zadzwoń do recepcji i powiedz tej dziewczynie, żeby wykonała parę telefonów. Grant, gdzie on może być?

Grant potrząsnął głową.

– Nie wiem, czasem lubi zejść do drukarni. Ale w czym problem? Kto dzwonił?

Na dole w piwnicy Howard i Enzo szli ramię w ramię wzdłuż rzędu grzmiących Goss Headlinerów. Mogliby równie dobrze być kumplami z jednego klubu golfowego. Howard krzyknął do Enzo:

– Ale widok, co? Kiedy zatrzymujesz rotację, to jakbyś zatrzymywał Niagarę!

Enzo spojrział na swój zegarek z nefrytową tarczą.

– Ambrogio powinien tu być lada moment.

Podszedł do nich Herman Short, jak zwykle zajęty jakimiś drobiazgami do maszyn.

– Pan Croft Tate! Co mogę dla pana zrobić?

– Chwileczkę, Herman – odpowiedział Howard. – Pan Vespucci chce zobaczyć moc maszyn

na pełnej parze!

Enzo roześmiał się radośnie.

– Howard! Nie doceniałem cię! Wiesz, teraz, skoro już potrafisz spojrzeć na życie z mojego punktu widzenia, sędzę, że już na zawsze pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi! Co powiesz na kolację dziś wieczór? Tylko ja i ty, w Blackstonie? Ja stawiam!

W tym momencie otworzyły się drzwi drukarni i pojawił się w nich Ambrogio, prowadząc Phoebe pod ramię. Ambrogio był nieco blady, a jego twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć. Natomiast Phoebe była dosłownie biała i miała szeroko rozwarte z przerażenia oczy.

Enzo podniósł rękę w stronę Ambrogio.

– Ej, presto!

Potem zwrócił się do Howarda:

– Oto twoja córka, bezpieczna i w dobrym stanie!

Ambrogio sprowadził Phoebe po stalowych schodach i poprowadził w ich stronę przez halę. Enzo krzyknął do niego:

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku, możesz ją puścić!

Howard wyciągnął do Phoebe ramiona i mocno ją do siebie przygarnął. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie powiedziało słowa. Enzo klepnął Howarda po ramieniu i wskazał na maszyny.

– No? Interes to interes.

– Czy na pewno wszystko w porządku? Nie zrobili ci żadnej krzywdy? – zapytał Howard.

Phoebe skinęła głową. Nic jej się nie stało.

– Słuchaj, kochanie – powiedział do niej Howard. – Muszę tu dobić pewnego interesu z panem Vespuccim. Morgana jest prawdopodobnie gdzieś w budynku, może w dziale redaktorskim. Znajdź ją i wróćcie obie do domu. Ale najpierw zadzwoń do matki i powiedz jej, że wszystko jest w porządku.

Phoebe wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Wrócisz szybko? – zapytała. Howard uśmiechnął się.

– Za minutkę. Ale nie czekajcie na mnie.

Enzo wyraźnie się niecierpliwił. Stanął z rękami założonymi na brzuchu i wyduł wargi. Howard zaczekał, aż Phoebe wyjdzie z powrotem na górę, pomachał jej ręką i posłał całusa. Wyszła. Wtedy obrócił się i skinął na Hermana.

– Herman – powiedział, pochylając się i szepcząc, żeby nie słyszeli go ani Ambrogio, ani Enzo. – To, co się teraz stanie, może cię zaskoczyć. Ale musisz mi coś obiecać. Nie, nie zadawaj mi żadnych pytań, po prostu słuchaj. Musisz mi obiecać, że nie pozwolisz temu dużemu, który tam stoi, wyjść z budynku. Rozumiesz? Jak tylko to się zacznie dziać, każ swoim czterem największym ludziom zająć się nim. Tylko uważajcie, on może być uzbrojony. No, wszystko jasne? Cokolwiek się stanie, nie pozwól temu gościowi uciec.



– Panie Croft Tate – Herman zmarszczył brwi. – Co pan ma na myśli, mówiąc, że stanie się coś, co mnie zaskoczy?

Howard poklepał go po ramieniu.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Herman. Nie zwracałem nigdy dość uwagi na drukarzy, ale z ciebie jest naprawdę dobry człowiek.

Howard podszedł znowu do Enzo i krzyknął:

– Są gotowi. Masz tylko tam podejść i powiedzieć słowo. Wtedy wszystkie staną.

Enzo zrobił kółeczko z kciuka i wskazującego palca, na znak, że jest naprawdę zadowolony.

Poszli razem wzdłuż rzędu maszyn. Wtedy Howard niespodziewanie się zawahał, wziął Enzo pod ramię i wprowadził między dwie ryczące maszyny rotacyjne. Enzo chciał się cofnąć, ale Howard pociągnął go mocniej i krzyknął:

– No, nie mów mi, że wielki Enzo Vespucci się boi! Przecież to tylko trochę hałasu! Chcę ci pokazać nowe uchwyty na wierszowniki, dzięki nim nie wypadają podczas druku! Do niedawna to był poważny problem!

W tym momencie Harry otwierał drzwi do gabinetu Howarda na poddaszu budynku.

– Panie Croft Tate! Panie Croft Tate! Jest pan tam?

Podszedł do ogromnego okna wychodzącego na jezioro i szarpnął za klamkę drzwi na balkon. Były zamknięte na klucz. Obrócił się i popędził do windy.

Howard powiedział do Enzo:

– Widzisz, tam... o, tam, nie, to tu, tu farba wlewa się do wierszownika, nie tu, trochę niżej...

Enzo pochylił się do przodu. W tym momencie Howard złapał go za kark i pchnął w przód, wprost pod wirujący cylinder. Wyglądało to, jakby zanurzał opornego psa w kąpiel. Obydwaj mężczyźni dosłownie zaryczeli. Maszyneria złapała głowę Enzo, a razem z nią ramię Howarda. Dał się słyszeć potworny odgłos mielenia i tnącego metalu. Krew, kości i strzępy ubrania rozprysnęły się dookoła. Maszyna automatycznie stanęła.

Wszystkie maszyny stanęły. Zapadła cisza, ta cisza, o której Howard mówił. Herman Short rzucił swoje śrubki i ruszył w stronę, w której zniknęli. Zapomniał zupełnie o Ambrogio, ale ten, w szoku, tkwił w swoim miejscu, jakby wrósł w podłogę.

Na górze w dziale wiadomości światła przygasły na krótką chwilę i nawet o tyle pięter wyżej wszyscy wyczuli nagłą ciszę.

Grant powiedział:

– Coś się stało.

Podniósł słuchawkę swojego telefonu i przycisnął guzik drukarni.

– Co to, Grant, co to? – spytała Morgana.

Była środa wieczór. Wszystkie matryce były już umocowane, maszyny gotowe do pracy. W drukarni panowała cisza, kiedy weszła tam Morgana w czarnym woalu i czarnej plisowanej sukni. Harry siedł tuż obok, a Grant zaraz za nią. Phoebe też tam była, także w czerni. Poza nimi nie zaproszono nikogo. Był to moment jakby rodzinny, chwila żałoby, którą „Star” i ludzie pracujący dla niej chcieli zachować dla siebie.

Herman Short podszedł do Morgany.

– Jesteśmy gotowi, panno Croft Tate.

– Bardzo dobrze. Włączcie – odpowiedziała.

Brzęczyki zabrzęczały i maszyny zaczęły pracować. Stopniowo nabierały tempa, rolki papieru przewijały się, a poskładane gazety zaczęły wyłaniać się z przycinarek.

Grant podszedł i wyjął jeden egzemplarz ze stosu. Podał go Morganie ze smutnym i pełnym współczucia uśmiechem. Morgana zarzuciła czarny welon do tyłu i podniosła gazetę do oczu. Pierwszą stronę zajmowało zdjęcie Howarda Croft Tate’a wykonane w dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin. Wyglądał jak człowiek, u którego stóp leży cały świat. Nagłówek nad nim brzmiał *BOHATER*.

Kondukt żałobny zablokował ruch na North Michigan Avenue i Lake Shore Drive na prawie trzy godziny. Ciąg błyszczących cadillaków i chryslerów miał ze dwie mile i wszystkie miały zapalone światła. Karawan i dziewięć innych samochodów udekorowano stertami purpurowych róż z gatunku American Beauty, które Howard tak lubił. Ich płatki opadały gęsto w upale, aż zdawało się, że na ziemię pada deszcz krwi.

Przodem szła Srebrna Orkiestra Chicagowskiej Straży Pożarnej grając *Walca Triste* z *Kuolemy* Sibeliusa. Budynki z naprzeciwka odpowiadały echem bębnow, a przechodnie zdejmowali kapelusze jak przed zmarłym królem.

Dzień palił niemiłosiernym żarem. Kryte papą dachy zaczynały wyrzuszać się na spojeniach. Gdy kondukt szedł wzdłuż Lake Shore Drive, Morgana zobaczyła wodę, ciemnostalową i ponurą, jakby jezioro wypełnione było ciekłym metalem. Stojące na drugim brzegu budynki „Tribune”, „Star” i „Palmolive” migotały w rozprężonym powietrzu, jak mirażę gotowe zniknąć, podobnie do egipskich piramid, z pierwszym cieniem zmroku.

Ludzie zebrani na cmentarzu Shaded Oaks przy rodzinnym grobowcu Croft Tate'ów z różowego marmuru należeli do elity. Ich nazwiska mogłyby równie dobrze zostać dobrane przez wydającą przyjęcie snobkę z niebieskich kart książek telefonicznych dziesięciu największych miast Ameryki i herbarzy pośledniej szlachty Europy. Było tu pięciu najprawdziwszych księciów, trzy księżniczki, dwóch noblistów, hrabiów i hrabin bez liku. Doborowe towarzystwo uzupełniali senatorowie, posłowie, gubernatorzy, ambasadorzy, radni miejscy, gwiazdy filmowe, pisarze, bankierzy i wybrani burmistrzowie.

Eleonora wiodła pochód żałobny. Jej twarz była zakryta welonem czyniącym ją podobną do zjawy z wiktoriańskiej fotografii. Miała na sobie długą czarną suknię projektu Nettie Rosenstein i niesamowity czarny kapelusz z szerokim rondem, który Morgana miała potem określić jako model „Nosferatu Wampir”. Sama Morgana była ubrana w ciemnopopielatą suknię od Omara Kiama z czarnym kołnierzem i rękawami. Phoebe miała najprostszą, jeśli chodzi o krój, suknię spośród wszystkich: z półgolfem, do łydek i bez ozdób, z wyjątkiem czarnej jedwabnej lamówki i błyszczącej czarnej broszy z prasowanego jubilerskiego węgla.

Grant Clifford stanął na schodach grobowca i zaczął czytać rekwiem na cześć swego zmarłego przyjaciela i pracodawcy. Grobowiec został zaprojektowany w 1929 roku przez McKima, Meada i White'a, tych samych architektów, którzy zaprojektowali kapitol stanowy w Providence i hotel Savoy Plaża w Nowym Jorku. Morgana dostrzegła w tym głośzonym na gładkich neoklasycystycznych stopniach, rekwiem gorzkawy posmak przemowy Marka Antoniusza nad grobem Cezara. To ironiczne skojarzenie wywołał Grant, stojący z odkrytą

głową, i zebrani wokół ludzie w czarnych strojach i czarnych rękawiczkach, którzy słuchali, pocili się, a niektórzy nawet szlochali.

– Myślę, że człowiek winien być sądzony nie wedle tego, co osiągnął, ale wedle tego, co starał się osiągnąć – wygłaszał Grant. – A Howard Croft Tate starał się osiągnąć nawet więcej, niż było możliwe. Starał się być największym wydawcą i źródłem informacji, jakie Ameryka kiedykolwiek znała. I jakkolwiek historia będzie tu miała ostatnie słowo, uważam, że jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Prawdopodobnie największym problemem było to, że starał się być także istotą ludzką – człowiekiem pełnym uczucia, ciepła i wewnętrznej uczciwości. Być może Howard odkrył zbyt późno, że władzy nie da się pogodzić z miłością, a sukcesu ze współczuciem. To znaczy, zbyt późno, by pozostać przy życiu, ale nie nazbyt późno, by wymazać błędy przeszłości i pozostać w naszej pamięci jako człowiek o niezachwianej wierności swoim ideałom, pełen odwagi i uczciwości.

Było to bardzo prowokacyjne rekwiem, graniczące wręcz z nieprzyzwoitością. Grant wiedział jednak, co robi. Nie tylko oddawał cześć swemu byłemu przyjacielowi i wydawcy, ale także dawał Morganie jasno do zrozumienia, że będzie z nią współpracował i walczył, jak mężczyzna z Croft Tate'ów, na dobre czy na złe.

Gdy skończył, podszedł do Eleonory i uścisnął jej rękę. Powiedziała, prawie niedosłyszalnie:

– Bardzo dobrze, Grant.

Gdy jednak Grant podszedł do Morgany, ta nie powiedziała nic, dając jedynie znać, że przyjęła do wiadomości jego słowa, lekkim skinieniem głowy.

– Teraz nadeszła nasza pora – powiedział Grant.

– Nadeszła już dawno temu – odpowiedziała. – Ważne jest tylko to, czy umiało się dostrzec błędy i wyciągnąć z nich wnioski.

Nie zamierzała się wymądrzać. Słowa jakoś same się ułożyły. Grant zmrużył oczy, popatrzył na nią i powiedział:

– Wiesz, że Francesco Lorenzo i Orville O'Keefe właśnie wkupują się w strefę Enzo?

Morgana przez dłuższą chwilę stała w milczeniu. Potem powiedziała twardo:

– Kolegium redaktorskie jutro o jedenastej.

– Cóż, im wcześniej, tym lepiej.

– Grant, ty może chowasz przyjaciela, ale ja chowam ojca.

Grant opuścił wyciągniętą dłoń. Słowa Morgany najwyraźniej go uderzyły.

– Tak – powiedział. – Przepraszam. Podejrzewam, że to było w kiepskim guście.

Morgana ujęła jego dłoń, by okazać, że nie żywi do niego urazy i nadal są przyjaciółmi.

Goście żalobni stopniowo po odprawieniu ostatniego pożegnania, wracali do samochodów. Rodzina została nieco dłużej, by przeczytać napisy na kartkach dołączonych do wieńców i bukietów. „Z najgłębszym współczuciem – współpracownik Robert McCormick i wszyscy

z Tribune”. „Pogrążeni w smutku – wydział policji z Chicago”. „Opuścił nas nasz przyjaciel – Chicagowska Izba Handlowa”. „Niezrównanemu partnerowi w golfie – Kenneth”. Na specjalne polecenie Eleonory mały bukietek niezapominajek zajął zaszczytne miejsce przed wszystkimi kwietnymi hołdami. Na małej kartce ktoś napisał po prostu: „Ciao, Howard, od Marcelli”. Eleonorze można było zarzucić wiele, ale nie małostkowość.

Potem goście wrócili do Weatherwood. Przygotowano tam sześć namiotów. Płachty przy wejściach odgarnięto do tyłu i przywiązano czarnymi kokardami, żeby osłaniały foyer wypełnione białymi różami. Wewnątrz, na stołach bez obrusów, podano bufet składający się z zimnej wirginijskiej szynki, pieczonego królika na zimno, żeberka z rusztu, jajecznicę po kreolsku, befsztyków, gotowanego bez skóry łososia na zimno, i wielu innych niewyszukanych dań, które Howard lubił najbardziej. Gości było dobrze ponad tysiąc, a podano im chłodzone kalifornijskie wino, sprowadzone w ilości ponad dziewięćdziesięciu skrzynek.

Goście kręcili się między markizami lub stali w słońcu, marszcząc brwi w blasku. Większości z nich trudno było uwierzyć że Howard Croft Tate nie żyje. Także teraz, po jego pogrzebie, ogólna atmosfera wstrząsu po tej stracie jeszcze nie zniknęła. Milton Brele był przygnębiony. Grocho Marx był przygnębiony. Tak wiele słynnych twarzy o przygnębionym i zagubionym wyrazie było niecodziennym widokiem.

Orkiestra grała wybrane fragmenty Beethovena, Elgara, i Griega. Kiedy zagrała uverturę Griega *Na południu*, Eleonora przeprosiła towarzystwo i odeszła na bok, do balustrady balkonu wychodzącego na ogród. Szlochała cicho.

Morgana podeszła do niej.

– Mamciu?

– Wszystko w porządku – Eleonora odpowiedziała pospiesznie. – Kiedyś marzyłam o tym, a teraz tak nagle się to stało. To wszystko.

– Wybaczyłaś mu? Eleonora potrząsnęła głową.

– On nigdy nie potrzebował mojego wybaczenia, kiedy żył. Z pewnością nie potrzebuje go także teraz. Zdradzałam go dokładnie na tyle, na ile on zdradzał mnie.

Morgana objęła matkę mocno, ale wyczuła w niej lekką sztywność, niechęć do takiego zbliżenia.

– Czasy się zmieniły. Zawsze wiedziałam, że się zmienią, kiedy odejdzie – powiedziała Eleonora.

– Był bardzo odważny – odpowiedziała Morgana.

– Odważny? Nie wiem. Może tak, a może nie. Może nie robił nic innego, tylko wybierał łatwe rozwiązania.

– Nie rozumiem.

– Cóż, pozwól, że ujmę to tak – powiedziała Eleonora chwytając Morganę za rękę. – Twój

ojciec niezupełnie był rycerzem w połączanej zbroi walczącym o wolność i sprawiedliwość, jak wierzyła większość ludzi. Ci, którzy znali go bliżej – tak jak ja, oczywiście, Grant, Gordon McLintock i Kenneth Doyle – dobrze wiedzieli, kim jest naprawdę.

– A jaki był?! – wykrzyknęła Morgana.

– Nie denerwuj się, moja droga. Kochałam go i Kocham nadal, i nie zamierzam go oczerniać, szczególnie teraz. Był pełen entuzjazmu i chęci do ciężkiej pracy, inspirował do tej ciężkiej pracy innych... Ale wiesz, cokolwiek i kiedykolwiek robił, to tylko po to, by zrobić wrażenie na swoim ojcu, a twoim dziadku. Od czasu, gdy był małym chłopcem, jego ojciec powtarzał mu w kółko, że jest nudny, nic nie wart, i nawet dawanie mu jeść jest stratą pieniędzy.

Eleonora uśmiechnęła się smutno i ciągnęła dalej:

– Grant może ci opowiedzieć, jak Howard zwykł był chodzić po swoim biurze w tę i z powrotem mówiąc z patosem o swoim ojcu.

– Ależ dziadek umarł w 1926 – powiedziała Morgana, zupełnie zaskoczona.

– To był cały problem. Howard był ze sto razy bardziej bogaty niż jego ojciec i ze sto razy lepiej mu się wiodło, ale jego ojciec nie dożył, by to zobaczyć. Howarda pozbawiono tej jedynej rzeczy, która mogła nadać sens pracy całego jego życia – słów jego ojca: „Bardzo dobrze”.

Eleonora spuściła głowę. Kapelusz z czarnymi skrzydłami ronda tkwił na jej głowie jak ów kruk z Edgara Allena Poe, który usadowił się na popiersiu Pallas, tuż nad drzwiami pokoju.

– Howard miał władzę, o tak. Jego głosu musiała słuchać cała Ameryka. Ale ponieważ pracował całe życie tylko po to, żeby zadowolić ojca, nie miał żadnych rzeczywistych celów, skali wartości czy zasad. Jak sądzisz, czemu tak wielu gangsterów przyjeżdżało tu, żeby z nim rozmawiać? Biedny Howard, był podatny na presję. Łamał swoje zasady jedną po drugiej, jakby przegrywał partię kart. I w końcu, kim był, co sobą przedstawiał, oprócz zamiłowania do zamieszania i łatwych wyborów? Biedny Howard.

Przez chwilę milczała, po czym powtórzyła, na wydechu:

– Biedny Howard.

– Nie brał łapówek, prawda? – zapytała Morgana.

– Nie, pieniądze nie miały na niego wpływu. Nie miały znaczenia, kiedy chodziło o twojego ojca. Co miało u niego wpływ, to strach. Był po prostu tchórzem. I bał się takich zdecydowanych ludzi jak Enzo Vespucci – mężczyzn zdolnych zabić w imię własnych korzyści i nie obawiających się, że sami też mogą zginąć. Trudno przeciwstawić się ludziom zupełnie wolnym od obawy przed śmiercią.

Morgana dotknęła ramienia matki. Nie wiedziała, czy jej wierzy, czy nie, ale powiedziała cicho:

– Nie zawiodę go. Myślę, że chciał, żebym przejęła „Star”, bo wiedział, że się do takiej pracy nadaję.

Eleonora odwróciła się.

– Chciałabym, żeby tu był, jeszcze tylko minutę – powiedziała głosem nabrzmiałym od łez. – Chciałabym móc mu powiedzieć, jak mi żal i jak wiele teraz rozumiem.

– To niemożliwe, mamciu. Pozostaje nam wierzyć, że jest blisko i słucha nas.

W tym momencie nadszedł Lawrence Olivier, nieco blady pod swoją kalifornijską opalenizną. Miał na sobie szary garnitur i elegancki jedwabny krawat z diamentową zapinką. Zdjął kapelusz i ucałował obydwie.

– Nie możecie sobie nawet wyobrazić mojego smutku – powiedział do Eleonory. – Howard był jednym z niewielu wydawców, których aktor mógł nazwać przyjaciółmi.

– Czy jest Vivien? – zapytała Eleonora.

Olivier wywołał na usta sztywny uśmiech.

– Przykro mi, ale nie. Szczerze mówiąc, ona nie lubi pogrzebów.

Eleonora przeprosiła ich i podeszła do siostrzenicy McCormicka, Bazy Miller.

– Pozwolisz? – powiedział Olivier do Morgany, po czym ujął ją pod ramię i poszli razem wzdłuż szeregu wiązów. Liście szeleściły cicho, a słońce to chowało się, to przebłyskiwało. Przypominało to scenę z *Zaginionego chłopca* Thomasa Wolfe'a.

– Rozumiem że „Star” jest teraz twoja – powiedział Olivier unosząc brew w znaku zapytania. Morgana skinęła głową.

– Tato powiedział mi w moje urodziny, że zamierza mi ją przekazać. Nie przypuszczałam, że to stanie się tak szybko.

– Czy myślisz, że on to przeczuwał? To znaczy, czy sądzisz że on czuł, że umrze?

– Nie wiem – odpowiedziała Morgana.

Nagle zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, że prawie wcale nie znała swojego ojca. Wszystkie te lata, traktowane jak coś oczywistego i niezmiennego. Wszystkie te posiłki, podczas których nie powiedziała nigdy nic bardziej przyjaznego od: „Dzień dobry, tatau, czy mógłbyś podać tosta?” Wszystkie te dni i noce, wszystkie te słowa i pocałunki, co one teraz znaczyły? Były wspomnieniem, oczywiście, ale czym w ogóle jest wspomnienie? Jej ojciec był już teraz w trumnie, jego oczy były zamknięte, umysł wyciszony.

– Twój ojciec był kimś w rodzaju rycerza krzyżowego, czyż nie? – powiedział Olivier. – Masz teraz szansę, by kontynuować jego dzieło w dobrej sprawie. Nie każda córka ma taką okazję.

Pocałował ją w policzek i powiedział:

– Życzę ci jak najwięcej szczęścia. Jest się bardzo samotnym tu, na szczycie, wierz mi. Niezależnie od tego, jak bardzo ludzie cię kochają i podziwiają. Ale pamiętaj, że zawsze możesz pomachać do ludzi na innych szczytach i oni, przynajmniej, zrozumieją.

W żarze wczesnego popołudnia, w pobliżu Morgany majestatycznym krokiem przechadzał

się Kenneth Doyle. Nie uczyniła najmniejszego ruchu, by do niego podejść lub jego do tego zachęcić, a on ze swej strony pozostał na uboczu, dopóki nie porozmawiała z wszystkimi owymi krewnymi i przyjaciółmi, którzy podchodzili do niej, by złożyć wyrazy współczucia. Trochę po trzeciej, kiedy większość gości zaczęła się żegnać i oddalać ku swoim limuzynom, Kenneth pojawił się koło Morgany w różowej altanie. Rozmawiała z Phoebe i Bradleyem, trzymając w ręce szklaneczkę koktajlu Old Fashioned, który Winton Snell specjalnie dla niej przyrządził z whisky, wody, cukru, odrobiny gorzkiego piwa i plasterków cytrusów okraszonych wisienką. Kenneth stał przez chwilę z zakłopotaną miną, z rękoma założonymi do tyłu. Jego czarny pogrzebowy garnitur był nieco przyciasny w ramionach, a kołnierzyk koszuli świadczył o przynajmniej pięciu chińskich pralniach za dużo. Kenneth zrobił grymas, jakby chciał coś powiedzieć. Pszczoły śmigały od jednego pąku róży do drugiego.

Bradley perorował:

– ...to było szaleństwo, oczywiście, ci wariaci nie odwołali tego policyjnego komunikatu i zostałem aresztowany, jak tylko wróciłem do naszego mieszkania – a kiedy powiedziałem im, że wszystko, co robiłem tego dnia, to cięcie wieprzowych żołądków – cóż, powinniście były widzieć ich miny – i oczywiście dopiero, jak zabrali mnie na posterunek, cała sprawa się wyjaśniła.

– I dobrze ci tak – powiedziała Phoebe. – Nie powinieneś umawiać się z dziewczyną, mając narzędzia pracy na tylnym siedzeniu. Szczególnie, jeśli zajmujesz się ćwiartowaniem des cochons!

– Racja – dodała Morgana. – Powinieneś być wysłany na pięć lat do Joliet za rozmyślne przejawianie złego gustu.

– Ależ słuchajcie – protestował Bradley. – Ja zazwyczaj trzymam torbę z narzędziami w bagażniku, tyle że tym razem był pełen mięsa.

– No, teraz to już naprawdę przesadziłeś – odpowiedziała Morgana.

Bradley potrząsnął głową.

– Wy dwie jesteście szalone.

– Ale nas uwielbiasz – prowokowała Phoebe, całując czubek jego kędzierzawej czupryny.

– To mi o czymś przypomniało – wtrąciła Morgana. – Jak się ma Donald?

Phoebe wyprostowała się na siedzeniu i spojrzała na nią, jakby ją chciała zabić.

– Byłam dziś u niego, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Bradley zmarszczył brwi.

– Nie mówiłaś mi o tym.

– Cóż, Bradley, nie muszę składać raportu za każdym razem, kiedy wychodzę z domu. Odwiedziłam Donalda dziś rano i wszystko było bez zmian.

– Czy ciągle jeszcze jest w śpiączce? – zapytała Morgana. Phoebe skinęła głową zaciskając wargi.



– I to wszystko? – jeszcze raz spytała Morgana, tym razem trochę delikatniejszym głosem.

– Nie. Rozmawiałam z lekarzem i on powiedział... – głos Phoebe załamał się, ale wszyscy czekali, aż skończy, nie przerywając jej – ...lekarz powiedział, że on się prawdopodobnie już nie obudzi.

– To znaczy nigdy? – zapytał Bradley zdejmując okulary. Phoebe zasłoniła oczy ręką.

– Dają mu dziesięć procent szansy na przeżycie i pięć na obudzenie się.

– Pięć procent to zawsze lepiej niż nic – powiedział Bradley optymistycznie.

– Och, ty głupku – wybuchła Phoebe i zaczęła płakać. Wtedy właśnie przysunął się Kenneth i przy pomocy bogatego

repertuaru mrugnięć, skinięć głową i unoszenia brwi usiłował dać Morganie znać, że nie miałby nic przeciwko słowu lub dwóm na osobności. Oczywiście, jeśli nie sprawiłoby jej to kłopotu. Morgana przykucnęła przy Phoebe i powiedziała miękko:

– Jemu na tobie nie zależało, Phoebe. Jemu nigdy na tobie nie zależało.

– Co nie znaczy, że mi nie zależało na nim.

– On pomógł tym ludziom cię porwać. Mogłaś zginąć.

– To jeszcze nie znaczy, że powinien umrzeć.

– Może nie. Ale on sam zdecydował się na to ryzyko. Tato też próbował mieszać się do spraw Enzo Vespuciego i spójrz tylko, jak to się dla niego skończyło.

Kenneth powiedział w końcu:

– Morgano, czy mogę na słówko?

– Tak – odpowiedziała, ściskając jeszcze lekko Phoebe na odchodnym. Poszła za nim po jasnozielonej trawie do zegara słonecznego pośrodku ozdobnego trawnika, Kenneth oparł się o zegar, widać było połysk potu w bruzdach na jego czole.

– Bardzo ciepły dzień – zaczął.

– Tak – odpowiedziała cicho.

– Przypuszczam, że pani wie, o czym chciałbym porozmawiać.

– To jeden z tych dni, kiedy wszyscy zdają się czegoś chcieć.

Przyjrzał się jej uważnie. Zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, jak wielkie wpływy odziedziczyła i jak wielką miała władzę. Kenneth dostrzegł to z łatwością. Powiedział więc ostrożnie:

– Możemy spotkać się kiedy indziej, jeśli pani woli.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby porozmawiać teraz.

– Więc – zaczął – chodzi o slumsy.

– Nie ma się czym martwić. Zamierzam rozpocząć za pomocą „Star” najostrejszą kampanię przeciwko aferzystom robiącym pieniądze na nieruchomościach, jaką to miasto kiedykolwiek widziało. Na nikim nie zostawię suchej nitki. Ale chciałabym wiedzieć, jak pan widzi ponowny

rozwój, jak go pan sfinansuje i jak pan będzie budował. Chcę wiedzieć, jaką pan ma wizję Chicago za dziesięć lat.

Kenneth spojrzał jej prosto w oczy.

– Za dziesięć lat chcę widzieć dzielnice slumsów zrównane z ziemią. Za dwadzieścia lat, żeby Chicago było najładniejszym spośród wszystkich miast. A za trzydzieści, aby nikt nie pamiętał o hańbie naszego miasta.

– To bardzo piękne marzenie, drogi panie.

– Cieszę się, że pani się podoba.

Rozmawiali jeszcze może pięć albo dziesięć minut o dzielnicy południowej, a potem Kenneth uściśnął rękę Morgany na pożegnanie.

– Brak mi pani ojca – powiedział przełykając ślinę, by ukryć emocje. – Nie był najodważniejszym z ludzi, więc to naprawdę dziwne, że umarł jak bohater. Ale był bardzo serdeczny, pełen poczucia humoru i nie sądzę, by kiedykolwiek potrzebował przed swym Stwórcą rekomendacji lepszych niż te.

Później, gdy ogrody rozbłysły światłami, pojawił się Harry. W pogniecionym garniturze, lśniąco czarnym krawacie i kapeluszu z opadającym rondem, podszedł do Morgany, a jego papieros żarzył się w ciemności. Obserwował ją ostrożnie, jak ktoś kto boi się przeszkadzać.

– Cześć, panno Croft Tate – powiedział w końcu.

– Cześć, Harry – odpowiedziała.

– Jak się czujesz?

Morgana obróciła się w jego stronę i uśmiechnęła się.

– Nie najgorzej.

– Co powiesz na przejażdżkę? – zapytał. – Panuje tu dość grobowa atmosfera.

– Za pół godziny jest kolacja dla całej rodziny.

– Czy kolacja nie może poczekać na damę, która ma chicagowską „Star”?

– Chyba może – odpowiedziała Morgana. – No, to w porządku. Ale nie jedźmy za daleko. Poczekaj, tylko wezmę coś ciepłego do okrycia.

Harry pożyczył dużego lincolna kabrioleta od jednego z komentatorów sportowych. Miał dziurawy tłumik i wypuszczał chmury dymu, ale był wygodny i dobrze się go prowadziło. Harry poprowadził na pomoc, wzdłuż jeziora. Morgana siedziała z tyłu, pozwalając ciepłemu wiatrowi rozwiewać jej włosy.

W końcu zaparkowali na brzegu. Rozparli się na siedzeniach, patrzyli na purpurowe wody jeziora i palili wspólnie papierosa.

– Jak się czujesz? – zapytał powtórnie.

– Nie wiem, jestem chyba trochę ogłupiała. Ciągle trudno mi uwierzyć, że tatka już nie ma.

– To samo w biurze – powiedział Harry. – Ale powiem ci jedno. Nikt już nie pyta: „Jakieś

telefony z Ogden Avenue, Mandy?”, już nikt.

– Jasne.

Harry palił przez chwilę w milczeniu. Jakiś statek wpływał do ujścia rzeki Chicago. Harry skinął głową w jego stronę.

– Papier gazetowy – powiedział. – Na niedzielne wydanie. Jeszcze nie napisane, jeszcze nie wydrukowane. Sprawy, które go zapełnią, jeszcze się nie zdarzyły. A on już tam jest.

– Czy chciałeś mnie może o coś poprosić? – zapytała Morgana.

– Skąd ten pomysł? – Harry przesunął się w siedzeniu i spojrzał na nią.

– Po prostu mam wrażenie, że zaprosiłeś mnie na tę przejażdżkę, żeby mnie o coś poprosić.

– Nie chcę cię o nic prosić.

– Wszyscy inni prosili mnie o coś. Prosimi o przysługę, prosili o poparcie, o to, o tamto.

– Cóż, jeśli tak stawiasz sprawę – powiedział – to chciałbym wiedzieć, co dalej.

– Jak to: „co dalej?”

Harry zrobił zakłopotaną minę.

– No wiesz, teraz kiedy masz przejąć „Star”... to znaczy, czy naprawdę zamierzasz ją przejąć? Naprawdę chcesz ją prowadzić?

– Czy to cię martwi?

– Nie, oczywiście, że mnie to nie martwi. Dlaczego? Powinienem być zadowolony.

Spojrzała na niego twardo.

– Powinieneś być, ale nie jesteś.

Harry pociągnął papierosa, aż żar doszedł do filtra, i wyrzucił go w ciemność.

– To wiele zmieni, nie? Między tobą a mną.

Morgana nagle zrozumiała o czym mówił, co próbował jej powiedzieć, nie mówiąc tego wprost. Lubił ją. Tak, lubił ją tak bardzo, że – zanim umarł jej ojciec i zostawił jej całą gazetę – mógł nawet myśleć o wspólnych spotkaniach i spędzaniu razem trochę czasu. Problem był tym poważniejszy, że ona go też lubiła – o wiele bardziej, niż przypuszczał.

– Nadal możemy być przyjaciółmi – powiedziała. Wzruszył ramionami.

– Wydawcy nie bywają zwykle za pan brat z wyrobnikami z działu wiadomości.

– Wydawcy nie bywają zwykle kobietami i to w wieku dwudziestu jeden lat.

Harry potrząsnął głową.

– Należysz do innego świata, Morgano Croft Tate. I nic nie może tego zmienić. Masz wykształcenie, pieniądze, styl i przyjaciół. Nie chcesz chyba, żeby widywano cię z kimś takim jak ja.

Morgana sięgnęła nad oparciem i położyła dłoń na jego dłoni.

– Czemu nie próbujesz? Dlaczego nie zaprosisz mnie na kolację?

Przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała blado i surowo w swoim czarnym żałobnym ubraniu,

lecz jednocześnie była niesamowicie piękna, jakby jej twarz została wyrzeźbiona przez geniusza z wygładzonej kości słoniowej, a oczy domalowano sokiem japońskich śliwek.

– Jeśli nie chcesz, wystarczy powiedzieć „nie”. Nie mówię, że nie będę zawiedziona, ale cię za to nie zwolnię.

Harry pochylił się, uniósł jej woalkę i pocałował ją lekko w usta.

– W takim razie, czy pójdziesz ze mną na kolację? Na przykład we wtorek?

– Wtorek? Doskonale.

W weekend Morgana zwołała zebranie z Grantem, Gordonem i kilkoma felietonistami. Obmyślali największą kampanię prasową od czasu wojny między „Tribune”, a Big Billem Thompsonem i Al Capone. Instrukcje Morgany były proste. „Star” ma dotrzeć do korzeni korupcji, łapownictwa i samowoli, które sprowadziły centrum drugiego co do wielkości miasta w Ameryce do statusu największego slumsu na świecie.

Gazeta miała zająć się każdym wydziałem w ratuszu, który ma cokolwiek wspólnego z przepisami budowlanymi, zidentyfikować właścicieli wszystkich większych posiadłości w Południowej Dzielnicy i opublikować ich nazwiska razem z raportem o stanie budynków. Ponadto zamierzali zbadać wszystkie raporty o wygórowanych czynszach, zastraszaniu lokatorów, podpaleniach, wymuszaniu, prostytucji i handlu narkotykami. Żadna osoba i instytucja, prywatna czy miejska, nie miała być oszczędzona. Policjanci, strażacy, urzędnicy administracji czy członkowie rad mieszkańców – wszyscy mieli mieć starannie przebadane życiorysy, podane potem do publicznej wiadomości.

Gordon wymyślił hasło przewodnie dla kampanii – *Czyste Chicago*. Zaproponował, żeby wyznaczyli nagrodę pieniężną za informację, która doprowadzi do wyroku za łamanie praw lokalowych.

Harry razem z czterema innymi felietonistami spędził weekend na układaniu pierwszego wydania z serii *Czyste Chicago*, które miało wyjść w środę rano.

– Zdajesz chyba sobie sprawę, że dużo ryzykujemy – powiedział Grant do Morgany, kiedy wychodzili z ostatniej sesji w sobotę po południu. – Ludzie tacy jak Lorenzo i O’Keefe nigdy nie pozostają dłużni, tak samo jak Vespucci. Będziesz wystawiona na takie same naciski jak Howard, może nawet większe.

Morgana zapięła guziczki szarej bawełnianej rękawiczki.

– Jeśli się teraz wycofam, Grant, to okaże się, że tatko zginął na próżno.

– Pamiętaj tylko, że ci ludzie nie żartują.

– Ja też nie.

Wieczorem Bradley zawiózł Morgane i Phoebe do szpitala. Chciały odwiedzić Doris Wells. Kiedy weszli, mała siedziała na łóżku i rysowała baletnice czarną woskową kredką. Ta sama zwalista Murzynka nadal siedziała przy jej łóżku i rozmawiała z nią. Kiedy Morgana się zbliżyła, Murzynka podniosła oczy i zaczęła się jej badawczo przyglądać.

– Doris? – zapytała Morgana, pochylając się nad dziewczynką z uśmiechem. – Jak się masz kochanie?

– Pani jest Morgana Croft Tate? – zapytała Murzynka, nadal się jej przyglądając.

– Zgadza się.

– Pani tu już była – powiedziała Murzynka. – Wtedy byłam bardzo nieuprzejma. Teraz przepraszam. Cofam to. Czytałam gazetę i wszystko o pani ojcu. Teraz wiem, co chcecie zrobić. Macie mój szacunek. Macie szacunek u wszystkich kolorowych tutaj.

– Nie musi pani przepraszać – powiedziała Morgana. – Wiem, co pani przeszła. Gdybym była panią, pewnie tak samo bym myślała o białych. Prawdę mówiąc, może nawet gorzej.

– To nie tłumaczy mojego zachowania, panienko. Morgana spojrzała na obrazek Doris.

– Jest zdolna, prawda?

– Jasne, że zdolna. To po ojcu. On też rysował. Głównie obrazki z Biblii.

– Co ona robi, jak już będzie mogła stąd wyjść?

– Właśnie o tym rozmawialiśmy. Pewnie będzie z Greenami, oni już mają dzieciaki. Mają lekki tłok, ale to dobre ludzie.

Phoebe dotknęła ramienia Morgany.

– Morgana?

– Tak?

– No... tak się zastanawiałam... sama nie wiem... ale może przez jakiś czas mogłaby zostać z nami.

Morgana przysunęła sobie metalowe krzeselko do łóżka i usiadła obok Doris. Przyglądała się przez chwilę w milczeniu, jak mała rysuje.

– Doris? – zapytała dziewczynkę po chwili. – Jak już się poczujesz lepiej i lekarze cię stąd wypuszczą, to czy chciałabyś do mnie przyjechać? Do mnie i mojej siostry?

Doris spojrzała na nią poważnie.

– Hattie powiedziała, że pani jest boojum.

Bradley nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Tak to jest, jak chcesz zostać świętym.

Ale Morgana uśmiechnęła się tylko do Doris i Hattie.

– Nie masz chyba nic przeciwko przebywaniu z boojumami, co? Mieszkamy tak samo jak wy. I mamy mnóstwo zabawek. Będiesz mogła pływać, grać w tenisa i rysować, co tylko zechcesz.

Hattie powiedziała:

– To bardzo miła oferta, panienko Croft Tate. Może bym pogadała z jej wujem, zobaczę, co powie. On jest teraz jej prawnym opiekunem. Jeśli się zgodzi i Doris będzie chciała, to po mojemu wszystko będzie w porządku.

Bradley zaśmiał się swoim piskliwym śmiechem i powiedział:

– Boojum, to ci dopiero!

Pojechali z powrotem do Weatherwood. Kenneth Doyle miał przyjść z żoną na obiad, chcieli

porozmawiać o *Czystym Chicago*. Kiedy samochód skręcał w Wacker Drive, Morgana zauważyła na rogu plakat prasowy mówiący, że *RZEŹNIK POWIESIŁ SIĘ W CELI*.

Chociaż wiedziała kim był, była wstrząśnięta. Bradley zatrzymał samochód, żeby mogła kupić gazetę. Czytała po drodze do domu.

– Piszą, że powiesił się na swojej koszuli. Zostawił kartkę, że był największym reporterem wszechczasów, a to była jego ostatnia wielka sprawa.

Resztę weekendu Morgana spędziła spokojnie w domu. Spacerowała z matką po posiadłości. Eleonora opowiedziała jej jeszcze więcej o ojcu, wszystko, co pamiętała, od pierwszego dnia ich znajomości.

Morgana zaczynała coraz więcej rozumieć, jednak z niektórymi cechami jego charakteru nie mogła się pogodzić. Potrafiła pojąć, że człowiek tak potężny mógł okazać się takim tchórzem, potrafiła pojąć, że człowiek tak słabo wykształcony mógł być jednocześnie tak kulturalny. Nie potrafiła jednak zrozumieć, jak mężczyzna tak dalece obojętny wobec swojej żony, mógł być tak dotknięty jej zdradą.

Rozmawiały przez całe niedzielne popołudnie, aż do czasu herbaty. Usiadły wtedy pod dużym parasolem z frędzlami i wsłuchały w monotony bzyk sierpniowych pszczół.

W tym czasie Harry był u Marcelli. Siedział po turecku na podłodze i bawił się z Eduardo. Marcella siedziała przy oknie i wyszywała kołnierzyk małego chłopięcego kombinezonu. Okrągłe okulary dodawały jej twarzy inteligencji i subtelności. Igła migotała szybko w wieczornym świetle.

– Gdzie nauczyłaś się haftować? – zapytał Harry.

– Nauczyła mnie matka, a ją jej matka.

– Prawdziwa rodzinna tradycja, co?

Marcella uśmiechnęła się lekko.

Harry ułożył stosik z drewnianych klocek. Oczywiście tylko po to, żeby Eduardo mógł go zburzyć.

– Widziałaś, co napisaliśmy o pogrzebie twojego ojca?

Skinęła głową.

– Naprawdę staraliśmy się być delikatni – powiedział. – To znaczy musieliśmy napisać „mafioso”, nie mieliśmy innego wyjścia. Ale napisaliśmy też o jego akcjach dobroczynnych.

– Nie musisz się tłumaczyć – odpowiedziała. – Przykro mi, że odszedł. Brakuje mi go. Zawsze będzie mi go brakowało, mimo że był okrutnym człowiekiem.

Zapadła między nimi dłuższa cisza. Potem Marcella odłożyła robótkę na podółek i obróciła do niego twarz. Cała jej postać pozostawała w cieniu, nie był w stanie odszyfrować wyrazu jej twarzy.

– Chyba się nad czymś ciężko zastanawiasz – powiedziała.

– Tak?

– Tak. Milczałeś przez cały lunch. Myślałeś nad czymś. Przeważnie cały czas dowcipkujesz.

– Szczerze mówiąc, nie uważam, żeby żarty były teraz na miejscu – powiedział Harry. – Jak by nie było, pochowałeś właśnie swojego starego, nie? Niewiele w tym do śmiechu.

– Nie, nie o to mi chodzi. Ty się nad czymś zastanawiałeś. Spoglądałeś na mnie co chwilę i główkowałeś.

– Widzę, że jesteś tak dobra w jasnowidzeniu jak w wyszywaniu – zażartował, ale jego głos zabrzmiał głucho i niezbyt wesoło.

Marcella znowu podniosła robótkę do oczu.

– Nie wiem, może zastanawiałeś się nad tym, czy się ze mną dalej spotykać. Może pomyślałeś, że jestem zbyt natarczywa, że to mężczyzna powinien przejawiać inicjatywę, nie kobieta.

Harry odchrząknął.

– Nie – powiedział ze spuszczoną głową. – Nie o to chodziło.

– No to myślałeś o kimś innym. O jakiejś innej kobiecie.

– Myślałem o pracy, to wszystko.

– Czy przestraszyłoby cię, gdybym ci powiedziała, że bardzo cię lubię?

– Dlaczego miałoby mnie to przestraszyć?

– Jeśli myślisz o jakiejś innej kobiecie, to mogłoby cię to przestraszyć. Mógłbyś się zastanawiać, jak mi o tym powiedzieć, nie urażając moich uczuć.

Harry nic nie odpowiedział.

Wyszywała jeszcze przez chwilę, potem podeszła i usiadła z nimi na dywanie. Zmierzwiała włoski Eduardo i pocałowała go w czołko.

– Czemu mi nie powiesz, o co chodzi?

– Nie mogę – odpowiedział i zanurzył dłonie w jej miękkich i kręconych włosach, pozwalając im przepływać między palcami, jak dym albo wspomnienia.

Jak mógł jej wytłumaczyć, że było mu przy niej bardzo dobrze. Że to cudownie tak po prostu tu być, czuć jej ciepło i zmysłowość, bawić się z Eduardo na podłodze. I jak jej jednocześnie wytłumaczyć to ogromne wrażenie, jakie robiła na nim Morgana, i ten przeblysł bogactwa, przywilejów i wpływów jaki mu dała? Był zawsze jednakowo cyniczny, zarówno wobec siebie, jak wobec ludzi, o których pisał. Tyle, że nie potrafił się oprzeć urokowi tej pięknej i jakże młodej dziewczyny. Nie bez znaczenia był jej majątek, choć uczucie stawiał na pierwszym miejscu.

Po raz pierwszy w życiu poczuł żądzę pieniądza i to było najbardziej kłopotliwe odkrycie w jego życiu.

Marcella pocałowała go w policzek.



– Zostaniesz na kolacji? – zapytała.

– Nie wiem, jutro muszę wcześniej wstać. Puszczamy w środę rano specjalne wydanie *Czyste Chicago*. Jeszcze nie skończyłem swojego kawałka o Mięsie van der Rohe.

– Dobrze. Zobaczymy się przed środą? Może byś przyszedł we wtorek wieczorem, jak już to poskładacie?

– Przepraszam, ale we wtorek to zupełnie niemożliwe. Będę musiał zostać w biurze przez większą część nocy.

– Rozumiem. A może byś zadzwonił?

– Zadzwonię. Obiecuję.

Wyszedł od niej w złym nastroju, świadom, że ją okłamał. Wsiadł do pożyczonego lincolna i spróbował zapalić. Motor zacharczał dwa razy i zgasł. Skaranie boskie, pomyślał, wyładowany akumulator. Wysiadł i wrócił do hallu bloku. Nacisnął przycisk przy jej nazwisku na domofonie i zapalił papierosa czekając, aż odbierze.

– Marcella? To ja. Słuchaj, może ten van der Rohe nie jest taki pilny.

– Och, tak mi przykro, Harry, ale właśnie zadzwoniła moja matka. Wraca wcześniej i chce zjeść z nami kolację.

„Naprawdę skaranie boskie”, pomyślał Harry.

Wyszedł i porządnie kopnął lincolna w zderzak. Potem poszedł w stronę biur z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach, zasłaniając twarz rondem kapelusza przed ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

Specjalne wydanie *Czystego Chicago* schodziło już pełną parą, kiedy Harry pojawił się w biurze Morgany, by zabrać ją do miasta. W pokoju było około dwudziestu albo trzydziestu chicagowskich osobistości, stłoczonych wokół jej biurka, na którym leżało kilka próbnych egzemplarzy. Jeden z lokajów Croft Tate'ów rozlewał specjalnie przywiezionego z Weatherwood szampana. Harry miał na sobie szary garnitur dopiero co odebrany z pralni i nowiutką koszulę, jeszcze ze śladami po szpilkach i zakładkach. Pożyczył też zielony aksamitny krawat, co do którego miał nadzieję, że nie okaże się zbyt krzykliwy.

Grant spojrział na niego ze zdziwieniem. Co on tu robi? To była uroczystość dla burmistrza, wybranych radnych miejskich i kilku osób z kierownictwa.

– Harry? – zapytał. – Coś nowego? Tak przy okazji, niezły artykuł o Miesie van der Rohe. Chyba po raz pierwszy w życiu miałem okazję liźnąć trochę z architektury.

– Ja... – powiedział Harry, machając kapeluszem do Morgany – ...ja i panna Croft Tate... my...no, jesteśmy umówieni.

Grant obrócił się do Morgany z nieukrywaną konsternacją. Randka wydawcy z własnym dziennikarzem mogła mieć, oprócz towarzyskiego wydzwisku, także poważne skutki dla jego pozycji, których bynajmniej sobie nie życzył. Gdyby w końcu (broń Boże) Harry i Morgana się dogadali, jego posada redaktora naczelnego stałaby się, delikatnie mówiąc, niepewna.

Grant był trzeźwo myślącym człowiekiem, szczególnie gdy chodziło o układy w biurze. Była to częściowo reakcja zawodowa. Naczelnny, który straci panowanie nad własnymi pracownikami, traci panowanie nad gazetą. Przede wszystkim miał jednak na uwadze siebie. Widział już wielu redaktorów, którzy wylatywali z pracy, mimo dobrych układów z szefostwem. Nie chciał, żeby to samo przytrafiło się też jemu.

Morgana nie zwróciła jednak najmniejszej uwagi na jego zachowanie.

– Harry! – zawołała. – Chodź, skosztuj szampana! To wydanie to spełnienie moich najskrytszych marzeń!

Podniosła je. *ZBURZYĆ CHICAGOWSKIE SLUMSY*. A pod spodem jedno ze zdjęć, które zrobili na South Cottage Crove Avenue – zrozpaczona Murzynka siedząca na rozsypujących się schodach – podpisane: „*Star*” *rozpętuje wojnę przeciw ostojom nędzy*.

Kenneth Doyle uścisnął Harry'emu rękę.

– To na pewno kilku ludziom spędzi sen z powiek. Grant podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Nie zatrzymuj panny Croft Tate za długo, Harry. Ma jutro konferencję prasową w radiu i telewizji.

– Jasne – odpowiedział Harry. Spojrzał na Granta i zmarszczył brwi. Dostrzegł coś w jego wzroku, zazdrość? Dezaprobatę? Chciał się uśmiechnąć, ale nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy patrzą na niego, jakby był kucharzem, który wyszedł w zatłuszczonym fartuchu na środek ekskluzywnej restauracji.

Morgana wzięła coś do okrycia i poszli do windy. Harry, przygarbiony, oparł się o ścianę i patrzył, jak strzałka powoli zbliża się do parteru.

– Coś nie tak? – zapytała Morgana.

– Nie wiem. A jak myślisz?

– Nie sędzę. Jestem wprost zachwycona jutrzejszym wydaniem. Gdzie mnie zabierasz?

– No cóż, myślałem o Blackstone.

– Blackstone? Czy to nie potwornie drogie miejsce? – powiedziała i momentalnie pożałowała, że nie ugryzła się w język.

– Wiesz, naprawdę dobrze mi płacą – odpowiedział ostro.

– Wiem, przepraszam. Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że zawsze jadam w takich miejscach jak Blackstone, a tym razem chciałabym pójść do jakiegoś miejsca, które ty lubisz, jak wtedy kiedy zabrałaś mnie do swojej matki.

Harry wzruszył ramionami.

– Zamówiłem już stół w Blackstone. Ujęła jego dłoń.

– Jestem okropna, co? Przepraszam, ale naprawdę chciałabym spróbować jakiegoś innego miejsca. Spójrz na mnie. Nie jestem nawet odpowiednio ubrana, żeby iść do Blackstone’a.

Harry spojrzał na jej szarą garsonkę od Diora – perfekcyjnie wszyte ramiona i plisowana spódnica.

– Jesteś odpowiednio ubrana na każdą okazję – odpowiedział.

Spierali się jeszcze przez chwilę, kiedy szli hallem pod ogromną gwiazdą żyrandola. W końcu udało się jej go udobruchać – pójda do restauracji Mikowa na Ashland Avenue, jakieś trzy przecznice od jego domu. Pocałowała go w samochodzie, kiedy odjeżdżali przed budynku „Star”. Potem wcisnęła się głęboko w fotel z wyrazem zadowolenia na twarzy.

– Wiedziałam, że w końcu uda mi się ciebie przekonać.

– Lubisz się kręcić po podejrzanych ulicach? – zapytał. – Myślałem, że jesteś przeciwna slumsom.

– Tylko nie próbuj być zgryźliwy.

– No cóż, widziałaś chyba ich twarze, kiedy po ciebie przyszedłem.

– Harry, ja naprawdę nie dbam o to, co oni myślą.

– Musisz. Masz z nimi pracować przez resztę życia. Musisz zadbać o ich szacunek.

– Myślisz, że nie będą mnie szanowali, jeśli będę się z tobą spotykać? – zapytała o wiele ciszej.

Harry skrzył w prawo na czerwonym.

– Masz to jak w banku.

Po przejechaniu pięciu czy sześciu przecznic, zapytała:

– Czemu jesteś dzisiaj taki nieprzyjemny? Spojrzał na nią i odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Naprawdę nie wiesz?

– Nie. Ale może jestem po prostu zbyt młoda i niedoświadczona. Powiedz mi.

– To proste. Wbrew samemu sobie zakochuję się w tobie.

– I to jest powód, żeby być przykrym?

– Oczywiście! Jak do cholery facet taki jak ja może się zakochać w dziewczynie takiej jak ty i nie zauważyć przy okazji, że popełnia poważny życiowy błąd? Nie mam pieniędzy, mieszkam w domu bez windy w obskurnej dzielnicy i co gorsza, pracuję u ciebie. A teraz spróbuj mi wyjaśnić, w miarę możliwości prostymi słowami, jak mam wyjść z czegoś takiego z całym tyłkiem? I jeszcze coś. Nie jestem nawet pewien, czy zakochuję się w tobie, czy i w twojej forsie.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Potem wybuchnęła śmiechem, tupiąc nogami z rozbawienia.

– Jesteś szalony! Szalony Polak! Ale wiesz, ja też się chyba w tobie zakochuję.

– Nie mów takich rzeczy! – krzyknął na nią.

– Czemu nie? Jestem szefową, mogę mówić, co chcę.

– Właśnie dlatego nie powinnaś mówić takich rzeczy! Kłócili się i krzyczeli na siebie przez całą drogę. W końcu Harry nacisnął ostro na hamulce i kabriolet zamotał się jak wieloryb nadziany na harpun. Byli przed Mikowem. Otworzył jej drzwiczki i złożył głęboki, sarkastyczny ukłon.

– Pani, oto ten pałac z wyśmienitym żarciem.

– Dziękuję, słuگو – odpowiedziała i wysiadła.

„U Mikowa” była małą rosyjsko – polską restauracją z wiecznie zaparowanymi oknami i obrusami w czerwonej kratce. Prążkowane żółte ściany były poobwieszane obrazami Matki Rosji, a na każdym stoliku butelka octu estragonowego jako przyprawa do galaretowatego sera, który był specjalnością zakładu. Mikow przywitał ich osobiście. Był zwalistym Ukraińcem, który zdawał się wypełniać swoim olbrzymim ciałem całą salę, nie zostawiając prawie miejsca dla gości. Był ogolony na łyso i miał bardzo blade oczy, a jego twarz promieniała zadowoleniem z życia.

– Cóż za piękna pani przyszła dzisiaj do nas – powiedział, składając na jej ręce uroczysty pocałunek. – Dam wam mój najlepszy stół.

Ów stół przylegał do okna, pozwalając im cieszyć oczy widokiem samochodu Harry’ego, sześciu koszy na śmieci i sklepu naprzeciwko. W każdym razie Mikow zapalił dla nich świeczkę

i przyniósł butelkę wiśniówki.

Trzy kolejne toasty były za Stany Zjednoczone (z wyjątkiem Indiany, o którą Mikow nie dbał), następny za wszystkie piękne panie, a potem za Harry'ego i Morganę. Morgana musiała przyznać, że zaczęło ją ogarniać bardzo ciepłe uczucie, żeby nie powiedzieć z lekka romantyczne.

Na początek Harry zamówił „piroghi” z serem śmietankowym i syberyjskie „pel'meni”, które wyglądały jak ravioli z wieprzowiną, podane z musztardą i octem. Potem przyszła kolej na pierwszorzędne żeberka, zapiekane z ziemniakami i kapustą. Skończyli plackiem wiśniowym.

– No, to było jakieś sto razy lepsze od dań serwowanych u Blackstone'a – powiedziała Morgana.

– Jeśli tak twierdzisz – odpowiedział Harry.

Chciał jej nalać jeszcze jeden kieliszek wódki, ale nakryła dłonią kieliszek.

– Nie musisz ze mną walczyć – uśmiechnęła się do niego poprzez migoczący płomień świeczki.

U Mikowa było już teraz gwarno i tłoczno, powietrze było pełne papierosowego dymu, a skrzypek zaczynał wygrywać rosyjskie piosenki ludowe.

– Masz rację – odpowiedział Harry. – Z tobą nie, ale ze sobą na pewno.

– Czy tu można tańczyć? – zapytała.

– Czemu nie? Najwyżej nas wyrzucą.

Zaczęli tańczyć między stolikami, uśmiechając się i przepraszając, ilekroć kogoś potrącili. Tańczyli bardzo blisko, bo musieli. Nie było miejsca na zachowanie dystansu. Miał ją w ramionach i mocno przytulał do siebie, czuł, jaka jest ciepła i kobieca, i wiedział, że to nie mogło trwać. Jej perfumy były za drogie, włosy za dobrze zadbane. Jej pończochy były z prawdziwego jedwabiu, a buty uszyte na zamówienie w Londynie. A on był niczym więcej, jak chodzącą reklamą działu męskiego Searsa.

Morgana była więcej niż tylko podchmielona. Dziwne ciepło zaczęło rozprzestrzeniać się od palców jej stóp i coraz wyżej, poprzez nogi i tułów, aż do głowy. Była szczęśliwa i miała straszną ochotę na wygłupy. Już dawno tak się nie czuła. Wiedziała, że Harry czuł się niezręcznie, kiedy po nią przyszedł i tym bardziej, kiedy z nią tu tańczył, ale był taki zabawny i przystojny, a jego ciało było takie masywne i męskie... Chciała teraz po prostu dobrze się bawić i nie myśleć o niczym innym.

Nie chciała martwić się o przyszłość, jak on. Nawet gdyby już nigdy nie miała iść do pracy, miała dość pieniędzy na życie w luksusie do późnej starości. Miała nad nim miążdzącą przewagę, której ani Harry, ani nikt inny nie mógł jej odebrać.

Harry poprosił o rachunek. Razem z wódką, sześć dolarów i trzydzieści pięć centów. W Blackstone miałby szczęście, gdyby zapłacił pięć razy tyle. Wyszli na ulicę, ciemną

i wyludnioną, odpowiadającą echem na najmniejszy dźwięk.

– Mówiłeś, że mieszkasz w pobliżu? – zapytała, kiedy otwierał jej drzwiczki samochodu.

– Trzy przecznice na południe.

– Czy prosiłabym o zbyt wiele, prosząc o kawę?

– To prośba czy polecenie służbowe?

– Chyba jedno i drugie.

– OK, jesteś więc zaproszona. Ale nie spodziewaj się rezydencji Georga S. Ishama.

Pojechał na wstecznym, po części dlatego, że był już też zdrowo podchmielony, a po części, żeby zrobić na niej jakieś wrażenie. Trzy przecznice w tył, potem zaparkować, zaciągnąć płócienny dach i wprowadzić pannę Morganę Croft Tate do hallu.

– Mieszkasz sam? – zapytała, idąc po schodach.

– Nic się nie martw, moja żona zawsze o tej porze śpi. Zatrzymała się.

– Lepiej, żeby to był żart.

– To jest żart. A to są drzwi.

Weszli do środka. Rozglądała się po mieszkaniu, kiedy on otwierał wszystkie okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Noc była ciepła i wietrzna. Wiatr niósł ze sobą jakąś muzykę, prawdopodobnie jakiś taniec. Harry zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie fotela.

– Usiądź – powiedział do niej. – Czuj się jak u siebie. Ja zaparzę kawę.

– Czy mogłabym dostać papierosa? – zapytała.

– Jasne.

Wyjął dwa papierosy i obydwu zapalił. Złapała go za nadgarstek, kiedy jej jednego podawał.

– To nie kawy mi trzeba. – Ton jej głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Popatrzył jej uporczywie w oczy.

– Czyżbyś mnie chciała w jakimś celu wykorzystać?

– Nie powinieneś mieć o sobie takiego niskiego mniemania.

Był to taki moment, że mogli od nowa zacząć grę pozorów, którą odgrywali przez cały wieczór, tę komedię dobrych manier. Ale w powietrzu unosiła się muzyka i noc była taka ciepła, że oboje pomyśleli jednocześnie, do diabła z tym! Harry wziął ją w ramiona i pocałował, najpierw delikatnie, potem mocniej, rozsuwając w końcu jej wargi czubkiem języka, by skosztować posmaku wiśniówki w jej ustach, a ona opłótła go ramionami najciaśniej jak mogła, bo był taki mocny jak skała, bo jego mięśnie były takie twarde i ich dotyk doprowadzał ją do prawdziwego szaleństwa.

Rozebrał ją w stonowanym świetle swojej sypialni. Najpierw zakiet – metka Diora błysnęła bielą. Potem jego przyżółcone nikotyną palce o paznokciach zniszczonych ciągłym stukaniem na maszynie zaczęły manipulować przy perłowych guziczkach jej bluzki. Zsunęła się jej z ramion,

ukazując stanik bez ramiączek, unoszący lekko jej piersi. Pocałował ją, najpierw w wargi, potem w policzki, i rozpiął biustonosz. Zobaczył jej piersi i dotknął wnętrzem dłoni jej sutka i oto jedno wyczulone do granic możliwości ciało dotknęło drugiego, tęskniącego za dotykiem ciała.

– Myślisz, że to naprawdę się dzieje? – zapytała.

W odpowiedzi położył ją na zmiętej pościeli, rozpiął i zdjął spódnicę, sunął dłonią po nogach. Była prawie naga. Jeszcze tylko szare jedwabne pończochy, podwiązki i francuskie figi z białego jedwabiu. Ogarnął ją wzrokiem i odczuł ogromny przyływ zachwyty i pożądania. Kształtne, pełne piersi, wąski stan i długie nogi w lśniącym jedwabiu.

Zdarł z siebie koszulę i rozpiął pasek. Rozebrał się tak szybko, że roześmiała się i powiedziała:

– Jak film przewijany na podglądzie.

Położył się na łóżku obok niej. Światło było bardzo słabe, ale z łatwością dostrzegła wypukłość jego mięśni.

– Co, jak film przewijany na podglądzie? – warknął na nią.

Pocałował ją, na początku bardzo delikatnie i jakby z roztargnieniem, ale potem ich usta zwały się i całym ich światem stało się odczuwanie swoich języków, zębów i warg.

Zaczął gładzić ją po włosach i szeptać do ucha po polsku, „mój ty tygrysku, kwiatuszku, kochanie”. Zszedł niżej do jej szyi, a ona położyła głowę na poduszce przesiąkniętej zapachem jego ciała, jego włosów i jego papierosów. Pochylił się do jej piersi i zaczął je całować, trzymając obie w dłoniach, najpierw jeden sutek, potem drugi, łapiąc je wargami, łagodnie ssąc i przygryzając.

Wiedziała, że jest pijana. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Ale zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest kimś innym, jakąś rozwiązłą uwodzicielką, dziewczyną, która kocha się z każdym mężczyzną, który tego chce, bogatą kurwą, zamożną dziwką, kobietą od zakazanych przygód i spełniania perwersyjnych marzeń.

Wodził dłonią w górę i dół jej jedwabnych pończoch. Odsunął okrywający ją jedwab i dotknął tego zakazanego miejsca między udami. Czuła swoją wilgoć, chłodną od letniego przeciągu.

Potem wspinał się na nią, przytrzymując jej figi dłonią i zanim zdołała to zrozumieć, wszedł w nią, twardy i duży, a jego twarz zamajaczyła nad nią.

Zsunęła dłoń w dół i pogładziła jego rękę, świadoma ścisłego z nim zespolenia. Potem sięgnęła tam także drugą dłonią i rozwarła się dla niego szerzej. Chciała, żeby mógł się w nią wbijać głębiej za każdym posunięciem.

Nie był wytrawnym kochankiem. W porównaniu do niego, John był wirtuozem. W Harrym było jednak coś nieokrzesanego, prostego i silnego, co miało nad nią władzę. I kiedy tak się w nią wbijał, wbijał i wbijał, zdała sobie nagle sprawę, że wije się pod nim, a sypialnia staje się coraz

ciaśniejsza, ciemne ściany przysuwają się bliżej i bliżej, prawie ją miażdżąc. Pchnięcie za pchnięciem, pchnięcie za pchnięciem, aż w jej wnętrzu zbudził się krzyk, którego nie mogła powstrzymać.

Krzyknęła. Tak przynajmniej myślała. Trzęsła się cała. Pokój zdawał się wirować. Usłyszała też krzyk Harry'ego. Potem leżała patrząc na zarys jego spoconej twarzy na tle wciąż jeszcze bliskiego sufitu i skrawka okna.

– Wszystko w porządku? – zapytał Harry.

– W porządku? – powtórzyła, jakby nie mogła zrozumieć pytania. Prawdę mówiąc nie mogła.

Pogłaskał ją po czole, ocierając pot.

– Są chyba takie rzeczy, do których po prostu musi dojść. – wysapał.

Nie odpowiedziała. Chciał dotknąć jej piersi, ale złapała go za nadgarstek.

– To było wszystko, czego mogłam kiedykolwiek pragnąć. – wyszeptała. Uniosła się na łokciu i pocałowała go w ramię.

– Co to ma znaczyć? Że nie oczekujesz już niczego więcej? Uśmiechnęła się.

– Nie wolno ci tak nawet myśleć. Ale jeśli do czegoś musi dojść, to nie znaczy, że za jednym zamachem więcej niż raz.

Harry przewrócił się na boku i sięgnął po koszulę leżącą na podłodze. Wytrząsnął z niej paczkę papierosów. Zapalił dwa i przez pięć czy dziesięć następnych minut leżeli w ciemności nie mówiąc ani słowa.

– No to jak myślisz? – zapytał. – Będzie z nas para?

– Nie... – odpowiedziała, przedrzeźniając akcent z West Side. – Ja jestem za bardzo wyelegantowana, a ty za przystojny.

– Już nie chcesz się ze mną spotykać, prawda? Jego głos zabrzmiał jakoś tak miękko i łagodnie.

– Mylisz się – odpowiedziała. – Ale nie możemy już razem wychodzić, o nie. No i tak bardzo dam ci w kość, że możesz już potem nie dojść do siebie.

– Daj spokój, nie jesteś dziewczyną tego pokroju.

– Oczywiście, że jestem. Jestem bogata, mam wpływy i władzę, sam tak powiedziałeś. No i te wszystkie obiady, za które byś płacił moimi pieniędzmi, a nie swoimi... Teraz też cię ranie. Chyba, że jesteś zbyt pijany albo gruboskórny, żeby to zrozumieć.

Harry skończył papierosa i pochylił się nad nią, żeby go zgasić w popielniczce przy łóżku. Potem pocałował ją zdawkowo w usta i zapytał:

– A co z kawą?

Uniosła się i powiodła po jego twarzy koniuszkami palców.

– Proszę, zrozum, jak bardzo mi na tobie zależy. Proszę, nigdy o tym nie zapomnij. I nie



zapomnij nigdy tego wieczoru.

– Wpiszę go sobie do pamiętnika – powiedział i zaczął szukać spodni.

Kiedy jednak stał w kuchni, czekając na kawę, musiał wziąć kilka głębszych wdechów, żeby powstrzymać łkanie. Ale i tak nie udało mu się powstrzymać kilku łez, które załśniły na jego rzęsach.

„Pijak”, pomyślał. „Idiota i pijak”.

Za oknem nadal było słycać tę samą muzykę.

Są rzeczy nieosiągalne dla zwykłych ludzi i tego wieczoru Harry zdał sobie sprawę, że Morgana Croft Tate jest jedną z nich.

Był czwartek wieczorem, a za oknem gwałtowna letnia ulewa. O ósmej Bradley zadzwonił do Phoebe. Chciał ją zabrać na kolację do Boogie Barretta. Morgana też była zaproszona, ale zdecydowała, że prześle Boogiemu przeprosiny. Była zbyt zaabsorbowana niedzielnym wydaniem „Star” i specjalnym trzystronicowym dodatkiem na temat planów rozwoju Południowej Dzielnicy. No i nie miała z kim pójść. Zdecydowała, że nie będzie już wychodziła z Harrym, nie dla jego niskiego stanowiska w „Star” czy braku koneksji, ale dlatego, że wiedziała, że go skrzywdzi, jeśli będzie się z nim dalej widywała, a to zraniłoby ją samą.

Obydwoje mieli zbyt silne charaktery. Zbyt uparci, wielcy indywidualiści i to niezdolni do przyjęcia odmowy. W innej sytuacji może udałoby się im jakoś to ułożyć, ale Morgana była wydawcą, a Harry zwykłym reporterem i prędzej czy później to musiało zniszczyć ich związek.

Siedziała w bibliotece ojca z rozłożoną makiętą niedzielnego wydania. Jak na bizneswoman, wyglądała nieco dziwnie w szlafroku z purpurowego jedwabiu. Przesłała pocałunek wchodzącej Phoebe.

Phoebe miała na sobie wieczorową suknię z wysokim kołnierzem, sznur diamentów na szyi, czarny kapelusz i czarne rękawiczki. Oficjalnie panny Croft Tate były w żałobie przez co najmniej trzy miesiące.

– Powinnaś pójść – powiedziała Phoebe. – Jeszcze zdążysz. Bradley uwielbia mieć kobietę u każdego boku.

– Nie – odpowiedziała Morgana. – Mam za dużo do zrobienia.

Phoebe przyglądała się jej przez chwilę.

– Tylko nie zostań starą panną. Rozumiesz, praca i żadnych przyjemności.

Morgana uśmiechnęła się do siebie i potrząsnęła głową.

– No już – upierała się Phoebe. – Ubranie nie zajmie ci nawet minuty. Wezwę Lukię.

Morgana wyprostowała się w krześle i odłożyła ołówek.

– Phoebe, jestem teraz wydawcą gazety.

– I co to niby oznacza? Żadnych przyjęć do końca życia?

– Nie – odpowiedziała Morgana. – To znaczy tylko tyle, że muszę teraz traktować życie nieco poważniej.

– Jesteś zakochana – skwitowała Phoebe. Jej oczy zaśniły w świetle lamp jak diamenty na jej szyi.

– Bzdura – zaprzeczyła Morgana.

– Jesteś zakochana w Harrym Sharpe.

– Totalna bzdura.

Phoebe uśmiechnęła się figlarnie.

– Jeśli tak, to czemu już od dwóch dni wyglądasz jak nieprzytomna?

Morgana odpowiedziała cicho:

– Lubię go, ale to już skończone. Starczy, czy chcesz wiedzieć więcej?

Phoebe wzruszyła ramionami i rozejrzała się beztrosko po bibliotece.

– Jeśli mówisz, że skończone, moja droga, to skończone. Wydawcy nigdy nie kłamią, prawda? Pięć palców na sercu.

Odezwał się niecierpliwy klakson samochodu.

– To na pewno Bradley. Idź. Zobaczmy się później – powiedziała Morgana.

– Tak jest, moja droga – odpowiedziała Phoebe i posłała jej pocałunek.

Bradley czekał na podjeździe, pod dużym kolorowym parasolem golfowym. Otworzył jej drzwiczki, pozdrowił Wintona i pośpieszył na stronę kierowcy.

– Bradley? – zapytała Phoebe. – Czy coś się stało?

– Co masz na myśli pytając, czy coś się stało?

– Jesteś taki nerwowy.

– Nerwowy? Ja jestem nerwowy? Dlaczego tak uważasz?

– No cóż, nie wiem, może nie jesteś, może tylko masz dreszcze.

Bradley był najwyraźniej czymś podekscytowany. Uśmiechał się do siebie co chwilę i bębnił palcami po kierownicy.

– Ja nie mogę, ja nie mogę, o jejku – powtarzał ciągle.

– Może powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – zapytała Phoebe.

Mniej więcej w połowie North Michigan Avenue zjechał na pobocze i nacisnął na hamulec.

– Okay – wykrzyknął. – Okay, okay, okay. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć o co chodzi, to ci powiem. Mogę ci to powiedzieć równie dobrze tu, jak gdzie indziej.

– No, o co chodzi?

– O to – powiedział i wyjął małe etui z czarnego aksamitu. Otworzył je. W środku był mały pierścionek z rubinami i diamentami, którego główny klejnot musiał kosztować przynajmniej osiemnaście tysięcy dolarów. Phoebe wlepiała oczy w pierścionek, a potem spojrzała na Bradleya.

– Jest piękny – wyszeptała.

– Słuchaj – powiedział Bradley. – Wiem, że pakowanie mięsa nie jest może najbardziej romantycznym zajęciem, a ja nie jestem gwiazdą filmową, nawet przy dużej dozie wyobraźni. Ale jestem normalnym facetem i myślę, że mam wiele do zaoferowania i byłoby dla mnie dużym szczęściem, gdybyś zdecydowała się wyjść za mnie, powiedzmy w kwietniu.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– Muszę to przemyśleć – powiedziała. – To znaczy, to bardzo ważny krok.

– W porządku. Przemyśl to. Ale przyjmij pierścionek.

– Nie, pozwól mi to najpierw przemyśleć. Bradley spuścił głowę i zamknął pudełko.

– No dobrze. Myślę, że to uczciwie dać ci trochę czasu.

– Nie potrzebuję dużo czasu. Dam ci znać jutro.

– Okay – zgodził się, oczywiście zraniony i rozczarowany. Nacisnął pedał gazu i ruszył bez słowa.

– Chyba nie jesteś na mnie zły? – zapytała, dotykając jego ramienia.

Potrząsnął głową.

– Jesteś pewien? – zapytała jeszcze raz.

Właśnie w tym czasie Harry w towarzystwie sierżanta – solidnego Irlandczyka o gładko ogolonym, czerwonym karku – szedł zielonym korytarzem Komisariatu II Dzielnicy, prowadzącym do cel aresztu.

Irlandczyk pogwizdywał i dzwonił kluczami. Harry zgasił papierosa w dłoni i wrzucił niedopałek do kieszeni płaszcza.

– Tu jest ten King-Kong – powiedział sierżant i poprowadził Harry’ego do celi Ambrogia. Ambrogio leżał na pryczy z głową na dłoniach. Ogromny brzuch wylewał się znad paska. Słuchał radiowego sprawozdania z meczu baseballa, z oczami utkwionymi w suficie.

– Chcę z tobą pogadać – powiedział do Harry’ego.

– Dobra – odpowiedział Harry.

– Ale muszę pana zamknąć w środku – powiedział sierżant.

Harry uśmiechnął się. Sierżant wzruszył ramionami i przekręcił za nim klucz.

– Po prostu krzyknij pan, jak będziesz chciał wyjść.

Kiedy odgłos jego kroków ucichł już w korytarzu, Harry wyjął papierosy i poczęstował Ambrogia. Masywny Włoch odmówił prawie niedostrzegalnym zmrużeniem oczu, jakby podbijał cenę na licytacji.

– Mogę zapalić? – zapytał Harry i zapalił, nie czekając na odpowiedź.

Rozejrzał się po celi.

– Milutko – skwitował. – Przydałoby się tylko małe przemeblowanie.

Ambrogio zaciął gniewnie usta.

– Słuchaj, śmieciu. Mają mnie sądzić za zabójstwo pierwszego stopnia i porwanie. Mogą mnie uziemić za jedno, za drugie, albo za oba naraz. A tak się składa, że ty znasz obu głównych świadków oskarżenia, nie?

Harry słuchał go, opierając się o kraty. Dym jego papierosa wił się w promieniach słońca.

– Mów dalej – odpowiedział.

– Chcę ubić interes – ciągnął Ambrogio. – Croft Tate’owie wycofają oskarżenie o porwanie. Phoebe Croft Tate powie glinom, że poszła ze mną z własnej woli. Do tego, ten wasz wiecznie pijany dziennikarzyna sportowy zapomni, że mnie kiedykolwiek widział z Carlo Aceto.

W przeciwnym wypadku, powiem w sądzie, co wiem.

– Ach więc o to chodzi? – powiedział Harry. – A co właściwie chcesz ujawnić? Że Howard Croft Tate miał romans z córką Enzo Szmenzo i że urodził mu się syn? To już stara historia, Ambrogio, wszyscy ją już znamy. Będziesz musiał wypalić z czymś o wiele lepszym.

– Nie mówię o Marcelli.

– Ach nie?

– Nie drwij sobie, śmieciu. Mówię o Robercie Wentworth.

Harry przyjrzał mu się uważnie.

– Co z Robertem Wentworthem?

– Powiem ci, co z Robertem Wentworthem. Robert Wentworth miał podobno przypadkowo utonąć. I rzeczywiście, przydarzył mu się drobny wypadek, tyle że ktoś go zaciągnął nad jezioro i przytrzymał pod wodą.

– A kto taki? – zapytał Harry. – Ty? Ambrogio potrząsnął głową.

– Nie ja. Ale mogę wskazać tego faceta. To Linus Scapelli, jak już koniecznie chcesz wiedzieć.

– Ale Scapelli też pracował dla Enzo.

– Oczywiście, że Scapelli pracował dla Enzo. To Enzo kazał Scapelliemu przytrzymać Wentwortha pod wodą i policzyć do tysiąca.

– Nie sądzę, żebym wiedział, o co ci chodzi. Jaki to ma związek z Croft Tate'ami i twoim uwolnieniem?

Ambrogio uniósł się ciężko i usiadł.

– Słuchaj, ośle. Interesuje cię to czy nie? Mam może wezwać sierżanta?

Harry wydmuchnął dym.

– Nie gorączkuj się, palancie.

– No to posłuchaj tego – powiedział Ambrogio. – Powodem, dla którego Linus Scapelli utopił Roberta Wentwortha, było to, że Howard Croft Tate bardzo gorąco sobie tego życzył i poprosił Enzo o tę drobną przysługę.

Harry zmarszczył brwi.

– Zaraz, zaraz – powiedział. – Robert Wentworth został zamordowany, bo tak chciał Howard Croft Tate?

– Tak właśnie powiedziałem, czy nie? Nie było może powszechnie wiadomo, ale Robert Wentworth kręcił się koło pani Croft Tate ładnych kilka miesięcy. Mam dowód i świadków. Więc, jeśli ci Croft Tate'owie nie powiedzą, że nie było żadnego porwania, a ten wasz gryziptórek nagle nie dostanie amnezji mam zamiar ujawnić to w sądzie.

Harry wpatrywał się w Ambrogia bez słowa. Więzienna prycza przypominała mu, gdzie jest. Radiową pogawędkę o baseballu przerwała nagle reklama Pepsi-Coli: „Pepsi-Cola to jest to, pij

ją, aż zobaczysz dno.”

Harry podszedł do drzwi celi i zawołał:

– Sierzancie!

Ambrogio popatrzył na niego swoimi świńskimi oczkami i zapytał:

– Co chcesz zrobić?

– Pogadać z Croft Tate’ami, to właśnie chcę zrobić. Sprawdzę tę historię. I lepiej, żeby to nie był kit.

Ambrogio podniósł się na nogi.

– Mam ci przetrącić kark? Harry nie ustąpił.

– Może ci przynieść jakieś książki do nauki szydełkowania? Daj spokój, Ambrogio, dni twojej świetności już minęły. Sierzancie! Proszę mnie wypuścić!

W końcu przyszedł sierżant, jedząc kanapkę. Otworzył drzwi. Spojrzał filozoficznie na Ambrogio.

– Jednak pana nie zabił?

– Ten kociak? – powiedział Harry. – Jest łagodny jak baranek i co wieczór powtarza sobie: „Dobranoc, pchły na noc, karaluchy do poduchy”. To jeszcze z czasów dzieciństwa.

Ambrogio spojrzał groźnie.

– Uwważaj, śmieciu, kiedyś ci przetrącę kark.

– Jasne. A świnię będą używały papieru toaletowego.

Kiedy Harry wychodził z komisariatu, Phoebe wysiadła właśnie z samochodu na Foster Avenue, przed domem Barretta. Na chodniku rozłożono soczystozielony dywan, a wynajęci lokaje w pudrowanych perukach wprowadzali gości do budynku i odprowadzali ich samochody. Bradley wręczył swoje kluczyki młodemu chłopcu w zbyt obcisłych spodniach do kolan i skrzywił się z dezaprobatą, kiedy jego packard odjechał z piskiem opon do garażu. Znaleźli się wśród świateł, muzyki i śmiechu. Boogie Barrett zawsze szedł na całość.

Bradley wprowadził Phoebe do hallu o marmurowej podłodze. Dom Barrettów służył z wystroju Art.-Nouveau. Był to pięciopiętrowy budynek zbudowany w 1907 roku. Salomon Barrett zlecił urządzenie wnętrza angielskiemu architektowi, C. F. A. Voyseyowi. Hali otaczały kolumny z brązu i latarnie, które mógłby nieść Diogenes w swoim poszukiwaniu uczciwego człowieka.

Bradley i Phoebe doszli do połowy przedsionka, kiedy doszedł ich znajomy głos.

– Phoebe! Hej, Phoebe!

Phoebe rozejrzała się i zobaczyła Johna Birminghama juniora, kroczącego godnie i z uśmiechem, jak zwykle uderzająco przystojnego.

– Phoebe! Jak miło cię widzieć! – powiedział John i pocałował ją w policzek.

Bradley chrząknął znacząco. John uśmiechnął się do niego i poklepał go po plecach.

– Bradley, stary draniu! Jak tam *Szynka, Którą Uwielbiam*? John wziął Phoebe pod ramię i odepchnął Bradleya łokciem.

– Ty i ja, musimy się znowu zejść. Zawsze pasowaliśmy do siebie jak ulał, mamy pokrewne natury. Muszę ułożyć o tym piosenkę.

– Dałbyś sobie z tym spokój – powiedziała Phoebe.

– No jak, Phoebe, nie było nam razem dobrze? Phoebe zatrzymała się i oswobodziła z jego uścisku.

– A jeśli nawet, to co z tego?

John uniósł dłonie w swoim geście „co złego, to nie ja”.

– W porządku, w porządku, wybacz mi.

– Wybaczam – odpowiedziała. – Tyle że to nic nie zmienia.

Odwróciła się do Bradleya i powiedziała donośnie:

– Bradley i ja zamierzamy się pobrać.

– Państwo *Ham-I-Yam*? – zapytał John.

– Właśnie tak, kochasiu – powiedziała Phoebe. – Bradley, pokaż mu pierścionek.

Bradley już sięgał do kieszeni, ale nagle zawahał się i potrząsnął głową.

– Ten pierścionek ujrzy światło dzienne dopiero na twoim palcu, nie wcześniej.

Phoebe wyciągnęła do niego dłoń.

– Więc włóż mi go na palec.

Bradley otworzył pudełko i wsunął pierścionek na palec jej lewej dłoni.

– Tak więc – powiedział – pobieramy się w kwietniu.

– Gratulacje – powiedział John ponuro.

Potem, najwyraźniej w złym humorze, zaczął się przeciskać przez tłum gości.

Bradley ujął dłoń Phoebe.

– Nie powiedziałaś tego chyba tylko, żeby rozzłościć Johna.

– Nie – odpowiedziała Phoebe. – Johna mogę rozzłościć, kiedy tylko zechcę, a za mąż mogę wyjść tylko raz.

Bradley uderzył pięścią w lewą dłoń.

– Ojejku, Phoebe, kocham cię.

Spojrzała na niego. Ostrożnie zdjęła mu okulary i odgarnęła włosy z czoła. Potem pocałowała go w usta.

– Wiesz co, Bradley?

– Co takiego? – zapytał drżącym głosem.

– Musisz przestać mówić „ojekku”.

– Mamy wybór, mamciu, powiedz tylko słowo – powiedziała Morgana.

Eleonora siedziała w swoim krześle w białej jedwabnej koszuli nocnej. Wyglądała jak Ofelia, dopiero co wyratowana z rzeki, ciągnąca za sobą cienie zamiast wodorostów.

Od czasu pogrzebu Howarda była zgorzkniała i cicha. Nadal udzielała się towarzysko, ale była bardziej uszczypliwa niż zwykle, zupełnie jakby chciała ukarać sama siebie utratą życzliwości wszystkich ludzi za jego śmierć.

Phoebe też była z nimi Palila papierosa w jednej ze swoich długich lufek. Wyglądała na zmęczoną. Tańczyli z Bradleyem przez całą noc i pili różowego szampana. Jeszcze nie dotarli do niej konsekwencje wyznaczenia daty ślubu. Dopiero jutro rano otworzy oczy i pomyśli: „Mój Boże, wychodzę za Bradleya”. Jednak w głębi ducha zawsze wiedziała, że to zrobi. Bradley był zawsze jej żelaznym zabezpieczeniem przed staropanieństwem. A jak będzie daleko, zarzynając swoje prosiaki, cóż ją powstrzyma przed nawiązaniem kilku flirtów?

Morgana nadal miała na sobie szarobiałą garsonkę, którą założyła dzisiaj do biura. Upięła włosy kilkoma grzebieniami z szylkretu. Ten prawie męski strój podkreślał bardzo jej kobiecość, która daleka była od łagodności i uległości. Prowadzenie „Star” wymagało odwagi i otwartości na nowe idee.

Eleonora powiedziała:

– Zgadząc się nie zeznawać przeciwko tej kreaturze, nie mamy pewności, że zachowa tę informację dla siebie, albo nie będzie próbował nas potem szantażować.

Jej głos brzmiał piskliwie, lecz stanowczo. Marszczyła brwi, jakby cierpiała na ból głowy.

– Ale czy to prawda? – zapytała Phoebe. – Przecież z tego, co wiemy, to może nawet nie być prawdą.

– Harry był zupełnie pewien, że Ambrogio jest górą – powiedziała Morgana. – Sprawdził w kilku źródłach, że Linus Scapelli opuścił Chicago mniej więcej w tym czasie, kiedy utopił się Robert Wentworth i od tej pory go nie widziano. Eleonora poprawiła koszulę.

– Tak trudno uwierzyć, że wasz ojciec byłby zdolny do czegoś takiego – powiedziała.

– Prawdopodobnie był po prostu zazdrosny. Wiesz, jacy stają się mężczyźni, kiedy są zazdrośni – powiedziała Phoebe.

– Ale czemu mnie nie zapytał? Dlaczego nic nie powiedział? – zastanawiała się Eleonora.

– Pewnie nie chciał, żebyś wiedziała, że on wie – wzruszyła ramionami Morgana. – Może po prostu nie potrafił stawić temu czoła, tym wszystkim kłótniom i rozmowom, jakie musielibyście przejść. Zniknięcie Roberta Wentwortha dawało szansę na poprawę waszych stosunków. Przynajmniej tatko miał taką nadzieję.



– Nie liczył pewnie na to, że się przyznasz do swojego grzesznego sekretu – wtrąciła Phoebe.

– To prawda – powiedziała Morgana. – A to tylko pogorszyło sprawę. Musiał przechodzić przez wszystkie wasze kłótnie i do tego ukrywać, że kazał utopić Roberta Wentwortha.

W oczach Eleonory pojawiły się łzy. Morgana wzięła jej dłonie w swoje. Były zimne jak z kamienia.

– Prawdziwy problem, mamusku, w tym co teraz zrobimy. Możemy powiadomić Spectorskiego, że wycofujemy oskarżenie o porwanie, i poprosić Dempseya, żeby zapomniał, co widział. Wtedy może nikt się nie dowie – powiedziała Morgana. – Ale przecież ten człowiek, Ambrogio, jest zabójcą, prawda? I on naprawdę uprowadził Phoebe, a biedny Donald Crittenden nadal jest w szpitalu z jego powodu. Tak czy owak, mamciu, pomyśl, jak to wpłynie na twoją reputację. To, co zaszło między tobą i Robertem Wentworthem, rozniesie się po wszystkich gazetach. I wszyscy się dowiedzą, że tatko poprosił Enzo o załatwienie tego problemu.

– Wasz biedny ojciec – powiedziała Eleonora słabo. – Jeśli cokolwiek z tego ujrzy światło dzienne, wasze życie towarzyskie będzie zrujnowane. A przypuścimy, że ten Ambrogio wyjdzie na wolność. Całe miasto roi się od kryminalistów, gangsterów i sam Bóg wie kogo jeszcze. Jeden więcej czy mniej, to żadna różnica.

Tu Eleonora zwróciła się do Morgany:

– Co o tym myślisz, moja droga?

Zapytała, mimo że znała odpowiedź. Phoebe także ją znała i skrzyżowała tylko nogi, wydymając niecierpliwie wargi.

– Nie chciałabym być obłudna, ale ta rodzina zarządza kilkoma gazetami i stacjami radiowo – telewizyjnymi – powiedziała Morgana. – Robimy na tym duże pieniądze i ciężko na nie pracujemy. Ale wydawanie gazet i nadawanie wiadomości wiąże się też z pewnymi obowiązkami. I należy do nich mówienie prawdy, jaką znamy, czy całej prawdy. Naszym obowiązkiem jest też popieranie prawa, bo służymy tej społeczności, tak samo jak czerpiemy z tego pieniądze.

– No cóż, nie martw się – powiedziała Phoebe. – Udało ci się, to brzmi cholernie obłudnie. I świętoszkowato.

– Phoebe, ja zarządzam „Star”.

– I to jest ważniejsze niż szczęście twojej własnej matki, tak?

– Najważniejsza jest prawda.

– Nie sądzę, żeby dokładnie o to ci chodziło. Chodzi ci raczej o twój nakład. Tylko sobie wyobraź! *POTENTAT PRASOWY ZLECA UTOPIENIE KOCHANKA SWOJEJ ŻONY*. Jak do diabła miałyby potem chodzić z podniesionym czołem? Wykończyłabyś ją, tak skutecznie, jak ojciec Roberta i samego siebie!

Morgana zrobiła głęboki wdech, szykując się do dłuższej wypowiedzi, ale potem nagle

zmieniła zdanie. Nie chciała ranić matki jeszcze bardziej. To Eleonora przerwała ciszę.

– Zdaje się, że Horacy miał rację, prawda? – powiedziała.

– Horacy? – zapytała Phoebe. – Jaki Horacy? Horacy Horsecollar?

– Nie – uśmiechnęła się łagodnie Eleonora. – Horacy, poeta rzymski.

– Ach, tak? I jakąż to perełkę wymyślił? Morgana odpowiedziała pierwsza:

– „Delicta maiorum immeritus lues”, choć sam jesteś bez winny, musisz odpokutować za winy swojego ojca.

– Co za bzdura – powiedziała Phoebe.

– Nie – odparła Eleonora. – To wcale nie jest bzdura. Jesteśmy rodziną i musimy być wobec siebie lojalni. Ja muszę pozostać lojalna względem ojca, mimo, że nie byłam mu wierna i już go nie kochałam, a on także mnie zdradził.

– I mimo tego, że już nie żyje? – zapytała zgryźliwie Phoebe.

– Właśnie dlatego, że już nie żyje – odparła Eleonora.

– Chciałabym tylko wiedzieć, co to za lojalność ujawnić, że wydał wyrok na Roberta Wentwortha?

– Pewnego dnia ta historia wyjdzie, w taki czy inny sposób – wtrąciła Morgana. – I wiesz o tym równie dobrze jak ja. Ale pomyśl tylko, jak to będzie wyglądać, kiedy powiedzą, że „Star” świadomie to przemilczała, żeby ratować reputację.

– Czy Grant jest jeszcze na dole? – zapytała Eleonora.

Morgana skinęła głową.

– Chcesz, żebym go poprosiła?

Czekały na Granta w gabinecie. Eleonora narzuciła na siebie francuski bordowy kaftanik z poduszkami na ramionach i starym angielskim haftem.

Grant wszedł nieśmiało do pokoju, jakby przyszedł starać się o pracę. Wyglądał wytwornie, chociaż jego krawat był lekko przekrzywiony.

– Przemyślałyśmy to – powiedziała Eleonora. Jej głos zmienił się, był teraz bardziej stanowczy.

– No cóż, to nie jest prosta sprawa – przyznał Grant. Eleonora uniosła lekko brodę i powiedziała:

– Ta rodzina zawsze była zbyt pobłażliwa dla swoich członków, zbyt nierozważna i nieczuła na uczucia innych ludzi. To się musi zmienić, i to od teraz. Publikując wiadomości, przyjmujemy na siebie dużą odpowiedzialność, której musimy sprostać. Nie pozwolimy tej bestii wyjść na wolność tylko dla własnej wygody. Dopuszczył się morderstwa i porwania, i musi zostać ukarany. My także musimy ponieść karę za grzechy nasze i Howarda. Morgana ci powie, jak macie się tym zająć.

Morgana dodała cicho:

– Chcę, żeby Harry sprawdził wszystkie szczegóły historii Ambrogia. A potem wypuścimy artykuł na pierwszą stronę, który dokładnie opowie, co się wydarzyło, i jak Ambrogio próbował nas szantażować.

Grant przyjrzał się im obu, najpierw Morganie, a potem Eleonorze.

– Jesteście pewne, że chcecie to zrobić?

– Nie ma innego wyjścia – powiedziała Eleonora.

– A co pani robi? – zapytał ją. Eleonora roześmiała się ostro.

– Zostanę tutaj, Grant, i stawię temu czoło. Nie znam ani jednej damy z towarzystwa w całym Chicago, która by nie wzięła sobie do łóżka jakiegoś kochanka przynajmniej raz. Moim przestępstwem jest to, że zostałam odkryta!

– A przestępstwo Howarda? – zapytał Grant, unosząc brwi.

Eleonora uśmiechnęła się.

– Jego przestępstwo to bycie psem ogrodnika. Nie chciał mnie, ale nie chciał też, żeby miał mnie ktoś inny. Chciał rządzić całym światem. Większość wydawców tego chce. Gdyby nie chcieli, nie byłiby wydawcami. Byliby urzędnikami na poczcie.

– Jeżeli pani tak mówi, pani Croft Tate – odpowiedział Grant.

– Nie musisz być taki służalczy – odpowiedziała Eleonora. – Przecież tak dobrze się znamy.

– Być może – odpowiedział Grant i zwrócił się do Margany: – Powiem Harry’emu, żeby coś napisał do jutra rano. Zajdzie pani do biura, czy mam to kazać przesłać?

– Przyjdę – odpowiedziała.

Grant poszedł do domu, Eleonora poprosiła o szklankę gorącego mleka, a Phoebe położyła się do łóżka. Morgana poszła do swojego pokoju i stanęła w oknie, w bladej poświacie pełnego księżyca. Było jeszcze wietrznie, mimo, że burza już minęła. Drzewa kołysały się i pochylały jak widmowi tancerze o północy. Wyobraziła sobie, że Howard tam jest, siedzi za jej plecami bez słowa, obserwuje ją z nadzieją, że zrobi wszystko co w jej mocy, żeby ocalić jego reputację i nieśmiertelną duszę.

O ósmej trzydzieści w sobotę rano Harry stanął przed drzwiami celi Ambrogio ze złożoną kopią „Star” pod pachą. Ambrogio, jak zwykle, słuchał radia. Kiedy zobaczył Harry’ego, wyłączył je i podniósł się z pryczy.

Podszedł bez słowa do kraty w drzwiach. Jego oczy ginęły w twarzy jak u wieloryba. Harry uśmiechnął się i rozłożył gazetę tak, by Ambrogio widział biegnący przez całą szerokość kolumny nagłówek: *POTENTAT PRASOWY WYDAŁ WYROK NA KOCHANKA SWOJEJ ŻONY. Howard Croft Tate podobno opłacił morderstwo kochanka swojej żony, Roberta Wentwortha.* Obok tekstu były dwa zdjęcia. Uśmiechnięty Howard Croft Tate i Robert Wentworth, młody i przystojny, także z uśmiechem na twarzy, jakieś trzy tygodnie przed tym, jak Linus Scapelli wepchnął mu głowę pod wodę Lake Michigan i policzył do tysiąca.

Ambrogio wolno przeczytał artykuł. Potem podniósł oczy znad gazety i utkwiał w Harrym swój ciężki, namolny wzrok, jakim zwykle eks-bokserzy patrzą na tych odważnych, którzy prowokują ich do bójek w podrzędnych barach.

– Nie powinniście byli tego robić – powiedział.

– I tu się mylisz, gnido – odpowiedział Harry. – Zrobiliśmy to, co powinniśmy byli zrobić. Teraz będziemy mieli tę przyjemność, by popatrzeć, jak zdążasz na spotkanie ze swoim Stwórcą, chociaż takie spotkanie to więcej, niż ci się należy. Nie jesteśmy mściwi, po prostu szukamy sprawiedliwości. Prawdę mówiąc powinni cię wlec za autobusem i smażyć na oleju, ale nie można mieć wszystkiego na raz.

– Zabiję cię, śmieciu – odpowiedział Ambrogio. – Zabiorę cię ze sobą, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię. I tego pijaczynę dziennikarza. Jego też zabiję.

– No cóż, nie myśl sobie, że cię nie traktuję poważnie, po prostu dostrzegam tu pewien drobny problem logistyczny.

– Zabiję cię, śmieciu, ciebie i tego dziennikarza. To wszystko.

– Słuchaj – powiedział Harry. – A może chcesz zatrzymać gazetę? *Gasoline Alley* jest dzisiaj całkiem niezła. Skeezyk pokłócił się z Niną, a Chipper stłukł swoją miskę.

Ambrogio złapał złożoną gazetę przez kraty celi i rozdarł ją na pół.

– Widzisz, co zrobiłem z tą gazetą? – powiedział. – To samo zrobię z tobą, śmieciu.

Harry zasalutował sierżantowi, wychodząc z budynku Komisariatu.

– Dziękuję za wszystko – powiedział. – Porozmawiam z szefem. Na pewno dostanie pan bezpłatną subskrypcję na gazetę Croft Tate’ów, jaką pan zechce. Po prostu pan tam zadzwoni, poprosi Teda Wynanta i powie mu, kim pan jest.

– Okay – odpowiedział sierżant.

Harry pojechał z powrotem do „Star” i zaparkował swojego pożyczonego lincolna na podziemnym parkingu. Tomahawk Billy zmierzył go podejrzliwym wzrokiem, kiedy mijał jego budkę.

– Jak tam wyścigi? – zapytał Harry. – Jakież pewniaki?

Tomahawk Billy przeklął go.

– Zabraliście nam ziemię ojców, a teraz chcecie typy na wyścigi?

– Odpalę ci dziesięć procent.

– Tyle to obiecywał prezydent Grant i kłamał.

Na piętrze redaktorskim maszyny do pisania pracowały na pełnej parze. Hałas był jak w kuźni. Telefony dzwoniły, reporterzy krzyczeli „kopia, kopia!”, terkotały dalekopisy.

Harry zaczął kluczyć między biurkami z płaszczem przewieszonym przez ramię. Kiedy dotarł do swojego biurka, był już tam Walter Dempsey, dziwnie wytworny, rozmawiający z Davidem Tribem o złotych dniach baseballa w okresie międzywojennym.

Walter poklepał Harry’ego po ramionach i wykrzyknął:

– Mój drogi chłopcze! Cóż za intrygujące wiadomości!

– Masz na myśli sprawę Croft Tate’ów? Jeden Bóg wie, jak to wpłynie na nakład.

– Podniesie go, wierzę w to – odpowiedział Walter. – Nic tak nie podnosi nakładu jak skandal, a ten jest wprost klasyczny. Wielkie wpływy, żądza, zazdrość, zorganizowana przestępczość i śmietanka towarzyska, wszystko, czego czytelnik pragnie. Nie mówiąc już o jednej z elitarnych chicagowskich rodzin, rzuconej publice na pożarcie. Milion egzemplarzy albo więcej. Stawiam na to!

Harty wyjął z kieszeni notatnik i trzasnął nim o biurko obok maszyny do pisania.

– Byłem dzisiaj rano u Ambrogia – powiedział.

– I co, pokazałeś mu gazetę?

– Oczywiście.

– No i jak na to zareagował? Małpie wrzaski i bombardowanie pestkami od winogron?

Harry potrząsnął głową.

– Nie był zbyt zachwycony. Prawdę mówiąc, przysięgał, że nas wszystkich wymorduje.

Walter poklepał się po udach, wydając z siebie okrzyk zachwyty.

– Coraz lepiej! – powiedział. – Wiesz co, będę dzisiaj na wspaniałym lunchu u Drake’a z Arnie Kunz, a potem na pierwszorzędnej gonitwie po południu. Co za dzień! A inni dziennikarze sportowi będą się trącać łokciami i szeptać: „Patrz, to ten z tej gazety i jest głównym świadkiem oskarżenia w procesie o zabójstwo i porwanie Phoebe Croft Tate”. A do tego jeszcze groźba śmierci! Uwielbiam to!

Harry nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Walter, ty zawsze swoje – powiedział. – A co byś powiedział na szklaneczkę

u O'Leary'ego na rozgrzanie?

Walter obrócił się do Davida z oburzeniem.

– Jak ten gość śmie mi proponować drinka, kiedy i tak miałem sobie jednego strzelić?

Gordon wychodził właśnie ze swojego biura, kiedy Walter i Harry przechodzili pod jego drzwiami, ramię w ramię po drodze do wind.

– Harry? – zawołał za nim Gordon. – Potrzebny mi artykuł o porwaniu panny Croft Tate na pięćset słów.

– Daj mi pół godziny – odpowiedział Harry. – Musimy obgadać z Walterem pewną sprawę.

– To znaczy, że idziecie naprzeciwko pooglądać nalepki na „Czterech Różach”?

Harry klepnął go siarczyście po ramieniu.

– Nikt ci jeszcze nie powiedział, że byłby z ciebie niezły dziennikarz?

Była sobota, pora lunchu. U O'Leary'ego panowała zwykła dla tej pory hałaśliwa wesołość. Walter rozsiadł się na tym stołku co zwykle, a Harry tuż obok niego. Był tam też Bob Kelly z „Tribune”. Robił wrażenie, jakby właśnie dostał zapalenia spojówek i był porządnie podchmielony.

– Nie wiem, co o was sądzić, łotry – powiedział. – Nigdy nie udało mi się złapać pułkownika McCormicka na opłacaniu czyjegós zgonu, nawet z miłości. Szczególnie z miłości.

Walter uniósł dłoń w geście papieskiego błogosławieństwa.

– Niech na tych najbardziej rozwiązłych spłyną największe nagrody. Amen. Co z tymi drinkami?

Przekomarzali się jeszcze przez jakieś dziesięć minut, kiedy w drzwiach pojawił się David Tribe. Był bardzo poważny i spięty.

– David! – zawołał do niego Harry, łapiąc go za rękaw. – Siadaj i nalej sobie piwa! Hej, Bob, podaj kufel, ten człowiek wygląda na spragnionego!

– Musimy porozmawiać – powiedział poważnie David.

– Co takiego? – zapytał Harry.

– Musimy pogadać. Chodź trochę na bok.

Harry spojrzał konspiracyjnie na Waltera i poszedł z Davidem do budki telefonicznej. Krople potu lśniły na górnej wardze Davida. Było gorąco, a on najwyraźniej biegł.

– W czym problem? – zapytał Harry.

– Ambrogio. To jest ten problem.

– Co masz na myśli, mówiąc: Ambrogio? Mów z sensem, na miłość boską.

– Ambrogio się wydostał.

– Skąd?

– Z więzienia, głupku. Symulował chorobę, więc go wysłali do kliniki. Sterroryzował lekarza skalpelem i zmusił jednego z ochroniarzy, żeby mu dał swoją broń. Zniknął, jest uzbrojony

i pewnie cię szuka.

Harry wlepił oczy w Davida.

– Ale gnój – powiedział.

– Ochroniarz powiedział, że Ambrogio krzyknął na odchodnym »Odstrzelę łyby tym dupkiem ze „Star”«. Przekonuje cię to, czy potrzebujesz jeszcze poświadczenia na piśmie?

– Nie – odpowiedział Harry. – To mi zupełnie wystarczy. Nagle zupełnie wytrzeźwiał.

– Gordon uważa, że powinniście wrócić do biura – powiedział David. – Będziecie tam bezpieczniejsi. Dzwonił na policję, Spectorski obiecał kilku oficerów do osobistej ochrony.

Harry pomyślał nad tym wszystkim przez chwilę.

– Ale gnój. Jak mogli pozwolić uciec temu ptasiemu mózdkowi? Zaczekaj chwilę, David, zobaczę, co się da zrobić z Walterem. Jest już na gazie.

Obrócił się do Waltera i kiwnął na niego. Walter też mu pomachał. Z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu, Harry poczuł nagły przypływ lęku. Może po prostu za wcześnie dzisiaj zaczął pić. Jego szekspirowskie poczucie rzeczywistości mówiło mu, że każde poświęcenie wymaga dalszych ofiar. Teraz poświęcenia Howarda wracało do nich jak bumerang.

– Walter! – zawołał. – Chodź tu. Musimy wracać do biura.

– O czym ty do licha mówisz? – wyśmiał go Walter. – Właśnie zamówiłem kolejkę.

David powiedział nerwowo:

– Harry, musisz go jakoś stąd wyciągnąć. Ambrogio jest uzbrojony i niebezpieczny. Policjantom powiedziano, żeby go nie oszczędzali.

Harry przejechał ręką po najeżonych włosach.

– W porządku, David, zrobię co się da.

Właśnie wtedy Marcella otwierała drzwi do swojego mieszkania na Lincoln Park. W korytarzu stał Ambrogio, trzymając pistolet.

Trzy rzeczy w jednym czasie – Harry przeczesujący ręką włosy, Marcella naciskająca klamkę drzwi i Ambrogio, robiący wtedy krok w przód na zeszywniałych nogach, w koszulce z krótkim rękawem, luźnych spodniach i bez butów, blady, spocony, oddychający ciężko, z rewolwerem wysoko nad głową, jakby szykował się do rozpoczęcia zawodów.

Ambrogio pchnął szerzej drzwi lewą ręką i pokuśtykał do środka. Jego oczy były zupełnie pozbawione wyrazu. Biegały tu i tam, na prawo i lewo.

– Ktoś tu jeszcze jest? Czy ktoś tu jeszcze jest?

– Nikogo – odpowiedziała Marcella, łapiąc z trudem oddech. Myślała teraz tylko o Eduardo, śpiącym w swojej kołysce.

– Twoja matka. Jest tu?

– Nie ma nikogo – zapewniała. Chciała się cofnąć, ale Ambrogio pogroził jej pistoletem.

– No dobra – powiedział ochryple. – Gdzie twój samochód?

– Mój samochód?

– Pytam, gdzie twój przeklęty samochód! Jestem gotów na wszystko, wiesz, co to oznacza?

– Na dole, w garażu.

– Dobra, no to idziemy po niego.

– Dam ci kluczyki. Możesz go wziąć.

– O nie, złotko, idziesz ze mną. Myślisz, że jestem głupi? Dasz mi kluczyki, a gliny przywitają mnie w garażu. No, to idziemy, co?

Marcella potrząsnęła głową.

Ambrogio odbezpieczył kurek i wolno opuścił lufę, celując wprost w jej głowę.

– Tego właśnie chcesz? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Otworzyła tylko szufladę stojącego w korytarzu stołu i wyciągnęła kluczyki. Ambrogio uśmiechnął się i wyciągnął po nie rękę.

– Już zmądrzałaś, co?

Poszła za nim do windy. Tylko raz obróciła się w tył, patrząc na drzwi mieszkania i modląc się do Maryi Dziewicy, żeby się nic nie stało Eduardowi i żeby zdążyła wrócić, zanim mały się obudzi. Jeśli w ogóle wróci. „Proszę cię, Przenajświętsza Panienko, miej go w opiece.”

Starsza pani Lennox z mieszkania obok widziała, jak wsiadają do windy, i zawołała:

– Marcello, kochanie, poczekaj na mnie chwilę.

Ale Ambrogio natychmiast nacisnął przycisk garażu i drzwi windy zamknęły się tuż przed utykającą pani Lennox.

– No cóż, dziękuję bardzo – usłyszeli jej piskliwy, obrażony głos.

Wyjechali na jasną ulicę. Żółty dach buicka był opuszczony. Marcella prowadziła, a Ambrogio siedział obok, zakrywając policyjny rewolwer kawałkiem zielonego materiału. Kiedy zjechali z podjazdu, Ambrogio powiedział:

– Jedź do „Star”, okay?

– Do „Star”?

– Tak właśnie. Jest tam para śmieci, z którymi muszę pilnie porozmawiać.

– Jeśli cię zabiorę do centrum, gliny na pewno cię nakryją.

– To już moja sprawa, panno Marcello. Mam pewne długi do spłacenia. Chyba pani wie, co mam na myśli.

Marcella zawahała się, a potem skrzyła na południe. Dzień był wietrzny i ciepły. Liście drzew migotały w słońcu jak deszcz z nowo bitych centówek.

Ambrogio pociągnął nosem i wytarł go palcami.

– No – ponaglał ją od czasu do czasu. – Dodaj gazu.

W chwili, kiedy skrzyła w Wabash Avenue, Harry przeprowadzał Waltera przez jezdnię. Walter nie był jeszcze u szczytu swoich możliwości, ale było mu już bardzo wesoło. Jego



elegancki krawat przekrzywił się nieco i zwisał teraz beztrosko, odzwierciedlając stan duchowy właściciela. Próbował pokazać Harry'emu black bottom, [ludowy taniec amerykański, popularny w latach dwudziestych, charakteryzujący się energicznymi ruchami bioder] w którym był całkiem niezły, kiedy był młody. Uważał przy tym, że sobota rano i środek ruchliwej Wabash Avenue to doskonałe warunki do lekcji.

– O nie, nie, drogi kolego, zupełnie nie tak. Musisz trząść pośladkami, dokładnie tak! O mój Boże, jesteś taki sztywny! Nic dziwnego, że dzisiejsi młodzi ludzie nie potrafią się bawić.

Przeszli plac przed budynkiem „Star” i dotarli do szklanych obrotowych drzwi.

– Ostatnia próba – nalegał Walter.

Ale Harry pociągnął go za ramię i powiedział:

– Walter, możemy obtańczyć całe biuro, jeśli tylko chcesz. Ale teraz włącz do środka.

Młody policjant o zaróżowionej twarzy podszedł do Harry'ego i pomógł mu.

– Co się stało twojemu przyjacielowi? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Za wczesne śniadanie – odpowiedział Harry.

– No, proszę pana, proszę wejść do środka – powiedział policjant i złapał Waltera za drugie ramię.

Walter zapał się w miejscu na znak protestu.

– Ręce precz! Jesm szanofanym szłonkiem braswa pisarkiego.

W tej chwili złoty buick wjechał na krawężnik z piskiem białych opon. Ambrogio wcisnął lufę rewolweru w biodro Marcelli i powiedział:

– Wyjdź, nie mów nic i nie krzycz. To oni.

Kilka sekund potem Morgana zajechała na krawężnik swoim, czerwonym sportaboutem, ustawiając się tuż przed samochodem Marcelli. Młody policjant zostawił Harry'ego i Waltera, żeby jej otworzyć drzwiczki. Podziękowała mu i wysiadła, w swojej bladobrzoskwiniowej sukience z trójkątnym dekoltem i ramionami na poduszkach. Obróciła się i zobaczyła, mniej więcej w połowie placu, Ambrogia, trzymającego Marcellę ściśle przed sobą. Spojrzała w drugą stronę i ujrzała Harry'ego i Waltera, chichoczących w drzwiach. Walter wymachiwał ramionami i wykrzykiwał:

– Humor, humor! Gdzie się podziało moje poczucie humoru?

Nagle zrozumiała, co tu się działo, i powiedziała do siebie szeptem:

– O Boże.

Młody policjant natychmiast zareagował.

– Tak, proszę pani?

Ambrogio, trzymając Marcellę pod lewym ramieniem, podniósł rewolwer i wystrzelił cztery razy wprost w obrotowe drzwi. Strzały rozległy się echem, pomieszanym z dźwiękiem rozpryskującego się na kawałki szkła. Drzwi jeszcze raz się obróciły, a Walter i Harry wypadli

krwawiąc na chodnik. Morgana krzyknęła. Ambrogio obrócił się do młodego policjanta.

Marcella wykorzystała ten moment, żeby się wyrwać. Ambrogio zawahał się i dokładnie wtedy policjant uniósł swój rewolwer i strzelił dwa razy w jego klatkę piersiową. Strzały były tak głośne, że Morganie aż zadźwięczało w uszach. Ambrogio obrócił się dookoła swej osi na lewej nodze i upadł.

Marcella pobiegła do drzwi. Walter leżał twarzą do ziemi z raną na lewej skroni. Prawie wcale nie krwawił, ale było jasne, że nie żyje. Harry leżał na nim, jego płaszcz zabarwił się na ciemno z boku.

– Harry! Harry! To ja, Marcella!

Marcella próbowała go podnieść, ale jego głowa opadła bezwładnie w tył i uderzyła tępo we framugę drzwi.

– Harry! To ja, Harry! Posłuchaj mnie!

Morgana stała trochę dalej, blada i drżąca. Policjant otworzył jedne z bocznych drzwi i krzyknął:

– Karetka, szybko! I wsparcie’.

Powieki Harry’ego lekko drgały. Policzki wyglądały jak opuchnięte, a wargi stawały się sine. Marcella wzięła jego dłoń i powtórzyła:

– Harry, Harry! To ja!

Ambrogio leżał tam, gdzie upadł. Krew sączyła się na płyty chodnika. Po drugiej stronie Wabash Avenue czterech lub pięciu dziennikarzy wybiegło z O’Leary’ego, żeby zobaczyć, co się dzieje. Mimo wszystko ruch uliczny był taki jak przedtem.

Harry otworzył oczy. Jego źrenice były nienaturalnie rozszerzone, patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Morgana? – wybełkotał.

Marcella spojrzała na Morgane. Morgana stała ciągle tam, gdzie przedtem, z rękoma złożonymi na piersiach.

– Morgana? – powtórzył Harry. – To ty? Podeszła i klękła na chodniku.

– Harry? Wszystko w porządku – powiedziała. – Jestem tutaj.

Harry zamknął oczy. Marcella powiedziała do Morgany:

– Wszystko w porządku. Ciągle czuję bicie serca.

– Pozwól mi się nim zająć – poprosiła Morgana.

Marcella skinęła głową i pomogła jej unieść głowę Harry’ego.

– Musiałam zostawić mojego synka – powiedziała. – Czy ktoś mógłby mnie zabrać do domu?

– Zajmiemy się tym, proszę pani – powiedział młody policjant. – Proszę tylko poczekać na ekipę policyjną. Będziemy też potrzebować pani oświadczenia.

Wycie syren niosło się echem po ulicach. Morgana trzymała głowę Harry'ego na łonie i głaskała go po czole. Zakrwawił jej spódniczkę. Był nieprzytomny, ciągle mamrotał coś pod nosem i wzdrygał się mocno, jakby to coś w jego wnętrzu uparcie nie chciało go opuścić.

– Harry – szepnęła Morgana, gładząc go dalej po czole. – Już dobrze Harry, wszystko będzie dobrze.

Jeśli chcesz się dowiedzieć, drogi czytelniku (lub czytelniczko), co się zdarzyło potem, poszukaj w archiwach prasowych. Bo dla każdego życia, nieważne jak skromnego, znajdzie się nagłówek.

Jeśli zajrzałyś do „Star” z niedzieli, dwudziestego drugiego kwietnia, przeczytałbyś tam o małżeństwie panien Croft Tate; jak to wydawca „Star” Morgana Croft Tate wyszła za zwykłego reportera Harry’ego Sharpe, a jej młodsza siostra za Bradleya Clarke’a, potentata pośród przetwórców mięsa. I o wspaniałej ceremonii w Weamerwood, a potem u św. Stanisława Kostki. Dużo łez, konfetti i „kielbasy”.

Mógłbyś się także dowiedzieć z tej gazety, że Marcella wyszła w końcu za męża za Herberta T. Leno, hodowcę koni wyścigowych z Kentucky i wyjechali razem z Eduardo na rancho w Streetersville.

Przekartkowawszy kilka następnych egzemplarzy, dowiedziałbyś się, że państwo Clarke, po sześciu latach bezdzietnego małżeństwa, zaadoptowali małą Murzynkę Doris Wells, która zamieszkała z nimi w ich rodzinnym domu w Skokie. Trzy numery dalej znalazłbyś wzmiankę o tym, że Doris stała się mistrzynią juniorów w tenisie. Potem mógłbyś śledzić jej karierę, rok po roku, w sprawozdaniach sportowych, aż po sam Wimbledon.

Mógłbyś także przeczytać o tym, jak Eleonora Croft Tate wyjechała z Chicago do Cannes w południowej Francji, we wrześniu 1949 roku. Przeżyła tam jeszcze dziesięć lat i w 1959 umarła na raka.

Mógłbyś także dowiedzieć się, jak ostatecznie zburzono slumsy w Południowej Dzielnicy, ulicę po ulicy, czyniąc centrum Chicago jednym z najpiękniejszych na świecie.

Dowiedziałbyś się jednak, że niektóre ze slumsów przetrwały do dziś i dzieci nadal umierają na Grand Avenue, zanim zdążą dorosnąć – z głodu i od narkotyków.

Przeczytałbyś też, jak Morgana Croft Tate... ale o tym opowie ci najlepiej dzisiejsza gazeta. Idź na róg i kup dzisiejszą „Star”. To wszystko tam jest, czarno na białym. Samo życie pod nagłówkami.